

**LEŚNICY
DLA NIEPODLEGŁEJ**



**Regionalna Dyrekcja
Lasów Państwowych w Toruniu**



**Polskie Towarzystwo Leśne
Oddział w Toruniu**

LEŚNICY DLA NIEPODLEGŁEJ

**Biografie 28 leśników,
ich rodzin i bliskich**

**Pod redakcją
Tadeusza Chrzanowskiego**

Toruń 2018

WYDAWCY:

Polskie Towarzystwo Leśne
Oddział w Toruniu

Regionalna Dyrekcja
Lasów Państwowych w Toruniu

WSPÓŁWYDAWCA:

Studio Artystyczno-Reklamowe „Pomorze”
w Bydgoszczy

REDAKCJA:

Tadeusz Chrzanowski

WSPÓŁPRACA KOREKTORSKA:

Maria Szupryczyńska, Tadeusz Chrzanowski

PROJEKT GRAFICZNY:

Marek Abramowicz

SKŁAD DTP:

Małgorzata Żukowska

ZDJĘCIA NA OKŁADCE:

Archiwum Regionalnej Dyrekcji
Lasów Państwowych w Toruniu

Toruń 2018

ISBN 978-83-88245-72-5

*Leśnikom polskim, ich rodzinom i bliskim,
którzy nie szczędzili sił, zdrowia, pracy i życia
dla Niepodległej Ojczyzny i dla polskich lasów*

SPIS TREŚCI

Słowo wstępne	10
Słowo redaktora	12
Maria Szupryczyńska Leśniczy Władysław Urbański (1904-1970)	15
Tadeusz Chrzanowski Dyrektor Adam Loret (1884-ok. 1940)	61
Władysław Chałupka Dyrektor Teofil Lorkiewicz (1885-1944)	67
Magda Skowronek Dyrektor Władysław Chwalibogowski (1889-1955)	87
Jadwiga Tomczak Nadleśniczy Antoni Tomaszek (1889-1939)	93
Tadeusz Chrzanowski Nadleśniczy Marian Musiałowicz (1900-1942)	101
Bogumiła Kuklicz Nadleśniczy Władysław Kotuła (1893-1940)	115
Tadeusz Chrzanowski Nadleśniczy Edmund Drecki (1897-1940)	121
Tadeusz Chrzanowski Nadleśniczy Rudolf Zacher (1899-1940)	123

Elżbieta Smułkowa Dyrektor Kazimierz Baran (1902-1940)	127
Marek Zygmunt Schwetz Nadleśniczy Tadeusz Schwetz (1894-1941)	141
Tadeusz Chrzanowski Nadleśniczy Jerzy Wysocki (1905-1946)	155
Tadeusz Chrzanowski Nadleśniczy Bolesław Usow ps. Konar (1913-1954)	159
Barbara Butler-Błasińska Harc mistrz Bolesław Bonewicz Usow	186
Kazimierz Przybyszewski Doktor Józef Goetz (1903-1951)	189
Michał Sokołowski Inżynier Antoni Borkowski (1909-1981)	193
Tadeusz Chrzanowski Nadleśniczy Feliks Soboczyński (1893-1989)	201
Włodzimierz Braniewski Część losu Ojczyzny. Zapis rozmowy z Feliksem Soboczyńskim	202
Piotr S. Adamczewski Leśniczy Józef Bartol (1889-1939)	207
Andrzej Jacek Fogt vel Vogt Leśniczy Oskar Vogt (1901-1945)	213
Tadeusz Chrzanowski Leśniczy Czesław Malinowski (1906-1941)	255
Tadeusz Chrzanowski Leśniczy Jan Bińczyk ps. Zagłoba (1900-1943)	263
Tadeusz Chrzanowski Mój Ojciec, Jan Bińczyk	264
Tadeusz Chrzanowski Leśniczy Józef Łącki (1899-1945)	281

Tadeusz Chrzanowski Ocalić od zapomnienia. Rozmowa z Włodzimierzem Janem Sakrajdą	287
Marzena Kruk Leśniczy Jan Sikorski ps. Wilk (1922-1946)	295
Tadeusz Chrzanowski Zginął w mundurze leśnika polskiego. Rozmowa z Teresą Czartoryską	308
Edward Orłowski Danuta Siedzikówna ps. Inka (1928-1946)	319
Tadeusz Chrzanowski Oprawcy	331
Maria Strutyńska Leśniczy Romuald Strutyński (1911-1960)	335
Tadeusz Chrzanowski Leśniczy Franciszek Wrembel ps. Marcin (1904-1972)	345
Henryk Zbigniew Wrembel Placówka AK w Emilianowie	346
Tadeusz Chrzanowski Leśniczy Marian Jankowski ps. Szarak (1909-1992)	355
Tadeusz Chrzanowski Najlepsze lata życia dla Polski. Rozmowa z Bogdanem Jankowskim	364
Tadeusz Chrzanowski Leśniczy Zbigniew Jaworski (1916-2014)	369
Tadeusz Chrzanowski Inżynier Michał Sokołowski (ur. 1924)	375
Michał Sokołowski Przeżyłem z lasem tyle lat (fragmenty zapisków)	376
Tadeusz Chrzanowski, Michał Sokołowski Indeks biograficzny leśników regionu kujawsko-pomorskiego, poległych i pomordowanych w latach 1939-1956	395



ŁOWO WSTĘPNE

Przedstawione w tomie „Leśnicy dla Niepodległej” biografie polskich leśników pokazują, jak ściśle ich losy są splecione z losami Polski i z historią Lasów Państwowych, dla których ofiarnie pracowali w okresie nawet nieco dłuższym niż ostatnie stulecie. Niektórzy z nich urodzili się bowiem w ostatnich dziesięcioleciach XIX wieku i pracę leśnika zaczęli na terenie różnych zaborów jeszcze przed odzyskaniem przez Polskę niepodległości. Większość z nich jednak zdobywała wykształcenie i podejmowała pracę w Lasach Państwowych już w niepodległej Polsce. Obok wybitnych osobowości, budujących fundamenty tej Instytucji w młodym państwie polskim, scalonym po rozbiorach, znajdujemy wiele innych niezwykle ciekawych postaci leśników, którzy wykonywali ogromną pracę organiczną u podstaw na różnych stanowiskach – od dyrektorów Dyrekcji Lasów i nadleśniczych, poprzez leśniczych i podleśniczych aż do gajowych. Niezależnie od miejsca w hierarchii, służbę swą pełnili z wielkim oddaniem i kompetencją. Byli to ludzie ze wszech miar ciekawi, ich porywające historie czyta się z zapartym tchem.

W okresach zagrożenia dla bytu państwa bez wahania zamieniali mundur leśnika na mundur żołnierski, dając świadectwo bezprzykładnej ofiarności osobistej, jak też wybitnych zdolności w organizowaniu oporu w czasie okupacji niemieckiej. Wskutek prześladowań byli więzieni i torturowani, tracili wszystko – rodziny, majątki, a nawet życie. W ich postawach nie było jednak miejsca na relatywizm, kompromisy nie wchodziły w grę. Walka o niepodległość była imperatywem, któremu wszystko inne było podporządkowane. Byli zarazem bardzo oszczędni w mówieniu o patriotyzmie (w myśl Norwidowskiego wyznania: „Rzadko na moich wargach...”), świadczący o nim czynem. Dzisiejsze oceny, mówiące o romantyczności i nierealistyczności ich poczynań, nie są w pełni sprawiedliwe. Skala oporu była największa w Europie, działano nie tylko odważnie, ale też rozważnie, dbając o materialne i organizacyjne zaplecze, oczywiście z pełną świadomością stawki, o jaką toczy się gra.

Szałę goryczy dopełniają dalsze losy tych, którzy wyszli z okupacji żywi, choć okaleczeni duchowo. Ich biografie pokazują, że w powojennej Polsce, poddani kolejnym represjom, równie bestialskim i zbrodnicy, zdobyli się znów na nieugięty sprzeciw wobec nowej władzy, zwanej eufemistycznie „ludową”. Tragizm ich losów powojennych polega na tym, że nie dano im prawa cieszyć się zasłużonym uznaniem i szacunkiem rodaków. O swoich losach nie mogli mówić, musieli je ukrywać nawet przed najbliższymi, szczególnie przed dziećmi, którym taka wiedza mogła zaszkodzić, na przykład przekreślić ich szanse na kształcenie się.

W tym stanie rzeczy, z upływem lat i wobec śmierci wielu z nich, całe fragmenty ich życiorysów popadały w zapomnienie, większość chyba bezpowrotnie. Częstokroć dają się one odtworzyć przy odwołaniu się do pamięci żyjących jeszcze krewnych, czy też szczątków zachowanych cudem dokumentów. Wiele wysiłku w tropienie faktów, zakopanych w archiwach i w pamięci ludzi, włożył Redaktor tego tomu, Tadeusz Chrzanowski. Z nich utkał opracowane przez siebie biogramy. Jego zasługą jest też zgromadzenie bogatego zbioru ciekawych materiałów i ilustracji. Liczne unikalne zdjęcia nie tylko zdobią, ale też wzbogacają tekst.

Zobowiązaniem nas, żyjących w niepodległej znów Polsce, powinno być przynajmniej zachowanie w pamięci naszych bohaterów. Wydany zbiór biografii leśników trzeba przyjąć z największym uznaniem jako formę realizacji tego postulatu.

Maria Szupryczyńska

Toruń, w listopadzie 2018 roku



ŁOWO REDAKTORA

Stulecie Odzyskania Niepodległości to szczególna rocznica w nowszej historii Polski. Towarzyszą jej wydarzenia podniosłe i uroczyste z udziałem władz państwowych, wojska, z orkiestrą, pocztami sztandarowymi, wciąganiem flag na maszty, składaniem wieńców, wiązanek biało-czerwonych kwiatów pod pomnikami i na grobach bohaterów. Wspominamy zarówno ludzi znanych, nazywanych niekiedy ojcami polskiej niepodległości jak i mniej znanych, których wszakże łączy jedno, wielka sprawa Ojczyzny! Gdy nadeszła chwila próby, oni byli gotowi do czynu, nie uchylali się, postawili na Polskę. I Polska zmartwychwstała!

Ale przecież niepodległość Polski to nie był tylko jeden 1918 rok, ani też jedna bitwa, czy nawet jedna wygrana wojna. To był wysiłek wielu pokoleń. Niepodległość to codzienna gotowość do obrony kraju, rodziny i siebie przed najeźdźcą i różnymi formami zniewolenia, jak też codzienna sumienna praca dla kraju, społeczeństwa i rodziny.

Leśnicy regionu kujawsko-pomorskiego A.D. 2018 uczestniczyli w wielu wydarzeniach związanych z upamiętnieniem Stulecia Odzyskania Niepodległości przez Polskę. Najczęściej były to akcje sadzenia drzew, alei, parków, lasów Niepodległości, z szerokim udziałem społeczeństwa. Co ciekawe, podobne wydarzenia odnotowują kroniki okresu międzywojennego, pierwszych lat wolnej Polski. Tak powstawały kiedyś, tak powstają dziś, żywe pomniki poświęcone wolnej, suwerennej Ojczyźnie.

Ale to byłoby za mało. Niepodległość to musi być też PAMIĘĆ o tych, którzy walczyli o nią bezkompromisowo i gdy nadszedł czas, tak jak „Inka” A.D. 1946, „zachowali się jak trzeba”. Naszym obowiązkiem jest ocalenie od zapomnienia – ich walki, pracy i życia. Oni dali świadectwo, czyli to, co najtrudniejsze, bo świadectwo to nie tylko myśli i słowa, ale przede wszystkim czyny.

Książka „Leśnicy dla Niepodległej” opowiada o leśnikach, ich rodzinach, środowisku, otoczeniu, miejscach, w których żyli i o trudnych wyborach, których musieli dokonywać w ciężkich czasach. Są wśród nich dyrektorzy lasów, nadleśniczowie, leśniczowie, ludzie w zielonych mundurach leśnika polskiego. **Łączy ich to, że wszyscy razem i każdy z osobna są w jakiś sposób pięknie niezwyčajni.**

W tym gronie najliczniej reprezentowani są leśnicy Kujaw i Pomorza, wszak publikację przygotowali leśnicy tego właśnie regionu. Upominamy się też o pamięć o naszych Kolegach z Kresów, bo kto miałby to zrobić, jeśli nie my? Zamieszczamy wspomnienie o kilku leśnikach województwa lwowskiego i wileńskiego II Rzeczypospolitej.

Kto wspomina, kto pisze? Są to przede wszystkim bliscy: dzieci, wnuki, świadkowie życia, pracy i dokonań naszych bohaterów. W kilku przypadkach są to biografie wybitnych leśników przygotowane przez badaczy i pasjonatów historii.

W książce zamieszczamy łącznie 28 biografii, które czasem są bardziej obrazem życia całej leśnej rodziny niż samego leśnika. Ale to zrozumiałe, bo przecież ludzkie, indywidualne, zdawałoby się, wybory i decyzje niemal zawsze dotyczą też bliższych, rodziny i otoczenia. W sumie otrzymujemy różnorodny i bogaty obraz życia leśników polskich minionego wieku, na którym szczególnie piętno wywarła II wojna światowa i jej tragiczne, zwłaszcza dla Polski i narodu polskiego, skutki. Dlatego też, zdecydowaliśmy się dołączyć do publikacji „ostatni rozdział” zatytułowany „Indeks biograficzny leśników regionu kujawsko-pomorskiego poległych i pomordowanych w latach 1939-1956”. Jest w nim 148 krótkich biogramów tych leśników, którzy Ojczyźnie oddali wszystko, z życiem łącznie.

Słowa podziękowania kieruję do Autorów wspomnień i szkiców opracowań biograficznych, które składają się na niniejszą publikację. Dziękuję też Braci Leśnej A.D. 2018 skupionej w granicach Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu, zarówno kierownictwu dyrekcji i 27 nadleśnictw regionu kujawsko-pomorskiego, jak też Koleżankom i Kolegom z toruńskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Leśnego, którzy jednomyślnie wsparli zamysł przygotowania i wydania drukiem książki „Leśnicy dla Niepodległej”. Oto ona!

Tadeusz Chrzanowski

Toruń, w listopadzie 2018 roku



Władysław Urbański (1904 – 1970)

Leśniczy WŁADYSŁAW URBAŃSKI

(1904-1970)



ó Ojciec Władysław Urbański, przez całe życie zawodowe, z wyjątkiem krótkiego epizodu kresowego, był zatrudniony w lasach państwowych będących dziś pod administracją Dyrekcji Toruńskiej. Należał do pokolenia leśników wykształconego i uformowanego duchowo w okresie międzywojennym. Powszechne w tym pokoleniu były wysokie standardy moralne i świadome pielęgnowanie tradycyjnego etosu leśnika, co w praktyce sprowadzało się do wiernej i oddanej służby polskim lasom, a tym samym oznaczało gotowość służenia ze wszystkich sił nowo odrodzonej Ojczyźnie.

Przedwojenne pokolenie leśników cechował głęboki patriotyzm. Nieprzypadkowo wielu z nich zginęło z rąk Niemców już na samym początku okupacji. Stanowili oni bowiem jedną z grup zawodowych polskiej inteligencji skazanych na eksterminację.

Wstęp

Od dawna nosiłam się z zamiarem wydobycia z pamięci, zapisania i ocalenia w jakiś sposób od zapomnienia historii rodzinnej, której główną postacią jest mój Ojciec, leśniczy Władysław Urbański (1904-1970), a współbohaterami jego żona i sześcioro dzieci. Historia leśnika jest zarazem historią jego rodziny, gdyż rzadko który zawód ma tak silny wpływ na losy najbliższych jak zawód leśnika. Jak wiadomo, wybór męża leśnika dla jego żony, a także ich dzieci, oznacza wybór określonego sposobu życia, na ogół w miejscu odosobnionym od większych skupisk ludzkich, nie tylko miejskich. Nawet wobec pobliskiej społeczności wiejskiej jest się z zewnątrz, a z własnym środowiskiem leśników i ich rodzin kontakt jest z natury rzeczy ograniczony z powodu dość dużych odległości. Codziennością jest za to bliski kontakt z przyrodą, a nawet uzależnienie od niej. Przy tym w sposób naturalny rodzina żyje sprawami lasu razem z ojcem. Nic więc dziwnego, że dzieci często kontynuują zawód leśnika, nieraz nawet przez kilka pokoleń, co ma miejsce także w naszej rodzinie. Leśnikiem był najmłodszy mój brat, też Władysław (1950-2018), a Szkołę Leśną ukończyła też jego córka, Monika. Niełatwego zadania zredagowania wspomnień podejmuję się głównie z myślą o moich pięciorgu wnukach, żeby mogły, jeśli zechcą, zaspokoić swoją ciekawość na temat rodzinnej przeszłości.

Istotnym czynnikiem mobilizującym była propozycja pana Tadeusza Chrzanowskiego, Redaktora Biuletynu Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu, przygotowania tekstu do druku w bardzo interesującym dziale historycznym tego

pisma pt. „*Karty z naszej historii*”. Pokazując sylwetkę Ojca, którego pamiętam jako niezwykle uczciwego, skromnego, pracowitego, a zarazem pogodnego i życzliwego człowieka, chciałabym oddać hołd nie tylko jemu samemu, ale też jego kolegom leśnikom, z których wielu w dzieciństwie i młodości znałam, podziwiałam i lubiłam. Motywem do spisania zachowanych wspomnień była też 40. rocznica śmierci Ojca, który zmarł nagle na serce 30 marca 1970 roku, w trzy miesiące po przejściu na emeryturę, w wieku 65 lat.

Ojciec kochał las, poświęcał mu cały swój czas, zdolności i energię. Wielodzietna rodzina była dla niego też bardzo ważna, ale sprawy lasu były zawsze priorytetowe.

KRESOWE POCZĄTKI

Władysław Urbański urodził się 17 października 1904 roku w niewielkim, otoczonym pięknymi zalesionymi górami miasteczku Skole, położonym malowniczo nad górską rzeką Opór na terenie Karpat Wschodnich. W okresie międzywojennym Skole należało do powiatu Stryj w województwie stanisławowskim i stanowiło chętnie i licznie uczęszczany ośrodek wypoczynkowy, zarówno letni - z plażami i kąpieliskiem nad rzeką Opór, jak też zimowy - z zapleczem w pobliskim Sławnie. Jednak wczesne dzieciństwo i pierwszy etap edukacji szkolnej w Skolem minął Ojcu jeszcze jako poddanemu cesarstwa austriackiego. Musiał więc być świadkiem ważnych dla historii Polski wydarzeń na początku XX wieku na terenie Galicji, o czym jednak mówił rzadko. Wiedzieliśmy natomiast, że od wczesnych lat jego pasją były wędrowki po otaczających Skole górach, lasach i połoninach, latem kąpiel w rzece Opór, a zimą narty, które nie przypominały w niczym współczesnych. Stanowiły one w tych okolicach nie tylko rozrywkę, ale przede wszystkim główny środek lokomocji dla osób niemających sanek zaprzężonych w konia.

Skole było miastem wielonarodowym, w którym do czasu wojny żyli w naturalnej symbiozie Polacy, Rusini i Żydzi. Język polski był w powszechnym użyciu, a większość Polaków znała również ukraiński. Należało też znać język niemiecki, przynajmniej w stopniu elementarnym. Jego nauka była obowiązkowa w szkołach, choć językiem edukacji i urzędowym w zaborze austriackim był język polski. Podziały narodowościowe pokrywały się z religijnymi, co jednak wcale nie oznaczało wzajemnej wrogości. Oprócz kościoła katolickiego była w miasteczku stara piękna cerkiew grekokatolicka i synagoga - każdy czcił Pana Boga po swojemu we własnej świątyni, a każda z nich była przez wszystkich otaczana szacunkiem. Było powszechnym zwyczajem, że grekokatolicy, przechodząc koło kościoła katolickiego, żegnali się swoim znakiem krzyża, a katolicy przed ich cerkwią swoim. Było też w zwyczaju wzajemne składanie sobie życzeń przez sąsiadów innowierców z okazji świąt, które wypadały przecież w różnych terminach. Na ten temat zachowała się pewna anegdotka. Przechodzącego adwokata Polaka pozdrawia sąsiad Żyd,

mówiąc: „Panie mecenasie, wszystkiego najlepszego z okazji dzisiejszego święta”. Na co roztargniony adwokat: „Dziękuję, ale jakie to dziś święto?” Na co Żyd: „No przecież Napoczęcia Matki Boskiej!” Jak sądzę, w takich właśnie warunkach ukształtowała się w sposób naturalny postawa tolerancji Ojca wobec inności religijnej i narodowej.

Był najstarszym synem kuśnierza, Franciszka Urbańskiego (1877–1947), który szył lekkie i zgrabne, słynące z urody, bogato i pięknie wyszywane kożuszki huculskie, powszechnie noszone w tamtych stronach. Pamiętam, jak później, kiedy dotarliśmy do dziadków w czasie naszej ucieczki przed Niemcami na początku II wojny światowej, dziadek uszył dla nas, tzn. dla mnie, mego starszego brata, Henryka, i naszej Mamy, takie ciepłe kożuszki, które bardzo się przydały w nadchodzącej biednej zimie i później, w czasie okupacji, dopóki z nich nie wyrosliśmy. Wrócę jeszcze poniżej do okoliczności naszej wędrówki w pierwszej połowie września 1939 roku, kiedy Ojciec był na froncie, a Mama wiozła nas, dwoje małych dzieci (brat 5 lat, a ja 2 i pół roku), do dziadków do Skolego spod Tucholi, czyli z północy Polski po przekątnej, na jej południowo-wschodnie kresy, częściowo bombardowanymi pociągami, a częściowo furmanką przez świeżo opuszczone pola walk, dosłownie wśród stosów poległych żołnierzy i trupów koni.

Co do edukacji ojca, to zdaniem babci Urbańskiej, która bardzo dbała o wykształcenie swoich dziewięciorga dzieci, wymienione rozrywki pochłaniały Ojca bardziej niż nauka w szkole, do której nie przykładął się podobno specjalnie. Niemniej jednak, skończył z powodzeniem Szkołę Powszechną w Skolem oraz zdał egzamin do Gimnazjum we Lwowie, gdzie już w niepodległej Polsce, w 1921 roku ukończył V klasę, co odpowiadało ówczesnej tzw. „małej maturze”. W tym momencie rodzice postanowili skierować syna do nauki zawodu leśnika. Być może, zauważyli jego zamiłowanie do spraw lasu i mały entuzjazm do dalszej edukacji ogólnokształcącej o profilu humanistycznym. Miałam później często okazję się przekonać, że poziom nauczania gimnazjalnego w przedwojennej Polsce musiał być wysoki. Ojciec znał np. dobrze łacinę i nawet w późniejszym wieku zwykle wygrywał ze mną, humanistką, w konkursie na słówka łacińskie.

Decyzja kształcenia Ojca na leśnika zapadła w 1922, ale nie wysłano go w tym celu od razu do szkoły dla leśników. Zatrudnił się najpierw jako praktykant w lasach prywatnych otaczających Skole, które było też dużym ośrodkiem gospodarki drzewnej. Lasy te należały do braci Groedel, a oficjalna nazwa ich administracji brzmiała: Dyrekcja Lasów i Dóbr Państwa Skole, Bracia Groedel. W czasie tej praktyki, w miejscowości Demia Wyżna, oprócz przyswajania sobie tajemnic zawodu leśnika, Ojciec stał się też zapalonym myśliwym. Wspominał czasem tamtejsze polowania na grubego zwierza, m.in. na niedźwiedzia. Dopiero po trzech latach praktyki został przyjęty do Państwowej Szkoły dla Leśniczych w Bolechowie, którą skończył w 1926 roku. Zachowało się szczęśliwie zdjęcie, na którym sfotografowani



Absolwenci Szkoły dla Leśniczych w Bolechowie, rok 1926. Władysław Urbański w drugim rzędzie od góry, pierwszy z lewej. Fot. archiwum Marii Szuprzyńskiej

są absolwenci i nauczyciele rocznika 1925/26. Wśród absolwentów jest też na zdjęciu Franciszek Myśliwiec, zatrudniony później, podobnie jak ojciec, jako leśniczy w Nadleśnictwie Woziwoda, w którym był równocześnie leśniczym inny, starszy absolwent Bolechowa, Henryk Kaczkowski.

Po skończeniu Szkoły w Bolechowie Ojciec odbył roczną (od 1 października 1926 do 31 sierpnia 1927) obowiązkową praktykę jako pomocnik leśny w Nadleśnictwie Jezioro, należącym do Dyrekcji Wileńskiej. Przez kolejne trzy lata, od września 1927 do października 1929, odbywał służbę wojskową w 2. Pułku Łączności w Jarosławiu. Później musiał uczestniczyć w jakichś ćwiczeniach wojskowych w Grudziądzu, gdyż zachowało się zdjęcie Ojca z grupą żołnierzy, na którym jego ręką jest naniesiony napis: Grudziądz 1932. We wrześniu 1939 roku Ojciec brał udział w działaniach wojennych jako szeregowiec piechoty 2. Pułku Łączności w czwartej kompanii telegraficznej, a więc zgodnie z nabytym 10 lat wcześniej wyszkoleniem.

OKRES POPRZEDZAJĄCY II WOJNĘ ŚWIATOWĄ

W 1929 roku, kończąc służbę wojskową, Ojciec miał 25 lat. W tym momencie następuje zasadniczy zwrot w jego życiu. Opuszcza ukochane Kresy i przenosi się na Pomorze, z którym, wyjąwszy okres okupacji, zwiąże się na resztę życia. Musiała to być dla niego bardzo trudna decyzja. Oprócz oderwania od rodziny, z którą był

bardzo zżyty, doszły różnice w mentalności i zwyczajach ludzi, z którymi będzie się stykał na co dzień. Nie zdajemy sobie już dziś sprawy z tego, jak głębokie różnice dzieliły wtedy ludzi pochodzących z różnych dzielnic Polski, zjednoczonej po trwającym 123 lata okresie zaborów. Wyczuwałam je jeszcze wyraźnie w młodości. Ojciec musiał te trudności jakoś przezwyciężyć. Propozycja zatrudnienia w Dyrekcji Bydgoskiej Lasów Państwowych miała prawdopodobnie związek z tym, że po odzyskaniu niepodległości na Pomorzu, jak i w całym dawnym zaborze pruskim, zaznaczyły się wielkie potrzeby kadrowe w organizującej się polskiej administracji, w tym też w Lasach Państwowych. Poszukiwano wykształconych kandydatów na leśników wszędzie tam, gdzie Polacy mieli szerszy niż w zaborze pruskim dostęp do edukacji, a więc przede wszystkim na terenach dawnej Kongresówki i Galicji.

Ojciec od razu trafił w Bory Tucholskie. Zatrudniony jako pomocnik leśny, pracował najpierw w Nadleśnictwie Różanna, w okolicach Świecia, potem przez dwa lata (1930-32) pracował, początkowo jako kancelista, a następnie leśniczy w Nadleśnictwie Świt koło Tucholi. Tam poznał swoją przyszłą żonę, Jadwigę z domu Woźniewską, kiedy to jako działaczka Sodalicii Mariańskiej w Tucholi przyjechała do Świtu w okolicach Bożego Narodzenia po choinki potrzebne do organizowanej przez to chrześcijańskie stowarzyszenie kobiet jakiejś imprezy charytatywnej. Ślub rodziców odbył się w Tucholi w 1933 roku. Ojciec pracował już wtedy w Nadleśnictwie Cierpiszewo pod Toruniem.

Pierwsze swoje samodzielne leśnictwo, położone na terenie ówczesnego Nadleśnictwa Popioły, w pobliżu Torunia, objął w 1934 roku i pracował w nim jako leśniczy do 1938 roku. Na przedwojennej mapie było ono oznaczone jako Wódek (wcześniej na niemieckiej Wodeck), a w tradycji rodzinnej funkcjonowała forma liczby mnogiej - Wódki. W tym czasie przyszło na świat dwoje dzieci - syn Henryk (1934-1998) i córka Maria (1937), w związku z czym rodzice zaczęli się trwalej urządzać w leśniczówce, która była dość skromnym, ale wygodnym murowanym budynkiem, z uroczą drewnianą werandą przy głównym wejściu.

Z tego okresu nie mogę oczywiście niczego pamiętać, ale zachowały się trzy zdjęcia: na jednym siedzimy z bratem na progu werandy, na drugim są robotnicy leśni, zebrani dla uczczenia „IX Pamiątki pracy w Leśnictwie Wódek”, jak głosi transparent, a wśród nich my z bratem i mamą, a na trzecim rodzice w towarzystwie dwóch kolegów Ojca spacerują po ul. Szerokiej w Toruniu, wszyscy roześmiani. Mama lubiła się ładnie ubierać, wspominała więc czasem popularny wtedy w Toruniu magazyn pięknej damskiej konfekcji, mieszczący się na rogu Starego Rynku nr 36/37, o nazwie Dom Handlowy M.S. Leiser, którego ówczesnym właścicielem był bogaty kupiec żydowski Leon Kopf. Oprócz tego zachowała się też w rodzinie pamięć o podróżach, przedsięwziętych przez rodziców na rowerach razem z nami (zapewne w czasie urlopu Ojca) na trasie z Leśnictwa Wódki w odwiedzinach do babci Woźniewskiej w Tucholi. Odległość wynosi ok. 100 km. Jakoś trzeba



Załoga Nadleśnictwa Świt w Borach Tucholskich, rok 1932. Stoją od lewej leśniczowie: Konrad Hwózdź, Stefan Kuciej, Józef Cichy, Jan Koziołek i Władysław Urbański, w środku siedzi nadleśniczy Aleksander Janicki. Fot. archiwum Marii Szupryczyńskiej



Ślub Władysława Urbańskiego i Jadwigi Woźniewskiej w Tucholi w 1933 roku. Fot. archiwum Marii Szupryczyńskiej



Leśniczy Urbański z żoną Jadwigą (stoją pośrodku) i grupa robotników leśnych w Leśnictwie Wódek, Nadleśnictwo Popioły pod Toruniem w 1938 roku. Fot. archiwum Marii Szuprzyńskiej

Dzieci leśniczego Urbańskiego - Maria i Henryk - na progu leśniczówki Wódek, rok 1938. Fot. archiwum Marii Szuprzyńskiej





Władysław Urbański z żoną (w środku) z kolegami z Nadleśnictwa Popioły, na ul. Szerokiej w centrum Torunia, rok 1938. Fot. archiwum Marii Szupryczyńskiej

było na tych rowerach wieźć dzieci i bagaże, a poza tym chyba gdzieś nocować, bo trudno sobie wyobrazić, żeby to była podróż jednodniowa.

Kolejna przeprowadzka była powrotem w Bory Tucholskie, które Ojciec poznał już wcześniej, pracując w Nadleśnictwie Różanna, a przede wszystkim Świt. Od 1 października 1938 roku, ostatniego roku przed wojną, Ojciec został mianowany leśniczym w Leśnictwie Barłogi na terenie Nadleśnictwa Woziwoda. Przydzielone leśnictwo było trudniejsze, ale bardzo piękne i zadbane, zarówno jeśli chodzi o las, jak i zabudowania. Obejmowało ono jednolity drzewostan sosnowy, porastający piaszczyste tereny sandrowe w lewobrzeżnym dorzeczu Brdy, w sercu Borów Tucholskich. Nie ominęła go plaga sówki choinówki, która nawiedziła Bory Tucholskie w roku 1938. Po walce z nią została w starszych drzewostanach pamiątka - czarne opaski na pniach drzew, mniej więcej na wysokości człowieka. Obszar leśnictwa nie był bardzo duży i rozciągał się dość regularnie wokół centrum, którym była leśniczówka, co ułatwiało Ojcu sprawne poruszanie się po terenie, przeważnie pieszo lub rowerem. Na północy tereny leśnictwa graniczyły z polami i łąkami oddalonej o 3 km wsi Rzepiczna i dalej z leśnictwami Zwierzyniec i Wilcze Doły, należącymi już do Nadleśnictwa Twarożnica, na zachodzie z gminną wsią Legbąd i leśnictwem o tej samej nazwie, na południu dochodziły

do wsi Biała i Leśnictwa Biała. Najbardziej oddalony był odcinek wschodni, rozciągający aż po Okoniny.

Położenie domu i zabudowań gospodarczych leśnictwa Barłogi jest niezwykle malownicze. Nie będzie dużej przesady w stwierdzeniu, że dane nam było żyć w jednym z najpiękniejszych i najbardziej czarujących miejsc, jakie znam. Natychmiast się w nim zakochaliśmy. Leśniczówka położona jest na wzniesieniu tworzącym rodzaj przesmyku. Dominuje on ze strony wschodniej nad dość rozległą i wydłużoną doliną, w której wije się wśród podmokłych łąk rybna rzeczka Zwierzynka, a od strony zachodniej nad mniejszym paskiem łąk, przylegających do jeziora Bielinieć, z którego wychodzi na te łąki strumień, nazywany przez nas Rowem. Do obu tych dolin schodzą łagodnie zbocza, na których znajdowało się piaszczyste orne pole, należące do leśniczówki, obecnie zalesione. Skrajem zbocza zachodniego przechodzi koło leśniczówki droga wychodząca z lasu na górcę od strony wsi Biała (od południa). Zniża się następnie trochę do mostka nad wspomnianym Rowem i zaraz potem wspina się ku północy na przeciwną małą górkę, gdzie wchodzi znów w las, aby się zaraz rozwidlić i poprowadzić w lewo do wsi Barłogi (i dalej do Legbąda), a w prawo do wsi Rzepiczna, gdzie znajdowała się najbliższa szkoła (i dalej w kierunku Czerska).

Od tej drogi do bramy w ogrodzeniu leśniczówki podchodzi dwoma odnogami podjazd, do którego dom jest ustawiony zachodnim szczytem. Są w nim drzwi gospodarcze, a wejście główne do domu znajduje się w środkowej części frontowej od podwórza. Całe wzniesienie jest wystarczająco obszerne, by pomieścić swobodnie wszystkie trzy budynki rozmieszczone wokół dość dużego podwórza. W sadzie za domem rosły wysokie stare wiśnie, kilka śliw, dwie lipy, a obok nich duże krzewy bzu. Między drewnianym płotem, otaczającym podwórze i sad, a drogą było sporo klonów, które przetrwały do dziś. Poniżej, niedaleko mostku, rósł stary świerk. Dom mieszkalny i duża stajnia były z czerwonej cegły, nieotynkowane, jak wiele innych leśniczówek, zbudowanych pod koniec XIX wieku przez Niemców na tych terenach. Naprzeciw domu, po przeciwnej stronie podwórza, stoi również dziś duża drewniana stodoła. Wewnątrz budynków wszystko było urządzone dla wygody mieszkańców, z właściwym Niemcom zmysłem praktycznym. Widziałam wiele takich leśniczówek i nadleśnictw, ale rozplanowanie całości w Barłogach nie ma sobie równych, jest absolutnie harmonijne i proporcjonalne, doskonale przemyślane, jeśli chodzi o układ przestrzenny.

Ojciec musiał widzieć wcześniej to leśnictwo, Mama prawdopodobnie też. Na początku października 1938 roku, kiedy stoimy całą czwórką w nowym miejscu i oglądamy je, zamieramy z zachwyty. Czujemy, że to miejsce ma w sobie coś magicznego. Czy przeczuwamy, że stanie się ono dla nas właściwie gniazdem rodzinnym? Że urodzą się tu kolejne dzieci? Dziś wiadomo, że to nastąpi, ale nie od razu. Tymczasem cieszymy się pięknem tego miejsca. Rodzice są młodzi i pełni

nadziei na przyszłość. Nie wiedzą jeszcze, że mamy przed sobą zaledwie jeden szczęśliwy rok, że wkrótce wszystko zostanie zniszczone przez tryby wojny, że czeka nas upokarzająca tułaczka, a piękny dom odnajdziemy po wojnie splądrowany i zbezczeszczoney. Nawet nasz stary świerk zostanie ranny, ciężki pocisk odrąbie mu całą jego piękną górną część. Jednak przez najbliższy rok rodzice zdążą zapaść w Barłogach korzenie, poznać miejscowych ludzi i zaprzyjaźnić się z nimi. Ojciec wyrobi sobie dobrą pozycję zawodową w nadleśnictwie jako cenniony leśniczy i da się poznać jako doskonały myśliwy. W zawodach urządzanych w Tucholi w strzelaniu do rzutków zdobywa często główne trofea. Zdobią one ściany jego gabinetu obok licznych drobnych i większych wypchanych ptaków, które patrzyły na mnie i na brata z góry i zawsze nas intrygowały. Jak wiadomo, rok 1939 był niezwykle urodzajny, ojciec zdąży zadbać o zasianie deputatowego pola i zebrać z niego takie plony, że stodoła i piwnica pękają w szwach, a Mama zapełnia spiżarnię zapasami na zimę. Latem przyjeżdżają do nas krewni i przyjaciele rodziców. Wszyscy pracują, cieszą się i bawią, ale czują już grozę sytuacji.

UCIECZKA

Nadchodzi koniec sierpnia 1939 roku, Ojciec dostaje wezwanie do wojska i opuszcza nas, by stawić się w punkcie zbiorczym swojej jednostki. Przedtem nadleśnictwo wypłaciło swoim pracownikom pensje za kilka miesięcy naprzód. Rodzice postanawiają, że matka podąży z nami na wschód i postara się dotrzeć do rodziców Ojca, do Skolego. Obranie tego kierunku ucieczki przed Niemcami było masowe, wiele polskich rodzin instynktownie uciekało na wschód, nawet jeśli nie miało tam krewnych. Zresztą, było to racjonalne przy ówczesnym stanie umysłów. Rodzice, jak wszyscy wtedy, myśleli, że wojna szybko się skończy, i wyznaczyli sobie spotkanie w Skolem za miesiąc, najdalej dwa. Mama zawiesiła sobie woreczek z pieniędzmi na szyi, zapakowała do walizki najpotrzebniejszy bagaż podróży, a na plecy zarzuciła węzełek z dużej wełnianej chusty, w której zawiązała pościel dla dzieci. Drzwi leśniczówki zamknęła na klucz, klucze zostawiła u zaufanych ludzi, polecając dom ich opiece, i ruszyła z nami w drogę w pierwszych dniach września.

Trudno mi odtworzyć szczegółowo kronikę naszej ucieczki, dokładny przebieg trasy, daty poszczególnych etapów, czy choćby ściśłą kolejność faktów. Miałam wtedy dwa i pół roku i pamiętam tylko przez mgłę niektóre sceny z naszej peregrynacji, trwającej, jak sądzę około dwóch tygodni. Niektóre przeżycia były jednak tak silne i traumatyczne, że utrwaliły się jakby na kliszy fotograficznej w pamięci dzieci, czemu zapewne sprzyjały opowiadania Mamy, tym bardziej że były powtarzane kilka razy, zwykle w naszej obecności. Najpierw opowiadała przebieg wydarzeń rodzinie Ojca bezpośrednio po naszym dotarciu do Skolego, a następnie po powrocie do Tucholi swojej rodzinie, wreszcie Ojcu, po jego powrocie z niewoli

w maju 1940 roku. Myślę więc, że to moje świadectwo, choć bardzo fragmentaryczne, warto mimo wszystko przedstawić, gdyż stanowi ono część polskiej pamięci zbiorowej. Przemieszczanie się ludności na terenie Polski we wrześniu 1939 roku było bowiem bardzo intensywne i dotyczyło też wielu rodzin leśników. Niestety, niektórzy z ucieczki już nie wrócili, gdyż naloty lotników niemieckich na pociągi i konwoje uciekinierów były szczególnie zaciekle.

Pierwszy etap podróży, z Tucholi do Chełma Lubelskiego, odbyliśmy pociągami pełnymi takich jak my uciekinierów. Przypuszczam, że pasażerowie zmierzający w kierunku Lwowa byli kierowani trasami omijającymi Warszawę, o którą toczyły się wtedy zaciekle boje. Prawdopodobnie pierwsza część podróży odbyła się, przynajmniej na niektórych odcinkach, w miarę normalnie, jeśli nie liczyć zatłoczenia, konieczności częstych przesiadek i wyczekiwania na możliwość objazdu w miejscach, gdzie były zniszczone mosty czy toczyła się właśnie bitwa. Jednak największe zagrożenie w czasie tej podróży czyhało z powietrza. Prawdziwą zmorą były bowiem ataki lotników niemieckich na pociągi, cywilne czy wojskowe, bez różnicy. Nie wiem, czy załogi pociągów były jakoś ostrzegane o zbliżających się napastnikach, w każdym razie, maszynista na odgłos nadlatujących samolotów z reguły zatrzymywał pociąg i wszyscy w panice uciekali, chroniąc się w tym, co akurat było w pobliżu - w lesie, w polach jeszcze niezebranych buraków, w miedzach, w zaroślach czy choćby pod jakimś samotnym drzewem. Nadlatujące z hukiem samoloty zniżały maksymalnie lot, bombardowały pociąg i ostrzeliwały bezbronnych cywilów. Często zawracały i atakowały ponownie. Lotnicy niemieccy wręcz polowali na ludzi jak na króliki. Sztukę krycia się opanowaliśmy wkrótce z bratem do perfekcji, a Mama nie zapomniała o tobołku z pościelą, którym nas przykrywała, kiedy przypadaliśmy do ziemi - dla ochrony przed kulami, jak mówiła. Myślę, że robiła to raczej dlatego, żebyśmy się mniej bali w momencie ataku. Przeżyliśmy takich nalotów kilka, a razem z fałszywymi alarmami chyba kilkanaście, i niestety, byli wśród pasażerów ranni i zabici.

Po dotarciu do Chełma Lubelskiego okazało się, że dalsza podróż koleją nie jest możliwa na skutek toczących się na tych terenach krwawych walk. Na nocleg przyjął nas pewien Żyd, a naszą kwaterę w jego skromnym domu dzieliliśmy z żołnierzami polskimi.

Sytuacja panująca dalej na naszej drodze z Chełma do Skolego była wysoce niepewna i niebezpieczna nie tylko dlatego, że toczyły się tam działania wojenne, ale też z powodu rozpoczęcia aktywności wrogich wobec Polaków ukraińskich organizacji nacjonalistycznych. Mimo to Mama uznała, że nie ma wyboru, musi jakoś dotrzeć do dziadków, tym bardziej że zasoby wiszącego na szyi woreczka topniały w szybkim tempie. Zostało nam jeszcze dobrze ponad 100 km. Wynajęła więc furmankę, której właściciel, ubogi Żyd z Chełma, zgodził się nas dowieźć do umówionego miejsca. Był to stary człowiek, prosty, ale niezwykle miły, pogodny i o dobrym

sercu. Zadbał o naszą wygodę i wymościł stosem owczych skór swój zaprzężony w marną szkapinę pojazd, a w drodze dużo z nami rozmawiał, starając się dodać nam otuchy. Z tego odcinka podróży mam w pamięci obraz drogi przez las, przy której leżało wielu martwych żołnierzy w mundurach. Zwłoki były dość równo poukładane w szeregi przy drodze, zapewne w oczekiwaniu na pochowanie. Głębiej w lesie widziało się dość dużo trupów koni o wzdętych brzuchach i porzuconą broń. Mama starała się nam zaoszczędzić tego widoku, zmuszała nas do leżenia w skrzynce wozu (sama siedziała obok woźnicy na ławeczce) i przykrywała nas aż po głowy skórami, pod którymi nie sposób było jednak wytrzymać z powodu gorąca i mieszkających w nich rojów pcheł. Nie mam pewności, czy nasz miły woźnica dowiózł nas aż do kresu podróży, czy też przesiadaliśmy się jeszcze na jakimś pośrednim etapie do innego środka lokomocji, w każdym razie dotarliśmy w końcu do Skolego ku wielkiemu zaskoczeniu i zdziwieniu, ale też radości Dziadków i całej rodziny, która nie była o niczym uprzedzona.

Tymczasem losy wojny były już przesądzone, a liczna rodzina dziadków, podobnie jak wszyscy Polacy w Skolem i na całych Kresach południowo-wschodnich przeżywali dramatyczne chwile. Oprócz bolesnego poczucia klęski w wojnie z Niemcami już w pierwszych dniach wojny zaczęli doświadczać aktów wrogości ze strony siejących postrach grup Ukraińców, rekrutowanych przez nacjonalistyczne organizacje ukraińskie głównie spośród ubogiej ludności wiejskiej i podmiejskiej. Ich aktywność w kolejnych okresach okupacji hitlerowskiej i sowieckiej nasilała się, a metody eksterminacji ludności polskiej stawały się coraz bardziej bezwzględne. Według wspomnień siostry ojca, Marii Barańskiej, już na początku września bandy chłopów ukraińskich, korzystając z ogólnego chaosu i w poczuciu zupełnej bezkarności, zaczęły mordować Polaków, zwłaszcza po wsiach, i rabować ich mienie. Pogrzeby odbywały się w Skolem, a ludzie żyli w poczuciu ciągłego zagrożenia. Po przejściu w dawnej Galicji władzy przez Związek Radziecki na mocy paktu Ribbentrop-Mołotow, akty terroru ze strony ukraińskiej nasiliły się, a apogeum osiągnęły w 1942/43 roku, po ponownym wkroczeniu Niemców na te tereny. Ich ofiarą padł również młodszy brat ojca, Tadeusz (1923-1943), który został uprowadzony i zamordowany, gdyż udzielał się w zorganizowanej w Skolem samoobronie przeciw akcjom bojówek UPA.

Jak wspomina ciocia Barańska, realizacja postanowień paktu Ribbentrop-Mołotow w Skolem odbyła się w ten sposób, że wojsko niemieckie wycofało się z miasteczka 17 września, a wojsko sowieckie wkroczyło do niego następnego dnia po południu. Przez jedną dobę Skole zostało więc pozbawione jakiejkolwiek ochrony. Polacy przeżyli noc grozy, gdyż wiedzieli o planowanym na nich napadzie. O północy z 17 na 18 września zaczęły bić dzwony w cerkwi, co było sygnałem do rozpoczęcia akcji. Okoliczni chłopci ruszyli masowo na miasto, uzbrojeni w prymitywne narzędzia - widły, kosy, siekiery, noże itp. Przestraszeni Polacy

zwrócili się o pomoc do stacjonującego jeszcze niedaleko Skolego oddziału Niemców, którzy zapobiegli terrorowi.

Na powitanie wkraczającego 18 września 1939 roku do Skolego wojska sowieckiego wyszło trochę miejskiej biedoty i robotników o sympatiach komunistycznych. Ci ostatni, ubrali się na tę okazję odświętnie, w swoje niedzielne czarne garnitury. Ich wygląd z miejsca wzbudził nieufność marnie ubranych i źle wyposażonych żołnierzy radzieckich, którzy zwątpili w autentyczną proletariackość osób witających. Zresztą, witających też nie zachwycił widok posłańców raju zapowiadanego w ulotkach propagandowych poprzedzających wkroczenie Armii Czerwonej. Wkrótce Skole i cała ziemia lwowska została przyłączona, jak się okazało, na razie na dwa lata, do Republiki Ukraińskiej utworzonej już wcześniej w ramach ZSRR z terenów Ukrainy wschodniej. W mieście dość szybko zainstalowała się władza sowiecka, a NKWD stało się panem życia i śmierci Polaków. Zaczęły się masowe zsyłki na Sybir, które były podstawowym sposobem oczyszczania tych ziem z ludności polskiej, szczególnie inteligencji. Na listach ofiar znalazły się na pierwszym miejscu rodziny oficerów, policji, straży celnej, nauczycieli, lekarzy, aptekarzy, urzędników państwowych, a także księży. Na miejsce rodzin polskich przywożono rodziny sowieckie. Zasielano nimi domy wywiezionych Polaków, z których wielu nie wróciło już nigdy z zesłania. Rodzina dziadka, który był rzemieślnikiem, szczęśliwie uniknęła losu krewnych i sąsiadów, choć przez dłuższy czas żyła w ciągłym strachu, czekając na swoją kolej i trzymając spakowane rzeczy w pogotowiu pod stołem.

W czasie naszego pobytu w Skolem przyszła wiadomość od Ojca, że na początku października dostał się do niewoli niemieckiej i jest więziony w niemieckim obozie jenieckim. Nie było już żadnego powodu zatrzymywać się dłużej w Skolem. My z Mamą, jako mieszkańcy terenów, które przypadły Niemcom w podziale Polski między Hitlera i Stalina, mieliśmy u Sowietów status obcokrajowców, obywateli Reichu, zaprzyjaźnionego wówczas z ZSRR. Mogliśmy więc bez większych przeszkód wyjechać ze Skolego, kiedy tylko zaczęła w miarę normalnie funkcjonować kolej. Opuściliśmy wkrótce Skole pełni niepokoju o dziadków, ciocię i stryjków, których tam zostawiliśmy.

OD JESIENI 1939 DO LATA 1942

Droga powrotna odbyła się prawdopodobnie dość sprawnie. Leśnictwo zastaliśmy w dobrym stanie i mogliśmy w nim nawet zamieszkać bez Ojca, za zgodą nadleśnictwa. Mama zaczęła starania o zwolnienie Ojca z niewoli. Jednak nadzieja na normalne życie trwała niestety bardzo krótko. W pewien listopadowy dzień zjawił się w Barłogach Niemiec o nazwisku Klein. Do dziś mam w oczach tę złowrogą postać, choć w istocie był to drobny człowieczek, ubrany w pumpy, marynarkę i tyrolski kapelusz, wszystko w kolorze wojskowej zieleni. Oświadczył Mamie, która знаła niemiecki, że odtąd on obejmuje nasze leśnictwo, że wkrótce wróci z rodzi-

ną, a my mamy do tego czasu opuścić dom. Wolno nam zabrać tylko dwie walizki osobistych rzeczy. Obejrzał i zinwentaryzował zawartość wszystkich pomieszczeń w domu i w zabudowaniach gospodarczych, ucieszył się ze stodoły pełnej po dach niewymłóconych snopków. Sformułował jakieś groźby na wypadek, gdyby Mama nie dostosowała się do jego życzeń, i wyjechał. Mama zaczęła się przygotowywać do opuszczenia domu i zastanawiać się, co może zabrać. W trudnych sytuacjach wykazywała zawsze dużo hartu ducha i czasem wręcz brawury. Tym razem też nie zamierzała zbyt ściśle przestrzegać zaleceń naszego prześladowcy, którego w warunkach pokoju uznaloby się po prostu za bandytę. Musiała jednak zostawić wszystkie meble, bieliznę pościelową i zastawę stołową, spiżarnię i piwnicę zapełnioną zapasami oraz cały inwentarz. Oprócz rzeczy osobistych zabrała trochę pościeli i naczyń oraz książek. Zebrało się tego na jedną furkę, czyli jednak trochę więcej niż dwie walizki. W tym samym czasie my z bratem nieświadomie dokonaliśmy czynu, który mógłby uchodzić za akt patriotyczny, ale mógł się też źle skończyć dla rodziny.

Otóż nasza ciocia Zosia z Tucholi, siostra Mamy, podarowała bratu zapalniczkę. Jak może dorosły człowiek obdarzyć niespełna sześciolatnie dziecko zapalniczką, pozostanie jej tajemnicą. Oczywiście, szczęśliwy posiadacz zapalniczki postanowił ją wypróbować i długo się zastanawiał, jak to zrobić. Młodsza od niego o trzy lata, byłam jedyną osobą wtajemniczoną w jego plany, zdaje się, że nawet z głosem doradczym. Z kilku rozważanych wariantów został przyjęty następujący: wsuniecie się pęczek słomy w otwór, wycięty dla kieratu w dolnej części drewnianych wrót stodoły, i spróbuje się, czy płomień zapalniczki podziąła. Miejsce było dogodne dla pełnej konspiracji, bo otwór był w tylnej ścianie stodoły, niewidocznej od podwórza dla czujnych oczu Mamy. Wkrótce cała stodoła stała w płomieniach, a że był już zmierzch, iluminacja była widoczna w promieniu dobrych kilku kilometrów. My z bratem uciekliśmy w panice do ogrodu za domem, gdzie nas Mama odnalazła płaczących głośno i krzyczących, że nie chcieliśmy. Ludzie, którzy się zbiegli z sąsiednich wsi do gaszenia pożaru, skoncentrowali się już tylko na chronieniu domu przed zajęciem się, podobnie jak przybyła straż pożarna chroniła sąsiedni las. Rano po stodole nie zostało nic prócz popiołu, w którym tlił się jeszcze żar.

A potem zrobiło się jeszcze groźniej. Mama była wzywana na przesłuchania przez policję niemiecką jako podejrzana o sabotaż. Czyn taki Niemcy kwalifikowali jako „zbrodnię” i groziła za to kara śmierci. Mama nie kwestionowała tezy Niemców, że to sabotaż, jej linia obrony polegała na nieprzyznawaniu się do winy. Raz wezwali Mamę razem z nami, częstowali nas cukierkami i nakłaniali do przyznania się do winy. Cukierki były wtedy niedostępne dla polskich dzieci, więc kiedy brat usłyszał: „Dam ci całą tę torebkę, jeśli się przyznasz”, powiedział: „Tak, to ja zrobiłem”. Mama obsztorcowała Niemca za stosowanie takich metod. Po jakimś czasie dali nam spokój. Może mieliśmy szczęście trafić na ludzkiego Niemca, a może w tym czasie oni nie mieli jeszcze tak dobrze zorganizowanej maszyny represyjnej.

W każdym razie nikt nie poniósł kary za nasz czyn. Zaraz potem opuściliśmy leśniczówkę, a Herr Klein po przybyciu musiał się obyć bez naszych zbiorów zboża. Wkrótce stodołę odbudował i okupował naszą leśniczówkę do zimy 1944/45, kiedy to uciekł przed zbliżającą się Armią Czerwoną.

Wypędzonych z leśniczówki, przyjął nas do siebie miejscowy Niemiec o nazwisku Teclaw, który był już przed wojną właścicielem sklepu kolonialnego we wsi Rzepiczna. Mieszkał z rodziną w piętrowym domu z czerwonej cegły, dość obszernym. Oddał nam na parterze obok sklepu jeden pokój z kuchnią, gdzie mieszkaliśmy do 1942 roku. Był to człowiek powszechnie lubiany, i mimo że był Niemcem, pomagał Polakom, jak mógł, m.in. mieliśmy otwarte konto w jego sklepie, a czasem ostrzegał nas przed wizytami osób, które mogły donosić Niemcom, np. że wbrew zakazowi rozmawiamy po polsku. Naprzeciw była szkoła, w której nauczycielem był sprowadzony w 1939 roku z Reichu Niemiec, prawdziwy sadysta. Znęcał się nad dziećmi za to, że nie mówiły po niemiecku. Spotkało to mego brata, który w 1941 osiągnął wiek szkolny i został skatowany przez tego nauczyciela za to, że na przerwie mówił po polsku. Wrócił do domu z plecami całymi w czerwonych pręgach, tak że przez tydzień mógł leżeć tylko na brzuchu. Te doświadczenia zrodziły w nas głęboką niechęć do tego języka.

Ojciec był w tym czasie ciągle w niewoli, a Mamie pozwolono wysyłać mu niewielkie ilości żywności i ubrań w dość długich odstępach czasu. Zaczął tam poważnie chorować, więc Mama podjęła usilne starania o wydobycie go z tego obozu, m.in. zwracała się z prośbą o pomoc do Niemca, który był w tym czasie nadleśniczym w Gołębku koło Tucholi. W wyniku tych starań Ojciec wyszedł 16 maja 1940 roku z obozu, w którym przebywał prawie osiem miesięcy. Wrócił bardzo chory, musiał się leczyć. Na spotkanie z nim pojechaliśmy do Tucholi, miało ono miejsce u babci Woźniewskiej. Na pewno starał się wtedy o zatrudnienie w lasach, ale było to niemożliwe, m.in. dlatego, że uparcie odmawiał przyjęcia jakiegokolwiek grupy narodowościowej niemieckiej. Niedługo po powrocie z obozu został wysłany do pracy przymusowej. Przez kolejne dwa lata, aż do wiosny 1942 roku był robotnikiem portowym w Gdańsku, musiał ciężko pracować fizycznie, zdecydowanie ponad swoje siły. Dźwigał różne ciężkie ładunki na plecach, m.in. w porcie rzeczny koło gdańskiego Żurawia. Zaczął się wtedy starać o pozwolenie na wyjazd do Generalnej Guberni, argumentując, że stamtąd pochodzi i ma tam rodzinę. Zresztą, było to na rękę Niemcom, którzy z własnej inicjatywy stosowali metodę wysiedlania z Pomorza do Generalnej Guberni nie tylko Żydów, ale też niepożądanych, z punktu widzenia ich polityki narodowościowej, grup ludności polskiej.

W GENERALNEJ GUBERNI

Pozwolenie na przesiedlenie do Generalnej Guberni wraz z rodziną otrzymał Ojciec latem 1942 roku. Prawdopodobnie było to przeniesienie ze wskazaniem

miejsca pracy w Nadleśnictwie Trójca (do II wojny teren ten leżał w granicach Nadleśnictwa Dobromil, Dyrekcja LP we Lwowie) w powiecie Dobromil, w dawnym województwie lwowskim. Znow znalazliśmy się w przepięknych okolicach. Trwała już wojna Niemców z ZSRR, tereny nadleśnictwa znajdowały się znow pod okupacją niemiecką, odkąd Niemcy wypędzili stąd, tym razem zbrojnie, Sowietów. Zajęci wojną, administrację lasów w Trójcy powierzyli ekipie polskiej, sprowadzonej z różnych stron Polski. Ojciec pojechał najpierw sam, a po niedługim czasie sprowadził do siebie nas wszystkich.

Został zatrudniony w nadleśnictwie jako pomocnik kancelaryjny. Zamieszkaliśmy w solidnych budynkach służbowych, odetchnęliśmy, byliśmy znow razem, poculiśmy się na początku wspaniale. Cały personel nadleśnictwa, składający się z około dziesięciu osób, był polski. Nadleśniczym był Jerzy Schlingler, Polak z Poznania, choć o nazwisku niemieckim. Mówiło się wtedy i czytało tylko po polsku, wszystkie rodziny przyjaźniły się ze sobą, pożyczaly sobie książki, prowadziło się ożywione życie towarzyskie. Chodziliśmy nawet krótko do polskiej szkoły w naszej wsi, razem z dziećmi nadleśniczego, z którymi się serdecznie przyjaźniliśmy. Kiedy zamknięto szkołę, rodzice zorganizowali nauczanie w domach. Zaangażowali jako nauczycielkę uwielbianą przez nas, młodą i śliczną pannę Ludmiłę, pochodzącą chyba z Chyrowa. Śpiewaliśmy o niej piosenkę: „Panna Ludka, kwiatek róży, jak się śmieje, oczka mruży”. Skończyła przedwojenne Seminarium Nauczycielskie i była bardzo kompetentnym pedagogiem. Zgodziła się przyjąć mnie do pierwszej klasy w wieku pięciu lat, jej zawdzięczam podstawy edukacji szkolnej. Uczyła nas też polskich piosenek. To były niewątpliwie najszcześniejsze chwile naszej okupacyjnej historii, które trwały jednak bardzo krótko.

Pamiętam wspólną Wigilię i Boże Narodzenie w roku 1942, pierwsze i zarazem ostatnie święta przeżyte w tym gronie przyjaciół. Dzieci przygotowały przedstawienie, przyszedł Mikołaj ze złotym pastorałem i wręczył dzieciom skromne prezenty. Dostałam uszytą ręcznie szmacianą lalkę i bardzo się z niej cieszyłam. Domyślaliśmy się, że Mikołajem był ulubiony przez nas pan Mieczysław Moskwa, który, jak się dużo później dowiedziałam, był przed wojną oficerem w wojsku polskim i po demobilizacji ukrywał się, a w 1942 przyjechał do Trójcy do swego brata, który pracował w nadleśnictwie. Mieczysław zaręczył się z panną Ludką, bardzo do siebie pasowali. Niestety, wkrótce przyjechało po niego gestapo. Wszyscy płakaliśmy, kiedy go zabierali do samochodu. Nikt go już później nie widział, ani o nim nie słyszał. Był pięknym człowiekiem i zostawił po sobie puste bolące miejsce. Dzielił się z panną Ludką jej cierpienie i nawet mieliśmy do niej żal, kiedy dowiedzieliśmy się, że po wojnie wyszła za mąż za Zygmunta Moskwę, brata Mieczysława.

Wkrótce nadleśnictwo zaczęło się rozsypywać. Na początku 1943 roku sporo ludzi gdzieś wyjechało. Wyjechał nadleśniczy Schlingler z rodziną i inni ludzie, do których zdążyliśmy się przywiązać. Oprócz Ojca zostały dwa małżeństwa - pan



Nizankowice, obecnie na terenie Ukrainy tuż przy granicy z Polską. Urbańscy z dwójgiem małych dzieci w towarzystwie synów Ukrainki, u której mieszkali w 1943 roku. Fot. z archiwum Marii Szuprczyńskiej

Hołysz z żoną i nowy nadleśniczy, którego nazwiska nie pamiętam, z żoną i dwunastoletnim synem, chyba studentem. Mieszkaliśmy jakiś czas w Rybotyczach, gdzie mieliśmy do dyspozycji bardzo skromny domek. W tym czasie, w szpitalu w Przemyśle urodził się nasz brat Janusz (1943). Z dawnego nadleśnictwa zamieszkali w pobliżu Hołyszowie, nadleśniczy z rodziną, a także gajowy, którego nazwiska również nie pamiętam, z żoną i pięciorgiem dzieci. Nie było już ani pracy, ani kartek na żywność, w rodzinach zaczęło być głodno. Mama gotowała wtedy często na obiad kulki z lebiody.

Pamiętam też rodzinę żydowską, mieszkającą w tej samej wsi. Przyjaźniłam się z ich córką, która była w moim wieku, i jako jedyna z rodziny bywałam u nich i pamiętam smak domowej macy. W 1942 roku nasi żydowscy sąsiedzi zostali przez Niemców zmuszeni do opuszczenia domu i zapewne podzielili los żydowskich mieszkańców tych stron. Równocześnie Ukraińcy zaczęli znów intensywnie mordować Polaków. Spośród nas pierwszą ofiarą był gajowy, którego w nocy zabrano z domu, a jego ciała wszyscy Polacy szukali następnego dnia w lesie całą grupą, razem z dziećmi, bo bali się zostawić je same. Ciało znalazła nasza Mama z nami u boku. Było niedbale przysypane cienką warstwą ziemi. Widok tak strasznie zmaltretowanego ciała człowieka był wstrząsem dla wszystkich. Osierocił pięcioro dzieci. Po pogrzebie udało się zdobyć dla wdowy i dzieci miejsce w wagonie towarowym, żeby mogła wyjechać do swoich krewnych w Polsce centralnej. Niedługo potem przyszli którejś nocy do domu nadleśniczego i zamordowali syna na oczach matki i ojca. Do tych dwu zamordowanych mogłyby się odnosić nazwiska – Gołębiowski... student i Korbecki... gajowy, które znalazłam wśród ofiar UPA z okolic Rybotycz w opracowaniu: Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach w województwie lwowskim 1939-1947, Wrocław 2006, s. 141. Mordów dokonywały nocami specjalne grupy oprawców, które już wtedy nazywaliśmy bandami.

W poszukiwaniu bezpieczniejszego miejsca opuściliśmy Rybotycze i zamieszkaliśmy w wiosce Niżankowice (w dawniejszym powiecie przemyskim, dziś po stronie ukraińskiej) w domu pewnej Ukrainki, wdowy z dwoma synami, która oddała nam jedno pomieszczenie w swojej prostej chacie. Trzeba podkreślić, że znaczna część naszych ukraińskich sąsiadów wcale nie popierała tych zbrodni, ale oni też żyli w strachu przed bandami, bojąc się wystąpić otwarcie w obronie Polaków, gdyż im również groziła za to śmierć i prześladowania. Mimo to ostrzegali zwykle naszego Ojca i innych mężczyzn przed planowaną nocną akcją. Ojciec ciągle się ukrywał, przeważnie nie nocował w domu, a my baliśmy się o niego śmiertelnie. W końcu zdobyliśmy jakimś cudem wagon towarowy, do którego zapakowany został skromny dobytek wszystkich pozostałych przy życiu Polaków i tym wagonem razem z innymi uciekaliśmy przed Ukraińcami na zachód, byle dalej od tego piekła. Po drodze niektórzy się odłączali. Ojciec zamierzał dotrzeć na

Podhale, podobnie jak Hołyszowie. Podróż trwała prawie dwa tygodnie, wreszcie nasz wagon towarowy stanął na bocznicy stacji Szaflary koło Nowego Targu. Stał tam kilka dni i był cały czas naszym domem, dopóki nie znaleźliśmy sobie miejsca do zamieszkania.

NA PODHALU

Najpierw przyjęli nas Sieczkowie, dość bogaci gospodarze we wsi Bańska Wyżna. Obok ich nowego, drewnianego, typowo podhalańskiego domu stał niezamieszkały starszy, mniejszy i skromniejszy, też drewniany dom, który oddali nam. Jedno pomieszczenie zajęli w nim Hołyszowie, którzy wkrótce gdzieś wyjechali, a drugie my. Potem przeprowadziliśmy się do Bańskiej Niżnej, najpierw do domu dość biednego górala, starego Wilka, wdowca, który mieszkał z dwoma synami na skraju wsi. Tam pewnej nocy napadli na nas uzbrojeni rabusie podhalańscy, którzy nas okradli. Wyrzucili resztki naszego dobytku przez okno na zewnątrz i postawili przy stosiku naszych rzeczy kogoś na straży. Mama wykazała się wtedy odwagą i brawurą, w ciemności wychyliła się przez okno i w czasie, kiedy napastnicy, grożąc bronią, szukali Ojca, który zdołał się im wymknąć i uciec, ona wyciągała zza okna po sztuce parę rzeczy, m. in. kurtkę Ojca, buty, obrus, prześcieradło itp. Pewno odzyskałaby tego więcej, gdybyśmy jej nie odciągnęli z bratem, błagając, żeby tego nie robiła, bo baliśmy się, że ją zastrzelą. Ojciec podejrzewał, że dwaj synowie Wilka byli w to zamieszani, więc przeprowadziliśmy się do Stanisława Guta, szanowanego w Bańskiej Niżnej gazdy, mieszkającego w ładnej drewnianej zagrodzie góralskiej w środku wsi. Dostaliśmy izdebkę „na górce” i tam, otoczeni życzliwością i opieką gospodarzy, dotrwaliśmy do końca naszej wojennej tułaczki, czyli do wyjazdu w lutym 1945 roku.

Nie byliśmy jedyną rodziną, której górale udzielili schronienia. Jesienią 1944 roku, po upadku Powstania Warszawskiego na Podhale zaczęli przyjeżdżać licznie uciekinierzy z Warszawy, których górale przyjmowali także gościnnie, nie dbając o własne wygody. Ci twardzi ludzie gór wykazali wtedy dużo ofiarności i zwykłej ludzkiej solidarności z pozbawionymi domów wygnańcami, którym po prostu pomogli przetrwać.

Na Podhalu spędziliśmy rok i kilka miesięcy, od jesieni 1943 do stycznia 1945 roku. Ojciec pracował dorywczo, żeby nam zapewnić jakieś utrzymanie. Wszyscy poznawaliśmy od wewnątrz życie i zwyczaje wsi podhalańskiej, sposób ubierania się górali na co dzień i od święta oraz sposób ich odżywiania, ich mowę i pieśni.

Prawdopodobnie z niedożywienia nabawiłam się silnej anemii. Rodzice zawieźli mnie do lekarza do Zakopanego, który zaordynował tran i leżakowanie codziennie przez dwie godziny pod kocem na świeżym powietrzu. Wtedy byłam

po raz pierwszy w Zakopanem i zapamiętałam z niego tylko duży murowany kościół, do którego poszliśmy, żeby spotkać się z księdzem. Tymczasem zaczęły się już pojawiać pierwsze sygnały końca wojny. Jesienią 1944 roku widać było pojedyncze wozy z uciekającymi Niemcami, ubranymi po wojskowemu lub po cywilnemu, którzy z bronią w rękę, ale dość bezskutecznie próbowali zdobyć żywność u gospodarzy. Nasz gazda, Stanisław Gut, miał wypróbowany na to sposób. Zamykał wejście na podwórze, a zwierzęta w stajni, spuszczał z łańcucha swego wielkiego i ostrego owczarka podhalańskiego, a sam dołączał do nas wszystkich zabarykadowanych w domu. W tej sytuacji delikwent nawet nie próbował wejść na podwórze. Pewnego razu zabłąkał się w Bańskiej konny oddział wojska węgierskiego. Żołnierze byli młodzi, weseli i piękni w swoich bajecznie kolorowych mundurach. Dla dzieci stanowili nie lada atrakcję, tym bardziej że zachowywali się bardzo przyjaźnie, rozdawali nam cukierki i jakieś kolorowe drobiazgi, a nawet pozwalali posiedzieć na swoich wspaniałych koniach. Niestety, po zrobieniu dobrego wrażenia zaraz odjechali.

Uciekając, Niemcy zaczęli burzyć za sobą mosty. Wybuchy były tak silne i bliskie, że nie mogliśmy spać nocami. Raz w biały dzień obserwowaliśmy bitwę kilku samolotów w powietrzu. Jeden z nich zrzucił na pobliskie wzgórze duży zbiornik z żywnością, którą rozdzielono między ludzi, a ze spadochronu, na którym zbiornik spadał, panie uszyły sobie bluzki. W ślad za uciekającymi Niemcami nadeszła od północnego wschodu Armia Czerwona, którą w pierwszym odruchu ludność traktowała jako wyzwolicielkę. Żołnierzy sowieckich było bez liku, zakwaterowano ich wszędzie po trochu, też w naszej wsi. A ponieważ obyczajów nie mieli dżentelmeńskich, więc siłą rzeczy powstawały różne problemy. Trzeba jednak przyznać, że wszelkie wybryki żołnierzy były surowo karane przez ich dowódców, jeśli tylko ktoś z poszkodowanych się poskarżył. Wkrótce żołnierze sowieccy pomaszzerowali dalej na zachód.

Z początkiem zimy 1944 roku rodzice zaczęli się przygotowywać do powrotu do naszego przedwojennego domu, czyli do leśniczówki Barłogi w Borach Tucholskich. Boże Narodzenie spędziliśmy jeszcze z rodziną Gutów w Bańskiej Niżnej. Rodzice snuli jakieś przybliżone plany co do przyszłości, która wcale nie była taka pewna, bo ciągle trwała wojna. Minął jeszcze miesiąc z okładem, zanim zdecydowali się wyruszyć z trojgiem dzieci (dziesięć, siedem i półtora roku) w drogę na północ przez Kraków i dalej, jak Pan Bóg pozwoli, przez zniszczoną wojną Polskę. Był luty 1945, panowała sroga i śnieżna zima. Kolej do Krakowa nie działała - węzły kolejowe, tory i dworce były zbombardowane. Nasz niewielki dobytek wraz z nami i furmanem został więc zapakowany na wynajęte sanki i koń pociągnął ten ciężar przez Nowy Targ do Krakowa drogą, która odpowiada z grubsza dzisiejszej Zakopiance. Przez długie odcinki trzeba było iść pieszo obok sanek, po pierwsze, żeby nie zamarznąć, a po drugie, żeby ulżyć koniowi.

Przynajmniej raz w czasie tej drogi nocowaliśmy na sianie u przygodnych gospodarzy. Furman pożegnał nas w Krakowie, zabrał konia i zawrócił z powrotem do Bańskiej. A nam po kilku dniach oczekiwania na dworcu udało się wsiąść do wagonu towarowego, pełnego takich jak my wędrowców, i po niezliczonych przesiadkach, okrężnymi trasami, często z kilkudniowymi postojami na wielu dworcach dotrzeć do Koronowa, skąd pociągiem do Tucholi nie można było już dojechać.

Bardzo ważne dla przemieszczających się masowo w 1945 roku Polaków były dobrze już w tym czasie zorganizowane punkty PCK, z których pomocy korzystaliśmy w czasie całej naszej peregrynacji. W Koronowie zostaliśmy w takim punkcie zakwaterowani w czystych pokojach z dostępem do bieżącej wody i zapewniono nam ciepły posiłek. W braku połączenia kolejowego z Tucholą pozostawał tylko transport za pomocą pojazdów wojskowych, które w całości na tym terenie należały wówczas do Armii Czerwonej. Uprzedzono nas, że ciężarówki wojskowe zabierają cywilów, ale żądają za to opłaty w naturze, w postaci wódki. Polowanie na przygodną ciężarówkę radziecką odbywało się w ten sposób, że posadzono mnie ze starszym bratem przy drodze z zadaniem podnoszenia wysoko litrowej butelki napełnionej wodą na widok zbliżającej się ciężarówki. W drugim dniu dyżuru jedna z ciężarówek zatrzymała się. Zaprowadziliśmy szofera do rodziców. Po dobieciu targu zapakowaliśmy się na ciężarówkę i po kilku godzinach jazdy byliśmy już w domu dziadków Woźniewskich w Tucholi. W trakcie wręczania zapłaty powstał mały incydent. Rosyjski żołnierz zareagował ostro widząc, że wręczana mu butelka wódki (ostatnia z chowanych jako towar wymienny) ma mniejszą objętość niż butelka z wodą pokazywana mu rano na przynętę w Koronowie. Twierdził, że chcemy go oszukać. W końcu zgodził się jednak przyjąć mniejszą butelkę, kiedy otrzymał na dodatek paczkę papierosów. W ten sposób po upływie prawie miesiąca od wyjazdu z Podhala znaleźliśmy się u kresu podróży, w odległości dwudziestu kilometrów od Barłóg.

KRAJOBRAZ PO WOJNIE

Kiedy po wojennej tułaczce w marcu 1945 roku zobaczyliśmy znów leśniczówkę w Barłogach, stan domu i zabudowań był opłakany. Stodoła ogołocona z desek, stał tylko jej szkielet przykryty dachem, stajnia pozbawiona wszystkich drzwi. W oknach ani jednej szyby, kuchnia sponiewierana, ściany brudne i odrapane, obtłuczony tynk, podłogi strasznie zanieczyszczone. Znikły drewniane parapety, schody na piętro i barierki przy nich, w piwnicach pełno stłuczonego szkła, zużytych puszek i jakieś sterty gnijących śmieci. Jak się później dowiedzieliśmy, po ucieczce Niemców jesienią 1944 roku, leśniczówka pozostała w całym niezłym stanie, nawet wraz z częścią wyposażenia. Tylko zainstalowane na oknach domu grube i mocne metalowe siatki ochronne świadczyły o tym, jak

bardzo Niemcy bali się ataku partyzantów, którzy byli niezwykle aktywni w Borach Tucholskich, nie tylko w czasie okupacji, ale jeszcze później, aż do przełomu lat 1947/1948. O powojennych wizytach partyzantów w naszej leśniczówce opowiem jeszcze poniżej. Tu wspomnę tylko, że Ojciec pozostawił te siatki w oknach jeszcze przez kilka lat. Czasy były niepewne, więc siatki stanowiły jakąś ochronę nie tylko dla nas przed przypadkowym napastnikiem, ale też dla odwiedzających nas partyzantów, kiedy rozkładali się na noc w pokoju stołowym wokół ustawionego centralnie na stole i gotowego do strzału karabinu maszynowego z lufą skierowaną w stronę okien.

Największe zniszczenia w leśniczówce i zabudowaniach musiały powstać wtedy, kiedy przetaczał się przez te tereny front na przełomie lat 1944 i 1945. Stacjonowały w niej wtedy kolejno różne oddziały żołnierzy, przede wszystkim radzieckich, którzy według opowiadań okolicznych mieszkańców przebywali tu najdłużej i przemieszczali się najbardziej masowo. Można sobie łatwo wyobrazić tych umęczonych wojną młodych ludzi, pokonujących setki i tysiące kilometrów w warunkach zimowych, w sytuacji ciągłego zagrożenia życia. Kiedy więc mieli przez chwilę dach nad głową, najwidoczniej było im wygodniej palić w piecach deskami, odrywanych ze ścian i wrót stodoły, czy też drzewem pozyskanym z parapetów, schodów i poręczy, niż piłować i rąbać nagromadzone w drewni spore zapasy drzewa na opał. Wojny zawsze są arenami nieprawdopodobnego barbarzyństwa, którego doznają nie tylko ludzie i zwierzęta, ale też przedmioty martwe. Prawdopodobnie w analogicznych okolicznościach zostały spalone niektóre nasze meble, pozostawione w leśniczówce przez Niemców, na szczęście nie wszystkie, część z nich uratowali zaprzyjaźnieni mieszkańcy wsi Rzepiczna. Jeszcze przed wkroczeniem na te tereny Armii Czerwonej zabrali z opuszczonej leśniczówki i przechowali dla nas po domach niektóre sprzęty, m.in. łóżka z sypialni, stół z jadalni, kredens z kuchni, kilka obrazów, a nawet jeden oryginalny wileński kilim. Nie wiem, co się stało ze zwierzętami, ale ku naszej wielkiej radości w Rzepicznej przeżyła wojnę piękna wyźlica szorstkowłosa, Zenta, jeden z kilku przedwojennych psów myśliwskich Ojca.

Po toczących się w pobliskich lasach w styczniu i lutym 1945 ostrych potyczkach Armii Czerwonej z Niemcami pozostały liczne ślady, przede wszystkim rozrzucone po lesie świeże groby żołnierzy obu walczących ze sobą stron. Zabitych zakopywano tam, gdzie upadli, a ich skromne mogiłki, usypane ze złotego piasku, widoczne były z daleka na ciemnej podściółce lasu. U wezglowia tych mogił kładziono zwykle hełm zabitego żołnierza, jednak bez żadnej informacji o nazwisku, ani narodowości. Którą ze stron reprezentowali zabici żołnierze, nauczyliśmy się szybko rozpoznawać właśnie po tych hełmach, które różniły się nieco kształtem. Zaczęły one jednak dość szybko zniknąć z mogił, uzyskując praktyczne za stosowanie w wiejskich gospodarstwach. Miejscowa ludność używała

ich jako naczyń, głównie do czerpania wody oraz karmienia i pojenia drobiu czy psów. Na wiejskich podwórkach w Borach stanowiły one jeszcze długo po wojnie dość powszechny widok.

W najbliższej okolicy leśniczówki takich grobów było kilka. Zwykle na Wszystkich Świętych robiliśmy wokół nich porządek i dekorowaliśmy je gałązkami. Dbaliśmy o nie, niezależnie od tego, kto w nich leżał. Ich położenie umieliśmy określić jeszcze przez dłuższy czas, nawet po kilku latach, gdy sam las zaczął je skrywać pod mchem, borówkami, jałowcami i innymi samosiejkami, pochłaniając coraz bardziej bezimienne mogiły. Natomiast dla nowych gospodarzy leśniczówki (po opuszczeniu przez nas Barłóg w roku 1954) były już one z pewnością całkiem niewidoczne. Sama, ilekroć zdarzyło mi się przejeżdżać przez Barłogi w ostatnich dziesięcioleciach, mogłam już tylko w przybliżeniu zlokalizować najbliższy, położony na górze grób, w tamtym czasie dobrze widoczny i mijany w drodze do szkoły, do kościoła czy na grzyby. Dziś nie został po nim nawet ślad wzgórka.

W lesie były też leje po bombach i świeże okopy, a także obfitość porzuconej broni i nieużytej amunicji, wszędzie leżały pojedyncze niewypały o różnych kształtach i rozmiarach. Jeden z nich, ogromny pocisk, leżał przy drodze do Rzepicznej i budził w nas szczególnie wielki strach. Idąc do szkoły, omijaliśmy to miejsce wielkim łukiem, nakładając drogi. Oczyszczanie Borów z tych niebezpiecznych pozostałości po wojnie trwało dość długo, w naszych lasach oddział saperów zlikwidował ostatecznie niewypały chyba dopiero po upływie roku. Natomiast drobniejszą broń i amunicję pozbierała wcześniej okoliczna ludność, a w procederze tym najaktywniejsze były dzieci wiejskie, a my razem z nimi. Przechowywaliśmy z bratem (on miał w tym czasie jedenaście lat, ja osiem) w tajemnicy przed rodzicami cały arsenał schowany nad stajnią w sianie w kącie strychu za belkami. Mieliśmy tam dwa karabiny zwykłe, jeden maszynowy, trochę granatów ręcznych (z trzonkami i bez), metalowe pojemniki z nabojami karabinowymi, taśmę z nabojami do karabinu maszynowego i do tego niewielką ilość rakiet, jednak bez rakiety. Byliśmy dziećmi wojny, te przedmioty miały dla nas urok same w sobie - były groźne i piękne. Naboje karabinowe były jak małe błyszczące cacka, gładkie i przyjemne w dotyku. Zastępowały nam zabawki, których w dzieciństwie nie mieliśmy. Od wyrostków wiejskich, z którymi spędzaliśmy sporo czasu na łąkach przy pasieniu krów, nauczyliśmy się obchodzić z tymi przedmiotami.

Przed rodzicami kryliśmy się ze wszystkim skutecznie, zresztą Ojciec przez cały dzień był w lesie, a mama, zajęta domem i gospodarstwem, oczekująca czwartego dziecka (w listopadzie 1945 roku urodziła się nasza siostra Anna) mało wiedziała o rodzaju naszych zabaw. Za to Opatrzność najwyraźniej musiała bardzo czuwać nad nami, bo jakoś z tych zabaw wyszliśmy wszyscy cało i zdrowo. W pewnym momencie wmieszała się w to zresztą władza ludowa, która

surowo nakazała oddać wszelką znaleźną broń w określonym terminie pod groźbą represji. Było nam bardzo trudno rozstać się z naszym skarbem, więc postanowiliśmy nie mówić o niczym rodzicom. Całą skrzynkę najbardziej ulubionych naboju karabinowych zakopaliśmy w konspiracji w ogrodzie, w środku dużego krzaka bzu. Ojciec jednak, przeszukując systematycznie wszystkie zakątki, odkrył nasz magazyn na strychu i zrobił nam piekielną awanturę. Zrozumieliśmy, na co narażamy rodzinę, dopiero wtedy, kiedy krzyczał do nas: Wy chyba chcecie, żebym do końca życia gnił w więzieniu! Oddaliśmy więc cały nasz arsenał, choć z żalem, zachowując sobie na pociechę tajemnicę o skrzynce naboju w bzie, której potem i tak nie mogliśmy już odnaleźć. Zapewne spoczywa tam sobie spokojnie do dziś. W ten sposób zakończył się dla nas nie tylko okres zabaw bronią, ale też jakoś symbolicznie sama wojna.

ODBUDOWA ŻYCIA

Budowanie życia od nowa odbywało się w warunkach więcej niż pionierskich. Organizowanie leśnictwa Ojciec zaczął od odbudowy na przedwojennej bazie zespołu robotników leśnych, głównie spośród mieszkańców Rzepicznej, która była typową osadą borowiacką, żyjącą z lasu. Wśród wieloletnich robotników byli przede wszystkim tacy oddani pracownicy jak Bronisław Czarnowski, nazywany przez nas Bronem, ogólnie lubiany i szanowany. Był ojcem chyba pięciu córek, z których jedną rodzice zatrudnili w leśniczówce do pomocy w pracach domowych i gospodarskich. Z innych robotników pamiętam też Reszkę. Wśród nich ważną funkcję przodownika pełnił przez wiele lat Edmund Piesik z Wybudowania Legbąd, ceniony przez Ojca i poważany przez kolegów, bardzo doświadczony pracownik. Gajowym był Misiak, człowiek młody, ale odpowiedzialny i obowiązkowy. Dzięki zaangażowaniu i ofiarności tych ludzi prace leśne mogły powoli ruszyć mimo ogromnych trudności. Inaczej niż dziś, w tamtych czasach leśniczego łączyły z robotnikami leśnymi silne i bezpośrednie więzi, nie tylko służbowe, ale też ludzkie. Pamiętam, jak po pracy lub po wypłacie, wręczanej wtedy bezpośrednio przez leśniczych, Ojciec lubił sobie z nimi pogawędzić, darzyli się wzajemnie szacunkiem i zaufaniem. Leśniczy dawał ludziom pracę i zarobek, był upoważniony do wydawania różnych urzędowych kwitów, m.in. dość długo obowiązujących w PRL pozwoleń na zbieranie grzybów i jagód, stąd też miał wielki autorytet w środowisku wiejskim. Oprócz paru mężczyzn zatrudnionych na stałe, niektórzy mieszkańcy Rzepicznej pracowali w lesie sezonowo, na przykład zimą przy wyrębach i zwózce drewna, a wiosną przy zakładaniu i pielęgnacji szkółek czy sadzeniu lasu, w czym pomagały czasem dzieci szkolne.

Pamiętam jedną wizytę ojca w szkole w Rzepicznej i wygłoszoną przez niego ciekawą pogadankę o lesie, po której uczniowie dostali do rąk kostury i skrzynki z sadzonkami i wszyscy poszliśmy z entuzjazmem sadzić las. Latem głównym

zajęciem ludności było zbieractwo, czym trudniły się głównie kobiety i dzieci. Zima była dla nich bardzo trudnym okresem, nie starczało pieniędzy na opał, powszechnie zbierano więc chrust, często znoszony z lasu na plecach. Używano także torfu, wykopywanego latem na podmokłych łąkach, ciętego w kostki i suszonego w charakterystycznych piramidkach na słońcu. Borowiacy odżywiali się bardzo skromnie, tym, co wyrosło na ich piaszczystych poletkach, przeważnie ziemniaki i kapusta, lub tym, co nazbierali w lesie. Ze zbóż siali przede wszystkim żyto, z żytniej mąki piekli chleb, a otrębami karmili inwentarz. Przy drewnianych domkach były też ogródki z wiejskimi kwiatami, a w obórkach przeważnie po jednej krowie, świni i kilka kur. Koni na ogół nie mieli, rowery były rzadkością, do lasu i do kościoła chodzili pieszo. We wsi byli tylko trzej lub czterej bogatsi gospodarze, do których należeli Czapiewscy i Czerwińscy. Ich domy i zabudowania gospodarcze, położone w środku wsi, odróżniały się od innych tym, że były obszerniejsze i murowane.

Znaliśmy prawie całą Rzepiczną i wielu, szczególnie jej starszych mieszkańców, darzyliśmy sympatią, szczerze odwzajemnianą. Zachowaliśmy ich do dziś we wdzięcznej pamięci. Ci prości ludzie mieli wiele naturalnej godności, kultury wewnętrznej i duchowego bogactwa, czego przykładem może być Bron, który opiekował się czasem dziećmi i leśniczówką pod nieobecność rodziców. Byłam wzruszona, kiedy zobaczyłam go po ok. 25 latach, wiosną, chyba 1980 roku, na mostku koło leśniczówki Barłogi, wymizerowanego po świeżo przeżytym zapaleniu płuc. Poznał mnie od razu i przywitał radośnie z wyciągniętymi rękami: Marychna kochana! Po raz ostatni widziałam go latem tego samego roku, niedługo przed jego śmiercią, kiedy ku jego zadowoleniu zawieźliśmy mu w prezencie wcześniej obiecany czarny garnitur ślubny mojego męża. Zapamiętałam też dwóch braci Osowskich, którzy przychodzili do koni i nauczyli nas jeździć na nich wierzchem. Ich matkę, wdowę, odwiedzałam często po szkole i dostawałam od niej zwykle pajdę pysznego wiejskiego chleba z syropem, to znaczy melasą z buraków cukrowych, gotowaną wtedy powszechnie w domach. Lubiliśmy asystować kobietom, które przychodziły do siana, do kopania kartofli, do prania, a zimą chodzić z mamą do ich domów na skubanie pierza. Przy pracy opowiadały nam straszne bajki, głównie o duchach, za którymi przepadaliśmy, choć nie mogliśmy po nich zasnąć. Nasi sąsiedzi z Rzepicznej cieszyli się z powrotu ich przedwojennego „leśnego”, więc starali się mu pomóc, nie tylko w pracach rolnych, ale też przy wysprzątaniu leśniczówki i przystosowaniu jej do w miarę normalnego bytowania. Okna zostały tymczasowo zalepione papierami, bo o szybach nawet nie było co wtedy marzyć. Zresztą, brakowało dosłownie wszystkiego i wszystko było reglamentowane.

Bezpośrednio pomocny był w tym czasie szczególnie jeden mieszkaniec Rzepicznej, Teofil Czerwiński, nazywany przez nas Filem, doskonały cieśla wiejski o artystycznych uzdolnieniach, które manifestował, wykonując na przykład



Rodzina Urbańskich w Bartłogach, rok 1947. W środku rodzice - Jadwiga z matką Bożeną i Władysław z Anną na kolanach. Stoją: z lewej Maria, w środku Janusz, z prawej Henryk. Fot. z archiwum Marii Szupryczyńskiej



Jadwiga Urbańska, żona leśniczego w 1948 roku



Leśniczy Władysław Urbański, w 1949 roku

Władysław i Jadwiga Urbańscy w oknie leśniczówki Barłogi z dziećmi, od lewej: Władysławem, Bożeną i Henrykiem. Rok 1954. Fot. archiwum Marii Szupryczyńskiej



delikatne ażurowe ozdoby z drewna przy oknach budowanych przez siebie tradycyjnych drewnianych borowiackich domów. W leśniczówce Fil odbudował schody i poręcze, dorobił nowe parapety, uzupełnił deski w podłogach, obit deskami stodołę. Ponadto, zrobił używane później przez wiele lat sprzęty kuchenne – prosty stół, tzw. krzyżak, oraz podobne taborety i ławy o skrzyżowanych nogach, wszystko z surowego drewna sosnowego, ale bardzo solidne. Jedynym zrobionym przez niego bardziej wyrafinowanym meblem było biurko, które służyło Ojcu do końca życia.

Musiał też zbić z desek proste łóżka dla dzieci, do których używało się sienników. Stopniowo powiększała się bowiem rodzina. Oprócz Janusza, urodzonego w 1943 roku w Przemyślu, reszta młodszego ode mnie rodzeństwa przyszła na świat w Barłogach: Anna (1945), Bożena (1947) i najmłodszy, Władysław (1950). Rodzicom przybywało wydatków, a z bardzo niską pensją Ojca trudno było sprostać potrzebom, zaczęli więc powoli kompletować inwentarz z myślą o niezależności aprowizacyjnej i ewentualnej sprzedaży nadprodukcji nabiału w Tucholi.

ŻOŁNIERZE MAJORA ŁUPASZKI

W wieczornych rozmowach dorosłych pojawiały się poważne tematy, o których mogli wówczas mówić ze sobą otwarcie tylko ludzie ufający sobie wzajemnie bez zastrzeżeń. Z upływem miesięcy stawało się bowiem jasne, na czym będzie polegał narzucony nam bez pytania porządek polityczny po Jałcie. Ojciec i jego najbliżsi koledzy z niepokojem śledzili rozwój wypadków. Ci z Kresów lepiej niż inni wiedzieli, co oznacza życie w sferze wpływów sowieckich. Mieli świadomość, że wbrew nadużywaniu pojęcia „demokracja” nowa rzeczywistość polityczna mało ma z demokracją wspólnego. Szybko gasła resztką nadziei, pokładanej w mikołajczykowskiej partii ludowej PSL, która powstała w 1945 roku i stanowiła przez pewien czas właściwie jedyną liczącą się legalną opozycję, zresztą od początku narażoną na szykany. Przyszłość rysowała się niepewnie, spodziewano się nawet wybuchu trzeciej wojny światowej. Zaraz po przejściu frontu, na jego tyłach, NKWD i organizowane pod jej patronatem polskie organy porządkowe zaczęły oczyszczać teren, rozprawiając się z opozycją i podziemiem. W Borach Tucholskich pod różnymi nazwami kontynuowały okupacyjną działalność, teraz skierowaną przeciw sowieckim i polskim organom władzy komunistycznej, polskie oddziały partyzanckie, wywodzące się głównie z AK, w tym częściowo z Wileńskiej Brygady AK Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”. Mimo ogłoszonej przez Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej w sierpniu 1945 roku pierwszej amnestii duża część partyzantów zdecydowała się pozostać nadal w ukryciu, widząc, jak postępowano z tymi, którzy zaufali zapewnieniom nowej władzy. W latach 1946–47 wszyscy leśniczowie spotykali w lesie partyzantów. Powoli ich oddziały stawały się coraz mniej liczne, ale cały czas były wyjątkowo mobilne, gdyż



Szwadron Leona Smoleńskiego „Zeusa” z VBrygady Wileńskiej, przy leśniczówce Kosowa Niwa w Borach Tucholskich, rok 1946. Fot. archiwum IPN w Gdańsku

nie miały stałych miejsc pobytu, choćby takich, jak dobrze zakonspirowane bun-kry w czasie okupacji. Leśne służby nie tylko ich nie denuncjowały, ale w miarę swych możliwości roztaczały nad nimi dyskretnie opiekę. Miejscowa ludność też nie była wrogo usposobiona do „leśnych”, jak ich nazywano. Nie słyszałam, żeby ktoś na nich doniósł. Partyzanci znajdowali w miarę bezpieczne schronienie głównie w leśniczówkach, z powodu ich odosobnienia i znacznego oddalenia od większych osiedli. Traktowano ich tam jak gości, mogli się wypaść i oporządzić, wyczyścić broń, karmiono ich, opierano, wyposażano w chleb itd.

Ojciec musiał ich spotykać w lesie częściej, do domu zaś przychodzili stosun-kowo rzadko, pamiętam trzy, może cztery takie wizyty w Barłogach, w nieregularnych odstępach czasu i za każdym razem nie więcej jak na jedną, dwie noce. Opiszę jedną z takich wizyt, którą najlepiej pamiętam. Wczesnym rankiem, chy-ba jesienią 1946 roku przyszło kilkunastu młodych chłopców, szczupłych, ob-wieszonych bronią. Ubrani byli częściowo po cywilnemu, niektórzy w niekom-pletnych polskich mundurach, w rogatywkach na głowach. Dowódca przejmował kontrolę nad życiem w leśniczówce, zabraniając komukolwiek z wyjątkiem Ojca opuszczać jej teren przez cały czas ich pobytu. Nie mogliśmy więc iść do szkoły. Ale to był jedyny radykalny nakaz, poza tym zachowywali się jak dobrze wy-chowani ludzie, o wszystko, czego potrzebowali, uprzejmie prosili i pytali, nie było żadnego rekwirowania czegokolwiek przemocą. Pamiętam, że jeden z par-tyzantów zainteresował się plecakiem wojskowym, który służył mi jako szkolny tornister, ale zrezygnował z niego, widząc, jak trudno mi się z nim rozstać (dziś wyrzucam sobie, że odmówiłam mu tej małej ofiary). Na noc ustawili w poko-ju stołowym karabin maszynowy skierowany lufą ku oknom, a starsi stopniem rozłożyli się wokół na skórach dzików, którymi były u nas zawsze wysłane pod-łogi. Młodszy stopniem, też w pełni uzbrojeni, nocowali na sianie nad stajnią, skąd mieli pod obserwacją główną bramę. W ciągu dnia partyzanci nie wychodzili na podwórze, aby nie zauważył ich jakiś przypadkowy przechodzień. Ewentualnych interesantów Mama miała za zadanie odprawiać już na podwórzu.

Krząając się wewnątrz, rozmawiali ze sobą i z nami, próbowali nawet żarto-wać, ale wyczuwalny był nastrój smutku, a nawet tragizmu. Wieczorami wszyscy ze ściśniętym sercem słuchaliśmy, jak pięknymi głosami śpiewali nostalgiczne pieśni partyzanckie. Budzili współczucie, gdyż już było wiadomo, że sprawa, o którą walczą ci podziwiani przez nas młodzi ludzie i która była też naszą spra-wą, jest już przegrana, i że nowa władza potraktuje ich bezwzględnie, z bezprzy-kładnym sadyzmem i okrucieństwem. Aż chyba gdzieś na przełomie lat 1947/48 partyzanci przestali przychodzić do leśniczówek. Część z nich ujawniła się po ogłoszeniu 22 lutego 1947 roku drugiej amnestii, tym razem przez Sejm Ustawo-dawczy. Resztę wyłapano w ramach akcji K w maju i czerwcu 1948 roku. Jednym i drugim nie okazano łaski, zostali przez milicję i UB spacyfikowani i zamknięci

w więzieniach, gdzie znęcano się nad nimi w bestialski sposób, zadając im cierpienia fizyczne i psychiczne przez szereg kolejnych lat.

Do Ojca przyjeżdżali w tym czasie na narady rodzinne jego bracia i siostry, zdeorientowani i przygnębieni obrotem spraw. Dla nich koniec wojny obfitował w bardzo dramatyczne przeżycia, podobnie jak dla milionów Polaków na wschodzie, pozbawianych siłą ojcowizny, na którą często składał się dorobek wielu pokoleń. Wielkim szokiem były dla nich nowe granice Polski, zresztą niepewne przez dłuższy czas. Dziadkowie Urbańscy, którzy w swoim Skolem czuli się obywatelami Rzeczypospolitej, uzyskali nagle status repatriantów i wraz z całą rodziną z dnia na dzień zostali zmuszeni do opuszczenia swego domu i dobytku. Był to dla nich dalszy ciąg traumy wojennej, stracili grunt pod nogami i doświadczali wielkiego niepokoju o przyszłość. Inni wracali do swoich domów, a stryj Mieczysław, kończąc w 1945 pod Berlinem swoją kampanię wojenną, i jego młodsze rodzeństwo nie mieli dokąd wracać, próbowali szukać jakiegoś nowego miejsca do życia. Wydaje się, że te przeżycia oraz tęsknota za Skolem stały się przyczyną przedwczesnej śmierci dziadka, Franciszka Urbańskiego w 1947 roku, niedługo po zatrzymaniu się rodziny w miasteczku Zaklików na Lubelszczyźnie. Dziadek zaakceptował to miejsce na tymczasowy - jak mówił - pobyt, żeby być możliwie blisko Skolego, bo przecież wkrótce nadejdzie czas powrotu. Nadzieje te okazały się jednak złudne. Nastąpiły ważne wydarzenia historyczne, które je ostatecznie pogrzebały.

BARŁOGI... JESZCZE BARŁOGI

Najpierw ogłoszono referendum, decydujące o ustroju powojennej Polski, na które wybraliśmy się całą rodziną wozem do Legbąda 30 czerwca 1946 roku. Dobrze pamiętam przytłaczający nastrój towarzyszący temu wydarzeniu. Przez oficjalną propagandę referendum było nachalnie propagowane pod hasłem „Trzy razy tak”, które zawierało sugestię takiego sposobu głosowania, jakiego tymczasowy rząd (TRJN) i jego mocodawcy sobie życzyli. Zadane pytania były sformułowane zastępczo i bardzo sprytnie: 1. Czy jesteś za zniesieniem Senatu, 2. Czy jesteś za utrwaleniem reform społeczno-gospodarczych, 3. Czy chcesz utrwalenia granicy zachodniej na Odrze i Nysie Łużyckiej? Mam podstawy sądzić, że rodzice zachowali się podobnie jak większość Polaków, którzy zgodnie z sugestią opozycji demokratycznej powszechnie odpowiadali „nie” przynajmniej na pierwsze pytanie, choć nie wykluczam, że odpowiedzieli negatywnie na wszystkie trzy pytania. Był to bowiem jedyny dostępny wtedy sposób wyrażenia sprzeciwu nie tylko wobec samego referendum, ale też wobec terroru politycznego i bezprawnych aresztowań. Ojciec przeczuwał, że wyniki referendum zostaną sfałszowane. Mówił o tym w drodze powrotnej i był tak przygnębiony, że udzieliło się to całej rodzinie. Później ludzie opowiadali sobie o zabiegach, dokonywanych wokół

lokali i urn referendalnych. Dochodziło do nieuprawnionych zmian w składach komisji, w lokalach wyborczych byli demonstracyjnie obecni funkcjonariusze MO i UB, którzy następnie aktywnie uczestniczyli w przewożeniu urn i przeliczaniu głosów. W wojsku zaś głosowanie było jawne i odbywało się na rozkaz. Podobne manewry w sposób jeszcze bardziej bezczelny powtórzono 19 stycznia 1947 roku w wyborach do Sejmu Ustawodawczego. Sfałszowanie tych wyborów oznaczało legitymizację tzw. „władzy ludowej” zarówno na użytek wewnętrzny, jak i wobec Zachodu.

W społeczeństwie wywołało to poczucie bezsilności, zagrożenia i nieufności. W obliczu wszechobecnej propagandy zdobywanie i przekazywanie sobie informacji z niezależnych źródeł było coraz bardziej utrudnione. Czerpano je przede wszystkim z londyńskiej stacji BBC, nadającej audycje po polsku od czasów okupacji, a później też z Wolnej Europy i Głosu Ameryki. Powtarzanie tych wiadomości, nazywane pogardliwie „szeptaną propagandą”, było napiętnowane i karane. Stanowiły one jednak antidotum na okropne zakłamanie, które opanowało życie publiczne i królowało w gazetach codziennych i rozwieszanych wszędzie hasłach propagandowych. Ojciec reagował na to alergicznie i często powtarzał wzburzony: „Nic, tylko fałsz i obłuda!” W domu było jakieś stare radio, które działało na coś w rodzaju akumulatora, który trzeba było od czasu do czasu oddawać do ładowania (do 1954 roku w Barłogach nie było prądu). Wieczorami Ojciec zwykle włączał je i z uchem przy głośniku starał się wyłowić jakieś słowa, zawzięcie zagłuszane przez przeraźliwe stuki, świsty i szумы. Urządzenia zagłuszające odbiór działały przez cały czas trwania PRL-u, a mimo to te zabronione stacje miały wielu wiernych słuchaczy.

Presja ideologiczna na inteligencję nie ominęła oczywiście środowiska leśników, ogólnie dość odpornego na infiltrację PPR (Polskiej Partii Robotniczej), całkowicie wówczas podporządkowanej Sowietom. Leśnicy odnosili się do niej nieufnie, podobnie jak do późniejszej PZPR (Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej), powstałej w 1948 roku, po wchłonięciu przez PPR resztek przedwojennej Polskiej Partii Socjalistycznej. Od 1945 roku do końca życia Ojciec był związany z ruchem ludowym, najpierw jako członek SL (Stronnictwa Ludowego), potem ZSL (Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego). Bardzo cenił sobie niezależność, a w swojej zasadniczo negatywnej ocenie powojennej sytuacji politycznej w Polsce nie był odosobniony. Wśród przyjaciół nie tylko nie krył się ze swymi poglądami, ale wyrażał je bardzo emocjonalnie, co uchodziło mu jakoś płazem, jednak do czasu. Szczególnie porywczy stawał się po kieliszku. Pewnego razu, chyba w 1950 roku, popiwszy sobie z jakiejś okazji z kolegami w gospodzie w Legbądzie, stracił chyba instynkt samozachowawczy i zaczął się publicznie wygrażać. Idąc główną ulicą Legbąda, wymachiwał dubeltówką i krzyczał: „Ja was, komuniści, tacy owacy, wszystkich powystrzelam!” Dziś można się śmiać z takich bezsilnych

demonstracji, ale tamta władza z pewnością nie znała się na żartach, skończyło się więc wezwaniem na przesłuchanie i odebraniem Ojcu broni myśliwskiej. Można powiedzieć, że jak na owe czasy i tak obeszli się z nim łagodnie, ale wszyscy wiedzieliśmy, jaka to była bolesna dla niego kara, choć trzeba przyznać, że znosił ją mężnie, tym bardziej że lojalni koledzy myśliwi nie pozostawili nas bez dostaw dziczyzny, szczególnie w okresie świąt. Natomiast broń odzyskał Ojciec dopiero w latach 60., kiedy pracował już w Leśnictwie Marusza koło Grudziądza.

Wbrew pozorom znaczną odporność na indoktrynację wykazywała też młodzież szkolna, poddana szczególnej presji ideologicznej w latach 1949-53, w czasie, kiedy byłam w Liceum Ogólnokształcącym w Tucholi i mieszkalam w internacie (obecnie w tym samym gmachu mieści się Technikum Leśne). Z wpojeniem nam niektórych „idei socjalistycznych” szło lepiej, bo takie hasła jak „równość dla wszystkich ludzi”, czy „powszechny i bezpłatny dostęp do edukacji” itp. łatwo było wziąć za swoje. Gorzej jednak było ze „światopoglądem materialistycznym”. Mimo że wszyscy obowiązkowo należeli do ZMP (Związku Młodzieży Polskiej) i na pochodach pierwszomajowych śpiewali „Wyklęty powstań ludu ziemi”, na końcu, tzn. w klasie maturalnej 1952/53, i tak się okazało, że nie reprezentujemy „postępowego światopoglądu”. Wbrew zakazom cały internat wymykał się do kościoła, a pozaszkolne lekcje religii, prowadzone przez oddanego nam i mądrego katechetę, ks. Edmunda Kosznika, czy rekolekcje, prowadzone przez młodych inteligentnych księży z zewnątrz, cieszyły się większym zainteresowaniem niż potwornie nudne pogadanki ideologiczne miejscowych propagandzistów, w czasie których zadawało się na dodatek pozornie naiwne, ale niewygodne pytania. Nie odbiło się to, co prawda na maturze, bo mieliśmy kilku wspaniiałych nauczycieli, więc zdaliśmy ją w większości nieźle. Ukarano nas w ten sposób, że zabroniono urządzić balu maturalnego na terenie szkoły (odbył się w auli Szkoły Podstawowej), a ponadto, do naszych podań o przyjęcie na studia dołączono fatalne opinie ideologiczne, z etykietką, że wyznajemy „reakcyjne poglądy”, co było równoznaczne z tym, że nie dostaniemy się na studia. W istocie, większość z nas dostała taką odpowiedź jak ja z Uniwersytetu Warszawskiego: „Egzamin zdała, ale nie może być przyjęta z braku miejsc”.

Z dzisiejszej perspektywy widać, że młodzież w Tucholi miała to szczęście, że w obliczu ofensywy ideowej nie została pozostawiona samej sobie. Oprócz domu rodzinnego i paru światłych nauczycieli, przyszedł jej z pomocą kościół. A trzeba wiedzieć, że w tym czasie proboszczem w Tucholi był ksiądz pułkownik Józef Wrycza, legendarny „Śmiały”, honorowy przywódca „Gryfa Pomorskiego”, wybitna osobowość i wielki autorytet moralny. Jeśli chodzi o mój indywidualny przypadek, fatalna opinia ideologiczna najwyraźniej nie przeszkadzała leśnikom. Ówczesny dyrektor Rejonu Lasów Państwowych w Tucholi, Franciszek Wencel, zatrudnił mnie, prawdopodobnie na prośbę mego Ojca, od września 1953

w Rejonie na stanowisku rachmistrza. Pracowałam tam przez rok, do czasu podjęcia studiów na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, w 1954 roku, otoczona życzliwością ludzi, pod bezpośrednim kierunkiem p. Osińskiego. Miałam tam okazję poznać wielu interesujących ludzi. Po zlikwidowaniu Rejonów duża część z nich znalazła się w Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu, m.in. Irena Fliesowa i małżeństwo Zysnarskich.

Podsumowując, Barłogi były ważnym etapem, zarówno w życiu zawodowym Ojca, jak też w życiu każdego z członków rodziny z osobna. Z tym miejscem łączy się wiele niezapomnianych wspomnień. Oprócz letnich przyjemności, takich jak kąpiele, polowania, miodobranie, łowienie ryb czy obfitość poziomek, jagód, żurawin i grzybów, muszę osobno wymienić niezrównaną atmosferę świąt Bożego Narodzenia. Zaczynało się od tego, że spędzaliśmy z Ojcem długie jesienne wieczory wokół dużego stołu przy lampie naftowej na robieniu ozdób choinkowych z wydmuszek i kolorowego papieru, w czym Ojciec wykazywał duże mistrzostwo. Oprócz łatwych łańcuchów nauczył nas kleić trudniejsze ozdoby, różne dzbanuszki, dwojaki, pajacyki, języki, gwiazdy itp. Wyprawy z Ojcem po choinkę do lasu, a potem strojenie jej, to też był cały rytuał. Wigilię Mama przygotowywała z zachowaniem kresowych tradycji, np. zawsze była u nas kutia i pleciona bułka. A po kolacji wigilijnej i śpiewaniu kolęd szło się z Ojcem do stajni, aby obdzielić chlebem nasze zwierzęta i posłuchać, czy nie gadają ludzkim głosem. Przed północą jechało się z Mamą saniami na Pasterkę do Legbąda. Z tych wyjazdów zostało mi w pamięci absolutne piękno spokojnej zimowej nocy, zaśnieżonego lasu i wygwieżdżonego nieba oraz dźwięk dzwonek przy końskiej uprzęży. Po powrocie z Pasterki czekał na nas gorący bigos i herbata, przygotowane przez Ojca. Na Sylwestra zaprosiłam kiedyś kolegów z liceum i bawiliśmy się świetnie przy wypożyczonym od Czerwińskich z Rzepicznej starym gramofonie.

Oczywiście, życie w Barłogach nie było wyłącznie sielanką, były też chwile dramatyczne, mające związek z chorobą Mamy czy wypadkami dzieci, których najwięcej miał Janusz. Przypomnę, że nie było telefonu (przedwojenne instalacje zostały zniszczone), do najbliższego szpitala w Tucholi było 20 km, a jedynym środkiem lokomocji był koń. Trudno też pominąć bardzo ciężką sytuację materialną. Żeby zilustrować, w jakim żyliśmy niedostatku, zacytuję fragment podania o zmianę leśnictwa, skierowanego przez Ojca 1 grudnia 1947 roku do Dyrektora Okręgu Lasów Państwowych w Sopocie, w którym ze wzruszającą szczerością pisze: „Przez okupanta zostałem wygnany do tzw. Guberni, gdzie się z rodziną tułałem; powracając po działaniach wojennych na swoje miejsce służbowe, zupełnie zrujnowany, i dziś jest mi bardzo trudno wydzwignąć się, tembardziej iż dzieci tak dużo kosztują, a o ubraniach i innych rzeczach koniecznych dla dzieci niemożliwym jest nawet pomyśleć.” Mimo wszystko, w ogólnym

rozrachunku okres ten wspominamy jednak dobrze. Radością napawał sam fakt, że po wojennej tułaczce odzyskaliśmy dom i dom ten tętnił życiem. Jest więc naturalne, że Barłogi zachowujemy w czułej pamięci, razem z otaczającą przyrodą, ludźmi, zwierzętami, a przede wszystkim dom, który stał się dla nas gniazdem rodzinnym.

Mimo przywiązania do Barłóg myśl o zmianie leśnictwa zaczęła kiełkować dość wcześnie, a od początku lat 50. potrzeba ta stawała się coraz pilniejsza, głównie z dwu powodów: poważnej choroby Mamy i konieczności kształcenia dzieci. W Rzepicznej była tylko czteroklasowa Szkoła Powszechna, w której lekcje odbywały się w jedynej szkolnej sali, gdzie jeden nauczyciel, na początku pan Daleki, uczył równocześnie dwie łączone, choć niezbyt liczne klasy. Każda obejmowała dwie grupy wiekowe, z których jedna odpowiadała I i II klasie, druga zaś klasom III i IV. Nauczycielowi trudno było w tych warunkach nauczyć porządnie czegokolwiek, choćby ortografii. Tymczasem rodzeństwo zaczęło dorastać do wyższych etapów edukacji. Od 1947 roku rodzice opłacali już stancję starszego brata w Chojnicach, potem jego internat w Bydgoszczy, gdzie chodził do średniej Szkoły Rolniczej. W 1949 ja też wybierałam się do liceum po skończeniu dwu ostatnich klas szkoły powszechnej w Zaklikowie na Lubelszczyźnie, gdzie mieszkalam u babci Anny Urbańskiej. Utrzymanie poza domem kolejnych dzieci przekraczało możliwości domowego budżetu. Ojciec zaczął się więc starać o leśniczówkę położoną na tyle blisko miasta, żeby młodsze rodzeństwo mogło z domu dojeżdżać do miejskich szkół. Występował z wnioskami o przeniesienie m.in. do Chyloni, Lęborka, Kościerzyny, Terespoła itd. Początkowo spotykał się z odmową, motywowaną różnymi przyczynami, raz sam zrezygnował z powodu nieodpowiednich warunków mieszkaniowych.

Ojciec miał też pewną cechę, która nie ułatwiała mu realizacji tych zamiarów. Bardzo nie lubił o nic prosić, a szczególnie źle się czuł w sytuacji petenta w urzędach. Nie dotyczyło to oczywiście Nadleśnictwa Woziwoda, które było znajome i chciało pomóc, szczególnie nadleśniczy Jan Mrozowski, który popierał na piśmie podania Ojca. Osobista wizyta w urzędzie była dla Ojca torturą, wobec czego na ogół po złożeniu drogą służbową podania, pozostawiał sprawę swemu, zwykle leniwemu, biegowi. Jeśli już koniecznie trzeba było stawić się osobiście, wysyłał w zastępstwie Mamę, a i ja podczas studiów w Toruniu bywałam czasem w jego imieniu w toruńskiej Dyrekcji Lasów, gdzie spotykałam się zawsze z uprzejmością i życzliwością. Z treści listu, wysłanego przez Ojca do Dyrektora Lasów Państwowych Okręgu Gdańskiego w Sopocie z 22 sierpnia 1946 roku wynika, jak paląca była potrzeba przeniesienia i jak wielka musiała być determinacja Ojca, skoro podyktowała mu następujące słowa: „Już od kilku miesięcy staram się o przeniesienie mnie z Nadleśnictwa Woziwoda do innego nadleśnictwa, abym mógł kształcić swoje dzieci i leczyć ciężko chorą żonę,

która już przeszło pół roku choruje po nieudanej operacji [...] Pismo w sprawie przyjęcia mnie na sekretarza Nadleśnictwa Chylonia przedłożyłem już w Biurze Osobowym do decyzji Pana Dyrektora, a obecnie proszę gorąco o uwzględnienie mojej prośby, bo znajduję się w takiej ciężkiej sytuacji, że wychodzę z siebie i sam nie umiem zaradzić mojej biedzie. Więc pokładam całą nadzieję w osobie Pana Dyrektora z prośbą o przeniesienie mnie do Nadleśnictwa Chylonia. Pozostaję z głębokim szacunkiem, Władysław Urbański, leśniczy.” Nie wiem, jak można było odmówić takiej prośbie.

LEŚNICTWO RUDNIK

Ostatecznie przeniesienie służbowe Ojca z Barłóg do Leśnictwa Rudnik w Nadleśnictwie Chełmno nastąpiło na mocy decyzji dyrektora Bydgoskiego Okręgu Lasów Państwowych w Toruniu, o czym Ojciec został zawiadomiony pismem z 17 listopada 1954 roku. Leśniczówka, położona w odległości ok. 8 km od Grudziądza, spełniała oczekiwania rodziny, bo w oddalonym o 2 km Mniszku była kompletna Szkoła Podstawowa, a z miastem była dobra i częsta komunikacja autobusem i pociągiem. Samo położenie leśniczówki, jak i budynki nie odznaczały się specjalną urodą, za to był telefon i elektryczność, choć w domu nie było ani wody, ani kanalizacji. Na siedzibę leśnictwa zostało prawdopodobnie zaadaptowane dawniejsze gospodarstwo rolne, z którego pozostawiono w pobliżu kawałek deputatowego pola i łąki, a tuż przy domu był dobrze utrzymany sad ze starymi jabłoniemi. Obok leśniczówki, od strony zachodniej biegła szosa łącząca Stolno z Grudziądem i równoległe do niej tory kolejowe. Od wschodu zaś znajdowało się kilka małych gospodarstw, za którymi zaczynał się należący do leśnictwa las. Skrajne położenie leśniczówki w stosunku do kompleksu leśnego i jego dość duże oddalenie było sporym utrudnieniem w codziennej pracy leśniczego. Co gorsza, w praktyce leśnictwo okazało się znacznie trudniejsze niż Barłogi, a praca w nim przysparzała Ojcu wielu zgryzot. Po pierwsze, bardzo trudno było o robotników, gdyż pobliskie miasto, a szczególnie usytuowana w podmiejskim Mniszku Pomorska Odlewnia i Emaliernia wchłaniała całą okoliczną siłę roboczą, tym bardziej że oferowała lepsze płace. W tym stanie rzeczy pozyskanie robotników wymagało wiele zachodu, a kandydaci do pracy w lesie często nie spełniali oczekiwań Ojca, więc w konsekwencji stan zatrudnienia był bardzo niestabilny. Po drugie, na terenach podmiejskich częściej zdarzają się kradzieże drewna, przed którymi bardzo trudno upilnować las. Ponadto, pozycja środowiskowa leśniczego nie była tu już tak mocna jak w Barłogach, a związki z pracownikami leśnymi luźniejsze i bardziej formalne. Z tych powodów Ojciec czuł się tu gorzej. Starał się jednak pracować równie ofiarnie, a że leśnictwo było bardzo intensywne, w istocie musiał podwoić wysiłki, co nie było łatwe, bo zaczął już wtedy poważnie chorować.



Władysław Urbański, leśniczy Leśnictwa Rudnik w Nadleśnictwie Chełmno w 1957 roku.
Fot. archiwum Marii Szupryczyńskiej



Władysław i Jadwiga Urbańscy z dziećmi przed leśniczówką Rudnik w 1957 roku.
Fot. archiwum Marii Szupryczyńskiej

Praca Ojca w nowym miejscu była oceniana dobrze. Nadleśniczy Nadleśnictwa Chełmno, Leon Kisielewski, pisał w swoich opiniach, że „jest on bardzo dobrym fachowcem, sumiennym, uczciwym i zdyscyplinowanym, i nie tylko dobrze prowadzi własne intensywne leśnictwo, ale także chętnie pomaga młodszym kolegom”. W związku z tą uwagą przypomina mi się młody adept zawodu leśnika Andrzej Chmielewski, którego moi rodzice przez pół roku kwaterowali w leśniczówce. Mimo serdecznej opieki Ojca nie udało się jednak zrobić z niego leśnika. W czasie dozorowania zimą prac leśnych trudno mu było na przykład wytrzymać kilka godzin na mrozie, ale przede wszystkim miał on całkiem inne zainteresowania. Dziwnym zrządzeniem losu później to właśnie mnie przyszło uczyć go polskiej gramatyki, gdyż po skończeniu u Ojca praktyki leśnej zgłosił się na studia polonistyczne na UMK, które z powodzeniem ukończył.

Natomiast spośród współpracujących z Ojcem bezpośrednio leśniczych z sąsiednich leśnictw, pamiętam najmłodszego jego kolegę Mieczysława Maślankę, wówczas leśniczego w Łunawach, który dość często bywał w Rudniku, oraz Zenona

Kubackiego z Leśnictwa Biały Bór. Później w zabudowaniach tego leśnictwa, już po jego likwidacji, mieszkał mój najmłodszy brat Władysław Urbański junior, zatrudniony wtedy jako leśniczy lasów prywatnych na terenie Gminy Grudziądz. Mile widzianym gościem w Rudniku był szkolny kolega i przyjaciel Ojca, Kazimierz Szlachetko, który w 1954-1958 był bezpośrednim przełożonym Ojca jako nadleśniczy w Nadleśnictwie Chełmno; później pracował jako kierownik Wydziału Leśnictwa w Powiatowej Radzie Narodowej w Chełmnie. Młodsze rodzeństwo zapamiętało go jako bardzo wesołego pana, który lubił dowcipy i chętnie żartował z dziećmi.

W Leśnictwie Rudnik Ojciec pracował siedem lat, od 1954 do 1961. W tym czasie nie byłam już codziennym uczestnikiem życia w leśniczówce, bo w latach 1954-58 studiowałam w Toruniu i bywałam w domu już tylko gościem w czasie świąt i wakacji. Pamiętam jednak różne ważne wydarzenia z tego okresu. Obchodziliśmy tu szereg uroczystości rodzinnych, m.in. przyjęcia do Komunii św. młodszego rodzeństwa. Szczególnie obfity pod tym względem był rok 1958: Srebrne Gody rodziców świętowaliśmy 30 maja 1958, w czerwcu moje magisterium, pod koniec wakacji, 23 sierpnia 1958, odbył się mój ślub z Janem Szupryczyńskim w małym kościółku w Mniszku, a w leśniczówce rodzice przyjmowali licznych gości weselnych. Później, po przyjeździe na świat w 1959 roku naszej córki Doroty, nadal korzystaliśmy z gościnności rodziców i często bywaliśmy w Rudniku, nie tylko w czasie wakacji.

LEŚNICTWO MARUSZA

Następnym, a zarazem ostatnim leśnictwem, które Ojciec objął w 1961 roku, mając 57 lat, była Marusza. Znajdowało się ono na wschód od Grudziądza, też w odległości ok. 8 km od miasta, tak że do szkół średnich rodzeństwo dojeżdżało codziennie autobusem, z wyjątkiem Anny, która uczyła się w Technikum Ogrodniczym w Pruszcze Gdańskim, gdzie mieszkała w internacie. Podobnie jak w Rudniku, zabudowania Leśnictwa Marusza sprawiały wrażenie, że było to kiedyś gospodarstwo rolne, ale jego położenie było ładniejsze. Otaczały je stare drzewa, miało uroczy staw i sad, a okoliczny krajobraz był niezwykle urozmaicony. Dom był obszerny i wygodny, więc bardzo mile wspominały spędzane tam wakacje, później już z dwiema córkami, bo w 1964 urodziła się Bogna, której chrzciny obchodziliśmy właśnie w Maruszy. Przyjeżdżał tam też z rodziną najstarszy brat Henryk, osiadły na stałe w Świdwinie. Dzieci dobrze pamiętają zabawy w ogrodzie, długie spacery i przejażdżki bryczką. Wielką atrakcją był dla nich koń, drobna klacz o imieniu Baśka, która nie miała zbyt dużo obowiązków, a że była dość samowolna, więc chodziła sobie samopas po okolicy, niekierowana przez nikogo. Kiedy urodziła małego źrebaczka, radości nie było końca. W tym czasie pobliska miejscowość Marusza nie była jeszcze tak znana jak dziś.

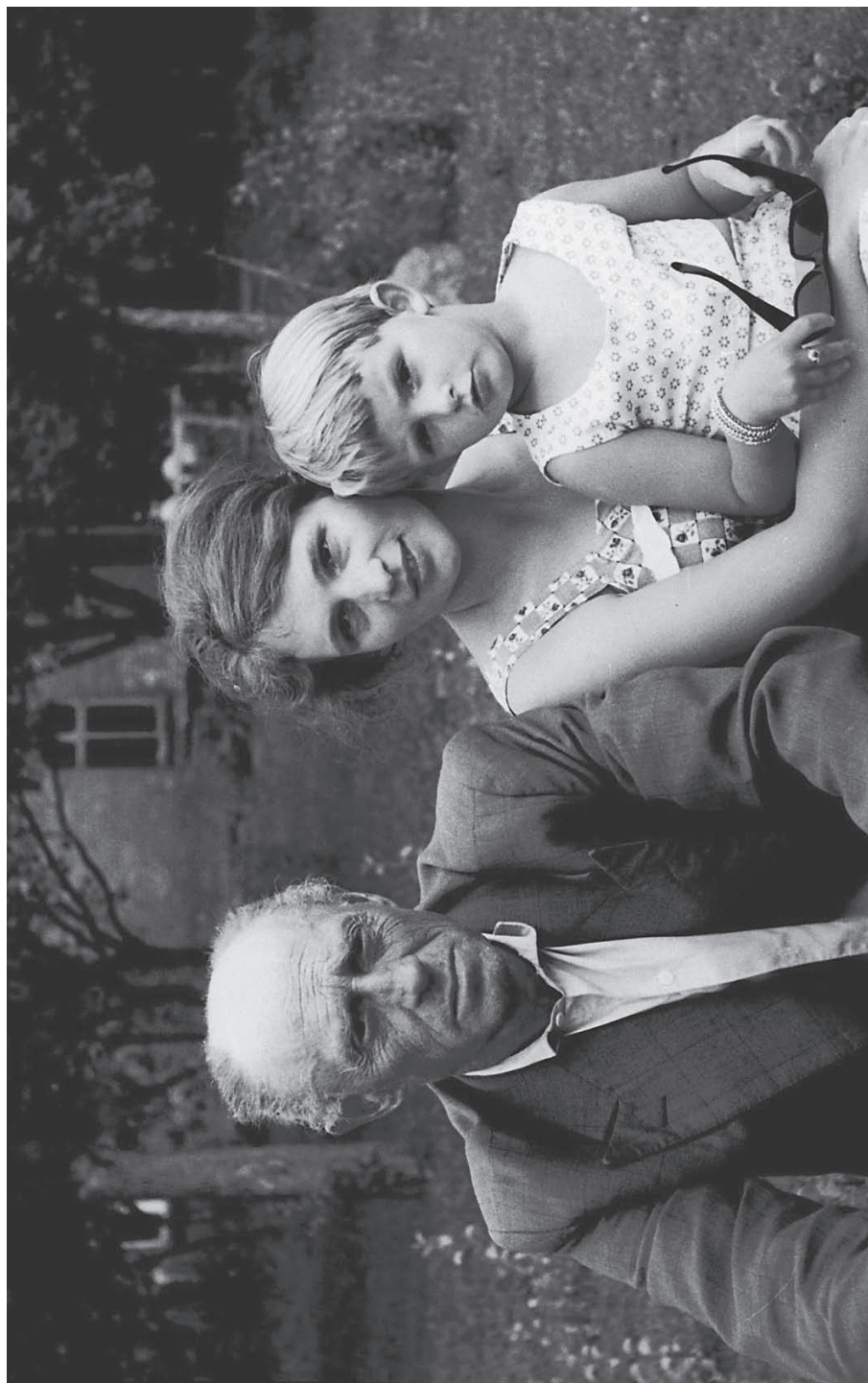
Stało się o niej głośno po odkryciu tam bogatych zasobów gorących wód mineralnych i pobudowaniu nowoczesnych urządzeń balneologicznych.

Początkowo wydawało się, że Leśnictwo Marusza jest łatwiejsze niż Rudnik i że nadaje się doskonale na okres przedemerytalny dla starszego leśniczego o nadwerżonym zdrowiu. Po wstępnym okresie entuzjazmu okazało się jednak, że należący do leśnictwa teren rozciąga się w kształcie długiej kieszki aż pod Radzyń, co zmuszało Ojca do pokonywania codziennie wielkich odległości. Na dodatek to, co mogło być atrakcją z punktu widzenia turystycznego, tzn. silnie pofałdowany i malowniczo porzeźbiony teren, było męczące w codziennej pracy. Do jego obowiązków należało dodatkowo czuwanie nad lasami prywatnymi znajdującymi się w gminie Okonin i Piaski. Mimo tych trudności przez pierwszych pięć lat radził sobie dobrze i był zadowolony. W tym czasie odzyskał też broń myśliwską, więc cieszył się i zaczął trochę polować. Mój mąż i bracia wspominają wyprawy myśliwskie w Maruszy jako duże przeżycie. Jednak z upływem lat Ojciec zaczął tracić siły i zdrowie, wyraźnie nadwerżone przez wieloletnią pracę w lesie.

Tutaj pozwolę sobie na małą dygresję. Zwykle, kiedy mowa o zawodzie leśniczego, większość z nas, mieszkańców miast, a zwłaszcza tych przywiązanych całymi dniami do biurka i komputera, ma skłonność do egzaltacji i zachwytów. Zajęcie to wydaje się takie romantyczne. Przecież leśnicy robią w ramach swych codziennych obowiązków to, co każdy z nas może robić tylko w czasie krótkich wakacji, tzn. włóczy się cały dzień po lesie, ogląda piękne widoki, spotyka dzikie zwierzęta, wdycha balsamiczne powietrze, ma ogorzałą cerę, nawet sam nie wie skąd, a jeszcze mu za to płacą. Tak jest rzeczywiście, ale to tylko jedna strona medalu i pewno rzeczywiście, m.in. z tych powodów oni tak kochają swoją pracę. Nie zapominajmy jednak, że w dni robocze leśnicy właściwie tylko wieczory i noce spędza pod dachem, a od wczesnych godzin rannych wystawia się godzinami na wiatr, deszcz, mróz, śnieg, i to bez możliwości schronienia się w tzw. pomieszczeniach socjalnych, jak to bywa np. na budowach. Współczesny leśniczy ma przynajmniej do dyspozycji samochód terenowy i wolne soboty. Mój Ojciec przez większość swego życia zawodowego nie miał wolnych sobót, wstawał o świcie, chodził po lesie pieszo lub jeździł rowerem, dopiero w Rudniku dorobił się dość prymitywnego motocykla SHL. Na ogół nie jadał regularnie posiłków i nieraz wracał do domu całkiem przemoczony i zziębnięty do szpiku kości, co nie mogło nie zaważyć na jego zdrowiu.

OSTATNI ETAP

Po kilku latach pracy w Maruszy Ojciec poczuł, że z poruszaniem się po trudnym terenie radzi sobie coraz gorzej, szczególnie po wypadku ze złamaniem nogi. Wydawało się, że w tej sytuacji najlepszym wyjściem będzie rezygnacja z pracy na stanowisku czynnego leśniczego w terenie i podjęcie pracy biurowej



Leśniczy Władysław Urbański z córką Marią i wnuczką Dorotą przed leśniczówką Marusza w 1964 roku. Fot. archiwum Marii Szupryczyńskiej



Założa Nadleśnictwa Chełmno w 1968 roku. Pierwszy z lewej siedzi Władysław Urbański. Fot. archiwum Marii Szupryczyńskiej

w Nadleśnictwie Chełmno, gdzie wszystkich dobrze znał i czuł życzliwą dla siebie atmosferę. W roku 1967 podjął więc oficjalne starania o zmianę statusu zawodowego i przyjęcie do pracy w biurze nadleśnictwa. Równocześnie rodzice zaczęli powoli likwidować gospodarstwo i przygotowywać się do opuszczenia leśniczówki Marusza. Wcześniej nabyli kawałek gruntu w pobliżu Leśnictwa Rudnik i zaczęli tam budować niewielki dom z myślą o emeryturze. W chwili, gdy trzeba było opuścić leśniczówkę, dom był już gotowy. Rodzice przenieśli się do niego jakiś czas po otrzymaniu z Okręgowego Zarządu Lasów Państwowych w Toruniu oficjalnego pisma, z datą 19 września 1967, potwierdzającego zatrudnienie Ojca w biurze Nadleśnictwa Chełmno, gdzie pracował do grudnia 1969, czyli do momentu przejścia na emeryturę, najpierw na stanowisku instruktora technicznego, a w ostatnim roku leśniczego służby zewnętrznej. Zakończył więc swoją zawodową drogę leśnika podobnie, jak ją zaczynał w młodości w biurze Nadleśnictwa Świt.

Mimo konieczności codziennych dojazdów pociągiem lub autobusem do Chełmna, na dystansie ok. 20 km, w pracy tej czuł się bardzo dobrze, w czym na pewno jest duża zasługa kolegów z biura, którzy przyjęli go bardzo dobrze. Pamiętam pewien drobny szczegół, który to potwierdza. 27 czerwca 1968 roku, jadąc do rodziców do Rudnika, wysiadłam na dworcu w Mniszku i spotkałam Ojca wracającego z Chełmna, więc poszliśmy razem do domu, jeszcze ok. 2 km. Miał w ręku bukiet kwiatów i opowiadał mi, że koledzy urządzili mu z okazji jego dzisiejszych imienin małą uroczystość. Widać było, jaką wielką mu to sprawiło przyjemność, bo przecież wcześniej, w lesie nigdy czegoś takiego nie doświadczył. Był tak przejęty, że dopiero po dłuższej chwili przypomniał sobie, że ja tego samego dnia rano miałam w Toruniu na UMK obronę swojej pracy doktorskiej. Był ze mnie dumny i gratulował mi „doktoratu w kieszeni”.

W ostatnim roku pracy w Chełmnie Ojciec osiągnął wiek emerytalny, 17 października 1969 roku skończył 65 lat. Wtedy już sporo chorował, o czym świadczą dość częste zwolnienia lekarskie. Mimo, że chodził do lekarza, zachowywał zwykłą pogodę ducha, był czynny, nigdy się nie skarżył i nie mówił o swoim zdrowiu, więc nie zdawaliśmy sobie sprawy, w jak bardzo złym jest stanie. Emeryturą cieszył się tylko trzy miesiące. Pierwszym dniem emerytury był 1 stycznia 1970 roku. Zima tego roku była bardzo długa i ciężka. Kiedy przyjechaliśmy do rodziców na Wielkanoc, która wypadła w tym roku wcześnie, bo 27-28 marca, wszędzie leżał jeszcze dość głęboki, stwardniały śnieg. Drugiego dnia Świąt Ojciec poszedł z nami wszystkimi na długi spacer do lasu, w czasie którego przerzucał się z moim mężem łacińskimi nazwami drzew, a pamiętał je nad podziw dobrze. Wieczorem towarzyszył nam przy stole, kiedy rozmawialiśmy, śmialiśmy się, graliśmy z rodzeństwem w karty itp. Był jednak bardzo wyciszony, jakoś wewnętrznie skupiony. Pamiętam, że miał w ręku książkę i mało się odzywał. Zaraz po świętach,

29 marca pożegnaliśmy się z rodzicami i wróciliśmy do Torunia, niczego złego nie przeczuwając. Telefon o jego śmierci otrzymaliśmy od Mamy następnego dnia, 30 marca 1970 roku po południu. Zmarł nagle na piaszczystej dróżce, obrzeżonej dekoracyjnie wierzbami, w pobliżu domu, wracając rowerem od sąsiadów. Trudno było w to uwierzyć. Wśród żegnających oprócz żony, dzieci i wnuków była jego matka, bracia i siostry oraz sąsiedzi. Nie zabrakło przyjaciół leśników, którzy nieśli jego trumnę. Został pochowany na cmentarzu w Grudziądzu.

Podziękowanie

Powyższy tekst nie powstałby bez życzliwości i pomocy wielu osób, którym chciałabym tu wyrazić moją wdzięczność. Serdeczne podziękowanie kieruję przede wszystkim do Redaktora Biuletynu RDLP w Toruniu, Tadeusza Chrzanowskiego, za udostępnienie mi wielu materiałów archiwalnych, w tym kopii dokumentów służbowych Ojca, za stałą gotowość pomocy i jej skuteczność oraz za zaproszenie do publikacji w Biuletynie, a także dyskretne czuwanie nad realizacją tematu. Mojemu rodzeństwu, a także rodzeństwu Ojca, dziękuję za współudział w poszukiwaniu starych fotografii i wydobywaniu z pamięci różnych zapomnianych szczegółów. Andrzejowi Tomczakowi, profesorowi UMK w Toruniu, Marzenie Kruk z IPN w Gdańsku oraz Paniom z Fundacji Generał Zawackiej w Toruniu dziękuję za konsultację historyczną, a mojemu mężowi, córkom i wnukom za wierne kibicowanie temu przedsięwzięciu.

Maria Szupryczyńska



Adam Loret (1884 – ok. 1940)

Dyrektor ADAM LORET

(1884 – ok. 1940)



Adam Stefan Loret syn Sydona Karola i Eugenii Górnikiewicz urodził się 26 grudnia 1884 roku w Jaśle. Uczęszczał do Szkoły Wydziałowej Męskiej, a później do Wyższego Cesarsko-Królewskiego Gimnazjum w Jaśle. Maturę uzyskał w 1904 roku. Studiował w Krajowej Szkole Gospodarstwa Lasowego (od 1909 roku zmieniła nazwę na Wyższą Szkołę Lasową) we Lwowie i następnie w Akademii Leśnej w Tharandcie w Saksonii (1907 lub 1909), specjalizując się w urządzaniu lasu. W latach 1910-1920 pracował w prywatnych lasach dóbr Sucha koło Żywca, należących do Branickich, najpierw jako technik leśny, później kierownik urządzania lasów i pełnomocnik dóbr.

1 listopada 1920 r. przeszedł do służby państwowej i objął stanowisko p.o. Zarządu Okręgowego Dóbr Państwowych. 10 października 1921 r. został mianowany naczelnikiem, a 1 lutego 1925 r. dyrektorem Dyrekcji Lasów Państwowych w Warszawie. Był działaczem Związku Zawodowego Leśników. 1 października 1926 r. minister rolnictwa i dóbr państwowych Aleksander Raczyński zlecił Loretowowi jako nadzwyczajnemu delegatowi do spraw administracji lasów państwowych przeprowadzenie inspekcji wszystkich lasów państwowych w kraju i przedstawienie wniosków co do koniecznych zmian w ich administracji i gospodarce.

W 1928 r. Loret zakończył swą misję „nadzwyczajnego delegata” i został skierowany do współpracy z dyrektorem Departamentu Leśnictwa w Ministerstwie Rolnictwa, Janem Miklaszewskim. W 1928 roku opublikował swój program reform gospodarki leśnej: „Główne wytyczne państwowego gospodarstwa leśnego”. Uzasadniał w nim tezę zwolenników etatyzmu, że dla osiągnięcia z lasów państwowych największego dochodu przy zachowaniu ciągłości i trwałości użytkowania konieczne jest przejęcie ich przez administrację lasów państwowych. Adam Loret był zwolennikiem objęcia przez państwo kontroli nad całą gospodarką leśną w kraju. Według niego „Tylko państwo, jako właściciel, jest w stanie racjonalnie gospodarować lasami, uwydatniając wszystkie ekonomiczne, przyrodnicze i kulturowe korzyści płynące z nich dla kraju”.

Po utworzeniu w 1930 roku. Dyrekcji Naczelnej Lasów Państwowych Loret został 1 stycznia 1931 powołany na jej kierownika z zadaniem realizowania nowej leśnej polityki gospodarczej państwa. Przeprowadził wówczas inwentaryzację zasobów leśnych, likwidację umów z przedsiębiorcami prywatnymi, m.in. z angielską firmą „The Century European Timber Corporation” na eksploatację Puszczy Białowieskiej.



Adam Loret, pierwszy dyrektor naczelny Lasów Państwowych. Fot. „Echa Leśne” (1936)

Adam Loret, trzeci od lewej w jasnym płaszczu. Wizyta w Nadleśnictwie Osiek na terenie Puszczy Bydgoskiej, podczas gradacji sówki choinówki w 1933 roku. Fot. archiwum Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu





Dyrektor Adam Loret (w środku) z uczestnikami Zjazdu Leśników Polskich w Toruniu w maju 1933 roku. Z lewej (w białym płaszczu) wojewoda pomorski Stefan Kirtiklis, z prawej gen. Stefan Pastawski. Zdjęcie wykonano w centrum miasta u stóp pomnika Mikołaja Kopernika. Fot. archiwum Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu



Tabliczka przy Dębie Pamięci dyrektora Adama Loreta w rezerwacie przyrody „Cisy Staropolskie” w Wierchlesie. Fot. Mateusz Stopiński

Nastąpiło też, przejęcie użytkowania lasu i sprzedaży drewna przez administrację lasów państwowych oraz podjęcie przez nią przerobu drewna. Ponadto, zorganizował eksport materiałów drzewnych, powołując do życia przedsiębiorstwo Polska Agencja Drzewna „Paged” i był inicjatorem budowy portu drzewnego w Gdyni. Gdy 1 lutego 1934 roku weszła w życie nowa organizacja administracji lasów państwowych, Loret został mianowany przez Prezydenta RP Ignacego Mościckiego pierwszym dyrektorem naczelnym Lasów Państwowych. Na tym stanowisku pozostał aż do wybuchu drugiej wojny światowej.

W wyniku konsekwentnej realizacji swej polityki gospodarczej, a miała ona początkowo wielu przeciwników, osiągnął Loret poważne zwiększenie dochodowości lasów państwowych. Cieszył się poważaniem międzynarodowych kół gospodarczych i finansowych. Po wydaniu 30 listopada 1936 r. Dekretu Prezydenta Rzeczypospolitej o państwowym gospodarstwie leśnym, aprobującym politykę Loreta, ataki jego przeciwników ustały.

Po wybuchu drugiej wojny światowej, 5 września 1939 r., Loret ewakuował się wraz z Dyrekcją Naczelną na wschód. Z propozycji opuszczenia kraju, tzn. wyjazdu wraz z rządem do Rumunii, nie skorzystał. 17 września został zatrzymany i aresztowany przez oddział wojsk sowieckich w miejscowości Naliboki, po czym przewieziony do więzienia w Nowogródku.

Ostatnie miesiące życia Adama Loreta i okoliczności jego śmierci nie są wystarczająco znane. Podawane są bardzo różne wersje dalszych jego losów. Według wnikliwych badań profesora Józefa Brody, na przełomie 1939 i 1940 r. Loret trafił do więzienia w Mińsku, co potwierdza m.in. świadectwo Konstantego Rdłutowskiego. Profesor Broda nie znalazł w tym świadectwie wzmianki, że Loret mógł być zamordowany przez NKWD na mocy uchwały politbiura WKP (b) z 5 marca 1940 r., stąd wysnuwa wniosek, że mógł zginąć dopiero przy likwidacji więzienia, co nastąpiło po ataku Niemiec na Związek Sowiecki, w czerwcu 1941 r. Jak się wydaje, ostateczne wyjaśnienie daty śmierci Adama Loreta mogłoby nastąpić w wyniku ujawnienia dokumentów z archiwów rosyjskich i białoruskich z tamtych czasów, ale jak wiemy, są dla nas niedostępne, jeżeli w ogóle jeszcze istnieją.

Adam Loret jest wymieniony jako ofiara Zbrodni Katyńskiej dokonanej przez sowieckie NKWD w Mińsku w publikacji Z. Peszkowskiego i S. Zdrojewskiego. Gdyby ta wersja uzyskała ostateczne potwierdzenie w dokumentach, oznaczałoby to, że Adam Loret został rozstrzelany w więzieniu w Mińsku, a zwłoki trafiły na wielkie leśne cmentarzysko w Kuropatach, gdzie do dzisiaj nie przeprowadzono ani ekshumacji, ani godnego upamiętnienia dziesiątków tysięcy pomordowanych, w tym Polaków.

Adam Loret był żonaty z Haliną Marią z d. Siewierską. Dzieci nie miał.

Dąb Pamięci posadzono Adamowi Loretowowi w Wierzchlesie (Nadleśnictwo Zamrzenica) na terenie Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu, 12 października 2013 roku.

Tadeusz Chrzanowski

Źródła:

Grzywacz A. (red.), **Adam Loret**. Pierwszy dyrektor naczelny Lasów Państwowych, Polskie Towarzystwo Leśne, Warszawa 2010

Peszkowski Z.A.J., Zdrojewski S.Z.M., Leśnicy w grobach Katynia, Warszawa-Łódź-Orchard Lake 2001



Teofil Lorkiewicz (1885 - 1944)

Dyrektor Teofil Lorkiewicz

(1885–1944)¹



Teofil Lorkiewicz urodził się w Pobiedziskach w 1885 roku. Po ukończeniu gimnazjum w Gnieźnie podjął w 1907 roku studia w Akademii Leśnej w Tharandcie, które ukończył w 1910 roku. Praktyczną naukę zawodu rozpoczął w lasach prywatnych w Czarniejewie, a w odrodzonej po I wojnie światowej Polsce organizował Dyрекcję Lasów Państwowych w Gdańsku i kierował nią. W 1924 roku objął stanowisko dyrektora Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu, a w 1932 roku przeniósł się na analogiczne stanowisko do Poznania. Po najeździe niemieckim na Polskę w 1939 r. ewakuował się do Warszawy, gdzie w latach 1940–1944 kierował pracami konspiracyjnej administracji leśnej w strukturze Delegatury Rządu na Kraj. Zginął w niewyjaśnionych okolicznościach w trzecim dniu powstania warszawskiego, a miejsce jego pochówku pozostaje nieznane.

WSTĘP

Teofil Lorkiewicz nie jest postacią nieznaną. Z dostępnych materiałów wynika, że jego pierwszy biogram sporządził Chociłowski (1967). Korzystał on m.in. z niepublikowanego maszynopisu Feliksa Soboczyńskiego pt. *Teofil Lorkiewicz („Sosnowski”) – szef leśnictwa w czasie okupacji hitlerowskiej w Polsce*. Tekst Soboczyńskiego był odpowiedzią (jedną z 261) na ankietę rozpisaną przez Polskie Towarzystwo Leśne w latach 1963–1964 na temat dziejów polskiego leśnictwa w latach okupacji niemieckiej podczas II wojny światowej i powoływali się na nią także inni współautorzy zbiorowego opracowania pt. *Leśnictwo polskie w okresie drugiej wojny światowej*, wydane w 1967 roku staraniem Polskiego Towarzystwa Leśnego.

Kolejny biogram Lorkiewicza opracował Sierotwiński (1972) dla *Polskiego Słownika Biograficznego*, korzystając ze wspomnianych wyżej tekstów oraz informacji od wdowy – Ireny Lorkiewiczowej. Wiadomości zawarte w biogramach Chociłowskiego i Sierotwińskiego powtarzali później autorzy kolejnych opracowań: Pachelska (2001), Borczyński (2006) oraz Borczyński i Sztuka (2007), przy czym Borczyński (2006) połączył życiorys Lorkiewicza z opisem działalności konspiracyjnej Rady Głównej Leśnictwa.

Publikowane wcześniej informacje znalazły się również w życiorysie Lorkiewicza opublikowanym na łamach toruńskich „Nowości” (Przybyszewski 2007). Autor ten uzupełniał później kolejne wersje życiorysu o nowe dane, odnoszące się przede wszystkim do okresu 1924–1932, kiedy Lorkiewicz pełnił funkcję dyrektora

Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu. Kilka danych o działalności Lorkiewicza w okresie toruńskim dorzuciła do jego biografii także Pomerence (2010).

Niniejszy szkic biograficzny odwołuje się oczywiście do wyżej wymienionych autorów, uzupełniając życiorys Teofila Lorkiewicza o wyniki nowych poszukiwań archiwalnych oraz komentując niektóre wcześniejsze ustalenia.

LATA MŁODZIEŃCZE

Teofil Lorkiewicz urodził się 1 marca 1885 roku w Pobiedziskach, w rodzinie mistrza krawieckiego Juliana i Anny z Kuczyków (Panowicz 2006); wspomniany wyżej Chociłowski (1967) błędnie podaje rok urodzenia 1886. Po ukończeniu szkoły ludowej w Pobiedziskach Teofil rozpoczął naukę w pruskim gimnazjum w Gnieźnie. Należał do grupy uzdolnionej młodzieży, której kształcenie wspierało polskie Towarzystwo Pomocy Naukowej im. Karola Marcinkowskiego dla Młodzieży Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Lorkiewicz jako gimnazjalista otrzymywał stypendium tego Towarzystwa w latach 1903 i 1904 (*Wykaz stypendyatów...* 1905).

W 1903 roku znalazł się w grupie 12 uczniów (był wśród nich również późniejszy wybitny polski archeolog prof. Józef Kostrzewski), którzy po dekonspiracji Towarzystwa Tomasza Zana i procesach sądowych jego członków reaktywowali potajemnie działalność Towarzystwa, w ramach którego prowadzili w konspiracji szeroko zakrojoną, wielokierunkową pracę samokształceniową. W 1906 roku na skutek denuncjacji jednego z kolegów (Kostrzewski 1970), również działalność reaktywowanego koła Towarzystwa została zdekonspirowana, a niektórzy z jego członków, w tym Teofil Lorkiewicz, zostali relegowani ze szkoły. W związku z tym faktem Lorkiewicz nie uzyskał matury (Panowicz 2006), co potwierdził także dr Maciej Borczyński.

STUDIA I POCZĄTKI PRACY ZAWODOWEJ

Brak matury nie przeszkodził Lorkiewiczowi w zapisaniu się na studia w Akademii Leśnej w Tharandcie, bowiem w owym czasie uczelnia ta nie wymagała świadectwa dojrzałości. Studia odbywał od października 1907 roku do marca 1910 roku (Lochmann, Lochmann 2011, Chałupka, Modrzyński 2012). Nieco inny okres studiów – lata 1906–1910 – podaje w swym opracowaniu Brzozowski (1989). W czasie studiów Lorkiewicz nadal otrzymywał stypendium Towarzystwa Pomocy Naukowej (*Wykaz stypendyatów...* 1908, 1909, 1910). Łącznie w ciągu 2 lat gimnazjalnych i 3 lat studiów Lorkiewicz otrzymał 1190 marek wsparcia. W Tharandcie kontynuował działalność w tajnym Towarzystwie Tomasza Zana (Panowicz 2006).

Po ukończeniu studiów odbył praktykę w lasach ordynacji czarniejewskiej Skórzewskich (Panowicz 2006). W 1911 roku ożenił się z Marią z Kanteckich, po-

chodzącą z Czarniejewa. Po odbyciu praktyki przeniósł się do zaboru rosyjskiego, gdzie podjął pracę w Chlewiskach koło Szydłowca, w lasach dóbr Platerów. Wobec zbliżającej się wojny, jako poddany pruski zagrożony internowaniem, Lorkiewicz wrócił do Wielkiego Księstwa Poznańskiego, gdzie objął stanowisko nadleśniczego w lasach ordynacji kwileckiej (Chociłowski 1967).

Prawdopodobnie wkrótce po objęciu tej posady wstąpił do Towarzystwa Leśnego w Wielkim Księstwie Poznańskim, bowiem dwa lata później, w 1916 roku, jego podpis pojawia się wśród innych na dyplomie gratulacyjnym wręczonym Józefowi Rivolemu dla uczczenia 50-lecia jego pracy dla Wydziału Leśnego Centralnego Towarzystwa Gospodarczego i Towarzystwa Leśnego. O aktywnym zaangażowaniu Lorkiewicza w prace Towarzystwa świadczy także fakt powierzenia mu funkcji sekretarza zarządu na posiedzeniu w dniu 21 stycznia 1918 roku. Jak się później okazało, był to ostatni skład zarządu Towarzystwa Leśnego w Wielkim Księstwie Poznańskim, które praktycznie zaprzestało swej działalności po zebraniu w dniu 21 października 1918 roku (Chałupka 2017).

KWESTIA UDZIAŁU W POWSTANIU WIELKOPOLSKIM

Wszyscy wymieni wyżej biografowie Teofila Lorkiewicza piszą o jego czynnym udziale w powstaniu wielkopolskim, chociaż są to bardzo ogólnikowe stwierdzenia typu: „Gdy wybuchło powstanie wielkopolskie, wziął w nim czynny udział” (Pano-wicz 2006), „... Powstanie Wielkopolskie, w którym Lorkiewicz brał udział na swoim odcinku...” (Borczyński, Sztuka 2007), „Po wybuchu Powstania Wielkopolskiego czynnie w nim uczestniczył” (Przybyszewski 2010, 2015). Jak dotąd, nie udało się jednak tych informacji zweryfikować i potwierdzić danymi archiwalnymi. Niewykluczone, że w tej sprawie doszło do pewnego nieporozumienia i prawdopodobnie pomyłono Teofila Lorkiewicza z inną osobą o tym samym imieniu i nazwisku. W 2009 roku opublikowano listę powstańców, mieszkańców Sierakowa i okolic. Na liście tej znalazło się dwóch Lorkiewiczów: Józef oraz Teofil. Ten drugi powstaniec urodził się jednak w 1891 roku i zmarł w 1963 roku w Sierakowie (J.T.Ł. 2009). Mieszkał on w Sierakowie już w 1913 r., na co wskazuje informacja o jego udziale w gronie członków założycieli Koła Śpiewaczego im. Bolesława Dembińskiego w tym mieście (J.T.Ł. 2011).

Dr inż. Maciej Borczyński twierdzi, że Teofil Lorkiewicz nie brał czynnego udziału w powstaniu wielkopolskim, a prawdopodobnie pracował w tym czasie w biurze Naczelnej Rady Ludowej.

PIERWSZE LATA W NIEPODLEGŁEJ RZECZYPOSPOLITEJ

W ordynacji kwileckiej Lorkiewicz pracował przypuszczalnie do 1919 roku, bowiem w tym roku, po zwycięskim powstaniu wielkopolskim, pojawia się w Sierakowie, gdzie przejmuje z rąk niemieckich nadleśnictwo (Chociłowski 1967, Pachelska

2001, Borczyński 2006). Jako nadleśniczy 4 stycznia 1920 roku kieruje do Wydziału Leśnictwa Województwa Poznańskiego raport na temat pogłosek o nadmiernym wycinaniu lasu przez Niemców w okolicach Międzychodu.

31 stycznia 1920 roku zarządzeniem Władysława Seydy, ministra byłej dzielnicy pruskiej, powołano cztery dyrekcje lasów państwowych: w Bydgoszczy, Gdańsku, Poznaniu i Toruniu (Gulczyński 2015). Pierwszym dyrektorem i organizatorem dyrekcji gdańskiej mianowany został Teofil Lorkiewicz (Przybyszewski 2010, 2015). W styczniu 1920 roku, po wejściu w życie postanowień Traktatu Wersalskiego, Gdańsk został wydzielony z terytorium Rzeszy Niemieckiej, a 15 listopada tegoż roku utworzono formalnie Wolne Miasto Gdańsk. Wówczas to Lorkiewicz przeprowadził rozgraniczenie lasów między Rzeczpospolitą Polską a Wolnym Miastem Gdańsk (Przybyszewski 2010). Zmiana statusu polityczno-prawnego Gdańska postawiła także kwestię zmiany lokalizacji Dyrekcji Lasów Państwowych. Rozważano dwa miasta: Wejherowo i Tczew, ostatecznie jednak we wrześniu 1922 roku władze polskie zdecydowały o przeniesieniu siedziby gdańskiej Dyrekcji Lasów Państwowych do Torunia. Kierownictwo dyrekcji gdańskiej powierzono dyrektorowi DLP w Toruniu Ludwikowi Waclawikowi, przy czym dyrekcja gdańska zachowała, choć nie na długo, pełną odrębność organizacyjną (Pomerence 2010, Pomerence, Chrzastowski 2015).

Nie wiadomo, czy Lorkiewicz był dyrektorem DLP w Gdańsku do czasu jej przeniesienia do Torunia w 1922 roku. Jego status i miejsce pracy w latach 1920–1922 nie są do końca jasne, bowiem w 1921 roku występuje on w spisie personelu leśnego byłego zaboru pruskiego jako nadleśniczy w Sierakowie (*Wykaz urzędników leśnych...* 1921). W tym samym charakterze bierze też udział w dniu 18 czerwca tego roku w egzaminowaniu kandydata na „państwowego leśniczego”. Niewykluczone więc, że organizując i kierując gdańską DLP, zachowywał jednocześnie swoje stanowisko nadleśniczego w Sierakowie.

Po zaprzestaniu działalności Towarzystwa Leśnego w Wielkim Księstwie Poznańskim Teofil Lorkiewicz włączył się aktywnie w prace innej leśnej organizacji. Na zebraniu założycielskim w dniach 31 października i 1 listopada 1920 roku w Domu św. Jadwigi w Poznaniu został wybrany do zarządu Filii Poznańsko-Pomorskiej Związku Leśników Polskich (Rafalski 1921), natomiast w sierpniu 1924 roku został wybrany na zastępcę przewodniczącego Oddziału Poznańskiego Związku Zawodowego Leśników w Rzeczypospolitej Polskiej (Przybylski, Szulczewski 1924).

DYREKTOR LASÓW PAŃSTWOWYCH W TORUNIU 1924–1932

Tymczasem mocą rozporządzenia prezydenta RP z 30 czerwca 1924 roku dyrekcja gdańska z siedzibą w Toruniu została ostatecznie zlikwidowana i włączona do dyrekcji toruńskiej (Pomerence 2010). Na stanowisko dyrektora nowej powiększonej Dyrekcji LP w Toruniu wojewoda pomorski powołał 13 października

1924 roku Teofila Lorkiewicza, który jednocześnie kierował Wydziałem VIII Lasów w Urzędzie Wojewódzkim (Przybyszewski 2010, 2015).

Następne lata były dla niego bardzo intensywne i pracowite. Trzeba było dostosować strukturę organizacyjną dyrekcji do nowych warunków, rozpoczęto też opracowywanie nowych operatów urzędzeniowych dla nadleśnictw. Już na początku dyrektor musiał się zmierzyć z potężnym wyzwaniem w postaci masowego pojawu strzygoni choinówki i zwalczaniem skutków gradacji m.in. z wykorzystaniem samolotów. Zniszczenie lasów na wielkich obszarach wymuszało nadzwyczajne decyzje dyrektora w zakresie pozyskania drewna i szybkiego zalesienia wielkoobszarowych zrębów (Broda 2010, Pomerence 2010).

Za kadencji Lorkiewicza wybudowano w Toruniu w latach 1928–1930 nowy gmach dyrekcji (Pomerence 2010). W trosce o stałe doskonalenie fachowe personelu dyrektor zainicjował w 1929 kursy dla leśniczych, przy czym każdy z nich zobowiązany był do ich odbywania co 6–7 lat; dyrektor osobiście przewodniczył komisji egzaminacyjnej na zakończenie kursów (Kostyrko 1931). Organizowane były też wyjazdy szkoleniowe nadleśniczych i pracowników dyrekcji m.in. do Białowieży (Anonim 1930). Toruński biograf Teofila Lorkiewicza podkreśla jego wybitne zdolności administracyjne i organizacyjne, a także umiejętność stworzenia zgranego zespołu współpracowników na różnych stanowiskach (Przybyszewski 2010).

Poza kierowaniem dyrekcją Teofil Lorkiewicz bardzo aktywnie włączał się w różnorodną działalność społeczną. W 1925 roku kierował przygotowaniem do pierwszej Wystawy Rolniczo-Przemysłowej w Grudziądzu, gdzie zaprezentowano społeczeństwu osiągnięcia leśników pomorskich. Działalność również aktywnie w Komitecie Wojewódzkim Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej (Przybyszewski 2010, 2015). W latach 1926–1928 był członkiem Polskiego Towarzystwa Dendrologicznego (Dolatowski i in. 2009).

W lipcu 1932 roku została zlikwidowana istniejąca od 1920 Dyrekcja Lasów Państwowych w Bydgoszczy, a jej obszar został podzielony między dyrekcje toruńską i poznańską (Broda 2010). Skutkiem tych decyzji były także zmiany kadrowe: dyrektorem DLP w Toruniu został mianowany Jerzy Zagórski, były dyrektor DLP w Bydgoszczy, natomiast Teofil Lorkiewicz objął dyrekcję w Poznaniu (Pomerence, Chrzanowski 2015). Według Przybyszewskiego (2015) „odchodził żegnany z prawdziwym żalem przez społeczeństwo i przez wszystkich swoich współpracowników”.

Rok 1932 przyniósł również bolesną zmianę w życiu osobistym Teofila Lorkiewicza, w maju zmarła bowiem jego żona, Maria z Kanteckich, pochowana w grobie swych rodziców na cmentarzu w Czarniejewie.

DYREKTOR LASÓW PAŃSTWOWYCH W POZNANIU 1932–1939

Dokładna data objęcia przez Teofila Lorkiewicza Dyrekcji Lasów Państwowych w Poznaniu nie jest wyraźnie udokumentowana. Wiadomo, że dyrektor Władysław



Dyrektor Teofil Lorkiewicz (siedzi szósty od lewej) i pracownicy Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu, rok 1931. Fot. archiwum Marii Zachorowskiej



Komisja oceniająca szkody wyrządzone przez sówkę choinówkę (*Panolis flammea*) w lasach Nadleśnictwa Świt, ok. 1933 roku. Pośrodku, przy stoliku, Teofil Lorkiewicz (w kapeluszu) - dyrektor Dyrekcji Lasów Państwowych w Poznaniu i Józef Zagórski (w mundurze i czapce) - dyrektor Dyrekcji LP w Toruniu. Fot. archiwum Marii Zachorowskiej



Teofil Lorkiewicz (na wprost) i dyrektor Adam Loret (w okularach) podczas wizyty w Nadleśnictwie Osiek w Puszczy Bydgoskiej w maju 1933 roku. Fot. archiwum Zofii Suchockiej-Zioleckiej

Dyrektorzy: Teofil Lorkiewicz (z prawej) i Józef Zagórski podczas lustracji drzewostanów w Nadleśnictwie Osiek w 1933 roku. Fot. archiwum Zofii Suchockiej-Zioleckiej



Grzegorzewski odszedł z tego stanowiska 30 września 1932 roku (A.Z. 1932). Być może, Lorkiewicz zaczął pełnić swoje obowiązki już następnego dnia, o czym pośrednio może świadczyć data 1 października tegoż roku, kiedy to zameldował się w Poznaniu przy ul. Grunwaldzkiej 18 w Hotelu „Polonia”. Ówczesny Hotel „Polonia”, wybudowany na Powszechną Wystawę Krajową w 1929 roku, to obecny budynek Szpitala Klinicznego im. Heliodora Świącickiego UM w Poznaniu przy ul. Grunwaldzkiej.

Do tego samego hotelu (z wejściem od ul. Stolarskiej) 1 października przeniosła się także poznańska Dyrekcja Lasów Państwowych (Anonim 1932). Konieczność zmiany siedziby była konsekwencją znaczących zmian w strukturze dyrekcji, związanych z przejęciem 19 nadleśnictw po zlikwidowanej 8 lipca 1932 roku Dyrekcji Lasów Państwowych w Bydgoszczy (*Rozporządzenie Rady Ministrów...* 1932). Dotychczasowa siedziba, która mieściła się w gmachu Urzędu Wojewódzkiego przy ul. Gołębiej 1 (dziś siedziba Urzędu Miasta Poznania), okazała się po prostu za małą.

Od początku swego dyrektorowania w Poznaniu Lorkiewicz musiał się więc zmierzyć z poważnymi wyzwaniem organizacyjno-strukturalnymi po znacznym powiększeniu obszaru dyrekcji poznańskiej. Niestety, zarówno ten początkowy okres, jak i późniejsze lata działalności Lorkiewicza w Poznaniu, nie znajdują odzwierciedlenia w zachowanych materiałach archiwalnych. W różnych miejscach można odnaleźć jedynie odosobnione informacje o jego aktywności. Możemy m.in. dowiedzieć się, że w okresie zarządzania dyrekcją poznańską Lorkiewicz przywiązywał wielką wagę do pielęgnowania upraw i cięć pielęgnacyjnych oraz zalesiania nieużytków. Pod jego kierownictwem DLP w Poznaniu wyróżniała się w kraju skalą użytkowania przedrębego (Borczyński 2006). Przeniósł także z Torunia zwyczaj wspólnych wycieczek pracowników dyrekcji.

Wcześniejsze jego zasługi dla polskiego leśnictwa zostały docenione przez władze państwowe i 5 listopada 1933 roku, podczas święta patrona myśliwych w Spale, Lorkiewicz został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi przez ministra rolnictwa i reform rolnych Bronisława Nakoniecznikowa-Klukowskiego (L.C. 1933).

Już jako dyrektor DLP w Poznaniu wszedł Lorkiewicz w skład Rady Nadzorczej spółki PAGED (Polska Agencja Eksportu Drzewa, sp. z o.o. w Gdyni) (Broda 2006). Położył też znaczne zasługi dla rozwoju państwowego przemysłu drzewnego w Wielkopolsce, wydierżawiając prywatne tartaki do przerabiania drewna z lasów państwowych (Dzbeński, Pachelska 2006).

We wrześniu 1933 roku Lorkiewicz wziął udział w XIV Zjeździe Przyrodników i Lekarzy w Poznaniu (Anonim 1933). W 1934 r. uczestniczył w pracach Komitetu Honorowego Regionalnej Wystawy Rolniczo-Przemysłowej Powiatu Kępińskiego w Ostrzeszowie, która odbyła się w dniach 12–15 sierpnia tegoż roku. Wystawa była znaczącym wydarzeniem i honorowy patronat nad nią objął wojewoda

poznański Roger Raczyński, a poza Lorkiewiczem w skład komitetu honorowego wchodził: gen. bryg. Oswald Frank – dowódca Okręgu Korpusu VII Poznań, Kaje-tan Dzierżykraj-Morawski – prezes Wielkopolskiej Izby Rolniczej, dr Michał Pollak – kurator Okręgu Szkolnego Poznańskiego, Seweryn Samulski – prezes Izby Przemysłowo-Handlowej w Poznaniu, Ferdynand Świtalski – dyrektor Izby Skarbowej w Poznaniu i Władysław Zakrzewski – prezes Izby Rzemieślniczej w Poznaniu (Kamieński 2012).

W Poznaniu zapamiętano Teofila Lorkiewicza jako wymagającego i surowego, ale sprawiedliwego przełożonego, który potrafił publicznie na specjalnym zebraniu wszystkich nadleśniczych przeprosić niesłusznie pomówionego podwładnego (Maciej Borczyński – informacja ustna).

Lorkiewicz należał do zwolenników polityki prowadzonej przez Adama Loreta, dyrektora naczelnego Lasów Państwowych (Borczyński 2006). Prywatnie obaj znali się od czasu studiów w Tharandcie, a o bliskiej znajomości świadczy także wspólna wycieczka z Adamem i Haliną Loretami po fiordach norweskich na statku „MS Piłsudski” w dniach 19–30 sierpnia 1936 roku (Stankiewicz 2006).

CZAS OKUPACJI NIEMIECKIEJ 1939–1944

Po wybuchu wojny we wrześniu 1939 roku Teofil Lorkiewicz opuścił Poznań i udał się do Warszawy (Przybyszewski 2010). Najprawdopodobniej stało się to w pierwszych dniach września, bowiem ewakuacja urzędów państwowych rozpoczęła się w nocy z 31 sierpnia na 1 września 1939 roku, a cywilne władze wojewódzkie opuściły Poznań w dniach 3 i 4 września (Szymankiewicz 1985). W tej grupie znalazł się przypuszczalnie również Lorkiewicz jako urzędnik państwowy.

Po przybyciu do Warszawy nawiązał współpracę z podziemnym ruchem niepodległościowym (Przybyszewski 2010), a w drugiej połowie grudnia 1940 roku lub na początku 1941 roku został powołany na szefa leśnictwa przez Cyryla Ratajskiego, który objął 14 grudnia stanowisko delegata rządu na kraj (Łukaszewicz 1947, Jenke 1967a). Ratajski, przedwojenny prezydent Poznania, z pewnością dobrze znał byłego dyrektora DLP w Poznaniu, i to mogło zadecydować o powierzeniu Lorkiewiczowi takiej funkcji.

Pierwszą publikacją naświetlającą początki tajnej administracji leśnej jest opracowanie Łukaszewicza (1947), który tak pisał: „Na czele tajnego leśnictwa stanął śp. kolega Teofil Lorkiewicz (pseud. „Sosnowski”), b. dyr. D.L.P. Poznań, a na I zastępcę wyznaczony został śp. kol. Władysław Barański (pseud. „Dąbrowski”), b. dyrektor Wileńskiej Izby Przemysłowo-Handlowej. Szef Leśnictwa oraz I i II zastępcą tworzyli naczelny organ centralny (szczegół ten nie był znany wszystkim członkom Rady).

Kilkuosobowe kolegium, któremu przewodniczył Szef Leśnictwa i w skład którego wchodził obaj zastępcy (II zastępcą był autor opracowania – Zygmunt Łukaszewicz – przyp. W.Ch.), tworzyło Radę Główną jako naczelne ciało wykonawcze”.

Pewne kłopoty sprawia jednak ustalenie sposobu powstania i nazwy organu, którym kierował Lorkiewicz. Łukaszewicz (1947) pomija ten wątek, natomiast Jenke (1967a) twierdzi, że organ ten w postaci Rady Głównej utworzył sam Lorkiewicz po powołaniu go na „szefa leśnictwa przy krajowej ekspozyturze rządu emigracyjnego”; podobnie utrzymują Borczyński i Sztuka (2007), mówiąc o utworzeniu przez Lorkiewicza Rady Głównej Leśnictwa.

Przybyszewski (2010) uważa natomiast, że Radę Główną Leśnictwa powołał Cyryl Ratajski, powierzając jej kierownictwo Lorkiewiczowi wraz z misją zorganizowania tajnych struktur administracji leśnej. Również Fronczak (2013) w okolicznościowym opracowaniu o charakterze popularnonaukowym, nie podając źródeł, pisze, że Lorkiewiczowi powierzono kierownictwo jednostki zajmującej się sprawami leśnictwa.

Podobnie ma się sprawa z nazwą stanowiska zajmowanego przez Lorkiewicza. Łukaszewicz (1947) oraz Jenke (1967a) używają nazwy „szef leśnictwa” i tak samo czynią późniejsi autorzy: Sierotwiński (1972), Pachelska (2001), Borczyński i Sztuka (2007), Broda (2007) oraz Przybyszewski (2010).

Wydaje się jednak, że nazwa „szef leśnictwa” mogła być używana ze względów konspiracyjnych. Ma ona bowiem brzmienie bardziej kolokwialne niż formalne i nie oddaje w pełni służbowego charakteru stanowiska Lorkiewicza. Mając na uwadze organizację Biura Delegata Rządu na Kraj w postaci departamentów problemowych i umiejscowienie spraw leśnictwa w strukturze Departamentu Rolnictwa, można przypuszczać, że stanowisko Lorkiewicza nosiło bardziej formalną nazwę. Wskazywałaby na to informacja podana zarówno w opracowaniu dziejów Delegatury Rządu Rzeczypospolitej Polskiej na Kraj (Grabowski 1995), jak i w późniejszym źródłowym opracowaniu na temat polskiej tajnej administracji cywilnej w czasie II wojny światowej (Grabowski 2003). Nie odnosząc się do nazwy stanowiska, autor ten pisze, że „w ramach Departamentu Rolnictwa działała tajna Dyrekcja Lasów Państwowych, na czele której stał Teofil Lorkiewicz”. Warto także zwrócić uwagę, że Grabowski w obu cytowanych wyżej dziełach nie używa w ogóle nazwy Rada Główna Leśnictwa, który to termin pojawia się w innych opracowaniach (np. Jenke 1967a czy Borczyński, Sztuka 2007).

Ustalenie właściwych nazw stanowisk i wielu jednostek struktury organizacyjnej Delegatury Rządu na Kraj stanowi duży problem, bowiem w konspiracji nie używano przecież nazw rzeczywistych. Departament Rolnictwa, któremu podlegało leśnictwo, poniósł także wielkie straty w materiałach dokumentujących jego działalność. W niektórych z nich pojawia się określenie „dział leśnictwa”, pod którą to nazwą miała się ukrywać tajna Dyrekcja Lasów Państwowych (Waldemar Grabowski – informacja ustna). Wydaje się więc, że przy obecnym stanie badań sprawa nazewnictwa pozostanie na razie nierozstrzygnięta.

W kontekście omawianego wyżej zagadnienia zaskakująco brzmi informacja podana przez Williamsona (2012), brytyjskiego badacza dziejów Polskiego Państwa

Ślub Teofila Lorkiewicza i Ireny Czekay w okupowanej Warszawie, w 1942 roku. Fot. archiwum Romana Lorkiewicza



Podziemnego, o mianowaniu Lorkiewicza przez Ratajskiego szefem Departamentu Rolnictwa i Leśnictwa (!), co nie znajduje jednak potwierdzenia w żadnym polskim opracowaniu tematu. Jeszcze bardziej kuriozalnie brzmią słowa Piotra Szubarczyka z IPN, który 29 lutego 2016 roku podczas uroczystości upamiętniającej leśników-żołnierzy wyklętych nazwał Teofila Lorkiewicza „konspiracyjnym ministrem leśnictwa w Polskim Państwie Podziemnym” (<http://dzieje.pl/aktualnosci/resort-srodowiska-upamietnil-lesnikow-zolnierzy-wykletych>).

W dalszym ciągu tego opracowania będę więc używał nazwy „Rada Główna Leśnictwa”, która jest bardziej utrwalona w dotychczasowym piśmiennictwie i świadomości historyków. Niemniej jednak uważam, że określenie „tajna Dyrekcja Lasów Państwowych” stosowane przez Grabowskiego (1995 i 2003) jest słuszne

i właściwie odzwierciedla zarówno rzeczywisty charakter instytucji kierowanej przez Teofila Lorkiewicza, jak i sprawowanej przez niego funkcji.

RADA GŁÓWNA LEŚNICTWA

Do składu Rady Głównej Leśnictwa, poza pierwszym i drugim zastępcą (patrz wyżej), Lorkiewicz włączył ponadto Franciszka Grychowskiego, Feliksa Soboczyńskiego, Eugeniusza Stankiewicza, Franciszka Szkiłładzia i Jana Vogtmanna. Według Łukaszewicza (1947): „Teren działania podzielony był na okręgi, na czele których stali Szefowie Okręgów. Organem wykonawczym Szefa Okręgu była kilkusobowa Rada Okręgowa złożona z wybitnych i dzielnych leśników działających w stopniu inspektorów – oraz zastępcą Szefa Okręgu.

W pierwszej fazie prac, tj. do jesieni 1943 roku, inspektorat stanowił najniższe ogniwo organizacyjne, co podyktowane było, w pierwszym rzędzie, warunkami konspiracji. Inspektorzy docierali osobiście do osób dzielnych i godnych zaufania, którym wyznaczali zadania szczególne. W drugim etapie zostały powołane do życia komórki niższych stopni przy nadleśnictwach, lecz wykonanie rozłożone zostało na kilka miesięcy”. Utworzenie na terenie Generalnej Guberni konspiracyjnych okręgów odpowiadających poszczególnym przedwojennym dyrekcjom Lasów Państwowych wskazuje wyraźnie na odtwarzanie przez Lorkiewicza przedwojennych struktur administracji leśnej. Również członkowie Rady Głównej oraz delegaci okręgowi byli dobierani spośród osób, które zajmowały różne stanowiska w przedwojennej strukturze organizacyjnej lasów państwowych (Łukaszewicz 1947, Jenke 1967a, Borczyński 2006, Borczyński, Sztuka 2007).

Delegaci okręgowi przyjeżdżali do Warszawy i spotykali się z Lorkiewiczem w drogerii firmy A. Czekay przy ul. Marszałkowskiej 9, róg Chmielnej, w której był on zatrudniony jako kasjer (Zachorowska 2003, Borczyński, Sztuka 2007, Przybyszewski 2010). Antoni Czekay, znany warszawski przemysłowiec, był stryjem drugiej żony Lorkiewicza Ireny z Czekayów, którą poślubił w 1942 roku; w 1943 roku urodził się ich syn – Roman (Lorkiewicz 2015).

Kontakty z terenem umożliwiały Lorkiewiczowi także praca w Spółce dla Handlu Drewnem Opałowym, która została założona przez Polaków w celu legalnego kupowania drewna w nadleśnictwach Generalnego Gubernatorstwa i sprowadzania go do Warszawy, gdzie było sprzedawane. Dochody ze sprzedaży tego drewna przeznaczone były m.in. na cele utworzonej przez Lorkiewicza Komisji Samopomocy Koleżeńskie Leśników (Borczyński 2006), która dysponowała pieniędzmi pochodzącymi ze składek różnych nadleśnictw oraz dotacji od polskich firm handlujących drewnem (Zakrzewski 1967). Spółką Handlu Drewnem kierował Franciszek Grychowski, który zatrudnił w niej ponadto członków Rady Głównej Leśnictwa. Zatrudnienie w spółce umożliwiało Lorkiewiczowi legalne podróżowanie po Generalnej Guberni w sprawach służbowych i spotkanie się z nadleśniczymi Polaka-

mi, zatrudnionymi w niemieckiej okupacyjnej administracji leśnej (Jenke 1967a). Takie kontakty Lorkiewicz utrzymywał m.in. ze Stanisławem Borczyńskim, jednym z delegatów okręgowych, który pracował wówczas w lasach koło Zagnańska (Maciej Borczyński – informacja ustna).

Działalność kierowanej przez Lorkiewicza Rady Głównej Leśnictwa obejmowała cały szereg ważnych dla polskich lasów zagadnień, w tym m.in. dokumentowanie szkód i strat w lasach powodowanych przez niemieckiego okupanta, organizowanie sabotażu polegające na niszczeniu polskich planów urządzania lasów i zastępowanie ich doraźnymi planami zaniżającymi m.in. zasobność drzewostanów i wysokość etatów rębnych (Jenke 1967b). Jednym z najbardziej interesujących działań Rady było przygotowywanie projektów licznych aktów prawnych, w tym ustaw, zarządzeń, instrukcji i statutów organizacyjnych, dla jednostek administracji lasów na czas po wyzwoleniu oraz dla ziem odzyskanych (Stankiewicz 1967).

Szerszy opis zakresu działań podziemnych struktur administracji leśnej kierowanych przez Teofila Lorkiewicza przedstawił następca Lorkiewicza Łukaszewicz (1947), a następnie Stankiewicz (1967), Borczyński (2006) oraz Borczyński i Sztuka (2007).

ŚMIERĆ TEOFIŁA LORKIEWICZA

Okoliczności tragicznej śmierci Teofila Lorkiewicza nie zostały, jak dotąd, przekonująco wyjaśnione. Według Chociłowskiego (1967) w przeddzień wybuchu powstania warszawskiego Teofil Lorkiewicz przyjechał z miejsca swego tymczasowego pobytu w Otrębusach koło Pruszkowa do Warszawy z zamiarem nawiązania kontaktu z łącznikami armii radzieckiej i ujawnienia kierowanej przez siebie leśnej struktury administracyjnej. Wybuch powstania uniemożliwił jednak realizację tego zamiaru. 3 sierpnia 1944 roku Lorkiewicz zostaje uprowadzony z mieszkania przy ulicy Marszałkowskiej 9 wraz z Antonim i Leonem Czekayami przez oddział żołnierzy niemieckich i najprawdopodobniej stracony w siedzibie gestapo w Alei Szucha.

Nieco więcej szczegółów podają Borczyński i Sztuka (2007): „Na ostatnim posiedzeniu poszerzonej Rady Głównej [Leśnictwa] w lipcu 1944 roku debatowana była sprawa ujawnienia Rady wobec spodziewanego lada dzień wkroczenia wojsk sowieckich. Lorkiewicz ogłosił swoją decyzję, że ujawni się sam. W sobotę 29.07.1944 r. na naradzie w ścisłym gronie w zacisznym kantorku na rogu ul. Chmielnej i Marszałkowskiej, zapadło ostateczne postanowienie, że Lorkiewicz, który z rodziną (żona i 2-letni syn) przebywał w Otrębusach, wróci do Warszawy. Tego samego dnia wraca do stolicy. Tymczasem 1.08.1944 r. wybuchło powstanie. W czwartek 3 sierpnia do mieszkania przy ul. Marszałkowskiej 9 wpadł oddział niemieckiej żandarmerii i zabrał Lorkiewicza. Od tej chwili ślad po nim zaginął. Wg oświadczenia żony Ireny i w wyniku ogólnego wywiadu, Lorkiewicz został

rozstrzelany w gmachu siedziby gestapo przy niedalekiej alei Szucha”. *Trzeba dodać, że podczas powstania warszawskiego spłonęło także archiwum Rady Głównej Leśnictwa, zakonspirowane w skrytkach przy ul. Dobrej i ul. Słupskiej w Warszawie* (Łukaszewicz 1947, Borczyński 2006).

Panowicz (2006) zastanawia się, „co skłoniło tak doświadczonego konspiratora do próby nawiązania kontaktu z dowództwem wojsk sowieckich w celu ujawnienia kierowanej przez siebie organizacji. Według niego podejrzewano wówczas, że aresztowanie było wynikiem donosu kogoś, kto znał zamiary Lorkiewicza i w jego nierozważnym postępowaniu zwierzył zdradę”. Hipoteza ta wydaje się wysoce nieuprawniona, bowiem z momentem przekroczenia w styczniu 1944 roku przez Armię Czerwoną granicy polsko-sowieckiej z 1939 roku, rozpoczęła się realizacja planu „Burza”, a jednym z jego elementów było ujawnianie struktur wojskowych i cywilnych wobec wkraczających wojsk sowieckich i współpraca z nimi (Szcześniak 2000). W takim to kontekście decyzji najwyższych władz polskich – emigracyjnych i krajowych – należy więc postrzegać niewykonaną decyzję Teofila Lorkiewicza o ujawnieniu kierowanych przez siebie struktur.

Podejmowane po wojnie starania nie dostarczyły wiedzy na temat okoliczności śmierci Teofila Lorkiewicza. Pojawiła się natomiast informacja zmieniająca powszechnie przytaczaną wersję jego śmierci (Zachorowska 2003, 2013). Autorka ta, powołując się na wspomnienia swej matki Zofii z Trąmpczyńskich Gołuchowskiej, podaje, że Teofil Lorkiewicz został wywleczony ze sklepu Antoniego Czekaya przez grupę Ukraińców i rozstrzelany na pl. Zbawiciela.

Informacja o śmierci Lorkiewicza nie od razu dotarła do członków Rady Głównej Leśnictwa. W tym czasie, po śmierci Władysława Barańskiego w 1943 roku (wg Borczyńskiego 2006 – miało to miejsce 5 stycznia 1944 roku), funkcję pierwszego zastępcy Lorkiewicza objął Zygmunt Łukaszewicz (Łukaszewicz 1947). Początkowo uważano Lorkiewicza za zaginionego i dopiero w październiku 1944 roku, po upadku powstania warszawskiego, pierwszy zastępca przejął funkcje samego Lorkiewicza (Łukaszewicz 1947).

Wielce prawdopodobne jest, że członkowie Rady Głównej Leśnictwa w Warszawie nie wiedzieli wówczas, iż w tym czasie na terenach uwolnionych spod okupacji niemieckiej funkcjonowały już struktury administracji leśnej, którymi z oddolnego wyboru leśników przebywających w Lublinie kierował od sierpnia 1944 roku najpierw Feliks Osiński, a następnie (z nominacji Bolesława Bieruta) od 24 października 1944 roku Stanisław Żemis (Chałupka 2015).

Tragiczne okoliczności śmierci Teofila Lorkiewicza sprawiły, że nieznane pozostaje także miejsce jego pochówku. Jak napisał syn Teofila, mec. Roman Lorkiewicz, w liście skierowanym do dyrektora Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu w 2015 roku: „Rodzina moja, a w szczególności Matka i prof. dr hab. Stanisław Sierotwiński z UJ w Krakowie Wydział Polonistyki czynili wiele, aby uzyskać

informacje o śmierci Ojca, okolicznościach jego zamordowania oraz miejsca pochówku, ale wydaje mi się, że czynności te były bezskuteczne" (Lorkiewicz 2015). Pojawiła się natomiast błędna informacja w *Wielkiej genealogii Minakowskiego* (www.wielcy.pl), że Teofil Lorkiewicz został pochowany na Powązkach (kwatery 30 – wprost, rząd 1, miejsce 17: Helena Czekay inw. 10779).

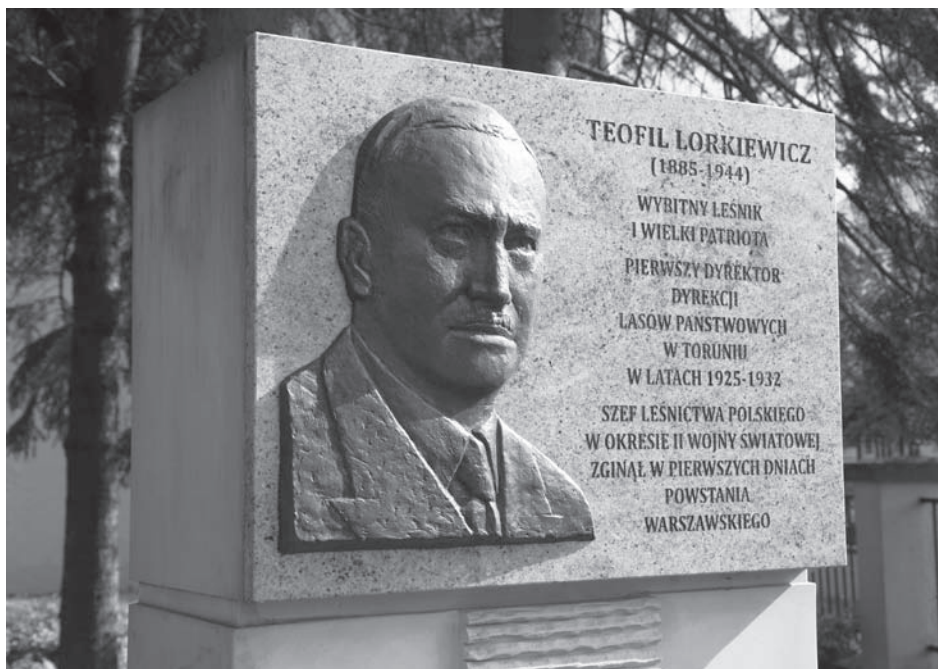
Po upływie tak wielu lat z pewnością trudne, a chyba wręcz niemożliwe będzie uzyskanie odpowiedzi na pytania dotyczące ostatnich chwil życia Teofila Lorkiewicza i miejsca jego ewentualnego pochówku. Drogeria Antoniego Czekaya znalazła się bowiem od początku powstania w ogniu zacieklých walk, na pierwszej linii frontu, a wojska niemieckie oraz kolaboranckie oddziały Rosyjskiej Wyzwoleńczej Armii Ludowej (RONA) nie brały jeńców i na miejscu rozstrzeliwały napotkanych cywilów.

ZAKOŃCZENIE

Osoba i działalność dyrektora Teofila Lorkiewicza zostały najpierw upamiętnione tablicą ufundowaną na grobie pierwszej żony Marii na cmentarzu w Czerniejewie przez jego kolegów. Nieznany jest rok położenia tej tablicy, a jej fundatorami mogli być bądź koledzy-leśnicy z lasów czerniejewskich, z którymi pracował po ukończeniu studiów, bądź współpracownicy z Rady Głównej Leśnictwa, którzy przeżyli wojnę. Następnie przed siedzibą Nadleśnictwa Państwowego w Czerniejewie postawiono w 2015 roku głaz z tablicą upamiętniającą osobę Lorkiewicza. Na grobie kilku osób z rodziny Czekayów na Powązkach w Warszawie znajduje się także tablica symbolicznie upamiętniająca śmierć Teofila Lorkiewicza oraz Antoniego i Leona Czekayów, z którymi został zamordowany. W 2010 roku jedno z rond w Toruniu, zlokalizowane w pobliżu siedziby Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu, otrzymało imię Teofila Lorkiewicza, a w 2015 roku przed gmachem RDLP odsłonięto obelisk z tablicą dedykowaną jego pamięci.

Do niedawna zdjęcie Teofila Lorkiewicza było też umieszczane zarówno w stałej galerii portretów dyrektorów Lasów Państwowych w byłej siedzibie Dyrekcji Generalnej Lasów Państwowych, jak w okolicznościowych rocznicowych publikacjach (Fronczak 2004). Tym bardziej więc dziwne i niezrozumiałe jest usunięcie Teofila Lorkiewicza z pocztu dyrektorów w otwartej w styczniu 2016 roku Izbie Pamięci Lasów Państwowych w nowej siedzibie Dyrekcji Generalnej Lasów Państwowych w Warszawie.

Charakter funkcji oraz zakres i efekty działalności Teofila Lorkiewicza w latach 1940–1944 w pełni uzasadniają używanie w stosunku do niego tytułu dyrektora Lasów Państwowych czasu wojny. Okres II wojny światowej nie był bowiem „białą plamą” w historii polskiego leśnictwa, a lasami polskimi kierował wówczas człowiek, który *de iure* i *de facto* wypełniał wszystkie funkcje dyrektora tajnej podziemnej Dyrekcji Lasów Państwowych (Grabowski 1995, 2003).



Obelisk pamięci dyrektora Teofila Lorkiewicza posadowiony przy siedzibie Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu w 2015 roku. Fot. Tadeusz Chrzanowski

Podziękowania

Pragnę wyrazić wdzięczność osobom, które pomogły mi w opracowaniu tego artykułu, użyczając fotografii i udzielając różnych informacji: pani Marii z Gołuchowskich Zachorowskiej z Krakowa, wnuczce Zbigniewa Trąmpczyńskiego, wieloletniego współpracownika Teofila Lorkiewicza, panu Tadeuszowi Chrzanowskiemu z Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu, panu Piotrowi Grygierowi, byłemu dyrektorowi Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Poznaniu, pani Anecie Briegmann-Smoczyk z Nadleśnictwa Państwowego Czerniejewo oraz panu dr. Maciejowi Borczyńskiemu z Poznania. Panu mecenasowi Romanowi Lorkiewiczowi dziękuję za zgodę na publikację fragmentu jego listu.

Władysław Chałupka

¹Niniejszy artykuł prof. dr. hab. Władysława Chałupki ukazał się w „Studiach i Materiałach Ośrodka Kultury Leśnej w Gołuchowie”, 17, 2018, s. 83-112, pod tytułem „Teofil Lorkiewicz (1885-1944) – dyrektor konspiracyjnej Dyrekcji Lasów Państwowych czasu II wojny światowej” (przyp. Tadeusz Chrzanowski)

Literatura

- Anonim**, 1930, *Rozmaitości*, „Przegląd Leśniczy”, październik, s. 518.
Anonim, 1932, *Komunikaty*, „Dziennik Poznański”, nr 229, s. 4.

- Anonim**, 1933, *Lista uczestników XIV. Zjazdu Przyrodników i Lekarzy w Poznaniu*, „Dziennik XIV. Zjazdu Przyrodników i Lekarzy w Poznaniu”, nr 1, s. 4–9.
- A.Z.**, 1932, *Z Dyrekcji Lasów Państw. w Poznaniu*, „Echa Leśne”, nr 11, s. 4.
- Borczyński M.**, 2006, *Teofil Lorkiewicz – twórca Rady Głównej Leśnictwa i Centralnego Ośrodka Ruchu Oporu Leśników*, [w:] *Z dziejów lasów państwowych i leśnictwa polskiego 1924–2004*, t. 2, *Lata wojny i okupacji*, Centrum Informacyjne Lasów Państwowych, Warszawa, s. 137–144.
- Borczyński M., Sztuka J.**, 2007, *Leśnicy Wielkopolski w walce o niepodległość Polski w II wojnie światowej oraz w naukach leśnych i w zawodzie*, Poznań.
- Broda J.**, 2006, *Organizacja i kierunki eksportu drewna i materiałów drzewnych z lasów państwowych*, [w:] *Z dziejów Lasów Państwowych i leśnictwa polskiego 1924–2004*, t. 1, *Okres międzywojenny*, red. J. Wiśniewski, Centrum Informacyjne Lasów Państwowych, Warszawa, s. 348–379.
- Broda J.**, 2007, *Dzieje najnowsze leśnictwa w Polsce 1918–2006*, t. 1, Polskie Towarzystwo Leśne, Warszawa.
- Broda J.**, 2010, *Lasy Państwowe województwa pomorskiego w okresie międzywojennym*, [w:] *85 lat Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu. Referaty prezentowane podczas Konferencji popularyzatorskiej z okazji 85-lecia Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu, Dwór Artusa, Toruń, 1 lutego 2010 r.*, Wyd. RDLP Toruń, s. 9–16.
- Brzozowski S.**, 1989, *Polacy na studiach gospodarstwa wiejskiego w Niemczech w XIX i XX wieku*, [w:] *Monografie z dziejów nauki i techniki*, t. 146, red. J. Rózewicz, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk-Łódź, s. 125–143 + Aneks VII.
- Chałupka W., Modrzyński J.**, 2012, *Polscy studenci w Królewskiej Saskiej Akademii Leśnej w Tharandcie w latach 1816–1919*, „Stud. Mater. Ośr. Kult. Leśn.”, 11, s. 17–50.
- Dolatowski J., Prokopiv A., Szmit B.J.**, 2009, *Okruchy historii Polskiego Towarzystwa Dendrologicznego*, „Rocznik Polskiego Towarzystwa Dendrologicznego”, vol. 57, s. 49–74.
- Dzbeński W., Pachelska H.**, 2006, *Tartacznictwo i przemysł leśny w II Rzeczypospolitej*, [w:] *Z dziejów Lasów Państwowych i leśnictwa polskiego 1924–2004*, t. 1, *Okres międzywojenny*, red. Jerzy Wiśniewski, Centrum Informacyjne Lasów Państwowych, Warszawa, s. 327–347.
- Fronczak K.**, 2004, *Zielony skarbiec Polski*, Centrum Informacyjne Lasów Państwowych, Warszawa, s. 167.
- Grabowski W.**, 1995, *Delegatura Rządu Rzeczypospolitej Polskiej na Kraj*, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa.
- Grabowski W.**, 2003, *Polska tajna administracja cywilna 1940–1945*, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa.
- Jenke S.**, 1967a, *Organizacja i działalność ośrodka cywilnego oporu*, [w:] *Leśnictwo polskie w okresie drugiej wojny światowej*, Państwowe Wydawnictwo Rolnicze i Leśne, Warszawa, s. 140–145.
- Jenke S.**, 1967b, *Akty cywilnego oporu przeciw wykonywaniu niemieckich planów gospodarczych*, [w:] *Leśnictwo polskie w okresie drugiej wojny światowej*, Państwowe Wydawnictwo Rolnicze i Leśne, Warszawa, s. 145–153.
- J.T.Ł.**, 2009, *Obywatele Sierakowa i okolic – uczestnicy Powstania Wielkopolskiego 1918–1919 r.*, „Sierakowskie Zeszyty Historyczne”, 3, s. 17–121.
- J.T.Ł.**, 2011, *Trudne i późne początki przeobrażeń*, „Sierakowskie Zeszyty Historyczne”, 6, s. 51–62.
- Kamiński Ł.**, 2012, *Regionalna Wystawa Rolniczo Przemysłowa Powiatu Kępińskiego 1934 r.* (<http://tpl-lukus.kepno.pl>).
- Kostrzewski J.**, 1970, *Z mego życia – pamiętnik*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław-Warszawa-Kraków.
- Kostyrko J.**, 1931, *Kurs dokształcający dla leśniczych w Dyrekcji Toruńskiej L.P.*, „Echa Leśne”, rok VIII, nr 1.
- L.Ch. [Chociłowski]**, 1933, *Święto patrona myśliwych w Spale*, „Echa Leśne”, rok X, nr 12, s. 16–19.
- Lochmann K., Lochmann E.**, 2011, *Das Ausländerstudium an der Tharandter Lehr- und Forschungsstätte von 1811 bis 1945*, *Forstwissenschaftliche Beiträge Tharandt*, Beiheft 11, s. 1–206 + Anhang, s. 1–101.
- Lorkiewicz R.**, 2015, *Informacje z listu do Dyrektora Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych z dnia 21 czerwca 2015*, Archiwum RDLP Toruń.

- Łukaszewicz Z.**, 1947, *Lasy w podziemiu. Działalność władz centralnych*, [w:] *Sprawozdanie Zarządu Głównego za okres 1945–1947*, Związek Zawodowy Pracowników Leśnych i Przemysłu Drzewnego RP, s. 23–34.
- Pachelska H.**, 2001, *Lorkiewicz Teofil*, „Słownik Biograficzny Leśników i Drzewiarzy Polskich”, z. 1, s. 55.
- Panowicz T.**, 2006, *Leśnik konspirator*, „Reporter Gnieźnieński”, nr 9, s. 8.
- Pomeranke L.**, 2010, *Zarys dziejów Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu w latach 1920–1939*, [w:] *85 lat Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu. Referaty prezentowane podczas Konferencji popularno-naukowej z okazji 85-lecia Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu, Dwór Artusa, Toruń, 1 lutego 2010 r.*, Wyd. RDLP Toruń, s. 17–22.
- Pomeranke L., Chrzanowski T.**, 2015, *Zarys dziejów Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu w latach 1920–1939*, „Życie Lasów Kujawsko-Pomorskich”, nr 1/74, s. 9–13.
- Przybylski i Szulczewski**, 1924, *Protokół Walnego Zebrania Oddziału Poznańskiego Zw. Zaw. Leśników w Rzplitej Polskiej, odbytego w dniu 24-go sierpnia 1924 r. w Poznaniu*, „Przegląd Leśniczy”, wrzesień, s. 167–174.
- Przybyszewski K.**, 2010, *Dyrektorzy Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu w międzywojennym dwudziestolecu*, [w:] *85 lat Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu. Referaty prezentowane podczas Konferencji popularno-naukowej z okazji 5-lecia Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu, Dwór Artusa, Toruń, 1 lutego 2010 r.*, Wyd. RDLP Toruń, s. 23–28.
- Przybyszewski K.**, 2015, *Dyrektor Teofil Lorkiewicz (1885–1944)*, „Życie Lasów Kujawsko-Pomorskich”, nr 1/74, s. 16–18.
- Rozporządzenie Rady Ministrów** z dnia 8 lipca 1932 r. o zniesieniu Dyrekcji Lasów Państwowych w Bydgoszczy (Dz.U. nr 64, poz. 600: 1250).
- Sierotwiński S.**, 1972, *Lorkiewicz Teofil*, [w:] *Polski Słownik Biograficzny*, t. 17, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wyd. PAN, s. 561.
- Stankiewicz E.**, 1967, *Przygotowywanie przez leśników polskich podstaw organizacji gospodarki leśnej w Polsce po wojnie*, [w:] *Leśnictwo polskie w okresie drugiej wojny światowej*, Państwowe Wydawnictwo Rolnicze i Leśne, Warszawa, s. 166–169.
- Stankiewicz J.**, 2006, *Lista pasażerów okrętu MS PIŁSUDSKI na wycieczce turystycznej po norweskich fiordach w dniach 19–30 sierpnia 1936 r.* (<http://www.stankiewicz.e.pl/forum>).
- Szcześniak A.L.**, 2000, „Burza”, [w:] *Encyklopedia „Białych Plam”*, t. III, s. 237–241.
- Szymankiewicz Z.**, 1985, *Poznań we wrześniu 1939*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań.
- Williamson D.G.**, 2012, *The Polish Underground 1939–1947. Campaign Chronicles*, Pen & Sword Military an imprint of Pen & Sword Books, Barnsley, South Yorkshire.
- Wykaz stypendyatów** wspieranych od 1-go Stycznia do 31 Grudnia 1904 roku przez Towarzystwo Pomocy Naukowej imienia Karola Marcinkowskiego dla Młodzieży Wielkiego Księstwa Poznańskiego, Poznań, s. 10.
- Wykaz stypendyatów** wspieranych od 1-go Stycznia do 31 Grudnia 1907 przez Towarzystwo Pomocy Naukowej imienia Karola Marcinkowskiego dla Młodzieży Wielkiego Księstwa Poznańskiego, Poznań, s. 7.
- Wykaz stypendyatów** wspieranych od 1-go Stycznia do 31 Grudnia 1908 przez Towarzystwo Pomocy Naukowej imienia Karola Marcinkowskiego dla Młodzieży Wielkiego Księstwa Poznańskiego, Poznań, s. 7.
- Wykaz stypendyatów** wspieranych od 1-go Stycznia do 31 Grudnia 1909 przez Towarzystwo Pomocy Naukowej imienia Karola Marcinkowskiego dla Młodzieży Wielkiego Księstwa Poznańskiego, Poznań, s. 8.
- Wykaz urzędników leśnych**, pracujących w Urzędach i lasach państwowych byłej dzielnicy pruskiej wg stanu na 1 marca 1921, Archiwum Państwowe w Poznaniu, Ministerstwo byłej Dzielnicy Pruskiej w Poznaniu, sygn. 53/295/0/1/615, Leśnictwo: skany 118–127.
- Zachorowska z Gołuchowskich M.**, 2003, *Przypadki rodzinne. Henryk Trąmpczyński i jego potomkowie XIX–XX w.*, Kraków.
- Zachorowska M.**, 2013, *Przez całe życie leśnikiem. Opowieść o Zbigniewie Trąmpczyńskim (1884–1966)*, „Stud. Mater. Ośr. Kult. Leśn.”, 12, s. 181–204.
- Zakrzewski E.**, 1967, *Samopomoc społeczno-gospodarcza leśników*, [w:] *Leśnictwo polskie w okresie drugiej wojny światowej*, Państwowe Wydawnictwo Rolnicze i Leśne, Warszawa, s. 246–249.



Władysław Chwalibogowski (1889 – 1955)

Dyrektor WŁADYSŁAW CHWALIBOGOWSKI

(1889-1955)



okresie międzywojennym Dyрекcją Lasów Państwowych w Toruniu, od chwili jej utworzenia w 1925 roku, kierowało kolejno trzech dyrektorów: Teofil Lorkiewicz, w latach 1925-1932, po nim krótko, w latach 1932-1934 rządził dyrektor Józef Zagórski, natomiast od 1934 roku do wybuchu II wojny światowej, dyrektorem był Władysław Chwalibogowski.

Władysław Karol Nałęcz Chwalibogowski syn Artura i Katarzyny z domu Neuhauser (Najhauser), z pochodzenia Austriaczki, urodził się 23 września 1889 roku w Stanisławicach, powiat Bochnia, województwo krakowskie. Rodzina Chwalibogowskich pieczętowała się herbem Nałęcz, który jest jednym z najstarszych polskich herbów szlacheckich.

Ojciec Władysława, Artur, urodził się 22 maja 1858 roku w Niegoszowicach. 10 lipca 1883 roku zdał egzaminy w Hochschule für Bodenkultur (Akademia Agronomiczna) w Wiedniu i otrzymał tytuł inżyniera leśnictwa. W 1904 roku pracował jako zarządca lasów w Taniawie, powiat Bolechów. Później pełnił służbę na stanowisku leśniczego w Jabłonowie pod Kołomyją. Artur Chwalibogowski zmarł w 1924 roku i został pochowany w Jabłonowie. Matka Władysława, Katarzyna Chwalibogowska urodziła się w 1863 roku, zmarła w 1945.

Władysław Chwalibogowski był najstarszy z czwórki rodzeństwa. Miał braci Artura i Stanisława oraz siostrę Walerię. Młodszy brat Stanisław zmarł w młodości. Władysław bardzo przeżył śmierć brata, co miało ogromny wpływ na wzmocnienie więzi z rodzeństwem. Po śmierci ojca stał się niekwestionowaną „głową” rodziny i autorytetem dla młodszego rodzeństwa. Matka Władysława po śmierci męża nie pracowała zawodowo i obowiązek utrzymania rodziny spoczął na barkach najstarszego syna. Dzieci Artura i Katarzyny Chwalibogowskich otrzymały staranne wykształcenie.

Władysław Chwalibogowski, obok języka ojczystego swobodnie posługiwał się niemieckim i ukraińskim. Uczęszczał do III Gimnazjum w Krakowie, gdzie w 1908 roku uzyskał świadectwo dojrzałości. Następnie studiował na Wydziale Leśnym Hochschule für Bodenkultur w Wiedniu. Po ukończeniu studiów, 26 kwietnia 1913 roku, uzyskał - podobnie jak wcześniej jego ojciec - dyplom inżyniera leśnictwa. Ożenił się z Janiną z Matuszewskich, z którą mieli dwoje dzieci, Alicję i Artura.



Władysław Chwalibogowski
z żoną Janiną z Matuszewskich.
Fot. archiwum Magdy Skowronek

WYKSZTAŁCENIE LEŚNE

Akademia Hochschule für Bodenkultur w Wiedniu powstała w 1872 roku. W latach 1875-1918 leśnictwo studiowało tam 818 osób z Galicji i Bukowiny, z czego 610 to byli Polacy. Tak znacząca liczba Polaków spowodowana była tym, że uczelnia ta, jako jedyna w tej części Europy, dawała możliwość zdobycia wyższego wykształcenia leśnego. Inne galicyjskie szkoły rolnicze, w Dublanach i Krakowie, nie posiadały oddziałów leśnych, a działająca od 1874 roku Szkoła Lasowa we Lwowie dopiero w 1904 uzyskała status uczelni wyższej.

Wśród Polaków studiujących w Hochschule für Bodenkultur byli ojciec i syn, Artur i Władysław Chwalibogowscy. Artur Chwalibogowski (ojciec) zapisał się na tę renomowaną uczelnię w roku 1878 i studiował w systemie sześciu semestrów. Absolutorium uzyskał w 1882 roku, a 10 lipca 1883 zdał drugi egzamin i otrzymał tytuł inżyniera leśnictwa. Podobną drogę życiową obrał Władysław. Rozpoczął naukę na wydziale leśnym w 1908 roku. Był zdolnym i wybitnym studentem. W 1912 uzyskał absolutorium, a 26 kwietnia 1913 zdał trzeci egzamin państwowy i uzyskał tytuł inżyniera leśnictwa.

PRACA

Po ukończeniu studiów, 15 sierpnia 1913 roku, Władysław Chwalibogowski podjął pracę na stanowisku adiunkta leśnego w Fundacji Skarbkowskiej i pracował tam do 15 sierpnia 1914, po czym podjął pracę w Dyrekcji Lasów Państwowych we Lwowie. Przepracował tam ponad cztery lata, od 29 sierpnia 1914 do 31 października 1918 roku. Na kilka dni przed odzyskaniem niepodległości przez Polskę, 1 listopada 1918, podjął pracę na stanowisku zastępcy nadleśniczego w Nadleśnictwie Końskie, które leżało w granicach Okręgu Lasów i Dóbr Państwowych w Radomiu. Na stanowisku tym pracował do 14 marca 1919, następnie objął stanowisko nadleśniczego w Nadleśnictwie Jednorozec w Zarządzie

Okręgu Lasów i Dóbr Państwowych w Warszawie. Pracował tam do 31 sierpnia 1921 roku, po czym został przeniesiony, na krótko, na równorzędne stanowisko do Nadleśnictwa Rżanec, a później, w latach 1922-1926 do Nadleśnictwa Lubień, w tejże dyrekcji.

29 grudnia 1926 roku Minister Rolnictwa i Dóbr Państwowych Karol Niezabytowski powołał Chwalibogowskiego na stanowisko inspektora lasów państwowych w Dyrekcji Lasów Państwowych w Warszawie. W tym czasie rozpoczęła się jego długoletnia współpraca z Adamem Loretem, przyszłym dyrektorem naczelnym Lasów Państwowych. W 1930 roku został mianowany na zastępcę Adama Loreta, gdy ten był dyrektorem Dyrekcji Lasów Państwowych w Warszawie. Z chwilą mianowania Loreta na kierownika Dyrekcji Naczelnej LP w 1931 roku, Chwalibogowski przez blisko cztery lata pełnił obowiązki dyrektora Dyrekcji LP w Warszawie. 1 lutego 1934 roku Minister Rolnictwa i Reform Rolnych Bronisław Nakoniecznikow-Klukowski mianował go dyrektorem Dyrekcji Lasów Państwowych w Warszawie, a po pół roku został przeniesiony na równorzędne stanowisko do dyrekcji w Toruniu.

LATA WOJNY I OKUPACJI

Po wybuchu drugiej wojny światowej Władysław Chwalibogowski wyjechał z Torunia do Lwowa, gdzie wkrótce został członkiem Rady Głównej Leśnictwa



Władysław Chwalibogowski (pierwszy z lewej) z rodziną podczas pobytu na wakacjach.
Fot. archiwum Magdy Skowronek



Dyrektor Władysław Chwałibogowski (pośrodku w garniturze) i pracownicy Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu. W środku widoczna urna z ziemią przeznaczoną na kopiec Piłsudskiego w Krakowie. Rok 1935. Fot. archiwum Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu

i kierownikiem Działu Lasów Departamentu Rolnictwa Delegatury Rządu na Kraj oraz tajnej Dyrekcji Lasów Państwowych na okręg lwowski. Stanowisko kierownika powierzył mu Teofil Lorkiewicz, stojący – z ramienia Rządu emigracyjnego – na czele tajnej Dyrekcji Lasów Państwowych.

Działalność w Radzie Głównej Leśnictwa oraz kontynuowanie pracy w lasach były najprawdopodobniej przyczyną poszukiwań jego osoby przez NKWD. Będąc zagrożonym ze strony okupantów sowieckich, Chwalibogowski jako obywatel Generalnej Guberni wrócił do Warszawy, gdzie od 15 czerwca 1941 roku do 30 sierpnia 1944, pracował w Spółdzielni Leśników. W roku 1941 był aresztowany przez Gestapo i więziony na Pawiaku w Warszawie. Po upadku Powstania Warszawskiego został wysiedlony z Warszawy, tracąc całe mienie.

TRUDNA, POWOJENNA RZECZYWISTOŚĆ

Po przejściu frontu, Władysław Chwalibogowski udał się do Dyrekcji Naczelnej Lasów Państwowych, działającej w tym czasie w Łodzi. Tam, Minister Rolnictwa i Reform Rolnych Edwarda Bertold, powierzył mu pełnienie obowiązków dyrektora w organizowanej na ziemiach zachodnich Bałtyckiej Dyrekcji Lasów Państwowych w Nowym Szczecinie (zmienionym później na Szczecinek). Paradoxem było, że w terenie oddalonym od dyrekcji o 20 km stacjonowały wojska sowieckie, z którymi Władysław Chwalibogowski musiał na co dzień współpracować. Kiedy otrzymał informację i ostrzeżenie, że jest poszukiwany przez NKWD wyjechał bezzwłocznie, 30 listopada 1946 roku do Krakowa. Tam podjął pracę w administracji Lasów Państwowych, na początku na stanowisku kierownika Biura Inspekcji w Dyrekcji Lasów Państwowych Okręgu Krakowskiego, które pełnił do 30 września 1949 roku, następnie został oddelegowany na stanowisko referendarza w Biurze Planowania i Organizacji, skąd 1 stycznia 1950 roku został przeniesiony na równorzędne stanowisko w Dziale Administracyjnym tejże dyrekcji. W lasach państwowych pracował do 31 maja 1953 roku.

Z relacji rodziny wiadomo, że Władysław żył w ciągłej obawie przed aresztowaniem. Stopniowo opadał z sił. W 1952 roku wystąpił o urlop ze względu na zły stan zdrowia. W 1953 przeszedł na emeryturę, mając nadzieję, że rozpocznie spokojne życie. Nie było mu to jednak dane. Zmarł 2 kwietnia 1955 roku w wieku 66 lat. Z relacji rodzinnych wiadomo również, że podczas Wielkiego Tygodnia skorzystał z sakramentu spowiedzi. Po jej odbyciu w kościele, usiadł w ławce, modlił się i w takich okolicznościach doznał zawału serca. Został pochowany w grobie rodzinnym na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

Władysław Chwalibogowski przepracował w leśnictwie blisko czterdzieści lat. W historii Lasów Państwowych zapisał się jako ich wybitny współtwórca i organizator.

Magda Skowronek



Antoni Tomaszek (1889 – 1939)

Nadleśniczy ANTONI TOMASZEK

(1889-1939)



óJ Ojciec Antoni Tomaszek urodził się 8 czerwca 1889 r. w Wadowicach, niedaleko Krakowa, na terenie tzw. Galicji pozostającej w latach 1772-1918 pod zaborem austriackim. Był synem Adama i Eufemii z domu Długaj, najmłodszym spośród siedmiorga dzieci. Źródłem utrzymania rodziny był sklep kolonialny, który prowadzili rodzice Ojca.

Kiedy Antoni miał cztery lata, zmarł jego ojciec. Szkołę Powszechną ukończył w Wadowicach, a średnią w Krakowie. Na studia dostał się dzięki dużej zapobiegliwości matki, naszej babci Eufemii. Znała doskonale język niemiecki i jak wieść rodzinna niesie, dotarła nawet do samego Franza Josepha I w Wiedniu co zaowocowało tym, że syn Antoni dostał się na studia w słynnej Hochschule für Bodenkultur w Wiedniu (Wyższa Szkoła Rolnicza, często błędnie tłumaczona jest, również przed II wojną światową, jako „Wyższa Szkoła Ziemiańska”). Sponsorem tego etapu kształcenia był książę Franciszek Radziwiłł. W zamian za finansowanie studiów student zobowiązany był do rozliczenia się z postępów w nauce oraz odbycia praktyk leśnych we wskazanym mu miejscu. Z zachowanych dokumentów wynika, że Antoni praktykował leśnictwo w wielu miejscach: Tęczynku u hrabiego Tęczyńskiego (1911), w Pcimiu u księcia Kazimierza Lubomirskiego (1912), w Krakowie u księcia Franciszka Radziwiłła (1912), w Königsberg Schlos Steinhoff Georg Freicherr Haas von Hasenfels (1913), w Podciemnem blisko Lwowa u hr. Romana Potockiego (1914), w Nagawczynie koło Dębicy u hr. Edwarda Raczynskiego (1918) oraz w Krasiczynie u księcia Leona Sapiehy (1919).

Równocześnie młody Antoni Tomaszek uczestniczył w przedsięwzięciach o charakterze wojskowym. W latach 1912-1914 działał w Polskich Drużynach Strzeleckich, w latach 1914-1916 w Legionach Piłsudskiego, a w latach 1916-1918 był powołany i służył w Armii Austriackiej.

Kiedy w 1918 roku odbywał praktyki leśne w Nagawczynie koło Dębicy, poznał córkę administratora tamtejszych dóbr, dwudziestoletnią Zofię Sękowską która uczyła się wówczas w Seminarium Nauczycielskim u Sióstr Nazaretanek w Krakowie, gdzie również zdobywała umiejętności gry na pianinie. Antoni i Zofia bardzo się sobie spodobali. Był okres letnich wakacji, spotykali się często. Zaręczyli się. Po wakacjach Zofia kontynuowała naukę w Krakowie, a Antoni już z dyplomem inżyniera leśnika, po odbytych praktykach zawodowych i odsłużeniu wojska otrzymał propozycję pracy w Krasiczynie koło Przemyśla, w dobrach księcia Leona Sapiehy. Jednak pracy tej nie przyjął, chciał bowiem pracować w lasach państwowych. I tak się wkrótce stało, przyjął służbę nadleśniczego

w Nadleśnictwie Państwowym Mirachowo na Kaszubach, na terenie Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu. Zlikwidował wówczas mieszkanie w Wadowicach i przywiózł swoją matkę do nowego miejsca pracy i zamieszkania. A praca nie była łatwa. Długo trwało, nim zdobył zaufanie miejscowej ludności kaszubskiej, bowiem naród to twardy i nieufny wobec przyjezdnych.

Tymczasem Zofia kończyła naukę w Krakowie. Maturę zdała z wyróżnieniem. Wtedy przyjechał narzeczonny. Wzięli cichy ślub, bo czasy były powojenne, ciężkie. Zabrał żonę do siebie do Mirachowa, gdzie czekało ich zupełnie inne życie, inne warunki, nawet inny klimat.

Antoni Tomaszek był nadleśniczym Nadleśnictwa Mirachowo od kwietnia 1920 roku do stycznia 1928. W tym czasie w małżeństwie Tomaszków urodziło się troje dzieci: Andrzej, Maria i Stanisław. Prawdopodobnie jednak rodzina nie najlepiej znosiła nadmorski klimat, więc Ojciec postanowił przenieść się gdzieś w głąb kraju.

NADLEŚNICTWO KONSTANCJEWÓ

Wybór padł na Nadleśnictwo Konstancjewo w tym samym województwie pomorskim, także w Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu. Najbliższym miastem w nowym miejscu zamieszkania był odległy o siedem kilometrów Golub. Dom mieszkalny w Konstancjewie był duży, jednopiętrowy, składał się z dziewięciu pomieszczeń i werandy. Przy domu był ogród, w którym Ojciec założył sporą pasiekę na kilkanaście uli. Biuro nadleśnictwa mieściło się w przybudówce zabudowań gospodarczych. Pracownicy biura mieszkali w tzw. sekretarzówce usytuowanej przy trakcie wiodącym do Golubia. Leśniczówki były znacznie oddalone od siedziby nadleśnictwa. Jedynie leśniczówka Leśnictwa Bobrowisko zlokalizowana nad Drwęcą była odległa zaledwie o półtora kilometra od naszego domu. Ojciec miał w domu swój gabinet z telefonem i sporą biblioteką, gdzie przyjmował interesantów. Obok gabinetu był jeszcze pokój inspektorski.

Jak pamiętam, od zawsze mieszkała z nami matka naszego Ojca, babcia Eufemia, którą on szanował i bardzo kochał. Rodzice byli zgodni, nigdy nie słyszełiśmy kłótni, czy podniesionego głosu. Codziennie wieczorem klękali i wspólnie modlili się przed snem. Bywali u nas goście, odbywały się spotkania towarzyskie, ale nigdy nie widziałam Ojca pijanego, natomiast jego pasją była gra w brydża. Z grona znajomych pamiętam okolicznych właścicieli ziemskich – Prabuczych (majątek Nowa Wieś) i Rzyskich (dzierżawcy majątku Pusta Dąbrówka). Za Drwęcą mieszkał znajomy Ojca, senator Jan Rudowski, wybitny działacz rolniczy, ziemianin i polityk. Córka Rudowskiego przyjaźniła się z Wandą Piłsudską, córką Marszałka. Obie jeździły konno i odwiedzały czasem nasze nadleśnictwo.

Rodzice mieli z nadleśnictwa deputat – pole orne i łąki, wszystko starannie zagospodarowane. W gospodarstwie był zatrudniany gospodarz Sikorski i jesz-



Zofia i Antoni Tomaszowie (w środku) z wizytą u Państwa Rzyskich w majątku Pusta Dąbrówka w 1938 roku. Fot. archiwum Jadwigi Tomczak



Nadleśniczy Antoni Tomaszek (stoi pierwszy z prawej) z rodziną przed domem mieszkalnym w Konstancjewie, latem 1938 roku. Fot. archiwum Jadwigi Tomczak

cze pomocnik ze wsi do cięższych prac gospodarskich. Było dziesięć krów, cztery konie, chlew pełen świń. Było też zawsze liczne stado wszelkiego drobiu – kur, indyków, kaczek, perliczek i gęsi. W gołębniku nad naszą sypialnią gruchały gołębie. Ojciec był myśliwym i miał cztery psy o charakterystycznych imionach: Karo, Kier, Pik i Trefl. Całym tym gospodarstwem zajmowała się Mama, czyniła potrzebne uzgodnienia, doglądała prac i dbała o sprzedaż nadwyżki produktów rolnych i rozliczeń z pracownikami. Mama też założyła warzywnik i szparagarnię, a przed werandą, gdzie w dużej mierze toczyło się latem nasze codzienne życie, był ogromny i piękny klomb z kwiatami. W ogrodzie, w miejscu zacienionym funkcjonowała swoista chłodnia-lodownia, gdzie zimą, na dużej głębokości zakopywano w trocinach bryły lodu, przywożone z Drwęcy. Największym mankamentem osady leśnej w Konstancjewie był brak elektryczności. Wieczorny obrządek wykonywano przy lampach naftowych i latarkach wyposażonych w zwykłe świece.

Z lokalnych wydarzeń pamiętam, że w 1937 roku, z inicjatywy rodziców wybudowano nieopodal siedziby nadleśnictwa kapliczkę z Matką Boską i wówczas na zaproszenie rodziców przybył do Konstancjewa ksiądz proboszcz, Bronisław Kownacki z Golubia, żeby ten obiekt sakralny poświęcić. Wiem, że kapliczka stoi do dziś, służy ludziom i jest zadbana.

WOJNA I OKUPACJA

Tuż przed wojną ja i moje rodzeństwo uczęszczaliśmy do różnych szkół z dala od domu. Najstarszy Andrzej uczył się w Gimnazjum we Włocławku, Marysia u Sióstr Urszulanek w Kościerzynie, brat Staś i ja w Szkole Powszechnej w Kartuzach, gdzie mieszkała i uczyła nasza ciocia Stefa. Na wakacje 1939 roku zjechaliśmy wszyscy, cała czwórka, do rodzinnego domu w Konstancjewie. Przyjechały również siostry Ojca, Stefa, Zofia i Elżbieta, z zawodu nauczycielki. W wakacyjną beztroskę wdzierał się jednak niepokój i poczucie zagrożenia. Dorośli, radio i gazety często rozprawiali o możliwej wojnie.

Pierwszego września już o ósmej rano Ojciec odebrał telefon z informacją, że „Niemcy wdarli się w granice Polski i należy natychmiast przystąpić do ewakuacji”. Ustalono, że najpierw pojadą rodziny leśników, a nadleśniczy i leśniczowie po zabezpieczeniu swoich placówek i dokumentów wyruszą za nimi w kierunku na Warszawę, a dalej na Włodzimierz Wołyński. Gdyby nie ta ewakuacja, nie wiedzielibyśmy, co to bomby, strach, trupy ludzkie, końskie, co to wojna, głód, brak snu i dachu nad głową. Prawie miesiąc trwała włóczęga, zanim z powrotem znaleźliśmy się w domu. Ojciec wrócił przed nami i już tracił nadzieję, że nas jeszcze zobaczy wśród żywych. Toteż radość spotkania była ogromna, jednak nie trwała długo. Kończył się wtedy ciepły wrzesień, gdy Ojciec wyjechał bryczką do lasu. Długo nie wracał, a my czekaliśmy z rosnącym niepokojem. Nastała

noc, zaczęliśmy się modlić na różańcu. To była strasznie długa noc. Dopiero rano zajechała pod dom bryczka księdza z Kurkocina, czy z Dębowej Łąki. Przywieźli zmaltretowanego Ojca. Powiedział nam, że zatrzymali go uzbrojeni Niemcy, kazali wysiadać, bili po twarzy. Później zaprowadzili Ojca do piwnicy młyna i wraz z innymi zatrzymanymi mężczyznami-Polakami kazali szuflować ziarno. Oprawcy bili Ojca gumowymi pałami aż do utraty przytomności. Teraz z trudem wysiadł z bryczki. Widzieliśmy jego zmasakrowane plecy. Z bólu nie mógł ani siedzieć, ani leżeć. Cierpieniem był każdy ruch.

Niemcy nie dali Ojcu spokoju. Byli to ludzie z oślawionego zbrodniami na Polakach Selbstschutzu. Nie znaliśmy ich, chociaż rekrutowali się z miejscowej mniejszości niemieckiej, przez co byli szczególnie niebezpieczni, znali bowiem lokalne uwarunkowania społeczne i co wybitniejszych przedstawicieli polskiego społeczeństwa. Jesienią 1939 roku wyróżnili się w zbrodniach na polskiej inteligencji. W Konstancjewie pojawili się po trzech dniach uzbrojeni w karabiny. Obstawili dom i bez słowa wyjaśnienia nakazali Ojcu i jechać z nimi. Nigdy nie zapomnę naszego pożegnania. Wszyscy płakaliśmy. Tato najdłużej żegnał się z Mamą: „Ja wrócę – mówił – nie płacz, ja wrócę.” I tak nagle zostaliśmy sami: sparaliżowana 82-letnia babcia Eufemia, mama (39 lat – urodzona w 1900 roku), najstarszy 17-letni Andrzej, 15-letnia Marysia, 13-letni Staś i ja, 10-letnia Jadwiga. Była wtedy też z nami siostra Ojca, ciocia Stefa.

Czekaliśmy na Ojca, jednak on nie wracał. Pojawiły się pogłoski, że jest więziony w obiektach Państwowego Przedsiębiorstwa Gumowego (PPG) w Wąbrzeźnie. Nie była to jednak oficjalna wiadomość. Postanowiliśmy sami sprawdzić. Pewnego dnia pojechaliśmy we dwie z Mamą do Wąbrzeźna z nadzieją spotkania Ojca. Nie wiem już, jak to się stało, że zobaczyliśmy go w okienku na ostatnim trzecim piętrze budynku należącego do zakładów PPG. On też nas zauważył i pokiwał ręką. Tak upewniliśmy się, że Ojciec jest więziony w Wąbrzeźnie.

FORSTMEISTER GENE

Tymczasem w Nadleśnictwie Konstancjewo pojawiło się dwóch nowych Niemców przybyłych z Rzeszy. Przedstawili się nam jako forstmeister Gene (wymowa „Żene”) i sekretarz Reis. Stwierdzili, że przyjechali z Niemiec i obejmują nadleśnictwo. Mama dobrze znała niemiecki jeszcze ze szkoły, dlatego z komunikacją nie było problemu. Panowie ci byli najpierw uprzejmi i grzeczni. Posiłki dla całej naszej rodziny oraz dla dwóch przybyłych niemieckich leśników robiła ciocia Stefa. Wieczorami forstmeister rozmawiał z Mamą o naszym Ojcu. Dziwił się i nie rozumiał, jak mógł być aresztowany bez jakiegokolwiek winy. Obiecał, że pojedzie do Wąbrzeźna, by interweniować w jego sprawie. Jak powiedział, tak zrobił. Pojechał do Wąbrzeźna, a tam mu powiedzieli, żeby od sprawy aresztowania polskiego nadleśniczego Tomaszka trzymał się z daleka, jeśli sam nie chce

trafić do więzienia. Od tego dnia Gene stał się wobec nas oficjalny i niedostępny. Oznajmił też mamie, że niebawem przyjedzie z Niemiec jego żona z córkami. Stało się jasne, że dla nas w nadleśnictwie miejsca już nie będzie.

Kończył się październik, zrobiło się chłodno. Mama zapakowała ciepłą bieleźnię dla Ojca i zawiozła do miejsca aresztu (PPG) w Wąbrzeźnie. Tam jednak powiedzieli, że Antoniego Tomaszka nie ma, bo „pojechał doglądać prac leśnych”. Nawet przez myśl nam nie przeszło, że mógł już nie żyć. Ciągłe wierzyliśmy, że do nas wróci. Mama opowiadała mi później, że pamięta taką rozmowę z Ojcem, jeszcze sprzed wojny, kiedy on powiedział: „Wiesz, bardzo kocham las i lubię w nim przebywać. Nie zamieniłbym tej pracy na żadną inną. Tu jestem na właściwym miejscu. Kiedyś, gdy już umrę nie chciałbym leżeć na cmentarzu. Wolałbym spocząć w lesie, pośród drzew”.

EKSMISJA, PRACA, „PRUEFUNG”

Tymczasem, do Nadleśnictwa Konstancjewo przyjechała żona forstmeistra Gene z córkami i zażądała natychmiastowej eksmisji naszej rodziny. Sprowadziła policję z Golubia i osobiście dyrygowała, co z naszych rzeczy możemy zabrać, a co ma pozostać. Mama z trudem znalazła mieszkanie w Dobrzyniu. Było zaniebane, z karaluchami i pluskwami. Pilną sprawą było też znalezienie jakiegokolwiek zatrudnienia, bo w przeciwnym wypadku moglibyśmy trafić na przymusowe roboty na terenie Niemiec. Najstarszy 17-letni Andrzej pracował już jako robotnik leśny, a później po przeprowadzce do kolejnego mieszkania w Golubiu dostał pracę w miejscowej mleczarni. Marysię (lat 15) przyjął do pracy właściciel sklepu żelaznego, a Staś (lat 13) znalazł zatrudnienie w piekarni. Ja, jako najmłodsze 10-letnie dziecko uczęszczałam do szkoły niemieckiej. Cały czas mieszkała z nami mama Ojca, babcia Eufemia. Podupadła jednak bardziej na zdrowiu. Paraliż pogłębił się, była unieruchomiona w łóżku. Warunki naszego życia były teraz trudne. Mieszkanie zimne, wodę donosiliśmy wiadrami z dworu. W 1942 roku babcia zmarła.

Przyszwał czas, że Niemcy zaczęli wzywać rodziny polskie na tzw. Pruefung (z niem. - egzamin, odpytanie), żeby zapisać je na niemiecką listę narodowościową. Kto listę podpisał, zyskiwał uprawnienia niemieckie, w tym kartki żywnościowe. Właściciele sklepów, warsztatów, czy innej własności, podpisywali listę, żeby ratować dorobek życia i zachować źródło utrzymania swoich rodzin. Naszą rodzinę też Niemcy wezwali, ale Mama powiedziała, że nie może decydować bez męża w tak ważnej sprawie. Uzyskała odpowiedź, że „mąż to poboczna sprawa, a ma przecież dzieci, które powinny się dalej uczyć”. Mama jednak nie podpisała listy i już na drugi dzień w szkole nauczycielka kazała mi zabrać teczkę i iść do domu. Wszyscy wiedzieliśmy, że Niemcom nie chodziło o naszą naukę, ale o dorastających chłopców, którzy – po podpisaniu listy – trafiali do Wehrmachtu i na front wschodni.

„MY WAS OSWOBODZILI”

Styczeń 1945 roku był bardzo mroźny. Ze wschodu zbliżały się do Golubia działania wojenne. Przez miasto przetaczały się tłumy niemieckich uciekinierów na wozach konnych wypełnionych dobytkiem i ludźmi, jak ich określano wówczas „Bessarabiendeutsche”. Były wśród nich też dzieci. Pamiętam, że Mama częstowała ich gorącą kawą z mlekiem. Nie wszyscy jednak przyjmowali, może bali się, że zatrute? Miejscowi Niemcy wymykali się z Golubia cichaczem. Nie wiadomo, kiedy i czym. Niejeden z nich miał wiele na sumieniu.

Front wojenny przeszedł przez miasto nagle. Było tylko kilka artyleryjskich salw, z których część trafiła w wieżę kościelną, chociaż z tej strony nic Armii Czerwonej nie zagrażało. My ukryliśmy się z grupą ludzi w piwnicy apteki w Dobrzyniu. 23 stycznia 1945 roku rano rosyjscy żołnierze wkroczyli do Dobrzynia, wybili szyby w piekarni i tak wchodzili do środka. Do naszego mieszkania wszedł jakiś rosyjski żołnierz stwierdziwszy: „my was oswobodzili”, położył się na kanapie i zaraz zasnął. Podobnie było w sąsiednich domach. Moje rodzeństwo, Marysia i Andrzej, zgłosili się do Czerwonego Krzyża i pomagali lekarzowi przy ratowaniu rannych i w opiece nad ciężko chorymi.

W mieszkaniu Jentkiewiczów, właścicieli sklepu żelaznego, u których pracowała w czasie okupacji moja siostra Marysia, zamieszkał rosyjski komendant wojskowy Golubia, niejaki Szulgin. Kazał on sobie donosić obiad przez córkę gospodarzy, 19-letnią Agusię, która była bardzo piękną dziewczyną. Pewnego dnia, gdy zaniósła obiad, Szulgin zamknął za nią drzwi na klucz i za chwilę rozległ się strzał. Agusię znaleziono z przestrzeloną głową. Był to ogromny wstrząs dla całego miasta. Rosyjski oficer szybko wyprowadził się z Golubia, nie poniósł jednak za tę zbrodnię żadnych konsekwencji. Co ciekawe, o tym komendancie i jego zbrodni nie wspomina później i obecnie, żadna oficjalna historia Golubia.

Zaraz za oddziałami frontowymi w Golubiu pojawiły się grupy operacyjne sowieckich organów bezpieczeństwa wewnętrznego NKWD. Wykorzystując przedstawicieli miejscowej ludności, często opierając się na niesprawdzonych donosach, a czasem tylko za to, że ktoś był gospodarny, pracowity i posiadał jakąś własność – przeprowadzili aresztowania i akcję wywozową do łagrów w Rosji sowieckiej. Aresztowanych w Golubiu formowano w kolumnę i pod karabinami prowadzono najpierw do Kowalewa Pomorskiego, potem z powrotem do Golubia i w kierunku Ciechanowa. Była mroźna zima. Niektórych aresztowanych ograbiono z ciepłej odzieży, traktowano brutalnie i przetrzymywano w fatalnych warunkach tak, że część z nich zmarła już na terenie Polski, a część w transporcie kolejowym na wschód. W tej grupie znaleźli się m.in. stomatolog z Golubia doktor Franciszek Holz i właściciel sklepu kolonialnego Stefan Olszewski, u którego w czasie okupacji pracował mój brat Andrzej, a później również ja. Obydwaj zginęli już w Ciechanowie. A muszę powiedzieć, że pan Olszewski bardzo pomagał

naszej rodzinie przez całą okupację. Wydobył m.in. nasze pianino z nadleśnictwa, dzięki czemu Mama udzielała na nim lekcji gry i w ten sposób zarabiała na życie.

Wśród aresztowanych przez Rosjan był też Stefan Szymkowski – leśniczy z Tokar w Nadleśnictwie Konstancjewo, który nie przeżył trudów zimowej deportacji w bydłym wagonie do sowieckiego obozu pracy. Zmarł w transporcie na wschód w 1945 roku¹.

MIEJSCE PAMIĘCI NARODOWEJ ŁOPATKI

Wkrótce po zakończeniu wojny Mama otrzymała ze ZBoWiD-u zawiadomienie, że odbędzie się ekshumacja zbiorowych mogił Polaków pomordowanych przez Niemców w pierwszych miesiącach wojny w Łopatkach koło Wąbrzeźna. Zapytano, czy chciałaby w ekshumacji uczestniczyć, gdyż spodziewano się odnaleźć tam również zwłoki jej męża Antoniego Tomasza. Mama nie zdecydowała się na udział w identyfikacji, obawiała się, że jej serce tego nie przetrzyma. Po wojnie Mama mieszkała w Golubiu. Otrzymała emeryturę po Ojcu, ale była ona tak skromna, że listonosz mówił: „Wstydzę się przychodzić do pani z takimi pieniędzmi”.

Do Łopatek pojechałam dopiero w końcu lat siedemdziesiątych XX wieku. Przybyliśmy samochodem ze Szczecina, gdzie mieszkałam z moją rodziną. W Golubiu zabraliśmy Mamę i ruszyliśmy w kierunku Wąbrzeźna. Za Wąbrzeźnem, jadąc w kierunku Jabłonowa, stoi przy drodze charakterystyczny znak z dwoma



Miejsce Pamięci Narodowej w Łopatkach koło Wąbrzeźna. Jesienią 1939 roku Niemcy zamordowali tu co najmniej 2,5 tysiąca Polaków. Tu zginął również nadleśniczy Antoni Tomaszek. Fot. archiwum Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu

mieczami, wskazujący na znajdujące się w lesie Miejsce Pamięci Narodowej Łopatki. Skręciliśmy w lewo i niebawem ukazał się naszym oczom pomnik, przy którym zastaliśmy młodzież z pobliskiej szkoły, która wraz ze swoim nauczycielem zajmowała się porządkowaniem terenu pomnika i otoczenia. Nauczyciel opowiedział nam, że jesienią 1939 roku ludzie z pobliskiej wsi Książki widzieli co jakiś czas samochód ciężarowy z plandeką, przyjeżdżający z kierunku Wąbrzeźna i wjeżdżający do lasu. Kilku z nich ukryło się w lesie i obserwowało przebieg wydarzeń. Pod plandeką byli przewożeni ludzie pilnowani przez uzbrojonych Niemców. W lesie był już przygotowany dół, a nieopodal stał karabin maszynowy. Ludzie ze wsi słyszeli strzały. Później pusty samochód wracał do Wąbrzeźna.

Dowiedzieliśmy się też, że wtedy po wojnie nie doszło do ekshumacji. Niemcy przed nadejściem frontu, jeszcze w 1944 roku, odkopali i spalili zwłoki, zacierając ślady swoich strasznych zbrodni. Po raz kolejny pojechaliśmy do Łopatek po pogrzebie Mamy, w 1986 roku.

PORTRET NA ŚCIANIE

Po wojnie Mama została w Golubiu, aż do śmierci w 1986 roku. Początkowo mieszkał tam też brat Andrzej, który po ukończeniu szkoły związał się zawodowo ze Spółdzielnią „Samopomoc Chłopska”. Ożenił się, założył rodzinę, później przeniósł się do Gdańska, gdzie zmarł po ciężkiej chorobie w 1996 roku. Siostra Marysia i ja zamieszkałyśmy w Bursie Leśnika w Toruniu przy ul. Mickiewicza 5, w pobliżu siedziby Dyrekcji Lasów Państwowych. Marysia uczęszczała do liceum im. Żeromskiego. Była wybitnie uzdolniona w przedmiotach ścisłych. Pracowała jako księgowa. Wyszła za mąż i zamieszkała w Szczecinie. Zmarła nagle, w 1962 roku, co dla nas wszystkich, a szczególnie dla Mamy, było ogromną tragedią.

Drugi brat Stanisław ukończył przed wojną sześć klas Szkoły Powszechnej. Od 13. roku życia, w czasie okupacji, już pracował w golubskiej piekarni. Po wojnie uczęszczał do Liceum Ogólnokształcącego im. Żeromskiego w Toruniu (tak jak Marysia) i mieszkał w Bursie Leśnika. Krótco pracował w dziale urządzania lasu w Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu. Później, z wielkimi kłopotami, ze względu na „niewłaściwe pochodzenie” dostał się na Politechnikę Gdańską na Wydział Architektury. Ożenił się, założył rodzinę. Doszedł do stanowiska profesora na Uniwersytecie Śląskim, gdzie do dzisiaj jeszcze prowadzi wykłady.

Ja zaraz po wojnie zamieszkałam razem z Marysią w Bursie Leśnika w Toruniu i w tym mieście ukończyłam szkołę pedagogiczną. W 1949 roku otrzymałam skierowanie do pracy w Sudetach, niedaleko Wałbrzycha. Uczyłam dzieci z rodzin greckich, które przybyły wówczas na stałe do Polski. Po kilku latach cały ten ośrodek przeniesiono do Polic koło Szczecina. Wyszłam za mąż za nauczyciela. Mamy syna Marka. Od 1962 roku zamieszkaliśmy w Szczecinie, gdzie pracowałam w bibliotece, aż do emerytury w 1990 roku. Mąż zmarł nagle w 1993 roku.



Nadleśniczy Antoni Tomaszek (1889-1939).
Fot. archiwum Jadwigi Tomczak

Dzisiaj, nikt z dzieci Antoniego Tomaszka i licznych jego wnuków nie pracuje w zawodzie leśnika, który tak ukochał nasz Ojciec, ostatni przedwojenny nadleśniczy Nadleśnictwa Konstancjewo. Ojciec jest jednak wciąż obecny w naszych sercach i myślach. Jego portret w mundurze leśnika polskiego zajmuje honorowe miejsce w moim domu.

Jadwiga Tomczak

¹Z Pomorza władze sowieckie deportowały w 1945 roku około 16 tysięcy polskich obywateli do obozów koncentracyjnych w ZSRR. Z tej liczby zginęło, bądź zmarło w wyniku ciężkich warunków transportu, pracy, niedożywienia, skrajnego wycieńczenia i chorób, co najmniej trzy tysiące osób.



Marian Musiałowicz (1900-1942)

Nadleśniczy MARIAN MUSIAŁOWICZ

(1900-1942)



rodził się 30 sierpnia 1900 roku w Brzostowej, w powiecie opatowskim na kielecczyźnie. Jego ojciec był urzędnikiem państwowym. Miał brata i siostrę, która wyszła za mąż za leśnika. Dobrze zapowiadającą się karierę zawodową i szczęśliwe życie rodzinne nadleśniczego Mariana Musiałowicza przerwała wojna światowa. W 1942 roku aresztowany przez gestapo, po krótkim, ale niezwykle brutalnym śledztwie, został zamordowany. Miejsce pochówku pozostaje nieznane.

STANĄŁ DO OBRONY OJCZYZNY

Szkolę Powszechną Marian ukończył w 1918 r. w Radomiu, następnie uczęszczał do Państwowego Gimnazjum w Ostrowcu Świętokrzyskim, gdzie uzyskał świadectwo dojrzałości, 18 czerwca 1921 r. To znamienne, że na świadectwie dojrzałości obok standardowych zapisów i wyników w nauce znalazła się informacja: „W roku 1920 podczas najazdu nieprzyjaciół stanął do obrony Ojczyzny w szeregach armii ochotniczej”.

W 1921 zapisał się na pierwszy rok leśnictwa na Uniwersytecie Poznańskim. Po trzyletnich studiach i złożeniu egzaminów otrzymał 30 stycznia 1925 dyplom nauk leśnych. W kilka lat później napisał pracę pt. „Rola ptactwa w ochronie lasu z uwzględnieniem nadleśnictw Dyrekcji Lasów Państwowych w Poznaniu”, złożył egzamin i uzyskał dyplom inżyniera leśnictwa 24 marca 1938. W latach 1927-1933 pracował w Dyrekcji Lasów Państwowych w Poznaniu jako adiunkt leśny. Marian Musiałowicz biegle posługiwał się kilkoma językami: niemieckim, francuskim i rosyjskim.

Po okresie pracy w Dyrekcji LP w Poznaniu ruszył w teren. Pracował w Nadleśnictwie Sieraków, a później, od około 1937 roku, aż do wybuchu II wojny światowej – był nadleśniczym Nadleśnictwa Różanna. W październiku 1933 ożenił się z poznanianką Janiną Pietruszyńską (1914-1998), która ukończyła szkołę u Sióstr Urszulanek w Pniewach. To była znakomita szkoła przygotowująca kobiety do sprawnego zarządzania gospodarstwem domowym. Umiejętności te okazały się bardzo przydatne, gdy Musiałowiczowie zamieszkali w Nadleśnictwie Różanna, jak również w czasie okupacji, szczególnie po śmierci męża, kiedy na jej barki spadło utrzymanie domu i wychowanie dzieci.

Ale wcześniej, rok po ślubie, w 1934 urodziła się córka Irena, a w 1937, syn Władysław. Wkrótce po narodzinach syna Marian Musiałowicz objął stanowisko nadleśniczego Nadleśnictwa Różanna.



Marian Musiałowicz po ukończeniu studiów pracował jako adiunkt w Dyrekcji Lasów Państwowych w Poznaniu, a później w Nadleśnictwie Sieraków. Zdjęcie z 1935 roku.
Fot. archiwum Władysława Musiałowicza



Nadleśniczy Marian Musiałowicz (pierwszy z prawej) z rodziną przed budynkiem Nadleśnictwa Różanna, rok 1938. Fot. archiwum Władysława Musiałowicza

Nadleśniczy Marian Musiałowicz z żoną Janiną i córką Ireną, rok 1938.
Fot. archiwum Władysława Musiałowicza



WYBUCHŁA WOJNA

Gdy wybuchła wojna, Janina Musiałowiczowa wraz z dziećmi i podręcznym dobytkiem ewakuowała się w kierunku wschodnim. Jednak już po kilku dniach zostali zatrzymani przez wojsko niemieckie z nakazem powrotu do miejsca zamieszkania w Różannie. Szczęśliwie wrócili, ale zastali nadleśniczówkę (parter) zajętą przez żołnierzy niemieckich. Ci co prawda pozwolili Musiałowiczowej z dziećmi zająć mieszkanie na piętrze budynku w zamian jednak otrzymała zadanie prowadzenia im gospodarstwa.

Władysław Musiałowicz, syn nadleśniczego Mariana Musiałowicza, miał dwa lata, gdy wybuchła wojna i Niemcy zajęli Polskę. Nie pamięta tamtej ewakuacji, nie wie też, jak to się stało, że jego ojciec opuścił dom i wkrótce znalazł się w Opocznie na terenie Generalnej Guberni. Można przypuszczać, że Niemcy deportowali go z ziem polskich wcielonych do Rzeszy jako osobę napływową (pochodził z kieleckiego). Nadleśniczy Musiałowicz znalazł się w Opocznie, gdzie trafiła też spora grupa Polaków wysiedlonych przez okupantów z Wielkopolski, głównie z Jarocina.

Niemcy, gdy tylko powzieli wiedzę o kwalifikacjach zawodowych Musiałowicza, zatrudnili go na stanowisku inspektora Inspektoratu Leśnego w Opocznie, jednak początkowo nie było zgody na sprowadzenie żony i dzieci, które pozostawały w Różannie. Przez dwa pierwsze lata okupacji Musiałowicz nie uzyskał też zgody na odwiedzenie rodziny w Różannie. Podobnie jego żona nie mogła opuszczać miejsca zamieszkania. Niemiecki oficer postarał się o przepustkę dla jej siostry zamieszkałej w Poznaniu, dzięki czemu mogła przyjechać na jakiś czas do Różanny.

Z opowieści nieżyjącej już matki (Janiny Musiałowiczowej) zmarłej w 1998 roku, Pan Władysław wie, że na czele grupy niemieckich oficerów zamieszkujących nadleśniczówkę w Różannie stał pułkownik, który zachowywał się poprawnie, i nawet z pewną sympatią odnosił się do Musiałowiczowej, jej rodziny, a nawet męża, który przebywał w Opocznie. Pomagał w staraniach o wyjazd matki z dziećmi do Opoczna, co się w końcu, po dwóch latach, udało. W 1941 roku Janina Musiałowiczowa z dziećmi i dobytkiem, transportem kolejowym trafiła do Opoczna i rodzina w komplecie zamieszkała we wspólnym mieszkaniu przy ul. Szewskiej.

W OPOCZNIE I OKOLICACH

Szerzej o okresie wojennym, opoczyńskiej konspiracji i zbrodniach niemieckich na Polakach pisze w swoim artykule „Opoczno w latach wojny i okupacji (1939-1945)” Sebastian Piątkowski. Liczne przypadki mordów i aresztowań mieszkańców Opoczna zanotowano już w początkowym okresie okupacji. Jedną z pierwszych ofiar niemieckiej żandarmerii był burmistrz Ignacy Zakrzewski, zastrzelony 10 lub 11 października 1939 roku wprost na ulicy. Wiosną 1940 funkcjonariusze niemieckiej policji bezpieczeństwa Sipo (niem. *Siecherheistpolizei*) przeprowadzili w mieście pierwsze, szerzej zakrojone aresztowania osób

podejrzanych o działalność konspiracyjną. Tylko 18 kwietnia 1940 aresztowali grupę polskich urzędników, którzy po miesięcznym śledztwie w radomskim więzieniu zostali zamordowani w egzekucji przeprowadzonej 24 maja 1940. Podobne zbrodnie były dokonywane w kolejnych miesiącach i latach.

W październiku 1942 roku jeden z członków Komendy Powiatu Narodowej Organizacji Wojskowej (NOW) zastrzelił w kawiarni dwóch niemieckich żandarmerów, którzy przybyli do Opoczna z radomskiego oddziału specjalnego. Niemcy



Marian Musiałowicz na pamiątkowym, ostatnim zdjęciu rodzinnym z żoną Janiną oraz dziećmi - Ireną i Władysławem, Opoczno, rok 1941. Fot. archiwum Władysława Musiałowicza

w odwecie bezzwłocznie rozstrzelali dziewięciu mieszkańców budynku z kawiarnią, a kolejnych sześciu wywieźli do obozu koncentracyjnego. W następnych dniach akcję odwetową, aresztując aresztowania, najpierw 27, później jeszcze kolejnych 20 mieszkańców Opoczna. Większość z nich trafiła do katowni gestapo w Tomaszowie Mazowieckim. Wśród aresztowanych byli m.in. inż. Musiałowicz, dr Sobieszczański, dr Leon Idaszewski, hubalczyk Józef Wustenberg, sekretarz magistratu Stanisław Uchalc. Część z nich została zamordowana w więzieniu, część trafiła do obozów koncentracyjnych, gdzie w większości ponieśli śmierć.

Dodatkowe światło na czasy okupacji w obwodzie Tomaszów Mazowiecki rzuca w swoich wspomnieniach członek tamtejszego podziemia (Związek Walki Zbrojnej, później Armia Krajowa), Stanisław Rżanek. Pisze on wprost: „Za terror, mordowanie, wysiedlanie ludności i nieludzki stosunek do wszystkiego, co polskie oraz butę panoszących się bezczelnie folksdojców wypowiedziałem okupantowi bezkompromisową walkę. Tomaszów Mazowiecki był dla Niemców miastem karnym, z różnymi rodzajami niemieckich formacji wojskowych. Był także słynny z kaźni gestapo na Zapiecku, żandarmerii, Kripo, policji granatowej i innych organizacji, a w dodatku z całej masy folksdojców i szpiclów. Na terenie obwodu tomaszowskiego było dużo wsi niemieckich.”

Z OPOWIADĄŃ MATKI

Władysław Musiałowicz nie pamięta zbyt wiele z pobytu w Opocznie. Był 4-5-letnim dzieckiem. Z opowiadań matki wie, że dopóki żył ojciec, mieli znośne warunki zamieszkania i życia, bo był on znaczącym urzędnikiem leśnym. Posiadał nawet motocykl służbowy. Przypomina sobie scenę z ojcem, który stanął w obronie chłopca z furmanką, bitego przez jednego z miejscowych folksdojców. Pamięta też, że chorował na dyfteryt i był leczony przez polskiego lekarza... koniakiem i żółtkami jajek. Skutecznie.

Matka, nawet po wojnie, z różnych względów nie mówiła dzieciom o powiązaniach ich ojca (nadleśniczego Musiałowicza) z miejscowym polskim podziemiem. W okolicach Opoczna była silna partyzantka Armii Krajowej wywodząca się jeszcze z ugrupowania dowodzonego przez mjr. Hubala. W domu Musiałowiczów bywali oficerowie. Jedna z takich wizyt przyczyniła się, być może, do aresztowania nadleśniczego przez gestapo na początku października 1942 roku. Major Augustowski, dobry znajomy nadleśniczego z lat przedwojennych, działający w AK, pożyczył motocykl i w mundurze polskim miał przejechać przez Opoczno, co nie uszło uwadze miejscowego gestapo. Szybko doszli, kto jest właścicielem motocykla i aresztowali Musiałowicza. Wtedy, dzięki interwencji niemieckiego oficera z Różanny, Musiałowicz został zwolniony, ale nie na długo. Gestapo miało swoich konfidentów i prawdopodobnie sporo materiałów o konspiracyjnej działalności nadleśniczego. Definitywne jego aresztowanie nastąpiło już po kilku dniach,

10 października 1942. Musiałowicza oraz miejscowego lekarza Zbigniewa Sobieszczańskiego gestapo przewiozło z Opoczna do owianego złą sławą więzienia gestapo „Na Zapiecku” w Tomaszowie Mazowieckim. I tu ślad po nadleśniczym Marianie Musiałowiczu się urywa.

JUŻ PO WOJNIE

Już po wojnie Janina Musiałowiczowa podjęła starania zmierzające do ustalenia okoliczności i daty śmierci swojego męża. Najwięcej informacji uzyskała od lekarza Leona Idaszewskiego, który jako wysiedleniec z Jarocina półlegalnie prowadził w okupowanym Opocznie praktykę lekarską, lecząc zresztą nie tylko Polaków. Za tę działalność, ale prawdopodobnie również za pomoc udzielaną partyzantom, w październiku 1942 roku był aresztowany w grupie 25 Polaków. Najpierw osadzony w więzieniu „Na Zapiecku” w Tomaszowie Mazowieckim, tam katowany, ostatecznie przeszedł gehennę kilku niemieckich obozów koncentracyjnych, w tym Auschwitz. Cudem przeżył.

Dr Idaszewski znał nadleśniczego Musiałowicza, jak również miejscowego lekarza Zbigniewa Sobieszczańskiego, których gestapo aresztowało jednocześnie i razem trafili do więzienia w Tomaszowie Mazowieckim. Sobieszczański, który przeżył wojnę, opisał (list z 23.IX.1947), odpowiadając na list Janiny Musiałowiczowej, ostatnie dni życia jej męża, nadleśniczego Mariana Musiałowicza:

ŚWIADECTWO DOKTORA SOBIESZCZAŃSKIEGO

„Oświadczam, że w dniu 10 października 1942 r. zostałem aresztowany przez gestapo wraz z inż. leśnikiem Musiałowiczem Marianem. Obaj tym samym samochodem zostaliśmy odwiezieni dla kaźni gestapo zwanej „Zapiecek” w Tomaszowie Maz. Od dnia 13.X.1942 r. do 15.X.1942 r. przebywaliśmy we wspólnej celi. Ponadto na śledztwie wielokrotnie zapytywano mnie o udział inż. Musiałowicza w organizacji. Inż. Musiałowicz był tak katowany, że w dniu 13.X.42 r. kiedy przewieziono mnie z kaźni gestapo do aresztu miejskiego, inż. Musiałowicz nie był w stanie przyjmować posiłków i był tak osłabiony, że o własnych siłach nie mógł się podnieść. Kiedy w początkach listopada przybyli do aresztu znajomi z Opoczna, aresztowani 20.X.42 r., którzy również przebywali we wspomnianych celach Zapiecka od 20.X.42 r., zapytywałem ich o inż. Musiałowicza. Okazało się, że nie zastali go już na Zapiecku. Sądząc ze stanu inż. Musiałowicza, w jakim pozostawiłem go na Zapiecku, a następnie ze sposobu traktowania go przez gestapowców w śledztwie, z dużym prawdopodobieństwem przyjąć można, że inż. Musiałowicz został zamordowany na Zapiecku w Tomaszowie Mazowieckim.”

Uzupełnieniem i potwierdzeniem powyższego oświadczenia jest pisemna relacja dr. Leona Idaszewskiego z października 1947 r. skierowana do Musiałowiczowej. Doktor pisał: „Donoszę, że mąż pani zmarł kilka dni po zaaresztowaniu-

pobity i pognieciony przez gestapowców w więzieniu w Tomaszowie Mazowieckim pod Zapieckiem wśród najstraszliwszych męczarni jako największej klasy bohaterz, z którego jesteście dumni; całe znane społeczeństwo czci jego pamięć w jak najdłuższą przyszłość. Jednak ja sam nie byłem świadkiem jego śmierci, bo zostałem w 10 dni po nim aresztowany i po przebyciu w Zapiecku śledztwie w dniu 5.XI.42 r. spotkałem się z dr. Sobieszczańskim (...) w więzieniu przy ul. Św. Antoniego. Tam (...) opowiadał mi wszystkie szczegóły o śmierci męża pani.

(...) Że pani mąż na pewno nie żyje nie ulega żadnej wątpliwości, tak samo bezsprzecznym jest to, że zakończył swój żywot wskutek okrutnych męczarni ze strony gestapowców w Tomaszowie i że został aresztowany za działalność polityczną, za pracę podziemną i jako wybitny członek ruchu oporu przeciw najeźdźcom."

KATOWNIA „NA ZAPIECKU”

Siedzibę gestapo w Tomaszowie Mazowieckim nazywano katownią „Na Zapiecku”. Tu trafiali Polacy aresztowani przez Niemców, podejrzewani o działalność konspiracyjną, bądź kontakty z partyzantką.

Historię Zapiecka zajmował się Michał Ordak z Archiwum Państwowego w Piotrkowie Trybunalskim. Píše on: „Aresztowanych przywożono rankiem karetką więzienną do siedziby gestapo na Zapiecku. Wracali stamtąd skatowani, co często było powodem ich śmierci”. Dalej przytacza fragmenty protokołów z przesłuchań świadków, w tym Stefana Wąchały z zeznania pochodzącego z 1973 roku: „Rozbierany byłem do naga i bity przeróżnymi narzędziami i w przeróżny sposób. Między innymi grubymi drutami, bykowcami, batami zakończonymi ołowianymi kulkami oraz batami zakończonymi hakami (...) Przesłuchiwany byłem przez 11 dni po trzy razy dziennie”.

Nieprzytomnych cucono pod kranem i przesłuchiowano dalej. Niektórzy nie wytrzymywali tortur i w więziennych celach popełniali samobójstwa. Szacuje się, że od października 1939 roku do połowy stycznia 1945 przez areszt na Zapiecku przeszło kilka tysięcy osób, zginęły setki ludzi, głównie mieszkańców Tomaszowa Mazowieckiego i okolicznych miejscowości. Setki ludzi wywożono na masowe egzekucje. Katem Zapiecka był Georg Beetig, mieszkaniec Tomaszowa, a przed wojną... sportowiec Lechii, który w ręce gestapo wydał wielu swoich znajomych i mieszkańców Tomaszowa.

Z DAJSZYCH WSPOMNIEŃ ROZPROSZONYCH

„Zaraz po śmierci Ojca i później po wojnie – wspomina Władysław Musiałowicz – mama nic nie mówiła nam, dzieciom o konspiracyjnej działalności ojca. Ponieważ były to niewątpliwie kontakty z AK, w warunkach wczesnego PRL-ta wiedza mogłaby tylko rodzinie zaszkodzić.”

Po aresztowaniu Musiałowicza w październiku 1942 roku jego żonę i dzieci do małego mieszkania w tym samym Opocznie. Żeby utrzymać siebie i dzieci, Janina Musiałowiczowa podjęła się pracy przy wypieku ciast i ciastek. Potrzebne surowce otrzymywała z majątku Platerów w Białaczowie. Ciastka dobrze się sprzedawały, co pozwoliło im trwać. Później w końcu 1943, dzięki wsparciu znajomego rodziny, Antoniego Radeckiego, przenieśli się do Międzylesia pod Warszawą. Radecki miał dość dobre relacje, i z Polakami, i z Niemcami. Pochodził z polsko-niemieckiej rodziny słynnego wrocławskiego chirurga Jana Mikulicza-Radeckiego. W działaniach wojennych stracił nogę i to też było jakoś honorowane przez Niemców.

W willi Radeckiego w Międzylesiu Musiałowiczowie mieli dobre warunki zamieszkania. Ale trwało to tylko do sierpnia 1944 roku. Gdy wybuchło Powstanie Warszawskie, Niemcy spacyfikowali miejscowość, a sporą część mieszkańców, w tym Musiałowiczów, umieścili w miejscowej kaplicy. Władysław pamięta, że towarzyszyło temu przerażenie i płacz kobiet. Spodziewali się najgorszego, nawet rozstrzelania. Jednak ich opiekun Radecki prawdopodobnie i tym razem porozumiał się z Niemcami, którzy wszystkich zatrzymanych z kaplicy wypuścili i nakazali natychmiastowe opuszczenie Międzylesia. Musiałowiczowa z dziećmi dostała się do pociągu, który przewoził niemieckich oficerów i tym sposobem szczęśliwie dotarła do Poznania-Garbary. Nieopodal tej stacji mieszkała jej matka. Tam przebywali do końca wojny. Wciąż pomagał im Antoni Radecki, jednak po wojnie gdy wyjechał do Warszawy, a Musiałowiczowie zostali w Poznaniu, kontakty się zakończyły.

Zaraz po wojnie Władysław trafił do Otorowa w powiecie Szamotuły, gdzie Dom Dziecka i szkołę prowadziły siostry zakonne. Przebywał tam w latach 1945-51. Jednym z jego kolegów był Władysław Komar, późniejszy mistrz olimpijski w pchnięciu kulą. Następnie Władysław Musiałowicz ukończył szkołę handlową w Poznaniu. Ożenił się, ma dwóch synów. Mieszkają w Poznaniu. Na razie nikt w rodzinie nie kontynuuje leśnej profesji. Siostra Irena zdradzała pewne zainteresowania przyrodnicze, zrobiła doktorat na Uniwersytecie Poznańskim. Zmarła przedwcześnie w tragicznych okolicznościach w 1971 roku.

Pan Władysław odwiedzał kilkakrotnie tereny Nadleśnictwa Różanna. Próbował odnaleźć dom i inne miejsca utrwalone na archiwalnych fotografiach rodzinnych z czasów, których nie może pamiętać, bo kiedy tam mieszkali razem z ojcem a później tylko z mamą, w latach 1937-1941, były to pierwsze lata jego życia. W latach 60. XX wieku powstał w tym miejscu Zalew Koronowski. Dawna siedziba nadleśnictwa i jeszcze kilka mniejszych miejscowości przestały istnieć.

Tadeusz Chrzanowski

Kołczygłowy, Toruń, w marcu 2018 roku



Władysław Kotula (1893 – 1940)

Nadleśniczy WŁADYSŁAW KOTULA

(1893-1940)



Władysław Kotula, syn Piotra i Marii z Szulów, urodził się 24 września 1893 roku we Lwowie. Świadectwo dojrzałości otrzymał 12 czerwca 1913 roku. Absolwent Wydziału Rolniczo-Lasowego Politechniki Lwowskiej. Dyplom inżyniera leśnictwa uzyskał 9 lutego 1924 roku. Studia przerwał w czasie I wojny światowej. Po ukończeniu studiów rozpoczął pracę w Leśnictwie Głębokim na Wileńszczyźnie, a następnie na stanowisku kierownika państwowego leśnictwa rewirowego na Helu w Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu, gdzie pracował do 1931 roku. Od stycznia 1932 objął stanowisko nadleśniczego w dobrach hrabiego Dzieduszyckiego w Poturzych-Zarzeczcu, w powiecie sokalskim, na Kresach II Rzeczypospolitej. Żonaty z Zofią z Cholewów, miał córkę Bogumiłę.

Podczas I wojny światowej walczył w armii austriackiej i dostał się do niewoli włoskiej. Żołnierz armii generała Hallera. Całą służbę wojskową odbył w taborach. Po zakończeniu działań wojennych przydzielony został do 6. pułku strzelców podhalańskich. Od 1924 roku w 6. pułku artylerii polowej, następnie w kadrze 6. Dywizjonu Taborów, z przydziałem ewidencyjnym do Powiatowej Komendy Uzupełnień w Rawie Ruskiej. Awansowany został do stopnia rotmistrza ze starszeństwem 1 czerwca 1919.

27 marca 1939 roku powołano go do czynnej służby wojskowej z przydziałem do kadry 6. Dywizjonu Taborów w Jaworowie. We wrześniu 1939 roku dostał się do niewoli sowieckiej i został uwięziony w obozie jenieckim NKWD w Starobiel-sku. Z obozu żona Władysława Kotuli otrzymała dwie kartki: z 25 grudnia 1939 roku i 5 lutego 1940, oraz list z 6 stycznia 1940 roku.

Zamordowany w siedzibie charkowskiego Zarządu NKWD, spoczywa na Polskim Cmentarzu Wojennym w Charkowie.

Dęby Pamięci Władysława Kotuli posadzone zostały przez: Stowarzyszenie „Klub Przyjaciół Wieliczki” na Cmentarzu Komunalnym w Wieliczce 3 maja 2010 roku oraz przez leśników Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu w Rezerwacie Przyrody „Cisy Staropolskie im. Leona Wyczółkowskiego” w Wierzchlesie, na terenie Nadleśnictwa Zamrzenica, 12 października 2013 roku. Upamiętniony został również na Helu przez leśników Nadleśnictwa Wejherowo (RDLP w Gdańsku). 30 kwietnia 2015 roku odsłonięto tam tablicę poświęconą nadleśniczemu Władysławowi Kotuli.

Tadeusz Chrzanowski



Grupa żołnierzy z 1 Dywizji Strzelców Armii Generała Hallera. Drugi od lewej stoi por. Władysław Kotula, rok 1919. Fot. archiwum Bogumiły Kuklicz



Załoga Leśnictwa Rewirowego Hel w 1929 roku. Na pierwszym planie leśniczy, p.o. nadleśniczego Władysław Kotuła. Fot. archiwum Bogumiły Kuklicz

Władysław Kotuła (pierwszy z prawej) - nadleśniczy w dobrach hr. Dzieduszyckiego w Poturzycach-Zarzeczcu, z żoną Zofią, szwagrem Józefem Cholewą i jego żoną. Zdjęcie wykonane w Rabce w 1936 roku. Fot. archiwum Bogumiły Kuklicz



Z LISTU BOGUMIŁY KUKLICZ, CÓRKI WŁADYSŁAWA KOTULI:

Ojciec mój (Władysław Kotula – przyp. TaCh) był mężem Zofii z domu Cholewa. Mama moja ukończyła w 1922 roku prywatne Żeńskie Seminarium Nauczycielskie w Wieliczce i została skierowana do pracy do Grodziska Wielkopolskiego. W sierpniu 1936 roku wyszła za mąż za Władysława Kotulę. Ojciec studiował leśnictwo razem z wujkiem Józkiem Cholewą (bratem Mamy), którego losy wojenne na szczęście potoczyły się inaczej.

Mama poszukiwała Ojca. Pierwsze listy do PCK pisała do Lwowa, po tym jak przestały przychodzić wiadomości ze Starobielska, następnie w 1943 roku do Krakowa, a później do Biura Osób Zaginionych do Warszawy i do Londynu. W 1946 roku dostała wiadomości ze Szkocji od Mieczysława Kowalskiego, syna znajomych mojego Ojca z Sokala. Zaświtła nadzieja, że już Tata na pewno się odnajdzie. W ciągu tych lat ilekroć mama zaczynała się zajmować korespondencją z PCK, przez kilka dni chodziła z zaczerwienionymi oczami. Radosnych odpowiedzi nie było.

Z mieszkania w budynku nadleśnictwa w dobrach Dzieduszyckich w Poturzycy, pow. Sokal, zostaliśmy wysiedlone po 17 września 1939 roku do Zboisk, pow. Radziechów i dokwaterowane do ukraińskiej rodziny. Została z nami gospoia, która prowadziła moim rodzicom dom i obiecała Ojcu, że pozostanie z nami dopóki nie skontaktujemy się z rodziną. Została do września 1941. Mama w okresie od jesieni 1939 do września 1941 roku pracowała jako robotnica w kołchozie. We wrześniu 1941 przez „zieloną granicę” dostaliśmy się do Józefowa Biłgorajskiego do wujka Józka, a wobec nasilających się działań partyzantkich i niemieckich represji przeciw tym działaniom, 1 marca 1943 roku przyjechaliśmy na Sierczę do siostry mamy – Anny Sosin z d. Cholewa. Nasze losy, mamy i moje (urodziłam się w 1937) były wyznaczone przez kolejną wędrówkę, zmiany miejsc zamieszkania, bo wojna nigdy nie pozwoliła mi mieć swojego własnego miejsca.

Wracam do Ojca. Urodził się 24 września 1893 roku we Lwowie. Świadectwo dojrzałości otrzymał 12 czerwca 1913. Dyplom ukończenia studiów leśnych na Politechnice Lwowskiej 9 lutego 1924. Dlaczego tak długo studiował? Podczas trwania studiów brał udział w I wojnie światowej oraz w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920. Profesor Kazimierz Michałowski w swojej autobiograficznej książce pisze, że studenci wyższych uczelni Lwowa, w przerwach między wojnami, zjawiali się na wykładach w mundurach (nie mieli cywilnych ubrań), a profesorowie „nie bardzo wiedzieli jak się mają wobec nich zachowywać, czy aby nie powinni im oddawać honorów”.

Po ukończeniu studiów Ojciec objął posadę w Leśnictwie Głębokie w Nadleśnictwie Dżisna na Wileńszczyźnie, a następnie był kierownikiem Leśnictwa Rewirowego na Helu (później p.o. nadleśniczego Nadleśnictwa Hel) w Dyrekcji Lasów



Tabliczka imienna Władysława Kotuli na Polskim Cmentarzu Wojennym w Charkowie.
Fot. Tadeusz Chrzanowski

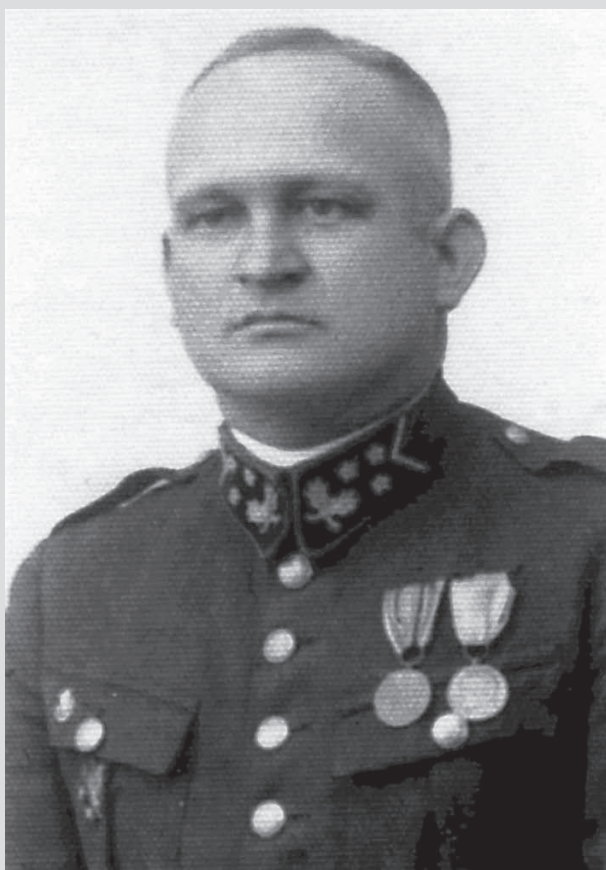
Państwowych w Toruniu. Od 1 stycznia 1932 roku objął stanowisko nadleśniczego w dobrach Dzieduszyckiego, w kluczu Poturzyca-Zarzecz, powiat Sokal.

Dnia 27 sierpnia 1939 roku Ojciec został powołany do służby czynnej, z przydziałem do 6. Dywizjonu Taborów w Jaworowie. Już nigdy więcej Mama nie zobaczyła męża, a ja nie poznałam mojego Ojca. Miałam dwa lata, gdy odszedł na wojnę. Znam Go tylko z opowiadań, zdjęć i dokumentów. Jawi mi się jako patriotę, piękny mężczyzna, wykształcony i nadzwyczaj prawy człowiek.

Mimo wielu przeprowadzek, mojej mamie udało się zachować wszystkie listy i kartki od Ojca: list z Jaworowa (datowany 22.09.39), kartka pocztowa ze stemplem Husiatyn (22.09.39), kartka ze Starobielska (25.12.1939), list ze Starobielska (06.01.1940), kartka ze Starobielska (05.02.1940) i kartka ze Starobielska (10.03.1940), która dotarła do nas w kwietniu 1940 roku. Po ostatniej kartce ze Starobielska nastąpiło milczenie, złowrogie milczenie. Potem przyszły lata odkrywania prawdy, najpierw pokątnie, a potem długoletniego przebijania się przez kordony sowieckiego zakłamania.

Bogumiła Kuklicz

We wrześniu 2013 roku



Edmund Drecki (1897 – 1940)

Nadleśniczy EDMUND DRECKI

(1897-1940)



Edmund Drecki urodził się 24 lipca 1897 roku jako syn Franciszka i Kazimierzy z domu Szymańskiej w Miłosławiu, powiat Września w Wielkopolsce. Do Szkoły Powszechnej uczęszczał w Miłosławiu. W 1906 roku brał udział w strajku szkolnym (strajk wrześniński), odmawiając nauki religii w języku niemieckim. Do Gimnazjum uczęszczał w Poznaniu, a później w Krotoszynie, gdzie był członkiem tajnej organizacji „Towarzystwo Tomasza Zana”. W końcu 1914 roku wydany ze szkoły przez władze zaborcze po ujawnieniu przynależności do tajnej organizacji.

Zmobilizowany do wojska niemieckiego brał udział w I wojnie światowej. W grudniu 1918 roku wstąpił do batalionu wrzeńskiego powstańców wielkopolskich. Brał udział w walkach z Niemcami pod Żninem, Strzelnem i w Inowrocławiu.

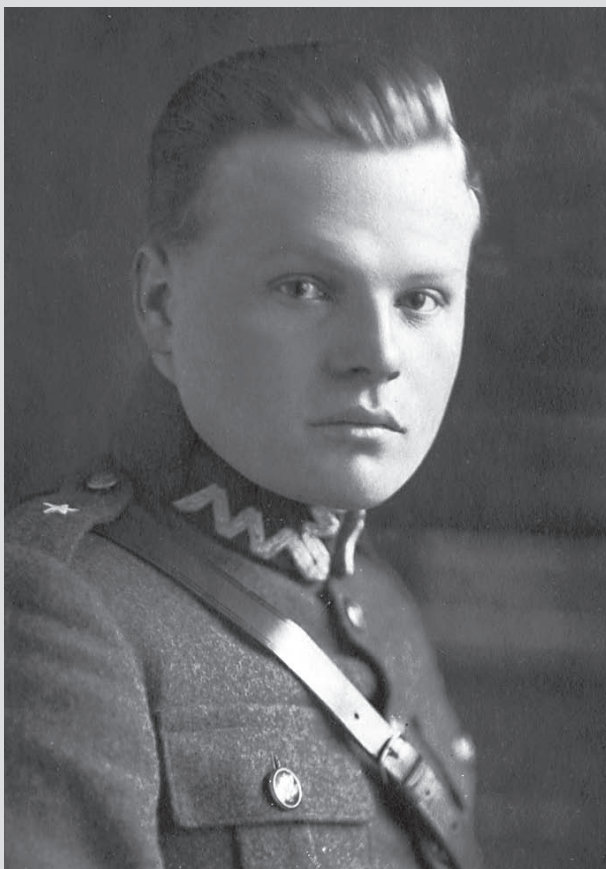
Od końca 1919 roku był słuchaczem zwyczajnym na Wydziale Rolniczo-Leśnym Uniwersytetu Poznańskiego. Dyplom nauk leśnych uzyskał w 1925 roku. W międzyczasie, od marca do lipca 1920 roku, był współpracownikiem Warmińskiego Komitetu Plebiscytowego w Kwidzynie. W lipcu 1920 roku wstąpił ochotniczo jako telegrafista do Syberyjskiej Brygady Piechoty i brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej pod Warszawą, później w Grodnie, przechodząc do rezerwy w listopadzie 1920 roku.

Po ukończeniu studiów leśnych w Poznaniu podjął pracę w administracji Lasów Państwowych. Pracował na stanowisku adiunkta leśnego w Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu (1928). W latach 1931-1939 był nadleśniczym państwowego Nadleśnictwa Kościerzyna. Biegle posługiwał się językiem niemieckim. Żonaty z Ludwiką z Połczyńskich, bezdzietny.

W 1939 roku zmobilizowany do Wojska Polskiego. Brał udział w kampanii wrzeńskiej. Po 17 września dostał się do niewoli sowieckiej. Na liście jeńców wojennych NKWD obozu w Kozielsku figuruje na s. 362, pod poz. 2. Zamordowany przez NKWD w Katyniu, w kwietniu 1940 roku.

Dąb Pamięci Edmunda Dreckiego posadzono przy Urzędzie Gminy w Dziemianach na Pomorzu 7 kwietnia 2009 roku. Tablicę upamiętniającą jego postać odsłonięto w budynku Nadleśnictwa Kościerzyna 26 kwietnia 2012. Kolejne dęby upamiętniające nadleśniczego posadzono również w Połczynie Zdroju 17 września 2012 oraz w Wierzchlesie na terenie Nadleśnictwa Zamrzenica 12 października 2013 roku.

Tadeusz Chrzanowski



Rudolf Zacher (1899 – 1940)

Nadleśniczy RUDOLF ZACHER

(1899-1940)



Rudolf Zacher urodził się 11 kwietnia 1899 roku w Jaworznie, powiat Chrzanów, województwo krakowskie, jako syn Józefa i Heleny z domu Adamskiej. Wcześniej osierocony przez ojca, szkołę średnią z maturą ukończył w Krakowie w 1918 roku. Od 1917 roku odbywał służbę wojskową w armii austriackiej w Nowym Sączu i Ołomuńcu. W 1918 brał udział w walkach na froncie włoskim i w Albanii. W listopadzie 1918 wstąpił ochotniczo do Wojska Polskiego, do 13 Pułku Piechoty w Krakowie. Uczestniczył w walkach o Śląsk Cieszyński, później w wojnie z bolszewikami w obronie Modlina w czerwcu 1920 roku, a następnie w 15. Pułku Piechoty w ofensywie przeciwko bolszewikom pod Ciechanowem i Pułtuskim i w walkach na Wołyniu. Kończył wojnę w stopniu podporucznika.

Odbył studia na Wydziale Rolniczo-Leśnym Uniwersytetu Poznańskiego w latach 1921-1925. Napisał pracę inżynierską pt. „Zastosowanie i zapotrzebowanie drewna kopalnianego w Polsce”. Posiadał dobrą znajomość języka niemieckiego i francuskiego. Od 1926 roku pełnił służbę w państwowym gospodarstwie leśnym w Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu na stanowisku adiunkta leśnego, najpierw w Dyrekcji, później w nadleśnictwach Ryteł i Kartuzy. Od 1938 roku do wybuchu II wojny światowej był nadleśniczym Nadleśnictwa Mestwinowo.

Żonaty z Haliną z d. Marcinkowską (1908-1992), miał syna Ryszarda (1937-1941), który zmarł na tyfus w Krakowie i tam został pochowany na Cmentarzu Rakowickim.

Zmobilizowany do Wojska Polskiego w sierpniu 1939 roku. Po 17 września dostał się do niewoli sowieckiej. Od 5 października przebywał w obozie jenieckim w Starobielsku, skąd rodzina otrzymała kilka kartek pocztowych. Nie znaleziono jednak jego nazwiska na listach wywozowych ze Starobielska. Istnieją niepotwierdzone informacje, że mógł być przeniesiony do obozu jenieckiego w Kozielsku. Fakt przebywania Rudolfa Zachera w obozach NKWD potwierdza również Jędrzej Tucholski w opracowaniu z 1991 roku. „Mord w Katyniu”. Nadleśniczy Zacher został zamordowany przez NKWD, prawdopodobnie wiosną 1940. Jego nazwisko nie występuje jednak w Księgach Cmentarnych Katynia, Charkowa i Miednoje.

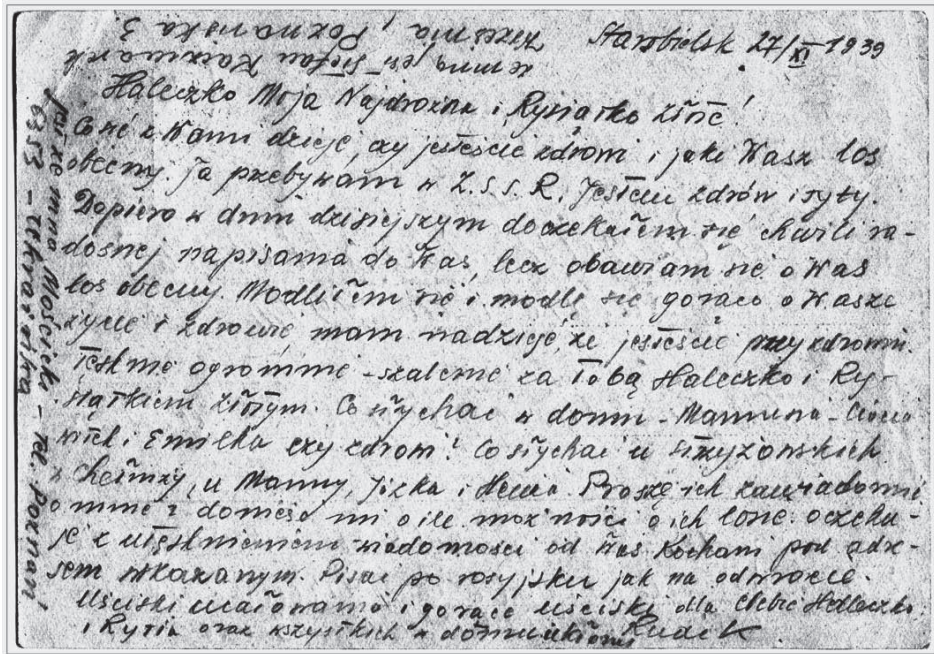
Rudolf Zacher miał dwóch braci, w tym księdza infułata Edwarda Zachera posługującego w Wadowicach, wychowawcę Karola Wojtyły. Ksiądz Zacher zmarł w Wadowicach w 1987 roku w wieku 84 lat. Losy drugiego brata nie są znane.

Dąb Pamięci Rudolfa Zachera posadzono w Wierzchlesie na terenie Nadleśnictwa Zamrzenica 12 października 2013 roku.

Tadeusz Chrzanowski



Rudolf Zacher i Halina Marcinkowska na zdjęciu ślubnym około 1935 roku.
Fot. archiwum p.p. Lisieckich



Kartka pocztowa napisana i wysłana przez nadleśniczego Rudolfa Zachera 22 listopada 1939 roku z obozu jenieckiego w Starobielsku do żony Haliny. Kartka z archiwum p.p. Lisieckich



Miejsce Pamięci Leśników Polskich - ofiar Zbrodni Katyńskiej, utworzone w 2013 roku na obrzeżach rezerwatu przyrody „Cisy Staropolskie” w Wierzchlesie. Fot. Tadeusz Chrzanowski



Kazimierz Baran (1902 – 1940)

Dyrektor KAZIMIERZ BARAN

(1902-1940)



roczyste otwarcie i poświęcenie Polskiego Cmentarza Wojennego w Bykowni pod Kijowem na Ukrainie odbyło się 21 września 2012 roku. Jest to czwarty – po Katyniu, Charkowie i Miednoje – cmentarz katyński. Na uczczenie tego miejsca czekaliśmy ponad 70 lat. Obie z siostrą, Marią Tarasiuk, uczestniczyłyśmy w tej podniosłej, perfekcyjnie zorganizowanej, uroczystości. Przeżywałam ją w ogólnym aspekcie moralnym i międzynarodowym. Prawdy o zbrodni nie dało się zafałszować. Eks-humacji grobów zbiorowych i pochówku, mimo poważnych przeszkód, dokonali polscy i ukraińscy specjaliści. Jest to obok siebie położone miejsce pamięci wielu narodów, otwarte w obecności prezydentów Polski i Ukrainy. Na powyższe myśli nakładał się silnie odczuwalny, stale żywy aspekt osobisty. To jest miejsce pamięci także o naszym Ojcu.

OJCIEC

Kazimierz Baran, syn Heleny i Adama, urodził się 8 czerwca 1902 roku w Przemyślu. W trzy lata po nim przyszedł na świat jego młodszy brat Tadeusz, później znany teatrolog i pisarz emigracyjny, Tymon Terlecki (urodzony w 1905 roku w Przemyślu, zmarł w 2000 roku w Oksfordzie). Chłopcy wcześniej stracili ojca, który zmarł na serce w 1911 roku. Niektóre biogramy podają rok 1908. Wychowywani byli głównie przez matkę, która w 1914 roku wyszła po raz drugi za mąż za Antoniego Węgla. Dzieci nie zaakceptowały ojczyma. Znajduje to potwierdzenie w jednej z relacji stryja¹, choć nie wiem w jakim stopniu Ojciec podzielał tę opinię. W 1915 roku rodzina przeniosła się do Lwowa i tam już Kazimierz pobierał naukę w szkole średniej. Jako 16-letni chłopak uczestniczył w Obronie Lwowa, o czym też wiemy z pisarstwa Tymona Terleckiego². Studia wyższe odbył w Politechnice Lwowskiej na Oddziale Lasowym Wydziału Rolniczo-Lasowego³. W latach 1927-29 jako inżynier leśnik pracował w Katedrze Botaniki Lasowej w charakterze starszego asystenta. Równocześnie „Kalendarz Leśny” z roku 1928 wykazuje inż. Kazimierza Barana w składzie pracowników Wydziału Gospodarczo-Technicznego Dyrekcji Lasów Państwowych we Lwowie. Zaś w „Kalendarzu Leśnym” z roku 1935, gdy dyrektorem Lwowskiej Dyrekcji LP był Konrad Szubert, Ojciec wymieniony jest jako kierownik Biura Użytkowania i Zbytu Drewna.

Nasi rodzice pobrali się 20 sierpnia 1929 roku. Być może, porzucenie kariery naukowej i przejście do pracy we lwowskiej Dyrekcji LP było związane z potrzebą zwiększenia zarobków na utrzymanie rodziny. Nie wiem, w jakich

okolicznościach rodzice się poznali. Dla nas, oddalonych teraz od Lwowa, znamienne jest, że wejście do lwowskiej Szkoły Lasowej przy ul. Św. Marka 1, gdzie mieściły się eksponaty Katedry Botaniki, a w dużym ogrodzie, zalesionym oryginalnymi drzewami, jej poletka doświadczały, znajdowało się dokładnie naprzeciw kamienicy przy ul. św. Marka 12, w której mieszkali ze swą babcią, kształcące się we Lwowie siostry Schoferówny z Zaszkowa, powiat Złoczów, w tym najstarsza z nich, późniejsza moja matka Janina Baranowa. Było to też mieszkanie naszego najwcześniejszego dzieciństwa. Trzy duże okna salonu na pierwszym piętrze wychodziły na ten ogród. Przekaz rodzinny głosi, że w jakimś „kryzysowym” momencie znajomości rodziców, młodsze siostry w jednym z tych okien wystawiły dużą lalkę z wyciągniętymi ramionami i to miało się przyczynić do zażegnania „konfliktu”.

Ojciec był człowiekiem towarzyskim i serdecznym. Pamiętam jego radosne zabawy z nami, a nawet to, że zabrał mnie kiedyś na mecz lwowskiej „Pogoni”, której był entuzjastycznym kibicem, czego już nie zdążył mi zaszcześcić. Pamiętam atmosferę szczęśliwego dostatniego domu, w którym zawsze była z nami pogodna Mama, czasem dochodząca niania, a w kuchni krzątała się, mieszkająca z nami kucharka Ewcia. Codzienne powroty Ojca z pracy były celebrowane. Czyściutkie, na świeżo uczesane wybiegałyśmy do przedpokoju na powitanie, po czym zasiadaliśmy do wspólnego obiadu. Mówię o tym dla podkreślenia kontrastu w jakim znalazła się później Janina Baranowa sama z dziećmi na Syberii i ile musiała mieć hartu ducha, żeby pokonywać trudności i doprowadzić córki do niebanalnych osiągnięć w dorosłym życiu⁴.

Szczególnie utkwiły mi w pamięci radosne święta i domowe spotkania towarzyskie dorosłych, podczas których dzieci po przywitaniu się odchodziły z nianią do innego pokoju.

Z opowiadań Matki raczej, niż z własnej pamięci, znam nazwiska niektórych bliższych Ojcu osób, z jakimi współpracował, zwłaszcza wśród leśników. Przyjacielem Ojca, zapewne już od czasów studiowania leśnictwa na tym samym Oddziale Lasowym Politechniki Lwowskiej, był Franciszek Krzysik (1902-1980), w latach 1925-1927 st. asystent w Katedrze Botaniki Lasowej, następnie (1927-1937) st. asystent i wykładowca w Katedrze Użytkowania Lasu i Mechanicznej Technologii Drewna, gdzie się doktoryzował (1928) i habilitował (1934), zdobył tytuł profesora i w latach 1939-1941 kierował Katedrą Użytkowania Lasu. Profesor Franciszek Krzysik był dla leśnictwa osobą wszechstronnie zasłużoną jako autor prac naukowych i podręczników, organizator służby leśnej i nauki o lesie oraz wychowawca kilku pokoleń leśników⁵. Na nowo, już jako dorosła, poznałam profesora po powrocie z zesłania do kraju. Nawiązał z nami kontakt, bywał w naszym domu. Po maturze radziłam się go co do wyboru kierunku studiów. Jako prorektor od spraw nauki SGGW zachęcał mnie do wyboru któregoś



Pracownicy Dyrekcji Lasów Państwowych we Lwowie ok. 1935 roku. W pierwszym rzędzie pośrodku siedzi dyrektor Konrad Szubert. W najwyższym rzędzie, z lewej strony portretu Piłsudskiego stoi Kazimierz Baran, wówczas kierownik Biura Użytkowania i Zbytu Drewna. Fot. archiwum Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu



Zaszków, województwo tarnopolskie, lata 1930-31. Kazimierz Baran z żoną (stoi) za nim oraz siostrami żony. Pierwsza z lewej Wanda, zmarła wywieziona do Kazachstanu.

Fot. archiwum Elżbiety Smułkowej

z wydziałów tej uczelni, a zwłaszcza technologii drewna. Ja jednak, przez lata pozbawiona słowa polskiego, wybrałam jako studia podstawowe polonistykę. Powtórzył się między mną i siostrą podział zainteresowań rodzinnych: Ojca (nauki ścisłe) i jego brata Tadeusza (szeroko rozumiana humanistyka).

Z innych bliskich Ojcu współpracowników wymienić mogę inżynierów leśników Tadeusza Schwetza* i Jerzego Wardzałę*, którzy figurują w Kalendarzu Leśnym 1928 jako pracownicy Wydziału Gospodarczo-Technicznego lwowskiej Dyrekcji LP, i nazwisko państwa Wiśniowskich, którzy bywali w naszym domu. Nie pamiętając imienia, nie mogę jednak powiedzieć o którego z kilku leśników chodzi, czy o Aleksandra, który pracował z Ojcem w tym samym czasie w Katedrze Botaniki Lasowej PL, czy o Stanisława*, kierownika Biura Osobowego Dyrekcji LP we Lwowie („KL” 1935), czy jeszcze o kogoś innego z grona absolwentów Politechniki Lwowskiej, gdzie to nazwisko powtarza się kilkakrotnie. Żona Tadeusza Schwetza, Tosia, była moją matką chrzestną. Spotkał ją z dwojgiem dzieci, Alą i Markiem, podobny los do naszego. Wyszła jednak z ZSRR z Armią Andersa. Przez jakiś czas mieszkała w Londynie i wówczas odwiedzał ją mój mąż Wiktor, przebywający w Anglii na stażu naukowym. Z tego czasu mamy wiadomość, że Tadeusz Schwetz zmarł w ZSRR w drodze do Andersa. Z Londynu Tosia Schwetzowa wyjechała do Australii.

Konkretnie wspomnienie z dzieciństwa wiąże się też z dyrektorem Janem Markiewiczem* i jego domem. Niedługo przed wojną z jakiejś leśnej inspekcji panowie dyrektorzy przywieźli małego niedźwiadka, którym z jakichś względów



Pracownicy Dyrekcji Lasów Państwowych we Lwowie. Na pierwszym planie, czwarty od prawej wicedyrektor Kazimierz Baran. Fot. archiwum Elżbiety Smułkowej

Przygotowania do obrony Lwowa w sierpniu 1939 roku. Pierwszy od prawej Kazimierz Baran, drugi - dyrektor Jan Dunin-Markiewicz (później aresztowany przez NKWD, zginął w ZSRR). Fot. archiwum Elżbiety Smułkowej



trzeba się było zaopiekować. Przez jakiś czas niedźwiadek ten chował się w ogrodzie dyrektora, a ojciec kilkakrotnie bywał tam z nami, żebyśmy się mogły pod jego okiem dokładnie przyjrzeć prawdziwemu niedźwiadkowi, a nawet go pogłaskać. Podczas niedawnego pobytu we Lwowie szukałam tego, niezbyt odległego od naszego mieszkania, domu i ogrodu. Nie znalazłam. Na jego miejscu, przy prestiżowej ulicy Drahomanowa (dawniej Mochnackiego) budowana jest duża willa, typowo nowobogacka.

I jeszcze jeden z zapamiętanych obrazów, związanych z Ojcem. Jesteśmy z nianią w przestronnym pokoju-sypialni z oknem wychodzącym na ogrody Cytadeli⁶. Podniosły nastrój oczekiwania. Spoza dwuskrzydłowych przeszklonych drzwi do jadalni dochodzą przyciszone głosy rodziców, widać szybko przemierzające się zarysy sylwetek. Za chwilę wszystko się uspokaja, słychać delikatny dzwoneczek, drzwi się szeroko otwierają. Stajemy w nich osłupiałe z zachwytu – duże, od ziemi do sufitu, kolorowe drzewko skrzy się płonącymi świeczkami i sztucznym ogniem. Iskierki sztucznych ogni opadają, pozostaje spokojny blask świeczek i wtedy zauważamy, że pod drzewkiem leżą pięknie opakowane prezenty. To od Aniołka! Gwar, radość, uściski, rozpakowywanie, śpiewanie kolęd, łakocie (w pamięci utkwiły mi szczególnie pomarańcze i orzechy), uśmiechnięte, szczęśliwe twarze rodziców! A trzy miesiące później...

POŻEGNANIE

Mam osiem lat. Noc. Budzą mnie ostre obce głosy dochodzące spoza oświetlonych drzwi jadalni. Łóżeczko młodszej siostry puste. Wybiegam do przedpokoju. Przy drzwiach wyjściowych stoi sowiecki żołnierz z karabinem. Zgroza! Uciekam, wskazuję do łóżka. Czekam. Po chwili wchodzi do sypialni Ojciec w wierzchniej odzieży, tuż za nim obcy cywil. Ojciec dyskretnym ruchem wsuwa mi do rączki swoją obrączkę – „Pamiętaj czyją jesteś córeczką”! Całuje i odchodzi. Do bólu ściskam w zaciśniętej piąstce ten niepojęty wówczas skarb.

DALSZE LOSY

Tyle w dziecięcym wspomnieniu. A co wynika z późniejszej wiedzy i doświadczenia? Aresztowanie Ojca, wówczas już wicedyrektora Dyrekcji Lasów Państwowych we Lwowie, przez NKWD nastąpiło w nocy z 22 na 23 marca 1940 roku⁷ w naszym mieszkaniu przy ul. Mochnackiego 56. W żadnym z lwowskich więzień nie potwierdzono Matce jego obecności, nie przyjęto korespondencji ani paczki żywnościowej. Wkrótce po aresztowaniu zmuszono nas do opuszczenia mieszkania i przeniesiono do warunków znacznie skromniejszych w starej kamienicy przy Placu Akademickim 1. Stamtąd zostałyśmy wywiezione na Syberię wraz z Matką, 22 maja 1941 roku⁸ w jednym z ostatnich transportów wychodzących ze Lwowa tej pamiętnej wiosny. Wieść o wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej

w czerwcu 1941 zastała nas już w tajdze nad Wasiuganem, dopływem Obi. Tak pod datą 22/VI 1941 pisze o tym w swoim dzienniczku (dalej Dz.M.) nasza Matka: *Jestem odcięta od Lwowa. Te proste słowa niech zilustrują moją bezdenną grozę, żal. A spodziewałam się na tym pustkowiu tyle po korespondencji od moich kochanych pozostałych we Lwowie*⁹.

O losach Ojca nie wiedzieliśmy nic, aż do ogłoszenia w 1994 roku ukraińskiej listy katyńskiej¹⁰, gdzie figuruje w spisie 71/2-57 pod nr 91. Myśmy wrócili do Polski na wiosnę 1946 po kilku jeszcze zmianach miejsca pobytu w ZSRR. Z inicjatywy Matki, po umowie generała Sikorskiego ze Stalinem, znoszącej dwudziestoletni nakaz przebywania zesłańców wyłącznie w miejscu docelowym zsyłki. W naszym przypadku była to wieś Ust'-Sielga (ujście rzeki Sielga do Wasiuganu), rejon Kargasok, obwód Tomsk, Nowosibirskij Kraj; i w sposób zorganizowany, kiedy przewieziono znaczną liczbę Polaków, w tym i nas z Tomska, z Syberii na północny Kaukaz do pracy rolnej (kukurydza, pszenica, arbuzy) na słabo zaludnionych stepach Krasnodarskiego Kraju. Trafiliśmy do Urupskiego Siemowchozu, specjalizującego się w nasiennictwie, położonego w rejonie Armawir.

Wiele już napisano na temat warunków życiowych zesłańców, pracy ponad siły, chłódzie, głodzie i zniewoleniu. Nie będę się już na tym zatrzymywać, choć godne jest całej książki. Nakreślę tylko kilka obrazków charakteryzujących naszą Matkę, żonę straconego Kazimierza Barana, dzięki której obie z siostrą żyjemy, i mogę niniejsze wspomnienie przekazać czytelnikom i historii.

SYBERYJSKA ZIMA

Jedyny tam transport wodny nieczynny, rzeka pokryta lodem. Matka chcąc uzyskać pozwolenie na przeniesienie się do miasteczka rejonowego Kargasek, abyśmy mogły chodzić do szkoły, trzykrotnie pokonuje pieszo, przy 30-40 stopniowym mrozie, 60 kilometrową odległość wioząc za sobą na saneczkach jakiś prowiant i najpotrzebniejsze rzeczy. Na trzydziestym kilometrze był tzw. *postojajj dvor*, rodzaj noclegowni, gdzie pokotem na pryczy odpoczywali okutani w ciepłe rzeczy podróżnicy. Można też było dostać do picia wrzącą wodę (kipia-t'ok). Dwie z tych wędrówek odbyła sama, a z dala towarzyszyły modlącej się Matce nieatakujące jej wilki. Często mówiła o Bożej opiece nad nami.

Z Kargaska, gdzie przeżyliśmy około dwóch lat, do Tomska, najbliższej stacji kolejowej, było 580 km. Matka swoją determinacją doprowadziła do tego, że ostatnim przed zamrożeniem rzek statkiem znaleźliśmy się na przystani w Tomsku. Cały nasz dobytek to kosz z pościelą, drewniany kufer z odzieżą i innymi najniezbędniejszymi rzeczami oraz maszyna do szycia, pozostawione przez tragarzy pod ulicznym płotem. Matka odchodzi do miasta znaleźć jakiś przytułek i pracę. My zostajemy z rzeczami pod tym płotem. Gdy wróciła, zastała nas śpiące, przysypane śniegiem. Ale *świat nie biez dobrych liudiej*, jak głosi rosyjskie przysłowie.

Matka znalazła pracę w szwalni, gdzie pozwolono nam się na początek zatrzymać. Do czasu znalezienia innego pomieszczenia spałyśmy na dużym stole krojczego, który trzeba było posprzątać przed jego porannym przyjściem do pracy.

TOMSK

Ciekawe miasto z piękną, zdobioną drewnianą architekturą, pozostaje w pamięci jako czas największego głodu, mojej ciężkiej choroby, antysemityzmu, pod który podciągani byli wszyscy inni - nieswoi, ale i życzliwości ludzkiej, zwłaszcza ze strony mojej nauczycielki, repatriantki z ówczesnego Leningradu (Petersburg) i polskiego domku potomków powstańca 1863 roku – mówiąca po polsku babcia z dwiema młodymi wnuczkami, już tylko rosyjskojęzycznymi, których rodzice zginęli w znanych sowieckich prześladowaniach lat trzydziestych XX wieku.

Mówiąc o Tomsku trzeba zwrócić uwagę na jeszcze jeden rys naszej Matki. Był tam sklep, w którym można było wymienić złoto na mąkę, jajka w proszku i mleko. Dała sobie na ten cel wyrwać z uzębienia złote koronki, a zachowała Ojca obrączkę, daną mi podczas aresztowania. Noszę ją do dziś. Daty ślubu Rodziców i nasza już się zatarły; pozostała pamięć ojcowskiego pożegnania i miłości Matki.

Póki byłyśmy małe, Matka była dla nas pełną osłoną. Opowiadała o Ojcu i rodzinie. Uczyla Marylę czytać i pisać po polsku. Mówiła o historii i polskich zwyczajach. Wprowadzała je w codzienne życie. Dbała, żebyśmy nie zapominały języka. Z perspektywy czasu rozumiałam, ile ją musiało kosztować na przykład przygotowanie choinki (na stepie był to suchy krzew dziewanny) i radosne śpiewanie kolęd, żebyśmy umiały, żebyśmy pamiętały o Bożym Narodzeniu! Tak pisze w swoim syberyjskim dzienniczku na:

BOŻE NARODZENIE W 1941 ROKU

Drzewko z tajgi przyniósł drwal, pocziwy z kośćcami pracownik przy „klopce” (wyrób klepek, ES), jodełkę o cudnych długich igiełkach, zgrabną i proporcjonalną. Zrobiliśmy różne cacka z tutaj dostępnych materiałów i było zupełnie ładne drzewko. Szopkę zrobiłam z kory brzozonej z gwiazdą i napisem Gloria in excelsis Deo! Do szopki wstawiłam obrazek z mszału o Bożym Narodzeniu. Wziąwszy pod uwagę gorzkie łzy, które padały podczas klejenia – można powiedzieć, że szopka była droższa od wszystkich lwowskich sklepowych. A zresztą, naprawdę była ładna.

Na wigilię zaprosiłam naszych azjatyckich gospodarzy, u których mieszkamy – bo bałam się samej siebie. Nie wierzyłam samej sobie, czy potrafię zapanować nad sobą i nie postraszyć dzieci płaczem. Ugotowałam zupę kartoflaną z grzybami (Elżunia latem nazbierała w tajdze) i fasolę, jeszcze resztkę ze Lwowa. [...] Dziadek Kowalów dał kilka solonych rybek, a babka – orzeszków cedrowych. Po kolacji zaświeciłam choinkę (było pięć świeczek z jednej pociętej) i kolędowałam z Elżunią. Maryla pomagała, jak mogła i umiała. Wówczas poznałam, jak wielki jest Bóg i jak

cudowną skarbnicą bogactw i łask jest religia. Kochani moi wszyscy najbliżsi, choć tak daleko od Was – byłam z Wami przez tę rocznicę narodzenia Jezuska Zbawiciela. Wiem, że myśleliście wtedy o nas i nie tracę nadziei, że się zobaczymy.

W STEPIE

Na tak zwanej Bałce (ros. bałka ‘wąwóz, kotlina’) przyszły nowe trudne doświadczenia. Epidemia tyfusu pochłonięła moją rówieśnicę, koło której spałam, nasze sienniki stykały się na podłodze. Opiekowałam się nią w chorobie, gdy jej matka była w pracy. Zabrakło koni, by chorą zawieźć do szpitala – były potrzebne przy żniwach. Młody energiczny i przystojny chłopak, który zachorował wcześniej, przetrwał kryzys, ale wrócił ze szpitala głęboko upośledzony umysłowo. Nasza Mama cudem została ocalona z ostrych ataków malarii – chininy nie było.

Miałam trzynaście, czternaście lat. Zostałam wciągnięta do całodziennej pracy przy żniwach; w stepie razem z dorosłymi przesypywałam pszenicę, aby lepiej wysychała, a w spichrzu byłam wagową. Ciężkie drewniane skrzynie ze zbożem przenosili i stawiali na wadze obdarci i głodni jeńcy niemieccy; odwracałam głowę, gdy wsypywali sobie pszenicę do ust i świecili gołym ciałem. Do pracy szli zwartymi czwórkami, śpiewali. A miejscowy brygadzysta, który robił wrażenie bardzo groźnego, nachylał się nade mną i, widocznie dbając o własną skórę, mówił: „*na karm`any, na karm`any ostawli`aj!*”¹¹

Przynosiłam do domu ziarno w butach. Miałam żal, że Matka tego nie robi! Wtedy, w obliczu braku żywności, nie rozumiałam jej szlachetnego oporu. Nie rozumiałam też, dlaczego nie wolno mi wieczorem wyjść do młodzieży, pośpiewać, zatańczyć. Tam było tak wesoło! Zwłaszcza, że młody traktorzysta z sowchozowej centrali tak miło się uśmiechał...

POWRÓT

Po przyjeździe do Torunia wiosną 1946 roku znalazłyśmy oparcie w rodzinie siostry mamy, cioci Jeli (Heleny) Kałamajskiej. Parterowy drewniany domek z ogrodem przy Szosie Chełmińskiej 34 (obecnie na tym miejscu stoi wysokościowy blok) wydawał się nam ślicznie urządzonym pałacem. Nie mogłyśmy tam jednak od razu zamieszkać ze względu na ogromne zagęszczenie, w tym dwie dokwaterowane rodziny obce. Z pomocą pośpieszyli leśnicy z toruńskiej Dyrekcji Lasów Państwowych. Mama dostała pracę intendentki w bursie dla dzieci leśników, przy ul. Mickiewicza 5 i zamieszkałyśmy razem z nią w pokoju na parterze przy stołówce, choć mogłyśmy być pełnoprawnymi mieszkankami bursy, znajdującej się na wyższych piętrach. Zadziałał, jak w Tomsku, syndrom strachu, żeby nas nic nie rozdzieliło z Matką.

W nowych warunkach nawiązywały się przyjaźnie. Ze wzruszeniem czytałam w „Biuletynie RDLP w Toruniu nr 2/2012) *Opowieść o losach Leonarda Wendy,*

leśniczego w Lisimkacie, napisaną przez Małgorzatę Wendę. W bursie przyjaźniłam się z Ulą Wendówną, córką Leonarda. Byłam ich gościem w Lisimkacie, w dostojnych Borach Tucholskich. Ula chodziła do Szkoły Handlowej, ja do gimnazjum im. Królowej Jadwigi na Sienkiewicza. Znaczną część drogi pokonywałyśmy razem.

Z uwagą i serdecznością leśników zetknęłyśmy się też wśród smukłych sosen cmentarza w Bykowni, jesienią 2012 roku. Tworzyli odrębną, umundurowaną delegację z pocztą sztandarową, kierowaną przez dyrektora Ryszarda Działuka. Polscy leśnicy byli bowiem tą grupą zawodową, która obok jeńców wojennych, przede wszystkim uległa zagładzie katyńskiej. Jako córki jednego z rozstrzelanych w 1940 roku leśników Dyrekcji lwowskiej serdecznie dziękujemy młodszemu Przedstawicielowi Leśnej Braci za pamięć o Ojcu, szacunek i solidarność z nami!

BYKOWNIA

Pierwsze ofiary NKWD, polskie i inne sowieckie: głównie ukraińskie, białoruskie i żydowskie, grzebane były w zbiorowych mogiłach Bykowni począwszy od 1937 roku (rozkaz nr 00485 ludowego komisarza spraw wewnętrznych Jeżowa z dnia 11 sierpnia 1937). Apogeum tego procederu śmierci nastąpiło w 1940, w wyniku decyzji najwyższych władz radzieckich z 5 marca 1940, o zagładzie 14 700 jeńców wojennych z obozów w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku oraz 11 000 więźniów z sowieckich więzień zachodnich obwodów Białoruskiej SRR i Ukraińskiej SRR. Razem ponad 25 000 obywateli polskich! Utrzymywana w ścisłej tajemnicy zbrodnia katyńska, przypisywana przez Sowietów faszyzmowi niemieckiemu, została przez Niemców ujawniona już w jesieni 1941, a bardziej nagleśniona w 1943, jednak pozostała bez echa, a władze sowieckie jeszcze w 1971 roku w oficjalnym komunikacie o mogiłach zbiorowych w Bykowni (gazeta „Prawda Ukrainy” 24.IV. i przedruki) informowały o odnalezieniu „jeszcze jednego miejsca rozprawy grabieżców faszystowskich [sic!] nad ludźmi sowieckimi”¹². W publikacji, z której pochodzi powyższy cytat, pokazana jest historia kolejnych sowieckich ekshumacji i zacierania śladów w Bykowni oraz śledztw kończących się umorzeniem, a także bardziej szczegółowe informacje na temat polsko-ukraińskich porozumień i kolejnych ekshumacji szczątków, z udziałem ekspedycji polskiej pod kierunkiem prof. Andrzeja Koli z Uniwersytetu M. Kopernika w Toruniu.

W sprawie zbrodni katyńskiej przełomowym dla strony polskiej był rok 1992, kiedy została nam przekazana kopia morderczego dokumentu z 5 marca 1940 roku i listy straconych, w oparciu o które, staraniem Rady Pamięci Walk i Męczeństwa, kierowanej przez śp. Andrzeja Przewoźnika doszło do wybudowania i oficjalnego otwarcia w roku 2000 cmentarza w Katyniu, Charkowie i Miednoje. Ciągłe jednak brakowało informacji o wywiezionych z więzień Ukraińskiej SRR i Białoruskiej SRR.



Polski Cmentarz Wojenny w Bykowni pod Kijowem. Fot. Tadeusz Chrzanowski

Na Białorusi istnieje świadomość kilku miejsc stalinowskich straceń, z których największe to Kuropaty pod Mińskiem, ale dotychczas nie udało się, mimo intensywnych starań strony polskiej, uzyskać danych personalnych. Na Ukrainie, polski prokurator Stefan Śnieżko, prowadzący śledztwo katyńskie, uzyskał w maju 1994 roku kopię listy akt więziennych 3 435 osób straconych, przesłaną 25 listopada 1940 roku do Moskwy na ręce naczelnika I Wydziału Specjalnego NKWD ZSRR, majora bezpieczeństwa Basztakowa. Sam adresat, jak i sposób kodowania akt, jednolity z listami wywozowymi z obozów wskazywał, że był to ciąg dalszy listy katyńskiej, straconych na Ukrainie według 33 list dyspozycyjnych zakodowanych od numeru 041/1 do 072/2, średnio po 104 nazwiska na liście. Jak wspominałam, dane naszego Ojca znajdują się na liście 071/2. Mamy więc dowód, że został stracony przed 25.XI.1940. A myśmy tyle jeszcze lat pielegnowały nadzieję i stawiały dla Niego talerz przy wigilijnym stole! Konkretnych dat śmierci, jakie figurują przy nazwiskach osób wywiezionych z obozów, na liście ukraińskiej nie ma.

Polski Cmentarz Wojenny w Bykowni, pięknie zaprojektowany przez architekta Roberta Głowackiego i artystę rzeźbiarza Marka Moderau, stał się miejscem

upamiętnienia wszystkich obywateli polskich znajdujących się na omówionej wyżej ukraińskiej liście katyńskiej. Ich nazwiska wypisane są wypukłymi drukowanymi literami na centralnej ścianie cmentarza, składającej się z czterech granitowych bloków, w górnej partii środkowej przedzielonych prześwitem w kształcie wysmukłego stylizowanego Krzyża. Przed tą ścianą pamięci stoi ołtarz, przy którym była celebrowana Msza św. w obecności i modlitwie przedstawicieli innych wyznań. Poczynając od wejścia, całość cmentarza polskiego otoczona jest granitową wstęgą, składającą się z czterech rzędów indywidualnych tabliczek upamiętniających zamordowanych, rozciągnięta w las poza ścianę ołtarzową, aby wszystkich można było pomieścić. W centrum po lewej stronie alei głównej znajduje się rodzaj kurhanu, w którym pochowane zostały szczątki wydobyte z ziemi podczas kolejnych ekshumacji. Całość pokrywa wielki jasny granitowy krzyż, boki wyłożone są czarną drobną kostką. Nieco dalej w głębi, stały element nekropolii katyńskich – dzwon pamięci, ustawiony między niewysokimi granitowymi słupami ze znakami wyznań religijnych obywateli polskich: dwa chrześcijańskie krzyże, gwiazda Dawida i półksiężyc.

Drodzy nasi, bliscy i nieznani, śpijcie spokojnie! „*Macie już swoje miejsce, z którego jesteście dumni*”, jak powiedział w swoim przemówieniu Andrzej Krzysztof Kunert, sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, organizatora prac i uroczystości, w której miałyśmy szczęście uczestniczyć. A wcześniej zaznaczył: „*Winniśmy ofiarom modlitwę, winniśmy także żywą i ciągle obecną pamięć. Bo przecież umarłych wieczność (w wymiarze ludzkim, uzupełnienie moje ES) dotąd trwa, dokąd pamięć się im płaci*”.

Elżbieta Smułkowa

Przypisy

¹„Nie pamiętam słońca w domu, gdzie ciążyła obecność obcego, nienawistnego człowieka”, Tymon Terlecki, Z innego brzegu, w: *Kraj lat dziecińczych*, wyd. II, Londyn 1987, s. 234.

²W eseju, podanym w przypisie 1, pisze o tym, że starszy brat pełnił wartę w szkole Konarskiego, dokąd pod obstrzałem Tadeusz donosił mu jedzenie i rzeczy przygotowywane przez matkę. Wtedy zetknął się ze śmiercią, także tą „znaną”, dotyczyła kolegi brata, zmarłego od postrzału.

³Nazwy podaję według *Politechnika Lwowska 1844-1945*, Wrocław 1993.

⁴Maria - dr chemii, docent UMK w Toruniu, następnie pracownik naukowy Głównego Urzędu Miar w Warszawie. Elżbieta – prof. zw. na Uniwersytecie Warszawskim w zakresie językoznawstwa słowiańskiego. W latach 1991-1995 początkowo Konsul Generalny, a następnie Ambasador RP w Mińsku na Białorusi. Autorka kilku książek oraz wielu rozpraw i artykułów naukowych.

⁵Biogram prof. Krzysika znajduje się w *Politechnika Lwowska 1844-1945*, Wrocław 1993, s. 483-484.

⁶Chodzi już o mieszkanie przy ul. Mochnackiego 56, w którym mieszkaliśmy od 1935/1935 roku.

⁷Pojawiająca się w niektórych wykazach data aresztowania 11.I.1940 jest niewątpliwie błędna i należy ją sprostować.

⁸Ten transport, w którym znajdowało się też sporo Ukraińców, jest na tyle mało znany, że przy wystawianiu nam legitymacji Związku Sybiraków uznano podaną przez nas w dokumentach datę za błędną i wpisano wywóz najbardziej znany 13.IV.1941.

⁹Dwa etapy w życiu matki, Lwów – Sybir, w: E. Smułkowa, Białoruś i pogranicza. Studia o języku i społeczeństwie, Warszawa 2002.

¹⁰Listy Katyńskiej ciąg dalszy. Straceni na Ukrainie, Warszawa 1994.

¹¹Karm'an 'kieszeń'. Tajemnicą poliszynela było, że placuszki domowe i kasze pochodziły z przyniesionej z pracy pszenicy, zmielonej w specjalnych żelaznych młynkach (ruszkach). Nie pamiętam, żeby były tam żarna.

¹²Andrzej Krzysztof Kunert, Adam Siwek, Zygmunt Walkowski, Czwarty cmentarz wojenny w Kijowie-Bykowni (czwarty cmentarz katyński), Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, Warszawa 2012, s. 7

*Od redakcji: wymienieni przez autorkę wspomnień znajomi Ojca, pracownicy Dyrekcji Lasów Państwowych we Lwowie, byli również aresztowani przez NKWD w 1940 roku. Inż. Jan Dunin-Markowicz – dyrektor, inż. Tadeusz Schwetz – nadleśniczy z Worochty i Tatarowa, inż. Jerzy Wardała – kierownik Biura Użytków Ubocznych DLP, inż. Stanisław Wiśniowski – kierownik Oddziału Osobowego DLP, zginęli z rąk sowieckich w nieznanych okolicznościach i miejscu, bądź jak Tadeusz Schwetz, zmarli w wyniku pobytu i wycieńczenia w sowieckich łagrach. Większość członków rodzin tych leśników była w 1940 roku deportowana na Syberię, bądź do Kazachstanu.



Tadeusz Schwetz (1894 – 1941)

Nadleśniczy TADEUSZ SCHWETZ

(1894-1941)



azywam się Marek Zygmunt Schwetz. Urodziłem się 3 stycznia 1935 roku we Lwowie. Moje normalne życie skończyło się z chwilą wybuchu II wojny światowej. Miałem wtedy niespełna pięć lat, więc pamięć moja o Kresach jest pamięcią małego dziecka, a tego co wiem o naszej rodzinie i Ojcu, nadleśniczym Tadeuszu Schwetzu, dowiedziałem się głównie z opowiadań Mamy. Z dzieciństwa najlepiej pamiętam miejscowość Tatarów nad Prutem u podnóża Czarnohory, bo była ona dla mnie magicznym miejscem, i chociaż mieszkaliśmy tam krótko, teraz, gdy starość blisko, myślami często podążam do tamtych miejsc.

DZIADKOWIE

Mój pradziadek ze strony Ojca był Czechem z Pardubic i nazywał się Švec – wymawia się szewc, a znaczy to samo, co po polsku – szewc! Podobno zmienił pisownię nazwiska na niemiecką, bo było to za czasów austriackich, a zdaje mi się, że był urzędnikiem państwowym. Ożenił się z panną Kiszczukiewicz z miasteczka Waszkowce na Bukowinie. Przed drugą wojną to było tuż za granicą, ale w Rumunii, jego żona, a moja prababcia, żyła do 103 lat i zmarła w latach 20. XX wieku.

Ich syn, a mój dziadek Władysław Schwetz, ożenił się z Marią Mazurek. Dziadek był prawnikiem i urzędnikiem państwowym, a babcia nauczycielką. To było jeszcze za czasów austriackich. Mieli trzech synów: Adama, Tadeusza Adama i Mariana. Adam był lekarzem, został ranny w czasie pierwszej wojny, a później zachorował na stwardnienie rozsiane. Marian studiował fortepian w konserwatorium w Berlinie, ale wojna 1914 roku przerwała mu studia. Zginął w kolejnej wojnie, 26 sierpnia 1920 roku, w miejscowości Jaryczów, jako podporucznik w 5. Pułku Artylerii Lekkiej. Był odznaczony Krzyżem Virtutti Militari. Nadano mi imię Marek właśnie na cześć jego pamięci, bo „Marian równa się Maruś, Maruś równa się Marek”. Tak tłumaczyła mi Mama.

Trzeci syn, Tadeusz Adam Schwetz, to mój Ojciec. Urodził się w Gródku Jagiellońskim blisko Lwowa, 20 marca 1894 roku. Dziadek chciał, żeby Ojciec studiował prawo, więc pojechał na uniwersytet do Wiednia, ale po pierwszym roku zbuntował się i przeszedł na leśnictwo do słynnej Hochschule für Bodenkultur. Kiedy wybuchła I wojna światowa, Ojciec trafił do wojska austriackiego. Walczył na froncie włoskim i serbskim. Wrócił do Lwowa w listopadzie 1918 i brał udział w obronie miasta, w wojnie ukraińskiej i później w wojnie polsko-bolszewickiej. Został ranny. W okresie międzywojennym awansował do stopnia kapitana rezerwy Wojska

Polskiego. Po wojnie polsko-bolszewickiej 1920 dalej studiował leśnictwo w Wyższej Szkole Lasowej we Lwowie. Dyplom inżyniera leśnika uzyskał w roku 1926.

Moja babcia ze strony mamy, Anna Żydaczewska, wyszła za mąż za Stefana Bielikowskiego. Mieli troje dzieci – Józefa, Marię (Manię) i najmłodszą Antoninę (Tosię) – moją Mamę, która urodziła się 13 czerwca 1899 roku. Stefan Bielikowski był inspektorem kolejowym. Jak Mama była jeszcze małym dzieckiem, zginął w wypadku na kolei. Babcia dostała niewielkie odszkodowanie, było im ciężko. Mieszkali na Lewandówce we Lwowie. Mama chciała być nauczycielką, jednak nie było ich stać na potrzebne wykształcenie. Zrobiła więc kurs pisania na maszynie i znalazła pracę na kolei w wydziale budżetowym.

DROGA DO TATAROWA

Rodzice wzięli ślub w 1928 roku. Ojciec pracował najpierw w Dyrekcji Lasów Państwowych we Lwowie. Moja siostra Aleksandra (Ala) urodziła się 1932. Sporo chorowała i lekarze poradzili powietrze górskie, więc Ojciec postarał się o przeniesienie w góry. W ten sposób w 1934 roku rodzina Schwetzwów trafiła do Worochty w Czarnohorze.

Mama mówiła mi, że z pracą Ojca było tak. Istniały dwa nadleśnictwa we lwowskiej Dyrekcji Lasów Państwowych, które nie przynosiły zysku i Ojciec dostał zadanie, żeby to zmienić. Pojechał do Worochty. Ja jednak Worochty nie pamiętam i nie wiem nawet, kiedy później przenieśliśmy się do Tatarowa, ale musiało to być w latach 1936-1937. W Tatarowie była siedziba Nadleśnictwa Jabłonica, gdzie Ojciec został nadleśniczym. Z Tatarowa pamiętam przede wszystkim góry, lasy, no i oczywiście Prut. Na Prucie była duża skała w kształcie kanapy. Tam chodziliśmy się kąpać. Raz prąd porwał mego Ojca i wyszedł z rzeki siny i... bez kąpielówek! Dla mnie życie tam było fantastyczne.

TRYNKA I KAZYK

W naszym gospodarstwie domowym mieliśmy kucharkę Marysię z Kołomyi. Nazywaliśmy ją Marynka. Jako małe dziecko miałem trudności z wymową imienia „Marynka”, więc nazywałem ją „Trynka”. Był też Kazyk, który służył z Ojcem w wojsku i był u nas zatrudniony jako pomoc w gospodarstwie. Podobno po wywiezieniu nas do Kazachstanu w kwietniu 1940 roku, Kazyk i Trynka pobrali się.

Kazyk i Trynka uwielbiali mnie i ja wspominam ich bardzo serdecznie. Kazyk zrobił mi zabawkę – parę małych koni z dwiema zmianami uprzęży, które mogłem zdejmować i nakładać. Miałem też konia z drewna, na biegunach. Nie wiem, czy Kazyk sam go zrobił ale Mama mówiła, że Karol Kossak, który był przyjacielem moich rodziców, osobiście go pomalował. W Tatarowie mieliśmy w gospodarstwie trzy konie – siwego „Dobosza” do jazdy wierzchem dla Ojca i parę huculskich koni do zaprzęgu. Były także dwie krowy, no i całe gospodar-



Tadeusz Schwetz, żołnierz Wojska Polskiego ranny na froncie polsko-bolszewickim w 1920 roku.

Fot. archiwum Marka Schwetza

stwo pełne rozmaitego drobiu, ogród warzywny itd. Tak, że Kazyk miał dużo roboty, ale mimo to zawsze znajdował też czas dla mnie.

Dom nasz, to znaczy nadleśnictwo, był ładny, duży, z werandą, z której było widać, jak wieczorem jelenie chodziły do rzeki napić się wody. Była też obszerna stajnia, gdzie lubiłem przebywać z moim umiłowanym Kazykiem. Była duża stodoła. A do tego dwie morgi pola z pastwiskiem.

OJCIEC PRACOWAŁ CIĘŻKO

Ojciec mało bywał w domu. Podobno dochód z lasów zależał od tego, czy drewno na czas trafiło do kolei i do tartaku. A tymczasem w zimie śnieg rozmiękał w czasie dnia więc ważne było, żeby wcześniej sanie dwa razy przejechały, nim śnieg rozmiękał. Ojciec wyjeżdżał do lasu na koniu o trzeciej rano, żeby dopilnować wywozu drzewa, a dopiero potem szedł do biura do innych zajęć. Mama mówiła, że jak w końcu z lasu były dochody i Ojciec dostał premię, to nie wziął jej dla siebie, tylko podzielił między swoich podwładnych. Moja siostra Ala mówiła, że Ojciec, mając dużo kłopotu z turystami, którzy niszczyli nowoposadzone drzewka, postawił w końcu tablicę z napisem „Uwaga żmije!”. Podobno pomogło.

Bardzo malowniczo wyglądali mieszkańcy tych terenów – Huculi, zwłaszcza w niedziele, gdy byli ubrani w kolorowe stroje z haftowanymi koszulami. W naszym domu było dużo wyrobów huculskich – kilimy, wyszywane poduszki i makatki, malowane pisanki itp.

SEKRETARZ TADEUSZ BUCHINGER

Pamiętam z Tatarowa nazwisko Buchingerów. Tadeusz Buchinger był sekretarzem w nadleśnictwie, a jego żona była dyrektorką miejscowej szkoły. Mieli dwoje dzieci. Pamiętam chrzest Reni w Tatarowie. W czasie okupacji byli wywiezieni do Rosji. Panu Buchingierowi udało się dostać do wojska gen. Andersa i był w II Korpusie we Włoszech, a pani Buchingerowa z dziećmi była w Rosji do końca wojny. W jaki sposób wydostała się i przybyła do Anglii, nie wiem. Byłem później u nich na wakacjach, jeszcze jako uczeń szkoły gimnazjalnej około 1950 roku. Pracowali w majątku z czasów Elżbiety I, blisko Battle w hrabstwie Sussex. Bardzo życzliwi ludzie. Pan Buchinger mówił o moim Ojcu z wielkim szacunkiem i słuchałem go z dumą. Niestety, byłem wtedy zbyt nieśmiały żeby wypytać o więcej. Opowiadał mi też, jak to Huculi wyjeżdżali w góry na cały tydzień do wożenia drewna. Brali ze sobą dwa garnki – w jednym była mamałyga już ugotowana, a w drugim kwaśne mleko. I tak żyli cały tydzień. Pod koniec tygodnia ta mamałyga już była spleśniała. Ciężki mieli żywot.

W NASZYM DOMU

W Tatarowie było zawsze dużo gości i to nie tylko znajomych. Mój kuzyn Mietek Florkowski¹, będąc wtedy studentem, często robił wycieczki w góry i czasami bywał u nas. Mówił mi później, że rodzice byli zobowiązani gościć oficjalnych gości z Dyrekcji Lasów ze Lwowa. Mietek zmarł w Nowej Zelandii w 2010 roku. Przed jego śmiercią dowiedziałem się, że jego brat Zbyszek też był leśnikiem i robił praktykę u mego Ojca. Zachowało się nawet zaświadczenie dla Zbyszka Florkowskiego jako praktykanta leśnego w Nadleśnictwie Jabłonica z podpisem mego Ojca. Ojciec dobrze władał językami: niemieckim, francuskim i angielskim, więc dostawał gości z zagranicy. Raz podobno była nawet grupa leśników ze Szkocji.

Mama zmarła w Australii w 1991 roku w wieku 92 lat. Będąc już w szpitalu, wspomniała po raz pierwszy, że – jeszcze w okresie międzywojennym – Goering zrobił jej komplement za dobrze przyrządzone kartofle. Okazało się, że przed wojną w rządzie hitlerowskim Goering był Ministrem Lasów i przyjechał kiedyś do Polski z oficjalną wizytą państwową. Ojciec musiał go gościć, a ponieważ Goering lubił polować zrobiono dla niego polowanie i był w naszym domu na obiedzie. Tak mi się wydaje, że Mama wołałaby zapomnieć o tym komplementcie!

KSIĄDZ JÓZEF ZATOR-PRZYTOCKI

Pamiętam też księdza Józefa Zatora-Przytockiego², gdy kropił nasze „święcone” w okresie Wielkanocy. Byłem bardzo wzruszony, czytając o nim artykuł Anny Kołakowskiej pt. Żołnierz Kościoła w „Naszym Dzienniku” w 2002 roku. A oto, co Mietek Florkowski¹, mój kuzyn, o nim pisał w swoim pamiętniku na temat ucieczki



Nadleśniczy Nadleśnictwa Jabłonica Tadeusz Schwetz (pierwszy od lewej) z grupą znajomych w Tatarowie ok. 1937 roku. Fot. archiwum Marka Schwetza

Nadleśniczy Tadeusz Schwetz z synem Markiem na schodach domu w Tatarowie.
Fot. archiwum Marka Schwetza





Wizyta biskupa Eugeniusza Baziaka w Worochcie. Pierwszy od lewej - nadleśniczy Tadeusz Schwetz. Fot. archiwum Marka Schwetza

przez zieloną granicę, jesienią 1939 (było to w Stanisławowie): „Udałem się do ks. Zatora, u którego, zgodnie z przypuszczeniem, zdobyłem cenne informacje. Bardzo mi się podobała jego praca i było mi niezmiernie przykro, gdy potem na Węgrzech dowiedziałem się, że został aresztowany.

Zastałem u niego kolejarza, który transportował ludzi od księdza ku granicy. Ponieważ była regularna praca konspiracyjna, więc otrzymałem cały szereg wskazówek, no i miejsca, adresy osób, do których w razie potrzeby mógłbym się zwrócić o pomoc.

Poza tym przewinęło się przez pokój księdza, w czasie mojego tam pobytu, cały szereg osób, oczekujących na swoją kolejkę, a tymczasem bezpiecznie umieszczonych u zaufanych parafian. Między innymi był tam lotnik francuski, którego nasza artyleria zestrzeliła nad Lwowem ”.

ZAPACH KARPACKIEGO LASU

Znalazłem w książce Franciszka Skibińskiego „Pierwsza Pancerna” (Czytelnik 1959) ciekawą notkę. We wrześniu 1939, już po wkroczeniu bolszewików, pułkownik Maczek dostał rozkaz wycofania 10. Brygady Kawalerii Zmotoryzowanej wraz z bronią, na Węgry. Przenocowali w Tatarowie, a granicę przeszli przez przełęcz Tatarską. I tak pisze: „Pod wieczór doszliśmy do Tatarowa i zainstalowaliśmy sztab w opuszczonej willi, przy szosie. Pod oknami huczał po kamieniach Prut, wiatr niósł zapach karpackiego lasu.” Tym zdaniem opisał ten Tatarów, który pozostał na zawsze w mojej pamięci.

WE LWOWIE

W 1939 roku mój Ojciec był przeniesiony z Nadleśnictwa Jabłonica z siedzibą w Tatarowie z powrotem do Dyrekcji Lasów Państwowych we Lwowie. Mieszkaliśmy w dość dużym domu i to musiało być na rogu ulicy Orzeszkowej, bo z jednej strony ogrodu był długi parkan. Z przedwojennego Lwowa najbardziej pamiętam oświetlone nocą tramwaje i neonowe reklamy. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem. Pamiętam też, że kościoły były piękne i ogromne. Byliśmy też po raz pierwszy w kinie. Wyświetlano film pt. „Królewna Śnieżka i siedmiu Krasnoludków” według Disneya.

Po wybuchu wojny pamiętam bombardowanie miasta. Chodziliśmy do domu wuja Adama chronić się w piwnicy. Już po wkroczeniu bolszewików pamiętam, jak raz szliśmy z Ojcem, prawdopodobnie zabierał nas z domu wuja Adama do naszego mieszkania. Ulice były pełne gruzu, a w jednym miejscu, gdzie żołnierze byli rozbrajani, pozostała duża sterta połamanych karabinów. Już po wkroczeniu bolszewików, wielu żołnierzy wybierało się na południe i na zachód przez zieloną granicę. Znalazłem wtedy w naszym ogrodzie pudełko z medalami wojskowymi. Chciałem je sobie zachować, ale Mama powiedziała, że to niebezpiecznie i nie

wiem, co się z nim stało, chyba je w ogrodzie zakopano. Tymczasem bolszewicy zarekwirowali część naszego mieszkania, więc przenieśliśmy się do mniejszego na ulicy Raszyńskiej, obok siostry mojej Mamy, cioci Mani Florkowskiej¹.

BOLSZEWICY ARESZTOWALI OJCA

Aresztowanie miało miejsce 9 grudnia 1939 roku. Po śledztwie we Lwowie został wywieziony na wschód. Nie wiedzieliśmy gdzie. To, że mój Ojciec był więziony we lwowskim więzieniu Brygidki jest pewne. Mama najpierw nie wiedziała, w którym był więzieniu i chodziła od jednego do drugiego, ale bolszewicy nie udzielali informacji. Dopiero w Brygidkach jakaś kobieta jej powiedziała, że można tam dostarczać paczki dla więźniów w porządku alfabetycznym i właśnie na następny dzień miała być litera „S”. Mama spakowała zatem czystą bieliznę i zaniósła do Brygidek na ślepo. Po oddaniu paczki dostała pokwitowanie z oryginalnym podpisem Ojca.

Po nas bolszewicy przyszli 13 kwietnia 1940 roku o piątej rano i dali Mamie piętnaście minut na spakowanie się. Powiedzieli jej, że jedzie do męża, ale to było wówczas dość powszechne kłamstwo! Więc spakowała jego rzeczy i... dyplom inżyniera! Potem była kilkutygodniowa podróż do Kazachstanu pociągiem nr 104, do Ajaguz. Nas wysadzono trochę dalej, przypuszczam, że w okolicy Zharmy, posesiołek Akpostal, Nikolajevka i Georgievka.

W KAZACHSTANIE

Rzeczy Ojca Mama zamieniała na żywność, bo zakupienie czegoś do jedzenia nie było tam możliwe. Na miejscu spotkaliśmy znajomych ze Lwowa. Była pani Antoniewicz, Ormianka, pani Chlipalska z synami Adamem i Pawłem i pani Makowska z dwojgiem dzieci, Wojtkiem i Basią. Wszyscy mieszkaliśmy w jednym pokoju. Zachowało się świadectwo mojej siostry Ali (ur. 1931) o warunkach życia w Kazachstanie, spisane w Palestynie 20 maja 1943 roku:

„Schwetz Aleksandra. Szkoła Młodszych Ochotniczek kl. VI. W Polsce mieszkałam: Lwów, ul. Raszyńska nr 2. Tatuś został aresztowany 9 XII 1939 r. Nas wywieziono do Rosji 13 IV 1940 r. Wywieziono nas dlatego, że tatuś był oficerem rezerwy. Przywieziono nas do Krasnegoskatowodu do toczki Akpostal. Było tam dwie stajnie i gliniana lepianka brygadira na pustym stepie. Mieszkaliśmy w cielętnikach na ziemi. Nie dali się modlić, nie dali nam chleba i kazali czyścić stajnie. Po wodę trzeba było chodzić pół kilometra. Mamusia po chleb musiała chodzić 30 km. Mamusia pracowała pięć miesięcy na sianokosach, deptała kiziak, czyściła stajnie i dostała za to wszystko tylko 3 ruble, a bochenek chleba kosztował 45 i 50 rubli. Żyliśmy tylko z paczek i rzeczy z Polski. Potem przywieźli nas do obłasci Semipałatyńskiej, gdzie była szkoła, ochronka i szpital. Brata przemocą wzięli do ochronki, a mnie do szkoły, w której chłopcy batami bili nas, a nauczyciel nie zwracał na to uwagi.

Uciekłam z tej szkoły. Mieszkało nas 12 osób w jednym pokoiku 2 na 2 metry, a piec zajmował połowę izby."

W tym pośpiesznym pakowaniu rzeczy jeszcze we Lwowie, Mama zwinęła też leżnik huculski. W wagonie na pryczy był on naszym łóżem, jak też w stajni w Kazachstanie i na ziemi w lepiance. W drodze do Teheranu, w górach perskich spadł z wozu, ale na szczęście nie w przepaść, więc go uratowano. Mama wiozła ten leżnik po całym świecie i do końca życia nakrywała nim swój tapczan. Teraz jest już bardzo wytłuszczone i miejscami przeżroczone, ale wciąż go mamy.

Po „amnestii” („amnestia” - to fałszywe określenie sugeruje, jakoby Polacy byli wcześniej przestępcami! Tymczasem zostali napadnięci w swojej Ojczyźnie, bezprawnie deportowani do łagrów i skazani praktycznie na pewną śmierć), która nastąpiła w wyniku układu Sikorski-Majski w 1941 roku, rodziny wojskowych mogły dostać pozwolenie wyjazdu z miejsc deportacji. Mama szukała Ojca, ale bezskutecznie. Niedawno dowiedziałem się z dokumentu zachowanego w Instytucie Generała Sikorskiego w Londynie, że to Tadeusz Buchinger (sekretarz Ojca w Nadleśnictwie Jabłonica) podał Mamę jako swoją krewną i w ten sposób ocalił nam życie, a jego własna rodzina była w Rosji aż do 1946 roku.

Z trudem dojechaliśmy do Aszhabatu, ale i tu ciężko było o miejsce w transporcie. Nam się udało dostać na ostatni konwój, gdy już wyjeżdżał sztab. Jechaliśmy amerykańskimi ciężarówkami wojskowymi przez góry do Teheranu w Persji.

W PALESTYNIE

Pan Makowski był kapitanem w Wojsku Polskim i później wykładowcą w Liceum Drogowo-Wodnym w Palestynie. We Lwowie przed wojną był architektem. Przyjechał do Teheranu po swoją żonę. Byli oni przyjaciółmi moich rodziców we Lwowie. To kapitan Makowski namówił Mamę, żeby wstąpiła do wojska. W ten sposób siostra i ja mogliśmy wstąpić do szkoły, Ala do Szkoły Młodszych Ochotniczek w Dżeninie w Palestynie, a ja do Junackiej Szkoły Powszechnej w Nazarecie.

Po sowieckiej „gościnie” byłem ciężko chory. W Teheranie trafiłem do szpitala polowego, bo miałem czerwone. Lekarstw nie było i leczenie czerwotki polegało na diecie z samego ryżu. Nic mi nie pomagało, a w szpitalu ludzie masowo umierali. W końcu Mama zabrała mnie stamtąd i zaczęła leczyć po swojemu, to znaczy dietą: perskie granaty, których było tam w obfitości, herbata z czerwonym winem i czarna czekolada. Wyleczyło to czerwone, ale następnie miałem pelagrę, koklusz i malarię. Malaria męczyła mnie atakami, co miesiąc. W Nazarecie nastąpiły komplikacje. Lekarzem w Junackiej Szkole był dr Jan Freundlich, pediatra z Przemyśla. To on uratował mi życie. Wysłał mnie do angielskiego szpitala wojskowego, bo Nazaret był wtedy pełen angielskich szpitali wspierających kampanię w północnej Afryce.

Rok szkolny trwał tylko sześć miesięcy, żeby nadrobić czas stracony w Rosji. Ja poszedłem prosto do drugiej klasy, bo pierwszej w ogóle nie było. Na moim

27. December 1947.

S T A T E M E N T

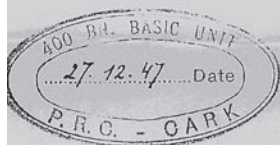
To
Whom it may concern.

This is to certify that Mr. Tadeusz SCHWETZ born 20.3. 1894 in Gródek Jagiellenski (Poland) when I knew personally, died in November 1941 in a military railway transport, going from Kirov to Tashkent (Russia), and was buried at some small station in Gorki region.

I was o/c of the said transport and other witnesses were : Lt. K. Ratajczyk and K. Schurer, and W.O.I. Kukielka Kazimierz.

[Signature]
(Lt. S. Dołęga-Sierakowski)

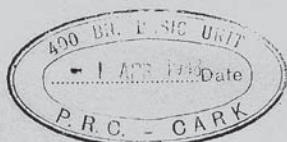
I hereby certify that the above signature is authentic.



[Signature]
Adjutant of the 400 Basic Unit, P.R.C.

[Signature]
/chob. Kukielka Kazimierz

I hereby certify that the above signature is authentic.



[Signature]
ADJUTANT OF 400 BASIC UNIT

Powojenne (rok 1947)) oświadczenie por. S. Dołęgi Sierakowskiego i innych świadków dotyczące okoliczności śmierci Tadeusza Schwetza, w transporcie wojskowym w rejonie Gorki (ZSRR) w listopadzie 1941 roku. Dokument z archiwum Marka Schwetza

świadczenie z czerwca 1943 jest notatka, że opuściłem 63 dni szkolnych, a to był właśnie wspomniany szpital.

Malarza Wlastimila Hofmana³ wojna zastała w Nazarecie, gdzie malował tematy z Nowego Testamentu. Warunki wojenne nie były dobre, żeby zarabiać na życie w zawodzie artysty malarza. Na szczęście dr Freundlich był miłośnikiem

jego talentu i dużo obrazów zakupił. W ten sposób wspierał Wlastimila. Ten artysta namalował również mój portret w 1944 roku, który mam do dziś.

Ponieważ podczas pobytu w Palestynie zazwyczaj byłem najmłodszy i najmniejszy w gronie polskich dzieci, wybierano mnie do delegacji, aby witać wizytujących nas generałów. W 1943 roku pojechałem z delegacją z Nazaretu do obozu Qastina witać gen. Sikorskiego. Gdy wróciłem do domu, powiedziano mi, że generał już nie żyje. Nie mogłem uwierzyć. Tak sobie teraz myślę – ciekawe to jest, że to właśnie dzięki staraniom gen. Sikorskiego i gen. Andersa było możliwe wydostać się z sowieckiego „raju” i ja miałem ten przywilej, że później obaj uściśnęły mi rękę, a gen. Sikorski zaledwie dwa dni przed swoją tragiczną śmiercią. Cześć Jego pamięci!

LOSY OJCA

W 1947 roku przewieziono nas do Anglii, a tam już się wojsko polskie skończyło. Mama dowiedziała się dopiero w grudniu 1947, osobiście od por. Dołęgi-Sierakowskiego, że Ojciec umarł w Rosji. Był w łagrach w okolicach Archangielska, a w listopadzie 1941 jechał w transporcie z Kirova do Taszkientu do wojska polskiego, ale zmarł w drodze, prawdopodobnie na tyfus, gdzieś w okolicy Gorki.

Dopiero niedawno dowiedziałem się nieco więcej o zawiłych i tragicznych losach mojego Ojca. Został aresztowany przez sowieckie NKWD 9 grudnia 1939 roku (lista dyspozycyjna 55/4). Był więziony w Brygidkach we Lwowie, po czym

Nazwisko Tadeusza Schwetza widnieje na jednej z tabliczek na Polskim Cmentarzu Wojennym w Bykowni jako ofiary Zbrodni Katyńskiej. Fot. Tadeusz Chrzanowski



w maju 1940 wywieziony do Kijowa na wyrok śmierci, lecz – w nieznanymi okolicznościach – „sprzedany” do łagrów, prawdopodobnie do Kotlasu. Zatem uniknął śmierci w Kijowie i dołów śmierci w Bykowni⁴, ale zabiły go warunki w sowieckim łagrze. Zmarł z wycieńczenia i chorób w drodze do polskiego wojska, w wojskowym transporcie kolejowym na trasie Kirow-Taszkient, w regionie Gorki, w listopadzie 1941 roku. Zaświadczyli o tym towarzysze podróży, naoczni świadkowie, w tym o/c (oficer dowódca transportu) porucznik Stanisław Dołęga-Sierakowski. Zmarły Tadeusz Schwetz został pochowany gdzieś przy małej stacji kolejowej w obwodzie Gorki.

Takie to były wojenne losy mojej rodziny. Teraz, ponad 70 lat po tamtych wydarzeniach, na emeryturze w słonecznej Australii jest mi dobrze i wygodnie, jednak wciąż myślami wracam do mojego ukochanego Tatarowa nad Prut w Czarnohorze.

Marek Zygmunt Schwetz

Przypisy

¹Rodzina Florkowskich. Siostra Mamy, Mania, wyszła za mąż za Michała Florkowskiego, który był pracownikiem Polskich Kolei Państwowych. Mieli czworo dzieci – Ludkę, Józka, Zbyszka i Mietka. Ludka wyszła za mąż za Wieśka Protschke. Józek trafił do łagrów na Kamczatce, uciekał do Japonii, która była wtedy jeszcze neutralna, ale po trzech dniach na morzu złapał go patrol rosyjski. Wrócił do łagru. Po amnestii dostał się do wojska polskiego, służył w II Korpusie gen. Andersa we Włoszech. Mietek na początku wojny uciekł przez zieloną granicę i służył w 10 Pułku Strzelców Konnych we Francji i Szkocji. Zbyszek Florkowski był leśniczym w Sosnowcu, był żołnierzem Armii Krajowej, aresztowany przez Niemców, zginął razem z Wieśkiem Protschke w Mauthausen-Gusen. Ludka po wojnie pracowała w redakcji „Czytelnika”.

²Ksiądz Józef Zator-Przytocki urodził się w 1912 roku w Wicyniu na Podolu. Po ukończeniu Seminarium Duchownego we Lwowie w 1935 r. przyjął święcenia kapłańskie. W 1939 r. zgłosił się jako ochotnik na front. Po zajęciu Stanisławowa przez bolszewików, do kiedy to tylko było możliwe, uczył dzieci religii. Darzony wielkim zaufaniem przez ludzi organizował przerzuty żołnierzy i cywilów przez zieloną granicę do Rumunii oraz na Węgry. Osobom zagrożonym aresztowaniem przez NKWD wystawiał fałszywe dokumenty. Działalność taka wymagała rozległej siatki konspiracyjnej, jednak ogromna liczba ludzi objętych pomocą księdza Przytockiego uniemożliwiała zachowanie zasad konspiracji. Konfident - Żyd, złożył meldunek do NKWD, dlatego też ksiądz Przytocki musiał w pośpiechu opuścić nie tylko Stanisławów, ale także strefę okupacji sowieckiej i udać się do Generalnej Guberni.

W Krakowie ksiądz Zator-Przytocki zaangażował się w tajne nauczanie, pracę w komórce legalizacyjnej, przewoził pocztę konspiracyjną, współpracował z Biurem Informacji i Propagandy Armii Krajowej. W 1942 roku metropolita krakowski ksiądz kardynał Adam Sapieha zwrócił się do ks. Zator-Przytockiego z propozycją włączenia się w duszpaster-

stwo Polski Walczącej. Nie tylko bez wahania przyjął stanowisko kapelana tworzących się oddziałów partyzanckich, ale jako dziekan okręgu krakowskiego rozpoczął organizację struktury duszpasterskiej do opieki nad leśnym wojskiem. Bez reszty poświęcił się pełnieniu posługi kapłańskiej wśród członków oddziałów Armii Krajowej. Po przejściu frontu i zainstalowaniu się w Krakowie reżimu komunistycznego ks. Zator-Przytockiego zagrożony aresztowaniem został skierowany przez metropolitę krakowskiego do Gdańska. Istniała szansa, że tu nie zostanie rozpoznany przez NKWD. W wielkim trudzie i z ogromnym poświęceniem dźwigał z ruin zniszczony kościół Najświętszego Serca Jezusowego.

5 września 1948 roku, kiedy prace nad odbudową świątyni były już na ukończeniu, ks. Zator-Przytockiego został aresztowany przez UB, przewieziony do Warszawy i osadzony w areszcie śledczym Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, a później w osławionym X pawilonie śledczym na Mokotowie. Przeszedł z godnością bardzo ciężkie śledztwo, podczas którego był zmuszany do siedzenia na tzw. haku, na nodze od taboretu, okrutnie bity, przez wiele dni przetrzymywany w karcerze, a zimą tygodniami w nieogrzewanej celi z wybitymi szybami. Był podporą dla innych więźniów. W celi pomimo grożących bardzo surowych kar spowiadał współwięźniów, prowadził wspólne modlitwy, opiekował się skatowanymi podczas śledztwa towarzyszami niedoli.

30 grudnia 1949 roku ksiądz Zator-Przytockiego został skazany wyrokiem komunistycznego sądu na 15 lat więzienia. Zakończenie śledztwa nie oznaczało końca udręki. Przez wiele lat odsiadywał wyrok w najcięższym więzieniu PRL-u, w osławionych Wronkach, gdzie katowanie więźniów przez zwyrodniałych strażników było na porządku dziennym. Po ośmiu latach, w 1955 roku ks. Zator-Przytockiego wyszedł z więzienia ciężko okaleczony fizycznie, ale silny duchem i wiarą. W latach 1958-78 był proboszczem bazyliki Mariackiej w Gdańsku. Zmarł przy ołtarzu w czasie odprawiania Mszy Świętej 26 listopada 1978 roku (Anna Kołakowska, *Nasz Dziennik*, 2002-09-26)

³Vlastimil Hofman (1881-1970) – jeden z najwybitniejszych polskich malarzy XX wieku, przedstawiciel symbolizmu. Istotny wpływ na jego twórczość miała symbolistyczna sztuka Jacka Malczewskiego, z którym się przyjaźnił. Hofman uznawany jest za kontynuatora zapoczątkowanej przez Malczewskiego linii symboliczno-alegorycznej w malarstwie. Malował też sceny o tematyce religijnej, antycznej, baśniowej i fantastycznej. Był również autorem scen rodzajowych z życia górali i wizerunków chłopów, w których akcentował folklor i dekoracyjność strojów.

⁴Nazwisko Tadeusza Schwetza znajduje się na tzw. liście ukraińskiej – jako jedna z 3435 ofiar Zbrodni Katyńskiej spoczywających w dołach śmierci w Kijowie-Bykowni. W tym miejscu 21 września 2012 r. został otwarty czwarty „katyński” Polski Cmentarz Wojenny (po Charkowie, Katyniu i Miednoje). Tadeusz Schwetz posiada tam imienną tabliczkę (Red. TaCh).



Jerzy Wysocki (1905 – 1946)

Nadleśniczy JERZY WYSOCKI

(1905-1946)



Jerzy Wysocki urodził się 27 lipca 1905 roku w miejscowości Rećków koło Kołomyi, w województwie stanisławowskim¹, na Kresach przedwojennej Polski. Gimnazjum ukończył w roku 1924 we Włodzimierzu na Wołyniu. Leśnictwo studiował na Wydziale Leśnym SGGW w Warszawie, składając egzamin inżynierski w 1934. Po wojnie, do chwili tragicznej tajemniczej śmierci jesienią 1946 pracował na terenie toruńskiej Dyrekcji Lasów Państwowych.

W jedynym dokumencie zawierającym informację o przebiegu pracy Jerzego Wysockiego „Wykazie imiennym pracowników Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu” z lat 1945-1950, zapisano, że w okresie 1927-1934 pracował w DLP Warszawa, a w latach 1934-1939 w DLP Łuck, gdzie w czasie okupacji kontynuował pracę do 1941 roku i w latach 1941-45 na terenie DLP Lublin.

Z artykułu o nadleśniczym, który ukazał się w „Soleckim Peryskopie”, wiadomo, że jeszcze w czasie wojny ożenił się z Ireną Stypik. Z małżeństwa tego w 1944 roku urodził się syn Mieczysław. Na Kresach rodzina Wysockich przeżyła dramatyczne chwile. Najpierw najazd i okupację sowiecką w latach 1939-1941, której znakiem szczególnym były zbrodnie, gwałty, deportacje – głównie inteligencji polskiej – na Wschód (Syberia, Kazachstan), później okupację niemiecką w latach 1941-1944 i tragiczne akty ludobójstwa nacjonalistów ukraińskich na Polakach. Trudno dzisiaj odtworzyć szczegóły z życia rodziny Wysokich w czasach przedwojennych i wojny, gdyż nie pozostały w archiwach rodzinnych żadne dokumenty, a nieliczni świadkowie już nie żyją.

LEGITYMACJA NR 425

Z informacji uzyskanych od Mieczysława Wysockiego (syna Jerzego, zamieszkałego w Bydgoszczy) – potwierdzonych w syntetycznym zapisie we wspomnianym „Wykazie imiennym pracowników DLP Toruń”, wynika, że jego ojciec, nadleśniczy Jerzy Wysocki przybył do Torunia z Lublina w pierwszej połowie 1945 roku i już od 1 maja został zatrudniony na stanowisku nadleśniczego Nadleśnictwa Zamrzenia. Otrzymał legitymację służbową nr 425 wystawioną przez Dyрекcję LP w Toruniu, jednak dopiero 6 sierpnia 1946, gdy już faktycznie pełnił funkcję nadleśniczego w Nadleśnictwie Solec. Przeniesienie takie uzyskał na własną prośbę z dniem 29 lipca 1946 roku. Prośba była podyktowana faktem, iż do Solca Kujawskiego w tym czasie sprowadzili się z Kresów jego teściowie i żona z synem Mieczysławem. Nie wiadomo natomiast, jakie były losy rodziców samego nadleśniczego.

OKOLICZNOŚCI ŚMIERCI

21 listopada 1946 roku nadleśniczy Wysocki odbywał podróż z Solca Kujawskiego do Zamrzenicy. Wyjazd ten wiązał się z zadaniami służbowymi. Z Solca wyjechał pociągiem do Bydgoszczy, później taksówką do siedziby Nadleśnictwa Zamrzenica. Tą samą taksówką wrócił do Bydgoszczy późnym wieczorem. Z relacji zawartych w aktach sądowych wynika, że zabiegał, aby właściciel taksówki zawiózł go dalej do Solca, na co ten nie chciał się zgodzić. Miało dojść do kłótni i interwencji patrolu milicyjnego. Patrol miał odprowadzić nadleśniczego do pobliskiej bramy i tam wkrótce padł strzał ciężko raniąc Wysockiego. Milicjanci mieli beztrząsco oddalić się z miejsca zbrodni i dopiero kolejny patrol zainteresował się rannym. Wezwano pomoc i przewieziono nadleśniczego do szpitala, gdzie jednak nie udało się go uratować. Jerzy Wysocki zmarł w wyniku rozległych ran wewnętrznych i wykrwawienia.

ZBRODNIA POSPOLITA?

Dochodzenie w sprawie zabójstwa nadleśniczego w 1946 roku trwało... sześć dni i zostało umorzone bez wskazania winnych. Żona nadleśniczego Irena Wysocka dopiero dziesięć lat później, po tzw. odwilży 1956 roku, mogła wnieść oskarżenie w sprawie zamordowania jej męża Jerzego. Proces odbył się, sprawcy zostali przesłuchani. Dowódca patrolu milicyjnego, a jednocześnie zabójca, Bronisław Wiliński, został skazany na karę 15 lat więzienia. Czy ją odbył? Nie wiadomo.

Wyjaśnienie okoliczności i przyczyny morderstwa Jerzego Wysockiego chciał poznać w 1993 roku jego syn Mieczysław. Z opowieści matki, jak również przyjaciół rodziny wiedział, że ojciec jego w czasie wojny współpracował z Armią Krajową. W nadleśnictwie, gdzie pracował, zlokalizowany był skład broni oddziałów partyzanckich. Podejrzewał w związku z tym, że mord na ojcu mógł mieć charakter polityczny. Wiadomo, że członkowie Armii Krajowej, zwłaszcza ci ze stopniami oficerskimi, po wojnie byli wywożeni na wschód, więzieni, katowani, często tracili życie w niewyjaśnionych do dzisiaj okolicznościach. Prokuratura Rejonowa w Bydgoszczy przez blisko półtora roku analizowała akta sprawy zarówno z 1946, jak z 1956 r. Streszczając wywoły zawarte w Postanowieniu z 14 kwietnia 1995 roku, nie dopatrzyła się ona żadnych politycznych powodów zabójstwa, uznała, że sprawca mordu Bronisław Wiliński poniósł karę za swój czyn, a ponadto, karalność w zabójstwie „pospolitym” (!?) ustała z dniem 22 listopada 1971 roku i... odmówiła wszczęcia postępowania przygotowawczego w sprawie.

PYTANIA BEZ ODPOWIEDZI

Tymczasem tylko we fragmentach zawartych we wspomnianym powyżej „postanowieniu” prokuratury kłębi się od niekonsekwencji. Jest mowa o kłótni Jerzego Wysockiego z taksówkarzem, na co mieli zareagować milicjanci. W zezna-

niach milicjantów zaś jest mowa, że to właśnie z nimi wykłócał się (nie wiadomo o co?) i szarpał nadleśniczy, po czym zaczął uciekać. Po kilkudziesięciu metrach został złapany i... zastrzelony z karabinu maszynowego. W zeznaniach mordercy pojawia się jeszcze nie rozpoznana postać tajnego funkcjonariusza UB, który był uzbrojony w pistolet i miał razem z trzema milicjantami z patrolu bić i kopać leżącego na ziemi Jerzego Wysockiego. To dość dziwne, bowiem nadleśniczy nie stawiał oporu. W jednej z wersji zdarzeń z nocy 21 listopada 1946 r. miał nawet klęczeć przed oprawcami i prosić o darowanie życia. Co zrobił wtedy ów tajemniczy, bezimienny UB-ek? Otóż, oddalił się jeszcze przed zabójstwem nadleśniczego. Czy zostawił jakieś polecenie dowódcy patrolu?

Mieczysław Wysocki pamięta też relację swojej matki (zmarła w 1979) z procesu, który odbył się w 1956 roku w Bydgoszczy. Na tej sprawie uczestnicy patrolu milicyjnego wzajemnie oskarżali się o zbrodnię, pojawił się też motyw nietrzeźwości, a więc wcześniejszego spożycia przez nich alkoholu, o czym już jednak w protokołach sądowych nie wspomniano. Nie wyjaśniono również roli tajemniczego funkcjonariusza UB. Trudne do wyjaśnienia jest rzekome zachowanie samego nadleśniczego. Nie wiadomo, czy spierał się on z taksówkarzem, czy tylko z milicjantami? Nie wiadomo czy uciekał i dogonili go pijani (?) milicjanci, czy tylko wprowadzili go do bramy i postrzelili? Nie wiadomo też kim był i jaką rolę odegrał taksówkarz, gdyż o jego przesłuchaniu, czy personaliach nic nie napisano.

Syn nadleśniczego, Mieczysław Wysocki, lekarz w szpitalu bydgoskim, próbował w latach 90. ubiegłego wieku odnaleźć jakiejkolwiek informacje, np. akta osobowe swojego ojca. Nie znalazł ich nigdzie, ani w miejscach, gdzie pracował Jerzy Wysocki, ani w innych instytucjach. Całkiem jakby nadleśniczy nigdy nie istniał.

Pierwsze, znane wspomnienie o nadleśniczym Jerzym Wysockim napisał i zamieścił w „Soleckim Peryskopie” nr 11 z 2004 r. Roman Zakrzewski, mieszkaniec Solca Kujawskiego. W jego pamięci zachował się obraz leśnika o wybitnych zdolnościach organizacyjnych, człowieka dobrze zbudowanego o dużej sprawności i sile fizycznej, inteligentnego, zdyscyplinowanego. On sam, jak i inni sąsiedzi i znajomi, darzyli nadleśniczego szacunkiem i dużą sympatią. Grób Jerzego Wysockiego znajduje się na cmentarzu przy kościele parafialnym p.w. św. Stanisława w Solcu Kujawskim.

Tadeusz Chrzanowski

¹Według „Księgi Pamiątkowej SGGW w Warszawie 1906-1956” (T.2, str. 407) Jerzy Wysocki urodził się w Budkowie w woj. wołyńskim. Podczas studiów specjalizował się w urządzaniu lasu. Napisał – pod kierunkiem prof. Jedlińskiego – pracę dyplomową pt. „Wpływ prześwietlenia na przyrost pierśnicy sosny w poszczególnych klasach grubości”. Stopień inżyniera nadano mu 25 VI 1936.



Bolesław Usow (1913 – 1954)

Nadleśniczy BOLESŁAW USOW ps. KONAR

(1913-1954)



est to historia życia Bolesława Usowa – człowieka niezwykłego, w czasie II wojny światowej dowódcy oddziału partyzanckiego w Lasach Janowskich, wysoko cenionego przez żołnierzy podziemia; w okresie powojennym nadleśniczego Nadleśnictwa Kwidzyn, który pozyskał serca współpracowników i społeczeństwa.

RYPIN, ROSTÓW NAD DONEM I BRODNICA

Bolesław Usow urodził się 18 lipca 1913 roku w Rypinie. Dziadek ze strony ojca był prawdopodobnie carskim oficerem stacjonującym na dawnej granicy rosyjsko-pruskiej. Ojciec Jan (ur. 1884) był urzędnikiem państwowym, dyrektorem banku w Rypinie. Matka Leokadia z domu Bonewicz (ur. 1892) wywodziła się z rodziny ziemiańskiej. Wyszła za mąż za Jana Usowa w wieku 16 lat, i to z wielkiej miłości i nawet wbrew ojcu, który nie był zadowolony, że będzie miał zięcia Rosjanina. Leokadia postawiła jednak na swoim. Wkrótce zresztą została w Rypinie sama tylko z mężem, gdyż ojciec i sześcioro rodzeństwa wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych. W rodzinie Usowów urodził się najpierw, w 1909 Bazyli (później używał imienia Walenty), po nim Bolesław (1913).

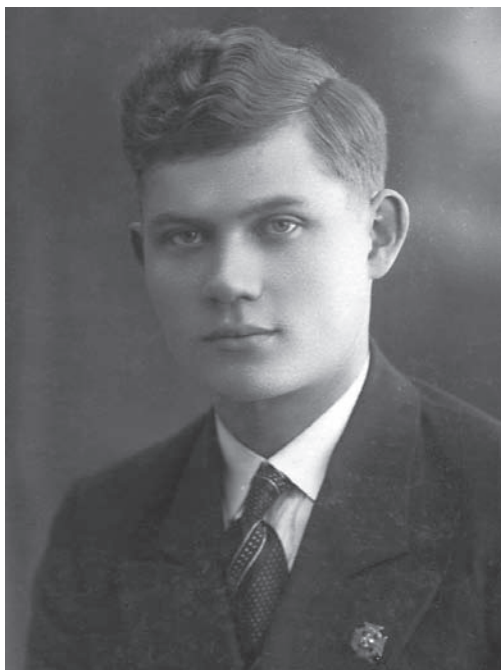
I oto wybuchła I wojna światowa. Jan Usow dostał wezwanie do carskiej armii i trafił do Rostowa nad Donem. Zabrał ze sobą żonę i synów. W 1915 roku w Poreczju urodziła się Zofia. Wojnę rodzina Usowów przeżyła szczęśliwie, jednak tragiczne okazały się konsekwencje bolszewickiej rewolucji. Latem 1920 bolszewicy aresztowali Jana Usowa, jako białogwardzistę i człowieka o zbyt delikatnych dłoniach. Nie wrócił, ślad po nim na zawsze zaginął. Miał zaledwie 36 lat. Zaczęły się ciężkie czasy dla Leokadii i trojga jej dzieci. Cierpieli niedostatek i wielki głód. W ostatniej chwili uratował ich dziadek Teodor Bonewicz, który wrócił z Ameryki i poświęcił sporo rodowych oszczędności, by wydobyć córkę z sowieckiego imperium. Udało się. Leokadia z dziećmi osiedliła się w Brodnicy. Jak pisze w swoim służbowym życiorysie Bolesław: „matka z trojgiem dzieci utrzymywała się z pracy rąk własnych, przeważnie z prowadzenia stacji dla dzieci szkolnych. Majątku żadnego rodzice nie posiadali”.

W 1926 roku Bolesław ukończył cztery klasy Szkoły Powszechnej w Brodnicy i tegoż roku wstąpił do Gimnazjum również w Brodnicy, które ukończył w 1934. Niewiele wiadomo o tym okresie życia Bolesława poza tym, że był mocno zaangażowany w Związek Harcerstwa Polskiego. Doszedł do harcerskiego stopnia instruktorskiego. W latach 1934-35 odbył służbę wojskową w 67. pułku piechoty



Bolesław Usow (stoi trzeci od lewej) na obozie harcerskim w Garczynie pod Kościerzyną, latem 1929 roku. Fot. archiwum Anny Reinl

Bolesław Usow w czasie studiów na Wydziale Leśnym SGGW w Warszawie, w latach 1936-1939. Fot. archiwum Anny Reinl



Praktyki terenowe studentów leśnictwa. Bolesław Usow z notatnikiem z lewej. Około 1939 roku. Fot. archiwum Anny Reinl



w Brodnicy. Następnie podjął studia na Wydziale Leśnym Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, które ukończył w 1939 roku, uzyskując dyplom inżyniera leśnika (nr 876/647) 30 stycznia 1940, a więc prawdopodobnie już w tajnych strukturach tej szkoły. Jeszcze przed wybuchem wojny, w maju 1939 r. podjął pracę na kontrakcie w warszawskiej Dyrekcji Lasów Państwowych w drużynie urzędzeniowej.

WYBUCHŁA WOJNA

1 września 1939 Usov został zmobilizowany i powołany do 36. pułku piechoty w Warszawie. Brał udział w obronie stolicy. Po kapitulacji miasta, 29 września 1939, odszedł do cywila. W latach 1940-41 pracował w Zakładach Zarządu Miejskiego w Warszawie. Ważniejsze epizody z życia Bolesława Usowa w okresie okupacji są opisane we wspomnieniach kilku autorów – żołnierzy Polski Podziemnej. Oto kilka z nich, zaczerpniętych z książki pt. „Partyzanci Ojca Jana” (Stalowa Wola, 1996) autorstwa Stanisława Puchalskiego ps. Kozak, żołnierza Narodowej Organizacji Wojskowej - Armii Krajowej.

ARESztOWANIA W HUCIE KRZESZOWSKIEJ

„W pierwszych miesiącach wojny, hrabia Marek Zamojski, brat ordynata, spotkał w Warszawie kolegę ze studiów inż. Bolesława Usowa, zatrudnionego przy usuwaniu zniszczeń stolicy – pisze Stanisław Puchalski. – Zaproponował mu pracę przy urządzaniu lasów w dobrach Zamojskich. Usov propozycję przyjął. Przybył z matką i rodzeństwem (Zofią i Bazylim) do Huty Krzeszowskiej na Lubelszczyźnie. Po półrocznej pracy przy urządzaniu lasów objął funkcję nadleśniczego w Hucie.

Wieczorem, 10 września 1943 roku do Huty Krzeszowskiej przybyło gestapo i żandarmeria z Biłgoraju. Otoczyli budynek nadleśnictwa, aresztowali nadleśniczego inż. Bolesława Usowa, jego brata Bazylego, prof. Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie Ludwika Ehrlicha (pochodzenia żydowskiego), ukrywającego się pod nazwiskiem Smarzewski oraz gajowego Antoniego Rocznika. Niemcy przeprowadzili szczegółową rewizję. Znaleźli broń, amunicję, maszynę do pisania i powielacz, aparat radiowy, prasę konspiracyjną i papier. Wszystkich zakuto w kajdany i popędzono pod silną eskortą do wsi, gdzie oczekiwały auta, pod opieką stacjonującego tu od miesiąca Wehrmachtu.

Wywiad Armii Krajowej ustalił, że z chwilą przybycia do Biłgoraju, gestapowcy niezwłocznie rozpoczęli śledztwo. Próbowali wymusić zeznania z zastosowaniem brutalnych tortur. Bolesław Usov był głównym podejrzanym i jego najbardziej maltretowano. Prof. Ehrlich próbował nawet popełnić samobójstwo, dlatego w celi siedział skuty. Antoniemu Rocznikowi zlecono pieczę nad nim. Wszyscy aresztowani byli już wtedy żołnierzami Polski Walczącej, zaś prof. Ehr-



Załoga Nadleśnictwa Huta Krzeszowska w Ordynacji Zamojskiej w 1941 roku. Nadleśniczy Bolesław Usow siedzi czwarty od prawej. Fot. archiwum Anny Reinl

lich pracował w strukturach Biura Informacji i Propagandy AK Okręgu Lublin. Sytuacja była zatem poważna. Dla zainteresowanych było jasne, jaki będzie finał aresztowań i na tragiczny wyrok gestapo nie trzeba będzie długo czekać.

„Ojciec Jan” (Franciszek Przysiężniak) – dowódca, operującego w okolicznych lasach oddziału partyzanckiego Narodowej Organizacji Wojskowej (NOW-AK) znał Bolesława Usowa jeszcze z czasów, kiedy uczęszczali do gimnazjum w Brodnicy, na Pomorzu. Niezwłocznie zlecił „Jurandowi” (Józefowi Igrasowi) – jednemu ze swoich podwładnych – zajęcie się sprawą odbicia więźniów w Biłgoraju.

UWOLNIENIE WIĘŹNIÓW

Akcja na biłgorajskie więzienie nastąpiła 24 września 1943 roku. Wykonana została pod dowództwem kpt. „Żegoty” (Tadeusza Sztuberg-Rychtera) przez jego oddział, przy wsparciu oddziału „Groma” (Edwarda Błaszczaka) i „Zęba” (Leonarda Zdanowicza). Oficjalna wersja rozbicia więzienia podawana w powojennej literaturze była sfałszowana. Udział żołnierzy NSZ (Narodowych Sił Zbrojnych) „Zęba” w grupie uderzeniowej, atakującej więzienie, sprawiał kłopot autorom publikacji jako temat politycznie niewygodny. A właśnie ku chwale kpt. „Żegoty” i oddziałów współpracujących należy zapisać sprawny i bezbłędny przebieg akcji.

Batalia o biłgorajskie więzienie rozpoczęła się wcześniej, już 20 września, przez rozbicie biłgorajskiego garnizonu pod Ujściem i miała decydujący wpływ

na postawę Niemców w dniu bezpośredniego ataku na więzienie. Uwolniono siedemdziesięciu dwóch więźniów, wśród nich profesora Stanisława Ehrlicha, inż. Bolesława Usowa i jego brata Bazylego. Niektórych, ze względu na stan zdrowia będący wynikiem doznanych tortur w czasie śledztwa, wynoszono z więzienia na noszach. W takim stanie był inż. Usow, od początku aresztowania ciągle przesłuchiwany, a przy tym katowany. Jego los był już praktycznie przesądzony. To była tylko kwestia czasu, którego Niemcom brakowało z uwagi na związanie walkami z partyzantką. Mieli problemy ze swoimi rannymi (w bitwie pod Ujściem z 20 września), których trzeba było rozmieścić w szpitalach, zapewnić bezpieczeństwo. Należało też pozbierać i pogrzebać zabitych.

Bolesław Usow z bratem zostali po odbiciu z więzienia przewiezieni do Bielin, gdzie u rodziny Zamłyńskich schroniły się także ich matka Leokadia i siostra Zofia. Maria Zamłyńska pielęgniarka z zawodu, współdziałając z Siostrami Zgromadzenia Dominikanek z klasztoru w Bielinach zajęła się rannymi. Po miesięcznej kuracji obaj powrócili do działania w konspiracji."

PORUCZNIK „KONAR”

„W połowie grudnia 1943 r. – pisze w swoich wspomnieniach Stanisław Puchalski ps. Kozak – na kilka dni przed potyczką z Niemcami pod Golcami, do naszego oddziału NOW-AK „Ojca Jana” przyszedł po rekonwalescencji ppor. Bolesław Usow ps. Konar. Był to wysoki, szczupły blondyn o młodzieńczej twarzy. Nosił mundur zielony, ale nie wojskowy, raczej harcerski, furażerkę, a na nogach robocze buty z cholewami. Ruchy powolne, powściągliwy w mowie, ale każda jego wypowiedź była przyjmowana i słuchana z uwagą, każde słowo liczyło się, poważny i rozważny. W oddziale odegrał później znaczącą rolę.”

Swego dowódcę ppor. „Konara” opisuje również Stanisław Bałut ps. Bruzda: „Ppor. „Konar” był jasnym blondynem, wysokiego wzrostu, chyba o całą głowę wyższy ode mnie (ja 171 cm). Twarz jego była raczej okrągła, o policzkach nieco zaróżowionych i jakby trochę dziecinny wyrazie. W swym zachowaniu wykazywał pewną powolność. Objawiało się to zarówno w mówieniu, gestach rąk i przede wszystkim w sposobie poruszania się. Chodził powoli, długimi krokami (...). Na spotkaniu w młynie w Goździe Huciańskim, w końcu listopada 1943 r. zapadła ostatecznie decyzja ppor. „Konara” wstąpienia do Oddziału „Ojca Jana”, jak również jego upewnienia się, że ten oddział, chociaż w swoim rodowodzie posiada Narodową Organizację Wojskową, podporządkowany jest Armii Krajowej.”

WSPÓLNE AKCJE

W drugiej połowie lutego 1944 roku na tereny Zasania przybyła sowiecka partyzancka tzw. dywizja kowpakowska (gen. Kowpaka). Sztab z głównodowodzącym pułkownikiem Werszyhorą, stanął kwaterą w Jarocinie, poszczególne

Ppor. Bolesław Usow ps. Konar
jako żołnierz Narodowej Organi-
zacji Wojskowej (NOW-AK), rok
1944. Fot. archiwum Anny Reinl



pododdziały zajęły okoliczne wioski, okupując dość rozległy teren. (...) Pojawienie się tak licznego oddziału dobrze uzbrojonych partyzantów, wyposażonych w artylerię i materiały minerskie, budziło nadzieję, było zwiastunem bliskiego wyzwolenia i wolności. Towarzyszyły im najlepsze życzenia poparte pomocą miejscowej ludności.

Franciszek Przysiężniak ps. Ojciec Jan, natychmiast pojechał do Jarocina dla nawiązania kontaktu z Werszychorą. W parę godzin później do Jarocina przybył również mjr „Ząb” Leonard Zdanowicz. (...) Ustalono, że dokonane zostaną wspólne akcje przeciw Niemcom, do których wykorzysta się znajomość terenu z naszej strony, z ich natomiast – posiadaną artylerię i środki minerskie. Zapadła decyzja, że już w nocy z 21 na 22 lutego 1944 roku partyzanci dokonają ostrzału artyleryjskiego budynku elektrowni w Ozecie, zlokalizowanego nad Sanem oraz jednego z największych zakładów hutniczych i mechanicznych w tej części Polski w Stalowej Woli, pracującego pełną parą dla niemieckiej armii.

KONTAKTY Z KUNICKIM „MUCHĄ”

Niedługo potem – pisze dalej Stanisław Puchalski – przyszedł w nasze stroiny oddział polsko-sowiecki im. Stalina, dowodzony przez Mikołaja Kunickiego ps. Mucha. Dla nawiązania z nim kontaktu pojechał na spotkanie ppor. „Konar” w asyście kilku partyzantów. Przy zrobionym ad hoc stole, rozpoczęły się rozmowy na temat współpracy. (...) Później, kontakt z oddziałem Kunickiego był utrzymywany na bieżąco. Ilekroć „Mucha” potrzebował przewodników na akcje dywersyjne, a był bodaj najaktywniejszy ze wszystkich dowódców sowieckich oddziałów partyzanckich od wiosny 1944 r., pomoc zawsze otrzymywał. Chodziliśmy z jego partyzantami jako przewodnicy nagradzani przez niego bronią. Każdy z nas w indywidualny sposób zaopatrywał się w amunicję do posiadanej broni, z którą zawsze mieliśmy problemy. Rozwiązali je nam partyzanci sowieccy z różnych oddziałów, od których zarościło się z nastaniem wiosny. Ze wszystkimi współpracowaliśmy, wszystkim udzielaliśmy pomocy w postaci wywiadu i przewodników.

Zawarte znajomości utrwaliły się i zaowocowały współpracą w czasie przeciwpartyzanckiej akcji niemieckiej „Sturmwind I” zakończonej zwycięską bitwą obronną stoczoną przez otoczone przez wroga oddziały polskie i sowieckie na Porytowym Wzgórzu, 13 i 14 czerwca 1944 roku.

WOJNA ALBO POKÓJ

Niedaleko od nas – wspomina Puchalski – zatrzymał się i rozbił swój obóz oddział AL-owski „Maksyma” (Andrzeja Flisa). Niedługo zjawił się w naszym oddziale goniec z zaproszeniem na rozmowy. Pojechał na nie „Konar” (Bolesław Usow), w towarzystwie kilku partyzantów. Czas i miejsce były określone. W ślad za delegacją „Ojciec Jan” wysłał grupę partyzantów dla ochrony naszych parlamentarzystów. Nie wiedzieliśmy, jakie sprawy będą tematem rozmów. Było to pierwsze tego typu spotkanie. Podeszliśmy niezauważeni lasem, zajęliśmy stanowiska za linią łączących AL-owców, skierowanych ku miejscu toczących się rozmów. Dopiero po pewnym czasie zorientowali się, że my leżymy za ich plecami. Wówczas na naszych oczach zmieniali front ku nam.

Od „Konara” dowiedzieliśmy się potem, że „Maksym” zażądał podporządkowania naszego oddziału jemu i to w sposób ультимatywny, albo się podporządkujemy albo zostaniemy zlikwidowani.

- Wojna, albo pokój, proszę się zastanowić i dać odpowiedź!

„Konar” odpowiedział:

- Wybieram wojnę! Zaczynajcie! – i opuścił spotkanie.

Nie zaczęli. Nie wiadomo, jaki los spotkałby naszych „parlamentarzystów”, gdyby nie nieprzewidziana przez AL-owców nasza tam obecność. Prawdopodobnie decyzja „Ojca Jana”, wysłania dodatkowej grupy, zapobiegła rozlewowi brat-

niej krwi. Między oddziałami AL-owskimi, a naszym oddziałem NOW-AK „Ojca Jana” nigdy później nie doszło do incydentów zbrojnych.

AKCJA W LIPIE

Puchalski opisuje jedną z akcji pod dowództwem ppor. Usowa. „Konar” będąc w Lipie postanowił zniszczyć Tartak i Nasycalnię Drewna, które pracowały na potrzeby niemieckiego wojska. Niemcy gromadzili tam duże ilości drewna wycinając najpiękniejsze i najstarsze drzewa w okolicznych lasach. „Konar”, jako leśnik był szczególnie uczulony na dewastację lasu. Puchalski przytacza relację jednego z żołnierzy oddziału „Konara” – Józefa Pisarczyka ps. Skowronek: „Było nas trzydziestu partyzantów. Dowodził „Konar”. Mieliśmy sześć rkm-ów i jedną rusznicę przeciwpancerną. Mimo zapewnień łącznika, że załoga składa się tylko z kilku osób, „Konar” postanowił rozpoznać sytuację krótkimi seriami z broni maszynowej. Oddział rozwinął się i zajął stanowiska na skraju młodego lasu. Informacja o załodze tartaku okazała się fałszywa. Niemcy byli przygotowani na atak, odpowiedzieli zmasowanym ogniem z karabinów maszynowych będąc ukryci za zgromadzonym drewnem, niewidoczni dla nas. Mieli dobre pole ostrzału. Wśród naszych padli pierwsi ranni, których z upływem czasu było więcej. „Konar” rozkazuje – „Prawe skrzydło wycofać się!” My na lewym prażymy do Niemców, którzy próbują atakować. Oslaniamy ogniem kolegów, którzy wyciągają rannych poza pole rażenia. Widzę samego „Konara” ratującego „Klona” (Ferdynanda Romaniaka). Przeskakujemy przez tor kolejowy i zza niego utrzymujemy w szachu Niemców, nie pozwalamy na atak. Po odjechaniu furmanek z naszymi rannymi na bezpieczną odległość, stopniowo wycofujemy się, wzajemnie się asekurując”.

Tamte dramatyczne chwile wspomina też sanitariuszka „Hanka”: „Sytuacja była groźna i rozpaczliwa. Nie mogłam sobie poradzić ze wszystkimi naraz, co widząc „Konar” przyszedł mi z pomocą. W pewnym momencie on sam wynosił rannych spod morderczego ognia. Musiałam natychmiast zakładać prowizoryczne opatrunki”.

Czterech ciężiej rannych w akcji partyzantów przewieziono do klasztoru Sióstr Dominikanek w Bielinach, gdzie w ukryciu, po sprowadzeniu lekarza, poddani byli leczeniu i dopiero po kilku tygodniach wrócili do zdrowia.

VIRTUTI MILITARI

Kapr. podch. Bolesław Usow, pseudonim „Konar”, przydział: Okręg Lubelski Armii Krajowej - „Za wyróżniające się męstwo w walkach Armii Krajowej na terenie Okręgu Lubelskiego, odznaczony został 3 maja 1944 roku przez Komendanta Okr. Lubelskiego na podstawie upoważnienia Dowódcy Armii Krajowej: Orderem Wojennym „Virtuti Militari” Klasy V-tej”. Tej treści „Zaświadczenie we-

ryfikacyjne” otrzymała rodzina z Londynu dopiero po wojnie pismem z 17 września 1965 roku, jedenaście lat po śmierci Bolesława.

BITWA NA PORYTOWYM WZGÓRZU

Historia tej bitwy jest przedstawiona w wielu publikacjach polskich i rosyjskich. W tym miejscu wykorzystano krótki opis tego wydarzenia zawarty na stronie internetowej Podkarpackiej Grupy Regionalnej. Porytowe Wzgórze jest dość rozległym, nieregularnym wzniesieniem wydмовym w Lasach Janowskich przeciętym przez rzekę Branew. Tutaj 14 czerwca 1944 roku polsko-radzieckie zgrupowanie partyzanckie stoczyło największą w ostatniej wojnie na ziemiach polskich bitwę partyzancką z wojskami niemieckimi.

Od wiosny 1944 r. na terenie Lubelszczyzny przebywało dużo polskich i sowieckich oddziałów partyzanckich. Spychani przez cofający się front szukali miejsca i sposobu, by na tyłach nieprzyjaciela wiązać jego siły. Taka sytuacja była strategicznie nie na rękę Niemcom, którzy resztkami sił stawiali czoła nacierającym ze wschodu armiom, sowieckiej i polskiej. Bardzo więc zależało im na oczyszczeniu zaplecza. Gdy zatem pod koniec maja 1944 r. front wschodni zbliżył się do Bugu, Niemcy mieli już w szczegółach opracowaną akcję „Sturmwind” („Wicher”), która zakładała rozbicie partyzantów. Miało tego dokonać 30 tys. żołnierzy: jednostki 154. dywizji pod dowództwem gen. Altrichtera, 213. dywizji pod dowództwem gen. Goeschena, 174. dywizji gen. Eberhardta, batalion SS, pododdziały rozpoznawcze, żandarmeria, siły policyjne, samoloty, artyleria itp. Kierownictwo nad akcją objął dowódca okręgu wojskowego Generalnej Guberni, gen. Haenicke, a do jej bezpośredniej realizacji powołany został specjalny sztab na czele z gen. Borkiem. Tak pedantycznie przygotowana akcja po prostu nie mogła się nie udać.

14 czerwca 1944 roku w szczelnie opasanym przez Niemców kotle na Porytowym Wzgórzu znalazło się 3 tys. partyzantów. Dowódcy oddziałów powierzyli kierowanie zgrupowaniem (najwyższemu rangą) sowieckiemu partyzantowi ppłk Nikołajowi Prokopiukowi. Obok jego żołnierzy w zgrupowaniu znalazły się następujące większe oddziały: część 1. brygady AL im. Ziemi Lubelskiej pod dowództwem Ignacego Borkowskiego, „Wicka” (oddziały Aleksandra Szymańskiego „Bogdana”, Edwarda Gronczewskiego „Przepiórki”, Jana Fioła „Rysia”, część oddziału Straży Chłopskiej pod dowództwem Franciszka Bielaka „Dobrego”), brygada AL im. Wandy Wasilewskiej, dowodzona przez Stanisława Szelesta, przybyły zza Bugu oddział łącznikowy AL Leona Kasmana „Janowskiego”, grupa członków PPR z sekretarzem odvodu lubelskiego Kazimierzem Wyrwasem i członkiem komitetu V okręgu Edwardem Szymańskim, oddział NOW – AK „Ojca Jana”, którym podczas akcji dowodził por. Bolesław Usow „Konar”, polsko-sowiecki oddział Miłkołaja Kunickiego „Muchy” oraz sowieckie: Wiktora Karasiowa, Włodzimierza Czepigi, Walentina Pielicha, Sergiusza Sankowa, Michała Nadelina, Iwana Jakole-

wa i in. Wprawdzie dotychczasowe stosunki między AK-owcami a komunizującymi oddziałami AL i sowieckimi były pełne rezerwy, nieufności, czasami wręcz wrogości, to tym razem świadomość śmiertelnego zagrożenia wobec wspólnego wroga nakazywała racjonalną współpracę.

Ciszę poranka 14 czerwca rozdarły najpierw moździerze i artyleria niemiecka. Zaraz potem koncentrycznie zewsząd zaatakowała piechota – własowcy, Kałmucy, Ukraińcy. Partyzanci odpowiedzieli ogniem z broni maszynowej. Po chwilowym wyciszeniu, Niemcy podejmują atak z jeszcze większym impetem: „Strzelanina z prawa, potem środek, potem z lewa – zanotował w swoim pamiętniku Mieczysław Ostrowski ps. Sęp z oddziału „Ojca Jana”. – Oto już od tyłu podchodzą (...). Sztab co chwilę przegrupowuje ludzi (...) A tu człowiek głodny, trzy dni marszu o samej wodzie i papierosach z gazety (...). Sanitariuszki ugotowały po deku mięsa i po cztery łyżki rosołu i w okopach na linii się zjadło. Prosimy Boga, aby jak najprędzej był wieczór. Przed wieczorem nieprzyjaciół przypuścił straszne natarcie tak, że nasz i sąsiada odcinek się załamał. Już się zdawało, że to nasz koniec...”.

Ostatecznie partyzanci odparli i ten atak. Nocą ustał huk i grzmot, mniej było jęzorów ognia i cichsze jęki rannych. Prokopiuk stracił ufność w siłę partyzantów i uległ sugestii „Konara”, by wymknąć się z okrążenia. Przewodnikami w tej ryzykownej akcji byli partyzanci z oddziału Bolesława Usowa. Dzięki nim niezwykle trudny i delikatny manewr wydostania się z podwójnego pierścienia – powiódł się. Co więcej, poszczególne oddziały wyszły nocą z okrążenia zachowując pełną zdolność bojową.

Straty partyzantów w bitwie na Porytowym Wzgórzu wyniosły 120 zabitych. W oddziale „Konara” było dwóch zabitych i trzech rannych. Niemców poległo ok. 600.

ROZKAZ „ROZSTRZELAĆ!”

Po wyjściu z niemieckiego okrążenia na Porytowym Wzgórzu ugrupowania partyzanckie przemieszczały się samodzielnie do większych kompleksów leśnych, głównie Puszczy Solskiej, korzystając z przewodników z Oddziału Usowa. Natomiast sam oddział por. „Konara” ukrył się na wyspie Kruć, otoczonej przez bagna i torfowiska.

Tymczasem, już w lipcu 1944 roku front wschodni przekroczył San i na Lubelszczyźnie zaczynały się nowe porządki, wprowadzane pod dyktando „władzy ludowej” wspieranej przez NKWD. Oto kolejny fragment wspomnień Stanisława Puchalskiego: „Organizatorzy władzy ludowej stawiali nas akowców poza nawiasem życia społecznego. Na wiecach i mityngach przedstawiano nas jako „wrogów ludu”, „wyrzutków społeczeństwa”, których należy wyeliminować z życia. Na nic zdała się nasza patriotyczna postawa w walce z okupantem niemieckim,

poniesione ofiary, życie najlepszych córek i synów narodu złożone na ołtarzu Ojczyzny. Na nic zdała się współpraca z oddziałami partyzantki sowieckiej i pomoc udzielana z naszej strony obywatelom sowieckim, którym udało się wyrwać z niewoli niemieckiej. Wszystkich nas potraktowano jednakowo. Trafnie ujmując to określenie „Zapluty karzeł reakcji”.

NKWD wsparte współpracą z UB, na podstawie list przygotowanych przez lokalnych komunistów, rozpoczęło już sierpniu 1944 roku aresztowania i wywózkę do sowieckich łagrów co aktywniejszych akowców. Był to jednak łagodniejszy wymiar kary. Wielu z nich było na miejscu likwidowanych. Ludzie ginęli w tajemniczych okolicznościach.”

W tej sytuacji Oddział „Ojca Jana” został rozwiązany, aby nie dawać pretekstu władzy sowieckiej. Nie na wiele to się zdało. Usow po rozwiązaniu oddziału zamieszkał z rodziną w Hucie Plebańskiej. Pewnego dnia odwiedził go oficer sowiecki i poinformował, że ma rozkaz go... rozstrzelać. Przeprowadził jednak wcześniej wywiad wśród mieszkańców i zmienił decyzję. Dla ratowania życia poradził mu, aby wyprowadził się z Huty. Powinien niezwłocznie wyjechać gdzieś daleko. Tak też uczynił.

W ARCHIWACH IPN RZESZÓW

W archiwach Instytutu Pamięci Narodowej, Oddział w Rzeszowie zachowały się dokumenty zgromadzone w czasach PRL przez Wydział „C” Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Rzeszowie, a poświęcone historii Narodowej Organizacji Wojskowej (IPN-Rz-05/11-14). Autorem tego obszernego rozpracowania opatrzonego klauzulą „TAJNE” jest Edward Błaszczak, a datą końcową opracowania 14.04.1984. Obecnie materiały te są już „JAWNE” i dowiadujemy się z nich, że Urząd Bezpieczeństwa intensywnie zbierał informacje m.in. na temat wojennej i tuż powojennej działalności Bolesława Usowa. Dowiadujemy się na przykład, że w końcu lipca 1944 roku uczestniczył on w spotkaniu dowódców NOW-AK w Leżajsku, kiedy to podjęto decyzję o kontynuowaniu dalszej walki z nowym sowieckim okupantem. Usow ps. Konar (również „Żar”) został kometendantem Obwodu Jarosław NOW i jeszcze wiosną 1945 roku pełnił tę funkcję i zamieszkiwał w Jarosławiu przy ul. Kraszewskiego.

Na skutek intensywnych działań NKWD i Urzędu Bezpieczeństwa następuje dekonspiracja niektórych komend NOW i wielu członków oddziałów leśnych wyjeżdża na „ziemie odzyskane”. Tak też uczynił Bolesław Usow. Wobec aresztowań żołnierzy podziemia, skrytobójczych mordów, wysokich wyroków, więzień, wywózek na Sybir postanowił opuścić wraz z rodziną Lubelszczyznę. W tym czasie przebywało tam już wielu żołnierzy lwowskiego okręgu Armii Krajowej, którzy dysponowali „kartami repatriacyjnymi”. Można przypuszczać, że Usow zabezpieczył się w taki dokument, który dawał ogólne alibi, gdy chodzi o okres lipiec

1944 - sierpień 1945. Pierwszego września 1945 roku zgłosił się w Ministerstwie Leśnictwa (wówczas jeszcze w Łodzi), skąd otrzymał skierowanie do pracy na terenie Dyrekcji Lasów Państwowych Okręgu Gdańskiego.

NADLEŚNICZY NADLEŚNICTWA KWIDZYN

Bronisław Krukowski, pierwszy powojenny sekretarz Nadleśnictwa Kwidzyn pisze w swoich wspomnieniach, że Bolesław Usow zgłosił się w nadleśnictwie z dekretem na nadleśniczego, 10 listopada 1945 roku. Przyjechał z Torunia, gdzie ostatnio mieszkał u swojej rodziny. Nadleśnictwo było już dość dobrze zorganizowane. W roku gospodarczym 1945/1946 nie pozyskiwano jednak drewna, bo trzeba było zagospodarować surowiec pozostawiony przez Niemców, zarówno w lesie, jak na składnicach i w tartaku. Sekretarz wspomina dalej, że na tamtejszy teren przybyło tuż po wojnie wielu ludzi „obciążonych” niezwykle wojennymi przeżyciami. W krótkim czasie pracownicy nadleśnictwa poznali historię nowego nadleśniczego Bolesława Usowa. Jego przeżycia i dokonania zjednały mu powszechne zaufanie i szacunek. Był ceniony nie tylko jako fachowiec, ale również jako człowiek i żołnierz niepodległościowego podziemia.

„BYŁY TO KIEDYŚ DOBRE CHŁOPAKI”

Pewnego razu, w 1946 roku – pisze dalej Krukowski – gdy autobusem wracałem z Dyrekcji, usłyszałem, że siedzący niedaleko mnie dwaj młodzi mężczyźni kilkakrotnie wypowiedzieli nazwisko Usowa. Wydali mi się podejrzani, tym bardziej, że po opuszczeniu autobusu zapytali mnie o budynek Urzędu Bezpieczeństwa. Wskazałem im drogę, ale sam udałem się wprost do Usowa, by go uprzedzić o wizycie „ubeków” z Gdańska. Gdy mu ich opisałem, stwierdził, że to byli żołnierze z jego oddziału. Znał ich historię – wstąpili do UB, prześladowani za partyzancką przeszłość w oddziałach AK. Dodał, że „były to kiedyś dobre chłopaki”. Nasze przeczucia sprawdziły się. Na drugi dzień rano, w kancelarii czekał już jeden z poznanych ubeków, a drugi kręcił się przed budynkiem. Razem z Usowem weszli do jego gabinetu. Okazali dokumenty i oświadczyli, że jest aresztowany i pojedzie z nimi do Gdańska.

„ETO POSLEDNIJ RAZ”

Usow z Gdańska natychmiast został przewieziony do Lublina – kontynuuje Krukowski – gdzie podczas przesłuchania oświadczył, że chce rozmawiać z sowieckim generałem Kowpakiem. Został przewieziony do Moskwy, gdzie nastąpiło spotkanie z Kowpakiem, który udzielił mu wielu wskazówek. Ostrzegł go jednak, żeby w przyszłości nie powoływał się na niego, o ile nie zmieni swoich przekonań, gdyż będzie musiał potraktować go jak... wroga. Na pożegnanie zaznaczył: „Pamiętaj Bola, eto poslednij raz”. Wydał mu dokument respektowany

w Polsce przez ubeków i po dziesięciu dniach Usov wrócił do nadleśnictwa. Ubecy i miejscowi komuniści byli wściekli, ale zarządzenie Moskwy, aczkolwiek niechętnie, musieli uznać. „Bolesław Usov pracował z zaangażowaniem i do spraw polityki się nie wtrącał. Jednak czuliśmy – pisze dalej sekretarz – że władze nie darzyły go zaufaniem. Za to cieszył się wyjątkową sympatią i szacunkiem społeczeństwa, nie tylko w Kwidzynie, ale i okolicy.”

Wątpliwe jest, aby Usov był przewieziony do Moskwy (jak napisał w pamiętniku Krukowski). W innych źródłach nie zostało to potwierdzone. Raczej sprawa została załatwiona telefonicznie pomiędzy lubelskim NKWD i moskiewską generalicją. Spora grupa byłych sowieckich dowódców partyzanckich broniła wówczas Usowa, gdyż faktycznie uratował im życie w czerwcu 1944 roku wyprowadzając w ostatniej chwili z okrążenia niemieckiego na Porytowym Wzgórzu.

Ponadto, w publikacjach dotyczących pokazowych rozpraw komunistycznego wymiaru „sprawiedliwości” nad żołnierzami Armii Krajowej, prowadzonych tuż po wojnie pojawia się postać dowódcy sowiecko-polskiego oddziału partyzanckiego Mikołaja Kunickiego „Muchy”. To jeden z nielicznych tak wysoko postawionych dowódców lewicowej partyzantki, który nie zapomniał, co to honor. Stanął w obronie Usowa, gdy ten był w więzieniu UB-owskim w Lublinie. Do procesu nie doszło. Bardziej znane jest nieplanowane wystąpienie Kunickiego „Muchy” na rozprawie Franciszka Przysiężniaka ps. „Ojciec Jan”, która z założenia miała zakończyć się wyrokiem śmierci. Kunicki przyjechał specjalnie na tę rozprawę z Zamościa, gdzie mieszkał. Powiedział wówczas publicznie, że Przysiężniak i inni sądzeni partyzanci Narodowej Organizacji Wojskowej-AK, którzy walczyli za okupacji niemieckiej, mając za towarzysza broni m.in. „Muchę” i jego podwładnych, zasługują na uznanie i najwyższe odznaczenia. Wynikiem tych kilku zdań prawdy, wypowiedzianych publicznie, był zakaz występowania w obronie „bandytów”, który został nałożony na Kunickiego. Ponadto, zatrzymano go na tydzień w więzieniu. Groźby i areszt podziały. Kunicki nie występował więcej na rozprawach. Ale Przysiężniak zachował życie, otrzymał „tylko” wyrok długoletniego więzienia.

OSACZENIE

Nadleśniczy Usov był pasjonatem myślistwa. Często inicjował wyjazdy na polowania, w których uczestniczyli i leśnicy, i zaprzyjaźnieni myśliwi z kwidzyńskiego środowiska. Miał też inną pasję – motoryzację. Posiadał motocykl, którego używał w pracy i na wyjazdy na polowania. W końcu 1946 roku uległ wypadkowi i był poddany poważnej operacji czaszki. Przez kilka miesięcy dochodził do siebie, m.in. przezwyciężając jednostronny paraliż ciała. Jego powrót do sprawności lekarze uznali wówczas niemal za cud.

Jednak długą nieobecność w pracy, a później okresową niesprawność – pomimo częściowego paraliżu Usov przychodził do nadleśnictwa – wykorzystali

przełożeni i „czynnik polityczny” do sformułowania upomnienia za „brak nadzoru przy wyrobie drewna” i skorzystanie z urlopu „w czasie trwania akcji zwalczania korników”. Nadleśniczy odpowiedział na piśmie, spokojnie wyjaśniając okoliczności, które wszyscy doskonale znali.

Na jednym z dokumentów w aktach osobowych Usowa znajduje się ręcznie dopisana opinia czynnika politycznego o nadleśniczym, datowana na 30.VI.1949 r. „Członek SL. Politycznie niepewny. Był partyzant AK. Zawodowo zdolny, ale niezdyscyplinowany, nierówny. Charakter gwałtowny, przez co niejednokrotnie miał zatargi z różnymi władzami i urzędami”. (-) Podpis funkcjonariusza jest nieczytelny.

Kolejne pismo z akt osobowych, z 23.10.1950 roku, adresowane do powiatowego komitetu partyjnego w Kwidzynie: „Rejon Lasów zawiadamia, że po porozumieniu z Komitetem Wojewódzkim (PZPR) w Gdańsku ob. inż. Usow Bolesław został zdjęty z Kierownika Biura Zespołu Nadleśnictw...”

Pismo Gdańskiego Okręgu LP z 20 marca 1953: „Z dniem 1 kwietnia 1953 r. przenoszę Obywatela z urzędu do służby w Nadleśnictwie Mirachowo...”

Pismo Rejonu LP w Kwidzynie z 26 maja 1953: „Z dniem dzisiejszym tj. 26 maja 1953 r. zawieszam obywatela w czynnościach służbowych. Jednocześnie z dniem 1 czerwca 1953 r. wstrzymuję Obywatelowi wypłatę uposażenia do wysokości 50%...” Podpisał Dyrektor Rejonu LP – Szponar.

Pismo Gdańskiego Okręgu LP z 15 lipca 1953: „Z dniem dzisiejszym odwieszam Obywatela ze stanu zawieszenia w wykonywaniu czynności służbowych i równocześnie deleguję do Nadleśnictwa Wejherowo celem pełnienia w zastępstwie obowiązków nadleśniczego tegoż nadleśnictwa. Delegację Obywatela ograniczam aż do odwołania.”

Pismo Gdańskiego Okręgu LP z 12 grudnia 1953 r.: „W powołaniu się na rozmowę przeprowadzoną przeze mnie na naradzie dyrektorów w Warszawie z Obywatелеm dyrektorem Jankowskim z Bydgoskiego Okręgu LP w Toruniu – zechce Obywatel zgłosić się w dniach od 15 do 17 grudnia br. osobiście u Dyrektora (...) w Toruniu w celu przeprowadzenia rozmowy odnośnie objęcia pracy na tamtejszym terenie (...)”. Podpisał Dyrektor Okręgu LP Wojtowicz.

Pismo Bydgoskiego Okręgu LP w Toruniu do Gdańskiego Okręgu LP w Gdańsku z 18 stycznia 1954: „Bydgoski Okręg LP zwraca po wykorzystaniu akta osobowe ob. inż. Usowa Bolesława i jednocześnie zawiadamia, że (...) nie posiada żadnych wolnych etatów na stanowiskach nadleśniczych”.

Jest jednak jeden wyjątek. Należy go odnotować jako dowód, że w nawet najmroczniejszych czasach znajdują się ludzie, którym sumienie, honor, zasady, czy zwykła ludzka przyzwoitość nie pozwala kłamać i przykładać ręki do koniunkturalnego ataku. Zachowała się „Charakterystyka” służbowa Bolesława Usowa przygotowana w Okręgu Lasów Państwowych w Gdańsku 9 stycznia 1954 roku. Co prawda w działce „Ocena pracy społeczno-politycznej” znalazło się zdanie



Założa Nadleśnictwa Kwidzyn podczas obchodów święta lasu w 1946 roku. Nadleśniczy Bolesław Usow stoi pośrodku grupy (najwyższy).
Fot. archiwum Wojciecha Krukowskiego



Spotkanie załogi Nadleśnictwa Kwidzyn podczas przekazywania Leśnictwa Morawy w 1947 roku. Bolesław Usow na pierwszym planie, drugi od prawej.
Fot. archiwum Wojciecha Krukowskiego



Nadleśniczy Bolesław Usow z Wandą Krukowską, żoną sekretarza Nadleśnictwa Kwidzyn Bronisława Krukowskiego i Wojtkiem Krukowskim. Rok 1949. Fot. archiwum Wojciecha Krukowskiego

„oblicze polityczne nie skryształizowane”, to już w dziale „Ocena pracy zawodowej” napisano: „Ob. Inż. Usow Bolesław posiada duże znajomości wiedzy fachowej, jest pracownikiem jednym z lepszych – czego dowodem jest prowadzenie przez nazwanego najintensywniejszego nadleśnictwa na terenie tut. Okręgu. Pracownik obowiązkowy i sumienny o dużym zmyśle organizatorskim. Z nałożonych nań obowiązków wywiązuje się należycie i pod tym kątem Okręg nie ma do niego zastrzeżeń.” Opinię tę w zastępstwie dyrektora podpisał (prawdopodobnie) – Malinowski. Podpis odręczny pod tą opinią jest niezbyt czytelny. W każdym razie jeśli to był zastępca dyrektora Okręgu LP Karol Malinowski, to wiadomo, że później żadnej błyskotliwej kariery w leśnictwie PRL nie zrobił.

Z ARCHIWUM IPN LUBLIN

W zasobach Instytutu Pamięci Narodowej, Oddział w Lublinie, zachowały się dwa tomy materiałów tworzących teczkę Bolesława Usowa (Sygn. IPN Lu 013/412 t.1 i t.2). Pierwszy tom jest zbiorem materiałów z przesłuchań świadków – najczęściej byłych żołnierzy podziemia - prowadzonych przez Urząd Bezpieczeństwa w Lublinie, Biłgoraju i Kwidzynie w latach 1945-1953. Obiektem zainteresowania funkcjonariuszy UB jest Bolesław Usow, jego rola i kontakty z podziemiem niepodległościowym oraz podejrzenie o zmagazynowanie broni



Legitymacja służbowa Bolesława Usowa wydana przez Okręg Lasów Państwowych w Gdańsku w 1951 roku. Fot. archiwum Anny Reinl

w tajnym bunkrze gdzieś na terenie Lubelszczyzny. Szczególnie perfidne jest doniesienie konfidenta UB o pseudonimie „Janusz” z 2 czerwca 1952 roku, w którym ten twierdzi jakoby oddział partyzancki NOW-AK „Ojca Jana” w okresie okupacji gnębił i okradał miejscową ludność, unikał walki, czy wręcz uciekał przed Niemcami, współpracował z okupantem i w końcu, w oddziale „dokonywano egzekucji na Żydach i innych nieraz niewinnych ludziach”. Wkrótce po tym lubelska UB wnioskuje o kolejny areszt dla Bolesława Usowa obciążając go odpowiedzialnością za „morderstwa popełnione w czasie okupacji i po wyzwoleniu na członkach PPR i partyzantce radzieckiej” oraz za „współpracę z gestapo i wystrzelanie desantu radzieckiego”. Jak już wyżej wspomniano Usow został aresztowany i przewieziony do Lublina, gdzie od procesu wybronił go byli dowódcy partyzantki sowieckiej.

W teczce tej na odnotowanie zasługuje odrębne „Oświadczenie” jednego z podwładnych Usowa z czasów partyzantki – Józefa Igrasa ps. Jurand. Sporządził je 12 czerwca 1951 roku w UB w Biłgoraju. Wystawił w nim znakomite świadectwo swemu dowódcy „Konarowi” podkreślając jego męstwo w walce, mądrość, talent przywódczy, wysokie morale. Igras dużo ryzykował takim świadectwem, może nawet życie. Jest kolejnym przykładem i dowodem na to, że można zachować honor i godność w czasach ciężkiej próby. Nie wiadomo, czy o takiej postawie swego żołnierza dowiedział się kiedykolwiek sam Usow.

Na drugi tom teczki Bolesława Usowa składają się dokumenty wytworzone głównie przez III Wydział Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego (WUBP) w Gdańsku, UB w Kwidzynie oraz pojedyncze z takowych urzędów w Biłgoraju i Kościerzynie. Obok wciąż powracającego tematu, kim był i co robił w czasie okupacji i zaraz po wojnie porucznik (major NOW) „Konar”, bardzo szeroko rozwijany jest temat bieżących znajomości, zachowań, wypowiedzi nadleśniczego. Zainteresowanie organów UB dotyczy również rodziny i grona znajomych. W otoczeniu Usowa pojawia się sieć współpracowników - konfidentów UB. Ich doniesienia podpisywane są pseudonimami „Mściciel”, „Ryś”, „Czułny”, „Janusz”, „Lojalny”. Najbardziej aktywny i chętny do współpracy jest „Ryś” – człowiek z najbliższego otoczenia nadleśniczego i autor największej liczby donosów, zawierających wręcz całe cytaty wypowiedzi Usowa na wszelkie tematy, jednak głównie zahaczające o czas wojny, znajomych, bieżącą politykę itp. Każde doniesienie kończy się podsumowaniem oficera prowadzącego UB, który formułuje nowe zadania dla konfidentów. I tu trzeba dodać, że najlepiej wywiązuje się z nich wspomniany „Ryś”, który – niestety – prawdopodobnie cieszył się sporym zaufaniem Usowa.

W pierwszym półroczu 1953 na terenie Nadleśnictwa Kwidzyn wybuchła afera związana z wycinką, w ramach trzebieży, około 200 metrów sześciennych

drewna liściastego, głównie dębowego w Leśnictwie Bogusz. Drewno pocięto na opał. Komisja zaś stwierdziła, że był to użytek tartaczny I-III klasy jakości. Straty oszacowano na około 21 tys. ówczesnych złotych. Całą odpowiedzialność za zaistniałą sytuację wziął na siebie leśniczy Józef Grzenkowicz. Cień padł jednak również na nadleśniczego, któremu zarzucono brak nadzoru. Urzędy bezpieczeństwa w Kwidzynie i w Gdańsku bardzo usilnie zabiegały o obciążenie nadleśniczego całą winą. W piśmie skierowanym do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego naczelnik WUBP T. Sobotka bez ogródek podaje, że leśniczy i nadleśniczy „wspólnie dokonali pocięcia drzewa użytkowego na drzewo opałowe (...) na łączną sumę 445 tys. 50 zł”(!) . Dalej naczelnik Sobotka informuje, że Usowem żywo interesują się inne Departamenty i Wydziały w związku z rozpracowywaniem byłych członków Narodowych Sił Zbrojnych. W innych pismach UB pojawia się oskarżenie już nie tylko o niegospodarność, ale celowy sabotaż. A to w tamtych czasach było przesłanką wystarczającą na wyrok śmierci. Szef UB w Kwidzynie Jerzy Borowicz informuje swoich zwierzchników w Gdańsku, że podejrzanego Bolesława Usowa „po zakończeniu dochodzenia zamiarujemy aresztować” i pyta, czy mają coś przeciwko.

Ostatni zachowany w teczce dokument dotyczący sprawy sporządził pracownik WUBP w Gdańsku, Stanisław Duda, 26 września 1953 roku. W notatce służbowej zapisał „Będąc służbowo w dziale kadr DLP w Gdańsku, inspektor tego działu towarzysz Sikora oświadczył, że obecnie kadry mają kłopot z Usowem Bolesławem – b. nadleśniczym Nadleśnictwa Kwidzyn, którego nie chce przyjąć na swym terenie żaden... Komitet Powiatowy PZPR. KP PZPR w Kościerzynie odmówi, że chce takiego wroga widzieć na swym terenie (...) Usow Bolesław obecnie jest bez jakiegokolwiek stanowiska służbowego i jest on przerzucany w każdym tygodniu do innej jednostki administracji leśnej”.

Brak dokumentów, które by wyjaśniły, dlaczego mimo wszystko nadleśniczy pozostał na stanowisku w Kwidzynie aż do śmierci w lipcu 1954 roku. Mogła tu mieć wpływ wspomniana wyżej pozytywna opinia zastępcy dyrektora Okręgu LP Malinowskiego ze stycznia 1954. Pewne światło na sprawę rzuca współczesna informacja krewnej Usowa Anny Reinl. Otóż, w tamtym czasie odwiedził nadleśniczego jeden z pracowników terenowych, który przyznał się, że uczestniczył „w przygotowaniu sabotażu” w Leśnictwie Bogusz, bo mu „kazali”. Nadleśniczy tematu nie podjął, pomógł mu tylko znaleźć pracę w lasach na południu kraju i pracownik ów wkrótce wyjechał tam z całą swoją rodziną.

ZIELONA CIĘŻARÓWKA

Nie ma najmniejszych wątpliwości, że do końca życia oficer Narodowej Organizacji Wojskowej-AK major „Konar” pozostał ważnym obiektem inwigilacji. Dla UB w Kwidzynie, bodaj najważniejszym.

30 lipca 1954 roku około godziny 13 nadleśniczy Usow wracał z warsztatu mechanicznego na motocyklu. Jechał, jak zwykle, dosyć szybko. Na wysokości piekarni stał wóz dostawczy. Gdy nadleśniczy go wymijał, z przeciwka zajęła mu drogę „zielona ciężarówka”. W wyniku potrącenia nadleśniczy odniósł ciężkie obrażenia. Zmarł po przewiezieniu do szpitala. Brak jakichkolwiek szczegółowych informacji, co to była za ciężarówka, skąd się tam wzięła, kto był właścicielem, kto nią kierował. Zachował się tylko dokument sporządzony w Nadleśnictwie Kwidzyn pt. „Zawiadomienie o wypadku przy pracy”. Oto jego treść: „Poszkodowany wyjechał o 12:20 motocyklem z biura Nadleśnictwa w teren w sprawach służbowych i na krzyżówkach w śródmieściu (wówczas ul. 1 Maja, dzisiaj Grudziądzka) zderzył się przypadkowo z samochodem ciężarowym skutkiem czego nastąpiło ciężkie uszkodzenie głowy i nóg, i po przewiezieniu do szpitala zmarł”. Zawiadomienie spisano dopiero... 24 sierpnia 1954 roku.

Wydaje się, że przyjęto wówczas wersję „tragicznego zdarzenia losowego”. Tylko w późniejszych notach biograficznych por. Bolesława Usowa ps. „Konar” pojawiają się sugestie, że jednak ktoś mógł zaaranżować owo zdarzenie. Ubecy nie zapominali, zwłaszcza o oficerach Armii Krajowej. Zdecydowana większość żołnierzy z Oddziału Ojca Jana podlegała po wojnie represjom. Były to wyroki śmierci, zaginięcia bez śladu, zesłanie do sowieckich łagrów, długoletnie ciężkie więzienia, prześladowanie w życiu zawodowym i prywatnym nie tylko samych żołnierzy, ale też ich rodzin.

W zderzeniu z „zieloną ciężarówką” zginęli inni partyzanci z Oddziału Usowa m.in. koło Słupska – Bogumił Męciński ps. „Władka”. Czy uda się kiedykolwiek wyjaśnić prawdziwe okoliczności śmierci majora „Konara”?

MANIFESTACJA W TORUNIU

Stanisław Puchalski pisze krótko o uroczystym pogrzebie Bolesława Usowa. „Z domu żałoby w Kwidzynie (nadleśniczy Bolesław Usow został) przeniesiony na ramionach swych przyjaciół i współpracowników do miejscowego kościoła. Po Mszy św. żałobnej w dniu następnym został przewieziony samochodem do Torunia, w asyście wielu samochodów. Na miejscu zbiórki, skąd miał wyruszyć kondukt pogrzebowy w rejonie dworca kolejowego zebrały się tłumy. Gdy zobaczył je ksiądz mający celebrować uroczystości żałobne – wycofał się, gdyż sądził, że jest to pogrzeb osoby wysoko postawionej w hierarchii rządowej, w którym nie chciałby brać udziału. Został przekonany, że to pogrzeb nadleśniczego, bardzo lubianego i szanowanego człowieka.” Usow został pochowany w grobie rodzinnym na cmentarzu św. Jakuba w Toruniu, przy ul. Antczaka, gdzie spoczywają jego dziadek Teodor Bonewicz (+1927), matka Leokadia (+1980) i siostra Zofia (+2007).

WSPANIAŁY DOWÓDCA I WIELKI CZŁOWIEK

Fragment wypowiedzi inż. Wiesława Sandera ps. Pasek o por. „Konarze”: „Był to wspaniały dowódca i wielki człowiek. Jego wiedza wojskowa była wszechstronna i wspaniale użytkowana, zarówno w czasie wykładów w Szkole Podchorążych, jak i w walkach w ramach akcji Sturmwind, jak również w bojach w lasach lipskich i janowskich w okresie wcześniejszym. Przy wydawaniu rozkazu zawsze tłumaczył, jak należy wykonać zadanie.

Był to człowiek, który zwłaszcza w czasie walk w Lasach Janowskich, na Porytowym Wzgórzu przebywał na pierwszej linii wśród partyzantów. Nie ukrywał, że będzie ciężko wyjść z okrążenia, ale nigdy nie mówił, że to już koniec. Wierzył, że może ponieśmy straty, ale z okrążenia wyjdziemy i tę wiarę wpał podwładnym. Nie stwarzał niepotrzebnych dystansów między sobą a żołnierzami (...). Zrównoważony i opanowany w każdej sytuacji, był szanowany i uwielbiany przez żołnierzy”.

P.S. INFORMACJE BEZ POTWIERDZENIA

Poszukując materiałów o nadleśniczym Bolesławie Usowie natknąłem się na szereg nieścisłości, informacji niesprawdzonych, uproszczeń, nadinterpretacji, subiektywnych domysłów i oczywistych przekłamań. Mają one o tyle znaczenie, że znalazły się w publikacjach drukowanych i często są później bezkrytycznie powtarzane. Niektóre z nich można z całą pewnością zanegować i przedstawić fakty niewątpliwe.

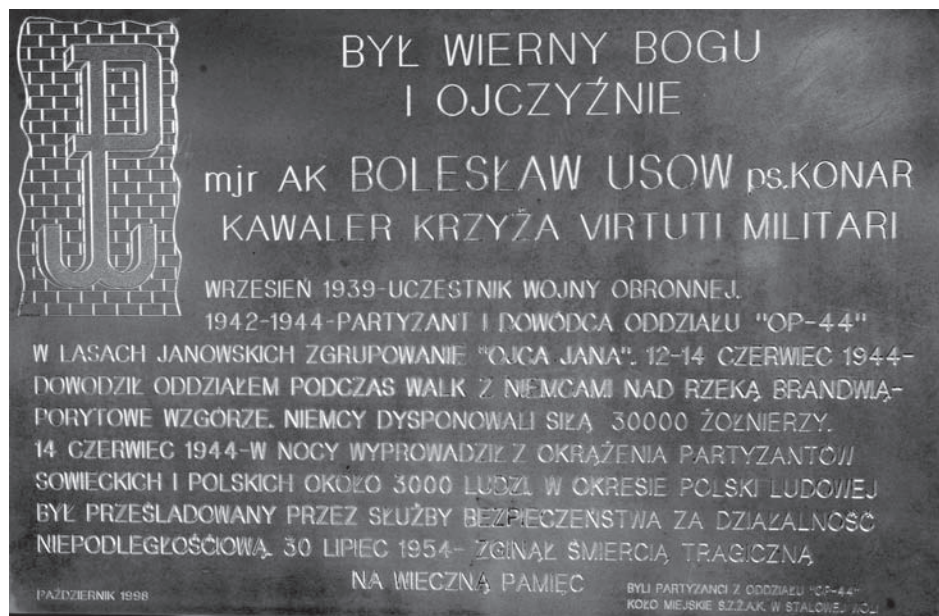
Spośród źródeł wiedzy o Usowie za najbardziej wiarygodne uznałem: 1) informacje Anny Reinl – kuzynki Bolesława Usowa, 2) dokumenty zteczki osobowej RDLP w Gdańsku, w dużej części sporządzone przez samego Usowa (życiorys, ankieta personalna), 3) informacje zawarte w książce Stanisława Puchalskiego pt. „Partyzanci Ojca Jana”, 4) wspomnienia Bronisława Krukowskiego (rękopis) – sekretarza Nadleśnictwa Kwidzyn i 5) materiały zgromadzone w zasobach Instytutu Pamięci Narodowej (oddziały w Rzeszowie i Lublinie).

Oto niektóre ustalenia. W publikacjach podawane są różne daty urodzenia i śmierci, miejsce urodzenia i miejsce pochówku. Za pewne należy uznać: datę urodzenia 18 lipca 1913 w Rypinie, datę śmierci: 30 lipca 1954 w Kwidzynie, miejsce pochówku – grób rodzinny na cmentarzu św. Jakuba w Toruniu, przy ul. Antczaka.

W literaturze PRL-owskiej spotyka się informację (za Michałem Baraniakiem), że Bolesław Usow był dowódcą oddziału dyspozycyjnego Armii Krajowej do zadań specjalnych. Tymczasem z książki Stanisława Puchalskiego (podkomendnego por. „Konara”) wynika, że Usow był zastępcą dowódcy (Franciszka Przysiężnika ps. „Ojciec Jan”) Oddziału Ojca Jana Narodowej Organizacji Wojskowej, scalonej z Armią Krajową, stąd skrót NOW-AK. Faktem jest, że często to on (Usow) dowodził oddziałem, np. w kluczowej bitwie na Porytowym Wzgórzu.



Miejsce spoczynku nadleśniczego Bolesława Usowa na cmentarzu św. Jakuba przy ul. Antczaka w Toruniu. Fot. Tadeusz Chrzanowski



Tablica na płycie grobu Bolesława Usowa ufundowana w 1998 roku przez podkomendnych ze zgrupowania „Ojca Jana”. Fot. Tadeusz Chrzanowski

Zaskakująca i nieprawdziwa informacja została zamieszczona w książce Romana Gadzikowskiego, „By nie uległo zapomnieniu...” (Lublin, 2004), jakoby Bolesław Usow został „po wyzwoleniu żołnierzem I Armii WP i brał udział w maju 1945 r. w szturmie na Berlin”.

Niewyjaśnione do końca pozostają okoliczności tragicznej śmierci nadleśniczego Bolesława Usowa. Zginął w wypadku motocyklowym po zderzeniu z „zieloną ciężarówką” w pobliżu kościoła w Kwidzynie. Ponieważ od 1944 r. był Usow pod stałą obserwacją Urzędu Bezpieczeństwa, wielokrotnie zatrzymywany, przesłuchiwany, atakowany przez aktywistów PPR, a później PZPR – na okoliczność jego tragicznej śmierci powstały różnorodne wersje (być może również inspirowane przez UB), jak np. ta, że zginął, co prawda jadąc na motocyklu, ale w lesie, gdzie UB rozwinęło między drzewami stalową linkę. Ta wersja jest nieprawdziwa. (TaCh)

ANNA REINL O BOLESŁAWIE USOWIE

Anna Reinl, kuzynka Bolesława Usowa, dobrze zapamiętała ciepłą atmosferę domu Usowów w Kwidzynie, gdzie bywała na wakacjach jeszcze za życia nadleśniczego. „Bolek był człowiekiem łagodnego usposobienia, lubianym w rodzinie, w towarzystwie, w środowisku zawodowym i społeczności Kwidzyna. Gdy trzeba, był stanowczy, jednoznaczny, odważny. Nie jest to jednak postać monumentalna, Bolek był człowiekiem z krwi i kości” – mówiła.

Rodzeństwo Usowów – Bolesław, Bazyli i Zofia zmarli bezpotomnie. Jednak linia rodowa ich matki (zd. Bonewicz) jest rozbudowana, chociaż w Polsce mieszka niewielu. Pani Anna Reinl (zmarła w 2014) w ostatnich latach swojego życia opiekowała się grobami Usowów w Toruniu. W rozmowie na temat Bolesława Usowa przeprowadzonej w 2009 roku odniosła się do niektórych wątków z jego biografii.

Chociaż Bolek stracił wcześniej ojca, gdy miał siedem lat, to jednak jego charakter kształtował się pod dużym wpływem dziadka Bonewicza, który był potomkiem powstańca styczniowego z 1863 roku i wielkim polskim patriotą. W szkole powszechnej i później w gimnazjum był Bolesław aktywnym członkiem Związku Harcerstwa Polskiego, dochodząc aż do stopnia instruktorskiego. Po studiach leśnych, już w czasie wojny trafił do Huty Krzeszowskiej na Lubelszczyźnie, gdzie był jakiś czas nadleśniczym w ordynacji Zamojskich, a po aresztowaniu, torturach, a później brawurowym odbiciu przez kpt. „Żegotę” z niemieckiego więzienia w Biłgoraju trafił do partyzantki. Tam, w ekstremalnych warunkach walki, zagrożenia życia, wykazał się niezwykłą odwagą i wybitnym talentem przywódczym.

Pani Anna wspominała uroczystość w Toruniu z 1998 roku. Grupa byłych partyzantów, podwładnych por. „Konara”, członków Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej – Oddziału w Stalowej Woli, złożyła się ze swoich skromnych emerytur, na metalową tablicę, którą umieszczono na grobie Bolesława Usowa w Toruniu. Ci ostatni żyjący żołnierze „Konara” nie ukrywali, że żyją dzięki swemu dowódcy. Bo chodzi nie tylko o jego talenty przywódcze, zimną krew, opanowanie i spokój, ale również wynoszenie rannych żołnierzy z pola walki pod ostrzałem wroga. Tego się nie zapomina do końca życia!

Anna Reinl potwierdziła tajemnicze białe plamy w biografii Bolesława Usowa. W rodzinie nikt nie wiedział, gdzie przebywali przez kilka miesięcy Bolesław i jego brat Bazyli po wkroczeniu Armii Czerwonej na Lubelszczyznę w lipcu 1944 roku. Mówiono, że pojechali za Jarosław, ale mało prawdopodobne, aby to był Lwów, jak zdawkowo pisze w swojej biografii sam Bolesław. Jest oczywiste, że w latach okupacji sowieckiej, panowania NKWD i UB należało mówić jak najmniej o niepodległościowym podziemiu, nawet w rodzinie.

W okresie kwidzińskim (1945-1954) rodzina Usowów i jeszcze kilka innych (starosty Wiesława Stejnikie, rodziny Szpakowskich) tworzyły środowisko inteligencji katolickiej w tym mieście, spotykali się towarzysko, co było wyzwaniem dla miejscowego Urzędu Bezpieczeństwa. Faktycznie, wszyscy oni byli pod baczłą obserwacją funkcjonariuszy, przygotowywano też liczne prowokacje, próby zastraszenia, wprowadzania konfidentów do środowiska pracy.

Pani Anna podkreślała jeszcze jedną cechę charakteru Bolesława. Był osobą towarzyską. Lubił ludzi, kochał życie. Na uroczystościach imieninowych w gronie przyjaciół świetnie tańczył i niewątpliwie miał powodzenie u płci pięknej.

Pani Anna specjalnie zwraca na to uwagę, by potwierdzić zwykłe, ludzkie cechy Bolesława.

Nadleśniczy Usow zaskarbił sobie sympatię, czy mówiąc wprost – miłość wielu ludzi, bo był człowiekiem niezwykle wrażliwym na ludzkie zmartwienia, kłopoty, cierpienia. Pani Anna wspominała takie wydarzenie, gdy tuż po wojnie pojawił się u nadleśniczego młody człowiek w trudnej sytuacji życiowej, mający na utrzymaniu dużą rodzinę i pozostający bez środków do życia. Chciał pracować w lesie. Nadleśniczy wypożyczył mu na rok konia, aby wywoził drewno. Po roku, gdy zwracał konia, ktoś z rodziny zwrócił uwagę – „Zobacz jak ten koń strasznie wygląda”. Usow odpowiedział krótko – „Zobacz jak wygląda ten człowiek”. Rzeczywiście, był to człowiek ciężkiej pracy, nie oszczędzał się. Teraz po roku mógł już za zarobione w lesie pieniądze kupić własnego konia.

W kilku źródłach opisujących pogrzeb nadleśniczego Usowa w Toruniu pojawia się nieprawdopodobna liczba 28 tysięcy uczestników tej żałobnej uroczystości. Pani Anna nie uczestniczyła w pogrzebie, знаła tylko relację swojej mamy. Potwierdziła, że do Torunia zjechały wówczas tłumy. Wszystkie kwiaty w Kwidzynie były wykupione. Pociąg był przepełniony, byli ludzie, którym już nie sprzedano biletów. Trumna, najbliższa rodzina i leśnicy jechali samochodami. Pociąg jechał równolegle i wszyscy spotkali się przy dworcu kolejowym w Toruniu, skąd wyruszył kondukt żałobny na cmentarz św. Jakuba przy ul. Antczaka. Bolek spoczął w grobie rodzinnym, obok dziadka Bonewicza.

Tadeusz Chrzanowski

Źródła:

Akta osobowe Bolesława Usowa z archiwum Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Gdańsku (przejrzane 30.06.2009).

Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej udostępnione w Delegaturze IPN w Bydgoszczy (styczeń i luty 2010 r.), a pochodzące z zasobów IPN w Lublinie (sygn. IPN Lu 013/412 t. 1 i t. 2) i IPN w Rzeszowie (sygn. Rz-05/11-14).

Baraniak Michał, Por. inż. Bolesław Usow ps. „Konar”, dowódca oddziału dyspozycyjnego AK na Lubelszczyźnie 1942-1945, nadleśniczy w Kwidzynie. Maszynopis. Kwidzyn 2003. Krukowski Bronisław, Wspomnienia, pamiętnik bez tytułu. Rękopis (kserokopia fragmentów udostępniona przez syna Zygmunta).

Krukowski Bronisław, Pierwsze dni po wyzwoleniu w Nadleśnictwie Kwidzyn, w: Praca zbiorowa, 50 lat Leśnictwa Gdańskiego. Gdańsk 1996.

Piotrkowski Jerzy, Porucznik „Konar”, nadleśniczy Bolesław Usow, w: Las Polski nr 15/16 (1-31 sierpnia 1992), ss. 30-31.

Puchalski Stanisław, Partyzanci „Ojca Jana”, Stalowa Wola 1996.

Rozmowa z Anną Reinl (22.09. i 29.09.2009 w Toruniu) – kuzynką nadleśniczego Bolesława Usowa.

Harc mistrz BOLESŁAW BONEWICZ USOW

Pragnę podzielić się wspomnieniem o hm. Bolesławie Bonewiczu Usowie, ps. Konar, ciotecznym bracie mojej matki.

Bolesław Bonewicz Usow ukochany wnuk Teodora Bonewicza i prawnuk – tak jak moja matka – Roberta Bonewicza, żołnierza Powstania Styczniowego, zabitego przez Moskali w 1863 roku, wzrastał w atmosferze pamięci o tych, co polegli w walce o wolność, wzrastał w atmosferze patriotyzmu.

Wychowywana przez babkę moja Florentynę z Bonewiczów Butler, siostrę rodzoną Bonewicza i córkę zabitego przez Moskali Roberta Bonewicza, mam bezpośredni rodzinny przekaz dotyczący atmosfery tamtych bolesnych i bohaterskich dni.

Bolesław całym swoim życiem – słowem i czynem, potwierdził miłość i oddanie dla Ojczyzny. Znanie jest jego zaangażowanie, już od najmłodszych lat, w harcerstwo okresu międzywojennego. Nie jest natomiast znany, ważny epizod z lat okupacji. Bolesław, po ukończeniu tuż przed wojną studiów na Wydziale Leśnym SGGW, pracował jakiś czas w Dyrekcji Lasów Państwowych w Warszawie i działał wówczas aktywnie w szeregach Warszawskiej Chorągwi ZHP. W sierpniu 1939 roku został zmobilizowany do Wojska Polskiego. Uczestniczył w przygotowaniach do obrony i później walczył w obronie Warszawy, w szeregach 36. pułku piechoty Legii Akademickiej. Po kapitulacji stolicy, 27 września 1939 roku, uczestniczył w historycznym, konspiracyjnym zebraniu naczelnictwa ZHP w kamienicy przy ul. Polnej, obecnie Noakowskiego 12, kiedy to podjęta została decyzja o przejściu ZHP do konspiracji i powołaniu Szarych Szeregów. Od tej chwili, aż do czasu wyjazdu na Lubelszczyznę w 1941 roku, był związany z kwaterą główną Szarych Szeregów. Ten okres działalności Bolesława Bonewicza Usowa ps. Konar (rocznik 1913) znam dobrze z relacji mojej matki śp. Ireny Korab Kowalskiej-Błasińskiej ps. Rena (rocznik 1912), instruktorki Wojskowego Przysposobienia Kobiet, a w Powstaniu Warszawskim – łączniczki Szarych Szeregów, batalionu „Zośka”.

W swoim wspomnieniu moja mama napisała m.in.: „Jako łączniczka Szarych Szeregów Harcerskich, batalion „Zośka”, komórka „Tadeusz”, Radna 4, pragnę zaświadczyć, że inż. Bolesław Bonewicz Usow – mój cioteczny brat – harcmistrz Warszawskiej Chorągwi Harcerzy, urodzony 18 lipca 1913 roku, żołnierz 33. pp Legii Akademickiej w obronie Warszawy we wrześniu 39, był związany z główną kwaterą Szarych Szeregów, począwszy od czwartego kwartału 1939 do końca 1941 roku, kiedy to objął nadleśnictwo w Ordynacji Zamojskiej na Lubelszczyźnie. W latach 1940-1941 uczestniczył w kursach w Szkole Podchorążych Związku Walki Zbrojnej dla oficerów rezerwy. Ukończył je, uzyskując stopień podporucznika. To on w 1940 roku wprowadził mnie do Szarych Szeregów, kontaktując

Nadleśniczy Bolesław Usow w Kwidzynie
w 1945 roku. Fot. archiwum Anny Reinl



z Tadeuszem Zawadzким „Zošką”, Jankiem Kubackim „Tadeuszem”, Stanisławem Broniewskim „Orszą”, „Witoldem”, Jerzym Kozłowskim „Jur-wisiem”, czy Edwardem Zurnem”. Tyle z oświadczenia mojej matki.

W latach powojennych Bolesław był częstym gościem w naszym domu, gdy przyjeżdżał z Kwidzyna do Warszawy. Zatrzymywał się u nas, w domu przy ul. Modrzewiowej 3 m 12. Pamiętam te radosne spotkania i rozmowy. Zawsze był uśmiechnięty, promieniejący, pogodny i to w czasach, gdy dotykały go ciągłe prześladowania i represje ze strony władzy komunistycznej i jej poleczników.

Pamiętam niepokój i smutek tych dni gdy Bolesława aresztowano. Wiosną 1954 roku, wkrótce po zwolnieniu go z więzienia, byłam – razem z siostrą mojej matki phm Anielą Kowalską ps. Janka, instruktorką Pomorskiej Chorągwi ZHP okresu II RP – w mieszkaniu Bolesława w Kwidzynie. Utrwalił się w mojej pamięci jego wyrazisty obraz, szczupła sylwetka na tle zielonego kilimu wiszącego za nim na ścianie. Informował nas z tym swoim ujmującym, nieśmiałym, pełnym zażenowania uśmiechem, rozkładając bezradnie ręce, że właśnie został zwolniony z więzienia, że nadal za nim chodzą. Zdawał się przeproszać, że sprawia tyle kłopotu i zamieszania.

Pamiętam też tragiczny dzień lipcowy 1954 roku i szloch matki, gdy dotarła do nas do Warszawy wiadomość o śmierci Bolesława. Położyła się ona cieniem na całym moim dzieciństwie. Żałoba w domu i niekończące się rozmowy o Bolesławie z jego matką Leokadią i siostrą Zosią. Rozmowy o człowieku dobrym, szlachetnym, pogodnym, uśmiechniętym, kochanym, nieobecny i... stale obecnym pośród nas.

Barbara Butler-Błasińska



Józef Goetz (1903 – 1951)

Doktor JÓZEF GOETZ

(1903-1951)

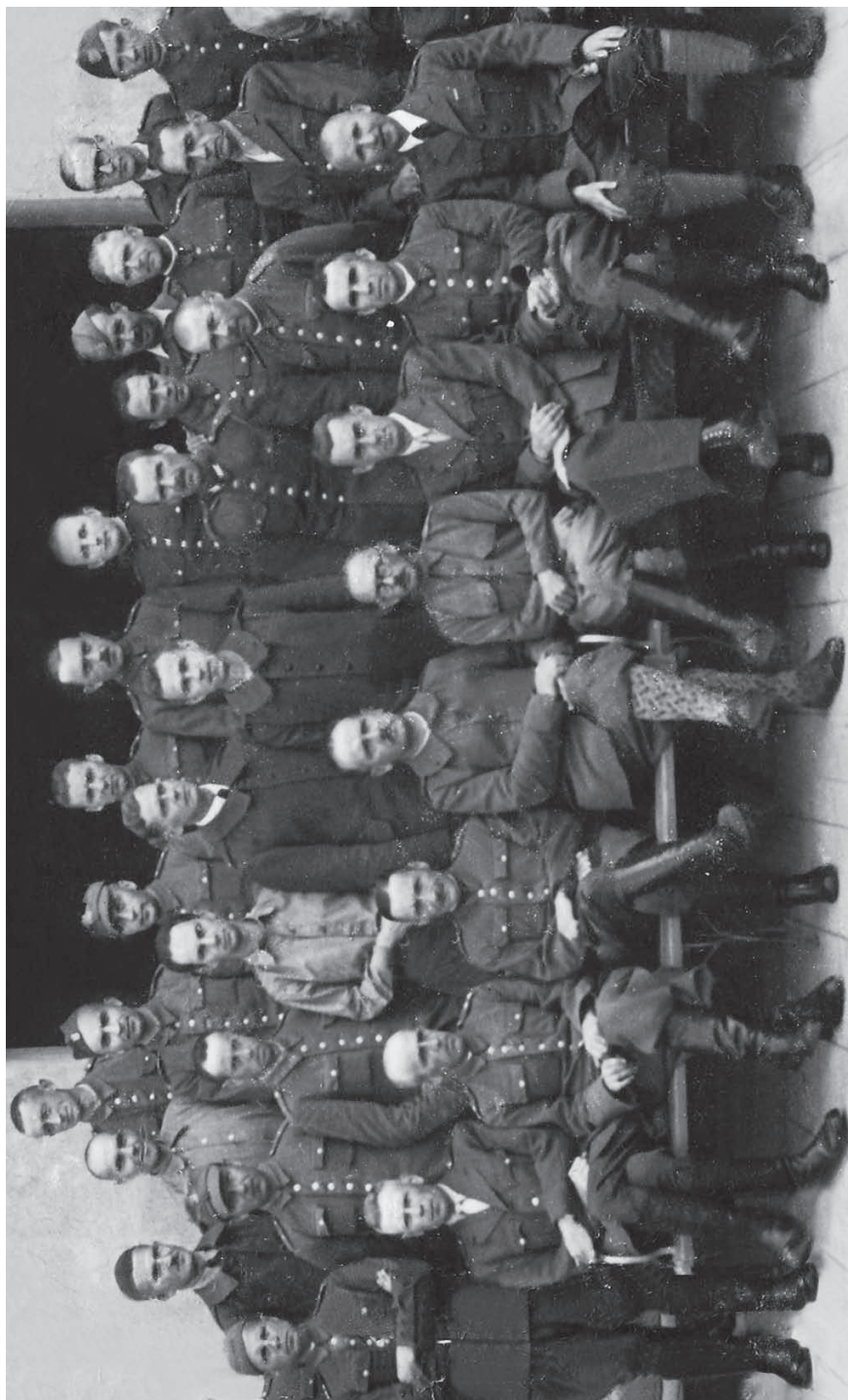


ózeł Goetz urodził się 2 marca 1903 roku we wsi Koryta w powiecie ostrowskim w Wielkopolsce, w rodzinie leśnika Walentego i Józefy z domu Wiencek. Po ukończeniu szkoły powszechnej uczęszczał do gimnazjum w Ostrowie Wielkopolskim, gdzie w 1923 r. uzyskał świadectwo dojrzałości. Jako syn leśnika, wzrastający w otoczeniu przyrody, postanowił poświęcić się studiom leśnym i obrać zawód leśnika. Odbił więc roczną praktykę leśną w nadleśnictwach: Wanda, Sieraków i Durowo w Wielkopolsce i w 1924 r. zapisał się na Wydział Rolniczo-Leśny Uniwersytetu Poznańskiego.

Już jako młody praktykant, a następnie student wyróżniał się wielkim zamiłowaniem i poważnym podejściem do obranego zawodu. W czasie studiów poświęcił wszystkie wakacje na zdobywanie wiedzy podczas praktyk w Nadleśnictwie Głębokie na Wileńszczyźnie, w lasach pszczyńskich na Śląsku i w Nadleśnictwie Przygodzice w Wielkopolsce. Poznał w ten sposób różne typy lasów i sposoby gospodarowania w nich. Będąc wybitnie zdolnym słuchaczem, został mianowany na ostatnim roku studiów młodszym asystentem przy Katedrze Botaniki Leśnej macierzystej uczelni. Ukończył studia w 1928 roku ze stopniem inżyniera leśnika, na podstawie rozprawy: „O rozmieszczeniu brekinii w Polsce Zachodniej”, opartej na własnych badaniach na Pomorzu, Śląsku i w Wielkopolsce.

1 lipca 1928 r. objął stanowisko starszego asystenta tej samej katedry – z roczną przerwą (od 1 września 1929 do 30 października 1930) dla odbycia służby wojskowej w szkole podchorążych piechoty w Śremie. W tym czasie, do 1933 roku, prowadził badania w zakresie botaniki leśnej i dendrologii, publikując szereg prac z tej dziedziny, zaś ogłoszona w 1932 – na podstawie studiów terenowych – praca pt. „Grab (*Carpinus betulus*) w Północno-Wschodniej Polsce, jego rozmieszczenie oraz udział w tworzeniu drzewostanów”, zamieszczona w „Acta Societatis Botanicorum Poloniae”, stała się podstawą do uzyskania stopnia doktora.

Dla pogłębienia swoich praktycznych wiadomości dotyczących całokształtu zagadnień leśnych dr Józef Goetz przeszedł do pracy w terenie. Od 1 września 1933 roku był nadleśniczym w lasach miłosławskich w powiecie wrzesińskim, zaś od 1 maja 1935 do wybuchu wojny światowej – nadleśniczym Dóbr i Lasów Miejskich w Toruniu. To m.in. jego zasługą jest, że Toruń posiada do dziś pięknie zachowane zieleńce, parki i lasy wewnątrz i wokół miasta. Ponadto, jako członek Polskiego Związku Łowieckiego, pełnił funkcję podłowczego w Toruniu,



Leśnicy, oficerowie Wojska Polskiego w niemieckim obozie jenieckim Murnau w 1940 roku. Na ławce, drugi od prawej siedzi Józef Goetz.
Fot. archiwum Adama Hlebowicza

a łowisko, w którym gospodarzył – Miejskie Lasy Torunia – znane było z wzorowego zagospodarowania i obfitości zwierzyny.

W 1939 roku dr Goetz, jako podporucznik Wojska Polskiego, wziął udział w wojnie obronnej. 22 września dostał się do niewoli niemieckiej i przebywał do 29 kwietnia 1945 w Oflagu A-Murnau. W obozie skupił wokół siebie kolegów leśników i myśliwych. Pod koniec 1940, po naszkicowaniu planu i przedstawieniu go polskiemu dowództwu i władzom obozu, uzyskał zezwolenie na prowadzenie wykładów z dziedziny botaniki leśnej, hodowli lasu i łowiectwa. W ten sposób kilkusetosobowa grupa jeńców prowadziła pracę samokształceniową, odbywała dyskusje naukowe i gromadziła biblioteczkę leśną. Słuchacze tych wykładów utworzyli „Koło Leśników”, którego pierwszym prezesem był inż. kpt. Michał Bernakiewicz, przed wojną inspektor leśnictwa w Pomorskiej Izbie Rolniczej w Toruniu. Dwukrotnie godność tę sprawował także dr Goetz. Poza tym prowadził on też w obozie studia nad wykreślaniem mapy rozmieszczenia zwierzyny łownej w Polsce w latach 1919-1939.

Po powrocie do kraju, w sierpniu 1945, dr Goetz objął 15 października tego roku stanowisko dyrektora Dóbr i Lasów Miejskich w Toruniu i funkcję tę sprawował do 31 lipca 1949 – do czasu upaństwowienia lasów samorządowych. Poza pracą zawodową działał w Polskim Związku Łowieckim, będąc członkiem Wojewódzkiej Rady Łowieckiej i Łowczym Powiatowym. W latach 1947-1949 był redaktorem „Pomorskiego Biuletynu Łowieckiego”, a w 1948 redaktorem pięknie wydanej jednodniówki „Łowiectwo na Pomorzu”, w której zamieścił pięć swoich artykułów. Za zasługi w dziedzinie łowiectwa odznaczony został przez Radę Naczelną Polskiego Związku Łowieckiego Złotym Medalem.

1 września 1949 roku objął stanowisko adiunkta w Katedrze Botaniki i Fitoopatologii Uniwersytetu Poznańskiego, a 9 grudnia 1950, jako zastępca profesora, został kierownikiem Katedry Botaniki Leśnej. Józef Goetz ogłosił szesnaście prac botaniczno-leśnych i dwadzieścia sześć prac z zakresu łowiectwa, bardzo zaawansowana była jego praca habilitacyjna. Ponadto, od września 1949, a także w okresie międzywojnia był członkiem Zarządu i sekretarzem Oddziału Poznańskiego Polskiego Towarzystwa Botanicznego.

Dr inż. Józef Goetz rodziny nie założył. Zmarł w Poznaniu 22 lutego 1951 roku i został pochowany na cmentarzu parafialnym przy ul. Nowina w Poznaniu.

Kazimierz Przybyszewski
(1937-2013)



Antoni Borkowski (1909 – 1981)

Inżynier ANTONI BORKOWSKI

(1909-1981)



ody polskie, z dawna związane z ziemią rodzimą, z przyrodą, z ustawiczną walką o polskość kresowych stanic wykreowały wiele wybitnych postaci o nieugiętych charakterach i silnej woli w dążeniu do celu, jakim dla nich było życie oparte o godność, prawość, zachowanie wiary i obyczajów praocjów.

Z KRESÓW DO POZNANIA

Takim człowiekiem był inżynier Antoni Borkowski. Urodził się w 1909 roku na Podolu, w Rzeczycy nad Dnieprem, w rodzinie o patriotycznych tradycjach. Od wczesnej młodości był świadkiem zjawisk towarzyszących burzom dziejowym początków XX wieku, tworzących nową historię tych ziem. Słuchał domowych opowieści, w których wracano do tradycji z rodzinnego gniazda, majątności Borki Świercze i Paduchy, skąd wywodzi się ród Borkowskich herbu Nowina. Odżywały wspomnienia walk powstańczych i niedoli narodu przekazywane pokoleniami i tradycjami pielęgnowanymi w rodzinnym domu. A jak plon z tej gleby wyrosło godne, pracowite, Ojczyźnie poświęcone życie Antoniego Borkowskiego.

Po ukończeniu szkoły średniej we Włodzimierzu Wołyńskim podejmuje studia na Wydziale Leśnym Uniwersytetu Poznańskiego, uzyskując w roku 1937 dyplom inżyniera leśnictwa. Praktykę leśną i tartaczną odbył w Grodźcu koło Konina w lasach należących do ordynacji Taczanów, po czym objął stanowisko nadleśniczego w posiadłościach tejże ordynacji. Pełen zapału i wiary w swe siły rzuca się w wir obowiązków; buduje też podstawy dla założenia rodziny. Równolegle z pracą w nadleśnictwie otwiera w Koninie biuro handlu drewnem, stanowiące element konkurencji na opanowanym tam jednostronnie rynku drzewnym.

WOJNA, OBÓZ JENIECKI, PROCES

Zbliżająca się wojna niweczy wszelkie plany i zamierzenia. Piątego lipca 1939 roku podporucznik rezerwy Antoni Borkowski zostaje powołany na ćwiczenia do pułku piechoty we Wrześni. Ze swym plutonem buduje umocnienia polowe w okolicach Turka i tam zastaje go wybuch wojny. Przez Kłodawę, Kutno, Łowicz, Puszcę Kampinoską, zgodnie z rozkazami, w ogniu walk i nalotów dąży ku Warszawie. W okolicach Łowicza pluton Borkowskiego wpada w zasadzkę miejscowej grupy dywersyjnej. Po starciu ogniowym gniazdo dywersji zostaje zmuszone do zaprzestania swych zbrodniczych działań. Ten epizod miał jakże dramatyczny wpływ na dalsze losy polskiego dowódcy!



Antoni Borkowski podczas studiów na Wydziale Leśnym Uniwersytetu Poznańskiego w 1936 roku.
Fot. archiwum Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu

Antoni Borkowski (z prawej) z nadleśniczym Franciszkiem Mozolewskim około 1938 roku.
Fot. publikacja „Zerwane sieci”, MON, 1984





Grupa leśników polskich w niemieckim Oflagu Woldenberg (dzisiaj Dobiegniewo). Drugi od prawej stoi Antoni Borkowski. Fot. publikacja „Zerwane sieci”, MON, 1984

Po zakończeniu walk o Warszawę wraz z grupą oficerów przekazywany jest do kolejnych obozów jenieckich. W końcu zostaje osadzony w „Oflagu II C Woldenberg” – dzisiejsze Dobiegniewo. Bierze tam czynny udział w działalności liczącego ponad 90 osób Koła Leśników. Współorganizuje kursy, prelekcje, wystawy. W roku 1940 na skutek donosu do władz hitlerowskich złożonego przez volksdeutscha Herberta Kruegera – żołnierza należącego do oddziału podległego Borkowskiemu w walkach wrześniowych 1939 – Abwehra wdraża poszukiwania we wszystkich obozach jenieckich podporucznika Borkowskiego jako zbrodniarza winnego rzekomych napadów na bezbronną ludność pochodzenia niemieckiego w okolicach Łowicza. Po dwóch latach poszukiwań, w marcu 1942 roku Borkowski zostaje w obozie zdekonspirowany i aresztowany, a po kilku miesiącach śledztwa skierowany pod konwojem do Warszawy do dyspozycji tamtejszego sądu specjalnego. W drodze, w okolicach Poznania udaje mu się zmylić czujność konwoju i wyskoczyć oknem z pędzącego pociągu. Poraniony i obdarty przez pięć nocy wędruje w kierunku wschodnim omijając osiedla i unikając ludzi. Od przypadkowo spotkanych Polaków otrzymuje cywilną odzież i nieco żywności. W końcu wyczerpany i głodny wpada we wsi Jankowo w ręce miejscowych Niemców. Przekazany do Gestapo w Poznaniu, przez kilka dni jest katowany, po czym skutą i pod silnym konwojem w dniu 20 lipca 1942 roku odstawiony do więzienia przy ul. Rakowieckiej w Warszawie.

Wbrew postanowieniom konwencji genewskiej hitlerowskie władze okupacyjne wszczynają proces zarzucając Borkowskiemu zbrodnię wobec przedstawicieli narodu niemieckiego. Za czyn ten grozi Polakowi kara śmierci. Jednakże tym razem Niemcy zamierzali nadać procesowi pozory legalności, przeprowadzić rozprawę zgodnie z przyjętą powszechnie procedurą, do czego niezbędną się stała obecność świadka, owego volksdeutscha Kruegera. Przebywał on w tym czasie w armii niemieckiej na froncie wschodnim. Odnalezienie go i sprowadzenie do Warszawy zajęło wiele miesięcy. Rozprawa odbyła się dopiero 25 lipca 1943 roku. Wyrok był z góry wiadomy: śmierć...

UCIECZKA W PRZEDDZIEŃ ŚMIERCI

W międzyczasie Borkowski nawiązał kontakt z pracującymi na terenie więzienia Polakami, wśród których działała dobrze zakonspirowana grupa oporu Armii Krajowej. Przez nich to uzyskał łączność z przebywającą wówczas w Warszawie żoną i drogą dalszych kontaktów z oddziałem AK udało się zorganizować brawurową ucieczkę trzech więźniów w noc poprzedzającą egzekucję zapowiedzianą na sobotę, 4 września 1943 roku. Po otrzymaniu z zewnątrz niezbędnego sprzętu trójka uciekinierów sforsowała siedmiometrowy mur okalający więzienie i pod osłoną oczekującego w umówionym miejscu patrolu żołnierzy AK została przeprowadzona do przygotowanych lokali konspiracyjnych. Cała

akcja została zaplanowana i wykonana w taki sposób, by nie wywołać represji ze strony Niemców wobec Polaków zatrudnionych przy pracach pomocniczych w więzieniu. Po kilku tygodniach odpoczynku Borkowski zostaje skierowany przez AK do pracy w tartaku w Łukowie, gdzie przebywa pod nazwiskiem Wojciecha Wińczy.

Latem 1944 roku wraca do Warszawy i bierze udział w walkach powstańczych AK w Komendzie Wojskowej Rejonu 2 „Śródmieście”. Jego żona, Irena pełni służbę sanitariuszki. Po upadku Powstania udaje mu się wraz z żoną wyjść z miasta w grupie cywilnych uchodźców i po dniach tułaczki znaleźć schronienie w opuszczonej osadzie nadleśnictwa w Skułach koło Grodziska Mazowieckiego. Pracuje tam jako robotnik leśny – wozak – w bardzo trudnych warunkach ciężkiej zimy o głodzie i chłódzie, zabiegając o środki do życia dla żony i urodzonej w październiku 1944 roku córeczki. Sam zapada na zdrowiu i tylko niesłychany hart ducha i wola przetrwania pozwalają mu przezwyciężyć chorobę.

LEGITYMACJA NR 1

Niezwłocznie po zakończeniu działań wojennych podejmuje decyzję powrotu do Taczanowa, swego przedwojennego miejsca pracy. Dociera tam wraz z rodziną już w połowie lutego 1945 roku. Samorzutnie organizuje ochronę lasów przed dewastacją, powszechnym zjawiskiem w powojennym chaosie. Z prywatnych

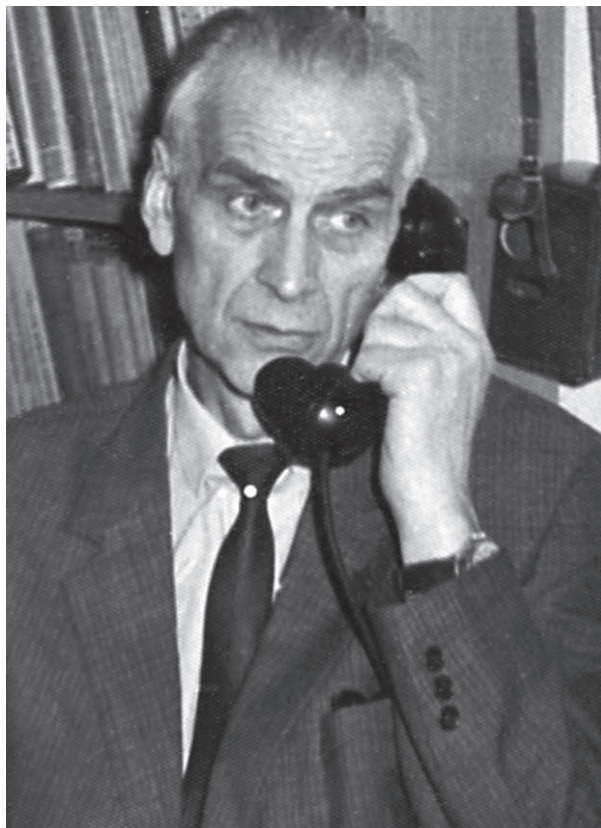


Legitymacja służbowa Nr 1 Dyrekcji Lasów Państwowych w Poznaniu wydana dla nadleśniczego Antoniego Borkowskiego, 11 marca 1945 roku. Fot. publikacja „Zerwane sieci”, MON, 1984

obszarów leśnych majątku Taczanów tworzy formę organizacyjną Nadleśnictwa Pleszew, zatwierdzoną wkrótce przez Dyрекcję Lasów Państwowych w Poznaniu. Obejmuje to nadleśnictwo, otrzymując legitymację służbową nadleśniczego oznaczoną numerem 1. I tu kończy się dramat wojennych losów Antoniego Borkowskiego. Dramat jakże znamieny dla losów Polaków tej doby dziejowej. Dramat pisany krwią, męką i łzami na Polu Chwały w walce o Ojczyznę. Trudno jest nie wyrazić podziwu dla męstwa, wiary i woli przetrwania. Cechy te pozwoliły Borkowskiemu zwycięsko wyjść ze zgoła beznadziejnych sytuacji i powrócić z rodziną do ukochanego zawodu leśnika. Swe wojenne dzieje Antoni Borkowski opisał w książce pt. „Zerwane sieci”, wydanej przez Wydawnictwo MON w 1984 roku.

SIC TRANSIT GLORIA*...

A jaką była dalsza droga jego pracowitego życia? Jesienią 1945 roku przenosi się do Gdańska, gdzie prowadzi dział drzewny w Centrali Materiałów Budowlanych. Później jest dyrektorem oddziału Spółdzielni „Las” w Gdyni. Niekorzystny



Antoni Borkowski na początku lat 70. XX wieku kierował działem postępu technicznego w Okręgowym Zarządzie Lasów Państwowych w Toruniu.
Fot. archiwum Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu

dla zniszczonego zdrowia klimat nadmorski skłania go w roku 1948 do objęcia kierowniczego stanowiska w Centrali Handlowej „Paged” w Bydgoszczy. Życie wielkomiejskie nie odpowiada jednak Borkowskiemu. Tęskni do lasu, do wiejskiej ciszy. Jego skołatane nerwy domagają się spokoju. Gdzież tego szukać, jak nie w lesie? W roku 1953 obejmuje Nadleśnictwo Warlubie na Ziemi Kociewskiej, a następnie, w roku 1959, Nadleśnictwo Popioły koło Torunia. Na ten okres życia przypada rozwinięcie jego życiowej pasji – łowiectwa. W zarządzanych przez siebie lasach organizuje i prowadzi gospodarkę łowiecką i całą pełnię życia czerpie bezmiar łowieckich wrażeń i przeżyć. Wśród przyjaciół słynie jako niezrównany gawędziarz snujący opowieści o swych licznych przygodach i bogatych wrażeniach odniesionych w kniei podczas obcowania z przyrodą. Staje się też uznanym w środowisku znawcą i koneserem broni myśliwskiej.

Słabnące zdrowie zmusza Borkowskiego do osiedlenia się w mieście. W roku 1962 przenosi się do pracy w Okręgowym Zarządzie Lasów Państwowych w Toruniu, gdzie prowadzi dział postępu technicznego, technologii prac leśnych i informacji technicznej. Za zasługi poniesione w swym, jakże dzielnym i pracowitym życiu został odznaczony medalami bojowymi, szeregiem odznak honorowych oraz Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Po przejściu na emeryturę w roku 1974, przez długi jeszcze czas, utrzymywał kontakt z Dyrekcją Lasów służąc swą wiedzą i doświadczeniem. Antoni Borkowski zmarł w Toruniu 22 lipca 1981 roku. Sic transit gloria...

Michał Sokołowski

* Tak przemija chwala...

Od autora

Inżyniera Borkowskiego poznałem latem 1958 roku, gdy przez kilka tygodni gościł u nadleśniczego Leopolda Kierzkowskiego w Świekatówku, gdzie wtedy pracowałem. Pierwszy raz spotkaliśmy się w lesie o wczesnym poranku. Ja szukałem dzików, on zażywał uroku rannego spaceru. Przypadliśmy sobie do gustu, choć znacznie starszy wiekiem i życiowym doświadczeniem. Pan Antoni początkowo traktował mnie z uprzejmą wyrozumiałością. Spotykaliśmy się tego lata jeszcze kilkakrotnie w najpiękniejszej partii świekatowskich lasów w Leśnictwie Bruchniewo, nie opodal rezerwatu „Czapliniec” i obaj byliśmy z tych spotkań wzajemnie radzi. Wspomnienia chwil wspólnie spędzonych w lesie wracały do nas też po latach, gdy z racji obowiązków służbowych odwiedzałem gmach Dyrekcji Lasów w Toruniu i znów miałem okazję uścisnąć dłoń tego niezwykłego człowieka.



Feliks Sobczyński (1893 – 1989)

Nadleśniczy FELIKS SOBOCZYŃSKI

(1893-1989)



artykuł, który zamieszczamy na kolejnych stronach, ukazał się w „Głosie Wielkopolskim” 23 czerwca 1988 roku pod tytułem „Część losu Ojczyzny”. Jest zapisem rozmowy redaktora Włodzimierza Brannickiego z Feliksem Soboczyńskim, na rok przed jego śmiercią.

Feliks Soboczyński¹ był w latach 30. XX wieku nadleśniczym Nadleśnictwa Zbiczno, na terenie Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu. Był bliskim współpracownikiem dyrektora DLP w Toruniu, a potem w Poznaniu – Teofila Lorkiewicza. Po wybuchu II wojny światowej opuścił Zbiczno, obawiając się aresztowania i śmierci ze strony Niemców, którzy bez żadnych sądów rozstrzelali uczestników Powstania Wielkopolskiego, a był nim Soboczyński. Trafił do Warszawy, gdzie szybko nawiązał kontakt z Teofilem Lorkiewiczem, który był delegatem emigracyjnego Rządu polskiego do spraw leśnictwa. Po jego śmierci w pierwszych dniach Powstania Warszawskiego faktycznie zajął jego stanowisko, chociaż w nowych warunkach ustrojowych nie było mu dane tej funkcji realnie pełnić.

Tragiczne losy Polski po wkroczeniu wojsk sowieckich, eliminacja sił niepodległościowych (mordy, zesłania, więzienie), zniweczenie polskich nadziei na suwerenny byt i niepodległość wycisnęły piętno na życiorysie Feliksa Soboczyńskiego i jego rodziny. Po wojnie Soboczyński organizował dyrekcję Lasów Państwowych w Olsztynie. Był jej pierwszym dyrektorem do 1949 roku. Oskarżony o szpiegostwo i współpracę z podziemiem niepodległościowym został usunięty ze służby i osądzony wraz z synem Zbigniewem i kilkoma innymi członkami rodziny. Majątek Soboczyńskich skonfiskowano. Spędził pięć lat w więzieniu. Został zrehabilitowany w 1957 roku, jednak nie znalazł już pracy w leśnictwie. Wielce zasłużony dla organizacji łowiectwa na terenie Warmii i Mazur. Zmarł w Poznaniu w 1989 roku.

Wspomniana na wstępie publikacja ukazała się w „Głosie Wielkopolskim” w 1988 roku, czyli jeszcze w epoce PRL, w czasach komunistycznej cenzury prasy i całego życia publicznego. Nie wszystko można było wtedy powiedzieć, nie wszystko napisać. Jednak dostatecznie wiele napisano, by przybliżyć tę wybitną – a wciąż przemilczaną i zapomnianą – postać polskiego leśnictwa, która w okresie międzywojennym zapisała się w historii leśnictwa kujawsko-pomorskiego. Artykuł przytaczamy niżej w oryginalnej wersji, bez żadnych zmian i skrótów. (TaCh)

CZĘŚĆ LOSU OJCZYZNY

– Trafiliśmy na szczególną epokę – mówi na wstępie. – Na dość ciekawy okres historii. Jak w 1914 roku poszedłem na wojnę, to wróciłem z niej dopiero w 1921...

Mieszkanie państwa Kazimierzy i Feliksa Soboczyńskich na Osiedlu Hetmańskim w Poznaniu. Pan Feliks właśnie kończy 95 rok życia. Wspomina: Urodziłem się 23 czerwca 1893 roku w Jedlcu w dawnym powiecie pleszewskim. W Gołuchowie byłem chrzczony. Do gimnazjum uczęszczałem w Rogoźnie. Tam byłem prezesem tajnej organizacji uczniowskiej – Towarzystwa im. Tomasza Zana. Miałem charakter niepodległościowy. Potem studiowałem w Akademii Leśnej w Tharandcie pod Dreznem. W czasie wojny zaś byłem na wszystkich frontach – wschodnich i zachodnich. W 1918 roku wstąpiłem do Wojska Polskiego. Byłem w Powstaniu Wielkopolskim w 12. Pułku Piechoty w Ostrowie, jako adiutant.

Oglądam wydaną w 1931 roku książkę „Od Prosnego po Rawiczy”. W zakładce jej okładki mieści się teraz – Krzyż Niepodległości. Pan Feliks otrzymał go w 1930 roku. A w indeksie książki przy jego nazwisku jest 11 odsyłaczy. Czytamy na stronie 49: „Bezpośrednio po Świętach Bożego Narodzenia wstąpili do batalionu byli oficerowie niemieccy Stanisław Dybała, Feliks Soboczyński i Mieczysław Szreybowski. Soboczyński i Szreybowski wyjechali niezwłocznie do Poznania, gdyż doszły nas wieści, że w koszarach artyleryjskich przy forcie Grollmanna nie ma nadzoru i można stamtąd łatwo konie uprowadzić. Misja Soboczyńskiego i Szreybowskiego udała się znakomicie. Z pięciu wspianymi wierzchowcami powrócili, lecz już wprost do Ostrowa. Danusia, Klejstut i Szatan były długi czas naszymi najlepszymi wierzchowcami”.

A na stronie 93: „Nie wolno mi zapominać o współpracownikach, a przede wszystkim o Feliksie Soboczyńskim, adiutancie Okręgu Wojskowego 7, który będąc prawą ręką Wawrzyniaka położył na tym stanowisku wielkie zasługi”.

Oglądam też fotografię. Tam pan Feliks jest pokazany jako pierwszy adiutant 17 Dywizji Piechoty (3 Wielkopolskiej).

– A co – mówi – po skończeniu powstania? Po odrodzeniu państwa polskiego wróciłem do swojego zawodu i byłem wielki kawał czasu nadleśniczym w Zbiczynie w okręgu brodnickim (Dyrekcja Lasów Państwowych w Toruniu). Gdy w 1939 roku przyszli Niemcy, poczułem się zagrożony, wyjechałem do Warszawy. Tam w konspiracji brałem dość wybitny udział. W Armii Krajowej. Z ramienia Delegatury Rządu w podziemiu zostałem zastępcą Teofila Lorkiewicza, który przed wojną był dyrektorem Dyrekcji Lasów Państwowych (w Toruniu, później) w Pozna-



Nadleśniczy Feliks Soboczyński (z prawej) i konspiracyjny szef leśnictwa polskiego Teofil Lorkiewicz w okupowanej Warszawie, około 1944 roku. Fot. archiwum Zbigniewa Soboczyńskiego

niu, a podczas okupacji w Warszawie został delegatem rządu polskiego do spraw leśnictwa. Po jego śmierci – zginął z rąk Niemców – przejąłem po nim spuściznę.

W Powstaniu Warszawskim poległ na posterunku syn pana Feliksa, żołnierz armii podziemnej, Franek¹. Miał dwadzieścia lat.

– Po wojnie – wspomina mój rozmówca – otrzymałem polecenie zorganizowania dyrekcji Lasów Państwowych w Olsztynie. Placówki te przydzieliliśmy już na jednym z zebrań w Warszawie w 1943 roku. Myśmy mieli kompletny plan personalny obsady ziem polskich na zachodzie i północy już wtedy gotowy. Nawet szliśmy dalej to potem Polska otrzymała.

No a później przyszedł rok 1949 i zwolnienie ze służby. Wszystkich wtedy takich jak on odwoływali. I nie tylko odwoływali. Nie chce jednak o tamtych latach złych mówić. Macha ręką: - Po co to dzisiaj? Mogę się tylko domyślać, jakie one były dla niego, dawnego AK-owca i przedstawiciela Delegatury Rządu (londyńskiego). Nie chce jednak do tego wracać.

Po roku 1956, ksiądz prymas Stefan Wyszyński był już na wolności. Ja należałem do jego Rady Prymasowskiej, która się gromadziła u prymasa na Miodowej. Dużo lat jeździłem wtedy do Warszawy na konferencje. Z zachodu Polski byłem w tej Radzie jedyny. Prymas? To był wielkiego formatu człowiek, miał wszystkie cechy człowieka przeznaczonego na takie stanowisko. Myśmy go bardzo szanowali i można powiedzieć, czcili.

A potem przyszedł rok 1969. Zginęła jego córka Halina. Była lekarzem radiologiem. Docentem. Leciała na placówkę lekarską do Lagos w Nigerii. Zginęła w katastrofie samolotowej. A z mężem swym Antonim Horstem poznała się w czasie wojny w Warszawie, na tajnych kompletach medycznych. On tam wykładał, ona była studentką. Brali udział w Powstaniu Warszawskim, ona była nawet zasypana.

Z trzech córek Haliny dwie są lekarkami w Poznaniu, a jedna (architekt) mieszka we Frankfurcie. Tam są też dwie jego prawnuczki – Ania i Kasia. Razem ma czworo wnuków i siedmioro prawnuków. Syn Zbigniew jest inżynierem technologii drewna. Pozostał w Olsztynie; w czasie wojny był więziony trzy lata w obozie w Oświęcimiu.

Oglądam jeszcze dokumenty. Odczytuję dyplom: „Za zasługi w Powstaniu Wielkopolskim mianuję obywatela kapitana Feliksa Soboczyńskiego, syna Franciszka na stopień majora z dniem 25 lutego 1976. Minister Obrony Narodowej”. I jeszcze pokazuje mi order – Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. Przyznano go panu Feliksowi w 1981 roku. Mówi: - Co jest najważniejsze dla Polaka? Wierność Ojczyźnie we wszystkich sytuacjach, nie wyłączając tych najgorszych, czyli także wojny. Co Polakowi najbardziej nie uchodzi? Najgorsze jest przejście

Feliks Soboczyński w Poznaniu, w latach 80. XX wieku.
Fot. archiwum Zbigniewa Soboczyńskiego



do wroga, a takie rzeczy były, chociaż na ogół prawie nie było plam, a cały naród porwał się do walki. Ojczyzna jest Ojczyzną, nawet gdy jest trudno. Starsi mają skłonności do oportunistów, młodzi są, chcą być, niezależni. Atmosfera w Polsce musi się zmieniać. Muszą zniknąć z życia publicznego elementy zakłamania.

Zastanawia się:

– Nie mam sobie nic jako Polak do zarzucenia. Moje życie to była część losu mojej Ojczyzny.

Włodzimierz Braniecki

¹Feliks Soboczyński miał troje dzieci. Wdowcem został jeszcze przed wojną. Syn Franciszek zginął w Powstaniu Warszawskim w 1944 roku, córka Halina – lekarz zginęła w katastrofie lotniczej nad Afryką w 1969, drugi syn Zbigniew, więzień Oświęcimia, po wojnie osądzony wraz z ojcem w procesie o „szpiegostwo i współpracę z podziemiem”, kilka lat spędził w więzieniu, pracował w handlu zagranicznym. Mieszkał w Olsztynie, zmarł w roku 2017. (przypis TaCh)



Józef Bartol (1889 – 1939)

Leśniczy JÓZEF BARTOL

(1889-1939)



Józef Bartol urodził się 17 stycznia 1889 roku w Chłudowie, w powiecie poznańskim, w rodzinie Józefa i Anny z Taberskich. W 1903 roku ukończył szkołę w Laskowcu. Dwukrotnie był powoływany do odbycia służby wojskowej w armii pruskiej, od 1.10.1909 do 30.09.1911 roku i od 5.08.1914 do 27.12.1918 roku. Służył m.in. w szpitalu polowym w Głogowie. Od 1.05 do 1.07.1918 roku uczestniczył w zajęciach w szkole dla sanitariuszy wojskowych, którą ukończył z wynikiem bardzo dobrym. Brał udział w wielu bitwach na froncie zachodnim, m.in. pod Verdun, gdzie zajmował się transportem rannych i zabitych, 7.12.1918 otrzymał stopień kpr. sanitarnego.

Na wieść o wybuchu powstania w Poznaniu, już 28 grudnia 1918 roku wstąpił w szeregi powstańcze i walczył na frontach powstania do 30 kwietnia 1919. Następnie, 3 czerwca 1919 roku został wcielony w szeregi 15. Pułku Artylerii Lekkiej (PAL), gdzie służył w stopniu ogniomistrza sanitarnego. 24 listopada 1920 roku został przeniesiony do rezerwy i niezwłocznie rozpoczął swoją pracę w zawodzie leśnika.

W sierpniu 1923 roku Józef Bartol został skierowany do pracy na teren lasów pod Bydgoszczą. W Leśnictwie Bielawy, w dawnym powiecie szubińskim, zastąpił zmarłego leśniczego Tomasza Kaźmierczaka, który pracował tam na zlecenie hrabiego Skórzewskiego z Lubostronia. W 1925 roku odbył sześciotygodniowy kurs dokształcający dla państwowych pomocników leśnych, który skończył egzaminem w Państwowej Szkole dla Leśniczych w Margoninie.

Józef Bartol należał do Towarzystwa Powstańców i Wojaków, Koło w Rynarzewie. 30 stycznia 1927 roku podczas walnego zebrania został wybrany na komendanta Towarzystwa. Potem był członkiem Towarzystwa Powstańców i Wojaków na terenie powiatu bydgoskiego, gdzie był prezesem tej organizacji. Do pracy w Leśnictwie Łochowo w Nadleśnictwie Państwowym Bydgoszcz, został skierowany 14 kwietnia 1931 roku. Tu, w roku 1939 zastał go wybuch II wojny światowej.

W połowie września 1939, po powrocie z ewakuacji, został aresztowany w Rynarzewie. Jan Jankowski, kierownik szkoły w Rynarzewie, tak wspominał wydarzenia z początku września 1939 r.: „(...) Wjeżdżamy na rynek. Tu rzuca nam się w oczy okropny widok. W pobliżu ewangelickiego zboru stoi dwóch delikwentów, wykonujących przysiady, wymachy i inne niezwykle ruchy. Twarze ich blade, nogi pod nimi się chwieją. Znać na nich wyczerpanie. Odwróceni są do nas bokiem, więc z trudem rozpoznaję w nich Władysława Szulca z Rynarzewa



Grupa leśników Nadleśnictwa Państwowego Bydgoszcz około 1934 roku. Leśniczy Józef Bartol stoi pośrodku (najwyższy). Fot. archiwum Romana Bartola



Józef Bartol - leśniczy Leśnictwa Łochowo w Nadleśnictwie Państwowym Bydgoszcz w 1934 roku.
Fot. archiwum Romana Bartola

i Bartola, leśniczego z Łochowa. Za nimi ich oprawcy: trzej żołnierze i jeden cywilny. Jeden z żołnierzy, miotając przekleństwa, krzyczy: „Padnij! Powstań!” Czekamy na swoją kolejkę... Kończąc rozdział o przeżyciach w czasie powrotu z ucieczki do Rynarzewa, wspomnę krótko o dalszych losach Szulca i Bartola. Trafiliśmy bowiem na moment katowania ich na rynku rynarzewskim. Oprawcy w jakiś czas potem sprzykrzyli sobie tę „niewinną zabawę”, załadowali ich do samochodu i wywieźli do Bydgoszczy, gdzie wzięło ich w swe ręce gestapo. Tam związano im ręce drutem kolczastym i wrzucono do piwnicy, gdzie przez dwa dni pozostawali bez jedzenia, bici dotkliwie po głowie i twarzy. Zemściwszy się dostatecznie, Bartola rozstrzelano, Szulca zaś, wychudzonego, raczej do szkieletu ludzkiego podobnego, wypuszczono na wolność, którą jednak niedługo się cieszył. W parę miesięcy później zabrano go do Szubina i tam rozstrzelano (...).

W dniu 9 sierpnia 1945 roku przed Sądem Grodzkim w Łabiszynie zeznania w sprawie śmierci ojca Józefa Bartola złożyli synowie Aleksy i Edward. W protokole sądowym z zeznań Edwarda Bartola czytamy: „(...) Z początkiem wojny ojciec ewakuował się razem z matką i dwoma mymi braćmi Tadeuszem, który wówczas miał 15 lat i Aleksem, który liczył wtedy 22 lata. Z ewakuacji wrócili przed 15 września do Łochowa. Ojciec jednak w Rynarzewie dowiedział się, że Niemcy go poszukują. Z Bielaw zatem nie kontynuując powrotnej drogi do domu, wrócił do Rynarzewa, gdzie zatrzymał się u Adamczewskich (na ulicy Kościelnej 2, obecnie Szkolna – przyp. autora). Został jednak natychmiast przechwycony przez tutejszych Niemców, którzy go znali. Niemcy związali mu ręce drutem kolczastym. Tymczasem matka i bracia, wróciwszy do Łochowa, zostali natychmiast przez gestapo i miejscowych Niemców aresztowani i postawieni we wsi Łochowo przed sąd doraźny, który polegał na tym, że Niemcy miejscowi wskazywali gestapo Polaków, których oskarżali. Z Łochowa wywieziono ich do Bydgoszczy do więzienia gestapo na ulicy Poniatowskiego. Tam zetknęli się w lochu więzienia z moim ojcem, którego dnia 15 września 1939 roku rozstrzelano, rzekomo za to, że ojciec miał w Łochowie rozstrzelać 63 Niemców, że przed wojną rozpędzał w lesie tajne organizowane zebrania Niemców, i że był prezesem Towarzystwa Powstańców i Wojaków w powiecie bydgoskim. Obaj bracia zostali skazani na śmierć, a matkę wypuszczono z więzienia (...).

Natomiast Aleksy Bartol zeznał: „(...) Do więzienia w Bydgoszczy dostałem się razem z matką i bratem. W więzieniu widzieliśmy i nawet przez krótką chwilę zetknęliśmy się z naszym ojcem. Ojciec mój i my dwaj bracia zostaliśmy po pewnym czasie postawieni przed sąd składający się z nieznanym mi gestapowców. Staliśmy pod zarzutami wspólnego rzekomego zamordowania Niemców w Łochowie. W wyniku rozprawy ojciec został skazany na śmierć. Również mnie oświadczone, że jestem skazany na śmierć i że załatwią się ze mną jeszcze tego samego dnia wieczorem. W istocie jednak gestapowcy rozstrzelali tego samego dnia wieczorem

rem jedynie ojca, a ja cudem jakimś uszedłem śmierci. Mnie i brata wtrącono po rozprawie w dwie różne piwnice... Zaznaczam, że z innych cel wyprowadzono na podwórze też po sześć osób, tak że stał nas tam cały rząd. Wszyscy musieliśmy wejść na stos leżących trupów, którymi zresztą zasłane było całe podwórze. Po pewnym czasie nadjechało auto, na które ładowaliśmy zwłoki. Przy tym natrafiłem wraz z kolegą na ciało mego ojca, które znowuż na Bielawkach składałem wraz z bratem moim z auta. Na Bielawkach rzucano trupy do bardzo szerokiego i głębokiego rowu, który stanowił część okopów. Następnie rowy te przywiezionymi przez gestapo łopatami zasypywaliśmy.

Józef Bartol zawarł 18 maja 1913 roku związek małżeński z Klementyną Sobkowiak (1893-1974), w Maniewie, w powiecie obornickim. Bartolowie mieli synów: Edwarda Edmunda (1914-1996), nadleśniczego; Aleksego (1917-2009), leśniczego; Tadeusza (1924-2006), leśniczego. Odznaczony był, m.in. Medalem Pamiątkowym za Wojnę 1918-1921, Medalem Dziesięciolecia Odzyskanej Niepodległości, Medalem Niepodległości.

9 września 2008 roku w Leszycach na terenie Nadleśnictwa Solec Kujawski została odsłonięta 9 września 2008 roku pamiątkowa tablica poświęcona zamordowanym przez niemieckich faszystów w latach 1939-1945 pracownikom Lasów Państwowych ówczesnych nadleśnictw: Bartodzieje, Bydgoszcz, Jachcie, Leszczycy i Runowo. Na tablicy umieszczono również nazwisko leśniczego Józefa Bartola.

Piotr S. Adamczewski

Bibliografia

- Almanach Leśny. Rocznik personalny administracji Lasów Państwowych według stanu z 1.07.1933 roku, Warszawa 1933.
- Archiwum Państwowe w Bydgoszczy, Okręgowa Komisja Badań Zbrodni Hitlerowskich w Bydgoszczy, sygn. 1079.
- Archiwum rodzinne dr. inż. Romana Bartola (wnuka J. Bartola) z Trzcianki: kopia aktu urodzenia, postanowienie Sądu Grodzkiego w Bydgoszczy z 30.05.1947 o ustalenie daty śmierci J. Bartola, zaświadczenie o przebiegu służby w armii pruskiej w latach 1914-1918 z archiwum wojskowego w Berlinie z 19.04.1932, książeczka wojskowa J. Bartola, korespondencja z Państwowym Zakładem Emerytalnym, notatki A. Bartola z więzienia - wrzesień-październik 1939, świadectwo egzaminu dla leśników z 1925 r., świadectwo Państwowej Komisji Egzaminów Nadzwyczajnych z 1926 r.
- „Dziennik Bydgoski”, nr 26, 2.02.1927.
- Lista pomordowanych leśników Pomorza i Kujaw – ofiar totalitaryzmu hitlerowskiego i stalinowskiego, poz. 8. J. Bartol, w: Z dziejów Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu, Toruń 2010.
- Jankowski J., Swastyka nad Szubinem, Poznań 1961.
- M. Borczyński, Almanach Polskich Leśników Kombatantów, Poznań 1997.
- Pyszczyński E., Akcja Tannenberg w Bydgoszczy, [w:] Z okupacyjnych dziejów Bydgoszczy, Bydgoskie Towarzystwo Naukowe, Prace Wydziału Nauk Humanistycznych, Warszawa-Poznań 1977.



Oskar Vogt (1901 – 1945)

Leśniczy OSKAR VOGT

(1901-1945)¹



oskar Vogt², mój ojciec, był leśniczym w państwowym Leśnictwie Wydry w latach od 1927 do 1944 roku. Zabranym przez władze niemieckie w Wejherowie w lutym 1945 roku, zaginął bez wieści.

Urodził się 23 grudnia 1901 roku w Noworadomsku (dziś: Radomsko) woj. łódzkie jako czwarte, najmłodsze dziecko leśniczego Maksa Vogta i jego żony Emilii z domu Loeffler. Ród Vogtów powoływał się na wieloletnią tradycję w zawodzie leśnika. Wywodził się z krainy Vogtland, położonej w Górnej Saksonii³. Vogtowie byli Niemcami. Legenda rodzinna głosi, że dziadek Oskara był w latach 1850-1870 leśniczym w Szklarskiej Porębie (Oberrscheiberhau) z siedzibą w leśniczówce o nazwie „Zum Hochstein”, położonej przy drodze na górę Wysoki Kamień. Leśniczówki tej dziś już nie ma.

Dopiero mój dziadek Maks spolszczył się, gdy w wędrówce za pracą dotarł na ziemię rdzennie polskie i ożenił się z wcześniej już spolszczoną Emilią, też przecież o obcym nazwisku rodowym. Ich dzieci zostały już wychowane i wykształcone w języku polskim. Karol, starszy o dziesięć lat brat Oskara, zabrany został w czasie I wojny światowej do wojska rosyjskiego, gdzie zginął w rozruchach 1917 roku. Siostry Oskara Zofia (ur. 1895) i Aleksandra (ur. 1898), wyszły za mąż i żyły w Polsce. Zmarły w Wołominie pod Warszawą w latach 60. ubiegłego wieku.

Wiedza Oskara o leśnictwie w znacznej części pochodziła z podpatrywania pracy jego ojca. Nie wiem, co porabiał we wczesnym dzieciństwie, ale zapewne zahaczył o jakąś szkołę podstawową zarówno niemiecką, jak i rosyjską, bowiem porozumiewał się i umiał czytać w obu tych językach. Korzystał później z książek fachowych w tych językach, które miał w swojej, rodzinnie zgromadzonej bibliotece.

DROGA DO WYDER

Z zachowanych dokumentów Oskara Vogta wynika, że na złożoną przez siebie prośbę został przez Dyрекcję Lasów Państwowych w Bydgoszczy przyjęty i skierowany do odbycia praktyki od 1 października 1921 roku w państwowym Nadleśnictwie Bydgoszcz. W innym dokumencie napisano później, że „pełnił służbę” w tym okresie w leśnictwach Biedaczkówka i w Żorkowie, z dobrą opinią i oceną kwalifikacji. Jako szeregowiec ukończył 15 grudnia 1922 roku czteromiesięczny kurs Szkoły Podoficerów Gospodarczych Okręgu Korpusu Nr III w Grodnie „z postępem bardzo dobrym”. W kolejnym dokumencie pisanym odręcznie



Oskar Vogt (stoi trzeci od lewej) ukończył w 1922 roku Kurs Szkoły Podoficerów w Wojsku Polskim z postępem bardzo dobrym. Fot. archiwum Andrzeja Jacka Fogta

z 25 stycznia 1923 nadleśniczy Nadleśnictwa Bydgoszcz prosi Dyрекcję Lasów Państwowych w Bydgoszczy o przyjęcie powracającego z wojska Oskara Vogta nadal w charakterze praktykanta leśnego i skierowanie go do Nadleśnictwa Bydgoszcz, w związku z przyłączeniem do tegoż „Rewiru Zamość, który pozostaje bez jakiejkolwiek ochrony”.

Pismem z 27 października 1923 roku Dyrekcja Lasów Państwowych w Bydgoszczy zawiadamia Oskara Vogta o przyjęciu go na jednoroczny kurs w szkole dla leśniczych państwowych w Margoninie z dniem 5 listopada 1923. W piśmie tym „zwraca się uwagę, że w bieżącym roku szkolnym... uczniowie będą musieli utrzymać się w szkole na własny koszt”. 27 sierpnia 1924 roku. Oskar Vogt otrzymuje świadectwo, że ukończył jedenastomiesięczny kurs Szkoły dla Leśniczych w Margoninie „z postępem dobrym i odbył przepisana jednoroczną praktykę leśną w Nadleśnictwie Bydgoszcz”. W nawiązaniu do tego, 3 września 1924. Oskar Vogt został przyjęty „natychmiast do eksploatacji Lasów Państwowych Nadleśnictwa Bydgoszcz... z uposażeniem XII gr.” na stanowisku pomocnika leśniczego. A po dwóch latach pracy dyrektor Lasów Państwowych w Bydgoszczy przenosi Oskara Vogta „z urzędu z leśnictwa Smolarnia do leśnictwa Wydry w Państwowym Nadleśnictwie Szarłata z zachowaniem dotychczasowego charakteru służbowego i uposażenia... (gwarantując, że) Należne koszty przeniesienia zostaną zwrócone...”. W czerwcu 1927 roku Oskar Vogt złożył egzamin dla leśniczych państwowych z wynikiem ogólnym dobrym, w następstwie czego 28 listopada 1928 dyrektor DLP w Bydgoszczy mianuje go leśniczym Leśnictwa Wydry w Państwowym Nadleśnictwie Szarłata.

Na pierwszym spotkaniu z nadleśniczym w Szarłacie, na początku stycznia 1927 roku, Oskar Vogt otrzymał z nadleśnictwa mapę lasu, klucze do zabudowań leśniczówki oraz wykaz co pilniejszych zadań i wyruszył do Wyder. Zabudowania puste, bez podstawowych sprzętów wyposażenia domowego i gospodarczego, bez niezbędnych zapasów opału, zboża i siana, nie nadawały się do natychmiastowego zamieszkania w warunkach zimowych. Z tym trzeba było poczekać do wiosny. Na razie wynajął sobie pokój w murowanym budynku jednego z najbogatszych gospodarzy w sąsiedniej wsi Wałkowiska i zabrał się do pracy w lesie.

ZIELONE KRÓLESTWO OSKARA

Lasy leśnictwa Wydry rozciągają się na południowo-wschodnim skraju Borów Tucholskich. Rozłożone malowniczo na obszarze około 2 300 ha falistego płaskowyżu, otoczone były wówczas od południa glebami uprawnymi majątku Sławie (dziś całkowicie zalesionymi), od zachodu ziemiami majątku Sierosław, a od północnego-zachodu przechodziły w lasy leśnictwa Skrzyniska, przemianowanego dziś na leśnictwo Zalesie. Granicę wschodnią leśnictwa Wydry wyznaczała szeroka na 4-5 m rzeka Wda (Czarna Woda), płynąca tu wartkim



Uczniowie Państwowej Szkoły dla Leśniczych w Margoninie w latach 1923-1924 roku. Oskar Vogt stoi siódmy od lewej (wysoki).
Fot. archiwum Andrzeja Jacka Fogta

strumieniem wyżłobioną przez siebie od tysięcy lat, wgłębianą na 30-40 m poniżej wspomnianego płaskowyżu doliną, rozległą przeciętnie na 100-150 m. Krajobraz obszaru leśnictwa urozmaicają ukryte głęboko w lesie trzy morenowe jeziora śródleśne, odsyłające nadmiary swych wód uroczą szumiącymi, płytkimi lecz wartkimi strumykami leśnymi do rzeki Wdy.

Po lewym brzegu rzeki Wdy rozciągały się lasy Nadleśnictwa Osie. Obszar leśnictwa Wydry pokryty był głównie lasem sosnowym o dużej różnorodności wiekowej, stosownej do systematycznie prowadzonych wyrębów i zalesień. Szczególnie malownicze były znaczne obszary porostu starych, blisko dwustuletnich sosn. Rosły one w kilkunastometrowych odstępach, wypełnionych obfitym poszyciem z jałowców, leszczyn, jarzębiny i różnych innych krzewów liściastych. Były to zawsze dzikie samosiejki. W podłożu tych widnych, słonecznych oddziałów lasu obficie rosły mchy i wrzosi, kwitły przylaszczki, konwalie i wielobarwne dzikie łąbiny oraz rosły i obficie owocowały czarne jagody, poziomki, maliny, jeżyny oraz różne grzyby, zwłaszcza prawdziwki i kurki, rzadziej kozaki. Były to najbogatsze kwartały lasu i dla ludzi, i dla zwierząt. Lasy sosnowe z młodszych zasadzeń rosły gęściej, stosownie do wieku i miały podłoże i poszycie odpowiednio mniej prześwietlone i obfite. Obok lasów sosnowych w leśnictwie Wydry rosły w zwartych oddziałach kilkudziesięcioletnie dęby i świerki. Brzozy, osiki, akacje, lipy, modrzewie, daglezie i buki rosły w rozproszenu i raczej w przypadkowych miejscach. Nad brzegami jezior i rzek porastały obficie olchy, a blisko z nimi sąsiadowały graby.

LEŚNICZÓWKA WYDRY

Leśniczówka Wydry i jej obiekty gospodarcze pobudowane zostały pod lasem na rozległej polanie, położonej w dolinie w zakolu rzeki Wdy, obok wsi Wałkowska. Najbliższe zabudowania wsi widać było z leśniczówki na wzgórzu za rzeką Wdą, w odległości około 800 m. Murowany dom mieszkalny leśniczówki, postawiony był na wysokim fundamencie z dużych głazów granitu łupanego, podpiwniczony, miał wysoki stromy dach, kryty ciemnoczerwoną cementową dachówką.

Z szerokiego, siedmiometrowego podjazdu od bramy, pięć kamiennych schodów wiodło na niewielki ganek z dwoma ławeczkami po bokach, a stąd grube, dębowe drzwi wprowadzały do dużej sieni. Drzwi wewnętrzne z sieni prowadziły wprost do kancelarii leśniczego, do kuchni, do największego pokoju gościnnego oraz na ukryte w ścianie schody do piwnicy i na piętro. Pozostałe pomieszczenia parteru: dwa dalsze pokoje mieszkalne oraz pokój gospodarczy (łazienka, spiżarnia), rozmieszczone były w amfiladzie, z wejściem przez kuchnię lub pokój gościnny. Drzwi wejściowe do budynku zrobione były z drewna dębowego i zamykane na ciężki, mosiężny klucz. Wszystkie okna parteru zabezpieczone były solidnymi okiennicami, zamykanymi od wewnątrz. Była to mała, podleśna forteca.



Założa Nadleśnictwa Szarłata w Borach Tucholskich w 1931 roku. Siedzą od lewej leśniczowie: Teofil Warczak, Kazimierz Buszek, nadleśniczy Bolesław Osiński, sekretarz Jan Madaler, leśniczy Oktawiusz Czajkowski. Stoją od lewej kasjer Leon Chylewski i leśniczowie: Bolesław Łangowski, Oskar Vogt, Roman Żurawka, Władysław Lubik. Fot. archiwum Andrzeja Jacka Fogta



Leśniczowie z terenu Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu uczestniczący w szkoleniu Przystosobienia Wojskowego Leśników na terenie koszarów woskowych na Pomorzu, około 1938 roku. Leśniczy Oskar Vogt stoi piątą w pierwszym rzędzie pośrodku (ciemniejszy mundur). Czwarły od lewej siedzi dyrektor z Torunia Władysław Chwalibogowski. Fot. archiwum Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu

W kancelarii leśniczego wisiał na ścianie telefon. Była to zgrabnie wymodelowana, elegancko fornierowana skrzynia drewniana wysoka około 50 cm, szeroka 30 cm i tyleż głęboka. Na jej froncie w górnej części umieszczony był dzwonek oraz pantograf podtrzymujący mikrofon, który można było przesuwac w górę lub w dół, stosownie do wzrostu rozmówcy. Z boku skrzyni wystawała korbka oraz ruchome widełki, na których zawieszona była słuchawka. Wnętrze skrzyni wypełniały techniczne zespoły telefonu, a w dolnej części dwa szklane akumulatory. Podniesienie słuchawki telefonu z widełek i zakręcenie korbką, wywoływało łączniczkę w centrali telefonicznej w Osiu, która łączyła rozmówcę z żądanym numerem. Odwieszenie słuchawki i zakręcenie korbką po rozmowie, sygnalizowało centrali zakończenie rozmowy. A donośny głos dzwonka telefonu słycać było w całym domu, bez względu na pozamykane drzwi. To był dopiero zabytek! Pochodził zapewne z lat przed I wojną światową. Działał sprawnie jeszcze w 1944 roku. Nie sądzę jednak, by ktoś zachował go jako pamiątkę. A napowietrzna linia telefoniczna biegła od majątku Spławie, przez las.

Na piętrze budynku był jeden pokój mieszkalny z dwoma oknami, wychodzącymi na rzekę i widoczne za nią na wzgórzu zabudowania wsi Wałkowiska. Boczne drzwi z tego pokoju wiodły do przyległego magazynku na poddaszu. Obok schodów mieściła się pojemna wędzarnia mięs. Pozostała powierzchnia piętra oświetlona tylko jednym oknem, wychodzącym nad gankiem na podwórkę i las, mogła być dowolnie wykorzystana. W kilka lat później Oskar dobudował tu jeszcze jeden pokój, bez pieca, dla przyjmowanych czasami latem gości. Na poziomie drugiego piętra, na poddaszu, znajdował się spichlerz na ziarno zbóż. Wszystkie pomieszczenia mieszkalne budynku ogrzewane były piecami kaflowymi, opalanymi drewnem. Również duża płyta kuchenna, wówczas jeszcze nawet bez fajerek, opalana była drewnem. O ile pamiętam, to deputat leśniczego w roku 1938 wynosił 14 m przestrzennych drewna opałowego w roku, co na ogół wystarczało na pokrycie potrzeb ogrzewania mieszkania i gotowania pokarmu dla mieszkańców i inwentarza w gospodarstwie.

Przed domem rozciągało się podwórkę z bramą i podjazdem pod schody ganku, a przed nim spory ogród warzywny. W kącie podwórka, przylegającego tu do sąsiedniego podwórza zabudowań gospodarczych, umieszczona była studnia wyposażona w ręczną pompę. Było to jedyne źródło wody dla celów domowych i gospodarczych, nie licząc rzeki i strumyka na pobliskiej łące. Podręczną rezerwę wody w kuchni mieściła trzystulitrowa beczka, dopełniana w miarę potrzeby wodą, donoszoną wiadrami z pompy.

Od pozostałych trzech stron dom otoczony był trawnikiem, z rzadka obsadzonym wysokimi drzewami owocowymi. Przy lewym tylnym rogu budynku rósł 30-letni wówczas cis, a obok niego duże krzewy bzu niebieskiego i jaśminu. Od strony przechodzącej obok drogi szerokim, metrowym pasem zasadzony był ży-

wopłot wysokości do półtora metra z krzewu, którego nazwy nie pamiętam, ale który jesienią miał obfite białe miękkie kulki owoców, zwane przez nas – dzieci śnieguliczkami. Całość otoczona była płotem drewnianym.

PRZYJAZD RODZICÓW

Wiosną 1927 roku Oskar sprowadził z Bendusza (koło Myszkowa) do Wyder swoich rodziców. Jego ojciec akurat wtedy przechodził na emeryturę. Rodzice przywieźli ze sobą wiele swoich sprzętów i przedmiotów wyposażenia. Pomogli mu zorganizować gospodarstwo domowe i rolne w nowym miejscu: zakupić krowę, kilka prosiaków, kilka kur, zorganizować pierwsze siewy i zbiory. Leśniczówka Wydry zaczęła na nowo żyć.

Leśniczy Oskar skupiał uwagę przede wszystkim na zadaniach w gospodarce leśnej. Do gospodarstwa rolnego nigdy nie miał serca. Zajmował się nim tylko na tyle, na ile naprawdę musiał. Do robót polowych, siewów, zbiorów, omłotów itp. najmował ze wsi gospodarza z końmi oraz robotników do prac zadaniowych. Często zdawał się na ich doświadczenie i inicjatywę. Działał też według podpowiedzi swoich rodziców oraz zaprzyjaźnionego gospodarza ze wsi. Do codziennej obsługi inwentarza i innych zadań przydomowych najął za kilka złotych wynagrodzenia i wyżywienie, parobka „na przychodne” oraz kobietę „na stałe” do prowadzenia gospodarstwa domowego. O ludzi do pracy było łatwo. Bezrobocie i bieda na wsi „aż piszczwały”.

Młody, wysoki (192 cm) i przystojny leśniczy, na stanowisku państwowym, gwarantującym stałą pensję miesięczną, dysponujący dobrze wyposażonym gospodarstwem rolnym leśniczówki, stanowił łąsy kąsek małżeński dla licznych panien z „dobrych domów” w okolicy. Był z takim zamiarem wielokrotnie zapraszany do różnych domów po wsiach i miasteczkach w okolicy. W rolę swatów angażowali się też jego koledzy leśnicy, którzy uważali, że w leśniczówce musi być pani domu, żona. Lecz Oskar był wybredny, grymasił. Zanim się naprawdę zdecydował ożenić, minęło jeszcze kilka lat. A jak żartobliwie opowiadał, takich bezowocnych wizyt „w zalotach” naliczył szesnaście.

INŻYNIER HOFFMANN I ŚWIATŁO W LEŚNICZÓWCE

Epokowym zdarzeniem w historii leśniczówki Wydry, które wywarło znaczący wpływ na warunki życia, a nawet na późniejsze losy mieszkańców leśniczówki, było spotkanie leśniczego Oskara Vogta z budowniczym Elektrowni w Żurze inż. Alfonsem Hoffmannem, jesienią 1927 roku. Na podstawie Uprawnienia Rządowego z 14 września 1927 roku, podjęte zostały prace nad budową drugiej, po elektrowni z 1923 w Gródku, elektrowni wodnej na rzece Wdzie. Była to wówczas inwestycja o kluczowym znaczeniu dla energetyki Pomorza i budowy portu morskiego w Gdyni. Na podstawie badań geologicznych wybrano pod lokalizację

zapory wodnej miejsce, w którym dolina rzeki była najwęższa, w odległości około 800 m od leśniczówki Wydry.

W toku realizacji zadań leśnych Oskar nieraz spotykał się z inż. Alfonsem Hoffmannem, który kierował projektem, a potem realizacją całego zadania inwestycyjnego. Obaj panowie przypadli sobie do gustu, zaprzyjaźnili się, choć stosowny dystans był na zawsze zachowany. Ojciec nie zwracał się nigdy inaczej, niż per „panie inżynierze”. Zaczęli razem spędzać czas również pozasłużbowy. Ojciec wspominał mi, jak to oprowadzał inżyniera Hoffmanna po różnych ciekawszych obszarach leśnictwa Wydry, jak zimą 1927 roku polowali razem na kaczki nad zatopionymi potem brzegami Wdy. W spotkaniach tych rozmowa schodziła często ze spraw służbowych na różne inne tematy życia codziennego. W toku którejś z tych rozmów inż. Hoffmann napomknął, że w obecnym miejscu swego zakwaterowania służbowego nie ma wygodnych warunków do pracy i wypoczynku. Oskar się nie zastanawiał, w swoich decyzjach często był bezpośredni, żywiołowy, impulsywny. Zaprosił inżyniera do zamieszkania w leśniczówce. Miejsca jest dość, opału na zimę nie zabraknie, a wyżywienie i obsługa też się znajdzie. O zapłacie oczywiście nie ma mowy. Nie będzie to wynajem. Leśniczy przecież może przyjmować gości.

Inżynier Hoffmann propozycję Oskara przyjął bez większego wahania. Zima 1927/1928 roku była ostra. A budynek leśniczówki murowany, ciepły, pokój wygodny i blisko do miejsca realizowanej budowy. Zamieszkał w dużym pokoju ogrzewanym piecem kaflowym na pierwszym piętrze leśniczówki, z dwoma oknami, wychodzącymi na rzekę i budowaną za nią elektrownię. Inżynier mieszkał i pracował w leśniczówce od późnej jesieni 1927 roku do wiosny 1929 roku, dopóki nie otrzymał zakwaterowania w budowanym właśnie pensjonacie elektrowni. Zaprzyjaźniony jednak już z mieszkańcami leśniczówki, często do niej zaglądał. Chyba w rewanżu za gościnę przy świecach i lampach naftowych w długie jesienne i zimowe wieczory, inż. Hoffmann postanowił leśniczówkę Wydry zelektryfikować! Wystąpił sam z kosztorysem ofertowym do Nadleśnictwa Szarłata, ale otrzymał stamtąd odpowiedź odmowną. Nadleśnictwo nie miało środków na taki luksus. Zresztą samo tonęło w nocnych ciemnościach. Inne leśniczówki na całym Pomorzu też nie miały elektrycznego światła i Wydry, choć są tak blisko budowanej elektrowni - też go mieć nie muszą! Oburzył się Hoffmann na taką ciemnotę argumentów i postanowił, że w takim razie sfinansuje zelektryfikowanie leśniczówki Wydry ze środków realizowanej inwestycji. Jak postanowił, tak zrobił. Sam wykonał projekt techniczny linii doprowadzającej energię od elektrowni oraz instalacji licznika i sieci elektrycznej w obiektach leśniczówki. Światło otrzymały wszystkie pomieszczenia parteru, piętra i piwnicy budynku mieszkalnego, wszystkie pomieszczenia budynku dla inwentarza oraz punkty świetlne nad gankiem na podwórku przed domem mieszkalnym i przed budynkiem inwentarza w podwórzu gospodarczym. W każdym pomieszczeniu zainstalowany był wyłącznik, punkt świetlny

i jedno gniazdko wtykowe dla dodatkowego odbiornika prądu. Już latem 1929 roku stanęły słupy linii elektrycznej w polu, jesienią zainstalowano przewody linii doprowadzającej i sieci odbioru prądu, a z chwilą uruchomienia pierwszej turbiny Elektrowni Żur, w dniu 22 grudnia 1929 roku, światła elektryczne rozświetliły też zabudowania leśniczówki Wydry! To dopiero były Świąta! Była to wówczas pierwsza i jedyna na Pomorzu, a być może nawet w całej Polsce, leśniczówka oświetlona światłem elektrycznym. Nie dziw zatem, że osiągnięcia tego zazdrościli Oskarowi wszyscy jego koledzy leśnicy. I zapewne nie tylko oni.

Gdy tylko na wiosnę 1928 roku na wzgórzu za rzeką, naprzeciwko leśniczówki zaczął się ruch wokół budowy elektrowni, matka Oskara - Emilia Vogtowa natychmiast wyczuła szansę. Z pobliskiego majątku w Spławiu zakupiła sześć mlecznych krów, kilka sporych już prosiąt i znaczne stadko kur niosek. Zatrudniła sobie do tego stosowne grono służby i produkcja żywności ruszyła całą parą. Do wyposażenia technicznego gospodarstwa zakupiła też dwie poręczne maszyny: centryfugę do odwirowania śmietany z mleka oraz masielnicę do ubijania masła.

PRZYJAZD HALUSI

W lipcu 1929 roku z wizytą do Wyder zawitała Joanna Walterowa. Wraciała z wakacji nad morzem z dziećmi: Haliną (1912-2006), Janem (1914-1985) i bliźniakami Tadeuszem (1924-1944) i Zofią (1924-1993). Adolf (1874-1940) i Joanna (1892-1975) Walterowie poznali Maksa i Emilię Vogtów w 1921 roku, gdy Maks podjął pracę leśnika w lasach sporego prywatnego majątku ziemskiego w Będuszu koło Myszkowa, którego administratorem był wówczas właśnie Adolf Walter. Gości przyjęto we Wydrach serdecznie, odpowiednio zakwaterowano. Starsi państwo zabawiali się wymianą nowin i opieką nad pięcioletnimi bliźniakami, Oskar zaś oprowadzał Halusię i Jasia po okolicy, prezentując im uroki lasu, skrytych w nim jeziorzek i leśnych strumyków, dopiero co spiętrzonego Zalewu Żurskiego, zapory, elektrowni w budowie. A ponieważ były to żywioły jego życia, umiał opowiadać o nich długo i barwnie. Sam się sobie dziwił, że tak bez wewnętrznego oporu, tyle czasu poświęcał tym młodym gościom. Ale znalazł w nich autentycznie zaangażowanych słuchaczy. Zwłaszcza Halusia z zapałem interesowała się każdym szczegółem lasu i życia w leśniczówce. Bawiło ją też podglądanie życia licznych zwierząt leśnych. Szczególnie urocza była rodzinka saren, które każdego wieczoru, w promieniach zachodzącego słońca wychodziły na popas na łąkę pod lasem i do wodopoju z przepływającego tam strumyka - i z odległości trzystu metrów pozwalały się obserwować z ganku leśniczówki. Był to widok wspaniały, zwłaszcza przez lornetkę. Pewnego dnia, po powrocie z kolejnej wycieczki leśnej, zachwyconej Halusi wyrwało się: „Mamo, jak tu pięknie, chciałabym tu mieszkać!”. A Oskarowi w tym momencie serce omal z piersi nie wyskoczyło. Ta mała, inteligentna, żywiołowa i wścibska istotka mogłaby

zostać jego żoną? Teraz ona ma 17 lat, kończy za chwilę ostatni rok szkolny, robi maturę. Ale za rok...

Wprawdzie Oskar kończył 28 lat, ale przecież jego ojciec był starszy od matki o kilkanaście lat. Podobnie jest w rodzinie Walterów. Takie wówczas były zwyczaje. Podobne rozważania wieczorami do poduszki prowadziła też Halusia. Wpierw zakochała się w Wydrach, w tym uroczym zakątku leśnym. Dopiero potem przyszło jej na myśl, że ten nieco wprawdzie starszy, ale miły, przystojny i towarzyski leśniczy mógłby zostać partnerem w jej życiu. Wizja zamieszkania w tym uroczym zakątku nabierała coraz realniejszych kształtów. Gdy po dwóch tygodniach pobytu we Wydrach, goście powracali do Warszawy, pożegnanie kryło echa wzajemnych sentymentów.

ŚLUB I BOCIANY

Latem 1931 roku Oskar wybrał się do Warszawy, oświadczył się o rękę Halusi i został przyjęty. Jak sam potem to wydarzenie komentował, była to jego siedemnasta okazja matrymonialna, tym razem udana i szczęśliwa. Odtąd Oskar liczbę „17” uznawał za pomyślną dla siebie tak dalece, że na każde polowanie brał ze sobą do ładownicy 17 sztuk nabojęw.

Ślub Oskara z Haliną Walterówną⁴ odbył się 20 października 1931 roku w Kościele Ewangelicko-Augsburskim przy placu Małachowskiego w Warszawie. Na skromnym przyjęciu weselnym bawili się rodzice i brat Halusi - Jasio, matka i siostry Oskara z mężami oraz liczne grono kuzynek i kuzynów Halusi, też już z małżonkami. A w końcu października 1931 roku Oskar przywiózł swoje Szczęście pociągiem, a potem wynajętą bryczką z Osia, przez Spławie do Wyder. Potem, w marcu 1932 roku Oskar zbudował na dachu budynku dla inwentarza drewnianą platformę o wymiarach 150 na 150 cm. Przelatujące wtedy wiosną bociany przyjęły ofertę i założyły gniazdo. Pobliskie łąki i strumyki dostarczały pokarmu w bród. Bociany zagnieździły się tu trwale, co najmniej do 1945 roku. Zgodnie z oczekiwaniami Oskara, 10 września 1932 roku urodziłem się ja, Andrzej Jacek Vogt. Gdy ktoś nie wierzy, że to bociany przynoszą dzieci, to ja jestem na to dowodem niepodważalnym!

Halusia i Oskar zostali wtedy moimi rodzicami, i odtąd w tych wspomnieniach będę nazywał ich Mamą i Tatą (Matką i Ojcem). W 1934 roku urodziła się moja siostra Hania. Urodziła się niestety z jakąś wadą organiczną, z którą ówczesna medycyna nie potrafiła sobie poradzić i zmarła po kilku miesiącach. Została pochowana obok dziadka Maksa Vogta, na cmentarzu Bohm'ów w Spławiu⁵. W 1936 roku urodziła się druga moja siostra Izabela. Tym razem szczęśliwie całkiem zdrowa. Każde dziecko wkrótce po urodzeniu rodzice zawozili do dziadków Walterów, skąd podawane było do chrztu w Kościele Ewangelicko-Augsburskim przy Placu Małachowskiego w Warszawie. W takim gronie rodzinnym przeżyliśmy z rodzicami lata dzieciństwa do końca stycznia 1945 roku.

PANI NA WYDRACH

Młodą panią domu powitało we Wydrach elektryczne światło oraz radio, zbudowane i zainstalowane wcześniej przez jej brata Jasia⁶ na zamówienie jej przyszłego męża. Radio było czterolampowe, skonstruowane według najnowszych wzorów, z głośnikiem osadzonym w osobno stojącym pudle rezonansowym z dykty, o wymiarach 80 na 80 na 40 cm. Antena, wyprowadzona wysoko nad dach budynku, uziemiona odgromowo na przełączniku, odbierała radiostację „Warszawa” bez zakłóceń, pomimo że leśniczówka zlokalizowana jest w głębokiej dolinie. „Cuda” te nie wywarły na Halusi szczególnego wrażenia. Wiedziała już o nich wcześniej, a poza tym miała je też w domu w Warszawie.

Elektryczność w domu i gospodarstwie zapewniała jej jednak taki standard życia, do jakiego już przywykła. Można było pracować i czytać w długie zimowe wieczory. Wkrótce obok radia pojawiła się w gospodarstwie domowym kuchenska elektryczna, a potem też elektryczne żelazko. W kilka lat później moja Mama zauważyła, że w oświetlonej zimą oborze krowa daje więcej mleka, a kury znoszą więcej jajek. Odtąd, gdy klimat nie pozwalał wyprowadzać zwierząt na powietrze, pomieszczenia budynku dla inwentarza pozostawały całymi dniami elektrycznie oświetlone. Prąd nie kosztował znowu tak drogo. Wśród różnych sprzętów, Mama odkryła w domu pedałem napędzaną maszynę do szycia firmy „Singer”, pozostawioną tu przez babcię Emilię Vogtową. W zgrabnych rękach naszej Mamy, maszyna ta przyniosła rodzinie niezmierzone korzyści. Potem ubranka dla dzieci, a też wiele rzeczy dla siebie i ojca, Mama szyła sama, korzystając z „Wykrojów i wzorów” sprzedawanych przy różnych czasopismach kobiecych, lub wręcz jako samodzielne wydawnictwa.

Społeczność leśnego i wiejskiego otoczenia leśniczówki przyjęła młodą panią na Wydrach z dużym sceptycyzmem. Ludzie uważali, że żoną leśniczego powinna zostać dziewczyna doświadczona w gospodarzeniu i życiu na wsi. Niedwuznacznie dawali Ojcu do zrozumienia, że ich zdaniem ta delikatna wielkomiejska paniusia długo tu nie wytrzyma i odejdzie. Nie doczekali się jednak spełnienia swoich prorocत्व. Z coraz większym podziwem obserwowali, jak to kruche, drobne miejskie dziewczątko ze stanowczym uporem pokonuje kolejne trudności i przy pomocy dobranej służby opanowuje arkana wiedzy o tajnikach, obyczajach i tradycjach wiejskiego życia i gospodarki. Gospodarstwo rolne i hodowlane przy leśniczówce, Mama pozostawiła na dotychczasowych warunkach działania, pod ogólnym nadzorem Ojca. Hodowlę inwentarza obsługiwał najęty na przychodne ze wsi parobek. On też rąbał i donosił drewno na opał i uzupełniał zapas wody w stągwi w kuchni.

Uprawę ziemi, zasiewy i sadzenia, koszenie, zbiory i omłoty organizował Ojcu zaprzyjaźniony rolnik ze wsi Wałkowiska, swoim koniem, wozem i narzędziami, oczywiście za odpowiednim umownym wynagrodzeniem. Stosownie do

potrzeby gospodarz ten angażował do pracy w polu pracowników doraźnych. Uprawy rolne były zresztą proste, obliczone tylko na wyżywienie mieszkańców i inwentarza leśniczówki. Uprawiano żyto i ziemniaki, a na paszę brukiew lub buraki pastewne, jęczmień, łubin i seradełę.

OGRÓD MAMY

Mamusia zawsze z zapałem zajmowała się utrzymaniem domu, opieką i wychowaniem dzieci, ubraniem i wyżywieniem rodziny, zwłaszcza pieczeniem smacznego chleba i różnych ciast oraz uprawą i zbiorami ogródka warzywnego. W ogródku warzywnym, wielkości siedmiu arów, Mama siała wszelkie warzywa, które mogły być przydatne w kuchni domowej. Wysokiej jakości nasiona tych roślin zamawiała z corocznie przysyłanego jej katalogu wysyłkowego dużej firmy nasiennictwa ogrodniczego w Toruniu. Z tych nasion, przysyłanych w paczkach za zaliczeniem pocztowym, Mama uprawiała: marchewkę, pietruszkę, koperek, szpinak, ogórki, kapustę białą i czerwoną, kalarepkę, kalafior, buraczki czerwone, fasolkę szparagową, groch, fasolę strączkową, cebulę, ale też pomidory, kabaczki i dynie. Szczaw dziko rosnący zbierało się po prostu na łące, a wspaniały chrzan rósł od niepamiętnych czasów w kącie pod płotem warzywniaka. Ilości zbiorów starczały też na zapasy zimowe. Corocznie na zimę pozostawiało się w ogródku kilka główek kapusty, które spod śniegu wygrzebywały sobie leśne zajęce, a czasem też sarny, choć dla nich pozostawiano zawsze kopki siana na łące.

W ten sam sposób Mama sprowadziła sobie z tegoż Torunia sadzonki krzewów agrestu do ogrodu owocowego oraz bulwy georginii, tzw. dalii, które zasadziła przed frontem domu. W osobnym ogrodzie owocowym niezłe plony przynosiły stare, wysokopienne dwa drzewa wiśni, kilka śliw i grusza. Z zakupionych później sadzonek niskopiennych owocowały: czereśnia i jabłoni zimowa.

Do pomocy w tych pracach Mama zatrudniała zwykle kobiety z sąsiedniej wsi na stałe, to znaczy z zamieszkaniem lub na przychodne, zależnie od potrzeby. Kobieta ta pracowała według wskazań i pod nadzorem Mamy. Mama miała przy tym jednak znacznie więcej czasu dla nas, dzieci. Regularnie chodziliśmy z Mamą do lasu nad pobliskie jeziorko lub na słoneczne polany, na poziomki, na jagody, na maliny i jeżyny, wreszcie na grzyby. W ciepłe letnie dni chodziliśmy też często nad Zalew Żurski, na zaporę lub do kąpieliska przy przystani. A jesienią, zimą i wiosną – po prostu na spacerach lub na sanki.

W dni wolne od pracy w wyprawach tych zwykle towarzyszył nam Ojciec, a w sezonie letniskowym zdarzało się, że dołączali do nas nasi letnicy, korzystając z nas jako przewodników po okolicy. Dopóki ja, a potem jeszcze moja siostra Iza, byliśmy mali, wyprawy te wymagały od Mamy lub innych, towarzyszących nam osób, dość ciężkiego pchania dzieciennego wózka po trudno przejezdnych, często piaszczystych drogach leśnych.

LAS NA PIERWSZYM MIEJSCU

Wspominałem o tym, że oddech od wszystkich trosk dnia codziennego Ojciec zawsze, gdy tylko mógł, znajdował w lesie. Do pracy w lesie szedł nie dlatego, że musiał, ale dlatego, że chciał, że go tam ciągnęło. Tam nie liczył godzin pracy. Często wracał do domu dopiero późnym wieczorem, zdarzało się, że i po ciemku, bo coś tam go zatrzymało w lesie z dala od domu. Nie znaczyło to bynajmniej, że nie kochał żony i dzieci. Kochał! I to bardzo. Ale las był zawsze na pierwszym miejscu. Miał tam zapewne też różne problemy, techniczne i ludzkie, ale były one tylko przedmiotem większego lub mniejszego jego zawodowego zaangażowania.

Do pracy Ojciec chodził zawsze w służbowym mundurze, z plecakiem na jedzenie, picie i różne przybory oraz z peleryną, która miała go chronić przed opadami atmosferycznymi. Miała, bo różnie to bywało. Pomimo, że Mama przynajmniej raz na tydzień impregnowała ją w jakimś cudownym impregnacie, większy deszcz, lub dłuższa mżawka, zawsze jakoś tą pelerynę przesiąkły. Zależnie od temperatury zewnętrznej i pogody, Ojciec wkładał pod mundur cieplejszą lub lżejszą bieliznę, a tylko zimą, przy dużym mrozie, wkładał na mundur płaszcz. Był człowiekiem zdrowym. Bardzo rzadko zdarzało się, że się gdzieś przeziębził. A jeżeli, to raczej z przegrzania, niż z przechłodzenia ciała.

Jedyną rzeczą, na którą Ojciec narzekał w związku z pracą w lesie, to były buty. A właściwie brak na rynku wówczas takich butów, które by nie przemakały w czasie całodziennego chodzenia po mokrej trawie, mchu lub śniegu. Poza wyjątkami suszy, szczęśliwie dla lasu zdarzającej się tam stosunkowo rzadko, Ojciec wracał na ogół po dniu pracy do domu z przemoczonymi nogami. Nie pomagało żadne natłuszczanie butów łojem, olejem lub rozgrzaną parafiną.

LEŚNE PRACE

Przedsiębiorstwem, czyli jednostką gospodarczą Lasów Państwowych, było wówczas nadleśnictwo. Tam opracowywane były plany gospodarcze i finansowe Lasów na kolejny rok gospodarczy, liczony chyba od 1 listopada do 31 października następnego roku. Tam przyjmowano zamówienia, wystawiano asygnaty na wywóz drewna z lasu i fakturowano sprzedaż. Tam też wypłacano pieniądze za prace wykonywane w lesie i na wynagrodzenia leśników. Leśniczy był przede wszystkim wykonawcą wycinka planu tego przedsiębiorstwa dla leśnictwa, chociaż zgłaszał do każdego planu rocznego swoje uwagi i wnioski oraz sygnalizował ograniczenia co do możliwości wyrębu i pozyskania planowanych ilości drewna i potrzebnych mu środków do realizacji wyznaczonych zadań.

Trzeba też zauważyć małą sprawność ówczesnych narzędzi pracy w gospodarce leśnej. Były to - do cięcia i rozdrabniania drewna: siekiera ręczna, piła taśmowa do przecinania grubych pni pociągana na przemian z dwóch końców przez dwóch robotników, piła ręczna na pałąku do odcinania gałęzi powalonych drzew

oraz podcinania i rozcinania cieńszych pni drzew, obsługiwana przez jednego robotnika, klin metalowy lub drewniany, gdy metalowego brakło, do rozłupywania pni drzew na szczapy. Do prac ziemnych służyły: łopata, kilof oraz kilof szpaltowy z szerokim ostrzem do podkopywania i odsuwania warstwy ściółki leśnej, kilof - kostur do wytłaczania gniazd sadzonek drzew oraz pazurki metalowe do prac pielęgnacyjnych w szkółkach i grabie metalowe. W transporcie leśnym używany był koń i wóz (wynajęty, bo leśnictwo własnego nie posiadało), ręcznie ciągniony wózek na czterech kołach i płachty brezentowe do ręcznego przenoszenia lub przeciągania po ziemi materiałów, odpadów, sadzonek itp. Takie środki pracy ograniczały wówczas możliwą eksploatację zasobów leśnych w roku gospodarczym. Może to i dobrze, bo mimo różnych zakusów na drewno, lasy Borów Tucholskich zachowały jednak do 1947 roku swój pierwotny charakter. Również przybory do ostrzenia narzędzi były prymitywne. Praktycznie każdy robotnik ostrzył sobie swoje narzędzia sam, a o narzędzia wspólne dbał przodownik - brygadzysta.

Zadania eksploatacyjne w gospodarce leśnej pozostały chyba dotąd bez zmian. Były to zręby całkowite starych drzewostanów, przecinki selekcyjne w zagajnikach i lasach młodszych. Drewno pozyskiwane z nich, po okorowaniu, przeznaczane było wówczas na tzw. kopalniaki, na papierówkę (cięte na długość 1m), oraz pozostałe drewno, już tu nie korowane, na różne drągi, sztachety do płotów lub wręcz na opał. Dalsze zadania to usuwanie poszycia z obszarów zrębów całkowitych, przygotowanie terenu dla nowych nasadzeń, sadzenie i pielęgnacja upraw leśnych, przecinanie i czyszczenie ze ściółki leśnej przydrożnych pasów przeciwpożarowych, utrzymywanie przejezdności dróg i przesiek leśnych, na przykład linii między oddziałami lasu, naprawianie uszkodzonych dróg, wycinanie samosiejek, wyłapywanie i niszczenie szkodników leśnych.

Leśnictwo Wydry miało nawet dość sporą szkółkę leśną, usytuowaną na płaskowyżu w pobliżu leśniczówki, na terenie piaszczystym o podłożu z gliny, a zatem zachowującym dość długo wilgotność gleby, a przy tym dobrze nasłonecznionym. Nie prowadzono tam zasiewów. Jednoroczne siewki były tu przywożone i „pikowane” do gleby na okres dwóch lat. Dopiero wtedy służyły do zakładania nowych upraw leśnych.

Za niewielkie pieniądze leśniczy sprzedawał na kwity, wystawiane w imieniu nadleśnictwa, prawo do zbierania w lesie tzw. suszu. Było to drewno opałowe z suchych gałęzi i szyszek, odpadłych z drzew. W ramach kwitu wolno było też na wykupionym obszarze obłamywać z drzew suche gałęzie, które jeszcze same nie odpadły. Nie wolno tylko było używać przy tym siekiery! Kwity na susz miały olbrzymie powodzenie w sąsiednich wioskach. Ludzie przychodzili po nie przez cały sezon wiosenno-letnio-jesienny. Ponieważ leśniczy nie mógł przez cały czas tylko czekać w domu na nabywców suszu, do wystawiania tych kwitów, z numerowanego bloczka i według ustalonego przez męża planu, upoważniona została



Oskar i Halina Vogtowie.
Fot. archiwum Andrzeja Jacka Fogta



Leśniczy Oskar Vogt z żoną Haliną i synem Jackiem Andrzejem (w wózku) w 1933 roku.
Fot. archiwum Andrzeja Jacka Fogta



Uczestnicy kursu żywicowania na terenie Leśnictwa Nowa rzeka w Nadleśnictwie Osie, w 1937 roku. Leśniczy Oskar Vogt w pozycji półleżącej, pierwszy od lewej. Fot. archiwum Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu

też żona leśniczego. Zebrany susz opałowy ludzie wywozili z lasu furmankami, na ręcznych wózkach, lub wynosili w płachtach na własnych plecach. Był to opał tani, lekki, łatwo dostępny, a lasy były wysprzątane! Zwyczaj ten zanikł podobno dopiero wtedy, gdy do kuchni i pieców wiejskich dotarł tani węgiel. Podobne kwity wykupywali też rolnicy jako zezwolenia na wypas bydła na wyznaczonym obszarze leśnym.

Do wyłapywania szkodników leśnych kopało się wiosną w lesie długie, wąskie i dość głębokie rowy o stromych ścianach. Szkodliwe dla lasu „robaki i liszki” itp., które tam wpadły, wybierano ręcznie do worków. Worki te przynoszono do leśniczówki i tu były sparzane (polewane) wrzątkiem, po czym przeznaczane były na karmę dla drobiu i świń.

KANCELARIA OJCA

Biurowym stanowiskiem pracy Ojca była kancelaria w leśniczówce. Był to pokój o wymiarach trzy na trzy metry z jednym oknem. Przy oknie stało duże biurko, a poza tym fotel i trzy krzesła dla interesantów. Na ścianach, za i przed biurkiem, stały zwykłe regały pod sufit, a na nich książki, papiery i segregatory z różnymi dokumentami, w tym archiwum. W biurku była skrytka na pieniądze. Nie było kasy pancernej, a w leśniczówce zawsze były jakieś pieniądze, ze sprzedaży „kwitów”, na wypłatę dla robotników itp.

Za drzwiami kancelarii stał piec kaflowy opalany drewnem, a po drugiej stronie drzwi zawieszony był na ścianie telefon. Wyposażenie stanowiska pracy Ojca stanowiły różne formularze druków raportów z lasu, kałamarz atramentu, pióro - dawniej jeszcze gęsie, ale w latach 1930-tych już ze stalówką, suszka z bibułą do atramentu, ołówki kopiowy do pisania dokumentów przez kalkę. Był to ołówek którego grafit nie pozwalał wytrzeć zapisu gumką, a po zwilżeniu papieru zapis zabarwiał się na niebiesko. Było też liczydło służące do dodawania i odejmowania liczb. Mnożenie i dzielenie liczyło się na papierku odręcznie, jak mówiono, na piechotę. Pamiętam też tak zwany „wałek” z nawiniętą nań tablicą arytmetyczną do obliczania ilości metrów sześciennych drewna dla wymierzonej średnicy i długości zarejestrowanego kłosa drewna, okorowanego już i przyciętego na długość.

Były też w kancelarii leśniczego przyrządy przydatne do pracy w lesie, tak zwana klupa do mierzenia średnicy kłosa drewna, taśma do pomiaru długości, numerator, czyli tarczowy młotek z umieszczonymi na obwodzie cyframi, którego uderzeniem wytłaczało się kolejny numer ewidencyjny na czole każdego pnia ściętego drzewa przeznaczonego do wywozu z lasu. I wreszcie bloczek arkuszy ewidencji pomierzonych kłoców drewna i zestawionych „sągów”, czyli stosów drewna opałowego. Sągi te też były numerowane „numeratorem”. Numery kłoców dłużyc i sągów drewna opałowego służyły do ewidencji zapasów i identyfikacji drewna w dokumentach wywozu drewna z lasu.

PO POLSKU I PO NIEMIECKU

Do pracy w lesie Ojciec zatrudniał stale dwie brygady mężczyzn, liczące od sześciu do dziesięciu osób, zależnie od potrzeby. Przodownikiem brygady robotników ze wsi Sierosław był Polak nazwiskiem Nadolny, a brygady robotników ze wsi Wałkowiska był Niemiec Karl Rettig. Była to struktura organizacyjna zastana przez Ojca w 1927 roku, której nie uważał za konieczne zmieniać.

Do sadzenia i pielęgnowania drzewek w szkółce, a potem na nowych nasadzeniach w lesie, Ojciec najmował doraźnie grupę kilkunastu kobiet, które już same wybierały spośród siebie brygadzystkę-przodowniczkę. W doborze ludzi do pracy Ojciec kierował się oceną ich sprawności fizycznej i zaradności. Nigdy nie zwracał uwagi na narodowość osoby przyjmowanej do pracy. Miał zwyczaj rozmawiania w pracy z Polakiem - po polsku i z Niemcem - po niemiecku. I chociaż kilkakrotnie zwierzchnicy lub nawet koledzy leśnicy, zwracali mu uwagę na niestosowność, ich zdaniem, takiego postępowania w polskim państwowym przedsiębiorstwie, Ojciec wykręcał się żartem, że nie poczuwa się do odpowiedzialności za skład narodowościowy pomorskiej wsi, nie chce jednak wzniesić konfliktów ograniczaniem dostępu do pracy ze względu na narodowość. A w pracy rozmawia z robotnikami w ich języku bo chce, by go dobrze zrozumieli.

Pomimo różnych przecież kłopotów – jak to w życiu – Ojciec w swoich postawach i zachowaniach był na ogół pogodny i życzliwie ustosunkowany do ludzi w otoczeniu. Był też na ogół lubiany. Podobno jeszcze dziś, w Wałkowiskach czy w Sierosławiu, spotkać można ludzi, którzy go z sentymentem wspominają. Gdyby nie to nazwisko, ten język który, potem, w pierwszych latach po drugiej wojnie stał się sam wrogiem, i gdyby nie to wyznanie, które stało na przeszkodzie prostej parafialnej integracji moich rodziców ze środowiskiem polskim (bo z miejscowym, ewangelickim niemieckim sami nie chcieli się integrować, wożąc swoje dzieci do chrztu demonstracyjnie aż do Warszawy), może łatwiej zostaliby zaliczeni do „swoich”. A tak, ta swojskość była zawsze nieco grzecznościowa.

WSZĘDZIE DALEKO

Oddalenie leśniczówki Wydry od innych leśniczówek Nadleśnictwa Szarlata, rozdzielenie ich spiętrzonymi wodami Zalewu Żurskiego, a do tego małe dzieci, wszystko to przy ówczesnych środkach komunikacji nie sprzyjało nawiązywaniu bliższych przyjaźni naszej rodziny z rodzinami innych leśników. Panowie leśnicy spotykali się przy służbowych okazjach w nadleśnictwie oraz na polowaniach, jednak ich rodziny pozostawały sobie obce. Bliższa przyjaźń nawiązała się tylko między nami a Otokarem Czajkowskim, leśniczym sąsiedniego Leśnictwa Skrzyniska (dziś nazywa się ono Zalesie) i jego żoną Klarą. Byli niestety bezdzietni. W 1936 roku Klara Czajkowska została nawet chrzestną matką

mojej siostry Izabeli. Ojciec z Czajkowskim zastępowali się też zwykle w czasie urlopów. Często bywaliśmy wzajemnie u siebie.

W pierwszych latach swojej pracy w Wydrach, Ojciec poruszał się na piechotę: do pracy w lesie, do wsi po ludzi do pracy, do sklepu (do Osia było pięć km), wreszcie do siedziby nadleśnictwa. Do Szarłaty było drogą około 15 km, czyli trzy godziny ostrego marszu. Po roku 1930 już regularnie, kilka razy dziennie kursował autobus po szosie Osie-Świecie, z przystankiem na krzyżówce dojazdu do Elektrowni Żur, którym można było podjechać do Osia. Gdy się dobrze trafiło w rozkład jazdy PKP, to można było też pojechać sześć kilometrów pociągiem z Osia do Tlenia. A nie licząc różnych wezwań służbowych, Ojciec przecież musiał być w nadleśnictwie kilka razy w miesiącu: z raportami z prac w lesie, by rozliczyć sprzedaż „kwitów”, po pieniądze dla robotników, po własną wreszcie pensję. Później, chyba w 1935 roku, Ojciec dorobił się roweru, który znakomicie ułatwił mu komunikację i kontakty z otoczeniem. Po lesie nadal chodził pieszo. Rower brał jedynie wtedy, gdy zmierzał wyłącznie do jednego określonego miejsca pracy w lesie. Zwykle jednak nadzór nad pracą ludzi w lesie łączył z wizytowaniem „na przełaj” samego lasu i wówczas rower mu przeszkadzał, zmuszał bowiem do powrotu do tego miejsca, w którym był pozostawiony.

O POLOWANIU W „SWOIM” LESIE

W latach 1930-tych nie istniało coś takiego, jak późniejsze koła łowieckie. A przynajmniej w naszym lesie. Gospodarzem zwierzyny leśnej, tak jak samego lasu, było tylko nadleśnictwo i w jego imieniu leśniczy na „swoim” terenie. Nie było też zwyczaju dożywiania zwierząt leśnych. Żyły one i karmiły się w lesie dosłownie dziko. Nadleśnictwo i leśnicy interweniowali tylko, gdy zwierzęta leśne robiły szkody w uprawach rolnych sąsiednich wsi. Zdarzało się to głównie dzikom, którym zawieszano nad polami „fladry”, czyli szmaty na linach, których kołysanie się na wietrze odstraszało zwierzęta. Czasem zdarzał się też interwencyjny odstrzał.

Raz w roku, zimą, każde leśnictwo organizowało polowanie z nagonką. Było to uroczyste, zwykle całodzienne spotkanie grona leśników rodzimego nadleśnictwa i gości - myśliwych, zaproszonych przez nadleśniczego. Leśniczy, gospodarz lasu, wyznaczał obszar łowny polowania, stanowiska myśliwskie i organizował nagonkę z różnymi kołatkami. Miał też wpływ na zaproszenie niektórych znajomych mu myśliwych. Po polowaniu następował jakiś „podział łowu” i obfity posiłek mieniony z alkoholem w leśniczówce, nieraz do późna w noc. Myśliwi z dalszych stron jeździli się na polowanie bryczkami i trzeba było też nakarmić woźniców i konie.

Ojciec organizował coroczne polowania w „swoim” lesie i brał też udział w polowaniach w innych leśnictwach. Chyba dwukrotnie był zaproszony na polowanie na zające na polach majątku Spławie. W polowaniach zawsze Ojcu towarzyszył wierny wyżeł zwany Rex, bardzo sprawny w „wystawianiu” i aportowaniu

zwierzyny. Dzielnie spisywał się też na polowaniach na ptactwo wodne. Obok udziałów w łowach na polowaniach, Ojcu z tytułu pracy leśnika przysługiwał określony limit odstrzału zwierzyny w „swoim” lesie na własne potrzeby. Nie wiem, od czego zależał rodzaj i ilość zwierzyny w przydziale, który wyznaczał nadleśniczy, ale zawsze był to co najmniej jakiś zając na święta. Jadłem też w tamtych czasach mięso z sarny i z dzika. Skórę upolowanych zwierząt Ojciec zawsze oprawiał, a potem garbował sam. Były potem z tego kołnierze, futerka dla dzieci, dywaniki koło łóżeczek, dekoracje, itp. akcesoria.

Wiosenną pasją Ojca było też tropienie i podglądanie zwierzyny sposobiącej się do nowego życia: dopiero co urodzonych zajączków, lisków, sarenek oraz zbieranie parostków, zrzuconych przez rogacze. Gdy gdzieś już znalazł jeden taki róg, to nie dojadł i nie dospał spokojnie, dopóki nie znalazł drugiego. Ściany pomieszczeń leśniczówki obwieszone były trofeami, mocowanymi na drewnianych tarczach. Pamiętam też raz, gdy miałem już sześć lat, Ojciec zrobił mi wczesną pobudkę i zaprowadził mnie na pobliską górkę w lesie, gdzie po krótkiej chwili oczekiwania, z odległości niespełna dwóch metrów, ukryci „pod wiatr” za jakąś kępą mchów, obserwowaliśmy bawiące się w promieniach wschodzącego słońca u wylotu nory, trzy małe liski, których mama niedawno wyruszyła po śniadanie. Widok był niezapomniany! Żeby nie robić alarmu, wycofaliśmy się, nie czekając na powrót lisicy.

W swoim arsenale Ojciec miał karabin „Mauser” kaliber 7,65. Od karabinu wojskowego odróżniała go tylko bardziej delikatna, lekko podrzeźbiona, zabarwiona na brązowo kolba oraz podgięta, przylegająca do łoża kolby, rączka zamka. Miał poza tym pięciostrzałowy, półautomatyczny karabin z lufą niegwintowaną, na amunicję śrutową kaliber 16, marki chyba „Winchester”. Posiadał pod zamkiem magazynek ładowany od spodu, podobnie jak Mause, tyle że naboje nie były mocowane „na łożce”, ale wsuwało się pojedynczo do komory magazynka. Po wsunięciu kolejnego naboju, zatrzask magazynka zamykał się automatycznie. Magazynek mieścił pięć nabojów. Po oddaniu strzału, zamek automatycznie wyrzucał łuskę i wprowadzał do komory następny nabój z magazynka. Ojciec zakupił ten karabin w 1936 roku i był z niego bardzo dumny. Karabin ten był też przedmiotem podziwu i cichej zazdrości w gronie kolegów myśliwych. Miał też Ojciec rewolwer typu „Browning”, który dla celów obronnych zwykł prawie zawsze nosić przy sobie. Na noc kładł sobie ten rewolwer pod poduszkę. Pistolet bębnekowy, typu nie pomnę. Bębenek mieścił chyba siedem nabojów. Miał on raczej charakter zabytku. Nie wiem, czy nie był spadkiem po dziadku Maksie.

NADSZEDŁ ROK 1939

Lato 1939 roku było słoneczne, nosiło jeszcze wiele złudzeń normalności, radości i ciepła. Ale czarne chmury coraz to gęstniały nad niebem Pomorza. Po żą-

daniu przez Hitlera eksterytorialnego korytarza swobodnej i niekontrolowanej komunikacji z Niemiec do Prus Wschodnich, dla nas wszystkich było już jasne, że wybuch wojny jest nieunikniony. Pytanie było tylko, kiedy? Ojciec wspominał, jak to Pierwsza Wojna Światowa wybuchła 1 sierpnia 1914 roku. Wiele mówiło się o tym, że wojny zawsze zaczynają się późnym latem, gdy plony w stodołach lub jeszcze niezebrane na polach, ułatwiają wyżywienie maszerujących wojsk. Nawet nam, dzieciom (ja miałem lat siedem, moja siostra Iza - trzy) udzielał się wojenny zapach. Nie oddamy ani guzika - powtarzaliśmy dumnie słowa Marszałka Rydza Śmigłego.

Pierwszego września zbudził nas telefon przed godziną szóstą rano. Wojna! Okazało się, że rodzice byli już przygotowani do realizacji planu ewakuowania rodzin leśników. Nie było popłochu. Mama była spakowana, sprawnie umyła i ubrała dzieci. Ojciec rowerem pojechał do wsi po wcześniej umówioną podwodę. Jeszcze śniadanie, zapakować walizki, koce i dzieci na wóz, i o godzinie ósmej odjazd z Wyder. Dlaczego, dokąd, po co? Pytania moje i siostry Mama kwitowała krótko: sama nie wiem, takie są polecenia z nadleśnictwa. Ojciec ubrany w mundur leśnika, wziął ze sobą karabin i rewolwer. Resztę broni zapakował do bagażu na wóz i pojechał przodem na rowerze. Leśniczówka, a w niej cały nasz majątek oraz koty i dwa psy, została pod opieką Bojków.

WIELKA EWAKUACJA

Około godziny jedenastej byliśmy już pod budynkiem Nadleśnictwa w Szarłacie. Tu zjeżdżały się też podwodami rodziny pozostałych leśników nadleśnictwa. Tu dowiedziałem się, że mój Ojciec był już uprzednio wyznaczony na komendanta naszego konwoju ewakuacyjnego, a jako jego dubler towarzyszył nam leśniczy z leśnictwa Czarna Woda, pan Kazimierz Buszek. Wystawiono im dokumenty, nadające prowadzonemu konwojowi charakter transportu urzędowego, co uprawniało Ojca do żądania podwód od sołtysów kolejnych wsi. Usługi podwód Ojciec pokrywał potem sołtysom kwitami urzędowymi. Leśnicy i ich rodziny otrzymali chyba półroczne wynagrodzenie na pokrycie kosztów utrzymania przez czas ewakuacji. Jeszcze w nadleśnictwie poczęstowano nas wszystkich pożegnalnym obiadem, jeszcze zgęszczono załadowanie kilku rodzin, by zmniejszyć ilość wozów w konwoju i... około godziny szesnastej konwój wyjechał z Szarłaty. Było nas około osiemnastu osób dorosłych i dzieci na czterech podwodach. Ojciec jechał prawie cały czas na rowerze, co pozwoliło mu łatwo przesuwąć się na czoło lub koniec konwoju, stosownie do potrzeby. Nie pamiętam, niestety przebytej trasy naszego konwoju ewakuacyjnego.

Zapisało mi się tylko w pamięci, że pierwszego dnia mijaliśmy Osie, Laskowice, Świecie i - już po ciemku - Przechowo koło Świecia, skąd zapamiętałem oświetlone okna w dużych budynkach młynów. Nazwy tych miejscowości znałem już

wcześniej. Przejeżdżaliśmy przez Inowrocław. Wcześniej znałem już nazwę Wrocław, a ten Inowrocław wydał mi się jakoś dziwny. Stąd zapamiętałem. Kruszwicę mijaliśmy nocą. Pamiętam, jak Ojciec zbudził mnie w nocy na wozie i powiedział: Opodal mijamy Mysią Wieżę i jezioro Gopło. Ciemno. Nie widać. Ale zapamiętaj! Potem dopytywałem się Mamy, o co chodziło z tą Mysią Wieżą, i zapamiętałem. Pamiętam też Płowce i pomnik zwycięstwa króla Władysława Łokietka nad Krzyżakami w 1331 roku. Ojciec zatrzymał tam wozy, podprowadził nas, dzieci do pomnika i powiedział: Zapamiętajcie! Jeżeli wkroczą tu Niemcy, ten pomnik na pewno zniszczą.

Potem dotarliśmy do brzegu Wisły, z zamiarem przepłynięcia się na drugi brzeg. Niestety, most pod miastem był bombardowany i - jak Ojcu powiedziano - chwilowo niedostępny. Trzeba było się wycofać. Zanim do tego doszło, nad drugim brzegiem Wisły, dosłownie naprzeciwko nas, rozegrała się bitwa samolotów myśliwskich. Leżeliśmy całym konwojem na piasku, w krzakach nad Wisłą. Nadleciały dwa samoloty niemieckie, które natychmiast zostały zaatakowane przez dwa myśliwce polskie. Bitwę widzieliśmy jak na dłoni. Po chwili jeden samolot niemiecki zadymił i spadł. Pilot ratował się na spadochronie. Drugi Niemiec odleciał. Nasze myśliwce też odleciały. Wkrótce potem przyleciała polska sanitarka, dwupłatowiec z namalowanym dużym czerwonym krzyżem na białym tle i zabrała niemieckiego pilota z pola. Było to chyba siódmego września. Ale gdzie? Pod Włocławkiem?

Później przepłynęliśmy się przez Wisłę promem. Ale gdzie to było, w Nieszawie? Możliwe. Dopiero tam, na północno-wschodnim brzegu Wisły, Ojciec dowiedział się, że od północy, od Prus Wschodnich, też nacierają wojska niemieckie. Zrozpaczony bezsensu naszych zmagających ewakuacyjnych, przekazał dowództwo nad naszym konwojem koledze leśniczemu Kazimierzowi Buszko, a sam zameldował się u dowódcy napotkanej w lesie polskiej jednostki wojskowej, z prośbą o przyjęcie go do Wojska Polskiego, by mógł walczyć. Dowódca jednostki, major, podziękował Ojcu za dobre intencje, ale stwierdził, że nie ma dla niego ani munduru, ani broni. W mundurze leśnika Ojciec walczyć nie może. To sprzeczne z Konwencją Genewską. A ponadto, on sam, dowódca sporego oddziału wojska, nie ma łączności z dowództwem, nie ma żadnych rozkazów, nie wie, gdzie jest wróg, a gdzie są swoi. Jest podobnie bezsilny. Poleciał Ojcu, by wrócił do swoich zadań. Wrócił! Co miał zrobić? Postanowił też możliwie szybko powrócić na lewy brzeg Wisły i kierować się do Warszawy.

U sołtysa Ojciec dowiedział się, że w sąsiedniej wsi wojsko zbudowało pontonowy most przez Wisłę. Dotarliśmy tam wkrótce i Ojcu udało się uzyskać zgodę na przepłynięcie tamtędy naszego konwoju. Było to chyba w Dobrzyniu nad Wisłą.

Wiesz, do której dotarliśmy nad wieczorem tego dnia, nazywa się Klusek Biały i leży w odległości około osiem kilometrów od Gostynina, przy drodze do Lu-

cienia i Nowego Duninowa. Noc przespaliśmy w pierwszej, napotkanej stodole. Następnego dnia Ojciec przy pomocy sołtysa rozlokował wszystkich po wygodniejszych kwaterach. Od rana słychać było w oddali odgłosy kanonady artyleryjskiej. Zdawaliśmy sobie sprawę, że to już kres naszej wędrówki. Dopiero znacznie później zorientowałem się, że były to odgłosy bitwy pod Kutnem, która toczyła się po polach wzdłuż szosy biegnącej do Gostynina, zaledwie 30 km od nas. Kilka dni później, nocą, do wsi na motocyklach wkroczyli Niemcy. Rano na naszym podwórku pojawił się niemiecki oficer. Ojciec zgłosił mu obecność we wsi naszego konwoju ewakuacyjnego i oddał swoją bron krótką i ostrą. Nie ujawnił tylko swojego śrutowego karabinu myśliwskiego Winchester. Szkoda mu było tego cacka. Liczył, że zdoła go przemycić do Wyder. Z Niemcem wymienił też polską srebrną złotówkę na metalową jedną markę niemiecką, bo według Niemca taki teraz ma być kurs obu walut.

Zanim skończyło się oblężenie Warszawy i Ojciec uzyskał w niemieckiej Komendanturze Gostynina zezwolenie na nasze powroty na Pomorze, i zanim na targu w Gostyninie zakupił konia, paszę i wóz drabiniasty ze słomą, do naszego powrotu minęło ponad dwa tygodnie. Przez ten czas żyliśmy biednie w tym Klusku Białym, bo nasi gospodarze, choć ludzie mili i serdeczni, sami niewiele mieli. Nie byli przygotowani na żywienie takiej gromady niezapowiedzianych gości. I nie chodziło tu o pieniądze. Żyto nowe było jeszcze niezmielone, starej mąki brak, ziemniaki jeszcze w polu... Mama odkupiła od gospodyni worek kaszy „Pęczak”, na miejscu było mleko. Ta kasza z mlekiem, bez cukru, przez długi jeszcze czas potem, stanowiła podstawę naszego wyżywienia. Tylko dwa razy, chyba z okazji niedzieli, na naszą cześć stracił głowę jakiś kogut, a na obiadowym stole pojawiło się mięso i kartofle. Warzywa były dopiero wtedy, gdy Ojciec kupił je i przywiózł na rowerze z Gostynina.

POWRÓT DO WYDER

Na drogę powrotną nie obowiązywały już reguły transportu organizowanego podwodami. Każdy swój powrót do domu musiał sfinansować sam. I jak to zwykle, nie było jednomyślności co do tego czym, jakim kosztem, którą drogą i kiedy wracać na Pomorze. Stało na tym, że każdy organizował swój powrót sam. Naszym wozem zabrała się z nami, poznana tutaj pani, żona starosty z Nakła, która chciała dojechać do Bydgoszczy. Pani Klara Czajkowska, która dotąd podróżowała z nami, dołączyła teraz do innego wozu.

W drogę powrotną wyruszyliśmy chyba pierwszego października 1939 roku. Droga wiodła przez Gostynin, Kowal, Brześć Kujawski, Inowrocław, Bydgoszcz, Świecie, Drzycim, Spławie do Wyder. Podróż trwała blisko dwa tygodnie i przebiegała raczej spokojnie. Powoził Ojciec. Dopiero kilkanaście kilometrów przed Bydgoszczą spotkała nas niemiła przygoda. Było to nad wieczorem. Zatrzymało

nas dwóch Niemców w cywilu, w opaskach ze swastyką na rękawach i karabinami w rękę. Kontrola! Kto jedzie, skąd, dokąd, co wieziecie - no i rewizja ładunku. Trwało to ze dwie godziny. Zrobiło się już ciemno. Na wozie, na słomie zasnęła moja siostra Iza. Miała trzy latka! Mama prosiła, by przy rewizji nie ruszać dziecka. Niech śpi. Niemcy byli widać tutejsi, doskonale rozumieli Mamę, mówiąc po polsku. Dziecka nie ruszyli, ale długimi szpikulcami kłuli głęboko słomę pod dzieckiem. Wreszcie po wielokrotnym popisywaniu się przed Ojcem swoją władzą, wymachiwaniu mu karabinem przed oczami, zmęczeni się sami i pozwolili nam jechać dalej. Dopiero wtedy rodzice przyznali mi się, że pod spaniem Izy leżał rozłożony Ojca Winchester, owinięty tylko jakąś szmatą. Strach było pomyśleć, co by było, gdyby tak Niemcy ten karabin odkryli! Było już ciemno. Gdy tylko oddalenie od Niemców na to pozwoliło, Ojciec wydobył zawiniątko z karabinem i biegiem przez przylegające do szosy ściernisko, ukrył broń na skraju widniejącego za nim lasu. Twierdził potem, że miejsce zapamiętał, i byłby w stanie ją odnaleźć.

Do Wyder dojechaliśmy około dwunastego października po południu. Dom i gospodarstwo zastaliśmy w stanie nienaruszonym i zadbanym. Pomimo że umowny termin dzierżawy upłynął z koncern września 1939 roku, dzierżawca Bojko uznał z własnej woli szczególne warunki i pozostał na ochronie domu i obsłudze inwentarza, oczekując naszego powrotu. Dopiero w kilka dni po tym, po przekazaniu majątku i spraw Ojcu, wyprowadził się z budynku leśniczówki. Więcej go chyba nie widziałem.

Ojciec zgłosił natychmiast swój powrót telefonicznie do nadleśnictwa. Władze niemieckie poleciły leśnikom kontynuowanie pracy na dotychczasowych zasadach, do czasu otrzymania nowych wytycznych. Ojciec przystąpił zatem przede wszystkim do sprawdzenia lasu. Wkrótce odkrył zwłoki dwóch polskich żołnierzy. Jeden z nich zginął od kuli (chyba samolotu) na polanie zwanej „Pawłówka”, nad brzegiem Zalewu Żurskiego. Drugi owinął sobie podręcznym opatrunkiem kikut ręki po dłoni, urwanej odłamkiem bomby lotniczej, zaparł się mocno w pniach starej leszczyny na górze nad jeziorkiem „Gąsiołek Mały”, ułożył sobie karabin na kolanach i tak, pozorując czuwanie na stanowisku, zmarł z upływu krwi, oczekując zapewne pomocy jakiegoś sanitariusza. Obaj musieli zginąć trzeciego lub czwartego września 1939 roku, bo czwartego, Niemcy wkroczyli do Żura i Wałkowisk, a zapewne też do lasu Wyder. Przy pomocy swoich polskich robotników leśnych, Ojciec po cichu pochował obu żołnierzy w lesie, w pobliżu miejsc, gdzie zginęli.

Wkrótce po powrocie wybrał się Ojciec do Artura Bohma do Spławia z prośbą by ten, mając własny motocykl, pomógł mu odzyskać i przywieźć do Wyder pozostawioną pod Bydgoszczą broń. Artur przyjął Ojca w czarnym mundurze oficera SS. Odpowiedział: „Słuchaj Vogt. Jeżeli jesteś Niemcem, to idź na policję, złóż od-

powiednie oświadczenie⁷, a policja sama pomoże ci odzyskać utraconą broń. Nie będziesz musiał nawet tam z nimi jechać. Ale jeżeli nie, to daruj, dla Polaka czegoś takiego nie zrobisz. A policję powiadomisz, że tam gdzieś taka broń leży, by nie wpadła w niepowołane ręce”. Była to chyba ostatnia rozmowa Ojca z Arturem. Ojciec wyzbył się wszelkich złudzeń, a drogą sobie broń bezpowrotnie utracił.

W początku grudnia 1939 roku Ojciec dostał telegramem wiadomość o śmierci i pogrzebie swojej matki Emilii. Bez większych trudności otrzymał z Policji w Osiu zezwolenie i pojechał na pogrzeb do Warszawy. Przy tej okazji zawiózł nieco mięsa i wędlin na Święta do rodziców i brata Mamy. Spotkał się z siostrami. Dowiedział się też, że mąż starszej z nich, Zofii - porucznik Wojska Polskiego, był z wojskiem gdzieś pod wschodnią granicą i dotąd nie powrócił. Ojciec wrócił do domu przed samymi Świętami, bardzo przygnębiony obrazami zniszczeń i ulic okupowanej Warszawy.

Zima 1939/1940 była śnieżna. Na podwórkach leśnicówki wiatr nawiał zapy śniegu do wysokości płotu. Rodzice sami obrabiali swoje gospodarstwo i inwentarz. Noszenie opału, wody, ciepłej karmy dla zwierząt nie było w tych warunkach łatwe. Ale znacznie gorsza była niepewność dalszego losu. Zimowych robót w lesie tej zimy nie było. Z Nowym Rokiem zjawił się w Szarłacie nowy nadleśniczy, Niemiec, a wraz z nim drugi, na stanowisko inspektora leśnego. On to później w trybie doraźnych inspekcji nadzorował pracę leśników. Odwołany ze stanowiska nadleśniczy Polak, starszy już człowiek, usunął się tylko cicho w cień, i chyba przeżył wojnę⁸.

GAU WESTPREUSSEN

Wczesną wiosną 1940 roku ukazała się ustawa o przyłączeniu do Rzeszy Niemieckiej: Pomorza, Wielkopolski i Śląska oraz utworzeniu Generalnej Guberni Warszawskiej jako terytorium podporządkowanego administracji niemieckiej. Dla Pomorza powołano niemiecką jednostkę administracyjną „Gau Westpreussen” (Obszar Prusy Zachodnie) z siedzibą w Gdańsku. Na obszarze tym zaczęło obowiązywać prawo Rzeszy Niemieckiej (Reichu). Wynikające z tego zmiany dla naszego życia wówczas to wprowadzenie trzech kategorii obywatelstwa niemieckiego na ziemiach przyłączonych do Niemiec: reichsdeutsch, czyli rdzenny Niemiec, volksdeutsch – z narodu niemieckiego i eingedeutcht – zniemczony. Wszyscy inni mieszkańcy Pomorza, nie zakwalifikowani przez władze niemieckie do którejś z tych trzech kategorii (Polacy, Żydzi, Cyganie itp.) byli całkowicie pozbawieni jakichkolwiek praw obywatelskich. Ponadto, jako obowiązkowe pozdrowienie w miejscach publicznych nakazano zwrot: „Heil Hitler” (cześć Hitlerowi) z wyciągnięciem wyprostowanej prawej ręki pod kątem 135° przed siebie. Pozdrowienie to wkrótce sparafrazowali sami „cywile” niemieccy, zastępując je niedbałym machnięciem podniesionej prawej ręki i zwrotem „Hajtla”. Ale co

najmniej to obowiązywało. Żadnego „Guten Tag”, „Guten Morgen” (Dzień dobry) lub „Aufwiedersehen” (Do widzenia). Wszelka korespondencja musiała być zaadresowana w języku niemieckim. Korespondencja zaadresowana po polsku była po prostu wyrzucana do kosza.

Wkrótce po tym wprowadzono nakaz rozmawiania po niemiecku wszędzie w miejscach publicznych. Za mówienie po polsku na ulicy lub w sklepie można było „dostać w pysk”. Sprzedawcom w sklepach, na stacjach kolejowych, w lokalach, itp. nie wolno było obsłużyć zamówienia, wyrażonego w języku polskim. Dzieci rodziców, którzy otrzymali którąś kategorię obywatelstwa niemieckiego, miały obowiązek uczęszczania do niemieckiej szkoły, a po ukończeniu 18 lat, obowiązek służby wojskowej w wojsku niemieckim. Dodam tylko, że mieszkańcy „Gau Westpreussen”, którzy nie otrzymali łaskawie od władz którejś z tych trzech kategorii obywatelstwa niemieckiego, nie mieli praktycznie prawa do pracy, a co najwyżej do pracy najgorszej, i nie otrzymywali później żadnych kartek żywnościowych, gdy te, chyba od 1942 roku, zostały wprowadzone. Było to szczególnie dotkliwe dla mieszkańców miast. Dzieci takich rodziców nie miały prawa uczęszczać do żadnej szkoły, nie miały też „zaszczytu” służby wojskowej.

W początku kwietnia 1940 roku pod naszą leśniczówkę podjechał samochód osobowy. Wsiadło dwóch elegancko ubranych panów. Ojciec wyszedł przed dom. Zaczęli rozmowę bez ogródek: „Czekaliśmy dotąd, ale pan się u nas nie zjawił, więc to my przyjechaliśmy do pana. Panie Vogt, czemu nie składa pan wniosku o drugą kategorię obywatelstwa niemieckiego? Przecież jest pan Niemcem, wszyscy wokół o tym wiedzą!” Długo Ojciec tym przedstawicielom władzy tłumaczył, że nie jest i nie czuje się Niemcem. Że o żadną kategorię obywatelstwa niemieckiego nie ma zamiaru występować. Ma obywatelstwo polskie. A nazwisko odziedziczył po przodkach, nie czuł nigdy potrzeby jego zmiany na inne, o bardziej polskim brzmieniu. To nazwisko mu się podoba, ale należy ono do przeszłości, choć musi przyznać, że miał z nim wśród Polaków kłopoty. Rozmowa przebiegała spokojnie, na argumenty, bez pogroźek. Skończyła się tym, że panowie zostawili Ojcu jakieś papiery, by się nad nimi zastanowił i oświadczyli, że będą oczekiwali Ojca w Osiu w najbliższym czasie. Odjechali, a Ojciec głośno skomentował po polsku całe spotkanie: „Wasze niedoczekanie”! Nie docenił jednak przeciwnika. Po dwóch tygodniach został wezwany na policję w Osiu. Pojechał. Po kilku godzinach wrócił mocno wzburzony. Słyszałem, jak mówił do Mamy: „Niestety, ale musiałem podpisać”. Mama na to z wyrzutem: „Jak chcesz, ale ja niczego nie podpiszę”. Ojciec na to: „Ty nie musisz, ale ja jestem na posadzie państwowej, a tu podpisanie zgody jest warunkiem pozostania w pracy. Powiedziano mi brutalnie wprost - jeżeli pan nie podpisze, traci pan pracę, służbowe mieszkanie, dorobek całego życia. Wywieziemy pana z rodziną,



Boże Narodzenie w leśniczówce Wydry w czasie okupacji niemieckiej, w 1940 roku. Przy choince, Oskar i Halina Vogtowie oraz ich dzieci - Izabela i Andrzej. Fot. archiwum Andrzeja Jacka Fogta

razem lub osobno, na roboty do Niemiec lub do obozu pracy (tak eufemistycznie nazywano późniejsze obozy zagłady), i po co to panu. Miejscowi Niemcy wysoko sobie pana cenią, my też nic przeciwko panu nie mamy, ale decyzja należy do pana". I komentarz Ojca do Mamy: „Nie mogłem przecież dobrowolnie skazywać Ciebie i dzieci na poniewierkę. Przecież to nie Wasza wina, że Polska przegrała wojnę, i to przy pomocy aliantów". Mama wreszcie jakoś zrozumiała niebezpieczeństwo, jakie nam wszystkim zagrażało, i pogodziła się z losem.

Ale dla Ojca było to okropne przeżycie. Wreszcie i on oswoił się z powstałą sytuacją. Nam dzieciom, a zwłaszcza mnie, bo Iza była jeszcze malutka, starał się potem przedstawiać sytuację w różowych barwach. Nie wiedział, że słyszałem Jego rozmowę z Mamą. Nie sprawdzałem nigdy Ojca dokumentów, ani też go o to nie pytałem. Sądzę, że został wtedy zmuszony do podpisania deklaracji na III kategorię obywatelstwa niemieckiego: „Eingedeutscht". Miał bowiem później takie same prawa, jak pozostali koledzy leśnicy i inni Polacy, którzy przyjęli tę niemiecką grupę narodowościową najniższej kategorii. Nie wiem też, czy i jakie oni przeżywali związane z tym skrupuły. Byłem wtedy zbyt małym dzieckiem, by ktokolwiek chciał ze mną dyskutowane na ten temat. Ale czy ja byłbym zdolny coś z tego zrozumieć? Jesienią 1946 roku wyjechałem z Pomorza i nie wiem, czy problemy te były tam w ogóle i w jaki sposób rozważane po wojnie. Faktem jest, że społeczeństwo Pomorza bez jakiegoś większego oporu, pozwoliło sobie narzucić te germanizacyjne poczynania Niemców.

Po tych wydarzeniach życie nasze potoczyło się na pozór normalnym torem. Ojciec organizował roboty i kierował pracami w lesie jak dotąd. Wizytujący go kilkakrotnie w roku niemiecki inspektor z nadleśnictwa, a czasem nawet sam nadleśniczy, nie byli zbyt dokuczliwi. Na ogół nawet sympatyczni. Tylko po wprowadzeniu nakazu rozmawiania w języku niemieckim, mieli zastrzeżenia, co do używania języka polskiego przez robotników, ale i przez Ojca w lesie. Upomniany przez zwierzchników, odpowiedział, w obecności swoich robotników Niemców, że miał takie problemy już przed wojną tyle, że wtedy o rozmawianie w lesie z robotnikami po niemiecku. Natomiast rozporządzenie Gauleitera (Kierownika Obwodu) nakazuje rozmawiać tylko po niemiecku w urzędach, w sklepach i na ulicy. Nie mówi nic o polu, lesie i domu. Tu niemieckie zdyscyplinowanie kazało zwierzchnikom zamilknąć. Do sprawy już nigdy nie wrócili. Przywrócono też Ojcu prawo posiadania i używania broni myśliwskiej.

W gospodarce leśnej nowością było zbieranie żywicy z drzew przeznaczonych zimą do zrębu. Do zestawu oprzyrządowania leśnego doszły narzynki do wycinania rowków w pniach drzew, blaszane rynienki do odprowadzania spływającej żywicy i gliniane doniczki do gromadzenia spływającej żywicy. Zebraną żywicę zlewano z doniczek do beczek, w których odstawiano ją do fabryki, podobno na terpentynę. Inną nowością był obowiązek budowy karmników i dożywiania

zwierząt leśnych w okresie zimy. Nadleśnictwo przeznaczało określone fundusze na ten cel, a za prawidłowe ich wykorzystanie odpowiedzialny był leśniczy. Zimą roku 1941 i 1942 roku Ojciec musiał też zorganizować polowanie z nagonką. Rozstawiał myśliwych na stanowiska i kierował pracą nagonki. Sam nie brał udziału w polowaniu. Nie zostali też na nie zaproszeni leśnicy, koledzy Ojca. Do udziału w polowaniu dopuszczeni zostali tylko Niemcy, zaproszeni przez nadleśniczego z okolicznych majątków ziemskich i urzędów. Nie było też uroczystego przyjęcia myśliwych po polowaniu w leśniczówce. Gorący bigos z chlebem był rozdany gościom z kotła na leśnej polanie. Gdy łów był obfity, a myśliwi zadowoleni, leśniczy – organizator polowania dostawał w nagrodę zającą. Zimą 1943 roku polowania nie było. Po Stalingradzie nie wypadało?

W okresie okupacji leśnicy Polacy nie nosili mundurów służbowych. Przyjmując za wzór strój leśny, jaki nosili jego dziadek i ojciec, gdy kiedyś byli leśnikami w lasach prywatnych, Ojciec mój ubierał się do pracy w lesie w cieplejszą lub lżejszą ciemnozieloną wiatrówkę, z zapinanymi kieszeniami na piersiach i po bokach. Na głowie nosił takież ciemnozielony filcowy kapelusz z pędzelkiem z włosia dzika, umocowanym po lewej stronie, za szarfą. Zimą zakładał na to polski płaszcz wojskowy, z guzikami rogowymi. W samym lesie Wyder okres wojny nie przyniósł jakichś większych szkód.

GOSPODARSTWO PRZY LEŚNICZÓWCE

W latach 1940-1944 gospodarstwo rolne leśniczówki prowadzili moi rodzice sami, najmując tylko robotnika na przychodne do obsługi inwentarza oraz fizycznie cięższych prac gospodarczych. Ze wsi wynajmowany był również sprzęt, konie i ludzie do orki, zasiewów, koszenia i zbiorów oraz młócki zbóż i transportu. Sam Ojciec musiał teraz poświęcać więcej czasu gospodarstwu rolnemu leśniczówki. W latach wojny wydajność tego gospodarstwa miała istotne znaczenie dla wyżywienia rodziny, i nie tylko. W 1942 roku Niemcy wprowadzili kartki żywnościowe dla miast oraz obowiązkowe dostawy produktów z gospodarstw rolnych. W naszym przypadku dostawy obowiązkowe objęły określone ilości zboża, ziemniaków, świń i jajek. Obok tych dostaw, jak mi później Matka powiedziała, bo wówczas dzieciom się takich rzeczy nie mówiło, pewne ilości żywności przekazywane były, już dobrowolnie, gdzieś (dokąd, to nawet Mama nie wiedziała) na wyżywienie ludzi, którzy z różnych powodów ukrywali się po miastach przed władzami niemieckimi, a nie otrzymywali przecież żadnych kartek żywnościowych. Skojarzyłem sobie teraz, że chyba w 1942 roku nawiązana została bliższa znajomość mojego Ojca z młynarzem Plinskim, właścicielem młyna wodnego w Żurze, poniżej elektrowni. Znajomość ta rozwinęła się z czasem w przyjaźń. Kilkakrotnie byliśmy rodziną goszczeni w prywatnym domku

młynarza, a ja przy którejś okazji miałem sposobność zwiedzić młyn wodny i zapoznać się z zasadami jego działania. I chyba ten młynarz i jego młyn, był właśnie skrzynką kontaktową przekazu rolnych produktów spożywczych z okolicznych zapewne wsi – przecież nie tylko z Wyder – chyba do Świecia. Konne przewozy ziarna do przemiału, a potem mąki, mogły doskonale maskować przewóz i innych produktów.

TOLEK DEZERTER

Wiedzę o wydarzeniach na świecie Ojciec brał z prenumerowanej dla leśniczych chyba przez nadleśnictwo, niemieckiej gazety codziennej „Voelkscher Beobachter” (Obserwator Narodowy) oraz z radia, przestrojonego teraz na falę „Deutschland-sender” („Radio Stacja Niemcy”). Dopiero w początku 1942 roku udało się Ojcu zakupić w Świeciu amatorsko zbudowane radio na fale krótkie, na którym przy stosownej pogodzie mógł wieczorami słuchać Londynu lub Moskwy, na najwyższym piętrze budynku leśniczówki i przy odpowiednio wystawionej antenie. Wtedy też przychodzili czasem wieczorami przyjaciele z elektrowni by posłuchać zagranicy. Nad bezpieczeństwem słuchaczy czuwał na dworze pies Dzikus.

W połowie sierpnia 1943 roku przyjechał do Wyder znajomek Ojca ze Świecia z 20-letnim młodzieńcem. Chłopak jest w wojsku niemieckim. Był przez rok na przeszkoleniu we Francji. Teraz dostał trzy tygodnie urlopu i jest w domu. Po urlopie ma pojechać do jednostki gdzieś na front wschodni. Nie chce. Zamierza zdezerterować. Znajomek prosi Ojca by ukrył chłopca w Wydrach przez zimę, a w międzyczasie przyjaciele ze Świecia znajdą mu jakieś dalsze kontakty, umożliwiające przetrwanie do końca wojny. Mama była niechętna. Nie chciała podejmować ryzyka. Ale Ojciec, pomny wciąż niewyraźnej swojej pozycji w polskim społeczeństwie Pomorza, nie chciał jej jeszcze pogorszać brakiem współdziałania ze środowiskiem w rozwiązywaniu jego trudnych problemów. Przekonał Mamę. Panowie od razu zostawili dużą paczkę z cywilnym ubraniem dla przyszłego dezertera.

Po kilkunastu dniach, nocą przyszedł do leśniczówki Tolek, tak miał na imię dezerters. Jego nazwiska chyba nigdy nie znałem. (Dużo później, po wojnie, dowiedziałem się, że nosił nazwisko Wendołowski). Ojciec wpuścił go na umówiony sygnał, i zakwaterował w pokoju na piętrze, nie używanym przez nas. Pokój ten miał dwa okna, skierowane na wieś Wałkowiska i z daleka widać było zapalone w nim światło. Był to jednak jedyny pokój, ogrzewany drzewem w piecu, do którego nie wchodziły zimą dzieci. Zapewniało to zachowanie tajemnicy. Tolek nie mógł tylko używać światła elektrycznego, by nie zwracać uwagi otoczenia. Wodę do mycia, wiadro ze zlewkami i wypróżnieniem oraz drzewo na opał, dostarczał mu Ojciec, a jedzenie Mama lub Ojciec. W tym czasie nikt u nas nie pracował. Ojciec sam obrabiał inwentarz i dom, i nikt obcy po obejściu ani po domu, się nie kręcił. Pies poznał Tolka i uznał za „swojego”, Tolek tylko w nocy mógł

wychodzić na powietrze, na podwórze lub do lasu i to pod ochroną psa, który zawsze sygnalizował zbliżanie się kogoś obcego.

Konspiracja była tak dobra, że my dzieci, dowiedzieliśmy się o Tolku dopiero w końcu listopada, po trzech miesiącach. Wykryła go całkiem przypadkowo moja siostra Iza, gdy przy pierwszym śniegu weszła na górę po sanki. Tolek usłyszał jakieś nietypowe odgłosy kroków dziecięcych i przez ciekawość, nieostrożnie uchylił drzwi pokoju i wyrzwał na podest góry. Natychmiast potem się schował i domknął drzwi pokoju. Ale Iza go zauważyła i co ciekawsze, rozpoznała! Bez popłochu zabrała z przygórka obok swoje sanki i spokojnie zeszła na dwór. Dopiero tutaj powiedziała do mnie: „W pokoju na górze jest ten pan, co był u nas latem”. Ja nawet nie pamiętałem, że ktoś był. Poszliśmy z tym odkryciem do Mamy. No i wszystko się wydało. Mama opowiedziała nam całą historię, uprzedziła też o niebezpieczeństwie, jakie zagrażało nam wszystkim, gdyby ktoś obcy się o Tolku w naszym domu dowiedział. Przyrzekliśmy oboje solennie dochować tajemnicy. Tolek został nam przedstawiony. Odtąd jego życie w leśniczówce stało się łatwiejsze. Przebywał w dzień i wieczorami z nami, w naszym mieszkaniu na parterze. Nie musiał już wieczorami siedzieć na górze sam, po ciemku. Chyba, że wyjątkowo pojawił się u nas jakiś gość. Ale gości wówczas raczej już nie zapraszaliśmy, by nawet przypadkiem czegoś nie zauważyli. Tolek jadł teraz z nami posiłki, pomagał potem Mamie pozmywać. Polubiliśmy go i traktowaliśmy go jak członka rodziny. Opowiadał nam różne historie, bawił się z nami. A wierny Dzikus strzegł naszego bezpieczeństwa. Nawet do okien pokoiów nikt obcy nie mógłby podejść. A wieczorem okna parteru były zawsze zasłaniane okiennicami, zamykanymi od wewnątrz.

Wspólnie z Tolkiem spędziliśmy też święta Bożego Narodzenia 1943 roku i Nowego Roku 1944, życząc sobie wzajemnie rychłego zakończenia wojny. Rozrzewniony sytuacją, Tolek opowiedział nam któregoś dnia jak to kiedyś, w czasie służby wojskowej we Francji, przyśniła mu się w nocy nie żyjąca już od kilku lat jego matka, która przestrzegała go słowami: „Nie idź do lasu”. Tolek pod słowem „las” zrozumiał „Rosja” i wtedy postanowił uciec z wojska.

ANTEK WERNER

W połowie kwietnia 1944 roku z wizytą do Ojca zamówił się Antek Werner, 20-letni, najmłodszy z trzech synów Jana Wernera, technika elektryka, pracującego od dawna w Elektrowni. Chłopcy Wernera znali się z bliźniaczym rodzeństwem mojej Mamy, z ich pobytów na wakacjach we Wydrach przed wojną. Antek był dla Ojca bliskim znajomym. Teraz był na urlopie z wojska. Antek Werner był też szkolnym kolegą Tolka z gimnazjum w Świeciu. Gdy ten dowiedział się od Ojca o zapowiedzianej wizycie, chciał koniecznie móc przysłuchiwać się rozmowie, nie ujawniając się. Ojciec się zgodził i przed spotkaniem Tolek ukrył się za komodą, stojącą na ukos w pokoju. W czasie rozmowy, gdy Antek oświadczył

Ojcu, że chce dezertować z niemieckiego wojska i prosi o pomoc w znalezieniu mu kryjówki w lesie Wydry, Tolek nie wytrzymał i ujawnił się, dołączając się do prośby Antka. Pójdą do lasu razem, we dwóch. Zapomniał Tolek o przykazaniu matki we śnie!

Przygotowania potoczyły się teraz szybko. W czwartek 20 kwietnia 1944 roku (było to niemieckie święto narodowe – wszędzie wisały „Fahny” – flagi ze swastyką) zostałem wysłany rowerem do Świecia z listem Tolka do jego ojca. Adres kontaktu był poufny i potem kazano mi go zapomnieć tak skutecznie, że nie mogę go sobie przypomnieć do dziś. Ojciec Tolka wystąpił też tylko pod imieniem, bez nazwiska. List przeczytał, popłakał się biedny nad nim, i odpisał. Ja dostałem jeszcze obiad, schowałem list i pojechałem do domu. List oddałem Tolkowi.

Ojciec mój wyszukał miejsce na biwak chłopców w starym lesie świerkowym, nad wąskim, prawie niewidocznym, sączącym się w igliwiu strumykiem, ciekącym od jeziora Sławno, przez bagno, do Zalewu Żurskiego. Miejsce było odludne w oddziale, który wówczas był ostoją zwierzyny (dzisiaj jest to oddział 245). Upłynęło jeszcze kilka dni i Tolek niespodziewanie dla mnie znikł z leśniczówki. Zapewne w tym samym czasie Antek uciekł z pociągu, wiozącego go na front wschodni. Było to w ostatnich dniach kwietnia 1944 roku. Żywność dostarczał Ojciec potem chłopcom do różnych, umówionych schowków w lesie. W ich obozie nigdy nie był.

Nie zauważyliśmy nic niebezpiecznego w tym, że nowo zatrudniony w Elektrowni inżynier, z energicznym zapałem zaczął zwiedzać las Wyder. Każdego dnia po pracy wędrował ścieżką przez pole i drogą obok naszej leśniczówki, grzecznie pozdrawiając nas, gdy byliśmy akurat przed domem. Nikomu z nas nie przyszło nawet do głowy, że to może być gestapowiec! Któregoś kolejnego dnia w początku maja, spotkała mnie na szosie do Osia jakaś pani. Spytała, czy to ja jestem Jacek Vogt? Potem przedstawiła się jako Marysia i poprosiła: „Powiedz Ojcu, żeby był na spotkaniu u mnie we czwartek o 17-tej. Będzie pan z Gdańska”. Gdy to Ojcu powtórzyłem przy Mamie, wybuchła awantura: „Prosiłam, byś ten kontakt przerwał. Ja do tych ludzi nie mam zupełnie zaufania, i nie chcę z tym mieć nic wspólnego!” Ojciec jednak poszedł. Pan z Gdańska przedstawił się zebrany jako delegat gdańskiej organizacji polskiej, która przygotowuje „lewe” dokumenty dla osób ukrywających się przed władzami niemieckimi, by im ułatwić przetrwanie zbliżających się do Pomorza działań wojennych. Był tak przekonujący, że ludzie bez wahania informowali go, gdzie i kogo ukrywają. Nie żądał nazwisk, potrzebne mu były tylko zdjęcia do tych fałszywych dokumentów. Umówili się, że zdjęcia zostaną przygotowane na kolejny termin. Gdy Ojciec nikogo nie zgłosił, „delegat” zwrócił się do niego wprost: „Pan jest leśniczym. I nie ukrywa Pan nikogo ani w domu ani w lesie? Dziwne!” A Ojciec na to głośno: „Moja żona jest przeciwna i nie chce z tym mieć nic wspólnego”. Nie wiedział, że tymi słowami uchronił Mamę i dzieci od możliwych nieszczęść.

„OBAJ CHŁOPCY NIE ŻYJĄ”

W sobotę, 20 maja 1944 roku zbudziło nas o szóstej rano głośnie walenie w drzwi wejściowe. Ojciec otworzył. „Gestapo, ręce do góry. Gdzie ma pan broń? W ostatnim pokoju. W porządku. Proszę o mapę lasu”. Weszli do kancelarii. Gestapowiec zapytał: „Gdzie jest Anton Werner?” Ojciec na to: „Nie wiem. Był u mnie z wizytą ponad miesiąc temu. Miał po urlopie pojechać na front. I pewnie pojechał.” A gestapowiec: „Pojechał, ale nie dojechał. Powiem panu, Anton Werner jest tu!” - i położył palec na mapie lasu dokładnie na oddziale, w którym byli ukryci chłopcy. Ojciec nie musiał udawać zdziwionego. Był autentycznie zaskoczony. To chyba przekonało Niemca. A Ojciec nie powiedział mu przecież, że o miejscu ukrycia chłopców wiedział tylko on i chłopcy. Kto sygnął? Rozmowa przebiegała w spokojnym tonie. Gestapowiec nie był napastliwy, był wręcz grzeczny. „Proszę się ubrać i coś zjeść. Pojedzie pan z nami do lasu.” Poszedł za Ojcem do pokoju, zabrał broń i amunicję, wyniósł do samochodu osobowego, czekającego przed bramą. Ojciec szepnął Mamie, że wpadka. Wyjrzał przez okno. Dom i budynki gospodarcze patrolowało kilku żołnierzy. Ale nie było żadnej rewizji. Nic nie zostało naruszone. Również nikt o nic nie pytał ani Mamy, ani nas, dzieci. Nie zdawaliśmy sobie wtedy sprawy z tego, że jak na obyczaje Gestapo, zachowanie Niemców było dziwne. Wobec tego my z Mamą zachowywaliśmy się też tak, jakby to była tylko jakaś nagła, niezapowiedziana wizyta, jakby nic się nie stało. Ojciec się ubrał, zjadł śniadanie. Gestapowiec przyjął też od Mamy szklankę gorącego mleka jako poczęstunek. Zostawił potem, na straży leśniczówki dwóch wojskowych, zabrał Ojca i pojechali do lasu. Mamie dopiero wtedy puściły nerwy, rozplakała się: „Oni go w lesie rozwalą!” Nie mieliśmy też żadnego sposobu, by zawiadomić chłopców o grożącym im niebezpieczeństwie. Mama poprosiła mnie tylko, bym w małych okienkach pierwszego piętra wystawił przygotowane tam doniczki z kwiatkami, jako umówiony z lasem sygnał, że do leśniczówki nie można teraz przychodzić. Ostrożnie poszedłem na górę, ale żołnierz, który siedział na ganku, nawet się za mną nie obejrzał! Wartownicy nie przeszkadzali też potem, gdy Mama poszła do obory wydoić i nakarmić ryczącą krowę oraz nakarmić głodne świnię i drób.

Ja usiadłem na ganku naprzeciwko wartownika. Gdy około godziny jedenastej doszły nas z lasu odgłosy strzałów z automatu, wprawdzie gdzieś dalsze, a potem podobna seria nieco bliżej zapory - zapytałem żołnierza naiwnie: „To polowanie?”, „Nie, to walka z partyzantami.” - odpowiedział żołnierz. „Partyzanci w naszym lesie? Nigdy takich nie widziałem. Jak oni wyglądają?” Żołnierz zaczął mi coś opowiadać, ale ja już wiedziałem, że Niemcy obu chłopców dopadli. Powiedziałem to Mamie. Minęły jeszcze ze trzy godziny. Mama zrobiła nam jakiś obiad. Wreszcie gestapowiec z Ojcem wrócił. Powiedział Mamie po polsku, że pani mąż musi z nami teraz pojechać do nas na kilka dni. Musimy kilka spraw

jeszcze wyjaśnić. Proszę dać mężowi obiad i przygotować mu zamienną odzież i bieliznę na te kilka dni. Nadał wszystko w grzecznym, uprzejmym, choć stanowczym tonie. Ojciec się ogolił, przebrał. W pokoju szepnął tylko Mamie: „Obaj chłopcy nie żyją”.

Mama pobiegła na wieś do znajomych. Dowiedziała się tam, że tego ranka Gestapo aresztowało i wywiozło z domów wiele rodzin z Osia, Brzezin, Wałkowisk, a podobno też ze Świecia. Ale jak się Mama zorientowała, było to pokłosie wizyty sprzed kilku dni pana z Gdańska. Ze znanych Mamie osób aresztowano całe rodziny tych, którzy na spotkaniu „u pani Marysi” zgłaszali potrzebę „lewych” dokumentów. Prawdopodobnie deklaracja Ojca na tym spotkaniu, że „Moja żona jest przeciwna i nie chce mieć z tym nic wspólnego”, uratowała nas, Mamę i dzieci, przed aresztowaniem i wywózką. Natomiast obława w lesie na naszych chłopców, to była inna akcja, tyle, że została zsynchronizowana, by nie ostrzec innych.

Ojciec zapewne nigdy już nie dowiedział się, jaka była przyczyna wpadki i śmierci obu chłopców. Nie rozmawiałem z nim o tym nigdy potem. Zapewne tak, jak my z Mamą sądził, że na ich trop natrafił znany nam „wieczorny spacerowicz”, który po 20 maja całkiem znikł. O rzeczywistym przebiegu wypadków dowiedziałem się dopiero w maju 1945 roku od chłopców z Wałkowisk. Otóż, Antek Werner miał we wsi, w Wałkowiskach dziewczynę, a może od niej też swoją żywność. Zachodził do niej nocami drogą przez zaporę. Obok dziewczyny miał gospodarstwo Niemiec, którego syn służył w policji w Osiu. A ten syn też podkochał się w tej samej dziewczynie. Zauważył Antka w nocy i bardziej chyba z zazdrości, niż ze służbowego obowiązku, zameldował sprawę na posterunku. Kolejnej nocy za Antkiem poszli w las zwiadowcy Gestapo i lokalizacja obozu chłopców została zdekonspirowana. Niemcy wiedzieli już, gdzie jest obóz, nie wiedzieli jednak, ilu w nim jest ludzi. Do obławy 20 maja przywieźli do lasu, drogą przez Sławie, ponad dwadzieścia ciężarówek wojska. Dwa sąsiadujące ze sobą odziały lasu, zostały nad ranem ściśle otoczone. Co kilka metrów stał zamaskowany żołnierz z MP Schmeisserem w ręku. Mysz nie mogłaby się prześlizgnąć! Taki stan gotowości bojowej widział też mój Ojciec, gdy z gestapowcem zajechał do lasu, jeszcze przed rozpoczęciem akcji. Modlił się w duchu, by chłopcy sami zauważyli nocny ruch w lesie i zdążyli usunąć się z obszaru, objętego obławą. Ojciec nie miał już żadnej możliwości zaalarmowania chłopców. Nie mógł np. spowodować jakiegoś przypadkowego wystrzału, bo nie miał broń. Gdy o godzinie dziesiątej ruszyła tyraliera obławy od strony osady Grzybek, chłopcy być może jeszcze spali. Nie byli przygotowani na taką ewentualność. Nie trzymali służby wartowniczej. Nie mieli też koncepcji obrony. Nie podjęli jej, choć mieli broń i nieco amunicji. Zabrakło dowódcy. Jak zające rozbiegli się w dwie różne strony, i jak zające zginęli przy próbie przeskoczenia, linii obławy.

Antek zginął pierwszy, na zachodniej, a po kilkunastu minutach po nim Tolek, na wschodniej linii oddziału. Obława trwała jednak dalej. Wprawdzie po znalezieniu miejsca biwaku, Niemcy już wiedzieli, że „partyzantów” było w nim niewiele. Ale nie byli pewni, ilu. Obstawione oddziały lasu skrupulatnie przeczesali do końca. Dopiero po zakończeniu akcji zaprowadzili Ojca kolejno do zwłok, celem identyfikacji zabitych. Ile on biedny musiał się przy tym naciерpieć. A przecież nie mógł po sobie dać poznać Niemcom, że łączyły go z zabitymi jakieś związki emocjonalne. Antka Wernera potwierdził. Nie mógł przecież inaczej. Przy Tolku z bólem serca, ale z obojętnym wyrazem twarzy oświadczył, że tego człowieka nie zna. Jak mi później powiedział, obaj chłopcy otrzymali z serii automatu po trzy trafienia trzema pociskami: po oczach, po piersiach i w brzuch! Ojciec stwierdził, że musiał to być wyćwiczony sposób trafiania w cel. Potem zaprowadzono Ojca jeszcze na miejsce biwaku chłopców. Było tam trochę porozrzucanych w nieładzie ich rzeczy, ale nic takiego, z czego Niemcy mogli wywnioskować źródła zaopatrzenia chłopców. Był tam też wprawdzie tzw. „prymus”, opalany denaturatem, który Ojciec przed wojną używał do gotowania potraw na wycieczkach kajakowych, a teraz podarował Tolkowi do lasu - ale nie miał on żadnych znaków, wskazujących właściciela. A Niemcy nie znali przecież historii prymusa.

Zakochany policjant z Wałkowisk brał udział w akcji. Zadbał o swoje interesy. Dziewczyny nie wyspał. Teraz zdołał być przy zakopaniu zwłok Antka. Wskazał potem dziewczynie to miejsce w lesie. Chyba nawet ją tam zaprowadził, by przekonać! Po wyzwoleniu Żura i Wałkowisk 15 lutego 1945 roku, dziewczyna poszła do rodziców Antka. Opowiedziała im to, co sama wiedziała i wskazała miejsce zakopania zwłok. Zwłoki Antka zostały ekshumowane w kwietniu 1945 roku i złożone do grobu na cmentarzu w Osiu. Zwłok Tolka nigdy nie odnaleziono.

BEZ OJCA

Po dwóch tygodniach od zabrania Ojca, Mama wysłała mnie do gdańskiego Gestapo z paczką dla Ojca, zmianą bielizny i żywnością. Zaryzykowała też gryps i zapieczętowanie w chlebie kartki papieru i skrawka ołówka na odpowiedź! Pojechałem z jakąś panią, która też miała kogoś ze swoich w gdańskim Gestapo. Zaprowadziła mnie tam i udzieliła kilku wskazówek co do sposobu zachowania się na miejscu.

Oddałem paczkę w okienku. O ukrytej w niej korespondencji nic nie wiedziałem, nie denerwowałem się nawet. Po południu odebrałem przesyłkę od Ojca i pociągiem, już po nocy, wróciłem do domu. Zwrócona bielizna Ojca nie była pokrwawiona, a gryps uspokajający. Nabraliśmy otuchy. W podobny sposób odwiedziłem Gdańsk znowu po dwóch tygodniach, tym razem już sam, bez „pilotki”. Wynik był podobny. Gdy jednak pojechałem do Gdańska po raz trzeci, gdzieś

około piątego lipca 1944 roku, w okienku Gestapo paczki mi nie przyjęto! Adresata tutaj nie ma! Rozpłakałem się, gdzie jest mój tata?

Mam tu dla niego świeżą bieliznę. Jest mu potrzebna! Gestapowiec z okienka popatrzył na mnie. Może rzadko miewał takich małych interesantów. Usiadł tam, wskazał kąt na ławce, i poczekaj. Ale mojej paczki nie wziął. Czekam zatem, może mi powie, gdzie z tą paczką znajdę Ojca. Przysiadł się do mnie na ławce po dalszych dwóch godzinach. Był w cywilu, a poczekalnia przed okienkiem była pusta. „Nie mogę ci powiedzieć, gdzie teraz jest twój ojciec. Ale powiedz matce, by się nie martwiła. Wasz ojciec w niedługim czasie wróci do domu”. Była to wiadomość z nieba. Nie pamiętam, czy Niemcowi za nią podziękowałem. Nie myślałem już o paczce. Popędziłem jak na skrzydłach do pociągu. Potem jeszcze zostawiłem w nim nową czapkę. Dopiero w pociągu naszyły mnie wątpliwości. Czy on mi mówił prawdę? Ale rzeczywiście, 22 lipca 1944 roku nad ranem, Ojciec przyszedł do domu, do Wyder. Radość nasza z jego powrotu stłumiła wszelkie wątpliwości: jak to i dlaczego? Wkrótce zresztą Mama otrzymała wiadomość, rozpuszczoną po okolicy, że Ojciec został zwolniony z Gestapo na skutek poręczenia, jakie za niego złożyli miejscowi Niemcy i nadleśniczy z Szarłaty.

Ojciec przybył jednak na krótko. Spieszył się bardzo, bo pilnie musiał objąć nowe leśnictwo w Tępczu, powiat Wejherowo. Ostatni leśniczy tego leśnictwa został niedawno aresztowany przez Gestapo za współpracę z „partyzantami”, ukrywającymi się w tamtym lesie. Ich przywódcą był miejscowy Kaszub, mąż właścicielki sklepu w wiosce Tępcz, były pułkownik SS, który niedawno zdezerterował i ukrył się w lesie. Leśniczego aresztowano i wywieziono do obozu Stutthof (Sztutowo koło Gdańska), ale poszukiwanego bunkra nie ujawnił i nie został on dotąd odnaleziony. Niemcy oczekiwali, że nasz Ojciec im ten bunkier w lesie znajdzie! Nie pytałem nigdy Ojca, co robił w tym Gestapo. Z perspektywy czasu uważam, że zrobiono mu tam potężne „pranie mózgu”. Był przerażony i zastraszone. Opowiedział nam swoje przeżycia w lesie z 20 maja. Powiedział mi, gdzie zginął każdy z chłopców. Widział tylko, w którym miejscu zaczęto kopać dół dla Tolka. Zapamiętał je sobie, lecz nie chciał pójść tam ze mną do lasu, by mi to miejsce wskazać. Bał się, że jest śledzony. A ujawnienie jakiegoś Jego zainteresowania właśnie tym miejscem, mogłoby skierować śledztwo Gestapo na nowe, niepożądane dla nas tory. Umówiliśmy się, że pójdziemy tam po wojnie. Przecież tu wrócimy!

Ojciec miną nadrabiał przy Mamie, nie chciał jej smucić. Ale tak naprawdę był swoją sytuacją przerażony. Gdy do wyjazdu do Tępcza ja sam odprowadzałem Go do „Koziego mostku”, zatrzymał, mnie w połowie przekraczanej łąki: „Jacku, gdyby mi się coś stało, to zaopiekuj się Mamą! Przysrzeknij mi”. Przysrzekłem. Ale pomyślałem sobie: „A cóż takiego może mu się stać?” Ta nasza optymistyczna ufność w przychylność wojennego losu, była wręcz naiwna. Ojciec odjechał,

a Mama została z nami znów sama na gospodarstwie. A trzeba było zbierać zboże z pola, zwieźć je, wymłócić. Zwolnienie Ojca z Gestapo, zdjęto z nas odium „niepewnych”. Ludzie ze wsi przestali bać się udzielać Mamie pomocy, czy po dawnemu przyjąć do nas do pracy w polu. Jakoś Mama podołała trudnościom.

BLISKO OJCA

Około 12 sierpnia Ojciec przyjechał z Tępcza do Wyder. Tymczasem, dotarły do nas wieści o Powstaniu w Warszawie oraz o tym, że Armia Czerwona dotarła na przedpola Warszawy. W obawie, że w czasie zbliżających się działań wojennych, pozostanie sama z dziećmi w odludnej leśniczówce, Mama wystąpiła z wnioskiem, że chciałaby wyjechać do męża do Tępcza. Nadleśniczy obiecał, że postara się sprawę załatwić. Ojciec odjechał. Zabrał ze sobą swój rower. Wkrótce uzyskałem też potwierdzenie zgody wyjazdu od Wójty gminy Osie. Spakowaliśmy nasze osobiste rzeczy, narty i psa Dzikusa, i około 10 października 1944 roku wywędrowaliśmy pociągiem z Osia.

Nowy Rok 1945 spędziliśmy z Ojcem w Luzinie. Znowu ożyły nadzieje na rychły, szczęśliwy dla nas koniec wojny i tęsknota za powrotem do Wyder. Potem Ojciec wrócił do Tępcza i życie potoczyło się względnie normalnym torem. Odgłosy narastającego piekła wojny do lasu w Tępczu nie dochodziły. Natomiast w Luzinie narastanie nieszczęść zbliżających się działań wojennych, widoczne było gołym okiem. Najpierw transporty rannych z frontu pociągami sanitarnymi, a lżej rannych - również zwykłymi pociągami osobowymi, zatrzymywały się na stacji w Luzinie. Nabierały tu wodę i żywność. W dawnej fabryce kosmetyków w Luzinie, wyposażonej we własną bocznice kolejową, Niemcy założyli duży magazyn cukru i konserw mięsnych. Potem przelała się duża fala uciekinierów niemieckich z Prus Wschodnich. Pociągami osobowymi i towarowymi, bryczkami i wozami po szosie, wiali z obłędem w oczach, aż się za nimi kurzyło. Trudno się cieszyć z cudzego nieszczęścia, ale wspomnienie obrazów z polskich dróg, bombardowanych wówczas obficie przez lotnictwo niemieckie, nie pozwoliło wzbudzić w nas współczucia. Tutaj na nich nie spadały jeszcze na razie bomby. O wydarzeniach tych informowaliśmy Ojca co tydzień, gdy na niedzielę przyjeżdżał do Luzina. Od niego zaś nie słyszałem już żadnych nowych, niepokojących wieści.

ŻEGNAJ TATUSIU

Aż tu niespodziewanie, gdzieś na przełomie stycznia i lutego 1945 roku, zjawił się u nas Ojciec w połowie tygodnia. Nikt z nas nie zapisał wówczas daty tego wydarzenia. Otóż Ojciec dostał wezwanie do stawienia się w Komendanturze Miasta Wejherowa do zadań obrony. Ma zabrać ze sobą odpowiednią odzież oraz żywność na dwa dni. Broń i amunicję ma tam zdać. Ojciec zadzwonił do



Halina Vogtowa z dziećmi: Izą i Andrzejem na ławce obok ganku leśniczówki Wydry, w lipcu 1943 roku. Fot. archiwum Andrzeja Jacka Fogta

nadleśnictwa, licząc na jakąś reklamację. Od nadleśniczego otrzymał niestety odpowiedź, że w tej chwili wszystkie decyzje osobowe należą już tylko do władz wojskowych. I co miał zrobić? Na tym terenie był „obcy wśród obcych”. Nie miał gdzie się schować. Obawiał się też, że jeżeli nie podporządkuje się żądaniu władz niemieckich, to konsekwencje odbiją się nieszczęściem na jego rodzinie: żonie i dzieciach. Takim argumentem był przecież szantażowany od połowy ubiegłego roku przez gdańskie Gestapo. A właśnie takiego losu chciał nam za wszelką cenę oszczędzić. Przywiózł do nas swój rower, plecak i dubeltówkę w futerale wraz z amunicją. Pocieszał nas: nie martwcie się o mnie. Ja sobie radę dam. Będę miał zawsze moją mapę-sztabówkę Pomorza przy sobie i jak tylko w szeregi wojsk niemieckich wkradnie się jakiś bałagan, lub trafi mi się inna okazja, to im zwiędę. Znam przecież też język rosyjski. Był pełen dobrych nadziei i wiary w swoją szczęśliwą gwiazdę. Nam zaś zalecił, byśmy w razie potrzeby schronili się w „młynie” w Tępczu. „Młynarz” jest umówiony i w razie potrzeby udzieli nam pomocy. Przespał się u nas, a rano pożegnał się z nami czule i pojechał pociągiem do Wejherowa.

I tu wszelki ślad po Nim zginął. Mama dostała tylko potem od kogoś wiadomość, że w tych dniach Niemcy zgarniali ludzi do brygad paramilitarnych do prac ziemnych, budowlanych i transportowych. Nikt tam jednak Ojca nie znał i Go nie zauważył. „Żegnaj Tatusiu. Kochaliśmy Cię wszyscy bardzo. Długo tęskniliśmy i czekaliśmy na Ciebie. Nie wiemy nawet, gdzie Twój grób. Niech to opowiadanie stanie się Twoim pomnikiem.”

Wiosną 1947 roku, na wniosek Mamy, wyrokiem Sądu Ojciec został uznany za zmarłego. Latem 1947 roku Mama otrzymała rentę po Ojcu dla całej trójki dzieci. Od 1 września 1949 roku Mama dostała pracę sekretarki w szkole. Ja też wtedy dostałem pracę w księgowości... zaczęliśmy stawać na własnych nogach. Nad historią Oskara Vogta zaległa cisza. Spokój Jego Pamięci!

Andrzej Jacek Fogt vel Vogt

Przypisy

¹Tytuł opowiadania w wersji maszynopisu brzmiał: Kręte losy leśnika. (Wspomnienie o ojcu).

²Zmiana pisowni nazwiska na Fogt nastąpiła „z urzędu” w 1954 roku, na podstawie tego, że litery „V” nie ma w alfabecie polskim. Potem już tego nie „odkręcałem”(!), choć po roku 1956 można było. (AF)

³W okolicach miasteczka Plauen.

⁴Halina Vogt, żona leśniczego Oskara Vogta i matka Andrzeja Fogta (vel Vogta) zmarła 11 lutego 2006 roku w Wołominie (przyp. Redakcji).

⁵Gdy po roku 1950 zalesiony został cały obszar majątku Spławie, mur cmentarza został rozebrany, a groby znalazły się w środku lasu, obecnie leśnictwa Wydry. Były leśnik wrócił do lasu.

⁶Brat Mamy, Jan Walter, po ukończeniu później studiów w Wyższej Szkole Inżynierskiej im. Wawelberga w Warszawie, został specjalistą radiotechniki.

⁷Czyli: zdeklaruj się, że jesteś Volksdeutchem.

⁸Od redakcji: nadleśniczy Bolesław Osiński był aresztowany przez Niemców, później zwolniony z więzienia, wyjechał z Pomorza. Jego dwaj synowie – lekarz i zawodowy oficer Wojska Polskiego zostali zamordowani przez Sowieców w Katyniu. Bolesław Osiński wrócił do Szarlaty w 1945 roku i jeszcze krótko sprawował funkcję nadleśniczego, po czym odszedł na emeryturę (informacja Krystyny Zwiefka).



Czesław Malinowski (1906 – 1941)

Leśniczy CZESŁAW MALINOWSKI

(1906-1941)



ugeniusz Malinowski ostatni raz widział swojego ojca Czesława szóstego lutego 1941 roku. Miał wtedy niespełna osiem lat. Do domu, w którym się ukrywali we Włocławku, wtargnęli dwaj uzbrojeni tajniacy. Aresztowali rodziców i gospodarzy. W czasie przemarszu przez miasto ojciec próbował uciekać. Jeden z Niemców strzelił.

Ojciec padł na ulicy, ciężko ranny.

Czesław Malinowski, ojciec Eugeniusza urodził się w 1906 roku we Włocławku. W rodzinie od pokoleń kultywowano tradycje raczej kupieckie, handlowe, rachmistrzowskie niż zainteresowania lasem czy gospodarką rolną. Przedziwny zbieg okoliczności sprawił, że wybrał profesję leśnika. Jechał z kolegą pociągiem do Torunia, gdzie obydwaj mieli złożyć papiery do szkoły handlowej. W ich przedziale jechał też inspektor Dyrekcji Lasów Państwowych z Torunia. Wywiązała się rozmowa, w efekcie której Czesław zdecydował się pójść – za namową inspektora – do szkoły dla leśniczych w Margoninie. Szkoła przygotowywała dobrych fachowców. Absolwenci nie mieli problemów ze znalezieniem pracy, tym bardziej że po okresie zaborów niepodległa Polska i całkiem młoda firma Polskie Lasy Państwowe pilnie ich potrzebowały. Po ukończeniu Margonina Czesław trafił na praktykę do Leśnictwa Pieczenia w Nadleśnictwie Popioły koło Torunia. Obejmowało ono również lasy położone obok Służewa, gdzie od lat – po wyprowadzeniu się z Włocławka – mieszkała rodzina. Sprawy zawodowe układały się dobrze. Po dwóch latach został leśniczym. Poznał w tym czasie Stanisławę Godziątkowską, z którą ożenił się w 1932 roku.

Matka – jak wspomina Pan Eugeniusz – była kobietą niezwykle pracowitą. Wywodziła się z rodziny kupieckiej. Jej rodzice mieli dom i sklep kolonialny w Służewie jeszcze za czasów carskich. Ojciec prowadził zakład szewski, w którym zatrudniał sześciu pracowników. Stanisława od dziecka pracowała z rodzicami i dobrze znała się na handlu. W posagu otrzymała znaczną sumę pieniędzy i młodzi Malinowscy postanowili spróbować szczęścia w gospodarstwie. Efekty tej dodatkowej działalności nie były jednak zadowalające. Ani ojciec, ani matka – wspomina Pan Eugeniusz – nie znali się na gospodarce. Ojciec dbał przede wszystkim o swoje leśnictwo, ale myślał też, żeby przenieść się na inne stanowisko w Lasach Państwowych, bardziej związane z rachunkowością i ekonomią. Taka okazja nadarzyła się wkrótce. Dowiedział się w Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu, że jest wolne miejsce kasjera i sekretarza w Nadleśnictwie



Grupa leśników podczas zajęć terenowych w Szkole dla Leśniczych w Margoninie ok. 1924 roku. Czesław Malinowski siedzi z prawej strony kamienia. Fot. archiwum Eugeniusza Malinowskiego

Wejherowo. Długo się nie zastanawiając, w 1936 roku przeniósł się wraz z żoną i dwojgiem małych dzieci nad morze. Syn Eugeniusz urodził się w 1933 roku, a jego siostra Jadwiga rok później.

Pan Eugeniusz dobrze pamięta mieszkanie rodzinne w Wejherowie. W jego wspomnieniach to najbardziej beztroski i pomyślny okres w życiu rodziny: stabilny byt materialny, pogodna atmosfera, goszczący często w ich domu ludzie w mundurach – leśnicy i wojskowi. Do świadomości sześciolatniego dziecka nie docierały jeszcze informacje o narastającej groźbie napaści ze strony Niemiec.

We wrześniu 1939 roku wybuchła wojna. Do Wejherowa wkroczyli Niemcy. Listy Polaków przeznaczonych do likwidacji mieli już gotowe. Znaleźli się na nich przede wszystkim przedstawiciele inteligencji: nauczyciele, lekarze, inżynierowie, wyżsi urzędnicy, działacze kultury i wszyscy kojarzeni z polskim patriotyzmem, jak choćby członkowie Polskiego Związku Zachodniego, czy uczestnicy Powstania Wielkopolskiego. Wkrótce tragicznie zasłynęła położona blisko Trójmiasta – Piaśnica, gdzie w czasie wojny Niemcy zamordowali tam ponad 12 tys. Polaków.

Już we wrześniu do domu państwa Malinowskich w Wejherowie przyszło dwóch cywilów. Ojciec był w pracy, gdyż nadleśnictwo – chociaż pod kontrolą okupanta – stale funkcjonowało. Cywile dali rodzinie kwadrans na spakowanie



Ślub leśniczego Czesława Malinowskiego ze Stanisławą Godziątkowską w 1932 roku.
Fot. archiwum Eugeniusza Malinowskiego



Założa Nadleśnictwa Popioły pod Toruniem około 1933 roku. Na pierwszym planie siedzi nadleśniczy Eugeniusz Ilmurzyński, późniejszy profesor na Wydziale Leśnym SGGW. W pierwszym rządzie, pierwszy od prawej stoi leśniczy Marian Jankowski, trzeci - leśniczy Czesław Malinowski. Fot. archiwum Eugeniusza Malinowskiego

się, a sami pojechali po ojca do nadleśnictwa. Okazało się, że jako przybyła z centralnej Polski rodzina Malinowskich zostanie wysiedlona do Generalnej Guberni. Razem z innymi mieszkańcami Wejherowa i okolic zostali załadowani do bydłych wagonów i pociąg ruszył na południe. Nie ujechał jednak daleko i po paru godzinach powrócił do Wejherowa. Okazało się, że wojsko niemieckie przejmuje wagony, pilnie potrzebne na użytek działań wojennych. Przesiedleńcy otrzymali jednak nakaz, że pod karą śmierci należy stawić się na peronie nazajutrz o ósmej rano.

Po powrocie do domu ojciec zdecydował, że nie będą jechali w nieznane, że cała rodzina wróci do Służewa, gdzie stale mieszkali rodzice i krewni. O północy wsiedli do pociągu i nazajutrz dotarli na miejsce. Tu jeszcze napotkali wycofujące się na Włocławek i Warszawę wojska polskie. Po kilku dniach do Służewa też wkroczyli okupanci i zaprowadzili nowe porządki. Władzę przejęli Niemcy, w tym kilku miejscowych. Przyjazd Malinowskich skrzętnie odnotował funkcjonariusz w mundurze SS, niejaki Rychert, który kilka lat wcześniej zajmował się końmi w gospodarstwie leśniczego Leśnictwa Pieczenia... właśnie Czesława Malinowskiego. Widać nie wspominał go źle, skoro przyszedł do ojca na rozmowę, w której grzecznie zaproponował przyjęcie volkslisty, obiecując, że postara się, by ojca przywrócono na stanowisko leśniczego. Ojciec – dla zwłoki – odpowiedział, by dał mu czas na porozumienie się w tej sprawie z rodziną. Był to oczywiście wybieg, gdyż ojciec jako członek przedwojennego Wojskowego Przysposobienia Leśników nie wyobrażał sobie własnego podpisu na niemieckiej liście.

Zdaje się, że i Rychert to zrozumiał, bo już nazajutrz pod dom teściów Czesława – Godziątkowskich, w którym zatrzymała się rodzina Malinowskich, zajęli żandarmi niemieccy z nakazem aresztowania. Teściowa prowadząca sklep sprytnie wywiodła ich w pole, twierdząc, że nie ma zięcia w domu. Tego dnia Niemcy aresztowali miejscowego organistę Franciszka Kanię oraz właściciela pobliskiego majątku w Przybranowie – Stanisława Hałasa. Dziedzic Hałas cieszył się w miejscowym środowisku nieposzlakowaną opinią dobrego i życzliwego człowieka. Po 16 miesiącach, gdy Malinowscy ukrywali się już we Włocławku, Kaniowa – żona organisty – otrzymała wiadomość z niemieckiego obozu koncentracyjnego w Mauthausen-Gusen, że jej mąż zmarł „na serce”. Miał 41 lat. Podobny los spotkał dziedzica Hałasa.

Tymczasem, Czesław Malinowski ukrywał się przez kilka dni u starszego kolegi, leśniczego Friszke, później w odległym o cztery kilometry Aleksandrowie Kujawskim, po czym przeniósł się do Włocławka. Zamieszkał z rodziną u swojego krewnego Zygmunta Józefczaka, który prowadził przy Placu Wolności największą stolarnię w mieście. Z czasem też tam znalazł zatrudnienie. Wśród pracowników był jednak szpicel niemiecki, który wyraźnie śledził Malinowskiego. Pan Eugeniusz wspomina, że ojciec zorientował się i już był przygotowany do

wyjazdu na teren Generalnej Guberni, do innego krewniaka, który był nauczycielem w wiejskiej szkole pod Hrubieszowem. Z jakichś powodów odłożył swój wyjazd o dzień czy dwa i wówczas 6 lutego 1941 roku, około dziesiątej rano, do domu wkroczyli tajniacy z bronią. Ustawili rodziców i gospodarzy pod ścianą. Przeprowadzili rewizję, po czym wszystkich czworo postanowili doprowadzić na posterunek żandarmerii. Ojciec wiedział, że to nie przelewki. Cekał go niechybnie los Kani i Hałasa. W czasie przemarszu przez miasto uprzedził jeszcze swoją żonę, że w tłumie spróbuje ucieczki, co też zrobił. Jeden z tajniaków wyjął broń i strzelił. Ojciec padł ciężko ranny. Niemcy zabrali go do szpitala. Żonie nie zezwolili na wizytę. Nazajutrz powiadomili, że zmarł. Miał 35 lat. Kilka dni później we Włocławku odbył się pogrzeb.

Po pogrzebie Czesława Malinowskiego, jego żona z dziećmi wróciła do swojej matki do Służewa. Dom rodzinny zajęli Niemcy, jej matka mieszkała w oficy, dokąd wprowadziła się Stanisława z dziećmi – Eugeniuszem i Jadwigą. Było im ciężko, jednak szczęśliwie dotrwali do końca wojny. Przez kolejne dwa lata, już w Polsce Ludowej, z wielkim trudem i ciężką pracą babcia z synem Piotrem i matką Pana Eugeniusza wybudowali nowy sklep. Był to koszmarne czas ciągłych rewizji, dręczenia i przesłuchań prowadzonych tym razem już przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa i Milicji Obywatelskiej. Wrogi stosu-



Legitymacja Przynależności Wojskowej Leśników z 1938 roku, wystawiona dla leśniczego Czesława Malinowskiego. Fot. archiwum Eugeniusza Malinowskiego

nek do „prywaciarzy” i „przedwojennych krwiopijców” demonstrowali również członkowie miejscowej organizacji PPR. Czołowe stanowiska w tych organach nowej, ludowej władzy, zajmowali często pozbawieni jakiegokolwiek wykształcenia mieszkańcy okolicy, którzy zwietrzyli szansę swoistego odegrania się i zemsty na niedawnych „panach”.

Szczególnie ciężko i ofiarnie pracowała matka – wspomina Pan Eugeniusz. Gdy sklep był już ukończony, postanowiła tydzień odpocząć. Słabość, wycieńczenie fizyczne i psychiczne były jednak na tyle wielkie, że ciężko zaniemogła i z łóżka już się nie podniosła. Zmarła po trzech tygodniach, w wieku zaledwie 38 lat.

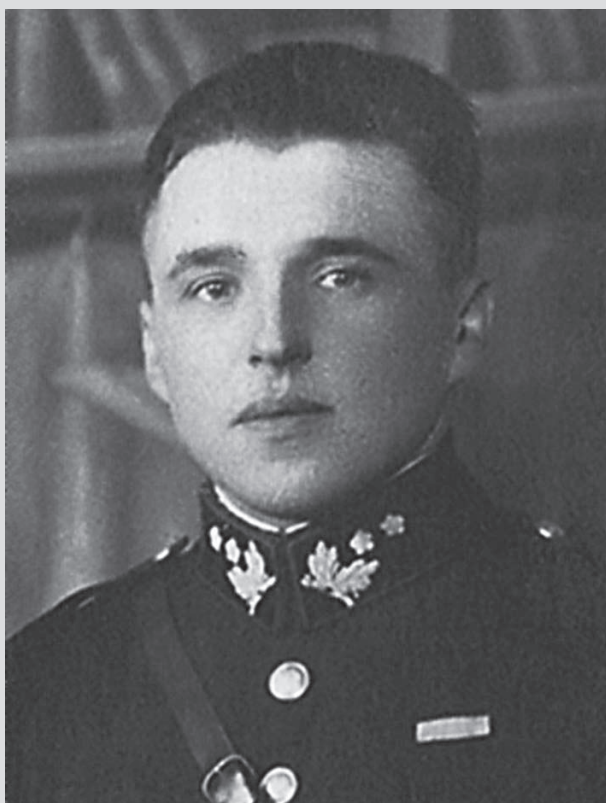
POST SCRIPTUM

Eugeniusz Malinowski i jego siostra Jadwiga zostali sierotami. Z tej racji do pełnoletności otrzymywali od Państwa rentę po ojcu w wysokości... 48 złotych miesięcznie, co wystarczało na kilka bochenków chleba. Pomoc ze strony rodziny nie mogła być zbyt wielka, bo po wojnie wszyscy klepali biedę. Pan Eugeniusz miał kłopoty ze znalezieniem pracy, a to ze względu na niewłaściwe pochodzenie. Z tego samego powodu odmówiono jego siostrze przyjęcia do gimnazjum w Toruniu. Po licznych perypetiach Pan Eugeniusz trafił do pracy w lesie jako robotnik fizyczny w Nadleśnictwie Popioły, w tym samym, gdzie swego czasu jako praktykant, a później leśniczy, pracował jego ojciec Czesław.

Tymczasem urzędnicy nowej władzy „z powiatu” byli konsekwentni. W krótkim czasie, do 1950 roku, doprowadzili do likwidacji wszystkich siedmiu sklepów prywatnych w Służewie. Babcia Pana Eugeniusza – właścicielka jednego z nich – została dodatkowo skazana na trzy miesiące więzienia i grzywnę 24 tysięcy złotych, co było sporą kwotą na ówczesne czasy. Taki też był koniec prywatnej inicjatywy rodzin Malinowskich i Godziątkowskich w Służewie za czasów Polski Ludowej.

Pan Eugeniusz pracował później w Straży Leśnej na terenie Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu, a następnie w administracji lasów państwowych na Wybrzeżu. W końcu znalazł spokojną przystań na stanowisku leśniczego w Lasach Miejskich Sopotu. Tu przepracował dwadzieścia lat, od 1962 do 1982, kiedy przeszedł na emeryturę. Zmarł 22 sierpnia 2011 roku w Sopocie i tam został pochowany.

Tadeusz Chrzanowski



Jan Bińczyk (1900 – 1943)

Leśniczy JAN BIŃCZYK ps. Zagłoba

(1900-1943)



Jan Bińczyk, syn Jakuba i Marianny z domu Wirkus, urodził się 26 grudnia 1900 roku w Borowym Młynie niedaleko Chojnic, na terenie ówczesnego Nadleśnictwa Osusznica podlegającego Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu. Po ukończeniu w rodzinnej miejscowości siedmioklasowej szkoły powszechnej kształcił się w Państwowej Szkole dla Leśniczych w Margoninie. Praktykę zawodową i staż odbywał na terenie kilku nadleśnictw w Borach Tucholskich, m.in. w Nadleśnictwie Szarłata, gdzie w Pruskich poznał swoją przyszłą żonę Klarę, z którą ożenił się w 1923 roku. Jan i Klara Bińczykowie mieli trzech synów: Henryka, Zygmunta i Witolda oraz córkę Irenę.

Na przełomie lat 1928 i 1929 Jan Bińczyk objął Leśnictwo Młynek wchodzące wówczas w skład Nadleśnictwa Laska. Ze względu na położenie tego nadleśnictwa w strefie przygranicznej z III Rzeszą niemiecką, miejscowi leśnicy uczestniczyli w szkoleniach Przysposobienia Wojskowego Leśników, a Jan Bińczyk również w zakresie dywersji pozafrontowej. Po wybuchu II wojny światowej pełnił nadal funkcję leśniczego w Młynku, jednak podlegał – podobnie jak pozostali polscy leśnicy – okupacyjnej, niemieckiej administracji leśnej.

Po powstaniu Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski” 7 lipca 1941 roku został komendantem struktur tej organizacji na powiat chojnicki. Używał pseudonimu konspiracyjnego „Zagłoba”. W leśniczówce Młynek odbyło się kilka spotkań komendy powiatowej i Rady Naczelnej „Gryfa Pomorskiego”. Jan Bińczyk, przy współpracy członków własnego oddziału partyzanckiego oraz synów Henryka i Zygmunta, zorganizował na terenie Leśnictwa Młynek sieć schronów i bunkrów leśnych, które stanowiły miejsca schronienia dla partyzantów „Gryfa” i ludzi zagrożonych aresztowaniem.

Prawdopodobnie w wyniku zdrady wpadł w zasadzkę, przygotowaną przez Niemców w jego leśniczówce w nocy z 3 na 4 maja 1943 roku. Podjął obronę i został poważnie ranny. Aresztowany wraz z synem Zygmuntem oraz dwoma innymi partyzantami „Gryfa” – jego sekretarzem Cyrylem Zalewskim i Oskarem Halamą – leśniczym Leśnictwa Laska. Poddany kilku operacjom zmarł w niemieckim szpitalu więziennym w Gdańsku 20 maja 1943 roku. Pochowany na miejscowym cmentarzu. Staraniem rodziny ekshumowany w 1972 roku i przeniesiony na Cmentarz Wojenny w Brusach, gdzie spoczywają również m.in. nadleśniczy Nadleśnictwa Giełdoń Mikołaj Kudłowicz i siedmiu partyzantów poległych w walce przy „Zielonym Pałacu” koło Męcikału.

Dwa miesiące po śmierci Jana Bińczyka cała jego rodzina została wyrzucona z leśniczówki i wywieziona do niemieckiego obozu koncentracyjnego w Potulicach, gdzie wkrótce zmarła najmłodsza córka leśniczego – Krystyna. Syn leśniczego Henryk do końca wojny ukrywał się w lesie, kontynuował działalność w oddziale partyzanckim „Gryfa Pomorskiego”, został ciężko ranny podczas jednej z akcji bojowych.

Po wojnie, wszyscy trzej synowie leśniczego Jana Bińczyka: Henryk (1923-2006), Zygmunt (1926-2008) i Witold (1937-2008), zdobyli wykształcenie leśne i całe życie zawodowe przepracowali w Lasach Państwowych.

Tadeusz Chrzanowski

Mój ojciec, JAN BIŃCZYK

Jan Bińczyk, syn Jakuba i Marianny z domu Wirkus, urodził się 26 grudnia 1900 roku w Borowym Młynie na terenie Nadleśnictwa Osusznica (przed wojną Dyrekcja Lasów Państwowych w Toruniu, dzisiaj Dyrekcja LP w Szczecinku). Była to duża wieś tuż przy granicy polsko-niemieckiej, położona między Chojnicami, które były w Polsce, a Bytowem, który w okresie międzywojennym należał do Niemiec. Rodzice Jana mieli gospodarstwo rolne, które było podstawą utrzymania całej rodziny. Jan był najmłodszy pośród rodzeństwa. Miał dwóch braci i trzy siostry. Jeden z braci, Józef, zginął w czasie I wojny światowej. Drugi, Jakub, wyjechał do Berlina, gdzie pracował jako urzędnik kolejowy.

SZKOŁA DLA LEŚNICZYCH W MARGONINIE

Jan Bińczyk ukończył z wyróżnieniem siedmioklasową szkołę powszechną w Borowym Młynie. Był zdolnym uczniem, więc zaproponowano mu dalszą edukację w szkole średniej, którą sobie wybierze. Nie było z tym problemu, gdyż Jan od najmłodszych lat był zdecydowany zostać leśnikiem. Kochał las, marzył o mundurze leśnika i zamieszkaniu w leśniczówce. Trafił do Państwowej Szkoły dla Leśniczych w Margoninie, którą ukończył. Pracę rozpoczął jako praktykant leśny w Łążku koło Osia, w Nadleśnictwie Szarłata. Tam poznał swoją przyszłą żonę, Klarę Kołodziejską (ur. 4 kwietnia 1901), która mieszkała w Pruskich. Kołodziejscy mieli duże gospodarstwo, w tym spory areał lasu. W tamtym czasie Jan uczestniczył w szkoleniach zawodowych dla leśników. Został powołany do wojska pruskiego, które już po kilku miesiącach, gdy wybuchło Powstanie Wielkopolskie, opuścił, wstępując do Wojska Polskiego.

Pani Irena Hunker z domu Bińczyk, która w 2008 roku opowiedziała mi historię swojego ojca Jana Bińczyka i swojej rodziny, pamięta sprzed wojny licz-

ne fotografie ojca w mundurze żołnierza polskiego. Prawie wszystkie zaginęły podczas wojny.

MAŁŻEŃSTWO I DZIECI

Jan Bińczyk ożenił się z Klarą Kołodziejską w 1923 roku. Klara miała dziewięcioro rodzeństwa – cztery siostry i pięciu braci. Po ślubie Jan i Klara Bińczykowie zamieszkali w Jeżewnicy, w powiecie świeckim, gdzie w 1923 roku urodził się ich pierwszy syn, Henryk. Później przenieśli się do Zelgniewa, powiat Chodzież, przy samej granicy z Niemcami, gdzie w 1926 roku urodził się drugi syn Zygmunt, a rok później Irena. Po kilku latach, rodzina Bińczyków przeniosła się do Leśnictwa Młynek w Nadleśnictwie Laska. Było to prawdopodobnie w 1928 roku. Tu osiedlili się na dobre.

LEŚNICZÓWKA MŁYNEK

Leśniczówka Młynek została wybudowana w latach 1912-1913. Był to – jak wspomina Pani Irena – wciąż nowy, zadbanej budynek z pięknie zagospodarowanym otoczeniem: budynkami gospodarczymi, ogrodem pełnym kwiatów i stawem. Przy leśniczówce funkcjonowało gospodarstwo, w którym okresowo hodowano nawet dwanaście krów mlecznych. Wzdłuż brzegów jeziora Płesno i rzeki Brdy rozciągały się łąki i pastwiska, które jako deputat rolny utrzymywał leśniczy. Przez cały sezon pasły się tam krowy. W oborze była też trzoda, a ponadto, leśniczy miał trzy konie, które były używane do jazdy wierzchem, bryczką, a zimą saniami. Było też pokaźne stado kur z pięcioma kogutami, indyki, kaczki, perliczki. Podwórko było porządkowane i zagrabiane w każdą sobotę po południu. Prace te wykonywali chłopcy z pobliskich miejscowości, zatrudnieni jako pomoc do gospodarstwa przydomowego.

Leśniczówka składała się z kilku pomieszczeń. Z dworu wchodziło się do holu, a z niego było zejście do piwnicy, bo cały dom był podpiwniczony. W piwnicy było pomieszczenie z piecem oraz pokój mieszkalny dla służącego, którym był chłopak z okolicznej wsi. Na parterze na wprost było wejście do kancelarii, obok był mały pokój gdzie jadało się posiłki, dalej kuchnia. Za kancelarią mieściła się sypialnia, dalej duży pokój stołowy. W kancelarii był telefon, stała szafa z książkami i druga szafa z ubraniami – mundurowymi i cywilnymi. Była tam kanapa, rzeźbiony stół, biurko leśniczego, stojak na broń myśliwską i fotel z poręczami, wykładany skórą. Na ścianach wisiały okazałe poroża jelenia i parostki sarny, a na podłodze leżała skóra z dzika. Na piętrze leśniczówki były dwa pokoje, pomieszczenie gospodarcze i strych. W jednym z pokoi na piętrze mieszkała służąca, która pomagała gospodyni w pracach domowych. Inna dziewczyna, Stefcia, która mieszkała razem ze służącą, była bardzo bliską osobą dla rodziny Bińczyków. Mieszkała u nich przez szesnaście lat i była towarzyszką dla żony

leśniczego i dzieci. Wyprowadziła się z leśniczówki po przedwczesnej śmierci Klary Bińczyk w 1937 roku.

Pani Irena wspomina, że ojciec zawsze chodził w mundurze leśniczego, nawet w niedzielę do kościoła. Do lasu najpierw jeździł rowerem, później konno, wierzchem, wreszcie w 1938 roku kupił sobie motocykl, który bardzo ułatwiał kontakty ze światem, zwłaszcza dojazdy do Brus i Chojnic.

W pobliżu leśniczówki Młynek była, i do dzisiaj istnieje, osada robotnicza, w której mieszkały dwie rodziny – Peplińscy i Kundowie. Peplińscy mieli pięcioro dzieci, a u Kundów było ich co najmniej dziesięcioro. Pepliński i Kunda byli etatowymi robotnikami leśnymi, wykonywali wszelkie prace na terenie Leśnictwa Młynek. Przodownikiem brygady robotników był Orłowski z Asmusa. W brygadzie pracował jeszcze Matuszewski. Sezonowo leśniczy zatrudniał dodatkowo kilku, a nawet kilkunastu pracowników do prac głównie w ochronie lasu.

WAŻNE WYKSZTAŁCENIE DZIECI

W latach szkolnych 1931-1934 dzieci leśniczego: Henryk, Zygmunt i Irena mieszkały w Brusach, w wynajętym mieszkaniu, pod opieką cioci Ani, siostry ze strony mamy. Henryk chodził do szkoły, natomiast dwójka młodszych dzieci do ochronki prowadzonej przez siostry zakonne. Henryk był zdolnym uczniem. Później uczęszczał do gimnazjum w Toruniu, będąc o dwa lata młodszym od kolegów z klasy. Mieszkał u wujostwa aż do 1939 roku. Wybuch II wojny światowej uniemożliwił mu jednak ukończenie czwartej klasy i zdanie matury.

W ostatnim roku przed wojną leśniczy Jan Bińczyk podjął starania o przeniesienie służbowe do Leśnictwa Piwnice pod Toruniem. Uzyskał na to zgodę Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu i z dniem 1 września 1939 roku miał się przenieść do nowego miejsca pracy. Decyzja taka była podyktowana głównie troską o wykształcenie dzieci, co było łatwiejsze do realizacji przy zamieszkiwaniu blisko granic dużego miasta. Do przeprowadzki jednak nigdy nie doszło, gdyż wybuchła wojna.

Brat Pani Ireny, Zygmunt hodował króliki i gołębie, z którymi miał sporo zajęć. Ona zaś, jak wspomina, miała trzydzieści lalek, a to dlatego, że przepadała za małymi dziećmi i bardzo liczyła, że w jej rodzinie pojawi się młodsze potomstwo. Uwielbiała odwiedziny w pobliskiej osadzie robotniczej, gdzie było dużo małych dzieci. Chodziła tam niekiedy z mamą z koszem pełnym smakołyków. Po powrocie z ochronki w Brusach, mała Irena uczęszczała do czteroklasowej szkoły podstawowej w Małych Chełmach, oddalonych od leśniczówki Młynek o siedem kilometrów drogi przez las.

SPOTKANIA LEŚNYCH RODZIN

Rodzina Bińczyków blisko przyjaźniła się z rodzinami Kopickich i Meggerów. Franciszek Kopicki był leśniczym Leśnictwa Asmus, a Stanisław Megger w Le-

śnictwie Czernica. Leśne rodziny odwiedzały się często, szczególnie w sezonie letnim i jesiennym. Rozstawiane były stoły za ogrodzeniem leśniczówki, pod dużym kasztanem lub w pobliżu mostu na drodze do Drzewicza. Każda z żon leśniczych jadąc w gościnę przywoziła jakieś smakołyki.

Leśniczy Bińczyk był myśliwym. Od 15 lipca zaczynał się sezon polowania na kaczki. Tradycyjnie polowanie to odbywało się na terenie Leśnictwa Młynek, gdzie było dużo terenów nadjeziornych z ogromną liczbą kaczek. Przyjeżdżał nadleśniczy inżynier Józef Pietraszek, koledzy leśniczowie i jeszcze grupa myśliwych z okolicznych majątków i tartaku. Z leśników byli to m.in. Franciszek Kopicki (Leśnictwo Asmus), Władysław Rolbiecki (Leśnictwo Widno), Stanisław Megger (Leśnictwo Czernica), Oskar Halama (Leśnictwo Laska) i Marian Jagła (Leśnictwo Warszyn).

ŚMIERĆ MAMY

Przez kilka lat na stodole przy leśniczówce Młynek bociany budowały sobie gniazdo. Mała Irena miała nadzieję, że któregoś dnia przyniosą jej braciszka lub siostrzyczkę. W 1937 roku, dokładnie 21 stycznia, urodził się Jan Witold, najmłodszy z braci Bińczyków. Była wtedy mroźna zima. Służący udał się w nocy do Brus po akuszerkę, jednak tej wcześniej zamówionej nie zastał. W zastępstwie przywiózł drugą, która miała złą sławę. I tym razem ta zła opinia znalazła potwierdzenie. Wkrótce po porodzie Klara Bińczyk dostała wysokiej gorączki. Mimo pomocy lekarskiej nie udało się już uratować jej życia, zmarła po tygodniu. Leśniczy został wdowcem, dzieci półsierotami.

Po śmierci mamy zabrakło gospodyni w leśniczówce i opiekunki dla dzieci. Po długich konsultacjach w rodzinie Bińczyków i Kołodziejskich, w czerwcu 1937 roku, przyjechała do leśniczówki młodsza siostra mamy, Marta. Na prośbę swojej matki zrezygnowała z pracy i zamieszkania w Toruniu. Miała wtedy zaledwie 21 lat. Zajęła się gospodarstwem domowym i opieką nad dziećmi. Robiła to bardzo dobrze. W leśniczówce zawsze był porządek i wszystko zrobione na czas. Na tydzień przed wybuchem wojny Jan Bińczyk zawarł związek małżeński z Martą.

Jan Bińczyk był dobrze zorganizowanym człowiekiem. Był przy tym pracowity, wymagający od siebie i od innych. Stałe dochody z pracy zawodowej i dobrze prowadzonego gospodarstwa rolnego pozwalały myśleć o nowych inwestycjach i starannym wykształceniu dzieci. Zamierzał nawet zakupić kamienicę czynszową w budującej się wówczas Gdyni. Miał taki plan, że najstarszy z synów Henryk, który tymczasem uczęszczał do Gimnazjum w Toruniu i uczył się bardzo dobrze, po zdaniu matury trafi na studia do Wyższej Szkoły Marynarki i wtedy zamieszka w zakupionym domu.



Leśnicy Jan Bińczyk (stoi pierwszy z prawej) z żoną Klarą (siedzi pierwsza z prawej) na spotkaniu rodzinnym podczas Świąt Bożego Narodzenia w Toruniu w 1931 roku. Fot. archiwum Ireny Hunker



Uroczystość I Komunii Świętej Ireny i Zygmunta Bińczyków (stoją po środku z gromnicami) w leśniczówce Młynek, w maju 1938 roku. Leśniczy Jan Bińczyk siedzi drugi od prawej z synem Witoldem na kolanach. Pierwszy od lewej stoi Jan Stetkiewicz, leśniczy pobliskiego Leśnictwa Drzewicz. Fot. archiwum Ireny Hunker

WYBUCHŁA WOJNA

Tymczasem, we wrześniu 1939 roku, wybuchła wojna. Nikt nie wierzył, że Polska ją przegra. Młode pokolenie otrzymywało wówczas patriotyczne wychowanie i to zarówno w szkole, jak i w domu. Pani Irena wspomina, że dzieci znały liczne pieśni wojskowe i patriotyczne. Uczyły się ich głównie w szkole, ale w domu ojciec też zachęcał do śpiewania. Do dzisiaj pamięta wiele z nich: „Ułani, ułani”, „Wojenko, wojenko”, „Maszerują chłopcy, maszerują”, „Morze, polskie morze”, „Na Podolu biały kamień”. Przedwojenny nauczyciel śpiewu zawsze miał wykształcenie muzyczne, musiał grać na instrumencie, najczęściej na skrzypcach. Dzieci chętnie się uczyły tych pięknych melodii i piosenek.

Wojna pokrzyżowała plany ojca związane z przeniesieniem służbowym do Leśnictwa Piwnice pod Toruniem. Leśnicy otrzymali zadania związane z ewakuacją na Wschód. Rodziny Bińczyków i Kopickich miały dotrzeć w okolice Nieszawy. Na kilka dni przed 1 września żony z dziećmi pojechały pociągiem przez Chojnice, Toruń do Nieszawy. Leśniczowie, zgodnie z poleceniem przełożonych, na razie pozostali na miejscu w leśniczówkach. Otrzymali zadanie zabezpieczenia i przewiezienia wozem konnym dokumentacji i kasy pancernej Nadleśnictwa Laska. Jednak, w okolicach Świecia były prowadzone już wówczas intensywne bombardowania. Zginęło wielu ludzi i konie. Zaginął też cały majątek nadleśnictwa. Dwaj leśniczowie, Bińczyk i Kopicki w dramatycznych okolicznościach przepłynęli niezależnie przez Wisłę, bo most był zniszczony. Po kilku dniach szczęśliwie spotkali się ze swoimi rodzinami w Nieszawie.

POD OSTRZAŁEM NIEMIECKICH SAMOLOTÓW

Pani Irena wspomina, że przed ewakuacją leśnicy otrzymywali sześciomiesięczne odprawy. Pieniądze te przydały się na zakupy żywności, konia i wozu na dalszą drogę ewakuacji. Obie rodziny wyruszyły z Nieszawy nazajutrz. Podążyli przez Włocławek razem z tłumami ludności cywilnej. Największe trudności były przy przeprawach przez rzekę. We Włocławku konia trzeba było zostawić. Dalej pojechali pociągiem w kierunku na Warszawę i docelowo do... Rumunii. Jechali przez Kutno. Co jakiś czas obserwowali na niebie zwiadowcze samoloty niemieckie. Za Kutnem pociąg dojechał do Żychlina, gdy pod wieczór zaczął się ostrzał pociągu z samolotów niemieckich. Wszyscy położyli się na podłodze. Kule gwizdały nad głowami, powybijały szyby, podziurawiły ściany. Szczęśliwie nikt z nich nie zginął. Na stacji w Żychlinie wysiedli z pociągu i biegiem dotarli do zadrzewień. Na oczach rodziny bomba z samolotu trafiła w drzewo, pod którym stali dwaj żołnierze. Zginęli, została po nich wyrwa w ziemi i jeden zakrwawiony but. Druga bomba spadła dwa metry od nich, nie wybuchła, i ten nalot przeżyli. Zbliżała się noc. Ludzie przenieśli się do pobliskiej, dużej mlecarni, gdzie doczekali poranka. Rano kupili kolejny wóz i konia. Ruszyli wraz

z wojskiem w kierunku Łowicza. Przeżyli bombardowanie Łowicza. To był jeden wielki ogień. Widzieli bombardowania szpitala, słyszeli krzyk rannych i umierających ludzi.

W Łowiczu mieszkało wielu Żydów. To głównie oni rozpaczali, krzyczeli, nawoływali się – utracili sklepy, majątek. Całe centrum miasta było spalone. Z wielkimi trudnościami przejechali przez zburzone miasto. Jeszcze kilka razy ukrywali się w zbożu, ziemniakach, kapuście przed ostrzałem z samolotów. Dotarli do Sochaczewa, a nad ranem do Warszawy. Miasto było jeszcze przejezdne. Po południu dojechali do Garwolina. To miasto było spalone doszczętnie. Sterczały tylko dopalające się, częściowo zburzone kominy. Tu, w Garwolinie zebrały się tłumy uciekinierów. O zmierzchu w nieodległych lasach rozgorzała prawdziwa bitwa. Wojskowi nie udzielali żadnych informacji, natomiast nakazywali cywilom zawracanie z drogi na Lublin. Niemcy w każdej chwili mogli przeciąć im drogę ewakuacji. Taką też decyzję podjęli Bińczykowie i Kopiccy. Postanowili wracać do domu, przez Warszawę.

POWRÓT PRZES WARSZAWĘ DO MŁYNKA

Tabory wracające drogą do Warszawy były wielokrotnie w ciągu dnia bombardowane i ostrzeliwane z samolotów. Szlak wyścielony był trupami ludzi i zwierząt. Polami, bocznymi drogami, lasem dotarli wieczorem do Warszawy od strony Grochowa. Z końmi nie wpuszczano już do miasta. Trzeba było zostawić konia na łące. Pieszko, w rosnącym tłumie ludzi, doszli do centrum miasta. Otrzymali miejsce noclegowe dla uchodźców w budynku przy ul. Chmielnej w pobliżu kina „Bałtyk”. Były to duże całkowicie puste sale, które wkrótce wypełniły się ludźmi. Z największym trudem zdobywali żywność.

W czasie pobytu w Warszawie dowiedzieli się, że Sowietci dokonali od wschodu agresji na Polskę. To była przygnębiająca wiadomość. Przez najbliższe dni Warszawa była intensywnie bombardowana. Niczym deszcz i grad z nieba leciały bomby. Miasto płonęło. Po wodę chodziło się do Wisły. Właśnie z tamtego miejsca Pani Irena widziała płonący Zamek Królewski, który bombardowali niemieccy lotnicy.

Bińczykowie przeżyli też kapitulację Warszawy i przemarsz niemieckich wojsk okupacyjnych przez stolicę. Jan Bińczyk biegle znał język niemiecki. Okazało się to bardzo pomocne w organizacji życia pod administracją niemiecką i później w drodze powrotnej do leśniczówki w Młynku. Z różnymi przygodami, ale w komplecie dotarli w Bory Tucholskie. Rodzina zatrzymała się u dziadków w Prusich, natomiast leśniczy Bińczyk musiał przygotować leśniczówkę na zimę. Okazało się bowiem, że znikły wszystkie meble, zostały rozkradzione. Uznano widocznie, że rodzina leśniczego już nie wróci. Opustoszały budynki gospodarcze, trzeba było przygotować zapasy żywności, opał i starać się

odzyskać skradzione sprzęty domowe. W dużej części się to w końcu udało. Leśniczy dotarł do domu byłej służącej, u której znalazł sporo mebli z leśniczówki. Jednak ze zwrotem były problemy, musiała interweniować policja, już niemiec-ka. Leśniczy jednak zabiegał o to, by za tę kradzież sprawcy nie ucierpieli. To była wielodzietna, uboga rodzina.

Dopiero na Boże Narodzenie rodzina Bińczyków w komplecie i z jako takim wyposażeniem przywróconym leśniczówce była znowu razem. Pani Irena wspomina, że z nowego związku małżeńskiego jej ojca z ciotką Martą, 20 maja 1940 roku, urodziła się Krystyna.

OJCIEC W KONSPIRACJI

Pani Irena domyślała się, że ojciec działa w polskiej konspiracji. Przez leśnicówkę przewijało się wiele osób, co jednak na początku nie budziło podejrzeń Niemców, gdyż interesanci u leśniczego byli zjawiskiem naturalnym. Tu załatwiano się drewno, prace w lesie, prace w gospodarstwie, ubój zwierząt. Pamięta dobrze, że sporo żywności przygotowywano dla ludzi ukrywających się w lasach. Dowiedziała się później od starszych braci, że przy udziale ojca i jego synów wybudowano kilka bunkrów na terenie Leśnictwa Młynek. W bunkrach w lesie mieszkała spora grupa partyzantów „Gryfa Pomorskiego”. Pani Irena nie wie, kim byli. Znała tylko ich imiona. Chociaż na terenie Leśnictwa Młynek funkcjonowało kilka bunkrów, to o tym w domu się nie mówiło przy dzieciach. W czasie wojny Pani Irena przewoziła rowerem informacje pomiędzy ojcem, a innymi członkami konspiracji, np. do Męcikału, do młyna w Czernicy, do Meggerów. Nie znała znaczenia i wagi tych przekazów, były szyfrowane.

PRZYJECHALI PO OJCA

Pani Irena pamięta, że od początku 1943 roku co jakiś czas docierały informacje o wykryciu bunkrów gdzieś na terenie Borów Tucholskich, o przypadkach zdrady, obławach niemieckich, o śmierci niektórych partyzantów i osób ukrywających się w bunkrach. Pamięta dobrze 3 maja 1943, kiedy ojciec Jan Bińczyk poszedł o zmierzchu do lasu i wiedziała, że miał odwiedzić bunkry z racji przypadającego na ten dzień polskiego święta narodowego. Ojciec był wielkim patriotą. Święta narodowe były uroczyście obchodzone w leśniczówce jeszcze w czasach pokoju. Odwiedził tego dnia partyzantów i prawdopodobnie wspólnie śpiewano pieśni patriotyczne, podejmowano bieżące sprawy konspiracji, omawiano plany odbudowy Polski, już wkrótce, gdy Niemcy przegrają wojnę. W sprawy konspiracji była wtajemniczona Marta, żona leśniczego. Była nawet taka umowa, żeby w przypadku niebezpieczeństwa otwierać okno na górze leśniczówki lub wejście do piwnicy, bądź zostawiać inny uzgodniony znak. Ojciec wracając z lasu, już z daleka wiedziałby o zagrożeniu.

4 maja 1943 roku, około godziny piątej rano, do leśniczówki weszli dwaj agenci gestapo. Zbudzili całą rodzinę i zgromadzili wszystkich w pokoju stołowym. Zakazali zbliżać się do okna i nawet patrzeć w tamtą stronę. Spyтали gdzie jest leśniczy Jan Bińczyk. Jego żona Marta odpowiedziała, że poszedł do lasu. Kolejne pytanie – O tej porze do lasu? Żona leśniczego była przygotowana na taką okoliczność i wyjaśniła, że ze względu na nocne kradzieże drewna leśniczy o różnych porach nocy patroluje teren. Niemcy zamknęli rodzinę w pokoju na klucz wraz z umundurowanym i uzbrojonym żołnierzem niemieckim. Zakazali rozmawiać, wychodzić do toalety, nawet ruszać się. Służącą posadzili w kuchni, plecami do okna i pod groźbą rozstrzelania zakazali jakiegokolwiek ruchu. Niemcy obstawili pozostałe pomieszczenia w leśniczówce – byli w piwnicy, na parterze i na piętrze, tylko na zewnątrz się nie ujawniali, by nie ostrzec leśniczego, który będzie wracał z lasu. Po upływie dwóch godzin, za zamkniętymi drzwiami domownicy usłyszeli jakiś szum, przyspieszone kroki, jakieś szarpanie i zatraskujące się drzwi, prawdopodobnie od kancelarii. Wiedzieli, to wrócił z lasu ojciec Jan Bińczyk. Później nastąpiła cisza. I znowu głucho uderzenia, jęki, brzęk tłuczonego szkła. Była to prawdopodobnie desperacka próba leśniczego ucieczki przez okno. W chwilę potem nastąpił przytłumiony strzał, który domownicy odebrali jako moment zastrzelenia ojca, bo potem już wszelkie odgłosy ucichły. Dlaczego Jan Bińczyk podjął próbę ucieczki, a nie przyjął postawy obronnej, wyjaśniając, że wraca z leśnego obchodu? Nie wiadomo. Czy wśród agentów rozpoznał kogoś, kto wiedział o jego konspiracyjnej działalności?

ZABRALI TEŻ ZYGMUNTA

Z tego, co widziała i później opowiedziała służąca posadzona na krześle w kuchni, po strzale w kancelarii, przyszedł do kuchni po wodę jeden z oprawców. Była im potrzebna do obmycia rany postrzałowej i próby ocucenia leśniczego. Następnie zatamowali upływ krwi, położyli nieprzytomnego na kocu i czterej żołnierze wynieśli go do samochodu, który podjechał pod leśniczówkę. Chwilę potem dwaj cywile weszli do pokoju, gdzie była rodzina Bińczyków. Pytali synów leśniczego o imię i nazwisko. Bili po twarzy. Wzięli ze sobą Zygmunta. Jak się później okazało przez pomyłkę. Był wyższy od Henryka i sądzili, że jest starszy.

Jak tylko Niemcy odjechali spod leśniczówki, zabierając Jana i Zygmunta Bińczyków, Henryk pospiesznie ubrał się i uciekł do lasu, spodziewając się, że Niemcy wkrótce po niego wrócą. Tak rzeczywiście było. Jeden samochód wrócił po Henryka, ale już go nie zastał. Marta – żona leśniczego wyjaśniła, że był w szoku po dramatycznych wydarzeniach i pobiegł do lasu w niewiadomym kierunku.

ŚMIERĆ W NIEMIECKIM SZPITALU

Jana Bińczyka zawieziono do szpitala w Chojnicach, gdzie przeszedł dwie operację. Po kilku dniach przewieziono go do Stutthofu, gdzie też przeszedł operację, wreszcie w stanie skrajnego wycieńczenia organizmu Niemcy przewieźli go do szpitala więziennego na Pohulance w Gdańsku. Tam przechodził ostatnie operacje polegające na amputacji postrzelonej nogi. Szóstej operacji nie przeżył, nie wybudził się z narkozy. Według Pani Ireny ojciec zmarł 20 maja 1943 roku i został pochowany na cmentarzu w Gdańsku. Potwierdzał to jej brat Zygmunt, który tego samego dnia był kolejny raz przesłuchiwany w Gdańsku i pamiętał nietypowe zachowanie gestapowca, który przez dłuższą chwilę zakreślał w kalendarzu datę 20 maja, co nigdy przedtem, ani potem się nie zdarzyło. Zygmunt skojarzył to ze śmiercią ojca.

Tegoż 20 maja 1943 roku Marta Bińczyk z Panią Kopicką, która dobrze znała język niemiecki, pojechała do gestapo do Gdańska, by dowiedzieć się czegoś o mężu. W tym samym czasie do leśniczówki przyjechał niemiecki policjant z wiadomością, że Jan Bińczyk nie żyje. Ciało można odebrać w kostnicy szpitalnej na Pohulance w Gdańsku. Żona Marta pojechała z kilkoma jeszcze kobietami (Kopicką, Meggerową i siostrą Kopickiego mieszkającą w Gdańsku). Bińczyk był zmieniony nie do poznania. Znakiem charakterystycznym był brak lewej nogi, która była amputowana. Właściwie tylko po tym go rozpoznały.

LIST SIOSTRY ZAKONNEJ

W tym czasie okazało się, że przez ostatnie dni życia ojcem opiekowała się siostra zakonna. Napisała, jeszcze przed śmiercią Bińczyka, list – dla niepoznaki, prawdopodobnie na prośbę samego Bińczyka – adresowany do Joanny Meggerowej, żony leśniczego z Czernicy, w którym opisała sytuację leśniczego w szpitalu. Prosiła jednak, aby jej nie szukać, ani nikomu o liście – poza rodziną – nie wspominać, bo gdy się wyda, będzie to na nią wyrok śmierci. Pani Irena wspomina z pamięci treść tego listu: „Jestem siostrą zakonną. W szpitalu opiekuję się Janem Bińczykiem, leśnikiem. Proszę nie szukać ze mną kontaktu. List proszę po przeczytaniu natychmiast spalić. Leśniczy Bińczyk opowiedział mi, że przebywał najpierw w szpitalu w Chojnicach, później był przewieziony do szpitala w Stutthofie. Miał tam dwie operacje, które były nieudane. Później trafił do szpitala więziennego w Gdańsku, gdzie miał kolejne operacje. Jutro ma przejść szóstą operację. Ja już wiem, że jej nie przeżyje. Na potwierdzenie, że piszę prawdę, Pan Bińczyk podpisuje się na moim liście.” Rodzina poznała charakter pisma ojca. Bińczyk dopisał własnoręcznie: „Zostańcie z Bogiem. Jan Bińczyk”. List był celowo adresowany na Joannę Meggerową, aby nie wzbudzić podejrzeń i nie zdemaskować jego zawartości i samego nadawcy. Pani Irena nie wie, czy list został wówczas spalony. Nie widziała go więcej. Po śmierci ojca wielokrotnie słyszała, jak wieczorem klękał w kancelarii, opierał ręce o biurko i modlił się, jak za życia. Wtedy spokojnie zasypiała.

POWRÓT ZYGMUNTA

Po aresztowaniu ojca i brata Zygmunta, Irena przez kilka tygodni mieszkała u znajomych rodziny, Ryngwelskich. Później przeniosła się do Wentów w Małych Chełmach. Do Ryngwelskich zaś przyjechał Ksiądz Wrycza, który był duchowym przywódcą „Gryfa Pomorskiego”, i wielkim autorytetem dla mieszkańców Pomorza, poszukiwany przez całą wojnę przez Niemców. Po wojnie przesłuchiwany i inwigilowany przez NKWD i prosowiecki UB.

W końcu lipca 1943 roku przyjechała do Młynka z Niemiec bratowa nieżyjącej już naszej mamy Klary, z zamiarem zabrania Ireny do siebie w okolice Duseldorfu. Załatwiała formalności z tym związane, ale jeszcze musiała wrócić do Niemiec. W tym czasie niespodziewanie wrócił brat Zygmunt. Przebywał on od 4 maja 1943 roku, przez trzy miesiące na gestapo w Gdańsku, gdzie był wielokrotnie przesłuchiwany, bity i maltretowany. Nie wydał nikogo. Z Gdańska dojechał do Męcikału i nie mógł o własnych siłach dostać się do Młynka. Bińczykowie otrzymali wiadomość od Meggerów, żeby po niego przyjechać.

Marta była przeciwna wyjazdowi Ireny do Niemiec, gdyż oznaczało to dalsze rozbicie i rozproszenie rodziny, w której zmarła już matka, zginął ojciec, Henryk ukrywał się w lesie, Zygmunt, co prawda wrócił z gestapo, ale skrajnie wyczerpany. Był tak obolały, że nie mógł spać w zwykłym łóżku, a tylko na kocu położonym wprost na podłodze. Zostali razem w leśniczówce, tylko Henryk ukrywał się w lesie.

OBŁAWA W LEŚNICTWIE MŁYNEK

Leśniczówka Młynek była systematycznie obserwowana. Rodzina Bińczyków przekonała się o tym, gdy pewnej nocy około trzeciej nad ranem przyszedł pod okno sypialni starszy z braci Bińczyków, Henryk i prosił o przekazanie do Meggerów jego ciepłych ubrań, po czym oddalił się do lasu. Po godzinie pojawili się w leśniczówce niemieccy żandarmi z pytaniem „Gdzie jest Henryk?” „Nie wiemy”, „Henryk był pod oknem, widzieliśmy go”, „To dlaczego go nie zatrzymaliście?”. To zdarzenie utwierdziło Bińczyków, że leśniczówka jest pod stałą obserwacją.

W końcu sierpnia 1943, Niemcy przeprowadzili dużą obławę w lasach Leśnictwa Młynek. Brały w niej udział dwa samoloty zwiadowcze, radiostacje, które ustawiono przy leśniczówce, wozy bojowe i duża grupa uzbrojonych żołnierzy. Niemiecki oficer zabrał Zygmunta jako przewodnika po lasach otaczających leśniczówkę. Niemcy liczyli, że znajdą bunkry z partyzantami „Gryfa Pomorskiego”. W leśniczówce została żona Bińczyka Marta z Ireną (15 lat), Witkiem (6 lat) i Krysią (3 lata). Drugi z oficerów wziął całą rodzinę i nakazał wykopanie dołu tuż za ogrodzeniem leśniczówki. Wskazywało to na zamiary Niemców. W przypadku wykrycia bunkrów, rodzina będzie rozstrzelana. Potwierdził to oficer.

Obława trwała około pięć godzin. Jak wspominał później Zygmunt, przechodzili blisko bunkrów, jednak żadnego z nich nie zlokalizowali. Po południu, wojsko niemieckie opuściło teren leśnictwa.

OBÓZ W POTULICACH

Po kilku tygodniach, 22 września 1943 roku, przyjechali Niemcy po raz kolejny do leśniczówki i oświadczyli, że cała rodzina ma piętnaście minut na spakowanie się, bo będzie skierowana do obozu koncentracyjnego. Poinformowano leśniczego Kopickiego z Asmusa, aby zajął się inwentarzem, który zostaje w Młynku. Miejscowy robotnik otrzymał zadanie przewieźć rodzinę Bińczyków do Brus. W hali kinowej gromadzono ludzi, których potem pociągiem wywieziono przez Chojnice w kierunku obozu, jeszcze nie było wiadomo, do jakiego. Żona leśniczego Kopickiego podjęła starania w urzędach niemieckich w Brusach, później w Chojnicach, aby oszczędzić rodzinę Bińczyków ze względu na małe dzieci, jednak niczego nie wskórała. Pociąg dojechał do Nakła. Dalej, do obozu w Potulicach, więźniowie dotarli pieszo, pchając skromny dobytek na podstawionych wozach.

Podczas pobytu w obozie, Zygmunt od początku ciężko pracował przy rozładunku węgla w Nakle. Racje żywnościowe były bardzo skromne. Pani Irena wspomina z wdzięcznością pomoc, jaką uzyskiwali do Kopickiej, żony leśniczego z Asmusa. Co miesiąc przysyłała dwa i pół kilograma chleba z tłuszczem. Na tyle tylko pozwalali Niemcy.

Z frontu przychodziły do obozu postrzelane wojskowe ubrania do naprawy. Irena zajmowała się ich naprawą. Ciocia Marta szyła ocieplane czapki żołnierskie. Ta odzież była kierowana na front wschodni. Dzieci: trzyletnia Krysia i siedmioletni Witek zachorowały wkrótce na tyfus. Krysia po dwóch tygodniach zmarła, Witek szczęśliwie przeżył i po sześciu miesiącach udało się go nawet przekazać pod opiekę dziadkom do Pruskiego koło Osia. Zygmunta Niemcy wywieźli do obozu pracy do Stargardu Szczecińskiego.

Porządkowym w Potulicach był Karol Cebula, który po wojnie ożenił się z wdową Martą Bińczyk. Poznali się w obozie. Za funkcję porządkowego w obozie potulickim miał on po wojnie duże kłopoty, jednak nie znaleziono zarzutów ze strony współwięźniów, które by go obciążały. Pani Irena mówi o nim jako o dobrym człowieku, który traktował ją jak własną córkę, a po latach przyczynił się do odszukania grobu Jana Biczyska, ekshumacji szczątków i przeniesieniu na Cmentarz Wojenny w Brusach. Obóz w Potulicach został oswobodzony przez Armię Czerwoną 21 stycznia 1945 roku.

RATUNEK DLA HENRYKA

Starszy syn leśniczego z Młynka, Henryk Bińczyk, do końca wojny ukrywał się w bunkrach na terenie Borów Tucholskich. Podczas obławy niemieckiej

w lasach koło Gostycyna został ciężko ranny. Zdołał jednak uciec i przy pomocy kolegów ukryć się w bezpiecznym bunkrze. Bardzo krwawił. Otrzymał pomoc lekarską, jednak z dnia na dzień stan jego zdrowia pogarszał się. Wdała się infekcja, malały szanse na przeżycie w warunkach ziemianki. Pomogli Kopiccy.

Franciszek Kopicki był leśniczym w Asmusie. Ryzyko dla rodziny było jednak ogromne. W razie wykrycia faktu udzielenia pomocy Henrykowi można przypuszczać, że wszyscy zginą, a co najmniej trafią do obozu koncentracyjnego, co najczęściej też oznaczało śmierć. Ponadto, dowódca partyzantów, przekazując Henryka pod opiekę Kopickich zapowiedział, że zdrada oznacza wyrok śmierci na całą rodzinę. Kopicka i jej syn Leszek zajęli się Henrykiem. Sprowadzili zaufanego lekarza, który opanował infekcję rany. Henryk powracał do zdrowia. W czasie pobytu Henryka w Leśnictwie Asmus miała miejsce oblawa organizowana w okolicznych lasach przez wojsko niemieckie. Sprawdzano również leśnicówkę, szczęśliwie nie odkryto obecności rannego, który leżał za drzwiami w nieużywanym pokoju pełnym nowych mebli dla córki, która niedawno wyszła za mąż. Henryk przeżył.

POSZUKIWANIA GROBU

Grupowy z obozu w Potulicach, Karol Cebula i wdowa Marta Bińczyk pobrali się po zakończeniu wojny. Dla Pani Ireny wujek Karol był najlepszym przyjacielem. Nie miał własnych dzieci, za to Irenę przedstawiał zawsze jako córkę. To on postanowił, że odszuka grób Jana Bińczyka i przeniesie jego prochy na Cmentarz Wojenny w Brusach. Nie było to zadanie łatwe. W pogrzebie Jana Biczka w 1943 roku brała udział jego żona Marta oraz Janina Kopicka, siostra leśniczego Kopickiego i Joanna Meggerowa. Jednak w czasie późniejszych działań wojennych cmentarz na Pohulance został całkowicie zburzony i zrównany z ziemią. Nie było jednego grobu, który by się ostał. Wiele lat po wojnie, po uporządkowaniu, był wręcz nie do poznania. Znikło wiele grobów, a pojawiły się nowe. Wyrośli nowe drzewa i krzewy.

W październiku 1972 roku zaczęły się poszukiwania grobu Jana Bińczyka na cmentarzu w Gdańsku. Księga cmentarna była częściowo spalona. Niepewny też był numer grobu. Na podstawie informacji z różnych źródeł odkopywano kilka grobów. Dopiero na starym cmentarzu odnaleziono grób nr 67 i dwie rosnące na nim trzydziestoletnie tuje, które były posadzone wkrótce po pogrzebie. Odkopano grób. Brakowało lewej nogi. Wszystko potwierdzało, że jest to grób leśniczego Jana Bińczyka. Prochy leśniczego zebrano w małej trumnie, przewieziono do Brus, gdzie w listopadzie 1972 roku odbył się pogrzeb na Cmentarzu Wojennym.

„POLSKA NIE ZAPOMNI”

Po wojnie Bińczykowie zostali bez rodziców, bez domu i bez środków do życia. Nie mieli nic. Pani Irena pamięta, jak ojciec Jan Bińczyk angażujący się

w działalność konspiracyjną, w pomoc Polakom ukrywającym się w bunkrach, by nie służyć w wojsku niemieckim, bądź poszukiwanym polskim patriotom mówił, że to obowiązek każdego prawdziwego Polaka, miłującego Ojczyznę. Nawet gdyby mu się coś stało, to Polska o jego dzieciach nie zapomni - mówił. Rzeczywistość powojenna okazała się całkiem inna.

TRZECH SYNÓW, TRZECH LEŚNIKÓW

Pani Irena jako młodociana nie mogła zaraz po wojnie pracować zarobkowo. Pracowała na czarno w mleczarni, później na poczcie w Nakle, za samo utrzymanie. Po ukończeniu osiemnastu lat otrzymała zatrudnienie za skromną pensję, na poczcie w Potulicach. Mieszkała u wujostwa. Później przeniosła się do Bydgoszczy, wyszła za mąż.

Witold Bińczyk, najmłodszy z braci, po wojnie ukończył liceum. Zaczynał studia leśne w Warszawie, a skończył w Poznaniu. W latach 1958-1989 pracował na terenie Okręgowego Zarządu Lasów Państwowych w Szczecinku. Najpierw w Zespole Składnic w Miastku, później na stanowisku podleśniczego i leśniczego w Nadleśnictwie Warcino. Następnie był instruktorem ds. techniczno-leśnych w Nadleśnictwie Gościno, a od 1981 do 1989, aż do przejścia na rentę inwalidzką, adiunktem w Nadleśnictwie Białogard. Zmarł w kwietniu 2008 roku.

Zygmunt Bińczyk poszedł do pracy w lesie zaraz po zakończeniu wojny, najpierw jako praktykant leśny w Nadleśnictwie Sartawice. Trafił do leśniczego Lewica koło Nowego w powiecie świeckim. Ożenił się z jedną z jego córek. Przeniósł się na teren Okręgowego Zarządu Lasów Państwowych w Szczecinku. Ukończył Technikum Leśne w Warcinie. Pracował jako podleśniczy, potem leśniczy w nadleśnictwach Wiatrołom, Gumieńce, Polanów i Warcino. W 1983 przeszedł na emeryturę. Zmarł w październiku 2008 roku.

Henryk po wojnie, po rozwiązaniu „Gryfa Pomorskiego” wyszedł z lasu. Szukał pracy w leśnictwie. Był zakochany w lesie. Przez pół roku pracował jako podleśniczy na terenie Nadleśnictwa Laska. Zaproponowali mu leśniczówkę Młynek, jednak on nie chciał tam wracać. Wspomnienia wojenne były zbyt świeże i bolesne. Przyjął propozycję pracy w lasach OZLP w Szczecinku. Tam się ożenił. Ukończył Technikum Leśne w Warcinie. Od 1946 roku do przejścia na emeryturę w 1987 pracował na stanowisku leśniczego Leśnictwa Barnowiec w Nadleśnictwie Wiatrołom (po reorganizacji w 1975 Nadleśnictwo Dretyń). Namawiano go na studia i nawet do pracy w ministerstwie w Warszawie. Nie chciał, wybrał zawód leśniczego, na całe życie. Henryk Bińczyk zmarł w 2006 roku.

POST SCRIPTUM

23 maja 2009 roku, z inicjatywy leśników Nadleśnictwa Przymuszewo, odbyła się patriotyczna uroczystość poświęcona pamięci leśniczego Jana Bińczyka.

Uczestniczyli w niej członkowie rodziny Bińczyków, przedstawiciele Parlamentu RP, leśnicy, samorządowcy, reprezentacja młodzieży z kilku pobliskich szkół, Wojsko Polskie i członkowie grupy rekonstrukcyjnej z Męcikału, duchowieństwo, leśnicy i licznie zgromadzeni mieszkańcy regionu, głównie miejscowości powiatu chojnickiego. Podczas tego wydarzenia odsłonięto, umieszczoną na kamieniu, tablicę pamiątkową z inskrypcją poświęconą Janowi Bińczykowi.

Tadeusz Chrzanowski

Bydgoszcz – Toruń, 2008 -2009



Tablica z inskrypcją upamiętniającą leśniczego Jana Bińczyka ps. Zagłoba, posadowiona w sąsiedztwie leśniczówki Młynek 23 maja 2009 roku. Fot. Tadeusz Chrzanowski



Józef Łacki (1899 – 1945)

Leśniczy JÓZEF ŁĄCKI

(1899-1945)



ózeł Łącki urodził się 9 marca 1899 roku. Był dzieckiem z mieszanego małżeństwa, to jest ojca Polaka, pochodzącego z Kaszub i matki Niemki, rodem z Prus Wschodnich. Ukończył siedmioklasową Szkołę Powszechną. Został powołany do armii niemieckiej 20 grudnia 1917 roku, zwolniony 16 marca 1918. Później, po odzyskaniu niepodległości przez Polskę, w okresie od 6 grudnia 1921 do 30 listopada 1923 służył w Wojsku Polskim. Po powrocie do życia cywilnego ukończył Szkołę dla Leśniczych w Margoninie i podjął pracę w Lasach Państwowych.

Od 1 września 1926 roku jako pracownik prowizoryczny, a od 17 lutego 1930 jako pracownik mianowany kierował Leśnictwem Cieszyzny w Nadleśnictwie Mszano (obecnie teren nadleśnictw Golub-Dobrzyń i Brodnica). Kilka miesięcy przed wybuchem II wojny światowej, w maju 1939, objął Leśnictwo Dobrzejewice (po inż. Witoldzie Kowalczewskim, który 1 kwietnia 1939 roku został nadleśniczym Nadleśnictwa Popioły), które wchodziło wówczas w skład państwowego Nadleśnictwa Lipno z siedzibą w Skępem. Nadleśnictwem kierował Stanisław Szancer (ur. 1879), absolwent Wyższej Szkoły Lasowej we Lwowie.

Po napaści Niemiec na Polskę we wrześniu 1939 Łącki pozostał na stanowisku leśniczego Leśnictwa Dobrzejewice. Na spotkaniu z załogą oświadczył, że jest... Niemcem i będzie wymagał solidnej pracy, bo lasu, podobnie jak ziemi ornej nie można oszukiwać. Będzie sprawiedliwym nadzorcą dla robotników leśnych. W 1940 roku podpisał Niemiecką Listę Narodową (Deutsche Volksliste – DVL), co niewątpliwie podniosło jego wiarygodność w oczach niemieckich władz okupacyjnych. Jeszcze w 1940 roku miał miejsce nasilony wywóz Polaków na roboty przymusowe w głąb Rzeszy. Łącki otrzymał wtedy limit na zatrudnienie 20 robotników leśnych. W obawie przed wywózką do Rzeszy, do pracy w lesie zgłosiło się znacznie więcej chętnych. Łącki zatrudnił 40, uzasadniając konieczność takiej decyzji dużym rozmiarem prac w leśnictwie. Ponadto, udało mu się utrzymać w pracy czterech gajowych narodowości polskiej, pośród których był m.in. Stanisław Makowski, podwładny Łackiego, pozostający również w strukturach polskiej organizacji konspiracyjnej.

Mieszkańcom Dobrzejewic i okolicy znane były kontakty Józefa Łackiego z ks. Józefem Rosińskim z Łączyńska II, Stanisławem Florkiewiczem, kowalem z Osieka, Andrzejem Ramlau'em z Jesionki i Józefem Sadowskim z Lipna, działającym w polskim podziemiu. Prywatnie przyjaźnił się z Niemcem Hermanem Templinem

z Krobi, ale konsekwentnie unikał kontaktów z jego bratem Albertem, znanym z nienawiści do Polaków. Spotykał się z aptekarzem Stefanem Niteckim, któremu zabrano aptekę za kilkakrotną odmowę podpisania Volkslisty. Wobec bardzo trudnych warunków materialnych aptekarza wysyłał do niego gońca z żywnością, ukrytą w plecaku oznakowanym czerwonym krzyżem. W późniejszym okresie okupacji Nitecki i Łącki należeli do tego sami Obwodu Armii Krajowej w Lipnie.

Z relacji członków polskiego podziemia (m.in. Ignacego Bogdalskiego z Kawęczyna) wiadomo, że 1 maja 1941 roku lokalny sztab organizacji konspiracyjnej złożył przysięgę w kościele w Łążynie II, którą odbierał ks. Józef Rosiński. Teren między Drwęcą i Wisłą po Nowogród został podzielony na rejon, placówki i najmniejsze – drużyny. Komendantem lokalnego zgrupowania został Józef Łącki. Było to najpewniej zgrupowanie działające w strukturach Polskiej Organizacji Zbrojnej „Znak” (POZ), która przed scaleniem w ramach Armii Krajowej, była najsilniejszą i najliczniejszą polską organizacją podziemną w powiecie lipnowskim. „Znak” skupiał ponad 1100 zaprzysiężonych członków, w tym sześciu oficerów, 18 podchorążych i 420 podoficerów.

W początkowym okresie działalność POZ polegała na werbowaniu członków, a następnie tworzeniu oddziałów wojskowych, prowadzeniu działalności wywiadowczej, a także na tropieniu konfidentów. Oprócz tego, komendy powiatowe (Lipno, Skrwilno) organizowały szkolenia oddziałów sabotażowych i dywersyjnych. POZ na terenie powiatu lipnowskiego kolportowała instrukcje i odezwy, a także wydawała własne pismo propagandowe pt. „Iskra Wolności” (wiodącą rolę odgrywała tu rodzina Lulińskich z Józefkowa koło Lipna). Ponadto, członkowie POZ organizowali miejsca przerzutów dla osób zagrożonych i ściganych, a udających się na teren Generalnej Guberni, w tym do Warszawy. Jak się wydaje, ogromną rolę w tym zakresie odgrywała dobrze zakonspirowana leśniczówka Dobrzejewice. Członkowie POZ, prowadząc pracę informacyjną i uświadamiającą w celu przygotowania społeczeństwa do masowego zbrojnego powstania przeciwko okupantowi, organizowali i prowadzili nasłuch radiowy. Wspomina o tym m.in. Andrzej Ramlau, późniejszy nadleśniczy Nadleśnictwa Dobrzejewice, w swojej powojennej relacji z 1990 roku, potwierdzając, że wraz z leśniczym Łąckim systematycznie słuchali radia, gdyż Łącki jako obywatel niemiecki mógł legalnie posiadać taki odbiornik.

Z dniem 14 lutego 1942 roku takie podziemne organizacje tajne, jak: Polska Organizacja Zbrojna „Znak”, Komenda Obrońców Polski, Związek Walki Zbrojnej i inne, samorzutnie istniejące, zostały zespolone w ramach Armii Krajowej. Od tej chwili – formalnie – placówka AK w Dobrzejewicach, w której komendantem był leśniczy Józef Łącki, znalazła się w strukturach Obwodu AK Lipno, Inspektoratu AK Włocławek, Okręgu AK Pomorze. W rzeczywistości proces scaleniowy trwał ponad rok i jeszcze w 1943 część struktur funkcjonowała pod nazwą Polska Organizacja Zbrojna (POZ).

W rejonie IV AK obwodu lipnowskiego (komendantem rejonu IV był Zbigniew Ramlau ps. Zygmunt), obejmującego placówki w Dobrzejewicach, Czernikowie, Mazowszu i Nowogrodzie, wysokim stopniem konspiracyjnym organizacji wyróżniały się placówki w Obrowie i Dobrzejewicach. Przysięgi (w ramach AK) z terenu Obrowa odbierał łącznik leśny, gajowy Stanisław Celmer ps. Kuba. Utrzymywał on kontakty organizacyjne z placówką AK w Dobrzejewicach poprzez łącznika leśnego, gajowego Stanisława Makowskiego z Dobrzejewic. Dowódcą placówki Dobrzejewice był natomiast „nadleśniczy” Józef Łącki. Z żołnierzami AK na terenie wyżej wymienionych placówek kontakty utrzymywała Genowefa Hamerska ps. Mama z Torunia. W tym miejscu warto zaznaczyć, że Łącki bardzo często nazywany był nadleśniczym ze względu na rzeczywistą, kierowniczą rolę nad gospodarką leśną dobrzejewickich lasów w okresie okupacji niemieckiej. Tak też tytułują go w swoich powojennych relacjach członkowie organizacji konspiracyjnych i mieszkańcy okolicznych miejscowości.

10 lipca 1942 roku, z inicjatywy Łąckiego i Andrzeja Ramlaua, w lasach Leśnictwa Dobrzejewice odbyła się narada terenowego sztabu Armii Krajowej, na której Rzepecki z Czernikowa złożył relację z mordów dokonanych przez NKWD na oficerach polskich w Ostaszkowie i Kozielsku (w Miednoje i Katyniu). W naradzie udział brali m.in. Józef Łącki, Janusz z Makówca, Stanisław Kita ze Szczutowa, Janina Sakrajda ps. Hanka z Torunia, zamieszkująca w tym czasie w leśniczówce Dobrzejewice, Rzepecki z Czernikowa, Ignacy Bogdalski z Kawęczyna, Feliks Burak z Dobrzejewic, Szymplik z Łążyńka, Tarnowski z Osówki, Paczkowski z Dąbrówki, Grzegorz Krawiec i Stanisław Florkiewicz z Osieka n. Wiśłą, Feliksa Orszt z Włocławka, Mieczysław Olszewski i Stefan Nitecki z Lubicza.

Łącznikiem komendanta Łąckiego na obwód lasów skrwilneńskich był Stanisław Kita ze Szczutowa. Po zdradzie, jaka miała miejsce 5 maja 1943 roku, nastąpiły liczne aresztowania. Wściekłość Niemców potęgowała dywersja drogowa pod Lipnem. W następstwie rozciągniętej liny drucianej, rozbił się motocykl z dwoma żandarmami. Gestapowcy dokonali 7 maja 1943 obławy domu Stanisława Kity. Nad nim oraz członkami lokalnych struktur AK zawisła realna groźba aresztowań. Łącki, Nitecki, Ramlau, Florkiewicz i inni pozostawali w swej pracy, nie uciekając do lasu, co byłoby potwierdzeniem ich przynależności do podziemia. Gestapowcy jednak po nich nie przyszli, tzn. że Stanisław Kita, mimo tortur, nikogo nie wskazał. Mimo niebezpieczeństwa AK-owcy pod wodzą Józefa Łąckiego kontynuowali działalność konspiracyjną, odbudowując struktury organizacji, prowadząc działalność charytatywną i pomocową wobec osieroconych wdów i dzieci po zamordowanych i więzionych członkach organizacji konspiracyjnych, jak również oficerach polskich przebywających w niemieckich obozach jenieckich.

Po wkroczeniu Sowietów w lutym 1945 roku trzech mieszkańców z Kawęczyna (Kazimierz G., Jan M., Stanisław B.), kierując się niskimi pobudkami,



Leśniczy Józef Łącki (trzeci od prawej) z żoną i grupą znajomych, okresowo zamieszkujących leśniczówkę w Dobrzejewicach. Rok 1943. Fot. archiwum Włodzimierza Sakrajdy

Mieszkańcy leśniczówki w Dobrzejewicach przed stogiem siana, latem 1943 roku. Leśniczy Józef Łącki stoi z synem na ramionach. Fot. archiwum Włodzimierza Sakrajdy



sporządziło pisemne doniesienie na leśniczego Łackiego. Wręczyli je komendantowi NKWD stacjonującemu w domu Smolińskich, w obecności gospodarzy. Łącki został natychmiast aresztowany i osadzony w Szkole Powszechnej w Obrowie, w której część pomieszczeń przeznaczono na areszt. Leśniczy został wywieziony do Rosji sowieckiej. Podjęta próba obrony okazała się spóźniona. Petycja grupy mieszkańców Torunia i okolic, których w czasach okupacji niemieckiej przechowywał i ratował leśniczy Łącki, dotarła do komendanta rosyjskiego w Toruniu. Licznie zebrane podpisy okazały się na tyle skuteczne, że został zwolniony z obozu przejściowego na terenie ZSRR. Autorzy donosu z Kawęczyna pozostali jednak bezkarni.

Ostatnie miesiące życia, jak również okoliczności śmierci Józefa Łackiego nie zostały dotychczas jednoznacznie wyjaśnione. Ignacy Bogdalski z Kawęczyna, podkomendny Łackiego z Placówki AK w Dobrzejewicach, w swoich wspomnieniach pisze, że po aresztowaniu komendanta Łackiego przez NKWD został on osadzony w areszcie w szkole w Obrowie, po czym ślad po nim zaginął. Stanisław Giziński i Marek Pawłowski, opierając się na relacjach mieszkańców Dobrzejewic, Zawałów i okolic, piszą, że Łącki został wywieziony na Góry Ural lub na Syberię, gdzie w wyniku wycieńczenia i choroby zmarł w sierpniu 1946 roku. Wspomina się, że mogło to mieć miejsce w Czelabińsku. Mirosław Krajewski powołuje się na łączniczkę AK z Torunia, Genowefę Hamerską ps. Mama, która w swoim oświadczeniu wspomina, że „w nieznanych bliżej okolicznościach w 1945 roku na terenie swojego nadleśnictwa został zamordowany przez UB nadleśniczy Łącki, dowódca placówki AK Dobrzejewice pod Toruniem”.

Najbardziej prawdopodobny przebieg wydarzeń po aresztowaniu Łackiego przez NKWD w lutym 1945 przedstawia, jak można sądzić, Włodzimierz Sakrajda. W czasie okupacji, razem z matką Janiną Sakrajdową ps. Hanka w latach 1942-1944 mieszkał on okresowo u Łackich w leśniczówce Dobrzejewice. Po zakończeniu działań wojennych (i już po śmierci Józefa Łackiego) rodziny Łackich i Sakrajdów utrzymywały kontakty, szczególnie wdowa po leśniczym Zofia Łacka i Janina Sakrajdowa, które znały się jeszcze sprzed wojny z Gimnazjum Żeńskiego w Toruniu. Według relacji Włodzimierza Sakrajdy leśniczy Józef Łącki został aresztowany przez NKWD na skutek donosu, który złożyli wspomniani trzej mieszkańcy Kawęczyna. Został uwięziony z grupą innych Polaków w szkole w Obrowie, po czym wywieziony do łagru na terenie ZSRR. Współtowarzyszem Łackiego był nauczyciel z Dobrzejewic, który przeżył łagier, wrócił do Polski i pracował później jako dyrektor szkoły w Dobrzejewicach (prawdopodobnie Józef Czarnowski, który później w latach 1950-1963 był dyrektorem szkoły w Dobrzejewicach).

Józef Łącki trafił do obozu przejściowego dla niemieckich jeńców wojennych pod Mohylewem (dzisiaj wschodnia Białoruś). Aresztowanie i zsyłka Łackiego spotkało się oburzeniem sporej grupy mieszkańców Torunia, którzy w okre-

się okupacji otrzymywali od niego pomoc, często wręcz ratującą ich życie. Pod petycją do władz sowieckich Torunia podpisali się też mieszkańcy Dobrzejewic, Zawaków i okolic, którzy znali jego działalność konspiracyjną. Interwencja okazała się skuteczna. Łącki i jeszcze kilku więźniów z obozu w Mohylewie zostali zwolnieni. Według relacji kierownika szkoły w Dobrzejewicach (Czarnowskiego, za Włodzimierzem Sakrajdą) on wraz z Łackim i jeszcze kilkoma Polakami postanowili jak najprędzej wracać do kraju. Nie wiadomo, dlaczego nie czekali na środek transportu, a zdecydowali się na wędrówkę wzdłuż toru kolejowego Mohylew – Brześć. Nauczyciel poświadczył, że w wyniku pobytu w łagrze Józef Łącki był silnie wycieńczony i schorowany. Po każdym dniu wędrówki był coraz słabszy. Na jednym z nocnych odpoczynków, gdy grupa byłych więźniów grzała się przy ognisku, piekąc zdobyte u okolicznych gospodarzy ziemniaki, Łącki zmarł i został przez współtowarzyszy pogrzebany prawdopodobnie na niewielkim cmentarzu w pobliżu stacji kolejowej. Nie utrzymała się niestety nazwa miejscowości.

Zofia Łącka – po aresztowaniu męża – przeniosła się z dziećmi z Dobrzejewic do Torunia. Mieszkała przez jakiś czas u znajomych na ul. Łaziennej. Po uzyskaniu wiadomości o śmierci męża nawiązała kontakt z rodziną w Jantarze nad Zatoką Gdańską. Tam otrzymała posadę nauczycielki i pracowała aż do emerytury. Na emeryturze zamieszkała w Kartuzach, gdzie przebywał w tym czasie ksiądz senior Franciszek Żur, jej katecheta z czasów Gimnazjum Nauczycielskiego w Toruniu, ukrywający się okresowo podczas okupacji w leśniczówce Dobrzejewice. Zofia Łącka zmarła w Kartuzach (ur. ok. 1909, zmarła ok. 1990 roku), gdzie też została pochowana.

Tadeusz Chrzanowski

Toruń, w lutym 2017 roku

OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA

*Rozmowa z Włodzimierzem Janem Sakrajdą, świadkiem życia i działalności
Józefa Łąckiego – leśniczego z Dobrzejewic w latach 1939-1945*

Znał Pan leśniczego Józefa Łąckiego z Dobrzejewic czasów okupacji?

Józefa Łąckiego dobrze pamiętam z lat 1943-1944. Wtedy miałem około pięciu – sześciu lat. Moja mama Janina Sakrajda przywiozła mnie wówczas z Torunia do leśniczówki w Dobrzejewicach do swojej szkolnej koleżanki „Ziuty” (Zofii Łąckiej) i jej męża leśniczego Józefa Łąckiego. Miałem nazywać ich ciocią i wujkiem, a ich dwaj synowie – Jurek i Andrzej zostali moimi kuzynami. Byłem wówczas zagłodzonym, wyniszczonym fizycznie dzieckiem, wręcz na granicy śmierci i z podejrzeniem ciężkiej choroby. Mój ojciec, jako oficer Wojska Polskiego i dowódca kompanii 64. Pułku Piechoty, we wrześniu 1939 roku dostał się do niewoli niemieckiej i przebywał w Oflagu II D Gross-Born. Niezwykłym staraniem Mamy i w wielkiej tajemnicy zbadał mnie wówczas niemiecki lekarz, szef służby medycznej w okupowanym Toruniu (mieszkał przy Szosie Chełmińskiej). Nawet on był przerażony moim widokiem. Nakazał natychmiastowy wyjazd na wieś, umieszczenie w jakimkolwiek gospodarstwie, gdzie dostanę mleko, chleb, jajka, masło. To mogło ocalić moje życie. Tak trafiłem do leśniczówki w Dobrzejewicach.

Gdzie mieszkali Łąccy przed wybuchem II wojny światowej?

Wiem, że w latach 30. ubiegłego wieku rodzina Józefa i Zofii Łąckich zamieszkiwała w Cieszynach koło Wrocek w ówczesnym powiecie brodnickim. Józef Łącki był leśniczym Leśnictwa Cieszyny, w Nadleśnictwie Mszano, a jego żona Zofia była nauczycielką – koleżanką szkolną z Seminarium Nauczycielskiego Żeńskiego w Toruniu mojej Matki Janiny Sakrajdy z domu Hanachowskiej. W latach 1931-1936 pani Łącka uczyła we Wrockach w okolicy Cieszyn. W maju 1939 Łąccy przenieśli się do leśniczówki w Dobrzejewicach, gdzie przez okres okupacji Józef Łącki był leśniczym.

Jak Pan zapamiętał leśniczówkę w Dobrzejewicach?

Leśniczówka była położona na dużej polanie, otoczona z trzech stron lasem, z jedną, wówczas polną, drogą. Do szosy były dobre dwa kilometry, do zabudowań wsi Zawady może kilometr. We wsi mieszkali niemal wyłącznie pracownicy leśni i ich rodziny. Było tych rodzin piętnaście, może dwadzieścia.

Leśniczówkę stanowił duży murowany budynek położony w pięknym parku, ograniczonym z trzech stron gęstym wysokim na ponad dwa metry żywopłotem. Do leśniczówki wjeżdżało się przez bramę, znajdującą się od szczytu budynku.

Była ona jednak zawsze zamknięta. Za leśniczówką była droga wewnętrzna, a przy niej kilkumieszkaniowy budynek służby, dalej obora, stajnia, chlew, warsztat, wozownia itp. Droga wewnętrzna w przedłużeniu prowadziła do pobliskiego lasu. Drugi szczyt domu, także zarośnięty żywopłotem, graniczył z ogrodem warzywnym. Jako dziecko wręcz gubiłem się w tym gospodarstwie. Częściej przebywałem w leśniczówce i w parku, gdzie bawiliśmy się razem z synami Łąckich – Jurkiem i Andrzejem.

Lokalizacja i zagospodarowanie Leśnictwa Dobrzejewice było w pewien sposób specyficzne. Aby dostać się do leśniczówki, trzeba było przejść przez bramę główną, furtkę w ogrodzeniu i wchodziło się korytarzem obok „biur”. Wejście główne było starannie zamykane. Wejście boczne, gospodarcze przeznaczone „dla służb”, było przy końcu budynku, odcięte od ogrodu żywopłotem. Okna parteru skrajnych pokoi na lewym szczycie budynku niemal przylegały do żywopłotów wiodących wzdłuż parku i warzywnika, aż do lasu otaczającego leśniczówkę.

Żywopłot był podwójny, bardzo gęsty i z obu stron obejmował drewniany płot z desek. Jego wysokość przekraczała dwa metry, a odległość między szpalerami wynosiła około 70 cm. Często z Jurkiem i Andrzejem bawiliśmy się biegając wzdłuż żywopłotu i pomiędzy szpalerami. Nie było przerw w żywopłocie, natomiast zdarzały się ruchome deski nieco jaśniejsze u dołu, które można było odchylić by przejść na drugą stronę płotu, także osłoniętą żywopłotem. Takie „tunele” prowadziły w kierunku lasu i kończyły się gęstymi kępami krzewów.

Jak w oczach dziecka utrwaliła się okupacyjna codzienność Dobrzejewic?

Życie w leśniczówce toczyło się na pozór bardzo spokojnie. Była pani Ziuta (Zofia) z synami, była starsza pani kucharka, była pomoc kuchenna – córka stolarza (równocześnie stelmacha i oborowego). Obowiązki sekretarki i zarządzającej personelem pełniła „ciocia Marysia”, traktowana jak bliska krewna, która – jak po latach wspominała moja Mama – była osobą obcą dla Łąckich i przybyła z Warszawy.

Dość często, jak na warunki Dobrzejewic, bo co dwa-trzy dni, zjawiali się w leśniczówce mężczyźni, rzadziej kobiety w średnim wieku. Zdarzało się, że nocowali, zawsze w pokoju na szczycie domu, po czym nagle znikali, nie pozostawiając żadnych śladów. Nikt o nich nie mówił, nie wspominał. Nie jedli przy wspólnym stole.

Dość często przychodziła moja Mama z jakąś kobietą w jej wieku. Czasem wychodziły razem do wsi Zawady lub Dobrzejewic. Zdarzało się, że wyjeżdżały bryczką ze starszym gajowym, mieszkającym w budynku na terenie gospodarstwa.

W odległości kilkuset metrów od leśniczówki, w głębi lasu, stała wysoka wieża strażnicza i przeciwpożarowa. Z jej szczytu widoczna była szosa na wy-



Włodek Sakrajda (z prawej) z Andrzejem, synem leśniczego Józefa Łąckiego przed leśniczówką w Dobrzejewicach. Lato 1944 roku. Fot. archiwum Włodzimierza Sakrajdy

sokości Dobrzejewic, droga od Dobrzejewic przez Zawały, zakręt i wjazd na drogę do leśniczówki. Na wieży był telefon zapewniający łączność z leśniczówką. Jak sięgam pamięcią, na wieży przez całą dobę znajdował się dyżurny, czasem dwóch i – co mnie dziwiło – również w czasie deszczu, gdy nie było zagrożenia pożarowego. Pamiętam, że po sygnale dzwonka telefonu i krótkiej rozmowie zazwyczaj wszyscy znikali z obejścia leśniczówki. Takie sytuacje zdarzały się dość często.

Niemcy odwiedzali leśniczówkę?

Wizyty mundurowych były raczej rzadkością. Pamiętam może trzy, cztery wizyty esesmanów. W jednym przypadku nastąpiło to kwadrans po rozmowie telefonicznej. W leśniczówce odezwały się dzwonki, padły krótkie polecenia.



Wśród wielu osób, które podczas okupacji znajdowały schronienie w leśniczówce Dobrzejewice, były też członkinie Armii Krajowej. Druga od prawej Zofia Łącka ps. Ziuta, trzecia Janina Sakrajda ps. Hanka. Pierwsza z lewej „ciocia Marysia” z Warszawy. Fot. archiwum Włodzimierza Sakrajdy

Dzieci oddaliły się na pole ziemniaczane i w zakrzaczenia poza gospodarstwem, dorośli zniknęli w pobliskim lesie. W domu pozostali państwo Łąccy, kucharka i pomoc domowa. Wkrótce zajechał samochód wojskowy, wysiadło dwóch esesmanów, jeden z Wehrmachtu, a jeden w mundurze niemieckiego leśniczego. Ja z Jurkiem i Andrzejem leżeliśmy w kartoflisku, około sto pięćdziesiąt metrów od leśniczówki. Niemcy gościli u Łąckich godzinę lub dłużej, ja wtedy ukryty w kartoflach chyba nawet zasnąłem. Po ich odjeździe pan Łącki wyszedł z dubeltówką do lasu. Wrócił po jakimś czasie, a z nim reszta mieszkańców leśniczówki. Jak się później (po wojnie) dowiedziałem od mamy i kilku mieszkańców Zawatów, każde pojawienie się w okolicy obcych, podejrzanych osób, nieznajomych urzędników było natychmiast zgłaszane do leśniczego Łąckiego.

Wiedział Pan, jaką działalność prowadzi leśniczy Łącki? Kim są tajemniczy ludzie nocujący w leśniczówce i znikający bez śladu, o których nigdy się nie rozmawiało?

Dopiero po wojnie, już jako dorosły człowiek, w rozmowach z Mamą, mieszkańcami Torunia, Dobrzejewic, Zawatów ustaliliśmy, że w okresie okupacji niemieckiej przez leśniczówkę państwa Łąckich przewinęło się około sześćdziesiąt osób, głównie z kręgu inteligencji i polskiego środowiska politycznego pobi-

skiego Torunia. Bez przesady można powiedzieć, że Państwo Łąccy ratowali im życie, narażając własne i swoich bliskich.

Pamięta Pan kogoś z imienia i nazwiska?

Z osób, które w czasie okupacji przewinięły się przez leśniczówkę w Dobrzejewicach, mogę wymienić profesora Karola Górskiego, wówczas młodego, dobrze zapowiadającego się studenta, a po wojnie profesora Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, księdza Franciszka Żura (ur. w 1906 roku w Jaroszewach, parafia Pogódki koło Kartuz. Zmarł w Kartuzach w 1984 roku), katechetę, późniejszego kanonika z Kartuz i proboszcza kolegiaty Wniebowzięcia NMP w Kartuzach, grupę młodych podchorążych, członków Armii Krajowej, w tym Adama Libere (później członka Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość), fotografika Olgierda Gałdyńskiego Tadeusza Lindnera, który po wojnie wyjechał do Australii. Niektórych poznałem tylko z imienia lub pseudonimu. Pamiętam natomiast doktora Laskowskiego spod Brodnicy, znanego później w Toruniu psychiatrę, a w czasie wojny zaufanego lekarza AK dla obszaru Toruń-Brodnica.

Mieszkańcy okolicznych wsi wiedzieli o konspiracyjnej działalności leśniczego Łąckiego?

Mieszkańcy Zawatów, pracownicy leśni mieli świadomość roli, jaką pełni ich leśniczy. Byli lojalni. Zdawali sobie sprawę, że nie mogą żadnymi nierozsądnymi czynami, w tym również kradzieżami drewna, czy nazbyt jawnym handlem mięsem (w pobliżu była granica z Generalną Gubernią) narażać mieszkańców leśniczówki na dekonspirację. Leśniczówka była przez całą okupację niemiecką ważnym punktem schronienia dla ludzi zdekonspirowanych i poszukiwanych przez Niemców, była też ważnym punktem przerzutowym do Generalnej Guberni, zwłaszcza ludzi „spalonych”, ale zapewne również kurierów polskiego podziemia. Leśniczy Łącki był komendantem lokalnej placówki AK. Dowodził ugrupowaniem podziemnym, które liczyło co najmniej kilkunastu członków – mieszkańców okolicznych miejscowości, m.in. Dobrzejewic, Czernikowa, Osieka i Kawęczyna.

Znane są Panu okoliczności aresztowania leśniczego i powojenne losy rodziny Łąckich?

Józef Łącki został aresztowany przez NKWD chyba jeszcze w lutym 1945 roku. Było to wynikiem donosu kilku mieszkańców Kawęczyna, kierujących się niskimi pobudkami. Łącki został wywieziony na wschód w okolice Mohylewa, gdzie był sowiecki łagier, obóz przejściowy dla jeńców niemieckich. Razem z Łąckim Rosjanie wywieźli kilku mieszkańców Dobrzejewic i okolicy. Był wśród nich nauczyciel, chyba o nazwisku Józef Czarnowski. To od niego pochodzi

informacja, że gdy po interwencji polskiej strony zwolniono grupę Polaków z łagru, a było to latem lub wczesną jesienią 1945, postanowili oni wracać pieszo wzdłuż linii kolejowej z Mohylewa na Białorusi do Polski. W grupie tej był Łacki i Czarnowski. Łacki był wycieńczony i schorowany. Podczas jednego z postojów, gdy nowocowali przy ognisku, leśniczy Łacki zmarł i został pochowany nieopodal stacji na niewielkim cmentarzu. Tak twierdził Czarnowski, który wrócił do Polski i później w latach 1950-1963 był kierownikiem szkoły w Dobrzejewicach. Nie znamy niestety nazwy stacji na dzisiejszej Białorusi, nieopodal której pochowano Łackiego.

Żona leśniczego Zofia Łacka z trzema synami: Jurkiem (ur. 1936), Andrzejem (ur. 1938) i Januszem (ur. na przełomie 1944/45), wyjechała z Dobrzejewic, najpierw do Torunia, a później – jeszcze w 1945, a może już w 1946 roku – objęła pracę kierownika szkoły w Jantarze blisko Stegny. Utrzymywała kontakt listowy i sporadycznie spotykała się z moimi rodzicami w Toruniu, później w Bydgoszczy, gdzie wówczas mieszkali. Wiem, że szczególnie bliski był kontakt mojej Mamy Janiny z panią „Ziutą”. Używam z premedytacją imienia Ziuta, gdyż pod nim pamiętam panią Łacką i tak podpisane są zachowane zdjęcia, dedykowane moim rodzicom. Także Józefa Łackiego pamiętam jako „Ziuka”, bo tak w naszej rodzinie był nazywany.

Jakie były losy synów Łackiego?

Jurek i Andrzej Łąccy byli moimi kolegami w czasie pobytu w Dobrzejewicach. Potem, w latach pookupacyjnych, kontakty się urwały. Wiem, że Jurek zginął śmiercią tragiczną w wypadku samochodowym. Andrzej natomiast wyjechał jeszcze w latach 50. XX wieku do ówczesnej Republiki Federalnej Niemiec. Najmłodszy z braci Łackich Janusz, zmarł bardzo młodo na wylew w swoim mieszkaniu. Miał około 20 lat. Pani Łacka, będąc już na emeryturze, opuściła Jantar i zamieszkała w Kartuzach, opiekując się swoim byłym katechetą, ks. Franciszkiem Żurem, który w latach wojny ukrywał się w Dobrzejewicach. Pani Łacka zmarła w Kartuzach około 1990 roku.

Wiem, że Jurek pozostawił dzieci, może jedno dziecko? Andrzej w latach 70. kręcił się w rejonie Dobrzejewic. Trudno mu było znaleźć nasz ślad. Moi rodzice wyprowadzili się z Torunia do Bydgoszczy, a ich adres znali, nieżyjący już wówczas, Janusz i pani Łacka. Przez wiele lat, chociaż z przerwami, starałem się znaleźć jakiś kontakt z dalszą lub bliższą rodziną Łackich. Bez powodzenia.

Minęło siedemdziesiąt lat od śmierci człowieka, który uratował życie wielu osobom, a jeszcze większej liczbie bezinteresownie pomagał. Wciąż nie doczekał się godnego upamiętnienia...

Posiadam dokumenty świadczące o tym, że państwo Łąccy w Dobrzejewicach przechowywali w leśniczówce dziesiątki Polaków w czasie okupacji nie-

mieckiej, pomagali oficerom polskim w oflagach, a pan Józef („Ziuk”) był organizatorem i komendantem placówki Armii Krajowej. Sam jestem jednym z dzieci, które wróciły do zdrowia, czy nawet zachowały życie, dzięki pobytowi w Dobrzejewicach.

Myślę, że lata PRL-u nie sprzyjały honorowaniu takich ludzi jak Józef Łącki, członek Armii Krajowej, ratujący wielu ludzi podziemia związanych z przedwojennymi elitami Torunia, Armią Krajową, czy WiN-em., a później aresztowanych i mordowanych faktycznie przez sowieckie NKWD. Niewielu uratowanych przez Łąckiego ludzi dożyło lat 90. ubiegłego wieku, kiedy można by było podjąć skuteczną inicjatywę upamiętnienia bohaterskiego leśniczego. Powojenne losy jego najbliższych – żony i synów, były niezwykle dramatyczne. Zatem, tylko niewielka grupka osób, które w czasie okupacji były w wieku dziecięcym, może jeszcze dzisiaj przywrócić pamięć o tym wyjątkowym człowieku.

Pan należy do tego grona?

Mogę potwierdzić, że prezentacja sylwetki leśniczego Józefa Łąckiego w książce Stanisława Gizińskiego pt. „Niepospolici znad Drwęczy”, wydanej w 2004 roku, nastąpiła z mojej inicjatywy. Cieszę się, że ta wybitna postać została też opisana w kwartalniku Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu „Życie Lasów Kujawsko-Pomorskich”. W ten sposób ocalimy od zapomnienia, w środowisku polskich leśników, jego życie, niezwykle dokonania i tragiczną śmierć z rąk sowieckich w 1945 roku.

Chciałbym ocalić od zapomnienia bohaterstwo Józefa i Zofii Łąckich, ludzi oddanych Polsce. Tych, którzy codzienną pracą, działając w konspiracji, z narażeniem własnego życia ratowali wielu ludzi. Jestem już człowiekiem w podeszłym wieku (rocznik 1937). Mój syn i synowa są informatykami. Wnuki też mają zdecydowanie zainteresowanie naukami ścisłymi. Nie mam komu przekazać około dwudziestu zdjęć z Dobrzejewic, z lat 1943-1944, związanych z Łąckimi. A poczuwam się do moralnego obowiązku zadbania o pamięć o tych niezwykłych ludziach.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: **Tadeusz Chrzanowski**

Toruń, w sierpniu 2016 roku



Jan Sikorski (1922 – 1946)

Leśniczy JAN SIKORSKI ps. Wilk

(1922-1946)



Jan Sikorski urodził się 24 maja 1922 roku w Bładowie koło Tucholi. Jego rodzice, Waleria z domu Kwaśniewska i Franciszek Sikorski, po-
brali się w Lipinkach w 1918 roku. Jan miał trzy siostry: Władysławę (ur. w Lipinkach w 1919), Janinę (ur. w Kowalewie w 1926) i Teresę (ur. w Twardej Górze w 1935) oraz brata Tadeusza (ur. w 1928 roku w Owczarkach). W rodzinnym domu Jana kultywowano patriotyczne tradycje. Ojciec wpajał dzieciom miłość do Boga i Ojczyzny. W czasie wojny polsko-bolszewickiej w 1920 zgłosił się na ochotnika do wojska. Walczył pod rozkazami gen. Józefa Hallera. Dla dzieci był bohaterem i wzorem do naśladowania.

Pod koniec lat dwudziestych XX w. Franciszek Sikorski nabył dziewięciohektarowe gospodarstwo w Twardej Górze koło Nowego na Kociemiu. Jak wynika z przekazu rodzinnego, pomoc finansową na zakup rodzina miała otrzymać z wojska. Rodzice Sikorscy ogromną wagę przykładali do nauki dzieci. Janek rozpoczął edukację w Szkole Powszechnej w Rychłowie, a w 1936 ukończył siedmioletnią Szkołę Powszechną w Nowem. Po zakończeniu nauki pomagał rodzicom w gospodarstwie. Od najmłodszych lat, jak pisał w życiorysie z 1946 roku: „Mając zamiłowanie do leśnictwa, pragnąłem poświęcić się tej pracy”. Wybuch wojny, a następnie okupacja uniemożliwiły Janowi podjęcie nauki w słynnej Państwowej Szkole dla Leśniczych w Margoninie, którą miał rozpocząć jesienią 1939. Mimo wojny nie porzucił marzeń o leśnictwie. W kwietniu 1940 roku rozpoczął pracę w leśniczówce Średnik. Ze względu na deklarowaną narodowość polską nie mógł jednak zajmować żadnego z ważniejszych stanowisk. Z pracy mimo to był zadowolony i cieszył się, że ma ona związek z lasem, który tak kochał. Nie trwało to jednak długo, bo we wrześniu 1941 roku został przez Niemców zmuszony do podjęcia pracy w fabryce w Grudziądzu. Jak długo tam pracował, dokładnie nie wiadomo. Sam Janek we wspomnianym już życiorysie pisze, że w 1942 roku, nie chcąc przyjąć „Ausweisu”, aby nie musieć walczyć przeciwko swoim braciom, i z obawy przed wysłaniem do obozu koncentracyjnego uszedłem w lasy”. Z zachowanych dokumentów wynika jednak, że schronienia w lesie szukał znacznie wcześniej. Najprawdopodobniej już jesienią 1941.

Zaraz po zajęciu Pomorza przez Niemców rodzice Jana zostali pozbawieni gospodarstwa, gdyż nie chcieli się zgodzić na wpisanie na Niemiecką Listę Narodowościową. Pozwolono im wprawdzie pozostać w nim, ale już tylko w charakterze robotników. Rodzina musiała się przenieść do budynków gospodarczych.

Dla Janka las stał się od tego momentu nie miejscem pracy, a schronieniem i domem. Początkowo ukrywał się sam w bunkrach niedaleko rodzinnego domu w rejonie Rychławy. Wkrótce dołączyli do niego, podobnie jak on zagrożeni aresztowaniem, koledzy z okolicznych wsi. Na początku 1942 roku jego oddział liczył już od 15 do 20 osób. Oddział ten zgłosił w tym czasie akces do Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski”. Janek został mianowany komendantem samodzielnego rejonu Świecie i wszedł w skład Rady Naczelnej TOW „Gryf Pomorski”. Obrął sobie pseudonim „Orlicz”. Wkrótce, na skutek wewnętrznych konfliktów w „Gryfie”, Janek przejściowo podporządkował swój oddział Tadeuszowi Trepce ps. Tom z organizacji Białe Orły. Zerwał z nim jednak kontakt po ujawnieniu zdrady. Przez kilka miesięcy pod pseudonimem „Janek” samodzielnie dowodził swoim oddziałem partyzanckim. Na przełomie lat 1942 i 1943 połączył swoje ugrupowanie z Oddziałem Partyzanckim Armii Krajowej „Świerki” Stefana Gussa „Dana” i przyjął pseudonim „Wilk”. Od wiosny 1944 oddział Janka, nazywany „Wilki”, wszedł w skład zgrupowania partyzanckiego „Cisy-100”, „Bory”. Jak podaje Krzysztof Komorowski, pod koniec 1942 roku oddział tworzyło 17 osób. Łączniczką była siostra Janka, Władysława ps. Wanda.

Dom Sikorskich stał się jednym z głównych punktów kontaktowych i zaopatrzeniowych Oddziału „Świerki”. Często spotykali się tam dowódcy oddziałów partyzanckich operujących w rejonie. „Wilki” przeprowadzały głównie akcje zaopatrzeniowe polegające m.in. na zdobywaniu broni poprzez rozbrajanie urlopowanych żołnierzy niemieckich, a także członków straży leśnej, m.in. z Nadleśnictwa Świt. Organizowali także akcje odwetowo-represyjne wobec Niemców odznaczających się szczególną brutalnością i okrucieństwem. Oddział Janka działał w rejonie Rychława-Lipinki, był więc najbardziej na południe wysuniętym oddziałem pomorskiej AK. Mieszkańcy okolicznych wsi aktywnie wspierali działania partyzantów. W Lipinkach już w marcu 1941 roku utworzono placówkę ZWZ-AK. Kierował nią Józef Piechocki ps. Borowiak; jego zastępcami byli Bronisław Manikowski ps. Krużel oraz Stefan Czerwiński ps. Mleczarz. Funkcję komendanta Wojskowej Służby Kobiet pełniła Benedykta Manikowska. Do niewątpliwych sukcesów oddziału należy rozbrojenie grupy oficerów niemieckiej marynarki wojennej polujących w okolicy Płochocina.

Na skutek działania groźnego konfidenta, przy pomocy którego Niemcy usiłowali rozpracować siatkę wspierającą partyzantów, 6 stycznia 1944 roku zorganizowano obławę na dom Sikorskich. Ostrzeżeni w porę przez Janinę (siostrę Janka) przebywający w domu na jednym ze spotkań – Janek, Władka, „Guss” i Franciszek Wojciechowski – zdołali zbiec. Szczegółowa rewizja w domu zakończyła się dla rodziny szczęśliwie. Dzięki pomocy jednego z Niemców nie odkryto magazynu broni. Dla rodziny były to jednak ostatnie dni spokoju. Waleria, obawiając się aresztowania, oddała najmłodszą córkę Teresę do krewnej



Jan Sikorski, leśniczy Leśnictwa Kuźnica w Nadleśnictwie Warlubie, rok 1946.
Fot. archiwum Teresy Czartoryskiej



Jan Sikorski ps. Orlicz, Wilk, dowódca oddziału partyzanckiego, najpierw w Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski”, później Armii Krajowej.
Fot. archiwum Teresy Czartoryskiej

w Grudziądzu. Kolejna rewizja, mimo iż nie odnaleziono w jej trakcie żadnych obciążających materiałów, zakończyła się aresztowaniem domowników. 26 stycznia 1944 roku do obozu koncentracyjnego KL Stutthof przewieziono Walerię, Franciszka i Janinę. Dwa miesiące później Staatspolizei, na skutek prowokacji, aresztowało Tadeusza, brata Janka. W Gdańsku poddano go brutalnemu śledztwu. Mimo młodego wieku i okrucieństwa gestapowców nie załamał się. W lipcu Janinę przewieziono do Gdańska na konfrontację z zatrzymanymi partyzantami. Również ona nie dała się złamać. 10 sierpnia 1944 wszystkich przewieziono do obozu w Potulicach z zarzutem „sprzyjania bandom”. Do Rychławy rodzina Sikorskich wróciła w lutym 1945 roku.

Jeszcze w 1944 roku Niemcy skierowali przeciwko partyzantom specjalne oddziały. W starciach z Jagdkommando „Wilki” poniosły poważne straty. Brały też udział w zwycięskiej akcji na Czersk Świecki, w październiku 1944 roku. Zgodnie z rozkazami Komendy Głównej AK w Okręgu Pomorskim nie realizowano postanowień akcji „Burza”. Ponadto, mimo że obowiązywał rozkaz zabraniający wspierania jednostek Armii Czerwonej w walce z Niemcami, jednak z uwagi na sytuację w terenie nie wszystkie oddziały się mu podporządkowały. W powiecie świeckim działało kilka desantów polsko-sowieckich. Od września 1944, „Wilki” na rozkaz Alojzego Bruskiego ps. Grab zostały oddelegowane do

współpracy z polsko-sowiecką grupą desantową Kazimierza Waluka. 21 grudnia 1944 roku Niemcy rozbili ją w potyczce niedaleko Lipinek. Walkę przeżył tylko Kazimierz Waluk i jego sowiecki zastępca, którzy do czasu wejścia na ten teren Armii Czerwonej ukrywali się w lesie.

Sowieci wkroczyli do Lipinek 28 lutego 1945 roku i zostali przyjęci z radością wynikającą z zakończenia wojny i pragnienia powrotu do normalnego, spokojnego życia. Janek został nawet komendantem Posterunku Milicji Obywatelskiej w Lipinkach. Kilka dni później sowieckie NKWD aresztowało 45 mieszkańców gminy. Był wśród nich również Jan Sikorski oraz kilkunastu jego podkomendnych, członkowie siatki terenowej oraz rodziny partyzantów. Radość z odniesionego nad Niemcami zwycięstwa zgasła, a powróciły niepewność i niepokój. Aresztowania członków konspiracji pomorskiej, a następnie ich deportacje na wschód pokazały, iż Sowieci wszędzie – nawet na terenach, gdzie konspiracja była słabiej rozwinięta – tak samo traktują członków ruchu oporu, a zwłaszcza żołnierzy AK, upatrując w nich zagrożenie dla siebie i planu podporządkowania Polski Sowietom. Niemal natychmiast przystąpiono do tworzenia zrębów nowej administracji pod patronatem Armii Czerwonej oraz PPR, której komórkę utworzono w Lipinkach już w marcu 1945 roku. Wójta gminy, którym został Franciszek Kowalski, powołano 5 marca 1945, natomiast 16 marca wybrano Gminną Radę Narodową. PPR nie cieszyła się tu jednak zaufaniem wśród mieszkańców.

Janek Sikorski uciekł z transportu NKWD, a przed ponownym zatrzymaniem uchronił go list wystosowany przez Kazimierza Waluka. Powrócił na stanowisko komendanta milicji w Lipinkach, które zajmował do końca marca 1945 roku. W tym czasie podjął starania o przyjęcie do pracy w Leśnictwie Kuźnica w Nadleśnictwie Warlubie (dzisiaj teren Nadleśnictwa Osie). Jego marzenie spełniło się – we wrześniu 1945 został zatrudniony na stanowisku leśniczego w Kuźnicy. Kontynuował również naukę przerwana wybuchem wojny. Jednak nie dane mu było spokojne życie. Orientując się w sytuacji politycznej w kraju i widząc krzywdę, jaka spotykała Polaków ze strony Sowietów, nawiązał współpracę z oddziałami partyzanckimi Władysława Chelińskiego ps. Mały i Zygmunta Szendzielarza ps. Łupaszka, które wczesną wiosną 1946 roku pojawiły się w tym rejonie.

W Lipinkach, wokół miejscowego księdza Sylwestra Kończala, skupiła się grupa osób, którym, podobnie jak proboszczowi, nie odpowiadały rządy komunistów. Jak wynika z doniesień agentów, należeli do niej m.in. wójt Franciszek Kowalski, sołtys Józef Piechocki, Stefan Czerwiński, Franciszek Pozorski, Julian Braun, Benedykt Manikowski, Alfons i Alojzy Domachowscy, Tadeusz Leśniak i Jan Sikorski.

Władysława Chelińskiego ps. „Mały” do dawnych jego podkomendnych, m.in. Jana Sikorskiego ps. Wilk oraz Józefa Piechockiego ps. Borowiak, skierował zapewne Alojzy Bruski ps. Grab. Doskonale znane mu z czasów konspiracji

wojennej Lipinki oraz okoliczne wsie, jak Stara Huta, Przewodnik i Kuźnica, stały się dla konspiracyjnej Grupy „Tartak” jednym z najważniejszych punktów oparcia. Jak wynika z zeznań składanych przez mieszkańców Lipinek, w kwietniu i maju 1946 roku partyzanci byli częstymi gośćmi leśniczówki Kuźnica, gdzie pracował leśniczy Jan Sikorski.

Ksiądz Kończal pomógł Jankowi nawiązać kontakt z oddziałami „Łupaszki”. Spotkanie „Łupaszki” z księdzem nastąpiło w Kasparusie, gdy partyzanci przybyli na odprowadzanie tam Mszę świętą. Sikorski wielokrotnie spotykał się z podkomendnymi „Łupaszki” zarówno w Lipinkach, jak i Kuźnicy. Plebania, położona w centrum wsi, nieopodal posterunku MO, nie była bezpiecznym miejscem spotkań. Za pośrednictwem Janka doszło do nawiązania współpracy między oddziałami. Pojawienie się oddziałów partyzanckich oraz przeprowadzane przez nie akcje wzmogły czujność Urzędu Bezpieczeństwa. W spokojnym dotychczas rejonie partyzanckie rekwizycje i akcje propagandowe wywoływały duże zamieszanie i konsternację władz.

W związku ze zbliżającym się referendum, PPR przystąpiła do agitacji. 14 kwietnia 1946 roku, po nabożeństwie odbył się w Lipinkach wiec zorganizowany przez PPR, w którym udział wzięło dwieście osób. Komendant Posterunku MO, Antoni Gabryszewski wygłosił referat, w którym przekonywał o wyższości żołnierza Armii Czerwonej nad żołnierzem armii zachodnich, przedstawił „prawdziwych sprawców wybuchu wojny” oraz porównał „świat kapitalistyczny i obecny ustrój”. Zebrani na wiecu znający relacje żołnierzy, którzy służyli u gen. Andersa i gen. Maczka ze szczególnym oburzeniem zareagowali na fragmenty przemówienia dotyczące rzekomego braku waleczności a wręcz tchórzostwa tych formacji.

Na rozkaz komendanta Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Bydgoszczy 15 maja 1946 roku na teren powiatu świeckiego została skierowana specjalna 50-osobowa Grupa Operacyjna MO dowodzona przez ppor. Zdzisława Wizora z zadaniem likwidacji działających w tym rejonie oddziałów partyzanckich. Na miejsce stacjonowania ppor. Wizer wybrał posterunek MO w Osiu. W raporcie z 23 maja 1946 roku pisał: „Ludność tutejsza składa się z więcej jak 90 proc. obywateli III grupy, którzy zamiast wykazać, że zaufanie, jakim Rząd ich darzy, rehabilituje ich, a przez to wprowadza ich w grono prawych, nieskażonych germanizmem Polaków, w bardzo wielu przypadkach pomagają czynnie działającym w tym terenie bandom. Duża część tutejszej ludności ustosunkowana jest zarówno do organów UB czy MO nieprzychylnie lub nawet wrogo. Funkcjonariusz UB czy MO, prosząc o wodę, otrzymuje ją niechętnie lub odmownie, nie mówiąc już o tym, aby dostał coś do zjedzenia. [...] Dużą trudnością w tym terenie jest obecność żołnierzy będących w czasie okupacji w armii niemieckiej, później w Armii Andersa, którzy obecnie powracają i chodzą w mundurach.

Stosunek ich jest do ustroju demokratycznego ironiczny, a nawet wrogi. Dowiedzonym jest, że wielu zdemobilizowanych z Armii Andersa współpracuje ściśle z bandami, wchodząc często w skład band. Jak wskazuje wywiad, w ostatnim okresie bandy wzmożyły pracę konspiracyjną i propagandową. [...] Należałoby w pierwszym rządzie nad MO i UB roztoczyć ściślejszą kontrolę pracy funkcjonariuszy w terenie, gdyż często zachodzą wypadki kontaktów z bandami. [...] Grasujące bandy oprócz rabunków terrorystycznych, którym próbują nadać pozory tła politycznego, terroryzują członków PPR, których dotkliwie biją, starając się odstraszyć innych od wstępowania do partii”.

Ostatnie spostrzeżenie, zważywszy na datę meldunku, 23 maja, z pewnością dotyczy wypadków, które dzień wcześniej miały miejsce w Lipinkach. Na niedzielnej Mszy św., 21 maja 1946 roku, ks. Kończal zapowiedział, iż jutrzejsze nabożeństwo majowe odbędzie się o godzinę wcześniej niż zwykle, ponieważ spodziewa się gości. Namawiał wszystkich mieszkańców do pozostania w domach i zapowiedział, iż będzie sprawdzał, czy zastosowano się do jego nakazu. Wzywał również członków partii do zmiany swych poglądów, bo jeśli tego nie zrobią to „przyjdzie wojsko z Prus Wschodnich i z tymi niedowiarkami się rozprawi”. Tego dnia wieczorem do wsi wkroczył kilkunastoosobowy oddział partyzancki. Noc spędził w zaprzyjaźnionych gospodarstwach Braunów i Flisików. Około godziny siódmej rano partyzanci przeszli do wsi. W drodze do urzędu gminy przecinali kable telefoniczne. Na miejscu spalono wszystkie dokumenty dotyczące obowiązkowych dostaw i poboru do wojska oraz zbito dwóch członków miejscowej komórki PPR: Feliksa Wróblewskiego i Bernarda Szapańskiego. Jeden z nich tak opisał te zdarzenia: „W dniu 22 maja 1946 r. o godz. 8.30 zjawił się u mnie człowiek w mundurze żołnierza polskiego [...] powiedział: Jesteście w PPR? Jestem – odpowiedziałem. Wiecie, kto ja jestem? Odpowiedziałem: Tak, AK, widząc na czapce orzełek w koronie. Osobnik ten wyszedł i poszedł do sekretarza komórki Życzyńskiego, żądając od niego wydania papierów PPR. [...] zabrano nas do wójtostwa, gdzie palono papiery. [...] musiałem spodnie opuścić, uklęknąć przy krześle i dano mi 25 razów kijem średnicy około dwa i pół centymetra w obecności zebranego tłumu koło wójtostwa. Po skończonej akcji kazano mi pójść do domu”.

Zanim wymierzono karę bicia, przesłuchano wszystkich członków PPR przeprowadzonych do urzędu gminy. Przy przesłuchaniach byli obecni wójt gminy Franciszek Kowalski oraz ks. Sylwester Kończal. Sekretarz PPR Michał Życzyński, który – jak wynika z relacji mieszkańców wsi – pomagał NKWD w sporządzeniu listy osób wywiezionych do Związku Radzieckiego, uniknął kary z uwagi na kalectwo. W sprawozdaniu dekadowym szefa WUBP w Bydgoszczy mjr. Jurkowskiego czytamy: „Dnia 22 maja 1946 r. [...] kiedy grupa operacyjna wyjechała ze Świecia, banda w sile 12 ludzi wtargnęła do gminy Lipinki, skąd zrabowali

rejestrację koni i ludzi poborowych oraz karty świadczeń rzeczowych, które to zaraz spalili". Akcja ta została przeprowadzona na rozkaz mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki” przez szwadron Henryka Wieliczki ps. Lufa. Potwierdzają to zeznania złożone w czasie śledztwa przez Jerzego Lejkowskiego ps. Szpagat: „W końcu maja „Lufa” ze swym szwadronem z rozkazu „Łupaszki” spalił akta w gminie Lipniskiej czy Lipnika oraz dał „Lufa” po 25 batów dwom konfidentom UB”. Była to jedna z ostatnich akcji, przenoszącego się ponownie w olsztyńskie, oddziału „Lufy”.

Po tych wydarzeniach ppor. Wizor postanowił obserwować wieś, wysyłając w jej okolice wywiadowców. Zaktywizowano również mieszkających tam agentów oraz członków PPR. Ksiądz Kończal na kazaniu 28 maja 1946 roku przypominał, że państwo uznało dzień 3 Maja za święto i dlatego na przyszłość, aby je właściwie uczcić, należy „wywiesić nasze sztandary, czysto polskie, biało-czerwone”. Mówił również, iż wkrótce ponownie przyjdzie do wsi wojsko, któremu należy pomóc we wszystkim i pod żadnym pozorem nie wolno informować o jego obecności Urzędowi Bezpieczeństwa.

Agent „Ryś” donosił: „W niedzielę, po sprawionej chłopców, miał wygłosić z ambony pożegnanie dla Bieruta. Życzył mu, by zabrał płaszcz i cylinder, i poszedł, skąd przyszedł. Życzył mu szczęśliwej drogi. Następnie przygroził tym, co sprzyjają UB, że [...] skończą na szubienicy. [...] nie umie kierować państwem ani Bierut, ani Gomułka, ani Pietruszka, ale ci, co noszą medaliki Matki Boskiej. Wyjdą oni jak grzyby po deszczu. Tym trzeba zaufać i temu młodemu dziwnemu księdzu [...]”. Po mszy odbył się kolejny wiec w sprawie referendum. Wójt Kowalski w trakcie swojego przemówienia stwierdził: „Jak w roku 1939 powiedziałem, że chłop nie może sterować rządem, to mówiliście, że młodzi, a do czego teraz rządy chłopów doprowadziły?”

Działania Grupy Operacyjnej w okolicach Osia, Tlenia i Starej Rzeki nie przyniosły oczekiwanych skutków. 2 czerwca 1946 roku do Lipinek przybył oficer Wydziału Śledczego KW MO w Bydgoszczy Leon Zieliński, członek Grupy Operacyjnej. Od sekretarza PPR Michała Życzyńskiego dowiedział się o kontaktach ks. Kończala i Jana Sikorskiego z partyzantami. Zawiadomił o tym telefonicznie ppor. Wizora. Po przybyciu na miejsce Grupa Operacyjna MO udała się na zabawę. Otoczono budynek. Zieliński tak zrelacjonował przebieg wydarzeń: „[...] część naszych, ubranych podobnie jakby z lasu, weszła na salę, gdzie powstała ogólna radość, że przyjechali chłopcy z lasu na zabawę. [...] wiem, że przeprowadzono osobistą rewizję i sprawdzono dokumenty osobiste, w trakcie której niektórzy z gości, sądząc, że nasi milicjanci są z bandy, zaczęli zgłaszać swą chęć do wstąpienia w jej szeregi. Po kilku minutach wpadł na salę ksiądz, którego ktoś zawiadomił. [...] po przyjeździe księdza na salę, mając już na niego materiał, kazałem go zatrzymać i odprowadzić do bocznego pokoju. Ksiądz poprosił, aby

mógł pójść jeszcze na plebanie, więc gdy kapral MO z Osia zaczął awanturować się o księdza, zezwoliłem i razem z nim posłałem dwóch operatywnych. Po pół godzinie wrócili jednak milicjanci, nie stwierdzili nic. W czasie legitymowania kilku zostało zatrzymanych. W tym czasie ppor. Wizor przeprowadził rewizję w prywatnym mieszkaniu księdza, gdzie znalazł medalion w kształcie gwiazdy z wizerunkiem Matki Boskiej, odznakę obecnych członków band leśnych. Po dłuższym badaniu ksiądz przyznał się, że posiada broń”. Ppor. Wizor aresztował księdza „za nielegalne posiadanie broni palnej, znalezioną odznakę bandy, nastawienie antypaństwowe i współpracę z bandą, a także jako organizatora pracy w lesie, wspólnie z leśniczym Sikorskim, wójtem z Lipinek, sołtysem i innymi leśniczymi, którzy się do niego schodzili”.

Przebywający na zabawie, biorąc żołnierzy Grupy Operacyjnej MO za partyzantów, przyznali się, gdzie i jaką przechowują broń. Kiedy zorientowano się w pomyłce, było już za późno. Cały następny dzień trwały rewizje i przeszukiwania. Aresztowano kilka osób, m.in. nieobecnego na zabawie Jana Sikorskiego. Najprawdopodobniej 30 maja 1946 r. w oddalonej o kilka kilometrów od Lipinek Starej Hucie, w domu Bronisława Manikowskiego, przebywał oddział „Małego”, gdzie spotkał się z nimi Janek. Zaplanowano przeprowadzenie akcji likwidacyjnej wobec konfidentów UB. Janek miał wprowadzić partyzantów na zabawę i wskazać donosicieli. Taki był plan, jednak na skutek operacji безпеki nie został on zrealizowany. Partyzanci wycofali się, a Janek wrócił do Kuźnicy. Jak wynika z relacji jego siostry Teresy, został zatrzymany następnego dnia. Milicjanci podstępem wywabili go z leśniczówki i zawieźli do Lipinek. Pozwolono mu nawet zabrać broń. Tutaj został aresztowany i zamknięty razem z innymi. Akcja Grupy Operacyjnej trwała jeszcze kilka godzin. Pracujący w leśniczówce Niemiec poinformował o tych wydarzeniach rodziców Janka. Ojciec pojechał do leśniczówki, a Władka udała się do Lipinek. Próbowwała uprosić dowódcę grupy, ppor. Wizora, aby zwolnił brata. Nie zdołała go jednak przekonać. Wówczas zaalarmowała stacjonujący nieopodal oddział Władysława Chelińskiego. Mimo, iż „Mały” posiadał tylko jeden erkaem, zdecydował się na przeprowadzenie tej bardzo ryzykownej akcji.

Funkcjonariusz Zieliński tak przedstawił wydarzenia tego wieczoru: „Aresztowanych, łącznie pięć osób, załadowano do jednego samochodu, księdza umieszczono w szoferce drugiego. Odjechaliśmy o godz. 21:15 z Lipinek w stronę Osia, w kościele w Lipinkach zaczął bić dzwon. Jak się obecnie orientuję, był to jakiś sygnał dla bandy, ponieważ po wyjeździe z Lipinek z około 100 metrów odległości z lasu z prawej strony drogi, po przejechaniu naszej szpicy na rowerach, dostaliśmy silny ogień z automatu”. Głównego celu akcji nie udało się „Małemu” osiągnąć, gdyż erkaem się zaciął i konieczne było szybkie wycofanie. Aresztowanych nie odbito, a w trakcie walki Jan Sikorski został zamordowany



Kadra dowódca V Brygady Wileńskiej AK. Od lewej: Henryk Wieliczko ps. Lufa (1922-1949), Marian Pluciński ps. Mściśław (1912-1946), Zygmunt Szeniarski ps. Łupaszka (1910-1951), Jerzy Lejkowski ps. Szpagat (1924-1992) i Zdzisław Badocha ps. Żelazny (1923-1946). W walkach z NKWD i UB na Pomorzu w 1946 roku najbardziej wstawił się szwadron dowodzony przez Badochę. Fot. archiwum IPN w Gdańsku

przez milicjantów. W walkach z partyzantami zginęło też czterech funkcjonariuszy Grupy Operacyjnej MO, w tym jej dowódca ppor. Wizer.

Na mieszkańców Lipinek i okolicznych wsi spadły represje. Początkowo ciała Janka nie chciano oddać rodzinie. Kiedy nazajutrz przewieziono je do domu Sikorskich w Rychławie (Twardej Górze), okazało się, że ma jedną ranę postrzałową w okolicy serca. W domu, pod nadzorem funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa, przeprowadzono sekcję zwłok. Lekarz orzekł, iż Jan zginął od kuli członków Grupy Operacyjnej MO. Z relacji siostry Teresy wynika, iż świadkowie walki relacjonowali, że Janek został zastrzelony przez funkcjonariuszy, kiedy wyskakiwał z samochodu. Któryś z nich krzyknął: „Strzelaj, Sikorski ucieka!”. Pogrzeb Janka odbył się 8 czerwca 1946 roku w Nowem. Jak opowiadała jego siostra Teresa, była to wielka manifestacja. Na cmentarz w Nowem przybyły tłumy.

Nie był to koniec represji wobec rodziny Sikorskich. We wrześniu 1946 roku aresztowano Tadeusza za posiadanie broni i przynależność do nielegalnej organizacji. Wyrokiem Wojskowego Sądu Rejonowego w Bydgoszczy 25 października został skazany na osiem lat więzienia. W tym samym miesiącu funkcjonariusze PUBP w Tucholi aresztowali Władysławę za współpracę z oddziałem „Małego”. Wyrokiem Wojskowego Sądu Rejonowego w Bydgoszczy na sesji wyjazdowej 11 grudnia 1946 r. została skazana na 15 lat więzienia. Prokurator wnioskował o zasądzenie kary śmierci. Tadeusza zwolniono z więzienia w 1950 roku, Władkę w 1955. Sąd zadecydował również o konfiskacie majątku rodziny Sikorskich. W 1947 Franciszkowi i Walerii odebrano ich gospodarstwo w Twardej Górze. Siostrze Teresie uniemożliwiano kontynuowanie nauki i podjęcie pracy. Franciszek zmarł w 1952 roku. Waleria z Teresą przeniosły się do Nowego Stawu, gdzie nikt ich nie znał.

W 1958 roku w Lipinkach, w miejscu potyczki, funkcjonariuszom MO, którzy zginęli w walce z partyzantami, ufundowano ogromny pomnik. Do roku 1990 regularnie odbywały się przy nim uroczystości mające na celu „upamiętnienie bohaterskiej walki z reakcyjnym podziemiem i bandami”. Jeśli w ogóle mówiono o Janie Sikorskim i partyzantach, to tylko jako o bandytach. W 1996 r. zmieniono tablicę na pomniku, a naprzeciwko ustawiono symboliczny nagrobek Jana Sikorskiego.

Marzena Kruk

Instytut Pamięci Narodowej w Gdańsku, w 2012 roku



W miejscu potyczki z 3 czerwca 1946 roku pod Lipinkami, w 2014 roku posadowiono Pomnik Niepodległości poświęcony Żołnierzom Września 1939, Żołnierzom Polski Podziemnej i Żołnierzom Niezłomnym oraz Pamięci Księży, Leśników Mieszkańców... Fot. Krzysztof Kortas

Miejsce śmierci leśniczego Jana Sikorskiego leśnicy Nadleśnictwa Dąbrowa upamiętnili w 2018 roku przez posadowienie kamienia z krzyżem i inskrypcją. Fot. Tadeusz Chrzanowski



POST SCRIPTUM

W miejscu potyczki oddziału Chelińskiego „Małego” z grupą operacyjną Milicji Obywatelskiej na obrzeżu lasu pod Lipinkami, gdzie zginął leśniczy Jan Sikorski i czterech funkcjonariuszy MO, z inicjatywy organizacji patriotycznych, leśników, samorządu i mieszkańców, nastąpiły w ostatnich latach istotne zmiany upamiętniające tragiczne wydarzenia z lat wojny i okupacji sowieckiej:

20 czerwca 2013 roku, odsłonięto tablice edukacyjne poświęcone - jedna potyczce z 3 czerwca 1946 roku, druga - życiu i działalności leśniczego Jana Sikorskiego ps. Wilk.

17 września 2014 roku, po wcześniejszym demontażu wielkiego, kamiennego pomnika z czasów PRL, poświęconego pierwotnie tym, co zginęli w walce o utrwalenie „władzy ludowej”, nieopodal posadowiono obelisk - Pomnik Niepodległości poświęcony Żołnierzom Września 1939, Żołnierzom Polski Podziemnej i Żołnierzom Niezłomnym oraz Pamięci Księży, Leśników i Mieszkańców represjonowanych i mordowanych przez niemieckich i komunistycznych oprawców.

Wiosną 2018 roku, w porozumieniu z rodziną, zdemontowano - nadszarpnięty zębem czasu - symboliczny nagrobek leśniczego Jana Sikorskiego i Nadleśnictwo Dąbrowa ufundowało w tym miejscu kamień z krzyżem i inskrypcją „Tu poległ dnia 3.VI.1946 r. leśniczy Jan Sikorski ps. Wilk, żołnierz AK”.

ZGINĄŁ W MUNDURZE LEŚNIKA POLSKIEGO

*Rozmowa z Teresą Czartoryską z domu Sikorską,
siostrą leśniczego Leśnictwa Kuźnica Jana Sikorskiego ps. Wilk,
który zginął z rąk funkcjonariuszy UB w Lipnikach,
3 czerwca 1946 roku*

Była Pani najmłodszym dzieckiem Franciszka i Walerii Sikorskich. Skąd pochodzili rodzice?

Mama Waleria z domu Kwaśniewska urodziła się w 1896 roku w Lipinkach na terenie Borów Tucholskich. Jej rodzice mieli tam niewielkie gospodarstwo rolne. Bracia mamy odeszli przedwcześnie, jeden zmarł w 1935, a drugi zginął w czasie II wojny światowej w obozie niemieckim w Dachau. Ojciec Franciszek był sporo starszy od mamy (ur. 1875). Pochodził z Bładowa pod Tucholą, gdzie posiadał majątek. Sprzedał go jednak w 1920, a większość pieniędzy przeznaczył na zakup broni dla wojska, gdy na Polskę nacierała nawała bolszewicka. Zresztą, i on sam jako ochotnik walczył w tej wojnie pod generałem Hallerem. Po powrocie z wojny, otrzymał od Państwa Polskiego posiadłość pod Kowalewem, gdzie na krótko zamieszkali z rodziną. Pamiętką z wojny bolszewickiej był kult wodza naczelnego Józefa Piłsudskiego, podtrzymywany i pielęgnowany w naszym domu, szczególnie za życia ojca. Rodzice mieli pięcioro dzieci: Władysławę (ur. 1919), Jana (1922), Janinę (1926), Tadeusza (1928) i mnie, Teresę (1935). Każde z dzieci rodziło się w innej miejscowości i to pokazuje, że naszej rodzinie nie był pisany spokojny żywot.

Była Pani małym dzieckiem, gdy Niemcy najechali na Polskę. Pamięta Pani tamten czas?

Gdy wybuchła wojna miałam cztery lata. Mieszkaliśmy wtedy w Rychławie, pięć kilometrów od Nowego na Kociewiu. Rodzicom odebrano gospodarstwo. Zamieszkali w części domu, którego właścicielem był teraz Niemiec. Żyło się tam biednie i pośród społeczności, która w dużej części zadeklarowała przynależność do narodowości niemieckiej. Wielkim, dramatycznym przeżyciem z lat okupacji, które utrwaliło się w mojej pamięci, a miałam wtedy siedem lat, była rewizja niemieckiej policji Schupo (Schutzpolizei) w naszym mieszkaniu, w styczniu 1943 roku. Rankiem tego dnia przyszli z lasu – mój brat Janek, wówczas 20-letni, z trzema partyzantami, w tym z Stefanem Gussem ps. Dan i Alojzym Bruskim ps. Grab. Mieliśmy ukryty w domu prawdziwy arsenał broni, który oni mieli tego dnia przenieść do lasu. Tymczasem pojawili się Niemcy. Nie był to przypadek, ktoś z sąsiadów doniósł. Moja starsza siostra Janina, pierwsza zauważyła Niemców przed domem i natychmiast ostrzegła brata i partyzantów, którzy bocznymi drzwiami wymknęli się do lasu.

Jednym z policjantów był Niemiec Seidlitz, który przed wojną prowadził w Nowem zakład krawiecki i znał moich rodziców. On wtedy uratował nam życie.



Rodzina Sikorskich tuż po zakończeniu działań wojennych w maju 1945 roku. Siedzą od lewej: Matka Waleria, córka Teresa i ojciec Franciszek. Stoją od lewej: Janina, Władysław, NN, Jan i Tadeusz. Fot. archiwum Teresy Czartoryskiej



Leśnicy Jan Sikorski (w mundurze w drugim rzędzie) jako świadek na ślubie u znajomych w 1946 roku. Fot. archiwum Teresy Czartoryskiej

W trakcie rewizji, pod maszyną do szycia, Seidlitz znalazł baterię do radiostacji, którą... starannie przykrył jakimś materiałem. W tym czasie jego kompan, dowódca przeglądał kuchenny kredens i na radiostację nie zwrócił uwagi. W kuchni stały dwa łóżka. Policjanci przewrócili jedno z nich do góry nogami w poszukiwaniu broni. Niczego nie znaleźli i poszli do pokoju, gdzie kontynuowali rewizję. Tymczasem mamusia wyciągnęła spod drugiego łóżka kilka granatów i taśmy z amunicją do karabinu maszynowego. Zawinęła wszystko w chodnik i chciała wrzucić do pieca. Wtedy wyrwałam mamie tobołek i wybiegłam z nim do sąsiadów. Stała tam klatka z królikami i prosiłam sąsiadkę, żeby w niej tobołek ukryć. Nie zgodziła się i wyrzuciła mnie z domu. Pobiegłam do ogrodu i zostawiłam wszystko w krzakach, po czym wróciłam do domu. Policjanci po rewizji pokoju, przypomnieli sobie, że nie sprawdzali drugiego łóżka w kuchni. Teraz dokładnie je przejrzel, ale niczego tam już nie było. Dowódca patrolu, czyli schupomeister postanowił jeszcze sprawdzić strych, ale schody na górę były częściowo zwęglone po pożarze budynku gospodarczego. Tymczasem, od kilku dni była zgromadzona na strychu broń dla partyzantów, przygotowana do przerzucenia do lasu. Wykrycie jej oznaczało pewną śmierć całej rodziny. Mamusia o tym wiedziała, postawiła wtedy wszystko na jedną kartę. Powiedziała Seidlitzowi, który przed chwilą ukrył radiostację, że na strychu jest broń, prosiła żeby odwiódł swego dowódcę od tej rewizji. Seidlitz powiedział jej tylko, co słyszałam, „Mój Boże, mój Boże, ludzie co wy robicie”.

Schupomeister był wysoki i mocno zbudowany, Seidlitz sprytnie odradził mu wchodzenie po uszkodzonych schodach, dodając, że „skoro w mieszkaniu nic nie znaleźliśmy, to i na strychu niczego nie będzie. Na tych schodach możesz sobie tylko kości połamać”. Ten zawahał się i ostatecznie stwierdził „Masz rację, kolego” i wyszli obaj przed dom. Odjechali, jednak rodzice przeczuwali, że to nie koniec kłopotów, dlatego jeszcze tego wieczora oddali mnie, najmłodsze dziecko, pod opiekę do krewnej w Grudziądzu.

Siostra Władysława, która była łączniczką Armii Krajowej (ps. Wanda), tego dnia przeniosła się do leśnego bunkra razem z Jankiem, zaś partyzanci nocą przejęli całą broń, która była w naszym domu. Po kilku tygodniach, 26 stycznia 1944 roku do Rychławy przyjechało gestapo już z konkretnym zadaniem aresztowania rodziny Sikorskich. Zastali tylko rodziców i siostrę Janinę. Wszyscy oni natychmiast trafili jako więźniowie polityczni do obozu koncentracyjnego w Stutthofie. Za jakiś czas aresztowali też brata Tadeusza. Przyczyniła się do tego folksdojczka z Rychławy, która podrzuciła bratu fałszywą amunicję, rzekomo dla partyzantów. Tadeusz i Janina byli bici i przesłuchiwani na gestapo w Gdańsku. Nikogo nie zdradzili. Cały czas Niemcom chodziło jednak o schwytanie Janka, który przebywał ze swoim oddziałem w lesie. Z braku dowodów winy – Janina, Tadeusz i rodzice,

zostali przeniesieni w sierpniu 1944 r. ze Stutthofu do obozu w Potulicach. Tadeusz przeszedł w Gdańsku ciężkie i brutalne przesłuchania. Później w Potulicach, przez kilka tygodni polscy lekarze-więźniowie, przywracali go do zdrowia.

Wszyscy przeżyliście wojnę?

Po przejściu frontu, wiosną 1945 roku cała rodzina Sikorskich szczęśliwie powróciła do Rychławy. Janek, który wrócił z lasu, podjął się od razu odbudowy zniszczonej przez Niemców, przydrożnej figury Jezusa, jako wotum wdzięczności Bogu za ocalenie nas z tyłu wojennych dramatów.

Janek ujawnił się wobec nowej władzy, był pełen wiary, że sytuacja Polski, społeczeństwa i naszej rodziny powoli się znormalizuje. Czynił usilne starania, by podjąć pracę w administracji leśnej. To się udało, miał dobrą opinię i poparcie przedwojennych leśników, jako człowiek z wiedzą, praktyką i zamiłowaniem do leśnej profesji. Jesienią 1945 roku został leśniczym Leśnictwa Kuźnica blisko Lipinek na terenie ówczesnego Nadleśnictwa Warlubie (dzisiaj Osie) w Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu. Z naszego domu w Rychławie do leśniczówki Janka było 17 kilometrów. Bywaliśmy u niego, zwłaszcza rodzice i ja. Z tamtego czasu utkwiła mi w pamięci jedna taka wizyta dwóch umundurowanych leśników, którzy odwiedzili Janka w Kuźnicy i ostrzegali, że trwa polowanie na żołnierzy Armii Krajowej i on też jest zagrożony. Planowali wyjazd na tzw. ziemie odzyskane, czy nawet za granicę, namawiali Janka by uciekał razem z nimi. On jednak zdecydowanie odmówił: „Zostaję na miejscu. Mam dług wobec rodziców i rodzeństwa, oni dużo wycierpieli od Niemców z mojego powodu. Chcę im pomóc.”. Janek był zawsze człowiekiem honoru, niezwykle odpowiedzialnym i rodzinnym. Koledzy wyjechali sami.

Janek miał kłopoty z nową władzą ludową?

W marcu 1945 roku, zaraz po przejściu frontu, pojawili się w okolicy, jak w całej Polsce, funkcjonariusze sowieckiego NKWD. Mieli konfidentów w terenie i dobre rozpoznanie, kto jest związany z polskim podziemiem niepodległościowym, czyli głównie z Armią Krajową i Gryfem Pomorskim. Aresztowali Janka i Wandę. Wtedy uratowała ich znajomość z sowieckim dowódcą desantu jeszcze z czasów wojny, niejakim Walukiem, który w 1944 roku korzystał z pomocy Janka i jego leśnego oddziału. Waluk poświadczył, że Janek nie był w strukturach Armii Krajowej, miał tylko swój oddział partyzancki. Tymczasem w całym kraju i w Borach Tucholskich z rąk sowieckich ginęli ludzie, wielu aresztowano i wywieziono do łagrów na Wschód. Nie było wątpliwości, że zaczęła się nowa okupacja. Janek, gdy wypuszczono go z sowieckiego aresztu, mówił, że jeśli jeszcze raz to się zdarzy, to chyba nie przeżyje.

Jak doszło do aresztowania Janka przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa w czerwcu 1946 roku?

Pewnej niedzieli, w maju 1946 r., Janek był w naszym domu w Rychławie, gdy dotarła wiadomość, że w Lipinkach trwają aresztowania partyzantów i członków ich rodzin. Zatrzymano wówczas również miejscowego proboszcza księdza Sylwestra Kończalą. Akcję prowadził oddział specjalny i uzbrojeni funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa z Bydgoszczy i Świecia.

Rano 3 czerwca przyszli do Janka do leśniczówki Kuźnica dwaj funkcjonariusze UB z żądaniem, aby udał się z nimi do Lipinek, gdzie rzekomo miał się odbywać „spis ludności”. Pozwolili mu nawet zabrać broń służbową, co mogło brata uspokoić. Jednak po dojściu do Lipinek broń i raportówkę z dokumentami mu odebrano i dowiedział się, że jest aresztowany. Informacja o zatrzymaniu przez UB dotarła do nas. Siostra Władysława pojechała tam na rowerze i wraz z gospodarzem z Lipinek, Domachowskim, interweniowali u dowódcy grupy operacyjnej, którym był ppor. Wizor, aby Janka zwolnić. On jednak stwierdził, że „Janek zgromadził w lesie tyle broni, że mógłby uzbroić pułk wojska. O zwolnieniu nie ma mowy”. Wtedy Władka – zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami - udała się do przebywającego w okolicy dowódcy oddziału partyzanckiego Władysława Chylińskiego „Małego” (z V Brygady mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”) z informacją, że Janek jest aresztowany razem z księdzem Kończalą i grupą mieszkańców Lipinek. „Mały” ze swoją grupą około dziesięciu uzbrojonych ludzi zorganizowali zasadzkę w lesie w pobliżu Lipinek, z planem odbicia Janka. Konwój z aresztowanymi wyjechał z Lipinek po godzinie 21. Gdy wjeżdżał do lasu padły strzały. Już po kilku pierwszych seriach z automatu samochód grupy specjalnej UB został unieruchomiony. Janek wyskoczył z samochodu. W tym momencie jeden z milicjantów krzyknął „Sikorski ucieka, strzelać!”. Padł strzał z bliskiej odległości, Janek upadł na poboczu drogi. Zginął na miejscu. Dowódca grupy UB, ppor. Wizor zdecydował się na konfrontację zbrojną. Źle jednak ocenił siłę oddziału „Małego”. Za chwilę zginął on sam i trzech jego podwładnych. „Mały” wycofał się bez strat w oddziale.

Co się stało wówczas z ciałem Janka?

Ostatniego namaszczenia udzielił mu ksiądz Kończal, który był przewożony w drugim samochodzie. Ciała początkowo nie chcieli wydać rodzinie. Ostatecznie jednak ustąpili i tata przywiózł Janka wozem konnym do Rychławy nazajutrz, czyli 4 czerwca, jeszcze przed południem. Po drodze przejeżdżał w pobliżu leśniczówki Średnik, gdzie kiedyś Janek odbywał praktykę leśną. **Zginął w mundurze leśnika polskiego.** Żona miejscowego leśniczego Alfonsa Lückę, położyła na jego piersi bukiet róż. Gdy ciało Janka złożono w domu w Rychławie, rodzice pojechali do Nowego załatwiać jakieś formalności. Pamiętam, że wtedy podjechał pod dom na motocyklu wysoki mężczyzna w cywilnym ubraniu. Wszedł do pokoju, gdzie leżał Janek. Pożegnał się z nim słowami „Janek, nam życie uratowałeś, a sam zginąłeś”. W domu odbyła się później sekcja zwłok, którą przeprowadzili po nadzorem

funkcjonariuszy UB – doktor Neuman i sędzia Sadke z Nowego. Janek zginął od jednego strzału oddanego z bliskiej odległości z broni funkcjonariusza UB. Kula trafiła pod łopatkę i później przecięła tętnicę przy samym sercu. Pogrzeb odbył się na cmentarzu w Nowem. Uczestniczyły w tym wydarzeniu tłumy, a pośród nich mnóstwo funkcjonariuszy UB w cywilu, którzy wypatrywali poszukiwanych wtedy żołnierzy podziemia niepodległościowego.

Jaki był los rodzeństwa, po tragicznej śmierci Janka?

Zachowała się fotografia ze ślubu Władki. Odbył się on jeszcze latem 1946 r., kilka miesięcy po śmierci Janka. Wszyscy na zdjęciu są ubrani na czarno. Była to cicha uroczystość. Siostra została żoną nauczyciela miejscowej szkoły Leona Żórawskiego, który pochodził spod Płocka. Na tym ślubie nie było już naszego brata Tadeusza, który w tym czasie przebywał w areszcie UB.

Tadeusz miał wówczas niespełna 18 lat, o co oskarżył go Urząd Bezpieczeństwa?

Ubegy aresztowali Tadeusza wkrótce po pogrzebie Janka. W ogrodzie przydomowym znaleźli broń, Mausera, może podrzuconą? Przypisali ją Tadeuszowi i oskarżyli o współpracę z „bandami”. Rozprawa odbyła się przed Sądem Wojskowym w Bydgoszczy. Brat został skazany na osiem lat więzienia. Najpierw siedział kilka tygodni w Warszawie na Mokotowie, razem z trzema żołnierzami polskiego podziemia, którzy mieli wyroki śmierci. Z tego, czego się dowiedzieliśmy, dwa z nich wykonano, trzeci zamieniono na dożywocie. Tadeusza przenieśli do więzienia w Grudziądzu. Odwiedzaliśmy brata, Janina i ja. Wyglądał okropnie. Skóra i kości, zmaltretowany. Jak później mówił, przesłuchania niemieckie to nic w porównaniu z torturami i znęcaniem się funkcjonariuszy nowej prosowieckiej władzy ludowej. Po powrocie z więzienia nie mógł nigdzie znaleźć pracy. Nie miał też życia w Rychnawie. Zamieszkał w Gdańsku, gdzie w końcu znalazł zatrudnienie w wytwórni kotłów wysokoprężnych, ożenił się i założył rodzinę. Niechętnie mówił o tym, co przeżył w czasie wojny i w PRL-owskich więzieniach. Zmarł przedwcześnie, w wieku zaledwie 56 lat.

A jak potoczyło się życie Władki?

Po ślubie zamieszkała z mężem w miejscowej szkole w Rychnawie. Już jesienią 1946 roku do domu rodziców, gdzie w tamtej chwili byłam sama, weszli dwaj uzbrojeni w automaty ubowcy. Oświadczyli, że przyjechali po Władysławę Żórawską. Pod bronią prowadzili mnie do szkoły, do mieszkania siostry. Tam już stały dwie wojskowe ciężarówki z karabinami maszynowymi na maskach. W budach samochodów było kilkunastu aresztowanych. Szkoła była obstawiona przez uzbrojonych milicjantów. Wtedy przeprowadzili rewizję w mieszkaniu Żórawskich,

zabrali Władkę i odjechali. Rodzice wieczorem wrócili z Bydgoszczy z rozprawy Tadeusza i dowiedzieli się, że właśnie... aresztowano też ich córkę Władysławę. Groził jej wyrok śmierci za współpracę z „bandą Małego”. Rozprawa odbyła się przed Sądem Wojskowym, na sesji wyjazdowej w Tucholi. Otrzymała „łagodny” wymiar kary – 15 lat. Trafiła do więzienia w Fordonie. Tam spotkała rzeczywistą elitę kobiet polskich osadzonych za działania na szkodę „nowej, ludowej” Polski. Jakiś czas celę więzienną dzieliła z Angielką, Myrą Śliwińską, żoną pilota Dywizjonu 303, Władysława Śliwińskiego, który po powrocie z wojny został natychmiast oskarżony o szpiegostwo, otrzymał wyrok śmierci i został zamordowany w 1952 roku, a żona wtrącona do Fordonu. Władka wspominała, że te wspaniałe, odważne kobiety były celowo przemieszane z kryminalistkami i kobietami z marginesu, osadzonymi za pospolite przestępstwa. Chodziło o największe poniżenie, upodlenie i psychiczne znęcanie się.

Władka, podczas wielu całonocnych przesłuchań była bita, maltretowana, nazywana nie inaczej niż „ty akowska k...” (tu wulgarne słowo), całymi tygodniami przetrzymywana w zimnych izolatkach. W czasie aresztowania była już w ciąży, jednak wkrótce poroniła. Z Fordonu wyszła po niespełna dziesięciu latach, bowiem objęła ją „wspaniałomyślna” amnestia. Mąż Leon odwiedzał Władkę w więzieniu i cierpliwie czekał na jej powrót. Gdy to nastąpiło, przenieśli się wkrótce z Rychławy do Bzowa, gdzie Leon był kierownikiem miejscowej szkoły. Mieli dwoje dzieci. Kupili dom w Starogardzie i później na emeryturze tam zamieszkali. Czasem rozmawialiśmy z siostrą o naszym zmarnowanym życiu, bez możliwości zdobycia wykształcenia i nawet pracy. Władka jednak niczego nie żałowała. Pozostała wierna przysiędze i ostatniemu rozkazowi o rozwiązaniu Armii Krajowej*. Nie można było inaczej postępować i żyć, gdy się marzyło o wolnej, niepodległej Polsce. Władysława zmarła w wieku 88 lat. Janka, moja druga siostra, wyszła za mąż w 1948 roku. Mieszkała najpierw w Piotrkowie Kujawskim, później w Szczecinie. Też już nie żyje.

Jaki był stosunek władzy komunistycznej do Pani rodziców?

Najpierw, w 1945 roku, tata otrzymał, za zasługi wojenne, akt własności na poniemieckie gospodarstwo w Rychławie. Zamieszkała w nim cała nasza rodzina. Jednak po śmierci Janka, uwięzieniu Tadeusza i Wandy, Sąd Wojskowy skonfiskował mienie Sikorskich. Franciszek jako ojciec pełnoletnich dzieci działających w „bandach”, które zbrojnie wystąpiły przeciwko „ludowej, socjalistycznej” ojczyźnie został wyrzucony z gospodarstwa i pozbawiony wszelkiej własności. To były najtrudniejsze lata w naszym życiu. Mieszkaliśmy kątem u życzliwych ludzi w Rychławie. Tata zmarł tam w 1952 roku. Trzy lata później przeprowadziliśmy się obie z mamą do Nowego Stawu koło Malborka. Tu nas nikt nie znał, a wielu sąsiadów miało za sobą podobne do naszych dramaty.

Zatem, jakie były losy Pani, najmłodszej spośród rodzeństwa Sikorskich?

W 1949 roku podjęłam naukę w Liceum Pedagogicznym w Chełmnie. Gdy jednak po roku do szkoły dotarła wiadomość, że mój brat zginął jako członek „bandy”, a drugi brat i siostra to wrogowie Polski ludowej, którzy odsiadują wyroki w więzieniu, nagle moje oceny stały się beznadziejne i nie było dla mnie miejsca w szkole. Później uczestniczyłam w kursie, który miał dać pracę w Urzędzie Pocztownym w Świeciu. Jednak już po tygodniu spotkało się w mojej sprawie umundurowane konsylium polityczne, które uznało, że na razie nie ma dla mnie pracy. Miałam szesnaście lat i żadnych środków do życia. Dzięki życzliwości naczelnika stacji PKP w Twardej Górze otrzymałam pracę. Jednak i tu wkrótce moją osobą zainteresowała się komórka partyjna. Okazało się, że jako dziecko reakcyjnej rodziny nie mogę pracować w kolejowej kasie. Należy mnie natychmiast zwolnić. Wówczas przyjechał kontroler z góry, który postanowił mi pomóc. Przeniesiono mnie na stację PKP do Smętowa, gdzie pracowałam kilka lat, a później do Pelplina.

Tymczasem tata zmarł w Rychławie w 1952 roku. Zostałam sama z mamą. Wtedy, za radą owego kontrolera, przenieśliśmy się do Nowego Stawu pod Malborkiem. Tu – jak wcześniej wspomniałam – nikt nas nie znał. Po wielu latach upokorzeń zaczęliśmy z mamą spokojne życie. Wysłałam za męża, założyłam rodzinę.

Nasuwa się pytanie, jak te wszystkie dramaty i prześladowania odbieraliście?

Rodzice byli wielkimi patriotami, żadne dramaty i tragedie życiowe, rodzinne nie były w stanie ich złamać. Polska dla nich to była świętość! I nas też tak wychowywali. Polska to świętość, dla której należało poświęcić wszystko, nie tylko majątek, czy jakieś dobra materialne, ale gdy trzeba, to też własne życie. Nigdy nie żalowali swoich decyzji, ani swoich wyborów. Ważną rolę w życiu całej rodziny odgrywała też bezgraniczna ufność Bogu. Wspólna modlitwa była codziennością w naszym domu. Nie można było inaczej...

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: **Tadeusz Chrzanowski**

Nowy Staw, 19 kwietnia 2012 roku

*Na stronie obok zamieszczona jest Rota przysięgi Armii Krajowej oraz ostatni rozkaz dowódcy Sił Zbrojnych w Kraju z 19 stycznia 1945 r.

ROTA PRZYSIĘGI ARMII KRAJOWEJ

Przymowany:

W obliczu Boga Wszechmogącego i Najświętszej Maryi Panny, Królowej Korony Polskiej kładę swe ręce na ten Święty Krzyż, znak Męki i Zbawienia, i przysięgam być wiernym Ojczyźnie mej, Rzeczypospolitej Polskiej, stać nieugięcie na straży Jej honoru i o wyzwolenie Jej z niewoli walczyć ze wszystkich sił - aż do ofiary życia mego.

Prezydentowi Rzeczypospolitej Polskiej i rozkazom Naczelnego Wodza oraz wyznaczonemu przezeń Dowódcy Armii Krajowej będę bezwzględnie posłuszny, a tajemnicy niezłomie dochowam, cokolwiek by mnie spotkać miało. Tak mi dopomóż Bóg.

Przymijający:

Przyjmuję Cię w szeregi Armii Polskiej, walczącej z wrogiem w konspiracji o wyzwolenie Ojczyzny. Twym obowiązkiem będzie walczyć z bronią w ręku. Zwycięstwo będzie Twoją nagrodą. Zdrada karana jest śmiercią.

OSTATNI ROZKAZ DOWÓDCY SIŁ ZBROJNYCH W KRAJU Z 19 STYCZNIA 1945 R.

ŻOŁNIERZE SIŁ ZBROJNYCH W KRAJU!

Postępująca szybko ofensywa sowiecka doprowadzić może do zajęcia w krótkim czasie całej Polski przez Armię Czerwoną. Nie jest to jednak zwycięstwo słusznej sprawy, o którą walczyliśmy od roku 1939. W istocie bowiem - mimo stwarzanych pozorów wolności - oznacza to zmianę jednej okupacji na drugą, prowadzoną pod przykrywką Tymczasowego Rządu Lubelskiego, bezwolnego narzędzia w rękach rosyjskich.

Żołnierze! Od 1 września 1939 r. Naród Polski prowadzi ciężką i ofiarną walkę o jedyną Sprawę, dla której warto żyć i umierać: o swą wolność i wolność człowieka w niepodległym Państwie. Wyrazicielem i rzecznikiem Narodu i tej idei jest jedyny i legalny Rząd Polski w Londynie, który walczy bez przerwy i walczyć będzie nadal o nasze słuszne prawa.

Polska, według rosyjskiej receptury, nie jest tą Polską, o którą bijemy się szósty rok z Niemcami, dla której popłynęło morze krwi polskiej i przecierpiano ogrom męki i zniszczenie Kraju. Walki z Sowietami nie chcemy prowadzić, ale nigdy nie zgodzimy się na inne życie, jak tylko w całkowicie suwerennym, niepodległym i sprawiedliwie urządzonym społecznie Państwie Polskim.

Obecne zwycięstwo sowieckie nie kończy wojny. Nie wolno nam ani na chwilę tracić wiary, że wojna ta skończyć się może jedynie zwycięstwem jedynie słusznej Sprawy, tryumfem dobra nad złem, wolności nad niewolnictwem.

Żołnierze Armii Krajowej! Daję Wam ostatni rozkaz. Dalszą swą pracę i działalność prowadźcie w duchu odzyskania pełnej niepodległości Państwa i ochrony ludności polskiej przed zagładą. Starajcie się być przewodnikami Narodu i realizatorami niepodległego Państwa Polskiego. W tym działaniu każdy z Was musi być dla siebie dowódcą. W przekonaniu, że rozkaz ten spełnicie, że zostaniecie na zawsze wierni tylko Polsce oraz by Wam ułatwić dalszą pracę - z upoważnienia Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej zwalnię Was z przysięgi i rozwiązuję szeregi AK. W imieniu służby dziękuję Wam za dotychczasową ofiarną pracę. Wierzę głęboko, że zwycięży nasza Święta Sprawa, że spotkamy się w prawdziwie wolnej i demokratycznej Polsce. Niech żyje Wolna, Niepodległa, Szczęśliwa Polska.

Dowódca Sił Zbrojnych w Kraju
/-/ Niedźwiadek (Leopold Okulicki), Gen. Bryg.,
M.p. 19 stycznia 1945.



Danuta Siedzikówna (1928 – 1946)

Danuta SIEDZIKÓWNA ps. Inka

(1928-1946)



wudziestego ósmego sierpnia 1946 roku godz. 6.15, w gdańskim więzieniu przy ul. Kurkowej 12, komunistyczni oprawcy zamordowali niespełna osiemnastoletnią sanitariuszkę 5. Brygady Wileńskiej AK, Danutę Siedzikówną ps. Inka. Wraz z nią śmierć poniósł oficer wileńskiej AK, ppor. Feliks Selmanowicz ps. Zagończyk. Przez reżim stalinowski mieli być skutecznie wymazani z pamięci, dlatego miejsce zakopania ciał zostało utajnione i aż do 2014 roku pozostawało nieznane.

Wyrok śmierci był komunistyczną zbrodnią sądową, a zarazem aktem zemsty i bezradności UB wobec niemożności rozbicia oddziałów majora Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”. Ten przypadek to dobitny przykład skazywania Żołnierzy Niezłomnych na śmierć przez komunistyczne sądy wojskowe z reguły po bestialskim śledztwie, przedstawieniu spreparowanych dowodów i fałszywych zeznań podstawionych świadków.

We wrześniu 2014 roku, w ramach prac zespołu IPN ds. poszukiwań nieznanym miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego 1944-1956 pod kierownictwem prof. Krzysztofa Szwagrzyka, na Cmentarzu Garnizonowym w Gdańsku odnaleziono nieoznaczony grób, w którym spoczywały szczątki Danuty Siedzikówny i Feliksa Selmanowicza. Po badaniach kodu DNA informacja ta została ostatecznie potwierdzona i ogłoszona 1 marca 2015 roku w Narodowym Dniu Pamięci Żołnierzy Wyklętych. Noty identyfikacyjne z rąk prezydenta RP i prezesa IPN odebrały rodziny zabitych.

Zapadła decyzja, że w 70. rocznicę wykonania wyroku śmierci, to jest 28 sierpnia 2016 roku odbędzie się uroczysty, godny bohaterów, państwowy pogrzeb „inki” i „Zagończyka”, z udziałem prezydenta RP Andrzeja Dudy i premier Beaty Szydło. Rodziny bohaterów zdecydowały, że celebra pochówku znalezionych szczątków ciał będzie wspólna. Spoczną na Cmentarzu Garnizonowym w Gdańsku.

Uroczystości pogrzebowe zaczęły się Mszą św. w Bazylice konkatedralnej Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Gdańsku, skąd następnie kondukt pogrzebowy udał się na Cmentarz Garnizonowy w Gdańsku. Uroczystościom przewodniczył abp Leszek Sławoj Głódź. Dzień wcześniej, w sobotę 27 sierpnia 2016 roku w Kaplicy Królewskiej Bazyliki konkatedralnej Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Gdańsku wystawione były trumny ze szczątkami rozstrzelanych żołnierzy.

Pogrzeb bohaterów konspiracji AK był demonstracją zwycięstwa. Był to pogrzeb Żołnierzy Wyklętych, w tamtym czasie pozbawianych czci i honoru,

o których pamięć upomnieli się Polacy, szczególnie młode pokolenie. W przeddzień pogrzebu, 27 sierpnia 2016 r., dzięki wsparciu leśników, został odsłonięty pomnik ku czci legendarnej Danuty Siedzikówny „Inki” w Miłomłynie, gdzie krótko w 1946 roku pracowała w miejscowym nadleśnictwie.

DZIECIŃSTWO

Danuta Siedzikówna urodziła się 3 września 1928 roku, we wsi Guszczewina koło Narewki na Podlasiu, jako druga córka Wacława Siedzika (1894-1943) i Eugenii z Tymińskich (1905-1943). Wtedy rodzina Siedzików mieszkała w leśniczówce Olchówka koło Narewki.

Jej ojciec od 1926 roku pracował jako leśniczy w lasach Olchówki, administrowanych przez państwowe Nadleśnictwo Browskie (od 1933 roku nastąpiła zmiana nazwy na Nadleśnictwo Browsk) z siedzibą w Gruszkach koło Narewki, podległe Dyrekcji Lasów Państwowych w Białowieży. Był też wytrawnym myśliwym. Jeszcze podczas studiów na politechnice w Petersburgu Wacław Siedzik za działalność patriotyczną i antycarską trafił w 1913 roku na zesłanie. Dopiero zdobycie w 1926 roku dokumentów innego zmarłego zesłańca umożliwiło mu powrót cudem do wolnej Polski. W kraju wziął ślub z Eugenią Tymińską. Po roku przysłała na świat ich pierwsza córka Wiesława, rok później Danuta, a w 1931 – Irena. Danuta uczyła się w szkole powszechnej w Narewce, a podczas okupacji ukończyła dwie klasy gimnazjalne. Dzięki rodzinie i dziadkom ważną rolę w domu zawsze odgrywały tradycje patriotyczne.

LATA OKUPACJI – REPRESJE I OSIEROCENIE

Po 17 września 1939 roku Olchówka znalazła się pod okupacją sowiecką. Od początku miejscowi Polacy doświadczali represji ze strony okupanta. Dziesiątego lutego 1940 roku aresztowano leśniczego Wacława Siedzika. Po gehennie śledztwa został po raz drugi w życiu zesłany na Sybir do katorżniczej pracy łagiernika w kopalni złota w rejonie Nowosybirsk. Po układzie Sikorski-Majski w 1941 roku, większość Polaków zesłanych w głąb ZSRR objęto amnestią i zwolniono z więzień, łagrów i spec-posiołków. Wśród nich był ojciec Danuty Siedzikówny. Zdołał dotrzeć do punktu formowania polskiego korpusu gen. Andersa. Po kilku miesiącach opuścił „nieludzką ziemię” wraz z transportami przenoszącymi wojsko i ludność cywilną do Persji. Był jednak bardzo schorowany i wyczerpany ciężką pracą, dlatego nie powołano go do służby czynnej. Został w Teheranie komendantem obozu dla uchodźców z Syberii. Niestety choroba wywołała takie wycieńczenie organizmu, że zmarł 6 czerwca 1943 roku i został pochowany na polskim cmentarzu w Teheranie (grób nr 1333). Losy leśniczego Wacława Siedzika, jak widać, są zbieżne z wątkami życiorysów wielu leśników kresowych.



Rodzina Siedzików przed leśniczówką Olchówka koło Narewki latem 1939 roku. Od lewej: stoją matka Eugenia z Danutą, siedzą ciotka Jadwiga z matką Anielą, obok ojciec leśniczy Wacław Siedzik z córkami - z lewej Irena (z kokarda), z prawej Wiesława.
Fot. archiwum Wiesławy Korzeniowej z domu Siedzik

Po zesłaniu męża Eugenię Siedzikową z córkami zmuszono do opuszczenia leśniczówki. W kwietniu 1940 roku osiedliła się w Narewce. Tam zastała je inwazja niemiecka na Związek Sowiecki. Eugenia zaangażowała się w ruch oporu Państwa Podziemnego i we współpracę z AK, o czym doniósł na gestapo miejscowy komunista Aleksander W. Została aresztowana w listopadzie 1942 roku, przeszła ciężkie śledztwo, podczas którego poddano ją torturom. Chorowała na tyfus. We wrześniu 1943 roku Eugenia Siedzikowa została rozstrzelana w nieznanym miejscu w lesie koło Białegostoku. Osierocone Wiesława i Danuta wstąpiły w grudniu 1943 do Armii Krajowej i w niedługim czasie zostały zaprzysiężone. Kilka miesięcy później skierowano je na kurs dla sanitariuszek. Działały w siatce konspiracyjnej AK, kierowanej przez leśniczego Stanisława Wołonciewa „Konusa” z Narewki.

KANCELISTKA W BIURZE NADLEŚNICTWA NAREWKA

Nastaly ciężkie czasy, ludzie głodowali. Jeszcze w październiku 1944 roku po przejściu frontu zaledwie szesnastoletnia Danuta Siedzikówna zatrudniła się jako kancelistka w nadleśnictwie w Narewce. Pracownicy nadleśnictwa dobrze pamiętali jej ojca leśniczego. Zatrudniając ją, chcieli pomóc rodzinie. Przed wojną była wzorową uczennicą szkoły powszechnej, a w okresie okupacji zdążyła ukończyć dwie klasy w gimnazjum. Będąc córką leśniczego o typie „chłopczycy”, zapewne już od dzieciństwa poznawała tajniki zawodu ojca. W biurze Danka okazała się bardzo przydatna.

W lipcu 1944 roku dowódca walczącej na Wileńszczyźnie 5. Wileńskiej Brygady AK, mjr Zygmunt Szendzielarz ps. Łupaszka zdecydował o częściowym rozbrojeniu zgrupowania i przeprowadzeniu małymi grupami najwierniejszych mu żołnierzy do Polski na teren Puszczy Augustowskiej. Formalnie 5. Brygada została odtworzona wiosną 1945 roku. Pod rozkazy „Łupaszki” zgłaszali się nie tylko żołnierze 4. i 5. Brygady Wileńskiej, lecz także członkowie innych oddziałów zbrojnych z Wileńszczyzny i z innych rejonów.

Zanim Danuta Siedzikówna dołączyła do Brygady, w czerwcu 1945 roku doszło do aresztowania przez NKWD i Wojewódzki UBP wszystkich pracowników nadleśnictwa w Narewce z nadleśniczym na czele pod zarzutem współpracy z „reakcyjnym podziemiem”. Z pisma wojewody białostockiego do zastępcy szefa WUBP w Białymstoku, Eliasza Kotonia, wynikało, że wojewoda prosił o uwolnienie pracowników, bo upadnie plan produkcji tak bardzo potrzebnego wtedy drewna. Kotoń odmówił, informując, że wszyscy aresztowani „współpracowali z bandami leśnymi”. Zapadła decyzja o przewiezieniu aresztantów do Białegostoku. Jeszcze w czerwcu podstawiono samochód ciężarowy. Najmłodsi, dla których brakło miejsca na pace samochodu, musieli iść związani za ciężarówką. Danka i gajowy Bronisław Brancewicz na tym skorzystali. Kiedy poakowski patrol, pod-



Danuta Siedzikówna przed szkołą w Narewce w 1944 roku. Fot. archiwum Wiesławy Korzeniowej z domu Siedzik

legły leśniczemu Stanisławowi Wołaciejowi „Konusowi”, zaatakował konwój na drodze z Narewki do Hajnówki, „Inka” i młody gajowy uciekli.

SANITARIUSZKA W 5. BRYGADZIE WILEŃSKIEJ AK

Nie mając nic do stracenia, Danuta po ucieczce z konwoju dołączyła do oddziału 5. Wileńskiej Brygady AK. Została sanitariuszką w oddziale „Konusa”, a potem w szwadronach por. Jana Mazura „Piasta” i por. Mariana Plucińskiego „Mścisława” w plutonie Zdzisława Badochy „Żelaznego”. W konspiracji Danuta Siedzikówna używała pseudonimu „Inka”, który nawiązywał do imienia jej przyjaciółki.

Po kilku miesiącach mjr Szendzielarz wydał rozkaz rozformowania zgrupowania. Ostatnia koncentracja wszystkich sił, zebranych w lasach Nadleśnictwa Bielsk, miała miejsce 7 września 1945 roku w gajówce Stoczek, leżącej na terenie gminy Poświętne. Tylko nieliczni żołnierze pozostali w lesie. Od lutego 1946 roku oddział ten przyjął nazwę 6. Wileńskiej Brygady AK. Dowodzili nim kolejno Lucjan Minkiewicz „Wiktor”, Władysław Łukasiuk „Młot”, Kazimierz Kamieński „Huzar”. Brygada ta była jednym z najdłużej działających oddziałów podziemia niepodległościowego.



Danuta Siedzikówna (pierwsza z prawej) z grupą przyjaciół w Narewce w 1945 roku. Fot. archiwum Wiesławy Korzeniowej z domu Siedzik



Żołnierze 4. szwadronu V Wileńskiej Brygady Armii Krajowej na Białostocczyźnie wiosną 1945 roku. W górnym rzędzie od lewej: Marian Pluciński ps. Mściśław, Henryk Wieliczko ps. Lufa, Stanisław Lipowski ps. Lipa, Zdzisław Badocha ps. Żelazny. W środkowym rzędzie: Jerzy Lejkowski ps. Szpagat, Zbigniew Fijałkowski ps. Pędzelek, NN. W dolnym rzędzie: Danuta Siedzikówna ps. Inka, Bohdan Śmiałowski ps. Beduin, Witold Godzisz ps. Radio, NN. Fot. archiwum IPN

KONTYNUOWANIE NAUKI I PRACA W NADLEŚNICTWIE MIŁOMŁYN

„Inka” należała do tych członków Brygady, którzy we wrześniu 1945 roku wrócili do legalnego życia. Jako Danuta Obuchowicz podjęła naukę w gimnazjum w Nierośnie w gminie Dąbrowa Białostocka. Nie zdecydowała się na ujawnienie swoich związków z konspiracją. Obawiała się zdemaskowania przez UB i dlatego skorzystała z pomocy ojca chrzestnego leśniczego, Stefana Obuchowicza, który znalazł jej pracę od stycznia 1946 roku w Nadleśnictwie Miłomłyn koło Ostródy. Wtedy „Inka” legitymowała się podrobionym zaświadczeniem Zarządu Miejskiego w Białymstoku dla Danuty Iny Zalewskiej urodzonej 3 września 1928 roku w Wołkowysku. Praca „Inki” w Miłomłynie nie trwała długo, już pod koniec lutego 1946 roku odnowiła kontakt z oddziałem, który tymczasem zaczął przerzucać swoje siły do województwa olsztyńskiego. Pojawił się też plan, aby zainicjować działania partyzanckie w województwie gdańskim, co było niezwykle śmiałym zamierzeniem, ponieważ jak pokazało życie w zastraszonym miejscowym społeczeństwie, wsparcia udzielały przeważnie osoby wywodzące się m.in. z grona rolników, pracowników służby leśnej i Polskich Kolei Państwowych.

POWRÓT DO KONSPIRACJI NIEPODLEGŁOŚCIOWEJ

„Inka” dołączyła ponownie do oddziału na początku marca 1946 roku. Dostała przydział do szwadronu dowodzonego przez Zdzisława Badochę „Żelaznego”. Powierzono jej obowiązki sanitariuszki. Niekiedy wykonywała zadania łączniczki, a czasem także wywiadowcy. W szeregach szwadronu „Żelaznego”, Siedzikówna uczestniczyła m.in. w tzw. akcji pociągowej – przeprowadzonej na stacji Tleń, w powiecie świeckim, 4 maja 1946 roku. Dnia 23 maja – pod wsią Podjazdy w powiecie kościerskim – doszło do starcia szwadronu z oddziałem MO. Zginął wtedy jeden milicjant i jeden ubowiec, a trzech milicjantów zostało rannych. Jeden z nich oskarżył później Siedzikównę o to, że strzeliła do niego z pistoletu, a następnie zabrała część jego wyposażenia wojskowego. „Inka” nie zrobiła ani jednego, ani drugiego, choć na początku maja na rozkaz „Żelaznego” przydzielono jej pistolet Mauser, więc teoretycznie mogła strzelać. 10 czerwca wraz ze szwadronem brała udział w potyczce koło wsi Tulice w powiecie sztumskim. W trakcie walki został ranny „Żelazny”. Po złamaniu oporu milicjantów i UB, na rozkaz por. Olgierda Christy „Leszka”, partyzanci rozstrzelali dwóch funkcjonariuszy UB. Później zdarzenie to zostało wykorzystane przeciwko „Ince”, mimo iż udzieliła wtedy pomocy również jednemu z rannych funkcjonariuszy. Jedną z ostatnich akcji z jej udziałem jako sanitariuszki szwadronu „Żelaznego”, była zasadzka na stacji kolejowej Bąk w powiecie czerskim 24 czerwca. Partyzanci zatrzymali tam pociąg relacji Gdynia–Katowice, w którym szukali Sowietów. Zatrzymali pięciu z nich i zastrzelili. „Inka” dostała rozkaz pilnowania obsługi stacji, aby nie próbowała wysłać sygnału ostrzegawczego do milicji lub UB.

OSTATNIA MISJA I ARESZTOWANIE

Ostatnim zadaniem „Inki” była podróż do Malborka, Gdańska i Olsztyna. Zlecił je por. „Leszek”, zastępca „Żelaznego”. Sam „Żelazny” już wtedy nie żył, o czym jego podkomendni wówczas jeszcze nie wiedzieli. Sanitariuszka miała zdobyć lekarstwa potrzebne oddziałowi i dowiedzieć się, z jakiego powodu „Żelazny” tak długo nie wraca. Wyruszyła 13 lipca 1946 roku ze wsi Zwierzyniec z domu zaprzyjaźnionych z partyzantami Łytkowskich w towarzystwie Henryka Kazimierczaka „Czajki”. Po wykonaniu zadania miała stawić się 20 lipca w Lipowej Tucholskiej. Pierwszym celem podróży był Malbork.

„Udałam się więc do Malborka – zeznawała „Inka”, gdzie spotkałam syna Tarasiewiczowej, który zakomunikował mi, że matka jego jest aresztowana, a „Żelazny” prawdopodobnie zginął pod Sztumem. Z Malborka udałam się do Olsztyna, aby potwierdzić wiadomość o „Żelaznym”. Jednak „Stopki” nie zastałam, gdyż został on aresztowany, a żona jego nic nie wiedziała na ten temat, przyjechałam więc do Wrzeszcza”.

W Gdańsku „Inka” zatrzymała się w jednym z lokali konspiracyjnych u pochodzących z Wilna siostr Mikołajewskich, zamieszkających w Gdańsku-Wrzeszczu przy ul. Wróblewskiego 7. Dom obserwowali funkcjonariusze UB, którzy nad ranem wkroczyli do mieszkania i aresztowali „Inkę”. Adres zdradziła im łączniczka „Łupaszk” Regina Żylińska-Modras, którą zatrzymano 20 kwietnia 1946 roku i skłoniono do współpracy z „bezpieką”. Zachowało się postanowienie o osadzeniu Iny Zalewskiej w gdańskim więzieniu karno-śledczym, sporządzone 20 lipca przez prokuratora dr. praw kpt. Adolfa Brunickiego. W dokumentach z 31 lipca wymieniono już prawdziwe nazwisko „Inki”.

ŚLEDZTWO I WYROK ŚMIERCI

Śledczy z Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Gdańsku chcieli od Siedzikówny uzyskać wszystkie informacje na temat działalności oddziału mjr. „Łupaszk” i osób, które im pomagały. By zmusić ją do zeznań, zastraszano ją, poniżano i torturowano, czego świadkami były osoby, które zetknęły się z nią w gdańskim więzieniu. Jedenastego dnia po aresztowaniu Andrzej Stawicki, oficer śledczy WUBP w Gdańsku, sporządził akt oskarżenia do prokuratury wojskowej. 31 lipca wystosowano wniosek o skazanie „Inki” na karę śmierci. Sprawę miał rozstrzygnąć Wojskowy Sąd Rejonowy w Gdańsku. Siedzikównie zarzucono atak z użyciem broni palnej na milicjanta Longina Ratajczaka podczas potyczki koło wsi Podjazdy i zachęcanie do zabicia funkcjonariuszy UB w czasie akcji w Tulicach, a także posiadanie broni bez zezwolenia. Posiedzenie Wojskowego Sądu Rejonowego w sprawie Danuty Siedzikówny odbyło się 3 sierpnia 1946 roku. Składowi sędziowskiemu przewodniczył mjr Adam Gajewski. Obok zasiedli asesor WSR, kpt. Kazimierz Władysław Nizio-Narski i ławnik

kpr. Wacław Machola. Jako prokurator wystąpił chor. Wacław Krzyżanowski. Funkcję obrońcy z urzędu pełnił mec. Jan Chmielewski.

Na pierwszej – i jak się okazało – jedynej rozprawie sędzia odczytał akt oskarżenia przygotowany w WUBP. „Inka” nie miała możliwości wcześniejszego zapoznania się z tym dokumentem. Nie przyznała się do zarzucanych jej czynów – strzelania do milicjanta i podżegania do zabicia funkcjonariuszy UB. Następnym elementem rozprawy było odczytanie zeznań nieobecnych świadków oskarżenia oraz wysłuchanie tych, którzy przybyli. Niemal wszyscy złożyli obciążające ją zeznania. Ona sama nie zaprzeczała, że należała do oddziału i przez kilka tygodni dysponowała bronią, na którą nie miała pozwolenia władz. Pytania zadawane przez adwokata sugerują, że próbował on budować linię obrony na stwierdzeniu, że jego klientka przystąpiła do oddziału pod przymusem, gdyż skłonił ją do tego narzeczony Henryk Wojczyński „Mercedes”, że nie miała przeszkolenia wojskowego i nie uczestniczyła w działaniach zbrojnych. Sama Siedzikówna przyznała się tylko do jednego działania militarnego, do kontrolowania pomieszczenia telegrafu na stacji kolejowej w miejscowości Bąk.

Po złożeniu i odczytaniu zeznań przez świadków oskarżenia, prokurator wystąpił z wnioskiem o uznanie zarzuconych czynów za udowodnione i wydanie wyroku śmierci. Wszystkie opisane czynności procesowe trwały zaledwie dwie godziny. O godz. 18.00 sąd udał się na naradę. Pół godziny później ogłosił wyrok, zgodny z wnioskiem oskarżenia. „Inkę” skazano dwukrotnie na „karę śmierci, utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na zawsze oraz przepadek mienia na rzecz Skarbu Państwa” za przynależność do organizacji, „która miała na celu usunięcie przemocą ustanowionych organów władzy zwierzchniej narodu i zmianę przemocą istniejącego demokratycznego ustroju państwa polskiego, przy czym udział jej przejawiał się w uczestniczeniu wraz z bandą w charakterze sanitariuszki w akcjach” oraz za to, że jako członek oddziału „dopuszczała się wielokrotnie zamachów na funkcjonariuszy UB i MO, SOK i żołnierzy Armii Czerwonej, członków organizacji politycznej”. Dodatkowo za nielegalne posiadanie broni otrzymała 15 lat więzienia. Rozprawa zakończyła się o godz. 18.45. Tym samym krótkie śledztwo i jedno posiedzenie sądu wystarczyło, aby niepełnoletnią osobę uznać za winną i mimo iż nie użyła broni, skazać na karę śmierci.

„Inka” nie uległa namowom obrońcy z urzędu i nie podpisała prośby o ułaskawienie, pismo podpisał jej obrońca. Zwrócił się on do prezydenta Krajowej Rady Narodowej Bolesława Bieruta z prośbą o skorzystanie z przysługującego mu prawa łaski. W liście wskazano na niepełnoletność skazanej, na to, że jest sierotą, a ponadto, że do pozostawania w oddziale miał ją nakłonić narzeczony. Pod listem nie było podpisu skazanej. 19 sierpnia 1946 roku Bierut odpowiedział odmownie. Skazana czekała na wykonanie wyroku w więzieniu



Pomnik Danuty Siedzikówny ps. Inka w sąsiedztwie siedziby Nadleśnictwa Browśk, odsłonięty 11 czerwca 2017 roku. Fot. Tadeusz Chrzanowski

karno-śledczym przy ul. Kurkowej, zlokalizowanym na tyłach Wojewódzkiego Sądu Okręgowego w Gdańsku. Do krewnych dotarł gryps, w którym Danuta napisała: „Jest mi smutno, że muszę umierać. Powiedźcie mojej babci, że zachowałam się jak trzeba”.

EGZEKUCJA

Zapadła decyzja o wykonaniu wyroku w dniu 28 sierpnia 1946 roku. Danuta Siedzikówna nie była jeszcze wtedy pełnoletnia. Ostatnie chwile jej życia wspominał ks. Marian Prusak, który został wezwany, aby udzielić jej ostatniego namaszczenia. Siedzikówna nie zginęła sama. Wraz z nią został rozstrzelany Feliks Selmanowicz „Zagończyk”, który całą okupację służył w oddziałach polskiej konspiracji niepodległościowej, ostatnio jako zastępca dowódcy plutonu 5. Wileńskiej Brygady AK, a później jako dowódca 2. kompanii.

PAMIĘĆ

Losy niespełna osiemnastoletniej sanitariuszki stały się inspiracją dla artystów. W 2000 roku Tomasz Żak wyreżyserował spektakl „Na etapie”, poświęcony postaci Danuty Siedzikówny. W 2006 roku Scena Faktu Teatru Telewizji wystawiła sztukę Inka 1946 – „Ja jedna zginę” w reżyserii Natalii Korynckiej-Gruz i Marii Skąpskiej. Powstało też szereg filmów dokumentalnych, w tym w 2015 roku produkcji TVP „Inka, zachowałam się jak trzeba”. W ostatnich latach przybyło poetów i autorów piosenek, posiadających w swym dorobku wiersze i piosenki patriotyczne, poświęcone postaci „Inki”. Jej imię nosi kilka szkół, wiele drużyn harcerskich i innych organizacji, a nawet skwerów i parków miejskich. Ku jej pamięci i czci wmurowano wiele tablic i postawiono kilka pomników, m.in. przy siedzibie Nadleśnictwa Miłomłyn (2016) i Nadleśnictwa Browsk (2017).

Edward Orłowski¹

¹Autor artykułu, Edward Orłowski, jest pracownikiem Nadleśnictwa Komańcza (Regionalna Dyrekcja Lasów Państwowych w Krośnie). Pasjonuje się historią, w tym zwłaszcza dziejami leśników polskich Kresów.

OPRAWCY

Za zbrodnią sądową na 17-letniej Danucie Siedzikównie, ps. Inka, stoją konkretne osoby. W poniższym materiale przytoczono informacje na ich temat, korzystając głównie z publikacji Tadeusz Płużańskiego „Mordercy Danuty Siedzikówny Inki”, zamieszczonej w internecie pod adresem: <http://historia.wp.pl/title,Mordercy-Danuty-Siedzikowny-Inki,wid,16841933,wiadomosc.html?ticaid=117e17>

Brutalne śledztwo przeciwko Danucie Siedzikównie w lipcu i sierpniu 1946 roku prowadzili funkcjonariusze gdańskiego Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego (WUBP).

Najważniejszy był **Jan Wołkow**, który nie tylko osobiście znęcał się nad aresztowanymi, ale decydował o tym, kogo zamordować. Przed wojną skończył podstawówkę i pracował w Warszawie jako parkieciarz. Kilkuletni wyrok więzienia odsiadywał za antypolską działalność komunistyczną. Po wrześniu 1939 roku działał w komunistycznej partii na Wołyniu. W 1944 został rzucony do Polski jako sowiecki wywiadowca. Po wojnie, Wołkow zajmował się walką z „bandytyzmem”, czyli polskim podziemiem niepodległościowym. Prócz tropienia 5. Brygady Wileńskiej zasłynął dowodzeniem, w październiku 1951 roku, 800-osobową oblawą UB i KBW, w której zabito innego słynnego Żołnierza Niezłomnego - Edwarda Taraszkiewicza. W końcu Wołkowa zwolniono z bezpieki, bo nie opanował czytania i pisanie. Zmarł nie niepokojony przez Wymiar Sprawiedliwości III RP w styczniu 1999 roku w Warszawie. Został pochowany na Cmentarzu Komunalnym Północnym.

Józefa Bika, drugiego po Wołkowie mordercę z gdańskiego WUBP, nawet jego resortowi koledzy uważali za wyjątkową kanalię. Urodził się w 1922 roku w Łańcucie w rodzinie żydowskiej. W 1968 – po zmianie nazwiska na Bukar, a potem Gawerski – uciekł do Szwecji, gdzie przedstawiał się jako ofiara polskiego antysemityzmu. W 2003 roku przysłał do IPN list, w którym prosił o wydanie zaświadczenia, że w latach 1945-1953 pracował w bezpiece. Było mu potrzebne, aby starać się o wyższą emeryturę. Kiedy sąd odmówił, odwołał się do drugiej instancji i wygrał. IPN wytoczył Bikowi proces, który jednak, z powodów proceduralnych, nigdy się nie rozpoczął. Akt oskarżenia brzmiał: „Bił, znęcał się i zmuszał w ten sposób do składania zeznań”. Józef Bik zmarł w Szwecji w 2009 roku.

Nie mniej okrutny wobec „Inki” był **Andrzej Stawicki** (nie mylić z ppor. Franciszkiem Sawickim, byłym sowieckim spadochroniarzem, dowódcą plutonu egzekucyjnego, który – po nieskutecznej salwie plutonu – strzałem w głowę zabił Inkę i Zagończyka). Stawicki w gdańskim UB prowadził też inne śledztwa, zakończone wyrokami śmierci; więźniowie oceniali jego wiek na 25-26 lat. To jego podpis widnieje na akcie oskarżenia. Mimo intensywnych poszukiwań prowadzonych m.in. przez gdański IPN, nie udało się ustalić, kim był ten człowiek. W polskich

archiwach nie ma po nim śladu. Prawdopodobnie zmienił nazwisko, po czym zniszczył dokumentację i wyjechał za granicę.

Prokurator **Wacław Krzyżanowski** był żołnierzem Ludowego Wojska Polskiego. Uczestniczył w bitwie pod Lenino. W lutym 1946 roku ukończył Centralną Szkołę Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w Łodzi. Od stycznia 1946 do maja 1950 był oficerem śledczym Wojskowej Prokuratury Rejonowej w Gdańsku. Był w 1946 oskarżycielem posiłkowym w pokazowym procesie Danuty Siedzikówny. Zażądał wówczas dla 17-letniej oskarżonej kary śmierci.

W wojskowym wymiarze sprawiedliwości PRL Krzyżanowski pracował do 1976, wielokrotnie odznaczany i nagradzany. Był pierwszym prokuratorem, którego IPN oskarżył o udział w komunistycznej zbrodni sądowej. Został uniewinniony zarówno w sądzie I, jak i II instancji (2001). Prawdopodobnie przyczynił się do śmierci wielu niewinnych osób, podpierając swoje zarzuty fałszywymi i absurdalnymi oskarżeniami. Zmarł w 2014 roku w Koszalinie, gdzie został pochowany z wojskową asystą honorową (!) na Cmentarzu Komunalnym w Koszalinie.

Sądowi skazującemu „Inkę” na śmierć przewodniczył major **Adam Gajewski**, przedwojenny prawnik, absolwent KUL. Po ochotniczym wstąpieniu do LWP w 1944 roku został sędzią wojskowym, skazującym w procesach politycznych. Później został radcą prawnym Dyrekcji Budowy Osiedli Robotniczych w Gdańsku. Zmarł w 1972 roku, został pochowany na Cmentarzu Oliwskim. W składzie sędziowskim Gajewskiemu towarzyszyli kpr. **Wacław Machola** i kpt. **Kazimierz Nizio-Narski**. Ten drugi w czasie wojny był oficerem niemieckiej Kriminalpolizei (Kripo), członkiem Polskojęzycznej Grupy Gestapo powołanej przez Alberta Forstera do germanizacji Pomorza. Później został skazany za zatajenie tego faktu na osiem lat więzienia.

Wszyscy ci „sędziowie” mieli pełną świadomość bezprawności swoich działań: niepełnoletnią dziewczynę skazali na śmierć bez dowodów. Na wykonanie wyroku „Inka” czekała zamknięta w izolatce. Wysłaną przez obrońcę prośbę o łaskę do Bieruta (Inka jej nie podpisała) „sąd” zaopiniował negatywnie. Nie miała ona i tak żadnego znaczenia – wyrok na Siedzikównie wykonano, nim do Gdańska dotarła odmowna odpowiedź Bieruta.

Ppor. **Franciszek Sawicki** – jak pisze Piotr Szubarczyk z IPN w Gdańsku – był oficerem gdańskiej brygady KBW i to on zabił „Inkę” po nieudanej egzekucji, strzałem pistoletowym wprost w głowę, z przyłożenia. Sawicki trafił do KBW bezpośrednio z frontu. W czasie wojny był żołnierzem Armii Czerwonej, sowieckim skoczkiem spadochronowym, służył w NKWD. Trzy dni po egzekucji na Ince otrzymał awans na zastępcę dowódcy szefa sztabu do spraw wywiadowczo-śledczych. W KBW służył do 1956 roku, potem pracował w różnych przedsiębiorstwach miejskich Wrocławia, na stanowiskach kierowniczych, aż do przejścia na emeryturę.

Opracowanie: **Tadeusz Chrzanowski**



Na zdjęciach u góry:

Z lewej - Jan Wołkow, funkcjonariusz UB, w 1944 roku zrzucony do Polski jako sowiecki wywiadowca. Fot. archiwum IPN w Gdańsku

Z prawej - Józef Bik, funkcjonariusz UB, w 1968 roku uciekł do Szwecji, gdzie przedstawiał się jako ofiara antysemityzmu. Fot. archiwum IPN w Gdańsku

Na zdjęciu obok:

Ppor. Franciszek Sawicki, żołnierz Armii Czerwonej, funkcjonariusz NKWD, później oficer w brygadzie KBW, zabił Inkę strzałem w głowę. Fot. archiwum IPN w Gdańsku



Romuald Strutyński (1911 – 1960)

Leśniczy ROMUALD STRUTYŃSKI

(1911-1960)



Romuald Strutyński ukończył Szkołę dla Leśniczych w Białowieży w 1931 roku, praktykował w Nadleśnictwie Usza, a tuż przed wybuchem II wojny światowej był leśniczym w Nadleśnictwie Wilejka na terenie Dyrekcji Lasów Państwowych w Wilnie. Po 17 września 1939 roku był więziony przez Sowietów, przebywał w łagrze, stracił zdrowie. Później przeszedł szlak bojowy z Armią Andersa. Po wojnie wrócił do Polski, ale nie mógł podjąć pracy w wyuczonym zawodzie leśnika **(Red.)**

W poniższym szkicu przedstawiam losy mojego Ojca Romualda Strutyńskiego, który przed II wojną światową był leśniczym na Wileńszczyźnie. Informacje na temat tego okresu jego życia zawdzięczam zachowanym dokumentom oraz zapamiętanym z dzieciństwa szczątkom rozmów rodzinnych, w szczególności Matki, która pielęgnowała pamięć rodzinnych tradycji i wydarzeń. W roku śmierci Ojca miałam osiem lat. Ojciec po wojnie miał bardzo nadszarpnięte zdrowie. Często przebywał w szpitalu i w sanatoriach. Z powodu mojego dziecięcego wieku i wspomnianych okoliczności choroby nie miałam okazji rozmawiać z nim bezpośrednio na ten temat.

Romuald Strutyński urodził się w Żłobinie na Białorusi w 1911 roku. Jego ojciec Władysław (zmarł w 1922) był pracownikiem kolei, a matka, Maria z domu Dell (1879-1951), urodzona w Witebsku, zajmowała się dziećmi i domem. Dzieciństwo Ojca, o którym nic nie wiem, przypadło na burzliwe lata pierwszej wojny światowej i rewolucji październikowej. Rodzinne strony Ojca po I wojnie światowej znalazły się w granicach ZSRR. Moja babcia Maria została wdową w 1922 roku (zapamiętałam, że Tata miał 11 lat, jak mu zmarł ojciec i na tej podstawie podaję rok śmierci dziadka). Wiem z przekazów rodzinnych, że babcia czyniła wiele starań, by opuścić „bolszewicki raj” i dostać się do Polski. Udało się jej ten cel osiągnąć. Otrzymała polskie obywatelstwo i zatrzymała się w Wilnie razem z córką Ireną i najmłodszym synem Romualdem (dwoje dzieci zmarło w dzieciństwie, a dwóch starszych synów zaginęło w okresie wojny i rewolucji). Tata w latach 1923-1927 uczęszczał do Szkoły Podstawowej nr 38 w Wilnie (zachowało się świadectwo). Babcia prawdopodobnie utrzymywała się z drobnego handlu. Nie było jej stać na kształcenie syna. Sądzę, że dlatego wybrano szkolnictwo zawodowe. Zawód leśniczego dawał stabilizację i zaszczytny status funkcjonariusza państwowego.

Z zachowanego dzienniczka praktyki w Nadleśnictwie Usza wynika, że wspomniana praktyka miała miejsce w okresie od 7 października 1928 do 1 lipca 1930 roku. W 1929 roku powstała w Białowieży Szkoła dla Leśniczych¹. Warunkiem



Praktykant leśny Romuald Strutyński (siedzi drugi od prawej przy maszynie do pisania) w biurze Nadleśnictwa Usza na Wileńszczyźnie około 1930 roku. Fot. archiwum Marii Strutyńskiej

przyjęcia do szkoły było ukończenie szkoły podstawowej i udokumentowane odbycie praktyki związanej z zawodem. Te warunki Ojciec spełniał. Złożył stosowne dokumenty i został jej uczniem w roku szkolnym 1930/1931. Nauka w szkole była bezpłatna. Trwała 11 miesięcy od września do końca lipca następnego roku. Jej zadaniem było przygotowanie personelu pomocniczego do pracy w leśnictwie, czyli podleśniczych i leśniczych. Szczęśliwie zachowane świadectwo ukończenia przez Tatę tej szkoły ma datę 26 lipca 1931. Figurują na niej podpisy kierownika szkoły - inżyniera Jana Jerzego Karpińskiego oraz członków Rady Pedagogicznej. Szkoła nie dawała gwarancji otrzymania pracy. Trzeba pamiętać, że lata 30. XX wieku to okres światowego kryzysu, a młode i biedne państwo polskie w trudnych warunkach budowało zręby swojej administracji we wszystkich dziedzinach życia społecznego. Z pisma od Dyrekcji Lasów Państwowych w Wilnie zaadresowanego do Ojca jako praktykanta Leśnictwa Krasne nad Uszą, powiat Mołodeczno wynika, że właśnie tam kontynuował praktykę po szkole. W grudniu 1933 roku uzyskał zgodę Dyrektora Dyrekcji Lasów Państwowych w Wilnie Edwarda Szemiotha do służby przygotowawczej leśnej w Nadleśnictwie Wilejka.

Od roku 1936 pełnił obowiązki leśniczego w Leśnictwie Huby nadleśnictwa wilejskiego. W grudniu 1937 zdał egzamin dla kandydatów na stanowisko III kategorii służby leśnej. W lutym 1938 został leśniczym i objął leśniczówkę Kordon we wspomnianym Nadleśnictwie Wilejka. W tym samym roku, 23 sierpnia, zawarł związek



Uczniowie i personel Szkoły dla Leśniczych w Białowieży w 1931 roku. Romuald Strutyński w pozycji leżącej, drugi od lewej.
Fot. archiwum Marii Strutyńskiej



Załoga Leśnictwa Huby w Nadleśnictwie Wilejka, około 1935 roku. Podleśniczy Romuald Strutyński siedzi pierwszy od prawej. Fot. archiwum Marii Strutyńskiej

małżeński z Jadwigą Mesojedówną (1916-2002). Mama opuściła rodzinny dom w Wincelach² i pojechała do leśniczówki. Opowiadała, że leśniczówka była zapuszczona, dlatego z energią zajęła się jej upiększaniem. Starła się, by powstał warzywnik i kwiaty przed domem. Po roku wspólnego życia wybuchła wojna.

17 września wkroczyli Rosjanie. Ojciec podzielił los służby leśnej Wileńszczyzny. 3 października 1939 roku został aresztowany przez wschodniego okupanta i osadzony w więzieniu w Wilejce powiatowej³. Mama była świadkiem aresztowania. Zapamiętała, że wśród powołanej przez Sowietów milicji obywatelskiej, która aresztowała Tatę, byli robotnicy zatrudnieni w leśnictwie. Mieli na rękawach czerwone opaski - znak nowej władzy. Odtąd czerwona opaska bardzo źle się jej kojarzyła i budziła silne negatywne emocje. Po aresztowaniu męża zabrała dokumenty, fotografie oraz rzeczy osobiste i wróciła do odległych od leśniczówki o około 100 kilometrów Wincel. Sama uniknęła deportacji dzięki temu, że okoliczni mieszkańcy nie znali jej nazwiska po mężu. Została zapytana przez woźnego z gminy: czy pani nie zna jakiejś Strutyńskiej? Dowiedziała się, że owa Strutyńska ma wezwanie do urzędu. Zdążyła zniknąć na jakiś czas.

Z lapidarnych notatek Ojca wynika, że śledztwo zakończono 20 listopada 1939 roku. Następnie został zaocznie osądzony na podstawie § 58. p. 2 kodeksu sowieckiego ogólnego na 8 lat pozbawienia wolności i pracy przymusowej w obozie⁴. Z więzienia wywieziono go 6 lutego 1941 roku do obozu Jercewo (łagier nr 184), do którego dotarł 15 lutego 1941⁵. Na podstawie umowy polsko-sowieckiej, jako obywatel Polski, został zwolniony z obozu 28 sierpnia 1941. Dano mu do wyboru sześć obłasti, w których mógł zamieszkać. Umożliwić egzystencję przez danie pracy miało miejscowe biuro NKWD. Wybrał okręg (obłast) swierdłowski - miasteczko Ałapajewsk na Uralu. Z chwilą uzyskania pracy (jak pisze „bardzo ciężkiej”) w tartaku niezwłocznie złożył podanie do miejscowego wojennego komendanta o przydział do polskiej armii, która organizowała się gdzieś na terenie Rosji. 7 października 1941 roku otrzymał dokumenty i skierowanie do Tatiszczewa koło Saratowa, gdzie organizowało się polskie wojsko pod dowództwem generała Władysława Andersa. Do wojska jako ochotnik z pospolitego ruszenia został wcielony 15 października 1941 roku. Otrzymał kategorię „C”. Pełnił funkcję pisarza. Służył w 14. batalionie strzelców. Był żołnierzem 5. Kresowej Dywizji Piechoty 2. Korpusu Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie (nr wojskowy 240/S./1911/III) i przeszedł szlak bojowy tej armii. Brał udział w kampanii włoskiej - w bitwie pod Monte Cassino i pod Ankoną. Po demobilizacji przebywał w wojskowych obozach przejściowych na terenie Wielkiej Brytanii, a po odnalezieniu, za pośrednictwem Czerwonego Krzyża, żony Jadwigi oraz matki i siostry zdecydował się przybyć do Polski⁶ - do Lidzbarka Warmińskiego, a dokładniej do kolonii Sarnowo, odległej od Lidzbarka o trzy kilometry. Tam po opuszczeniu Wileńszczyzny osiedliła się żona ze swoją matką Pelagią Mesojedową⁷. Do portu w Gdańsku Tata przyплыł

Leśniczy Romuald Strutyński
(z prawej) w mundurze żołnierza
Armii Andersa podczas pobytu
w Dżalalabad w Kirgizji, w 1942 roku.
Fot. archiwum Marii Strutyńskiej



26 maja 1947, co potwierdza zachowany dokument Państwowego Urzędu Repatriacyjnego Ministerstwa Administracji. Dokument ten był jednocześnie biletem do konkretnej miejscowości na terenie kraju.

Nowa władza „ludowa” na starcie zapewniła sobie pełną kontrolę nad „obywatelem”. Okaziciel dokumentu nie mógł „zboczyć” z drogi, a nie miał pieniędzy na inny bilet. Na jego odwrocie widnieją pieczęcie: Wojskowej Komendy Rejestracji MO⁸, Posterunku Miejskiej Milicji Obywatelskiej w Lidzbarku Warmińskim oraz Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Lidzbarku i daty meldunku w wymienionych instytucjach. Pierwsze powitanie po latach rozłąki było zaprawione goryczą. Tata spodziewał się, że żona przywita go w porcie Gdańsk. Okazało się, że nie otrzymała telegramu, który wysłał. Telegram dostarczono dopiero po dwóch dniach od jego powrotu. Przypadek, czy działanie Urzędu Bezpieczeństwa?

Po wojnie Ojciec miał kłopoty ze znalezieniem pracy. Początkowo został zatrudniony w charakterze pracownika kontraktowego na okres próbny w Prezydium Powiatowej Rady Narodowej jako starszy rejestrator. W roku 1951 został kierownikiem Referatu Urządzeń Rolnych w PPRN⁹. W okresie wzmożonego terroru stali-

nowskiego (1948-1956) miał obowiązek meldowania się w Wojskowej Komendzie Rejestracji. Wkrótce (1952) został zwolniony z pracy w Prezydium na podstawie praktykowanej przez władze PRL zasady, że „andersowcy” nie mogą pracować w administracji państwowej. Znalazł zatrudnienie w Miejskim Przedsiębiorstwie Gospodarki Komunalnej¹⁰. Pełnił obowiązki majstra budowlanego.

Po wojnie nie pracował w swoim wyuczonym zawodzie. Nie pozwalało mu na to zdrowie i sytuacja polityczna. Okazało się, że więzienie, obóz, ciężka praca, głód, warunki wojenne, to jest częste przemieszczanie armii do kolejnych miejsc postoju odległych od siebie o tysiące kilometrów; ekstremalne zmiany warunków atmosferycznych (mróz poniżej -40°C, upał +70°C) oraz działania wojenne (Tata był ranny pod Ankoną) spowodowały utratę zdrowia. Ciągłe musiał zmagać się z licznymi chorobami i leczyć. Od lutego 1960 roku przeszedł na rentę. Zmarł 1 lipca 1960 roku. Został pochowany w Lidzbarku Warmińskim. W pogrzebie wzięło udział wielu mieszkańców Lidzbarka. Pozostawił żonę i osierocił dwoje dzieci: Władysława (ur. 1949) i Marię Halinę (ur. 1952)¹¹.

Romuald Strutyński z żoną i dziećmi przed domem w Lidzbarku Warmińskim w 1953 roku. Fot. archiwum Marii Strutyńskiej





Ostatnia fotografia rodzinna Strutyńskich. Od lewej Romuald, dzieci Maria i Władysław oraz żona Jadwiga w Lidzbarku Warmińskim w 1960 roku. Fot. archiwum Marii Strutyńskiej

Przeczytałam niedawno listy Taty pisane do Mamy z Anglii po ich odnalezieniu się. Z nich też przebija obowiązkowość, pracowitość i odpowiedzialność za sprawy zawodowe oraz rodzinę i troska o czyste sumienie. Poczucie dobrze spełnionego zadania było dla niego bardzo ważne. Wiem, że cieszył się szacunkiem współpracowników. Są tego dowody w postaci laurek z okazji imienin. Przygotowane zostały ręcznie, wykonane bardzo starannie z imponującą ilością podpisów. Wiem, że był podziwiany za mężne znoszenie choroby. Taki przykład buduje i zobowiązuje. A jednak można... Tata dodałby: „z Bożą pomocą da się”¹².

Maria Strutyńska*

Toruń, 28 sierpnia 2013 roku

*Autorka niniejszego szkicu, Maria Strutyńska, zmarła 6 kwietnia 2015 roku.

Przypisy

¹Bardzo dziękuję p. Annie Kulbackiej, dyrektor Zespołu Szkół Leśnych w Białowieży, która opracowała historię tej szkoły.

²Jej ojciec Franciszek Mesojed ze stryjem Zenonem mieli tam rodowy majątek liczący 100 ha roli i jeszcze około 300 ha lasów. Wincele znajdowały się w powiecie Świeciany znanym z miejsca urodzenia marszałka J. Piłsudskiego (Zułowo).

³Przytaczam fakty od aresztowania do zakończenia wojny na podstawie autobiograficznych notatek Ojca znajdujących się w moim posiadaniu.

⁴Jego jedynym udowodnionym „przestępstwem” było bycie Polakiem i funkcjonariuszem państwowym.

⁵Codzienne życie w tym łagrze opisał Gustaw Herling-Grudziński w tłumaczonej na wiele języków książce „*Inny świat*”.

⁶Dopóki nie wiedział nic o losach żony, planował razem z grupą kolegów wyemigrować do Kanady.

⁷Taty Matka z siostrą Ireną Ilcewicz (1902-1951) zamieszkały w Olsztynie.

⁸WKR. Dopiero teraz rozumiem ten skrót, który zapamiętałam z rozmów słyszanych w dzieciństwie: Tata meldował się na *wukaerze*, „a ja nigdy nie byłam pewna, czy po pracy wróci do domu” – słowa mamy.

⁹Dane na podstawie zachowanej legitymacji służbowej PPRN nr 329, wystawionej 31.12 1951.

¹⁰Na podstawie Tymczasowej Legitymacji Ubezpieczenia Społecznego. Wymienione przedsiębiorstwo zmieniało swoją nazwę i strukturę.

¹¹Wiedział, że jest nieuleczalnie chory i bardzo martwił się o przyszłość dzieci. Mamie zostawił zadanie, by wszelkimi siłami starała się, byśmy uczyli się i uzyskali przynajmniej maturę. Miał bardzo rozbudzoną ciekawość poznawczą. Dużo czytał. Lubił książki Stanisława Lema. Kupował „Przekrój”. Rozwiązywał krzyżówki. Interesował się sportem, który w młodości czynnie uprawiał.

¹²W listach adresowanych do mamy jest częste odniesienie do Boga, Jego woli oraz opieki Bożej Opatrzności.



Franciszek Wrembel (1904 - 1972)

Leśniczy FRANCISZEK WREMBEL ps. Marcin (1904-1972)



Franciszek Wrembel urodził się 16 września 1904 roku w Klein Rosshen w Niemczech, gdzie ukończył szkołę powszechną. Jako uczeń leśny odbywał praktykę w Nadleśnictwie Mosina na terenie Dyrekcji Lasów Państwowych w Poznaniu. W latach 1923-1924 uczęszczał do Państwowej Szkoły dla Leśniczych w Margoninie. Później, do 1926 r. pracował jako pomocnik leśny w Nadleśnictwie Margonin. Po odbyciu służby wojskowej pracował na stanowisku podleśniczego w Nadleśnictwie Glińnica, później leśniczego Leśnictwa Międzywiesze w Nadleśnictwie Potrzebowice.

Od 1934 do 1953 roku pracował na stanowisku leśniczego Leśnictwa Emilianowo w Nadleśnictwie Bartodzieje na terenie Puszczy Bydgoskiej. W okresie II wojny światowej i w pierwszych latach powojennych, od 1939 do 1948 był dowódcą placówki konspiracyjnej „Emilianowo”, która działała najpierw w strukturach Związku Walki Zbrojnej, później Armii Krajowej, a w okresie powojennym – w strukturach Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”, do ich rozwiązania w 1948 roku. O działalności leśniczego Franciszka Wrembla, ps. Marcin, szerzej pisze w osobnym artykule (na kolejnych stronach wydawnictwa) jego syn Henryk.

Wracając do kariery zawodowej leśniczego Franciszka Wrembla, w latach PRL-u nie miała ona szans na rozwój. Jako leśniczy podlegał stałej inwigilacji służb komunistycznych i miał trudności z utrzymaniem się na stanowisku w Lasach Państwowych. W latach 1954-1956 pracował dorywczo w Nadleśnictwie Leszycy, a w latach 1956-1958 jako strażnik łowiecki w Rejonie Lasów Państwowych w Bydgoszczy. Od 1963 roku do przejścia na emeryturę w 1970 roku pracował jako podleśniczy, a później leśniczy Leśnictwa Prądocin, w Nadleśnictwie Leszycy.

Franciszek Wrembel zmarł 7 czerwca 1972 roku. Odznaczony Medalem Dziesięciolecia Odzyskanej Niepodległości w 1938 roku, zaś pośmiertnie – w 1991 roku za działalność konspiracyjną Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Armii Krajowej, Odznaką Pamiątkową Okręgu Pomorskiego Armii Krajowej.

Tadeusz Chrzanowski

PLACÓWKA AK W EMILIANOWIE

Placówka Związku Walki Zbrojnej, później Armii Krajowej „Zagajnik” następnie „Zagroda”, ściśle związana z Leśnictwem Emilianowo, należącym przed II wojną światową do Nadleśnictwa Bartodzieje, funkcjonowała na terenie Puszczy Bydgoskiej w latach 1939-1948. Powstała z komórki dywersyjnej „Darzbór”, zorganizowanej jesienią 1939 roku przez Franciszka Wrembla, leśniczego Leśnictwa Emilianowo w latach 1934-1955. W 1940 roku włączyła się ona do ZWZ, następnie, konsekwentnie do AK. Działała tu w składzie Obwodu Bydgoszcz „Oficyna”, którego Franciszek Wrembel był współorganizatorem. W 1945 roku znalazła się w strukturach Delegatury Sił Zbrojnych, w ramach bydgoskiego Inspektoratu „Folwark”, później – do końca 1948 roku – podlegała prawdopodobnie Zrzeszeniu „Wolność i Niezawisłość” (WiN).

Komendantem Placówki Armii Krajowej w Emilianowie przez cały czas działania był leśniczy Franciszek Wrembel ps. „Marcin oraz Józef”. Jedynie w czasie od 17 listopada 1945 do 7 czerwca 1946, gdy był przetrzymywany w areszcie śledczym WUBP w Gdańsku funkcję, tę sprawował jego zastępca Władysław Piechuta ps. Borsuk, leśniczy w Dobromierzu, wówczas w Nadleśnictwie Leszycy. Przed II wojną światową Franciszek Wrembel ukończył sześciotygodniowy specjalistyczny kurs Przysposobienia Wojskowego Leśników w Margoninie, inni leśniczowie i leśnicy z tego terenu uczestniczyli w takim regularnym szkoleniu paramilitarnym w ramach lokalnej organizacji PWL.

Zgodnie z przedwojennymi planami Emilianowo, przygotowane było do współpracy z wojskiem, w przypadku zajęcia tych terenów przez nieprzyjaciela – jako ośrodek dywersji. Latem 1939 roku stacjonowała w tutejszej leśniczówce kompania saperów z Wołynia budująca umocnienia polowe wzdłuż rubieży Ottorowo – Żółwin – stacja kolejowa Emilianowo – osada Kobyle Błota (obecnie Emilianowo) i dalej, Przyłęki, wieś nad starą Notecią, w ramach pasa obrony Wisła-Notec. W dniach 5 i 6 września walczył tu z powodzeniem bydgoski 62. pp. Dowództwo 2. batalionu, broniącego się wzdłuż linii obrony na północnej granicy rewiru Leśnictwa Emilianowo, mieściło się w leśniczówce. Na zachód od niego walczył bydgoski 61. pp., na wschód różne jednostki XV Dywizji. Niemcy kilkakrotnie wznawiali próbę przełamania tu polskiej obrony, przede wszystkim w rejonie stacji kolejowej Emilianowo i osady Kobyle Błota. Ponieśli jednak dotkliwe straty. Na niemieckich cmentarzach polowych w Żółwinie, Kobylach Błotach, Prośniance i Stryzku pochowano około 70 żołnierzy Wehrmachtu, a według niemieckich źródeł zginęło ich nawet ponad 100. Po polskiej stronie poległo w tym rejonie około 10 żołnierzy, przy czym co najmniej jeden, pogrzebany w sąsiedztwie leśniczówki Emilianowo, został zamordowany już w niewoli, jako jeniec wojenny.

Jak o tym wspomiano powyżej, pierwotnym zadaniem Placówki w Emilianowie miała być dywersja. Podjęcie przez Niemców zimą 1939 roku budowy ogromnych zakładów zbrojeniowych DAG (pełna nazwa tej spółki brzmiała: Dynamit Aktien Gesellschaft Vorm. Alfred Nobel & Co.; część tego obiektu zajmowały po wojnie zakłady ZACHEM) na terenach sąsiadujących z rewirem Leśnictwa Emilianowo spowodowała zmianę zakresu jej działania. Fabryka ta, według opinii Franciszka Wrembla, powstała w oparciu o polską dokumentację. Bodajże w 1937 roku zapadła bowiem decyzja o budowie na tym obszarze wielkich polskich zakładów zbrojeniowych. Przeznaczono na nie tereny dawnego Nadleśnictwa Bartodzieje obejmujące rewiry leśnictw Zimne Wody i Bartodzieje, zlokalizowanych na południowym obrzeżu Bydgoszczy, a częściowo obszary leśnictw Żółwin i Kobylebłota. W konsekwencji od 1938 roku rozpoczęto rozbudowę stacji kolejowej w Emilianowie, na potrzeby przyszłych zakładów. Dokładnie ten sam obszar zajęły w 1939 roku zakłady DAG.

Budowa zakładów przez Niemców spowodowała zmianę priorytetu działań Placówki Emilianowo – z dywersji, na wywiad na ich terenie. Ułatwiło to powołanie wiosną 1940 roku przez kpt. Leona Hoffmana ps. Adam, Henryk, komendanta Garnizonu ZWZ Bydgoszcz „Dwór” w zakładach DAG, pierwszego rejonu bydgoskiego garnizonu ZWZ, przekształconego następnie w obwód. Jego komendantem był w latach 1940-1944 ppor. Henryk Szymanowicz ps. Smętek, Marek. Za pośrednictwem ppor. Franciszka Szymanowicza „Leona” – zatrudnionego od jesieni 1940 roku w owych zakładach, wcześniej ukrywającego się w Emilianowie – Placówka w Emilianowie utrzymywała z nim stałą łączność. „Marek”, zdekonspirowany wiosną 1944 roku, przeniesiony został na stanowisko zastępcy por. Alojzego Bruskiego „Graba”, dowódcy zgrupowania partyzanckiego „Świerki” w Borach Tucholskich. Jego miejsce w obwodzie AK w DAG zajął Gracjan Malinowski, z którym placówka w Emilianowie też nawiązała łączność. Współpracę z nim podtrzymywano do zajęcia DAG przez Ludowe Wojsko Polskie, w styczniu 1945 roku. Kilka tygodni później obiekt ten przejęła Armia Czerwona.

Inne kontakty placówki w Emilianowie z różnymi agendami w zakładach zbrojeniowych DAG zapewniali członkowie Placówki: Florian Kaczmarek, „Oksza”, Cecylia Lewandowska „Ewa”, Franciszek Przybylski „Pień”, Feliks Rosiński „Konar”, zatrudnieni na rampie przeładunkowej DAG na stacji kolejowej w Emilianowie, oraz Antoni Staniak, kolejarz na tej stacji – również członek AK – oraz inne osoby z DAG, współdziałające z Placówką. Zdobywane przez nich informacje, materiały i próbki produktów przekazywano do Obwodu, a w szczególnie ważnych przypadkach bezpośrednio do sztabu pomorskiego Okręgu AK.

W „Emilianowie” udzielano ponadto schronienia różnym osobom ukrywającym się przed Niemcami. W 1940 roku przebywał tu kilka miesięcy ppor. Franciszek Szymanowicz „Leon”, a wiosną 1942 roku ukrywał się Wawrzyniec Żbikowski

„Myśliwy”, „Wala”, następnie przerzucony do Generalnej Guberni. Latem 1943 roku znalazło tu schronienie kilku polskich i rosyjskich uciekinierów z obozów jenieckich. Utworzyli oni oddział partyzancki działający przez parę miesięcy na terenie Puszczy Bydgoskiej. Z depozytu Placówki wyposażono go w broń, amunicję i inny niezbędny ekwipunek. Organizowano także dla niego odzież, żywność i środki sanitarne, aż do spacyfikowania go wiosną 1944 przez specjalistyczną formację „Jagdkomando”.

Tyle tytułem wstępu. Pełniejsze informacje o działalności Placówki ZWZ/AK w Emilianowie znajdują się w Pomorskim Archiwum AK w Toruniu. W niniejszej relacji ograniczę się tylko do jednego wątku z dziejów tej Placówki, współpracy z jeńcami brytyjskim, czyli do „angielskiego epizodu”, przewijającego się w jej działalności przez wszystkie lata okupacji niemieckiej.

ANGLICY NA MAGISTRALI WĘGLOWEJ

W 1940 roku Niemcy przystąpili do rozbudowy tzw. kolei francuskiej, magistrali węglowej przechodzącej przez rewir Leśnictwa Emilianowo, łączącej Gdynię ze Śląskiem. Zbudowało ją Francusko-Polskie Towarzystwo Kolejowe w latach 1928-1933. Omijała Wolne Miasto Gdańsk, wrogo nastawione w tym okresie do Polski. Budowa magistrali węglowej była nie tylko wybitnym przedsięwzięciem polskich kolei, ale również największą inwestycją logistyczną w okresie II Rzeczypospolitej Polskiej. Znaczenie jej było ogromne, nie tylko w dziedzinie gospodarczej, ale również politycznej, społecznej czy nawet militarnej. W istotny sposób wpłynęła na życie odrodzonego państwa polskiego. Do dzisiaj pozostaje jedną z najważniejszych w ruchu towarowym linii kolejowych w kraju.

Magistrala powstała głównie ze względów strategicznych - chodziło o swobodny dostęp do Gdyni, ale także gospodarczych, m.in. z uwagi na korzystny dla obu stron eksport węgla do Szwecji w zamian za import wysokiej jakości szwedzkich rud żelaza. W powiązaniu z nią kursowały regularnie z Gdyni do Szwecji frachtowce, którymi transportowano w tamtą stronę węgiel, a w drodze powrotnej owe szwedzkie rudy żelaza. Magistrala ta była do 1939 roku na wielu odcinkach jednotorowa. Tak było również na odcinku Bydgoszcz Wschód – Nowa Wieś Wielka. Okupanci niemieccy, którzy utrzymali handel z Szwecją, zdecydowali się rozbudować ją na tym odcinku do dwutorowej. Wiązało się to również z rozwojem zakładów zbrojeniowych DAG, którym potrzebny był dostęp do pełnosprawnej sieci kolejowej.

Do rozbudowy linii kolejowej Niemcy wykorzystywali między innymi jeńców wojennych. Pod koniec lata roku 1940 włączono do nich również jeńców angielskich. Byli to żołnierze brytyjskiego korpusu walczącego na terenie Francji, którzy w czerwcu 1940 roku trafili do niewoli niemieckiej. Ich obóz, Stalag, znajdował się na Glinkach, południowo-wschodnich peryferiach Bydgoszczy. Nie otrzymywali

wtedy jeszcze pomocy z Wielkiej Brytanii, a Niemcy nie zapewniali im nawet minimalnych warunków bytowania. Cierpieli dużą biedę i podobnie jak pozostałym jeńcom wojennym, którzy trafili do niemieckiej niewoli, doskwierał im głód i inne niedostatki. Byli wśród nich ranni, którym Niemcy nie dostarczali środków opatrunkowych, lekarstw itp. Grupa Anglików działająca na odcinku „Emilianowo” liczyła stu-dwustu żołnierzy. Przewodził im starszy sierżant (sergeant major) Max Makolm mieszkający przed wojną w miejscowości Invornes przy Glenelea Street.

Placówka w Emilianowie szybko zorganizowała dla nich pomoc w postaci żywności, lekarstw, materiałów opatrunkowych i sanitarnych, odzieży itp. Nadchodziła bowiem wczesna, ciężka zima 1940/41, a żołnierze ci byli w letnich sortach mundurowych.

Do akcji tej włączyło się sporo osób z Bydgoszczy, związanych w jakimś stopniu z „Emilianowem”, np. Franciszek Grabowski (przed wojną właściciel specjalistycznego warsztatu ortopedecznego), Bernard Mroziński (optometrysta, późniejszy komendant Okręgu Szarych Szeregów), Tekla i Władysław Piotrowscy (handlowcy). Nota bene p. Piotrowski został zamordowany przez oprawców z bydgoskiego Gestapo. Oprócz tego pomagali Waleria i Dionizy Szarafińscy (zegarmistrz-jubiler), Zygmunt Watorowski, Genowefa i Waław Wawrzyńscy (handlowcy), Gerard Zientek (kupiec, w czasie wojny kierowca), Żółtowski (przed wojną właściciel restauracji), a także jego brat (przed wojną właściciel sklepu kolonialnego) i inni. Zdobywali artykuły spożywcze, kartki na żywność, pieniądze, odzież itp.

Niektórych przedwojennych właścicieli przedsiębiorstw, Niemcy zatrudniali w ich dawnych zakładach. Dzięki temu mieli oni większe możliwości zdobycia szczególnie pożądaných artykułów. I tak np. Zdzisław Kosmowski, zatrudniony przez Niemców jako ekspedient w swojej przedwojennej drogerii, dostarczał lekarstw i materiałów opatrunkowych. Dużo chleba i innych wypieków, a zwłaszcza niezmiernie cennych kartek żywnościowych przekazywał znany bydgoski piekarz Tomasz Marmurowicz, którego Niemcy również zatrudnili w jego przedwojennej piekarni. Kartki żywnościowe dostarczali m.in. Zygmunt Watorowski (pracujący w tym czasie jako kelner) oraz Ciszewski, sekretarz Urzędu Gminnego, „Landratsamt’u”, w Bydgoszczy. W działaniach tych uczestniczyło jeszcze wiele innych osób, których nazwisk już nie pamiętam.

W akcji rozprowadzania tego wszystkiego brały udział w dużym stopniu dzieci z pobliskich wsi, głównie z Wielkiego Łażyna (nie istniejąca już duża wieś puszczańska). Pod różnymi pretekstami – wypasania bydła, zbierania grzybów, owoców runa leśnego itd. dzieci miały największe możliwości zbliżenia się do zainteresowanych i dostarczenia owych produktów. Z siostrą Aleksandrą, „Oleńką”, brałem w tym również udział. Niekiedy sami jeńcy odbierali je w ukryciu z naszej leśniczówki, blisko położonej od ich miejsca pracy. Bywało, że działo się to za cichym przyzwoleniem niektórych przekupionych „wachmanów”.



Franciszek Wrembel, leśniczy Leśnictwa Prądocin w Nadleśnictwie Leszycy, w 1971 roku.
Fot. archiwum Henryka Wrembla

Do działań tych przyłączyła się także spontanicznie – i to na wielką skalę – ludność polska z okolicznych wsi: Wielkiego Łążyna, Brzozy, Wypalenisk, a wraz z przesuwaniem się robót – Dobromierza, Leszyc i Nowej Wsi Wielkiej. Sama cierpiała w tym czasie skrajną nędzę, a dzieliła się z sojusznikami swymi skromnymi zasobami. Obawiam się, że nie zdawali sobie oni z tego sprawy, ani też z ryzyka, z jakim była związana jakakolwiek pomoc wrogom „1000-letniej Rzeszy”. Być może, wyobrażali sobie nawet, że panująca w tym czasie tu bieda była „normalnością”. Nikt bowiem z owych Anglików, a zwłaszcza władz brytyjskich, nie okazał po wojnie najmniejszego zainteresowania tą sprawą, nie mówiąc już o jakimkolwiek geście wdzięczności swoim dobrodziejom.

LOTNICY Z XV FORTU

Inną formą działania Placówki w Emilianowie na rzecz Anglików był udział w przerzutach do Anglii jeńców brytyjskich (przede wszystkim pilotów) z „Oflagu” w XV Forcie w Toruniu. Niezmiernie ważną rolę odegrała w tej sprawie akowska „trójka”: Józef Dąbrowski, Paweł Kotzbach ps. Paweł i Edmund Ziółkowski – kierowców-mechaników w zakładach DAG, w „Bauleitung 2” w Łęgnowie, współpracujących z Placówką w Emilianowie. Czołową postacią był wśród nich Paweł

Kotzbach (przed wojną zawodowy podoficer WP), człowiek dużej odwagi, znakomity organizator, pełen poświęcenia dla sprawy. Warto może odnotować, że w mieszkaniu Heleny i Pawła Kotzbachów ukrywała się przez całą okupację rodzina żydowska Doroty i Rafała Kleinfeldów.

W 1940 roku Paweł Kotzbach został zaprzysiężony w Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski”, lecz jego grupa wkrótce przeszła do ZWZ. Jesienią 1940 włączony został przez por. Leszka Białego ps. Jakub do ekipy, której zadaniem była współpraca z jeńcami brytyjskimi przetrzymywanymi na terenie DAG („Stalag” na Glinkach) i w Oflagu w XV Forcie w Toruniu. Kierowcy ci dowozili do tego Oflagu różne towary z DAG. Stwarzało to dogodne warunki do nawiązywania kontaktów z przetrzymywanymi tam jeńcami. Przy tej okazji udawało się im niekiedy wywieźć któregoś z znajdujących się tam Brytyjczyków. Działając w porozumieniu z obozową komórką konspiracyjną i przy współudziale dowództwa RAF (oficerem łącznikowym był prawdopodobnie por. Bernard Mroziński „Prus”, „Mrozik”, „Zimny”) oraz we współpracy z „Gryfem Pomorskim” (Paweł Kotzbach był wcześniej członkiem tej organizacji), dostarczano ich do Gdyni, a dalej „kanałem węglowym” przemycano do Szwecji i trasą via Szwecja do Północnej Norwegii. Stąd przeprawiano ich kutrami rybackimi do Szkocji. W ten sposób powróciło do Anglii kilkunastu pilotów, m.in. porucznicy Czesław Poraj-Raczkiewicz (Polak), John Graig i Thomas Cullen oraz major Albert Hastin i inni. Zdarzało się jednak niekiedy, że przygotowana precyzyjnie akcja rwała się z różnych powodów. Wówczas wydobytego z obozu oficera trzeba było umieścić na jakiś czas

Rodzina Wremblów w 1971 roku. Od prawej: leśniczy Franciszek Wrembel, syn Henryk i żona leśniczego Helena. Fot. archiwum Henryka Wrembla



w bezpiecznej kryjówece w oczekiwaniu na następną okazję. Taką przechowalnią bywało niejednokrotnie „Emilianowo”. Z ochrony w tej placówce skorzystało w sumie kilkanaście osób.

Paweł Kotzbach uczestniczył ponadto w przemycaaniu członków konspiracji do tzw. Generalnego Gubernatorstwa, to jest poza ówczesne granice „Wielkiej Rzeczy Niemieckiej”. Z tytułu działalności konspiracyjnej odznaczono go Krzyżem Kawalerskim OOP, Srebrnym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Partyzanckim, Medalem Royal Air Forces, Krzyżem Wojennym Wielkiej Brytanii i innymi odznaczeniami.

RONNIE & KRUCYFIKS

Pod koniec wojny Bernard Mroziński podrzucił na kilka miesięcy do Emilianowa dwóch brytyjskich oficerów, ppor. R. M. Woods’a, ps. Ronni (przed wojną mieszkał pod adresem 123 Landor Ref, Stockwell, London W1 England), oraz ppor. Richard’a Strevens’a, ps. Krucyfiks (zamieszkałego przed wojną pod adresem 74 Weedington RO, Kentish Town, London N.W.5 England). Mieli być przerzuceni utartym szlakiem do Anglii. Niestety, wskutek przerwania ruchu na Bałtyku, spowodowanego styczniową ofensywą wojsk sowieckich, stało się to niemożliwe. W związku z tym, że byli związani z polskim ruchem podziemnym istniało realne niebezpieczeństwo aresztowania ich przez NKWD. Toteż, na przełomie maja i czerwca 1945 roku, już po zakończeniu wojny, udało się Mrozińskiemu przeprowadzić ich przetartym w czasie wojny szlakiem kurierów bezpiecznie przez Bałkany do Wielkiej Brytanii.

Wyjeżdżając z Emilianowa Woods napisał rekomendację dla rodziny Wremblów. W wolnym tłumaczeniu brzmi ona: *Kogokolwiek mogłoby to dotyczyć: jeżeli kiedykolwiek byłoby możliwe, by Anglik mógł udzielić pomocy rodzinie Franciszka Wrembla, powinien czuć się do tego zobowiązany ze względu na pomoc, jakiej nam ona udzieliła w czasie naszej niewoli P.O.W (od autora: P.O.W. - Prisoner of War, jeniec wojenny). Po mojej ucieczce od Niemców mieszkalem tutaj, karmiono mnie i udzielano wszelkiej pomocy, na ile tylko to było możliwe. Pozostaję z pozdrowieniami. Podporucznik R. Woods, oficer medycyny, były jeniec wojenny.*

POSŁOWIE

Cóż, pozostaje zamknąć tę kartkę przeszłości jednego z fragmentów działania Placówki ZWZ/AK w Emilianowie. Franciszek Wrembel, odznaczony pośmiertnie w 1991 roku za działalność konspiracyjną Krzyżem Kawalerskim OOP, Krzyżem AK, Odznaką Pamiątkową Okręgu Pomorskiego Armii Krajowej, zmarł 7 czerwca 1972 roku. Podobnie, choć może w mniej spektakularny sposób zasłużyła się moja matka Helena Wrembel, która niespodzianie odeszła z tego świata 30 sierpnia 1997 roku. Pochowani zostali z honorami wojskowymi na cmentarzu Nowofarnym przy ul. Artyleryjskiej w Bydgoszczy. Pozostałe osoby zaangażowane w niesienie

pomocy brytyjskim jeńcom wojennym w większości również już nie żyją, a dalsze dzieje niektórych nie są znane. Po Edmundzie Ziółkowskim zatarły się już w 1943 roku wszelkie ślady. Powszechnie panuje pogląd, że zginął podczas wysadzenia wytwórni nitrogliceryny w DAG. Innych los rzucił w odległe zakątki świata. A i tych, których nie tak dawno jeszcze spotykaliśmy na co dzień, nie ma już między nami. Oby jednak czas nie zatarł pamięci o nich i ich bohaterskich czynach.

Henryk Zbigniew Wrembel*

Bydgoszcz, w 2009 roku

*Autor niniejszego szkicu prof. dr hab. Henryk Zbigniew Wrembel zmarł 18 marca 2014 roku.



Tablica na kamieniu posadowionym w pobliżu dawnej leśniczówki Emilianowo w Puszczy Bydgoskiej, upamiętniająca działalność leśniczego Franciszka Wrembla. Fot. Tadeusz Chrzanowski

Post scriptum

Pierwszego września 2009 roku, w pobliżu miejsca, gdzie niegdyś usytuowana była leśniczówka Emilianowo, a w okresie wojennym (1939-1948) działała konspiracyjna Placówka Emilianowo pod dowództwem leśniczego Franciszka Wrembla, odbyła się uroczystość odsłonięcia pamiątkowej tablicy posadowionej na okazałym kamieniu. Inicjatorem tego historycznego i patriotycznego wydarzenia był syn leśniczego prof. Henryk Wrembel. W budowie tego pomnika i przygotowaniach do uroczystego odsłonięcia aktywnie uczestniczyli leśnicy z Nadleśnictwa Bydgoszcz i Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu. (przyp. Tadeusz Chrzanowski)



Marian Jankowski (1909 – 1992)

Leśniczy MARIAN JANKOWSKI ps. Szarak (1909-1992)



arian Jankowski urodził się 3 stycznia 1909 roku w Forestowie, powiat Szamotuły na terenie Wielkopolski, gdzie jego ojciec Franciszek był leśniczym. W latach 1915-1920 Marian uczęszczał do Szkoły Powсzechnej w Orliczku i do Gimnazjum we Wieleniu nad Notecią. Później, jak pisze w swoim życiorysie, w latach 1923-1925 przebywał przy rodzicach w leśniczówce Potrzebowice, powiat Czarnków.

PRACA W LASACH PAŃSTWOWYCH

W 1925 roku był zatrudniony jako uczeń leśny, najpierw w Nadleśnictwie Potrzebowice, a później w Nadleśnictwie Mochy na terenie Dyrekcji Lasów Państwowych w Poznaniu. We wrześniu 1930 roku podjął naukę w Państwowej Szkole dla Leśniczych w Margoninie, która trwała jedenaście miesięcy. W tym czasie uczestniczył też w szkoleniach z zakresu Przysposobienia Wojskowego w 61. Pułku Piechoty w Bydgoszczy. Od października 1932 roku odbywał praktykę zawodową w Nadleśnictwie Czersk, skąd po roku przeszedł do Nadleśnictwa Popioły pod Toruniem (dzisiaj to teren Nadleśnictwa Gniewkowo). W tym czasie był tu nadleśniczym Eugeniusz Ilmurzyński, późniejszy profesor w dziedzinie hodowli lasu na Wydziale Leśnym SGGW w Warszawie. W latach 1935-1938 był podleśniczym, ale pełnił też okresowo obowiązki leśniczego Leśnictwa Rudak. Przez pięć miesięcy był oddelegowany do pracy w Nadleśnictwie Przewodnik koło Świecia (dzisiaj teren Nadleśnictwa Osie). Oprócz pracy zawodowej, angażował się w działalność społeczną i patriotyczną w Polskim Związku Zachodnim – Koło Popioły. Z dniem 1 października 1938 roku został przeniesiony do Nadleśnictwa Mirachowo, powiat Kartuszy (przed wojną w granicach Dyrekcji LP w Toruniu), gdzie objął stanowisko leśniczego Leśnictwa Kamienna Góra.

WYBUCHŁA WOJNA

Z chwilą wybuchu II wojny światowej załoga Nadleśnictwa Mirachowo podlegała ewakuacji przez Świecie, Płock do Białowieży. Będąc już w drodze, koło Grudziądza, Marian Jankowski został zatrzymany przez wojsko niemieckie i osadzony w obozie jenieckim w Terespolu Pomorskim niedaleko Świecia. Po dwóch miesiącach uwięzienia otrzymał nakaz powrotu do miejsca zamieszkania i pracy w Mirachowie, nazwanym teraz Forstamt Steinsee. Tu został przyjęty do pracy na stanowisku pomocnika leśnego (Forstaushelfer'a), jednak z powierzaniem obowiązków leśniczego Leśnictwa Kamienna Góra.



Absolwenci i część kadry nauczycielskiej Państwowej Szkoły dla Leśniczych w Margoninie w 1931 roku. Marian Jankowski w najwyższym rzędzie, pierwszy z lewej. Fot. archiwum Bogdana Jankowskiego

Leśnicy z Nadleśnictwa Popioły: Marian Jankowski (z prawej) i Czesław Malinowski, w centrum Torunia około 1934 roku. Fot. archiwum Bogdana Jankowskiego





Marian Jankowski, podleśniczy, p.o. leśniczego Leśnictwa Rudak pod Toruniem.
Fot. archiwum Bogdana Jankowskiego

W SZEREGACH „GRYFA POMORSKIEGO”

Na przełomie lat 1939 i 1940 na terenie Pomorza powstało kilka polskich organizacji podziemnych, przede wszystkim jako forma samoobrony społeczeństwa poddanego, brutalnej eksterminacji i prześladowaniom ze strony okupanta niemieckiego. Jedną z nich była Tajna Organizacja Wojskowa „Gryf Kaszubski”, której założycielem był przedwojenny nauczyciel Józef Dambek. Marian Jankowski w oświadczeniu z 26 listopada 1991 roku pisze, że wstąpił do organizacji 1 sierpnia 1940 roku, zwerbowany przez samego Józefa Dambka. Jego pierwszym zadaniem była budowa sieci schronów i bunkrów leśnych na potrzeby organizacji i Polaków, których życie było zagrożone ze strony Niemców. Jedną z najbardziej znanych budowli leśniczego Jankowskiego był bunkier „Ptasia Wola” nad jeziorem Lubogoszcz, na terenie Lasów Mirachowskich (dzisiaj w granicach Nadleśnictwa Kartuszy). Jego replika jest współcześnie odtworzona, m.in. w Centrum Edukacji w Szymbarku.

W lipcu 1941 roku Gryf Kaszubski, po przyłączeniu kilku mniejszych organizacji, przekształcił się w Tajną Organizację Wojskową „Gryf Pomorski”, obejmując swym zasięgiem niemal całe Pomorze Gdańskie, od Gdańska przez Wejherowo na północy aż po Toruń na południu. W przeciągu kilkunastu miesięcy stał się największą organizacją podziemną w tej części okupowanej Polski, liczącą ponad 15 tys. członków, w tym pół tysiąca żołnierzy w około 30 grupach zbrojnych.

Marian Jankowski ps. Szarak utrzymuje kontakty z przywódcą „Gryfa” Józefem Dambkiem ps. Jur, Lech, Falski jednym z najpilniej poszukiwanym przez Niemców ludzi polskiego podziemia. Pełni też trudną funkcję łącznika-zwiadowcy „dalekobieżnego” na trasie Gdańsk, Tczew, Bydgoszcz, Toruń, Grudziądz. W lipcu 1943 roku zostaje członkiem Rady Naczelnej TOW „Gryf Pomorski”. W tym czasie Niemcy, poprzez swoją liczną agenturę terenową, pilnie zbierają informacje o ludziach „Gryfa”. Już w końcu 1942 roku i w pierwszej połowie 1943 zaczynają się aresztowania, wywózki do Stutthofu i akcje likwidacyjne prowadzone przez niemieckie oddziały specjalne Jagdkommando na bunkry partyzantów rozproszone w lasach kaszubskich.

Pierwszego lipca 1943 roku Niemcy przenoszą Jankowskiego karnie do Leśnictwa Wygoda, pozbawiając jednocześnie wszelkich deputatów – mieszkaniowego, rolnego i opałowego, co wskazywało, że stał się dla nich osobą podejrzaną, niegodną zaufania. Niemniej jednak ma on wciąż jawny status i pracuje na stanowisku Forstaushelfera (pomocnika leśnego). Trzeciego grudnia 1943 roku został ostrzeżony przez gajowego, że jest nakaz jego aresztowania przez Gestapo za przynależność do polskiej organizacji podziemnej. Ucieka do lasu i od tej pory funkcjonuje w partyzantce. Od 10 grudnia 1943 roku aż do tragicznej śmierci Józefa Dambka w marcu 1944, pełni funkcję jego adiutanta. Jednocześnie jest dowódcą dziesięcioosobowego oddziału partyzanckiego „Gryfa” w powiecie

wejherowskim (morskim). Organizuje akcje dywersyjne przeciwko Niemcom. Podczas jednej z nich, jego oddział natyka się w lasach pod Wejherowem na silną 60-osobową grupę Jagdkommando. Dochodzi do wymiany ognia, są ranni i zabici. Ginie jeden z partyzantów, a Jankowski otrzymuje postrzał w prawe przedramię. Wobec przewagi przeciwnika partyzanci wycofują się z pola walki.

Przywódca „Gryfa Pomorskiego” Józef Dambek na skutek zdrady zostaje zastrzelony przez agenta Gestapo Jana Kaszubowskiego (Hansa Kessnera) w Sikorzynie, 4 marca 1944 roku. W ręce Niemców trafiają listy członków „Gryfa”. Zaczyna się dramat organizacji, następują dalsze aresztowania, rozstrzeliwania i osadzenia w obozach koncentracyjnych. Następcą Dambka zostaje Augustyn Westphal ps. Piotr Morski, natomiast Marian Jankowski pełni obowiązki kierownika Wydziału Organizacyjnego „Gryfa” na powiat wejherowski i jednocześnie zastępcy kierownika Głównego Wydziału Organizacyjnego TOW „Gryf Pomorski”.

KLĘSKA WYZWOLENIA

Mieszkańcy Pomorza Gdańskiego, zwłaszcza Kaszubi, nazywali przemarsz Armii Czerwonej przez północną Polskę „klęską wyzwolenia”. W wielu pomorskich miejscowościach było więcej ofiar zbrodni sowieckich dokonanych na miejscu i podczas wywózek do łagrów w głąb ZSRR kończących się śmiercią, niż zbrodni dokonanych w czasie kilkuletniej okupacji przez Niemców. Za oddziałami liniowymi Armii Czerwonej kroczyła policja polityczna, złowieszcze NKWD. Jej funkcjonariusze posiadali szeroką wiedzę o polskim podziemiu, w tym o Gryfie Pomorskim. Chętnie też korzystali z materiałów Gestapo, a nawet z niedawnych agentów Gestapo, jak np. Jana Kaszubowskiego (Hansa Kessnera), który natychmiast po wkroczeniu Armii Czerwonej podjął współpracę z sowietami i UB, wykazując się wszechstronną wiedzą na temat ludzi Gryfa Pomorskiego i Armii Krajowej.

Marian Jankowski pisze w swoim oświadczeniu z 1991 roku, że 21 marca 1945 roku uczestniczył w zebraniu Rady Naczelnej TOW „Gryf Pomorski”, która – wobec wkroczenia Armii Czerwonej i wycofania się Niemców – powzięła uchwałę o dekonspiracji „Gryfa”. Uchwałę tę podpisał m.in. Jankowski, jako członek Rady za Komendanta Naczelnego. Wkrótce, bo już 30 marca 1945, podjął pracę w tworzącej się polskiej administracji Lasów Państwowych, na stanowisku leśniczego w Nadleśnictwie Mirachowo.

W RĘKACH NKWD-UB

W swoich życiorysach, pisanych do akt osobowych w latach: 1945 (27 grudnia) i 1957 (27 maja), Marian Jankowski pisze o aresztowaniu przez NKWD w dniu 14 kwietnia 1945 roku i osadzeniu w Areszcie Karno-Śledczym w Gdańsku, tym samym, gdzie jeszcze kilka tygodni temu więzili, katowali i mordowali Polaków gestapowcy. Leśniczy ogranicza się do informacji, że aresztowany był

za przynależności do „Gryfa Pomorskiego” w czasie okupacji hitlerowskiej i że po ośmiu miesiącach, w dniu 24 grudnia 1945 roku, został zwolniony na mocy amnestii. I tyle.

Dopiero niedługo przed śmiercią, 26 listopada 1991 roku, we własnoręcznie spisanim oświadczeniu, podaje więcej szczegółów z czasu pobytu w areszcie NKW-UB w 1945 roku: „Po wyzwoleniu, w dniu 30.03.1945 r. podjąłem pracę w Nadleśnictwie Mirachowo, pow. Kartuzy, jako leśniczy, lecz w dniu 14.04. 1945 r. zostałem aresztowany przez NKWD i zamknięty w tymczasowym areszcie w Oliwie. Tam były pierwsze przesłuchania 16.04.1945 r. o przebiegu mojego dotychczasowego życia i mojej rodziny. Do więzienia w Gdańsku zostałem zawieziony w dniu 09.05.1945 r. wieczór i zamknięty w celi, w której była goła pryzma, szyby w oknie wybite, muszla pełna kału. I tak mnie trzymano dwie doby. Dnia 13.05.1945 r. przeprowadzono mnie na przesłuchy z więzienia do przyległego budynku NKWD i UB. Przesłuchy były przeprowadzone rzekomo przez UB, ale przez dwóch oprawców, którzy pytali jak byłem Naczelnym Komendantem i prowadziłem łączność z Rządem Polskim w Londynie, jakie były zrzućty broni i w jakich miejscowościach, i gdzie je ukryto? Ja nie mogłem na to dać odpowiedzi, to zaczęli mnie bić pałką drewnianą po głowie, po plecach, rękach, a po brzuchu i nogach kopali i deptali stopy. Skutki tego są jeszcze dziś widoczne. Dalsze przesłuchy prowadzili raz w tygodniu przez okres trzech miesięcy. Trzykrotnie byłem zamknięty w karczerze nago i bez pożywienia, przez dwie doby za każdym razem. W miesiącu czerwcu wybuchła epidemia tyfusu płamistego, którego przechorowałem od 29.07. do 15.09.1945 r. Po chorobie byłem nieco lepiej odżywiony i przesłuchiwany bez bicia. Zwolnienie z więzienia nastąpiło 22.12., ale wypuszczono mnie 24.12.1945 r.”

W 1991 roku Marian Jankowski napisał też list do dr. Andrzeja Gąsiorowskiego – historyka, który przez wiele lat zajmował się m.in. działalnością TOW „Gryf Pomorski”. W liście tym (pisanym 7 maja 1991 roku w Lubczewie, gdzie Jankowski mieszkał) uzupełnia, że 14 kwietnia 1945 roku razem z nim aresztowani byli jeszcze inni członkowie „Gryfa”: Heronim Press z Gdyni, Jan Pioch z Mojusza i Jan Labuda ze Wsi Lęborskiej. Pisz dalej, że „więzienie w Gdańsku przepełnione było w większości Niemcami wojskowymi i cywilnymi. Na tyfus płamisty zmarło około dwóch tysięcy ludzi, którzy byli pochowani w rowie przeciwczołgowym na 5 m głębokim i 10 m szerokim, biegnącym od toru kolejowego i 10 metrów od więzienia ze strony wschodnio-północnej. Z ludności polskiej zmarło około 100 osób, przeważnie z Armii Krajowej, w tym dwóch księży. Nazwisk nie pamiętam.”

W LASACH, NA ZIEMIACH ODZYSKANYCH

Po pobycie w gdańskim więzieniu NKWD-UB Marian Jankowski nie uzyskał zgody na powrót do pracy w Lasach Mirachowskich. 9 stycznia 1946 roku podej-

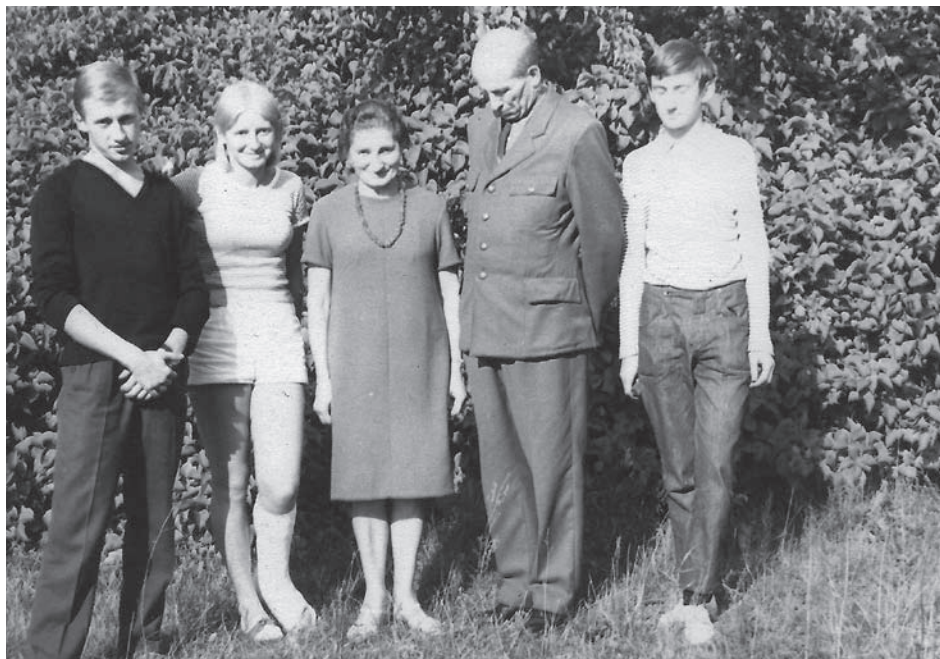
muje więc pracę na „ziemiach odzyskanych”, na stanowisku leśniczego w Nadleśnictwie Łeba. W okresie od 1 października 1947 roku do 5 grudnia 1949 pełnił tam obowiązki nadleśniczego, a później leśniczego w Nadleśnictwie Choczewo. W 1949 roku uczestniczył w kilkumiesięcznym kursie dla nadleśniczych i później, do końca maja 1953 roku, pełnił obowiązki nadleśniczego Nadleśnictwa Głównicy. To był też okres intensywnej inwigilacji i różnego rodzaju represji, które dotyczyły jego i rodzinę ze strony służb komunistycznych. Miało to niewątpliwie duży wpływ na jego dalszą karierę zawodową i zdrowie. Został usunięty ze stanowiska nadleśniczego między innymi za sposób głosowania w referendum ludowym „Trzy razy tak” z 1946 roku.

W latach 1953-1954 pracował na stanowisku referendarza techniczno-leśnego w Rejonie Lasów Państwowych w Miastku. Później, w latach 1955-1957 był przewodniczącym Gminnej Rady Narodowej Kawcze. Na stanowisko leśniczego Leśnictwa Lubuczewo w Nadleśnictwie Słupsk (później Nadleśnictwo Ustka), na terenie Okręgowego Zarządu Lasów Państwowych w Szczecinku, wrócił 1 sierpnia 1957 roku i zajmował je aż do przejścia na emeryturę 31 marca 1975 roku.

Marian Jankowski ożenił się w 1947 roku z Józefą Kołczak, urodzoną w 1914 roku w Stryju (dzisiaj teren Ukrainy). Żona była nauczycielką. Jankowscy mieli troje dzieci: Krystynę, Bogdana i Władysława. Córka zmarła tragicznie w listopadzie 1969 roku. Synowie zostali nauczycielami.



Marian Jankowski, Leśniczy Leśnictwa Lubuczewo (pośrodku, na pierwszym planie) w pochodzie leśników w końcu lat 50. XX wieku. Fot. archiwum Bogdana Jankowskiego



Marian Jankowski z najbliższą rodziną. Od lewej: syn Bogdan, córka Krystyna, żona Józefa, a po prawej syn Władysław w roku 1967. Fot. archiwum Bogdana Jankowskiego

Leśniczy Marian Jankowski z małżonką Józefą w kancelarii Leśnictwa Lubuczewo w 1978 roku. Fot. archiwum Bogdana Jankowskiego



PRZYJACIEL PRZYRODY

W „Lesie Polskim” nr 6 z 1993 roku ukazał się biogram Mariana Jankowskiego, napisany przez Józefa Cieplika – Wojewódzkiego Konserwatora Przyrody w Słupsku. Cieplik, który bardzo dobrze znał leśniczego, pisze między innymi, że „obok działalności zawodowej, którą wykonywał leśniczy Marian Jankowski nadzwyczaj sumiennie i z całym poświęceniem, czynny był również w szeregach Polskiego Związku Łowieckiego, Ligi Ochrony Przyrody i w środowisku kombatanckim. Udzielał się także w Słupskim Towarzystwie Społeczno-Kulturalnym i w ochronie zabytków kultury. Swoje liczne funkcje społeczne pełnił nawet po przejściu na emeryturę (...). Ze szczególnym zaangażowaniem i pasją zajmował się ochroną przyrody, w tym drzew pomnikowych. Dzisiaj jedno z tych drzew, „Dąb Mariana” rosnący nieopodal dawnej leśniczówki w Lubuczewie, nosi jego imię. (...) Największą jednak trwałą pamiątką jaką po sobie zostawił, są liczone w setki hektarów uprawy leśne, z których wyrastają dorodne drzewostany. Szczególnie widoczne jest to pod Słupskiem, w dawnym Leśnictwie Lubuczewo, gdzie liczne i drobne niegdyś kompleksy leśne zostały ze sobą połączone zalesionymi przez leśniczego Jankowskiego gruntami porolnymi.”

Marian Jankowski zmarł 14 października 1992 roku w wieku 83 lat, został pochowany na Cmentarzu Komunalnym w Słupsku.

Tadeusz Chrzanowski

NAJLEPSZE LATA ŻYCIA DLA POLSKI

*Rozmowa z Bogdanem Jankowskim,
synem leśniczego Mariana Jankowskiego*

Jak Pan wspomina swoje dzieciństwo i życie w leśniczówce? W jakich warunkach mieszkała Wasza rodzina?

Na wstępie naszej rozmowy dziękuję Panu za zainteresowanie się życiorysem mojego ojca, leśnika o wielkiej pasji i zamiłowaniu do zawodu. Gdy chodzi o czas dzieciństwa, to wspominam je bardzo dobrze, chociaż... nigdy nie mieszkaliśmy w leśniczówce. Moja matka była nauczycielką i zazwyczaj mieszkaliśmy w budynkach resortu oświaty. Na przykład, z chwilą podjęcia przez rodziców pracy w Lubczewie, nasza rodzina zamieszkała w lokalu nauczycielskim. Ojciec zrezygnował z zamieszkania w leśniczówce, którą przeznaczył na mieszkanie podleśniczego Jana Bujnowskiego. Pan Bujnowski wraz z liczną rodziną mieszkał wówczas w bardzo prymitywnych warunkach i przejście do leśniczówki znacząco poprawiło jego sytuację bytową.

Jako głowa rodziny, gospodarz i leśnik, ojciec mój był wzorem dla całej rodziny. Przewidujący, oszczędny, bez nałogów, poza umiłowaniem zawodu leśnego miał jeszcze hobby – działkę warzywną, sad owocowy i pszczelarstwo. Był osobą wierzącą. Kochał dzieci, zwłaszcza wnuki, które jeszcze dziś ciepło go wspominają. Przede wszystkim był uczciwy i rzetelny w wykonywaniu swojej pracy, do tego stopnia, że czasami mówiono o nim jako „nieprzekupnym słuźbiście”. Pracę traktował niezwykle poważnie i odpowiedzialnie. Starał się nam to przekazać, uczył szacunku do drugiego człowieka i jego pracy. W tych działaniach otrzymywał wsparcie od żony Józefy, naszej mamy. Posiadał duży autorytet wśród pracowników i myśliwych. Był myśliwym miłującym przyrodę, las i jego mieszkańców. Jak pamiętam, zawsze ojcu towarzyszyły psy jako przyjaciele rodziny i pomocnicy w wykonywaniu pracy.

Pański Ojciec uczestniczył w wielu dramatycznych wydarzeniach czasu wojny na Pomorzu. Mówił o tym swoim dzieciom?

Z życiorysów pisanych przez Ojca do zawodowych akt osobowych (w 1945 i w 1957 roku) nie można się zbyt wiele dowiedzieć o jego działalności konspiracyjnej w okresie II wojny światowej, co jest nawet zrozumiałe, gdyż były one sporządzone w okresie otwartego prześladowania członków zarówno Armii Krajowej, jak i Tajnej Organizacji „Gryf Pomorski”. Ojciec czasem jednak opowiadał o swojej działalności konspiracyjnej w okresie okupacji. Przekazywał nam koszmar wojny, ale zarazem miłość do ojczyzny, do dawnej i współczesnej

Polski. Nie chciał, abyśmy kiedykolwiek przeżyli wojnę. Interesował się bieżącą polityką, czytał prasę, lubił słuchać radia i oglądać wybrane programy telewizyjne. Chętnie podejmował rozmowy na temat bieżących wydarzeń w kraju.

W oświadczeniu spisanim własnoręcznie przez Mariana Jankowskiego, na niespełna rok przed śmiercią, 26 listopada 1991 roku, czyli już po upadku PRL, opisuje on krótko, prosto i skromnie swoją działalność w „Gryfie Pomorskim”. Pisz też, chyba po raz pierwszy, o brutalnych, wręcz bestialskich przesłuchaniach, którym podlegał przez kilka miesięcy w siedzibie NKWD-UB, w Gdańsku w 1945 roku. Prawdę powiedziawszy, to cud, że przeżył...

To prawda. Wiem od niego, że kiedy zachorował na tyfus plamisty i przebywał w szpitalu więziennym w Gdańsku, życie uratowała mu nieznana sowietka pielęgniarka, dostarczając mu odpowiednie leki i pożywienie. Później, to paradoksalne, uniknął rozstrzelania przez NKWD, gdyż „uratowały” go władze Urzędu Bezpieczeństwa, dla których ojciec miał być ważnym źródłem informacji o Gryfie Pomorskim.

Dużą rolę w zbrodniach na żołnierzach Gryfa Pomorskiego odegrał agent gestapo, a później NKWD-UB i SB, Jan Kaszubowski vel Hans Kessner. Pański Ojciec spotkał się z nim. W jakich okolicznościach?

- Spotkali się latem w 1945 roku na placu więziennym w Szczecinie, w gronie aresztowanych przez NKWD i UB. Ojciec wcześniej, jeszcze jako członek kierownictwa Gryfa Pomorskiego, podpisał wyrok śmierci na kolaboranta i agenta gestapo Jana Kaszubowskiego, który o tym wiedział, miał bowiem na sumieniu śmierć wielu Polaków. Na liście ściganych przez niego żołnierzy polskiego podziemia był również mój ojciec. Wówczas, już po zakończeniu działań wojennych, w szczecińskim więzieniu NKWD, spotkali się i popatrzyli na siebie, po raz pierwszy i ostatni. Pamiętam z opowiadań ojca, że Kaszubowski już na początku wojny był postacią kontrowersyjną w społeczności Kartuz i okolic. A później, wielokrotnie urządzał bezskuteczne zasadzki na mojego ojca, aktywnego członka polskiego podziemia. Był osobiście odpowiedzialny za aresztowania, więzienie i śmierć wielu mieszkańców Pomorza Gdańskiego.

Funkcjonariusze komunistycznego UB dobrze znali patriotyczną działalność Pana ojca z lat wojny. Po zwolnieniu z aresztu w grudniu 1945 roku zakazano mu powrotu do Mirachowa, gdzie przed wojną i podczas okupacji pracował w Leśnictwie Kamienna Góra. Pojechał na Ziemie Odzyskane w okolice Łeby, gdzie wznowił pracę w Lasach Państwowych. Kilka razy zmieniał miejsce zatrudnienia, był nawet nadleśniczym. Później w 1953

roku, w okresie nasilenia „stalinowskich błędów i wypaczeń” został nagle przeniesiony, a faktycznie zdegradowany, na stanowisko referendarza w Rejonie Lasów Państwowych w Miastku. Nie wygląda na to, że zmiany były przypadkowe. Co wiadomo Panu o zainteresowaniu UB Pana Ojcem i Waszą rodziną?

Wiem, że przyczyną niepowodzeń ojca w karierze zawodowej po wojnie, była dawna przynależność do „Gryfa Pomorskiego” i późniejsza sympatia dla Stanisława Mikołajczyka i Polskiego Stronnictwa Ludowego oraz udział w kampanii dotyczącej głosowania „Trzyrazy tak”. Także brak zaangażowania w jakąkolwiek działalność partii komunistycznych miał w tamtych latach ogromne znaczenie. Ojciec był bardzo ostrożny w manifestowaniu swoich poglądów publicznie, nas też ostrzegał przed wypowiadaniem opinii politycznych. Natomiast nie miał żadnych zastrzeżeń co do aktywności mojej i brata w organizacjach młodzieżowych takich jak Związek Harcerstwa Polskiego, czy później w politycznych.

Czy po wojnie, w pracy i życiu towarzyskim i później, będąc na emeryturze, Ojciec utrzymywał kontakty z kolegami, towarzyszami broni z „Gryfa Pomorskiego”? Wielu z nich zginęło, zarówno z rąk Niemców i Sowietów, a także funkcjonariuszy UB, ale niektórzy z tych co przeżyli, wybrali, najczęściej z konieczności, na miejsce życia i pracy również „ziemie odzyskane”?



Leśniczy Marian Jankowski, zdjęcie z legitymacji służbowej z grudnia 1946 roku.
Fot. archiwum Bogdana Jankowskiego

Nie odmawiał spotkań z towarzyszami konspiracji wojennej, miał dobry kontakt z synem Józefa Dambka, Alojzym. Prowadził korespondencje z niektórymi znajomymi z czasów okupacji. Należał również do lokalnych struktur ZBoWiD-u, kontaktował się z żyjącymi świadkami i uczestnikami ruchu oporu na Pomorzu. Udzielał informacji Zrzeszeniu Kaszubsko-Pomorskiemu w Gdańsku, Zespołowi ds. Upamiętniania Etosu Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski” oraz naukowcom z Uniwersytetu Gdańskiego.

Co pozostało po Ojcu w pamięci dzieci i bliskich? Jak z perspektywy wielu już lat i zamkniętej historii życia leśniczego Mariana Jankowskiego postrzega Pan jego życiowe wybory, decyzje, działania?

Bardzo kochaliśmy Ojca za Jego miłość i poświęcenie dla nas i naszej matki. Wojna zabrała mu najlepsze lata życia, ale podjął decyzję założenia rodziny i jej utrzymania. Wykonał to zamierzenie doskonale i odpowiedzialnie. Możemy wraz z bratem Władysławem powiedzieć, że tak prawych i wspaniałych ojców, małżonków, pracowników rzadko się obecnie spotyka. Ojciec nie należał po wojnie do żadnej partii politycznej. Natomiast, jako człowiek czynu, był aktywnym członkiem Ligi Ochrony Przyrody i Polskiego Związku Łowieckiego. Otrzymał wiele odznaczeń i dyplomów za swoją działalność społeczną. Był bardzo dumny, kiedy w 1989 roku mógł powiesić w domu godło z koroną, które przechowywał od czasów II wojny światowej.

Bywał też pesymistą, nie wierzył na przykład, że mur berliński runie! Wybaczył mi, że przerwałem po roku studia leśne na rzecz historii sztuki. Później przez pięć lat finansowali je rodzice. Tacy byli, mój wspaniały ojciec Marian i moja matka Józefa.

Rozmawiał: **Tadeusz Chrzanowski**

Toruń – Lubuczewo, w kwietniu 2017 roku



Zbigniew Jaworski (1916 – 2014)

Leśniczy ZBIGNIEW JAWORSKI¹

(1916-2014)



Zbigniew Jaworski urodził się w Nowym Jorku w 1916 roku jako pierwszy z pięciorga dzieci Anny i Michała Jaworskich. W końcu I wojny światowej tworzyła się w Ameryce armia polska, która później dołączyła do Armii Hallera. Ojciec Zbigniewa jako oficer, a matka Anna, z domu Radecka, jako lekarz, służyli w tej Armii i uczestniczyli m.in. w Obronie Lwowa i w walkach o wyzwolenie Pomorza w latach 1919-1920. Jednak wrócili później do Ameryki. W 1926 roku ojciec Zbigniewa otrzymał propozycję objęcia Nadleśnictwa Borynia (posiadłości barona von Liebecka) blisko Turki nad rzeką Stryj (województwo lwowskie) i rodzina Jaworskich powróciła na ojcowiznę. Michał Jaworski był nadleśniczym w Boryni do wybuchu II wojny światowej.

BĄDŹ TEŻ ŻOŁNIERZEM

Miasto Turka, w którym mieszkała rodzina Jaworskich, liczyło blisko 20 tys. mieszkańców, w tym niespełna 4 tysiące Polaków, 6 tysięcy Ukraińców i 10 tysięcy Żydów. W szkole powszechnej obowiązywał język polski, od trzeciej klasy wprowadzano ruski (ukraiński), a od czwartej - niemiecki. „Nie chciałem się uczyć niemieckiego – mówi Pan Zbigniew – o czym dowiedział się szybko mój ojciec. Pamiętam, jakiego użył argumentu, by mnie przekonać do nauki. Stwierdził, że od tysiąca lat wojujemy z Niemcami i jeśli chcemy ich pobić, musimy znać język. To mi wystarczyło”.

Po czwartej klasie Zbigniew zaczął naukę w pierwszej klasie gimnazjum, jednak już po dwóch latach – za radą dziadka – przeszedł do liceum leśnego (Państwowa Średnia Szkoła Rolnicza) w Białokrynicy. Za dobre wyniki w nauce dziadek wydawał kieszonkowe. Gdy w 1935 roku kończył naukę leśnictwa, dziadek powiedział: „Jesteś leśnikiem, bądź też żołnierzem”. Zbigniewa nie trzeba było namawiać. Już od trzech lat uczył się jazdy konnej w 12. Pułku Ułanów Podolskich, stacjonującym w Białokrynicy. Wyjechał na pół roku do centrum szkolenia kawalerii Szkoły Podchorążych Rezerwy w Grudziądzu. Staż, również półroczny, odbywał później w swoim 12 Pułku Ułanów Podolskich w Białokrynicy. Następnie kształcił się w Szkole Podchorążych w Ostrowie-Komorowie koło Lwowa, którą ukończył w stopniu podporucznika. Został żołnierzem zawodowym w 48. Dywizji Piechoty we Lwowie ze specjalnością... ciężkie karabiny maszynowe.

WYBUCHŁA WOJNA

Przez pierwsze dni września 1939 roku Pan Zbigniew uczestniczył w organizacji obrony Lwowa. Najpierw przyszli Niemcy. „Ze swoimi ludźmi broniliśmy

zachodniej rogatki miasta, od 11 do 18 września. Niemcy ustąpili i zaraz po nich przyszli Sowieci. Obrona miasta trwała do 22 września, kiedy generał Langner, świadom beznadziejnego położenia obrońców, podpisał kapitulację, twierdząc, że woli poddać się Słowianom niż Germanom – opowiada leśniczy Jaworski. – Sowieci jednak natychmiast oddzielili oficerów od ich żołnierzy i, jak dzisiaj wiadomo, większość z nich trafiła do Katynia, Kozielska i Ostaszkowa. Żołnierzy pognano natomiast w kierunku na Tarnopol i, jak później słyszeliśmy, wielu z nich rozstrzelano z samochodów pancernych, tylko nieliczni zdążyli uciec z życiem. Ja miałem szczęście, bo 22 września rano odniosłem ranę i czas kapitulacji przeżyłem ukryty przez sanitariuszki w punkcie opatrunkowym.”

Już w październiku 1939 r. żołnierze polskiego września utworzyli we Lwowie podziemny Związek Walki Zbrojnej (ZWZ), który po kilku miesiącach liczył ponad pięć tysięcy ludzi. Pan Zbigniew nie mógł wrócić do rodzinnej Turki, gdzie łatwo byłby rozpoznany przez miejscowych kolaborantów. W tej haniebnej działalności wyróżniali się Żydzi. Wiele z nich natychmiast zapisało się do sowieckiej milicji. Dostali karabiny, przejęli posterunki policji polskiej, na rękawach nosili czerwone opaski i cechowali się szczególną gorliwością w służeniu sowieckim okupantom. Zidentyfikowali i aresztowali wielu przedstawicieli miejscowej inteligencji polskiej, których doprowadzali do posterunków NKWD. „We Lwowie przebywała w tamtym czasie Wanda Wasilewska. Jak wiadomo była ona gorącą zwolenniczką utworzenia Polskiej Republiki Rad w ramach państwa sowieckiego. Sama ubierała się w mundur sowieckiego pułkownika. Przez ZWZ była uznana za zdrajczynię i wydano na nią wyrok śmierci. Zamach nie powiódł się – wspomina Pan Jaworski – i odtąd Wasilewska chodziła z ochroną”. W nocy z 6 na 7 kwietnia 1940 roku aresztowano całe dowództwo i wielu oficerów ZWZ we Lwowie. Według opinii Pana Zbigniewa był wśród nich zdrajca.

KIERUNEK SYBERIA

Sowieci szybko rozprawiali się z polskim ruchem oporu na Kresach. Wszystkich aresztowanych, ich rodziny i innych podejrzanych systematycznie wywożono bydlęcymi wagonami na wschód. 10 kwietnia 1940 roku do transportu trafił też aresztowany kilka dni wcześniej Pan Zbigniew: „Nie zidentyfikowali mnie jako oficera, stąd uniknąłem więzienia na Łubiance, gdzie wywieźli całe dowództwo ZWZ ze Lwowa. Jednak równocześnie trafiła do transportu moja matka i czworo rodzeństwa. Ojca zostawiono, bo był poważnie chory i, jak się dowiedziałem już po wojnie, zmarł w 1941 roku i został pochowany na cmentarzu w Turce. Matki i rodzeństwa nigdy potem już nie spotkałem, ani nie znalazłem o nich żadnej wiadomości.”

Transport Polaków, w którym jechał na Syberię Pan Zbigniew dotarł do miejscowości Kanakskoje w Kazachstanie około 15 maja. Ta podróż była prawdziwą gehenną. Na każdym postoju z wagonów usuwano kilkunastu zmarłych z powodu

chorób, wycieńczenia, chłodu i głodu. W większości były to dzieci i ludzie w podeszłym wieku. Mówienie o tej zbrodni jeszcze dzisiaj wyciska łzy. „Wyrzucili nas w szczerym stepie. Dostaliśmy drewno na budowę baraków. Sowieci szybko zorientowali się, że miałem pojęcie o budowlance i predyspozycje do organizacji pracy. Znalazłem się w brygadzie, która specjalizowała się w tym fachu” - mówi Pan Zbigniew.

WOJNA HITLER - STALIN

„Gdy wybuchła wojna niemiecko-sowiecka, Rosjanie wcielili nas, około 800 ludzi, do batalionu budowlanego zwanego Strojbatem, dali mundur sowieckiego sołdata i ruszyliśmy w kierunku zachodnim. Batalionem dowodził podpadły Rosjanin – kapitan Kurnietow, a poza tym byli tu sami Polacy, Ukraińcy i Żydzi z kresów wschodniej Polski. Naszym zadaniem było budować baraki, ziemianki, okopy itp. Tak dotarliśmy z sowiecką armią do Tockoje – mówi Pan Zbigniew. Tu w sierpniu 1941 roku na mocy układu Sikorski-Majski, wszyscy jak jeden mąż wstąpiliśmy do tworzącej się Armii Polskiej. Przez cztery dni był jeszcze z nami kapitan Kurnietow, jednak później nagle zniknął i słuch po nim zaginął”. Od Hanki Ordonówny dowiedział się Pan Zbigniew, że sprawą „dezercji” Strojbatu żywo interesuje się NKWD. Doradziła mu, aby możliwie jak najprędzej lecieć do Aleksandrii. Tak też się stało. Pan Zbigniew zgłosił się jako ochotnik do szkolenia na nawigatora lotnictwa bombowego i chociaż – ze względu na stan zdrowia i wyczerpanie organizmu – nie przeszedł komisji kwalifikacyjnej, trafił do wojsk pancernych, gdzie wkrótce został dowódcą plutonu.

MONTE CASSINO

„W bitwie o klasztor na Monte Cassino i Piedimonte obsługiwałem 12 Pułk Ułanów, który, mimo iż w walce był najmniej użyty, poniósł największe straty w ludziach. To ten pułk zajmował klasztor. Moja kompania miała na tym stanowisku



Ruiny klasztoru
na Monte Cassino.
Fot. archiwum

sześć ckm jak – wspomina Pan Zbigniew. Bez zlurowania uczestniczyliśmy w walkach od 21 kwietnia do 18 maja 1943 roku. Zginęło siedmiu moich ludzi, w tym jedna załoga (trzy osoby) trafiona pociskiem artyleryjskim”. Po zdobyciu przez Polaków Monte Cassino, Pan Zbigniew uczestniczył jeszcze w ciężkich walkach o Ankone i Bolonię. W międzyczasie uczestniczył w szkoleniu oficerów w Anglii.

PO WOJNIE

Po zakończeniu wojny Pan Zbigniew dwukrotnie konwojował transporty Polaków powracających z Zachodu do „wolnej” Polski. Trzecim razem, 9 września 1946 roku, na dworcu w Dziedzicach przejęli go funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa. „Otrzymałem do podpisania pisemko, że zgłaszam swój dobrowolny powrót do kraju i w nim zostaję. Zdawałem sobie sprawę, co mnie czeka w przypadku sprzeciwu. I pomyśleć, że za dwa tygodnie miałem się ożenić we Włoszech – mówi z uśmiechem Pan Zbigniew. Pojechałem więc do Gdyni, gdzie zarejestrowałem się w punkcie repatriacyjnym. Do dzisiejszego dnia nie jestem formalnie zdemobili-



Emerytowany leśniczy płk Zbigniew Jaworski na spotkaniu leśników kombatanów w Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu w 2001 roku.
Fot. Tadeusz Chrzanowski

zowany". Z Urzędu Pracy otrzymał skierowanie do Lasów Państwowych i podjął pierwszą pracę w Leśnictwie Godentowo w Nadleśnictwie Sieślino koło Łęborka.

Nastąpiły ciężkie czasy dla żołnierzy z „bandy Andersa”, jak określiła to Rejonowa Komenda Uzupełnień, odmawiając Panu Zbigniewowi wpisu stopnia wojkowego do książeczki wojskowej. „Ja tymczasem 1 lipca 1946 roku otrzymałem mianowanie na majora Wojska Polskiego podpisane przez generała Bora-Komorowskiego – mówi Pan Zbigniew Jaworski, dziś podpułkownik Wojska Polskiego w stanie spoczynku. Międzynarodową legitymację, z pełnym potwierdzeniem służby wojskowej w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie, Urząd Kombatancki wydał mi dopiero w latach 90.”

Pan Zbigniew pracował w wielu nadleśnictwach: Sarnia Góra, Tolkmicko, Góra, Lubichowo, Łeba, Chociński Młyn, Osusznica i ze stanowiska leśniczego Leśnictwa Wolność w Nadleśnictwie Rytel w 1980 roku odszedł na emeryturę. Ale jego praca zawodowa to już odrębna historia.

Pośród wielu odznaczeń wojskowych, jakie posiada, pułkownik Zbigniew Jaworski w pierwszej kolejności wymienia: Złoty Order Virtuti Militari klasy IV za Kampanię Włoską, Order Virtuti Militari klasy V za obronę Lwowa, trzy Krzyże Walecznych za Lwów, Monte Cassino, Linię Gotów, Krzyż 3. Dywizji Strzelców Karpackich, Krzyże Zasługi: Złoty i Srebrny (II Korpusu), pięć odznaczeń angielskich: trzy Gwiazdy – Afryki, Italii, Wojny, Medal Wojny, Medal Ministerstwa Obrony Wielkiej Brytanii i inne.

KTOŚ NAD NAMI JEST

Pan Zbigniew mówi, że najbliżej śmierci był, gdy nacierały sowieckie czołgi, jednak w walce nie ma czasu na strach, nie myśli się o śmierci. „Pamiętam kolegów, którzy przeczuwali własną śmierć, zegnali się przed walką, zostawiali jakieś drobiazgi, pamiętki, aby przekazać je ich bliskim – wspomina. Ja przyznam, że czułem wielokrotnie, że człowiek nie jest sam. Ktoś nad nami jest. Tę obecność czułem, gdy szliśmy do ataku i gdy w szpitalu byłem poddawany operacji. W takich sytuacjach myślałem o Matce Boskiej. Ktoś nad nami jest” - kończy Pan Zbigniew².

Tadeusz Chrzanowski

Charzykowy w Borach Tucholskich, w październiku 2000 roku

Przypisy

¹Rzeczywiste imiona Pana Jaworskiego to Jan Pius, jednak w okresie powojennym, w Polsce we wszystkich dokumentach podawał imię Zbigniew.

²Leśniczy Zbigniew Jaworski zmarł w 2014 roku i jest pochowany w Charzykowach.



Michał Sokołowski (ur. 1924)

Inżynier MICHAŁ SOKOŁOWSKI

(ur. 1924)



Michał Sokołowski urodził się w 1924 roku. Jest inżynierem leśnictwa, pracował na terenie Toruńskiej Dyrekcji Lasów Państwowych od kwietnia 1945 roku do 31 grudnia 1983 w tym, w służbie terenowej 30 lat na stanowiskach: sekretarza, leśniczego administracyjnego, adiunkta i nadleśniczego w nadleśnictwach: Leśno (obecnie Golub-Dobrzyń), Świekatówko (obecnie Zamrzenica), Klosnowo (obecnie Ryteł), Gołębki i Ruda (obecnie Brodnica).

Z dniem 1 stycznia 1984 roku przeszedł na emeryturę ze stanowiska naczelnika wydziału Okręgowego Zarządu Lasów Państwowych w Toruniu, po czym pracował tam jeszcze przez rok w niepełnym wymiarze godzin. Stanowi to łącznie 39 lat pracy na rzecz polskich lasów Pomorza i Kujaw.

Z zamiłowania zajmuje się historią leśnictwa, łowiectwem, historią regionów, genealogią rodziny, dziejami ziem polskich Kresów Wschodnich, krajoznawstwem i turystyką. Był działaczem Naczelnej Organizacji Technicznej, Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Leśnictwa i Drzewnictwa, PTTK, w tym ponad dziesięć lat, już jako emeryt, był miejskim i regionalnym przewodnikiem turystycznym PTTK w Toruniu. Jako amator fotografik zgromadził pokaźne zbiory zdjęć ze swego życia rodzinnego, zawodowego, przyrody i turystyki.

Na wymienione wyżej tematy napisał ponad 150 opracowań i artykułów, z których większość publikowana była w periodycznych wydawnictwach krajowych i lokalnych. Jest współautorem opracowanej przez Regionalną Dyrekcję Lasów Państwowych w Toruniu w roku 2005 „Martyrologii leśników Pomorza i Kujaw w okresie 1939-1956”. Jest również autorem wybranych tekstów w książkowej edycji „Dziejów Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu 1925-2010”, wydanej w roku 2010 z okazji jubileuszu 85-lecia utworzenia Dyrekcji.

Wśród posiadanych odznaczeń honorowych znajdują się m.in.: Kordelas Leśnika Polskiego, a ponadto: „Złom” i Medal Świętego Huberta - nadane przez Polski Związek Łowiecki, Złota Odznaka Honorowa SITLiD, Złota Odznaka Honorowa PTTK.

Pozostając na emeryturze, utrzymuje bieżący kontakt z Dyrekcją i kolegami leśnikami w terenie.

Tadeusz Chrzanowski

Toruń, we wrześniu 2018 roku

PRZEŻYŁEM Z LASEM TYLE LAT (fragmenty zapisków)

Jest piątek, 20 kwietnia 1945 roku. Siedzę w kępie przydrożnych krzaków na przedmieściu Płocka, unikam ludzi, ich spojrzeń i rozmów. A jeszcze przed paroma dniami byłem normalnym chłopcem, pełnym planów i zamierzeń. Wszak to w ubiegłą niedzielę, gdy odwiedziłem rodziców w Duninowie, zjawiły się te ciężarowe samochody z żołnierzami z czerwoną gwiazdą na czapkach. Nasi miejscowi – lekceważeni dotąd – „tajni” milicjanci wiedli przybyłych Rosjan do wskazanych według listy domów, skąd zabierano mężczyzn i pakowano na samochody. Ja byłem wówczas u znajomych dziewczyn w innym krańcu wsi, a wracającego ostrzegła mnie siostra z wieścią, że gdy mnie ani brata w domu nie zastano zabrali Ojca. Dlaczego? Po co? Potem okazało się, że była to jednorazowa akcja wywożenia przedstawicieli inteligencji podejrzanych o współpracę z Armią Krajową. NKWD wraz z UB aresztowało wtedy kilkadziesiąt osób z okolicy. Przede wszystkim nauczycieli, urzędników itp. - resztki tego, co zostało tu jeszcze po niemieckiej dyskryminacji.

DO DOMU JUŻ NIE WRÓCIŁEM

Noc przesiedziałem w stogu trzciny nad Wisłą. O świcie przygodny rybak przewiózł mnie łodzią na drugi brzeg Wisły. Tam znalazłem schronienie u znajomego rolnika. Nic im nie mówiłem o powodach ukrywania się. W radosnej atmosferze powrotu wolności, jeszcze nic lub bardzo niewiele, wiedziano w tych stronach o represjach ze strony nowych władz wobec ludzi podejrzanych o udział w ruchu oporu. Otrzeźwienie przyszło później, gdy UB rozwinął w pełni swą działalność przeciw Polakom. W tym pierwszym okresie wyszukiwano głównie ukrywających się gdzieniegdzie Niemców i kolaborantów.

Tymczasem rodzina rolnika – o nic nie pytając – podejrzliwie na mnie spoglądała, budziłem co najmniej nieufność. Po kilku więc dniach, pożegnałem doraźny azyl i udałem się do Płocka z zamiarem wyjazdu dokądkolwiek, jak najdalej. Niemcy potrafili skutecznie ścigać takich zbiegów, sądziłem, że i Rosjanie mogą mnie dopaść. A więc jak najdalej stąd! Z rozmowy z kolejarzem wynikało, że rano wyruszy pociąg osobowy bezpośrednio do Torunia. Jest to najprostsza możliwość usunięcia się dość daleko od tych stron. Czekam więc w pobliżu stacji Płock-Radziwie na ów poranny pociąg. Na przedwieczornym niebie przelatują roje samolotów wzdłuż Wisły. Wszystkie na wschód. Nie wiedziałem o rozpoczętej przed paroma dniami potężnej ofensywie na Berlin. Samolotów były setki – chyba ewakuowały rannych. Do samego zmierzchu niósł się nade mną szum silników. Dłużą się nocne godziny. Zimno. Mam na sobie tylko lekkie okrycie, a w rękę teczkę z zapasem tytoniu samosiejki i odrobinę chleba. Myślę, co dalej począć

z sobą? Trzeba się gdzieś ulokować i podjąć pracę. Kwalifikacje mam więcej niż skromne. Podczas okupacji pracowałem jako robotnik leśny w Duninowie, potem w tamtejszym biurze leśnym. Jako syn leśniczego jestem obyty z lasem od dziecka. Przed wojną uczyłem się przez trzy lata w gimnazjum w Płocku. Obecnie – po „wyzwoleniu” – kontynuowałem przez dwa miesiące wieczorną naukę w tymże gimnazjum, w dzień zaś nadzorowałem grupę robotników budowlanych jako pracownik magistratu. Dawało mi to możliwość zakwaterowania i stołówkowe wyżywienie, było jednak bardzo wyczerpujące i po dwóch miesiącach takiego trybu życia czułem się źle, niedożywiony i niedospany. Wiedziałem, że muszę to zmienić. Wypadki ubiegłej niedzieli przyspieszyły tę zmianę. A że ze wszystkich zawodów lub branż jedynie leśnictwo było mi dość bliskie, więc tam chyba trzeba mi się skierować. Tak rozmyślając i do tych kalkulacji włączając Toruń, przypomniałem sobie, że była tam przed wojną dyrekcja lasów i pracował w niej dobry znajomy Ojca, przyjaciel rodziny, były nasz nadleśniczy z Łącka, inż. Teodor Meissner.

Gdy więc drząc w porannym chłódzie wsiadałem do wagonu z tabliczką „Płock – Toruń”, miałem już w głowie zarys planu – odszukać inż. Meissnera (może już powrócił po wojnie do Torunia) i z jego pomocą zaszyć się gdzieś w lasach pomorskich. W godzinach południowych dotarłem do Torunia.

PRZYSTANEK TORUŃ

Po dotarciu do dyrekcji lasów zastałem naszego znajomego i to na wysokim stanowisku szefa Biura Organizacji i Inspekcji. Przypomniawszy sobie Łąck, moich rodziców i nawet mnie, chociaż widywał mnie wówczas dzieckiem. Zajął się mną z całą gorliwością, rekomendując szefowi Biura Kadr. Widząc moją lichą kondycję, zafundował obiad w związkowej stołówce, po czym wręczył mi skierowanie do bezpłatnej kwatery na mieście, przy rodzinie, której „głowa” nie wróciła jeszcze z wojska niemieckiego. Pani domu była – jak większość polskiej ludności miasta – mocno wystraszona, nie wiedząc, jak powojenne władze potraktują obywateli, którzy gremialnie przyjęli tzw. „III grupę narodowości niemieckiej”, obawiali się szykan i represji.

Musiałem czekać na skierowanie mnie do któregoś z nadleśnictw. Kwatery była, groził mi natomiast głód wobec całkowitego braku pieniędzy, a sprawa uzyskania skierowania przeciągała się cały tydzień. Ze stołówek związkowej nie mogłem korzystać, bo tam trzeba było – choć niewiele – płacić. Jadałem przeto darmowe zupki w kuchni prowadzonej przez PCK dla powracających uchodźców. Były wodniste i czcze.

Muszę tu podkreślić bardzo aktywną działalność Związku Zawodowego Leśników przy Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu, który prowadził stołówkę, internat dla dzieci szkolnych z jednostek terenowych, pokoje noclegowe itp.

W tym czasie bardzo wielu leśników przybywało do Torunia. Jedni wracali na swe dawne stanowiska, inni – głównie z Kresów – szukali miejsca dla siebie w nowych stronach, jeszcze inni wracali z obozów jenieckich i z pracy przymusowej. Każdy znajdował tu życzliwe przyjęcie, doraźną opiekę i skierowanie do pracy.

Codziennie wysiadywałem pod drzwiami Biura Kadr, po czym szedłem na zakupkę i zwiedzanie miasta. Nasłuchiwałem się wielu opowiadań o przygodach wojennych i przeżyciach leśników z różnych stron, którzy – jak ja – oczekiwali na skierowania. W sobotę, 28 kwietnia 1945 r. otrzymałem je.

SKIEROWANIE DO NADLEŚNICTWA LEŚNO

Leśno jest oddalone około 40 km od Torunia. Dojechałem tam późnym popołudniem pociągiem wojskowym na skrzynkach po amunicji. Ze stacji Kowalewo było jeszcze do przebycia pieszo około 11 km. O szarówce wkroczyłem na podwórze osady nadleśniczego. Zaraz też zostałem przez przyszłego szefa doraźnie przeegzaminowany, wprowadzając go w zakłopotanie. Spodziewał się kandydata o lepszej przydatności do zawodu. W końcu westchnął i orzekł: „Spróbuje Pan tu sekretarzować”.

Z przybyciem do Leśna skończyła się moja niedola. Trafiłem do dobrych, serdecznych ludzi. Nadleśniczy inż. Władysław Śliwiński i jego żona Celina zajęli się mną, nakarmili, dali pokój z czysto zaściętym łóżkiem – pełny komfort! Byli to zaci ludzie, żyliśmy we wzajemnej przyjaźni przez wiele lat. On, przedwojenny nadleśniczy, pochodził z Wejherowa i miał w sobie wiele z twardego charakteru Kaszuba, lubił porządek, był stanowczy i konkretny. Ona, magister farmacji, pochodziła z Łodzi, była miła, serdeczna i przy tym gospodarna. Przeżyliśmy razem wiele, organizując nadleśnictwo i nasz własny byt. W osadzie było już kilka krów, drób, a nieco później pojawił się i koń, jako że nadleśniczy był oficerem rezerwy kawalerii i nade wszystko uwielbiał konną jazdę. W owym czasie w nadleśnictwie dosłownie roilo się od szczurów. Przez dwa zimowe miesiące stacjonował tam oddział wojsk sowieckich i pozostawił po sobie stosy odpadków kuchennych, na której to pożywce rozmnożyły się szczury w kłęskowym zgola wymiarze. Po pewnym czasie żona szefa (farmaceutka przecież) przywiozła z Łodzi jakąś truciznę, która w radykalny sposób problem ten rozwiązała.

Następnego dnia, po moim przybyciu do Leśna szef zdecydował, że skoro zamierzam tu osiąść i podjąć pracę, to muszę przecież coś mieć do urządzenia się. A ja miałem tylko to, co na sobie i podartą teczkę. Kazał mi więc jechać do domu po niezbędne wyposażenie. Nie zwierzyłem się mu, że czuję się ściganym i nie bardzo mogę pokazywać się w okolicy domu. Pojechać jednak musiałem i wyruszyłem pociągiem przez Toruń do Płocka i stamtąd pieszo (15 km) do Duninowa. Szedłem bocznymi drogami i lasem. Pod dom dotarłem przed wieczorem i czekałem do zmroku ukryty w krzakach. Potem ostrożnie podeszedłem pod

okno i usłyszałem z wewnątrz głos Ojca. A więc wrócił! Powitaniom i radości nie było końca. Okazało się, że Ojca zawieziono do NKWD do Łodzi, a tam nikt nie miał pojęcia, po co i dlaczego? Po tygodniu przesłuchiwań polegających na ustawicznym powtarzaniu życiorysu i grożeniu, puścili Ojca do domu. Wówczas wydawało nam się to normalne i oczywiste, bo przecież nie popełnił nic takiego, za co mógłby być więziony. Dzisiaj widzę, że było w tym wiele szczęścia i opieki Boga, przecież wiele tysięcy niewinnych ludzi katowano i wywożono do Rosji na śmierć z katorżniczej pracy i głodu. Rodzice martwili się o mnie, nikt nie wiedział, gdzie się podziewam. Ojciec był w złym stanie psychicznym. Pobyt w więzieniu – aczkolwiek niedługi – źle wpłynął na jego nerwy. Spakowali mi kołdrę, poduszkę, odzież i nieco pościeli, jak też inne najniezbędniejsze rzeczy. Zaraz następnego dnia, wynajętym wózkiem konnym wyruszyłem do stacji kolejowej w Płocku i znanym szlakiem przez Toruń do Leśna, tym razem z dość okazałym bagażem w rękach i na plecach. Do nadleśnictwa przyjęto mnie na

OBOWIĄZKI SEKRETARZA

Nie miałem pojęcia o tej pracy. Jako syn leśniczego byłem obeznany z lasem, jednak nigdy nie interesowałem się poważnie leśnictwem, nie wiązałem z tym



Spotkanie towarzyskie grupy pracowników Nadleśnictwa Leśno latem 1946 roku. Od lewej: leśniczy Witold Ostoja-Rogowski, nadleśniczy Władysław Śliwiński (Schoennagel) z żoną Celiną. Od prawej: gajowy Józef Kociński, sekretarz Michał Sokołowski, kasjer Golusiński, gajowy Stefan Ramlau. Fot. archiwum Michała Sokołowskiego

zawodem przyszłości. W czasie okupacji, co prawda pracowałem jako robotnik leśny, dozorca przeciwpożarowy i kancelista w biurze zakładu, ale były to czynności proste. A teraz należało być czymś w rodzaju „szefa sztabu” i dyrygować pracą biura (pięciu osób) oraz koordynować działania sześciu leśniczych, w większości starych fachowców. A do tego papierki, sprawozdania, korespondencja, księgi buchalteryjne itp. Wiele nocy spędziłem, studiując zachowane przedwojenne instrukcje, dokumenty i urzędnienia księgowe. Jakoś wybrnąłem z tego wszystkiego i już po miesiącu potrafiłem swoje obowiązki wypełniać w miarę zadowalająco, a z czasem nabrałem wprawy i już swobodniej obracałem się w tym otoczeniu.

Mieszkałem w przydzielonym mi służbowym budynku w osadzie nadleśnictwa, składającej się z pięciu zagród położonych malowniczo wzdłuż leśnej rzeczki i otoczonych zewsząd pięknym lasem. Najbliższym sąsiadem osady był młyn wodny „Kałdunek” położony w odległości jednego kilometra, również bardzo malowniczo, wręcz romantycznie wyglądający nad stawem i rzeczką wśród lasu. Okolica była prześliczna, zwłaszcza w maju, w pełnym rozkwicie wiosny.

W zajęтым przeze mnie budynku, uprzednio przez kilka miesięcy kwaterował oddział wojsk sowieckich. Funkcjonowały tam zamaskowane w lesie samochodowe warsztaty naprawcze. Pokoje były potwornie brudne, ściany zakopcone na czarno. Po pewnym czasie udało mi się to uporządkować i wybielić. Mieszkał tam ze mną pracownik biura nadleśnictwa, Polak z Łotwy, pan Wodejszo. Po uwolnieniu się z gehenny obozu koncentracyjnego w Stutthofie przechorował tyfus, a obecnie chciał nieco odetchnąć po tych przejściach i nabrać sił przed powrotem do swej Rygi, gdzie została jego rodzina. Był to bardzo porządny człowiek, cichy i spokojny. Świetnie znał język rosyjski i cierpliwie pośredniczył podczas naszych służbowych i prywatnych kontaktów z Rosjanami, którzy nader często nas odwiedzali, przyjeżdżając po drewno dla swych celów. W końcu lata 1945 roku odżywiony i przyodziany ruszył p. Wodejszo w swoje strony. Dostałem od niego kartkę wysłaną z Brześcia nad Bugiem, w której donosił, że raz już „siedział” po drodze. Był to ostatni znak od niego.

Posiłki przyrządzała nam żona byłego pracownika nadleśnictwa, przebywającego obecnie w Anglii, gdzie znalazł się w Wojsku Polskim jako były jeńiec z armii niemieckiej. Niewiasta ta, energiczna i krzykliwa, mieszkała z dwojgiem dzieci w sąsiednim budynku.

Z perspektywy lat i doświadczeń bardzo pozytywnie oceniam troskę władz leśnych o zapewnienie podstawowych warunków bytowych dla ludzi podejmujących pracę w ówczesnych warunkach. Wynagrodzeniem były kwoty wręcz symboliczne, zresztą gotówki było jeszcze mało w obiegu, a ludziom należało dać możliwości życia. Problem ten władze rozwiązały w osobliwy, lecz skuteczny sposób. Obowiązywały dwa cenniki na drewno, jeden tzw. komercyjny i drugi

„na potrzeby własne”. Ten drugi był dziesięciokrotnie niższy od komercyjnego. W jednostkach terenowych szefowie powoływali tzw. komitety zaopatrzenia. Organy te mogły za zebrane od pracowników pieniądze kupować drewno użytkowe lub opałowe po niskich cenach i wymieniać je na produkty spożywcze w relacji cen komercyjnych. Specjalne listy produktów określały, ile czego należało się pracownikowi w ciągu miesiąca. System ten działał bardzo sprawnie. Okoliczna ludność rolnicza potrzebowała drewna, zwłaszcza użytkowego. Chłopi przywozili więc mąkę, ziemniaki, tłuszcze, drób i mięso, nieraz w postaci jeszcze żywej! Wszystko to dzielono zgodnie z normami. Rozliczenia sporządzał komitet w formie protokołów. Oczywiście nie robiliśmy z tego „apteki”, ale daleko było do grubszych nadużyć. Działalność ta trwała bodaj do wiosny 1946 roku, gdy przybył inspektor obwodowy, przejrzał akta i „rozgrzeszył” działalność komitetu.

NADLEŚNICTWO LEŚNO

Powierzchnia nadleśnictwa wynosiła wówczas około pięciu tysięcy hektarów podzielonych na pięć leśnictw: Gronowo – lasy przejęte z byłej własności prywatnej, leśniczy Witold Rogowski – absolwent Szkoły Leśnej w Żyrowicach, Kępa – leśniczy Chrostowski, przybyły z Polski centralnej, Strębaczno – tu powrócił przedwojenny leśniczy Tadeusz Babirecki „Margonińczyk”, Drwęca – przedwojenny leśniczy Witold Bielecki, Paliwodziszna – leśnictwo położone po drugiej stronie Drwęcy w tzw. Kongresówce – leśniczy Edward Tułodziecki, przedwojenny. Było też osobno położone uroczysko Jasionka, kilkadziesiąt hektarów lasu należącego do rodziny ziemiańskiej Ramlau. Tam pracował jako gajowy syn właściciela majątku, inżynier leśnik z ukończoną przed wojną SGGW. Po pewnym czasie inż. Andrzeja Ramlau’a przeniesiono na ziemie odzyskane, a funkcję gajowego objął jego młodszy brat, Stefan Ramlau. Zatrudnionych było też kilku gajowych.

Leśniczowie prezentowali dość wyrównany, dobry poziom fachowy i intelektualny. Dwie osady leśne zajęte były przez rodziny leśników przebywających na wojnie w armii niemieckiej. Rodzin tych nie szyskanowano, musiały one jedynie przyjąć do części pomieszczeń rodziny nowo przybyłych i aktualnie zatrudnionych pracowników. Lasy były w dobrym stanie, drzewostany zdrowe, spory udział starszych klas wieku. Przewaga dobrych siedlisk borowych. Nieźle utrzymane drogi, osady częściowo telefonizowane. Nie widziałem wyraźnych śladów rabunkowej gospodarki okupanta. W lipcu przybyła z Dyrekcji kilkusobowa grupa fachowców, którzy przez parę tygodni lustrowali drzewostany, opracowując tymczasową tabelę klas wieku, doraźny plan cięć i odnowienia, szacując przy tym straty gospodarcze z okresu wojny. Nie znam wyników owej lustracji, nie sądzę jednak, by odnotowano znaczniejsze szkody.

W miarę upływu czasu poznawałem coraz lepiej tajniki zawodu i coraz swobodniej obracałem się w tym świecie. Praca pochłaniała mi masę czasu. Bywałem



Grupa pracowników Nadleśnictwa Leśno w 1946 roku. Od lewej: sekretarz nadleśnictwa Michał Sokołowski, leśniczy Witold Bielecki, gajowy Aleksander Szatański, poniżej leśniczy Witold Rogowski, leśniczy Ostoja-Rogowski, gajowy Stefan Ramlau, rachmistrz Leon Sekuła.
Fot. archiwum Michała Sokołowskiego

czynny od świtu do nocy, i w biurze, i w terenie, dokąd często wysyłał mnie szef z różnymi poleceniami dla leśniczych. Po zakończeniu wiosennych sadzeń doko-
nywali oni inwentaryzacji zapasów wyrobionego w lesie drewna pozostałego po
okupacji. Zwykle zostawiali sobie pewien „margines” na pokrywanie ubytków wy-
nikających z kradzieży i notorycznego zabierania drewna przez wojsko sowieckie.
Należało dopilnować, aby owe „zapasy” mieściły się w granicach przyzwoitości.
Trzeba tu podkreślić powszechną uczciwość personelu – nikt nie zamierzał wyko-
rzystywać sytuacji dla bogacenia się. Pracowaliśmy w najlepszej wierze dla wspól-
nego dobra, z myślą o najszybszym przywróceniu normalności. To była wówczas
cecha nie tylko leśników. Wszyscy ruszyli z entuzjazmem do odbudowy i rozbud-
owy kraju, nie patrząc na wynagrodzenia i nie żałując trudu. U mnie minął też
strach przed ściganiem za winy niepopłacone. Nikt się mną tu nie interesował. (...)

Jakoś pod koniec czerwca 1945 r. pewnego wieczoru przybył do nadleśnic-
twa kilkusobowy oddziałek wojskowy, przedstawiając się jako patrol tzw. Woj-
skowej Ochrony Lasów, skierowany do Leśna przez Dyрекcję Lasów Państwo-
wych w Toruniu. W owym czasie lasy były chronione przed kradzieżami przez
wydzielone w tym celu oddziały Wojska Polskiego. Gdy zapadła noc, żołnierze
owii zażądali pieniędzy z kasy nadleśnictwa, oświadczając, iż są oddziałem par-
tyzanckim. Gdy nadleśniczy tłumaczył, że klucz od kasy ma kasjer dojeżdżający
codziennie z odległej wsi – wyłamali bagnetem drzwiczki biurka (tam miała być
owa kasa) i znaleźli kopertę zawierającą 2 tys. zł oraz kartkę określającą, że jest
to cały zapas gotówki na koniec dnia. Zabrali te pieniądze, kwitując ich odbiór na
kopercie, a podpisał – jak pamiętam – „plutonowy Zryw”. Nasz kasjer, pan Golu-
siński – spodziewając się takiej sytuacji – codziennie preparował ową kopertę
z zawartością niewielkiej kwoty, podczas gdy właściwy zapas gotówki – nie-
raz dość znaczny – lokował w korytarzu na szczycie wysokiego piec kaflowego.
U nas zakończyło się tylko na zabraniu stosunkowo niewielkiej kwoty pieniędzy,
ale w sąsiednim Konstancjewie nadleśniczy został dotkliwie pobity przez tych
samyh wojaków, gdy usiłował telefonować po pomoc.

Przez cały okres mojego pobytu w Leśnie nieraz było słychać o działaniach
oddziałów leśnych, o walkach toczonych z milicją i UB, była też silna penetracja
miejscowych środowisk przez agentów tych władz, podających się również za
członków band. Spotkało i mnie którejś nocy w jesieni 1945 roku takie najście.
Na szczęście zorientowałem się w porę i z samego rana zgłosiłem incydent na
posterunku milicji w Kowalewie, gdzie już czekali, czy ja ten fakt zgłoszę.

(...) Latem 1946 roku ożeniłem się i do mieszkania w Leśnie

PANNA Z MIASTA

Latem 1946 roku ożeniłem się i do mieszkania w Leśnie wprowadziłem „pan-
nę z miasta”. Moja żona bardzo szybko przystosowała się do wiejskiego życia



„Latem 1946 roku ożeniłem się i do mieszkania w Leśnie wprowadziłem pannę z miasta”. Leśniczy Michał Sokołowski z żoną Kornelią na zdjęciu ślubnym. Fot. archiwum Michała Sokołowskiego



Leśniczy Michał Sokołowski z żoną Kornelią i czworgiem dzieci w Świekatówku latem 1956 roku.
Fot. archiwum Michała Sokołowskiego

i gospodarskich zajęć. Mieliśmy już wtedy własną krowę i nieco innej „żywnizny”. Był też pies, srogi wilczur. Na skrawku pola deputatowego posadziłem ziemniaki. Następową stopniową stabilizacja i w pracy i w domu.

Jesienią 1946 roku przestało być w Leśnie przyjemnie. Nasz szef nie posiadał umiejętności właściwego na owe czasy podejścia do ludzi, popadł w konflikty i stał się przedmiotem donosów do UB. Przypisano mu różne winy i w końcu aresztowano. Było powszechnie wiadomo, że pozostawałem z nim w przyjaźni, więc i ja poczułem się zagrożony. Przestałem pracować pod pozorem choroby (były wówczas tzw. urlopy zdrowotne) i siedziałem w domu, rozważając, dokąd by się przenieść. Nasz inspektor obwodowy, niezapomnianej pamięci inż. Stanisław Strzemeski, który bardzo nas lubił, doradził mi przeniesienie do Nadleśnictwa Świekatówko, położonego w powiecie świeckim, około 35 km na północ od Bydgoszczy. Tam wakowała akurat posada sekretarza. W styczniu 1947 r. pojechałem obejrzeć nowe miejsce i bardzo mi się tam podobało. Zaraz też złożyłem podanie do dyrekcji i wkrótce potem nadszedł dekret o przeniesieniu z przeprowadzką na koszt państwa, a więc warunki bardzo korzystne. Z powodu pory zimowej, a zima była wtedy ostra, nie mogłem się natychmiast przeprowadzić. Do końca marca pracowałem w Świekatówku, mieszkając i stołując się u nadleśniczego, inż. Franciszka Kozięła, gdzie zostałem przyjęty bardzo gościnnie, również przez jego żonę. Do Leśna jeździłem w soboty po południu, a że dojazd był daleki i z dwiema przesiadkami, a potem jeszcze pieszo 10 km do stęsknionej żony docierałem późnym wieczorem. A w poniedziałek o świcie znowu do Świekatówka.

Nadleśniczego Śliwińskiego zwolniono wkrótce z aresztu i uniewinniono z zarzutów. Nie wrócił jednak do Leśna, lecz objął inne nadleśnictwo w naszej dyrekcji. Zachowaliśmy nawiązaną w Leśnie przyjaźń i utrzymywaliśmy kontakty przez długie lata.

PRZEPROWADZKA

Przeprowadzka do Nadleśnictwa Świekatówko nastąpiła w końcu marca, wagonem kolejowym z krową, drobiem, psami, sianem i ziemniakami. Chyba najmniej miejsca w wagonie zajęły meble i sprzęt domowy. Podróżowaliśmy trzy dni z częstymi postojami i przetaczaniem wagonu na dworcach. Na stacji docelowej w Bruchniewie czekały na nasz wagon wozy konne przygotowane przez miejscowych leśniczych. Wyładunek i przewiezienie poszły szybko i wkrótce byliśmy zainstalowani w nowym mieszkaniu.

Osada była piękna, wybudowana kilka lat przed wojną, a więc nowa. W budynku mieszkalnym mieściły się biura nadleśnictwa, nasze mieszkanie służbowe (trzy pokoje, kuchnia, korytarz, łazienka) oraz na piętrze dwupokojowe mieszkanie dla pomocnika kancelaryjnego. Do tego duży ogród z sadem nieogrodzonym, co

prawda – podwórze, stodoła, obora, drewniki itp. Prądu elektrycznego nie było. Wodę nosiło się wiadrami ze studni, rzecz zwykła, normalna. Trzysta metrów dalej była osada nadleśniczego, a jadąc w przeciwną stronę około dwieście metrów za podwórzem był sklep spożywczy i centrala miejscowej spółdzielni. A sto metrów od osady zaczynał się las, piękny stary drzewostan z mnóstwem jagód i grzybów. Okolice była bardzo ładna, położenie idealne: na uboczu, ale wszędzie niedaleko. Najbliżsi sąsiedzi to kilka małych gospodarstw nad jeziorem po naszej stronie. Przyszło nam tu mieszkać całe 19 lat i dobrze się czuliśmy. Z początku miejscowi ludzie nie darzyli nas zaufaniem. Sądzili, że jesteśmy "zza Buga". Środowisko pomorskiej wsi było dość hermetyczne i niechętnie akceptowało przybyszów z dalszych stron. Później, z biegiem lat uprzedzenie to łagodniało, lecz wówczas, w 1947 roku, występowało w tych stronach wyraźnie.

Nadleśnictwo nie należało do dużych, liczyło ponad 5 200 ha. Było tam sześć leśnictw, z czego pięć w jednym kompleksie, a szóste oddalone o ponad 10 km i położone na uboczu. Kompleks główny stanowił pierścień lasów okalający ze wszystkich stron trzy duże wsie: Sucha, Cierplewo i Glinki. Od zachodu granicę stanowiła rzeka Brda oddzielająca lasy sąsiednich nadleśnictw - Różanna i Zamrzenica. Pozostały teren leśny okalały zewsząd pola. W okolicy było kilka jezior, ziemie na ogół niezłe, wsie zamożne. Same lasy należały do najpiękniejszych partii Borów Tucholskich. Przeważała oczywiście sosna o bardzo dobrej jakości. W domieszkach rósł dąb, świerk i brzoza. Teren zróżnicowany, urozmaicony łąkami, bagnami, jeziorkami. Bardzo dobre warunki bytowe dla zwierzyny. Było tam sporo jeleni, sarn i dzików, a w partiach przypolnych również zajęcy. Położenie i kształt głównego kompleksu sprawiały, że zwierzyna miała zawsze blisko do pól, gdzie nocami żerowała, czyniąc rolnikom dotkliwe szkody w uprawach. Zwłaszcza Leśnictwo Brzozowo słynęło z obfitości jeleni i dzików.

NADLEŚNICTWO BYŁO DOBRZE ZORGANIZOWANE

Jako jednostka administracyjna, nadleśnictwo było dobrze zorganizowane. Wszystkie leśnictwa miały własną łączność telefoniczną przez centralkę w nadleśnictwie, co umożliwiało prowadzenie telefonicznych konferencji jednocześnie z wszystkimi leśniczymi. Drogi były w dobrym stanie, a przez znaczną część głównego kompleksu przebiegała szosa o tłuczniowej nawierzchni. Na terenie nadleśnictwa znajdował się państwowy tartak w Bruchniewie i składnica przykolejowa. Wszystko to bardzo ułatwiało zarządzanie gospodarką leśną, tym bardziej że personel terenowy - kadra techniczna - reprezentowała wysoki poziom fachowy. Nadleśniczym był od dwóch lat inż. Franciszek Kozieł. Z pochodzenia góral, przedwojenny absolwent Wydziału Leśnego Uniwersytetu Poznańskiego. Do wojny był nadleśniczym w Osusznicy na Kaszubach. Człowiek stanowczy, może nieco uparty, nie pozbawiony swoistych - nie dla każdego miłych - cech



Zatoga Nadleśnictwa Świątkówko latem 1954 roku. Siedzą od lewej: leśniczy Aleksander Rękosiak, leśniczy administracyjny Michał Sokołowski, nadleśniczy Edward Bartol, leśniczy Bogusław Jeszke, księgowy Tadeusz Flatow. Stoją od lewej: leśniczy Julian Chład, leśniczy Alfons Lamparski, leśniczy Andrzej Dziąg i leśniczy Janusz Szymanowski. Fot. archiwum Michała Sokołowskiego

charakteru. Świetny leśnik i zamiłowany rolnik chętnie pracujący fizycznie. Najlepiej czuł się na polu przy uprawie swoich kilku hektarów ziemi deputatowej. Wielką przyjemność sprawiało mu oranie, bronowanie, siewy itp. Biura nie lubił i był zadowolony, gdy się przekonał, że może mi zaufać, powierzając samodzielnie niemal prowadzenie większości spraw służbowych. Nie wtrącał się wiele i akceptował moje decyzje, zostawiając dla siebie tylko najbardziej zasadnicze sprawy. W dobrze zorganizowanym i prowadzonym nadleśnictwie nie było wówczas nawału pracy, jako że księgowość była prosta, a szal biurokracji miał nadejść dopiero za kilka lat. W biurze pracowały trzy osoby i to najzupełniej wystarczało.

Państwo Kozieliowie byli małżeństwem bezdzietnym. Z czasem zaprzyjaźniliśmy się i przyjaźń ta trwa do dzisiaj, już tylko z panią Władysławą, bo Franciszek zmarł w 1976 roku w Żarach koło Żagania. Byłem na pogrzebie tego zacnego człowieka. Zżyłem się bardzo z kolegami leśniczymi, wśród których byłem przez szereg lat najmłodszy. Ich sylwetki zachowałem w pamięci. W Leśnictwie Brzozowo był Andrzej Dziąg, absolwent Szkoły Leśnej w Margoninie, człowiek gołębiego serca i wielkiej uczciwości, przy tym pracowity i szczery. Nie interesował się w ogóle łowiectwem i nawet broni nigdy nie miał. Z Brzozowa przeniesiono go później do Nadleśnictwa Chełmno. Zmarł na emeryturze w Bydgoszczy w roku 1988.

KOLEDZY LEŚNICY

Pod koniec 1961 roku przybył do Leśnictwa Brzozowo leśniczy Mieczysław Wronkowski, przeniesiony z Nadleśnictwa Jachcice z Bydgoszczy, doświadczony leśnik, sumienny i obowiązkowy, przy tym koleżeński i towarzyski. Pasował do naszego grona i spotkał się z serdeczną akceptacją tutejszych leśników. Pracował w Brzozowie do końca września 1969 r.

W Leśnictwie Rudno leśniczym był Alfons Lamparski, również absolwent Margonina. W czasie wojny pewien czas spędził w lasach Bawarii i powrócił zauroczony tym krajem i jego obyczajami. Zawołany myśliwy, lubił polować sam i niezbyt chętnie widział, gdy ktoś obcy nawiedzał jego teren. Był dobrym fachowcem, szczególnie starannie opracowywał dokumentacje, czyli tzw. papierki. Nosił się zawsze elegancko i godnie. Rodzinę miał dość liczną, chyba trzy córki i tyleż synów. Przeniesiony do Nadleśnictwa Bydgoszcz, zmarł jako leśniczy Leśnictwa Emilianowo w latach sześćdziesiątych. Opracował własną metodę żywicowania, opartą na zależności wycieku żywicy z nacięć od faz księżycy. Na jego miejsce do Leśnictwa Rudno wprowadził się latem 1954 roku leśniczy Józef Zmarzlak zatrudniony uprzednio w Nadleśnictwie Sarnia Góra, człowiek młody i energiczny. Przez ożenek z panią Zofią Zomkowską wszedł do sławnej rodziny leśników Zomkowskich. Senior tego rodu, Leonard, legendarny leśniczy

"dawnego autoramentu", zapisał się chlubnie w dziejach toruńskiego leśnictwa, gdy podczas okupacji niemieckiej z narażeniem życia czynnie wspomagał akcje bojowe i wywiadowcze grup partyzanckich w lasach Nadleśnictwa Ruda. Nazwisko rodziny leśników Zomkowskich wymieniane jest często w literaturze historycznej tego regionu z okresu lat II wojny. Józef Zmarzlak dał się również poznać nie tylko jako dobry leśnik i myśliwy, ale też przyjazny i serdeczny dla całego otoczenia człowiek. Takim też został w naszej pamięci. Wiosną 1979 roku odszedł do Krainy Wiecznych Łowów. Tradycje ojca i dziada przejął najstarszy syn Roman, kolejny leśnik w rodzinie.

Leśnictwo Sucha prowadził Bogusław Jeszke, pochodzący z tego regionu przedwojenny leśniczy, absolwent Margonina. Był znakomitym fachowcem i organizatorem, a przy tym przełożonym bardzo wymagającym i drobiazgowo dokładnym. Nic więc dziwnego, że Leśnictwo Sucha zawsze było wzorem dla innych, a leśniczy zbierał zasłużone pochwały. Sam Boguś występował zawsze z wielką godnością i powagą, umiał też być towarzyski i pogodny. Był ogólnie szanowany, liczono się z jego zdaniem, zawsze też zastępował nadleśniczego podczas jego wyjazdów, urlopów itp. Był również dobrym, etycznym myśliwym o starych, doświadczeniem ugruntowanych zasadach. Nie ma już dzisiaj w ogóle ludzi tego pokroju, którzy potrafili łączyć wysoki poziom wiedzy fachowej z wielkim poczuciem odpowiedzialności i ambicją zawodową. Ożeniony z wdową po sekretarzu sąsiedniego Nadleśnictwa Wierzchlas, który został rozstrzelany przez Niemców w 1939 roku, razem prowadzili gościnny dom i dość często odwiedzaliśmy się wzajemnie. Zmarł na emeryturze w Koronowie w końcu lat siedemdziesiątych.

W Leśnictwie Bruchniewo urzędował pochodzący z Poznańskiego Aleksander Rękosia, który na tym stanowisku pozostawał nieprzerwanie od 1918 roku. Stanowił bardzo ciekawy typ człowieka posługującego się niemal całkowicie tylko wiedzą praktyczną, własnym doświadczeniem i sprytem życiowym. Te walory pozwalały mu prowadzić dość trudne leśnictwo i z każdych kłopotów wybrnąć, co nierzadko miało miejsce, jako że lubił od czasu do czasu zajrzeć do kielicha. Wobec dokumentacji (obliczenia zarobków, wykazy drewna, sprawozdania itp.) bywał bezradny. Z czasem zyskał we mnie wiernego pomocnika w tych sprawach, za co się rewanżował pomagając mi w zwózce siana z łąki, drewna na opał itp., posiadał bowiem dwa dobre konie i furmana (Łotysza zbiegłego z niewoli, któremu zapewnił trwały azyl w leśniczówce). Aleksander był człowiekiem nadzwyczaj towarzyskim, uczynnym i szczerym. W czasie wojny stracił dwóch synów, pozostała mu tylko córka - "oczko w głowie". Żona ustawnie chorowała, zmarła w latach sześćdziesiątych. Ożenił się ponownie i zmarł na emeryturze w Zamościu koło Rynarzewa w domu swej drugiej żony w roku 1970.

Julian Chład był leśniczym w Leśnictwie Sielanka. Piękne to leśnictwo i z nazwy i z położenia wzdłuż malowniczej rzeki Brdy, jak również ze wspaniałych drzewostanów. Julcio Chład pochodził spod Częstochowy, ukończył przed wojną Szkołę Leśną w Cieszynie, następnie pracował w różnych lasach, w tym też w Białowieży. Obdarzony zawsze dobrym humorem i sarmacką fantazją, bywał duszą towarzystwa. Potrafił z zacięciem i swadą opowiadać swe przeżycia, z zapalem bawił damy, tańczył wspaniale, a i od kielicha nie stronił. Wszędzie bywał serdecznie i z radością podejmowany. Dobry myśliwy, posiadał rzadką wówczas umiejętność wygrywania na trąbce sygnałów łowieckich, więc jako trębacz był zapraszany na reprezentacyjne polowania do innych nadleśnictw naszej dyrekcji. Byliśmy długo w kontakcie z sobą. Julek zmarł w roku 1992 na emeryturze we wsi Sucha opodal Sielanki, w domu, który sobie tam wybudował.

No i ostatnie, szóste Leśnictwo Branica, gdzie był początkowo awansowany z gajowego leśniczy Modrakowski. Po paru latach przeniesiono go w inne strony, a Leśnictwo objął Janusz Szymanowski i od wtedy przestałem być najmłodszy w tym gronie, gdyż Janusz jest o całe cztery lata młodszy ode mnie. Człowiek to energiczny, z wielką pasją do łowiectwa i motoryzacji. Jako pierwszy sprawił sobie motocykl, kilkakrotnie zmieniał te pojazdy, w końcu nabył samochód. Z uwagi na oddalenie jego leśnictwa od naszej "bazy" dobry środek komunikacji był mu niezbędny. Hodował też z zamiłowaniem dobre psy dzikarze. Przeżyliśmy razem wiele przygód łowieckich. Zżyliśmy się z sobą i przyjaźń ta pozostała do dzisiaj. Odwiedzałem Państwo Szymanowskich dość często, jeszcze w latach osiemdziesiątych, gdy był nadleśniczym terenowym w Wierzchlesie i jeździłem tam na łowy do obwodu będącego pod zarządem naszej dyrekcji. Nie pracuje już, osiedlił się w Tucholi.

Poświęciłem nieco miejsca kolegom, z którymi przez 19 lat współpracowałem codziennie, i którzy byli mi bliscy jak bracia. Łączyły nas - oprócz pracy - wspólne troski i radości, wspólne przeżycia ze strzelbą w kniei i z kielichem przy stole. Pomagaliśmy sobie wzajemnie i zawsze mogliśmy na siebie liczyć. Należy się więc im chociaż to krótkie wspomnienie. (...)

Michał Sokołowski

Z PERSPEKTYWY WIEKU

Gdy z perspektywy przeżytego całego już prawie wieku (mam 94 lata) spojrzę na drogę, która wiodła mnie przez te przeróżne krainy i miejsca, widzę za sobą szmat czasu, wrażeń i przeżyć, wycinek fragmentów historii ojczystego Kraju, jego lasów oraz ludzi związanych ze mną zawodem, przyjaźnią, wspólną troską o trwałość skarbów naszej przyrody. Składam cześć Braci Leśnej!

Patrzę na mnie oczy Ojca, zasłużonego leśnika z rodzinnej leśniczówki w Korzeniu (Nadleśnictwo Łąck na Mazowszu Półkiem), dzięki któremu las stał się treścią mojego życia. Z mroków pamięci wyłaniają się obrazy Korzeńskiego Lasu, Lasów Duninowskich i najlepiej mi znanych kniej Kociewia, Borów Tucholskich, Wielkopolskich Pałuk i Pojezierza Brodnickiego. Okresowe pobyty na tak rozległym obszarze dawały mi niecodzienną sposobność poznawania drzewostanów i zespołów leśnych, rosnących w nieco odmiennych warunkach klimatycznych, siedliskowych i biocenotycznych. Były to okoliczności nadzwyczaj cenne i pomocne w mojej pracy terenowej.



Inżynier Michał Sokołowski, rok 2009.
Fot. Tadeusz Chrzanowski

Równie cenne były dla mnie obserwacje folkloru mieszkańców tych ziem: Kociewiaków, Borowiaków, Kaszubów, Pałuczan... Różnili się charakterystyką zdobnictwa, strojami, tradycjami, obyczajami, nawet gwarą. Nie sposób było przejść obok tych skarbów bez utrwalenia ich w sercu i pamięci...

Nie byłbym sobą, gdybym przy okazji tych zwierzeń nie dotknął też romantycznej strony naszego zawodu, która – jak każdemu leśnikowi – towarzyszyła mi przez lata na co dzień. Wszak inaczej widzi się i odczuwa w przyrodzie nastrój i czar każdej nastającej pory roku. Te przeżycia pozostają w pamięci, mimo że leśnicy na ogół niewiele o tym mówią, boć to dla nas banał, „chleb powszedni”. Lecz tym razem nie chciałbym tego pominąć.

Innych, lecz może jeszcze mocniejszych wrażeń, doznawałem wobec śmierci drzewa. Następowala zawsze tak samo: trzask odrywającej się od pnia kolumny stuletniej sosny, szum gałęzi padającej korony, jęk uderzenia kolosa o ziemię i jakby westchnienie pożegnania... Cichnące echo i... żal, że tuż obok skończyło się wspaniałe życie... Zawsze robiło to na mnie wielkie wrażenie. Nie dziwota więc, że jak mogłem, unikałem asystowania przy tych dramatach. A jakże często trzeba było być przy tym!

Na terenie lasów Toruńskiej Dyrekcji zostawiłem 39 lat swego dorosłego życia, z czego 30 lat w służbie terenowej i 9 lat za oknem gmachu Dyrekcji w Toruniu, przy ulicy Mickiewicz 9, „Pod Niedźwiedziami”. Wspomnienia swoje z minionych czasów zawarłem w pracy pt. „Przeżyłem z lasem tyle lat...” przygotowanej w roku 1996 na konkurs literacki Polskiego Towarzystwa Leśnego. Praca ta była swego czasu publikowana w kwartalniku „Biuletyn Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu”. Obecna, książkowa edycja tego opracowania jest dla mnie największym wyróżnieniem. Dedykuję ją rodzinie, przyjacielom, leśnikom, a także pamięci nieobecnych już najbliższych mi Kolegów w pracy i życiu, niezadługo do nich dołączę. Wszakże i tam, w Krainie Wiecznych Kniej leśnicy są – ponoć – też potrzebni!

Michał Sokołowski

Toruń, we wrześniu 2018 roku



INDEKS BIOGRAFICZNY

leśników regionu kujawsko-pomorskiego

**poległych i pomordowanych
w latach 1939-1956**

Leśnicy regionu kujawsko-pomorskiego, polegli i pomordowani w latach 1939-1956

Dyrekcja Lasów Państwowych w Toruniu została utworzona w 1925 roku. W blisko stoletniej już historii Lasów Państwowych kilka pokoleń leśników z dobrą znajomością leśnej profesji i poświęceniem wynikającym z wielkiego umiłowania lasu wypełniało swoją służbę na rzecz ojczystej przyrody.

Największą próbą, wymagającą często ofiary życia, był czas II wojny światowej, kiedy las stał się miejscem schronienia i organizacji skutecznego oporu narodu polskiego, a sami leśnicy poważną przeszkodą w zaborczych planach okupantów. Ci leśnicy – jako jednolita, umundurowana, dobrze wykształcona grupa zawodowa, ludzie głębokiego patriotyzmu – traktowani byli zarówno przez Niemców, jak i Sowietów ze szczególną bezwzględnością. Tylko na terenie zarządzanym dzisiaj przez Regionalną Dyрекję Lasów Państwowych w Toruniu zginęło w latach 1939-1956, co najmniej 148 leśników. Jest w tej grupie 11 pracowników szczebla Dyrekcyj, w tym – co trzeba podkreślić – dyrektor w Toruniu w latach 1925-1932, Teofil Lorkiewicz, który zginął w pierwszych dniach Powstania Warszawskiego. Zginęło też 19 nadleśniczych, 96 leśniczych i podleśniczych oraz 22 gajowych. To ogromny wyłom w kadrach nadzorujących lasy polskie w regionie kujawsko-pomorskim. Potrzeba było dziesiątków powojennych lat, które zresztą łatwe dla leśników nie były, by odbudować dobrze wykształcone kadry Lasów Państwowych.

Autorzy opracowania:

Tadeusz Chrzanowski, Michał Sokołowski

(we wrześniu 2005 roku, ze zmianami w październiku 2018 roku)

Objaśnienia skrótów stosowanych w tekście:

Biuletyn RDLP - Biuletyn Regionalnej Dyrekcyj Lasów Państwowych w Toruniu (biuletyn wewnętrzny, kwartalnik, dostępny też na stronie www.torun.lasy.gov.pl, od 2013 roku ukazuje się pod tytułem „Życie Lasów Kujawsko-Pomorskich”; **LP** - Lasy Państwowe; **L-ctwo** - Leśnictwo; **N-ctwo** - Nadleśnictwo; **MP** - Miejsce Pamięci; **RDLP** - Regionalna Dyrekcyj Lasów Państwowych (określenie aktualne), **Źr.** - Źródło informacji, według spisu tytułów i pozycji podanych na końcu rozdziału.

ZGINĘLI Z RĄK NIEMIECKICH

A

Andrzejewski Feliks, żył 30 lat, leśniczy w lasach prywatnych majątku Samostrzel. Zamordowany we wrześniu 1939 przez Selbstschutz w Sipiorach. MP: N-ctwo Szubin – Sipiory. *Źr.*: 2, 3, 6, 7, 17.

B

Balawelder Artur, żył 51 lat, ur. 8.07.1888 we Lwowie, sekretarz N-ctwa Runowo. Zamordowany przez Selbstschutz w drodze powrotnej z ewakuacji, w Nowej Wsi Wielkiej pod Bydgoszczą, 11.10.1939. MP: Leszyce. *Źr.*: 1, 2, 4, 6, 7, 9, 10, *Biuletyn RDLP w Toruniu* nr 4/2008.



Bartol Józef, żył 50 lat, ur. 17.01.1889 w Chłudowie, pow. Poznań, leśniczy L-ctwa Łochowo w N-ctwie Bydgoszcz, powstańca wielkopolski, aresztowany przez Selbstschutz w Rynarzewie, więziony, katuszony i rozstrzelany w więzieniu gestapo w Bydgoszczy 15.09.1939. MP: Leszyce. *Źr.*: 1, 2, 3, 4, 6, 7, 9, 10, 17, „*Życie Borów Pomorskich*” nr 3/1945.



Belczewski Jan, żył ok. 48 lat, ur. 20.01.1896, leśniczy L-ctwa Sobiny w N-ctwie Osie. Zginął w czasie wojny w niewyjaśnionych okolicznościach, około 1944. *Źr.*: 19, *Relacja córek leśniczego Konrada Bociana – Elżbiety, Marii i Haliny z Osia*, *Biuletyn RDLP* nr 1/2009.

Berwid Jan, żył 67 lat, ur. 15.05.1872, emerytowany nadleśniczy ze Skłudzewa (lasów

prywatnych – Zarząd Dóbr hr. Stadnickiego w Krysowicach), później leśniczy w N-ctwie Lidzbark i pracownik Dyrekcji LP w Toruniu. Zamordowany w zbiorowej egzekucji na Barbarce koło Torunia 21.10.1939. MP: Barbarka. *Źr.*: 2, 3, 6, 7, 10, 17, *Akta osobowe w RDLP w Toruniu*.

Bielowski Witold, żył 46 lat, ur. 20.03.1893 w Miechowej na Wołyniu, absolwent Wyższej Szkoły Lasowej we Lwowie, nadleśniczy N-ctwa Przewodnik. Rozstrzelany z wyroku niemieckiego sądu wojskowego 28.10.1939 w lesie koło Płochocina, N-ctwo Dąbrowa. MP: Krzyż i kamień z tablicą w L-ctwie Płochocin. W dniu 27.10.2001. Gimnazjum Publiczne w Warlubiu przyjęło imię Witolda Bielowskiego. *Źr.*: 1, 2, 4, 6, 7, 8, 9, 10, 17, 19, „*Życie Borów Pomorskich*” nr 3/1945 i „*Biuletyn RDLP w Toruniu*” nr 4/17 z 2001.



Bińczyk Jan ps. Zagłoba, żył 42 lata, ur. 26.12.1900 w Borowym Młynie koło Chojnic, leśniczy L-ctwa Młynek, N-ctwo Łaska, komendant Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski” na powiat chojnicki.

Ranny podczas oblawy w Leśnictwie Młynek 4.05.1943, aresztowany i zamordowany przez gestapo w Gdańsku 20.05.1943. MP: Cmentarz Wojenny w Brusach oraz Tablica Pamiątkowa przy leśniczówce Młynek, N-ctwo Przymuszewo. *Źr.*: 1, 2, 6, 7, 8, 10, 16, 17, 19, *Biuletyn RDLP* nr 3/2008.



Bocian Konrad, żył 51 lat, ur. 9.02.1893 w Osiu, emerytowany leśniczy administracyjny N-ctwa Osie, aresztowany i zamordowany wraz z żoną Leokadią przez Niemców w lesie pod Osiem, w październiku 1944, grobu nie odnaleziono. *Źr.: 1, Relacja córek leśniczego Bociana – Elżbiety, Marii i Haliny z Osia, Biuletyn RDLP nr 1/2009.*



Breier Franciszek, żył 54 lata, ur. 5.06.1885, leśniczy L-ctwa Sarnia Góra w N-ctwie Sarnia Góra. Zginął na terenie Niemiec w nieustalonych okolicznościach w 1939. *Źr.: 1, 2, 6, 7, 8, 10, 17, 19.*



C

Ciećwierski Józef, żył 44 lata, ur. 27.01.1895, gajowy z Osieka, pow. Rypin (lasy prywatne). Aresztowany przez Niemców 19.10.1939, zamordowany w więzieniu w Rypinie. *Źr. 7.*

Ciesielski Józef, żył 64 lata, leśniczy w L-ctwie Oburznia, N-ctwo Łabiszyn, wcześniej (1933) w N-ctwie Osieczna. Zamordowany w więzieniu w Inowrocławiu. *Źr.: 1, 6, 7, 17.*

Cwojda Czesław, żył 31 lat, leśniczy administracyjny w N-ctwie Nakło. Żołnierz września 1939. Żołnierz AK. Zamordowany w obozie Żabikowo koło Poznania w 1944. *Źr.: 2, 6.*



Czechowski Eugeniusz, żył 39 lat, ur. 7.10.1900, nadleśniczy N-ctwa Dębowo, pow. Świecie, absolwent Wydziału Rolniczo-Leśnego Uniwersytetu Poznańskiego, aresztowany przez Niemców 24.09.1939, zamordowany w Lesie Szpegawskim w zbiorowej egzekucji, 15.11.1939, *Źr.: 1, 9, 19, 27.*

Czwojda Józef, żył 38 lat, ur. 3.07.1901, leśniczy z Cichoradza (lasy prywatne). Aresztowany przez Selbstschutz 05.10.1939, więziony w Forcie VII w Toruniu, zamordowany w egzekucji zbiorowej w lesie na Barbarce w październiku 1939. MP: Barbarka. *Źr.: 2, 6, 7, 10, 17.*

D

Dębicki Mieczysław, referent w DLP w Toruniu. Po 1939 deportowany do ZSRR, żołnierz II Korpusu. Poległ w bitwie pod Monte Casino w maju 1944. *Źr.: 2, 6.*

Drzazgowski Czesław, żył 30 lat, ur. 19.07.1909, leśniczy L-ctwa Rosochatkaw N-ctwie Lipowa, wcześniej (1933) w N-ctwie Rytel, powołany do Wojska Polskiego 23.08.1939, poległ na froncie 17.09.1939. *Źr.: 1, 19.*

Dulski Stanisław, leśniczy w N-ctwie Żołędowo, pow. Bydgoszcz. Zginął w okolicach Grójca. Żołnierz Armii Krajowej. Bliższych informacji brak. *Źr.: 1, 2, 6.*

Dutkiewicz Norbert, żył 45 lat, ur. 6.06.1898, nadleśniczy „Nadleśnictwa Pieńkowo” w lasach prywatnych w Kamienicy koło Tucholi. Aresztowany przez gestapo 25.08.1943 w Kamienicy, więziony w Bydgoszczy, wysłany do obozu zagłady Auschwitz i tam zamordowany 29.10.1943. *Źr.: 2, 6, 8.*

E

Erdman Kazimierz, żył 22 lata, ur. 24.11.1920 w Wilczymgardle, pow. Bydgoszcz, leśniczy z Jastrąbką, L-ctwo Kamionka, N-ctwo Lutówko. Aresztowany przez gestapo 30.10.1941 w Baranowie, pow. Przasnysz,

wieziony w Ostrołęce, później w Królewcu, gdzie został zamordowany 16.11.1942. *Źr.: 7, 16.*

F

Freitag Karol, żył 42 lata, nadleśniczy w lasach prywatnych koło Skrwilna. Zamordowany w niemieckim obozie koncentracyjnym Dachau w listopadzie 1940. *Źr.: 2, 7, 8, 17.*

Freier (Frajer) Artur, żył 36 lat, ur. 1.02.1903, leśniczy L-ctwa Sobieńczyce w N-ctwie Góra (wcześniej w N-ctwie Sarnia Góra w Borach Tucholskich). Zamordowany przez Niemców w Piaśnicy koło Wejherowa jesienią 1939. *Źr.: 1, 2, 4, 7, 9, 10, 17, 19.*



G

Galas Henryk, żył ok. 28 lat, ur. w 1912 w Brodnicy, inż. leśnik, taksator biura urządzania lasu w Dyrekcji LP w Toruniu. Żołnierz września 1939. Członek podziemnej organizacji konspiracyjnej w Grudziądzu. Aresztowany przez Niemców i zamordowany w obozie w Stutthofie w 1941 (informacja brata Bronisława Galasa, patrz poz. 2). Według Sokołowskiego W. (poz. 27) zginął w kampanii wrześniowej 1939. *Źr.: 2, 6, 7, 27.*

Gawin Piotr, żył 44 lata, ur. 17.10.1895 w Olszynie, pow. Chojnice, leśniczy L-ctwa Chłopigost, N-ctwo Runowo. Zamordowany przez Selbstschutz wraz z leśnikami Arturem Balawelderem i Janem Szymankiem w czasie powrotu z ewakuacji, w Nowej Wsi Wielkiej koło Bydgoszczy 11.10.1939.



MP: Leszyce. *Źr.: 1, 2, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 17, „Życie Borów Pomorskich” nr 3/1945, Biuletyn RDLP nr 4/2008.*

Górski Franciszek, żył 64 lata, ur. 3.12.1876 w Kórniku w Wielkopolsce, absolwent Akademii Leśnej w Tharandcie, nadleśniczy lasów prywatnych w Łabiszynie (Nadleśnictwo Kąpie), a później zarządca dyrektora majątku Skórzewskich z Lubostronia. Aresztowany przez Niemców w październiku 1939, osadzony w obozie koncentracyjnym Mauthausen, gdzie zginął 13.07.1941. *Źr.: 2, 24.*



Gról Feliks, żył 46 lat, ur. 1.01.1893, leśniczy (lasów prywatnych?) z Dobromierza, pow. Bydgoszcz. Zamordowany przez miejscowych Niemców z Selbstschutzu w lesie w Dobromierzu 1.10.1939. MP: Leszyce. *Źr.: 2, 7, 8, 10, 17.*

Grzenkowicz Józef, żył 45 lat, ur. 3.04.1896 w Nowej Hucie, powiat Kartuzy, podleśniczy w N-ctwie Sarnia Góra. Aresztowany przez gestapo w marcu 1940. Zamordowany w więzieniu w Królewcu 6.05.1941. *Źr.: 1, 2, 6, 7, 10, 17, 19.*



Grzonkowski Dominik, żył 45 lat, ur. 31.10.1899, leśniczy L-ctwa Buczkowo, N-ctwo Ruda. Poległ w walce z obławą żandarmów niemieckich w lesie Ruda 4.12.1944 działając w składzie oddziału



grupy desantowej WP „Pomorze”. MP: N-ctwo Brodnica – Fiałki. Źr.: 1, 2, 6, 7, 8, 10, 17, 19 oraz *Wojskowy Przegląd Historyczny nr 2/57 z 1971, Biuletyn RDLP nr 5/2003*.

Gulgowski Albin, żył 43 lata, ur. 14.06.1900, leśniczy L-ctwa Rytebłota w N-ctwie Zbiczno. Zamordowany w niemieckim obozie koncentracyjnym Dachau w 1943. Źr.: 1, 2, 4, 9, 19.

H

Harmaciński Franciszek, żył 47 lat, leśniczy L-ctwa Zielonowo, N-ctwo Nakło. Zamordowany przez Niemców 17.10.1939 na cmentarzu żydowskim w Szubinie. Źr.: 1, 2, 6, 7, 8, 10.

Hlebowicz Anatol, żył 40 lat, ur. ok. 1899, leśniczy, zmobilizowany do WP, brał udział w kampanii wrześniowej, zginął w starciu z Niemcami w Wólce Orłowskiej blisko Krasnegostawu 19.09.1939. Pochowany na cmentarzu parafialnym w Krasnymstawie, w kwaterze wojskowej. Źr.: *Adam Hlebowicz w Biuletynie RDLP w Toruniu nr 1-2/2016*.



Hlebowicz Jerzy, żył 38 lat, ur. w 1904, leśniczy (1939), wcześniej (1933) w Nadleśnictwie Świekatówko. Zmobilizowany do Wojska Polskiego w sierpniu 1939. Deportowany przez NKWD z Porzecza na Grodzieńszczyźnie, razem z żoną Aliną i jej matką Marią Długopolską. Osadzeni w Stiepanowce, powiat Kizielewski, obwód permski. Pracował przy wyrębie lasu. Po podpisaniu układu Sikorski-Majski zwolniony z łagru. Wyszedł z ZSRR



z Armią Andersa. Schorowany, wycieńczony zmarł w Teheranie 27.08.1942 i tam został pochowany. Źr.: 1, *Adam Hlebowicz w Biuletynie RDLP w Toruniu nr 1-2/2016*.

I

Idzikowski Stanisław, żył 52 lata, ur. 8.05.1887, leśniczy L-ctwa Jazy w N-ctwie Kowal pod Włocławkiem. Zamordowany 31.10.1939 w lesie Widon, N-ctwo Kowal. Źr.: 1, 2, 6, 7, 10, 19.

J

Jabłoński Michał, żył 72 lata, emerytowany leśniczy lasów prywatnych w majątku Tupadły, powiat Nakło oraz jego żona Jabłońska Marcjanna, lat 63 i córka Jabłońska Regina lat 34 – to ofiary zbrodni dokonanej 10.09.1939 na polu w pobliżu leśniczówki Tupadły przez trzech członków Selbstschutzu o nazwiskach Kratsch, Seidel i Lamke. MP: N-ctwo Szubin, L-ctwo Tupadły. Źr.: 6, 7, 10, *Biuletyn RDLP nr 4/2005*.



Jakubowski Marcei, żył 52 lata, leśniczy L-ctwa Łysinin, N-ctwo Szczepanowo. Zamordowany w obozie koncentracyjnym Mauthausen - Gusen 18.12.1940. Źr.: 1, 7, 10.



Janas Leon, żył 34 lata, gajowy w L-ctwie Świdwie, N-ctwo Runowo. Zamordowany 2.11.1939 w lesie koło Karolewa, pow. Sępólno. Źr. 2.

Jędrzejewski Mieczysław, żył 31 lat, leśniczy L-ctwa Rykowisko, N-ctwo Wierzchlas. Zamordowany w egzekucji zbiorowej w Rudz-

kim Moście koło Tucholi w listopadzie 1939. MP: Rudzki Most koło Tucholi. *Źr.: 1, 4, 7, 9, 10, 16, Biuletyn RDLP nr 4/2005.*

Joachimiaak Stanisław, żył 60 lat, leśniczy L-ctwa Wysoki Most, N-ctwo Miradz. Zamordowany przez Niemców, w lesie 30.12.1944. *Źr.: 1, 28.*

K

Kaczyński Paweł, żył 22 lata, leśniczy sekretarz w N-ctwie Leszyce. Zamordowany przez miejscowych Niemców Paula Mahl-zahna i Aleksa Vitta z Selbstschutzu w lesie pod Leszycami, we wrześniu 1939. MP: Leszyce. *Źr.: 4, 6, 7, 8, 9, 10, „Życie Borów Pomorskich” nr 3/1945, Biuletyn RDLP nr 4/2008.*



Kalinowski Antoni, żył 39 lat, gajowy w lasach prywatnych w Jeleńcu, pow. Rypin. Rozstrzelany przez żołnierzy niemieckich 9.09.1939. *Źr. 7.*

Kamiński Konstanty, żył 43 lata, ur. 11.03. 1896, absolwent Wydziału Leśnego SGGW w Warszawie, nadleśniczy N-ctwa Woźnawoda. Zamordowany w egzekucji zbiorowej w Rudzkim Moście koło Tucholi 30.09. 1939. MP: Rudzki Most koło Tucholi. *Źr.: 1, 6, 7, 8, 10, 17, 19.*



Kamiński Walenty, żył 48 lat, ur. 14.02. 1896, leśniczy L-ctwa Spierwia, N-ctwo Giełdon. Zmarł 20.03.1944, po zwolnieniu z niemieckiego więzienia w Chojnicach, na skutek obrażeń, doznanych tortur, choroby i wyczerpania. MP: Kamień z tablicą przy

leśniczówce Okręglik w Giełdonie na terenie N-ctwa Czersk. *Źr.: 1, 4, 6, 7, 16, 19, Relacja syna Stanisława Kamińskiego z 2006.*



Kandyński Izydor, leśniczy w N-ctwie Szczepanowo. Zginął w okolicach Krakowa podczas ewakuacji, jesienią 1939. *Źr.: 6, 11.*

Karasiewicz Mieczysław, żył 55 lat, ur. 18.12.1888, leśniczy L-ctwa Piwnice w N-ctwie Popioły pod Toruniem, aresztowany 25.08.1944 przez Niemców za ukrywanie broni i współpracę z polskim podziemiem niepodległościowym, osadzony jako więzień polityczny nr obozowy 98 955 w KL Stutthof, gdzie zmarł z wycieńczenia 17.01.1945. *Źr.: 1, 19, Informacja wnuczki leśniczego - Krystyny Buczkowskiej z 2008.*



Kaźmierczak Wincenty, leśniczy w N-ctwie Lutówko, wcześniej (1933) w innych nadleśnictwach na terenie Dyrekcji LP w Poznaniu. Zamordowany przez Niemców podczas egzekucji zbiorowej jesienią 1939. *Źr.: 1, 7.*



Kaźmierski Józef, żył 42 lata, leśniczy lasów prywatnych, zamieszkały w Radzynie, pow. Grudziądz. Zamordowany w obozie w Stutthofie w 1944. Szczegółów brak. *Źr. 7.*

Kijek Marian, żył 32 lata, ur. 26.08.1907 w Bobrownikach w Wielkopolsce, leśniczy sekretarz N-ctwa Dębowo, pow. Świecie. Członek Polskiego Związku Zachodniego. Aresztowany przez gestapo, razem z nadleśniczym Czechowskim. Więziony na zamku w Gniewie. Rozstrzelany w zbiorowej egzekucji w Lesie Szpegawskim, 15.11.1939. *Źr.: 1, 7.*



Knitter Jan, leśniczy L-ctwa Wolność w lasach miejskich w Chojnicach. Zamordowany w obozie w Stutthofie 19.06.1943. *Źr.: 6, 16.*

Kociemski Wincenty, żył 50 lat, leśniczy lasów prywatnych L-ctwa Lasek koło Oburzeni i jego siostra: Kociemska Stanisława – żołnierze AK, aresztowani za posiadanie broni, zamordowani w obozie w Żabikowie koło Poznania w listopadzie 1944. *Źr.: 6, 7, 10, 17.*

Krakowski Jan, żył ok. 38 lat, gajowy w lasach prywatnych w Okalewie. Zamordowany w obozie koncentracyjnym w Mauthausen. Brak danych odnośnie daty i okoliczności śmierci. *Źr.: 6, 8, 17.*

Krzyżanowski Szczepan, żył 52 lata, ur. 21.12.1887, gajowy w Teląźnie Leśnej, N-ctwo Kowal. Rozstrzelany jesienią 1939. Brak danych odnośnie okoliczności śmierci. *Źr.: 6, 7, 10, 17, 19.*

Kudłowicz Mikołaj, żył 37 lat, ur. 23.07.1902, absolwent Wydziału Rolniczo-Leśnego Uniwersytetu Poznańskiego, nadleśniczy N-ctwa Giełdon. Zamordowany przez Maksa (Józefa) Podolskiego z Męcikała w le-



sie w tzw. Babim Dole koło Męcikała, pow. Chojnice 19.09.1939. MP: Grób na Cmentarzu Wojennym w Brusach, Kamień z tablicą przy leśniczówce Okręglik w Giełdonie na terenie N-ctwa Czersk. *Źr.: 1, 4, 6, 7, 9, 10, 16, 19, 27, Relacja Stanisława Kamińskiego z 2006.*

Kuligowski Stanisław, żył 33 lata, ur. 12.11.1906, dozorca leśny-gajowy w N-ctwie Lipno. Zamordowany jesienią 1939. Brak innych danych. *Źr.: 6, 7, 19.*

L

Latawiec Marian, żył 52 lata, ur. 14.08.1892 w Rzęczy, pow. Przemysł, leśniczy L-ctwa Dąbki w N-ctwie Gniewkowo. Aresztowany w Gniewkowie 14.12.1943, zamordowany w obozie Leitmeritz koło Pragi w lutym 1945. MP: Dąbki koło Gniewkowa. *Źr.: 1, 2, 4, 6, 7.*



Lewandowski Stanisław, żył ok. 40 lat, leśniczy w N-ctwie Osiek koło Torunia. Więziony w obozie koncentracyjnym Dachau, a następnie w obozie w Oranienburgu, gdzie zmarł w 1943. *Źr.: 1, 6.*



Lorkiewicz Teofil, żył 59 lat, ur. 1.03.1885 w Pobiedziskach w Wielkopolsce, dyrektor Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu w latach 1925-1932, dyrektor DLP w Poznaniu w latach 1932-1939. Szef Wydziału Leśnictwa



w Delegaturze Rządu RP na Kraj, przewodniczący Rady Głównej Leśnictwa. Aresztowany i rozstrzelany przez Niemców po wybuchu Powstania Warszawskiego 3.08.1944. MP: Obelisk przy siedzibie Dyrekcji LP w Toruniu. *Źr.: 1, 2, 9, 25, Biuletyn RDLP nr 1/2007.*

Lubniewski Adam, gajowy w lasach prywatnych w Okalewie, pow. Rypin. Rozstrzelany przez Niemców we wrześniu 1939. *Źr.: 2, 6.*

Lux Władysław, żył 59 lat, absolwent Krajowej Szkoły Gospodarstwa Lasowego we Lwowie (1905), inspektor w Dyrekcji LP w Toruniu. Aresztowany w Toruniu jesienią 1939. Uwieczony i zamordowany w obozie koncentracyjnym w Oranienburgu w 1940. *Źr.: 1, 2, 4, 6, 7, 9, 10, 17, Akta osobowe w RDLP Toruń.*

M

Machuta Franciszek, żył 30 lat, ur. 29.03.1909, leśniczy administracyjny w N-ctwie Konstancjewo. Aresztowany i zamordowany przez Niemców z Selbstschutzu jesienią 1939, prawdopodobnie w zbiorowej egzekucji w Łopatkach koło Wąbrzeźna. MP: Łopatki Polskie pod Wąbrzeźnem. *Źr.: 1, 6, 7, 10, 17, 19.*



Majewski Bolesław, żył 49 lat, kierownik Gospodarstwa Łąkowego w Czersku. Zamordowany w obozie koncentracyjnym w Dachau w 1942. *Źr.: 6, 7, 10, 16, 17.*

Makowski Stanisław, żył 32 lata, ur. 3.05.1912, gajowy z Dobrzejewic w N-ctwie Lipno. Aresztowany przez Niemców, więziony w obozie koncentracyjnym Stutthof. Zmarł z wycieńczenia i chorób wkrótce po powrocie z obozu. *Źr.: 2, 6, 7, 17, 19, Biuletyn RDLP w Toruniu nr 1/2017.*

Malinowski Czesław, żył 35 lat, ur. 4.09.1906, leśniczy L-ctwa Pieczenia w N-ctwie

Popioły, tuż przed wojną leśniczy-sekretarz w N-ctwie Wejherowo. Aresztowany wraz z żoną, zastrzelony przez żandarmów niemieckich na ulicy we Włocławku podczas próby ucieczki z konwoju 6.11.1941. *Źr.: 1, 2, 6, 7, 10, 17, 19, Biuletyn RDLP nr 2/2005.*



Mechliński Norbert, żył 44 lata, ur. 4.06.1900, leśniczy L-ctwa Ulricy (obecnie Zarosłe) N-ctwo Jamy. Rozstrzelany w miejscowości Księża Góry koło Grudziądza 17.01.1945. *Źr. 1, 6, 7, 12, 19.*

Meller Franciszek, żył 26 lat, ur. 13.03.1913 w Glinie Wielkim, pow. Inowrocław, leśnik w lasach prywatnych koło Samostrzela. Zamordowany w Lesie Szczepickim przez Selbstschutz jesienią 1939. *Źr.: 6, 7, 10.*

Meller Franciszek II, żył 72 lata, ur. 7.01.1867, emerytowany leśniczy w lasach prywatnych w Pęperzynie, pow. Sępólno. Zamordowany przez Selbstschutz w lesie w Karolewie 31.10.1939. *Źr.: 7, 10.*

Mieczkowski Eugeniusz, żył 62 lata, ur. 21.05.1881, leśnik w lasach prywatnych (lub miejskich?), zamieszkały w Toruniu. Aresztowany i zamordowany przez Niemców w więzieniu w Bydgoszczy 14.01.1943. *Źr. 7.*

Mitula Władysław, żył 46 lat, leśniczy L-ctwa Oćwieka, N-ctwo Gołębki. Aresztowany przez Niemców 4.05.1940. Więziony w obozie koncentracyjnym Mauthausen, a następnie Mauthausen-Gusen, gdzie został zamordowany 15.11.1941. *Źr.: 1, 2, 7.*



Młczoch Władysław, żył 43 lata, ur. 11.05. 1897 we Wróbliku Szlacheckim w Małopolsce, studiował w Wyższej Szkole Rolniczej (Hochschule für Bodenkultur) w Wiedniu, absolwent Wydziału Rolniczo-Leśnego Uniwersytetu Poznańskiego, kierownik Oddziału Urządzania Lasu w Dyrekcji LP w Toruniu. Zamordowany w obozie w Stutthofie około 1940. *Źr.: 1, 2, 4, 6, 7, 9, 10, 17, 19, 27, Las Polski nr 17-18/1991, Akta osobowe w RDLP w Toruniu.*



Mrzyk vel Mżyk Wiktor, żył 40 lat, ur. 7.10.1899, leśniczy lasów prywatnych w Solcu Kujawskim. Aresztowany przez Niemców we wrześniu 1939, przebywał w więzieniu w Bydgoszczy, sądzony, skazany na śmierć i rozstrzelany 17.11.1939. *Źr.: 2, 6, 7.*

Musiałowicz Marian, żył 42 lata, ur. 30.08. 1900 w Brzostowej, pow. Opatów, absolwent Wydziału Rolniczo-Leśnego Uniwersytetu Poznańskiego, pracował w Dyrekcji LP w Poznaniu, później w Nadleśnictwie Sieraków. Od 1937 do wybuchu wojny był nadleśniczym Nadleśnictwa Różanna. Deportowany przez Niemców na teren Generalnej Guberni do Opoczna, gdzie pracował jako inspektor leśny. Współpracował z polskim podziemiem niepodległościowym. Aresztowany przez gestapo w październiku 1942, poddany brutalnemu śledztwu w areszcie gestapo „Na Zapiecku” w Tomaszowie Mazowieckim, wkrótce zamordowany. Miejsce pochówku nieznane. *Źr.: 1, 27, Biuletyn RDLP w Toruniu nr 3/2018.*



Muszkiet Władysław, żył 27 lat, ur. 21.02.1912 w Brennie, pow. Sępólno, podleśniczy w N-ctwie Lutówko, zmobilizowany do Wojska Polskiego, brał udział w kampanii wrześniowej, zaginął we wrześniu 1939 jako żołnierz 3 Kompanii Obrony Narodowej w Tucholi. *Źr.: Informacja z 2013 od Wiesława Muszkiety.*



N

Nagiewicz Jan, żył 47 lat, gajowy w lasach prywatnych w Okalewie koło Rypina. Zamordowany w obozie koncentracyjnym Dachau w 1940 (wg innej wersji rozstrzelany we wrześniu 1939). *Źr.: 2, 6, 7, 10.*

Nestrent Michał, żył 50 lat, leśniczy lasów prywatnych z Solca Kujawskiego. Rozstrzelany na Wałach Jagiellońskich w Bydgoszczy 29.09.1939 (12.10.1939?) z wyroku niemieckiego sądu specjalnego za rzekomy udział w wydarzeniach tzw. krwawej niedzieli 3.09.1939 w Bydgoszczy. *Źr.: 2, 6, 7, 10, 17.*

Nowakowski Jan, leśniczy lasów prywatnych w Kamienicy koło Tucholi. Aresztowany przez członków Selbstschutzu Kurta Gehrta i Krygiera. Zamordowany w obozie przejściowym w Radzimi w jesienią 1939. *Źr.: 2, 6, 7, 10, 17.*

Nowosielski Stanisław, żył 42 lata, ur. 28.12. 1901, leśniczy-sekretarz N-ctwa Włocławek. Żołnierz września 1939, jeńiec wojenny w obozie w Duessel. Zmarł tam 27.09.1944 w wyniku obrażeń doznanych podczas nalotu alianckich sił powietrznych. *Źr.: 1, 2, 6, 19.*

Nych Michał, żył 28 lat, podleśniczy w N-ctwie Zamrzenica. Zamordowany podczas egzekucji zbiorowej w Rudzkim Moście koło

Tucholi w październiku 1939. MP: Rudzki Most koło Tucholi. Źr.: 2, 5, 6, 7, 27, *Biuletyn RDLP* nr 4/2005.



O

Ohl Zygmunt, żył 37 lat, ur. 2.08.1902 w Dąbrówce, pow. Świecie, absolwent Wydziału Rolniczo-Leśnego Uniwersytetu Poznańskiego, adiunkt leśny p.o. nadleśniczego N-ctwa Leszyce. Zamordowany przez Niemców z organizacji Selbstschutz w lesie koło Nowej Wsi Wielkiej 3.11.1939. MP: Leszyce. Źr.: 1, 2, 6, 7, 8, 9, 10, 17, *Życie Borów Pomorskich* nr 3/1945, *Biuletyn RDLP* nr 4/2008.

Ostojski Stefan Bronisław, żył 54 lata, ur. 5.07.1885 w Zabawie, pow. Śrem, leśniczy L-ctwa Biedaszkowo, N-ctwo Jachcice. Aresztowany przez Niemców, więziony w Bydgoszczy i zamordowany w nieustalonych okolicznościach we wrześniu 1939. MP: Leszyce. Źr.: 1, 2, 6, 8, 9, 10, 17.

P

Pasternacki Stanisław, żył 50 lat, gajowy w Cielętach koło Brodnicy, N-ctwo Mszano. Zamordowany w więzieniu w Koronowie 9.09.1942. Źr.: 7, 19.

Pawlicki Jan, żył 45 lat, gajowy w lasach prywatnych koło Zawiszyna. Zamordowany podczas egzekucji zbiorowej w miejscowości Glinno Wielkie 21.09.1939. Zbrodni dokonali członkowie Selbstschutzu: Max Becker, Hugo Zalewski i Erich Rosenke. Źr.: 2, 6, 7.

Pietrzak Feliks, gajowy z L-ctwa Nowa Wieś Wielka, N-ctwo Leszyce. Zamordowany na składnicy drewna w Nowej Wsi Wielkiej 1.10.1939. MP: Leszyce. Źr.: 2, 6, 7, 10, 17.

Polasik Wojciech, gajowy w lasach prywatnych koło Szubina. Zamordowany w obozie Błonie koło Inowrocławia. Brak danych odnośnie daty i szczegółów zbrodni. Źr.: 7.

Połom Józef, żył 49 lat, ur. 4.02.1890, kierownik tartaku z Wiela, pow. Chojnice. Zamordowany w okolicach Czerska koło Chojnic ok. 30.09.1939. Zbrodni dokonał członek Selbstschutzu Herman Henke z Karsina. Źr.: 7.

R

Reichelt Ludwik, żył 42 lata, leśnik lasów prywatnych ze Stobna, pow. Tuchola. Więziony w obozie w Radzimiru koło Sępólna, zamordowany prawdopodobnie w Rudzikim Moście koło Tucholi, jesienią 1939. MP: Rudzki Most koło Tucholi. Źr.: 5, 7.

Rogaliński Tadeusz, żył ok. 48 lat, leśniczy lasów miejskich (lub prywatnych?) z Bydgoszczy. Zamordowany w Bydgoszczy na ul. Gołębiej nr 35a, 10.09.1939. Źr.: 2, 6, 7.

Rychlicki Franciszek, żył 49 lat, ur. 10.10.1895, gajowy w L-ctwie Nowa Huta na terenie N-ctwa Przewodnik. Żołnierz AK. Zamordowany w lesie przez niemiecką jednostkę pacyfikującą Jagdkommando 18.11.1944.



Zwłok nie odnaleziono. Źr.: 2, 6, 7, 10, 19.

S

Senski Antoni, żył 40 lat, ur. 13.06.1900, gajowy w L-ctwie Klonia, N-ctwo Zamrzenia. Zamordowany w obozie koncentracyjnym Mauthausen-Gusen w końcu roku 1940 lub w styczniu 1941. Źr.: 7.

Serafin Jan, żył 53 lata, leśniczy w gospodarstwie łąkowym w Szczepicach koło Samostrzela. Zamordowany w Szczepicach jesienią 1939. Źr.: 6, 7, 10.

Sierosławski Bronisław, żył 49 lat, ur.

27.08.1890 w Szremawie, powiat Miechów, absolwent Wyższej Szkoły Rolniczej (Hochschule für Bodenkultur) w Wiedniu, nadleśniczy N-ctwa Osie. Aresztowany przez Niemców z Selbstschutzu 21.10.1939, więziony w szpitalu psychiatrycznym w Górnej Grupie koło Świecia. Zamordowany podczas zbiorowej egzekucji w Górnej Grupie-Mniszku, powiat Świecie, w październiku 1939. MP: Górna Grupa-Mniszek koło Świecia. *Źr.: 1, 2, 6, 7, 10, 19, Życie Borów Pomorskich nr 3/1945.*



Sobiech Stanisław, żył 46 lat, ur. w 1894, gajowy w lasach prywatnych majątku Okalewo w powiecie rypińskim. Aresztowany przez Niemców, uwięziony w obozie koncentracyjnym Dachau w 1940 i tam zginął. *Źr.: 6, 7, 10.*

Sroczyński Teodor, żył 29 lat, ur. 12.01.

1910, absolwent Wydziału Rolniczo-Leśnego na Uniwersytecie Poznańskim, adiunkt w Nadleśnictwie Kłosnowo, w sierpniu 1939. Zmobilizowany do Wojska Polskiego, zginął w kampanii wrześniowej ok. 8.09.1939 w regionie Gór Świętokrzyskich. Miejsce pochówku nieznane. *Źr.: 27, Realcja Krystyny Dymaczewskiej zd. Sroczyńskiej z 2016, Biuletyn RDLP w Toruniu nr 3/2017.*



Stanisławski Stanisław, żył 44 lata, leśniczy w Kazimierzowie (Niedoli) w lasach prywatnych majątku Potulice. Aresztowany 28.11.1939, zamordowany w obozie koncentracyjnym Dachau (Stutthof?) w 1940. MP: Leszycze. *Źr.: 2, 6, 7, 10.*

Stawski Stanisław, żył 64 lata, ur.

15.11.1878, emerytowany leśniczy L-ctwa Parzyn, N-ctwo Przyrmuszewo. Członek Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski”. Ojciec czterech synów - leśników i córki. Zmarł na skutek katowania go przez policję niemiecką podczas śledztwa w Suminach w 1942. *Źr.: 1, 6, 16, 19.*



Stokwisz Mieczysław, żył 34 lata, leśniczy w N-ctwie Kował, przeniesiony w okolice Herbów koło Częstochowy, tam aresztowany i uwięziony. Rozstrzelany przez psy (i rozstrzelany przez) gestapowców w 1944. *Źr.: 2, 6, 7, 10, 17, Relacja krewnego imienia Mieczysława Stokwisza z Włocławka z 5.11.2009.*

Szatten (Schatten) Jan, żył 64 lata, ur. 28.08.1875, leśniczy w N-ctwie Żołędowo. Zamordowany w więzieniu w Bydgoszczy na mocy wyroku niemieckiego sądu specjalnego 23.03.1940. *Źr.: 1, 2, 6, 7.*

Szeleziński Klemens, żył 48 lat, ur. 6.01. 1891, leśniczy Leśnictwa Czersk w N-ctwie Dąbrowa. Aresztowany przez Niemców z Selbstschutzu 31.10.1939. Zamordowany podczas zbiorowych egzekucji w Górnej Grupie-Mniszku w powiecie świeckim 9.11.1939. Zbrodni dokonał Niemiec o nazwisku Korber. MP: Górna Grupa - Mniszek koło Świecia. *Źr.: 1, 2, 7, 19.*

Szornak Józef, żył ok. 56 lat, ur. w 1884, leśniczy Leśnictwa Kaługa w N-ctwie Mścín. Zamordowany. Brak danych. *Źr.: 1, 7, 19.*

Szklarek Jan, żył 62 lata, leśniczy w lasach prywatnych w okolicach Kcyni, powiat nakielski. Zastrzelony przez wkraczających żołnierzy niemieckich na drodze pomiędzy Łankowicami i Kcynią 7.09.1939. *Źr. 7.*

Szmolke Marceli, leśniczy lasów prywatnych z Łęgu koło Chełmna. Rozstrzelany w lesie koło Wielkich Łunaw, w październiku 1939. *Źr.*: 7.

Szulc Stanisław, żył 46 lat, ur. 7.07.1894, leśniczy sekretarz N-ctwa Warlubie. Aresztowany w maju 1940. Zginął w niemieckim obozie koncentracyjnym. Brak bliższych danych. *Źr.*: 1, 2, 6, 7, 10, 19.

Szwaracki Leonard, żył 44 lata, ur. 6.11.1895, leśniczy sekretarz N-ctwa Trzebciny. Aresztowany przez członków niemieckiego Selbstschutzu 27.09.1939, umieszczony w więzieniu w Tucholi, a potem w Radzimiu. Zamordowany podczas zbiorowej egzekucji w Rudzkim Moście koło Tucholi 10.11.1939. MP: Rudzki Most koło Tucholi. *Źr.*: 1, 2, 6, 7, 10, 19, *Biuletyn RDLP* nr 4/2005.

Szymanek Jan, żył 44 lata, ur. w 1895, leśniczy L-ctwa Stebionki, N-ctwo Runowo. Aresztowany w Nowej Wsi Wielkiej koło Bydgoszczy przez miejscowych Niemców z Selbstschutzu w drodze powrotnej z ewakuacji wojennej i następnie rozstrzelany wraz z leśnikami Arturem Balawelderem i Piotrem Gawinem w pobliskim lesie 11.10.1939. Grobu nie odnaleziono. MP: Leszyce. *Źr.*: 1, 2, 6, 7, 10, *Życie Borów Pomorskich* nr 3/1945, *Biuletyn RDLP* nr 4/2008.

Ś

Świeżyński Antoni, żył 54 lata, ur. 20.05.1890, w Lidzbarku, leśniczy L-ctwa Parszczenica, N-ctwo Chociński Młyn, członek Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski”. Aresztowany 24.03.1943. Zginął w obozie w Stutthofie wraz z synem Czesławem (23 lata), w styczniu 1945. *Źr.*: 1, 6, 7, 16, 17, 19.

T

Tchórz Józef, żył 37 lat, przed wojną pracował w lasach miejskich Chojnic. W kwietniu 1940 wysiedlony przez Niemców do Generalnej Guberni; pracował jako gajowy w Gręzówce (dzisiaj teren Nadleśnictwa Łuków, RDLP Warszawa). Był członkiem lub współpraco-

wał z Armią Krajową, aresztowany podczas obławy niemieckiej na przełomie 1943/1944. Zesłany do obozu koncentracyjnego na Majdanku, gdzie zginął w kwietniu 1944. *Źr.*: 6, 16, *Informacja Mariana Trzebiatowskiego z Brus* 31.10.2005.

Tokarski Aleksander, żył 35 lat, ur. 10.09.1907 w gajówce Krzywe Błota pod Włocławkiem, gajowy z Warząchewki w N-ctwie Kowal, pow. Włocławek, na skutek donosu o posiadaniu broni, aresztowany przez gestapo 30 sierpnia 1940, zamordowany w Mauthausen 18 marca 1943. *Źr.*: 2, 6, 10, 19, *Gazeta Pomorska (Grudziądz)* z 28.11.2013.



Tomaszek Antoni, żył 50 lat, ur. 8.06.1889 w Wadowicach, absolwent Wyższej Szkoły Rolniczej (Hochschule für Bodenkultur) w Wiedniu, nadleśniczy Nadleśnictwa Konstancjewo. Aresztowany przez Niemców z Selbstschutzu we wrześniu 1939, więziony w Zakładach Przemysłu Gumowego w Wąbrzeźnie, zamordowany w październiku 1939 w masowych egzekucjach w Łopatkach pod Wąbrzeźnem. MP: Łopatki Polskie pod Wąbrzeźnem. *Źr.*: 1, 2, 6, 7, 10, 19, *Życie Borów Pomorskich* nr 3/1945, *Biuletyn RDLP w Toruniu* nr 2/2013.



Turdischek Witold, żył 43 lata, absolwent Wydziału Rolniczo-Leśnego Uniwersytetu Poznańskiego (1924), kierownik Oddziału Ochrony i Odnowienia Lasów w Dyrekcji LP w Toruniu. Zginął od pocisku artyleryjskiego w Lesie Kabackim, w okolicach Warszawy, w styczniu 1945. *Źr.*: 1, 2, 6, *Akta osobowe w RDLP Toruń*.

Tychman Stanisław, żył 41 lat, ur. 14.10.1898 w Niszczewicach, zamieszkały w Osieczku, pow. Inowrocław. Leśnik w lasach prywatnych. Zamordowany na rynku w Inowrocławiu przez członka Selbstschutzu o nazwisku Bolter w końcu września lub na początku października 1939. Miejsca pochówku nie ustalono. *Źr.: 7, 10.*

V

Vogt Oskar, żył 44 lata, ur. 23.12.1901 w (Nowo) Radomsku, pow. łódzki, leśniczy L-ctwa Wydry, N-ctwo Szarlata. Aresztowany w lipcu 1944 przez gestapo z Gdańska, przesłuchiwany, następnie skierowany do pracy przymusowej do L-ctwa Tępcz (Tempcz) w N-ctwie Góra koło Wejherowa. Zginął bez wieści podczas przechodzenia frontu w okolicach Gdyni, w lutym 1945. *Źr.: 1, 7, 10, 17, 19, Biuletyn RDLP nr 1, 2, 3, 4/5 z 2006 i 1, 2 z 2007.*



W

Wardyn Feliks, żył 46 lat, ur. 30.10.1893, leśniczy L-ctwa Czersk, N-ctwo Czersk. Zamordowany podczas zbiorowej egzekucji w lesie w Łukowie koło Czerska, dokonanej 4.11.1939 na 28 osobach przez miejscowych Niemców z Selbstschutzu. MP: Kamień z tablicą przy leśniczówce Okręglak w Giełdonie na terenie N-ctwa Czersk. *Źr.: 1, 2, 6, 7, 10, 16, 19.*

Wenclewski Stanisław, żył 46 lat, ur. w 1896, leśniczy L-ctwa Kłodawa, N-ctwo Klosnowo. Aresztowany przez Niemców 8.05.1941. Więziony w Chojnicach. Zesłany do obozu koncentracyjnego



w Stutthofie, później przewieziony do obozu koncentracyjnego Mauthausen, gdzie zmarł 6.02.1942. *Źr.: 1, 2, 6, 7, 16, Realcja Zygmunta Wenclewskiego z 23.11.2009.*

Wilgocki Marian, żył 44 lata, ur. 1.12.1896 w Orzechowie, pow. Września, absolwent Wydziału Rolniczo-Leśnego Uniwersytetu Poznańskiego, nadleśniczy N-ctwa Sarnia Góra. Aresztowany przez Selbstschutz 6.11.1939, zamordowany podczas egzekucji zbiorowej w Rudzkim Moście k. Tucholi 10.11.1939. MP: Rudzki Most k. Tucholi. *Źr.: 1, 2, 6, 7, 10, 19, 27.*



Wojciechowski Stanisław, żył 45 lat, gajowy w lasach prywatnych w Zambrzyca k. Okalewa, pow. Rypin. Aresztowany w listopadzie 1940, zamordowany w obozie Mauthausen lub Dachau. *Źr.: 2, 6, 7, 17.*

Wroński Franciszek, żył 36 lat, gajowy w lasach prywatnych w Rakach k. Okalewa, pow. Rypin. Aresztowany w listopadzie 1940, zamordowany w obozie koncentracyjnym Mauthausen. *Źr.: 2, 6, 7, 10, 17.*

Z

Zieliński Edmund, żył 31 lat, podleśniczy w N-ctwie Runowo. Zamordowany w obozie w Karolewie, pow. sępoleński przez miejscowych Niemców z Selbstschutzu, w październiku 1939. *Źr.: 1, 2, 6, 7, 10, Życie Borów Pomorskich nr 3/1945.*

Zimny Stefan, żył 50 lat, ur. 18.08.1894, leśniczy L-ctwa Rynków w N-ctwie Przewodnik. Żołnierz AK w zgrupowaniu „Dana”. Aresztowany przez gestapo w grudniu 1943, został osadzony w obozie koncentracyjnym w Stutthofie. Zginął podczas ewakuacji

obożu w lutym 1945.
 Źr.: 1, 2, 6, 7, 10, 19,
*Relacja Elżbiety Cie-
 ślik z Bydgoszczy*
 z 8.08.1996.



Ziółkowski Mieczysław, żył 40 lat, inż.
 leśnik, rewident w Dyrekcji LP w Toruniu.
 Zamordowany w egzekucji zbiorowej na
 Barbarkie koło Torunia 15.11.1939. MP:
 Barbarka. Źr.: 1, 2, 6, 7, 10.

Zywert Marcjjan, żył
 44 lata, ur. 5.08.1895
 w Minikowie, leśni-
 czy L-ctwa Podlesie,
 N-ctwo Gniewkowo.
 Aresztowany 2.10.
 1939, przewiezio-
 ny do Inowrocławia
 i tam zamordowany
 w więzieniu w nocy
 22/23.10.1939. MP:
 Dąbki koło Gniewkowa. Źr.: 1, 2, 6, 7, *Re-
 lacja córek leśniczego – Wandy i Haliny*
 z 23.10.2009, *Biuletyn RDLP* nr 4/2009.



Ż

Żychliński Zbigniew,
 żył 33 lata, ur. 5.08.
 1906 w Barcinie, leśni-
 czy sekretarz N-ctwa
 Wierzchlas. Aresz-
 towany 7.10.1939
 w Wierzchlesie przez
 członków Selbstchu-
 zu, osadzony w obo-
 zie w Błędziniu. Za-
 mordowany podczas
 egzekucji zbiorowej w Rudzkim Moście
 koło Tucholi 10.11.1939. MP: Rudzki Most
 koło Tucholi. Źr.: 1, 2, 5, 6, 7, 10, 15, *Biuletyn
 RDLP w Toruniu* nr 4/2005.



ZGINĘLI Z RĄK SOWIECKICH

B

Błażewicz Bolesław, żył 50 lat, ur. 1.06.1889
 w Guberni Witebskiej (Rosja), inspektor
 Dyrekcji LP w Toruniu. Podczas ewakuacji
 do Lwowa jesienią 1939 aresztowany przez
 sowietów. Przebywał w więzieniu w Stani-
 sławowie i w Czernichowie. Nazwisko Bła-
 żewicza widnieje na tzw. liście ukraińskiej.
 Został zamordowany w trybie katyńskim
 przez NKWD w Bykowni pod Kijowem wio-

sną 1940. MP: Tabliczka imienna na Polskim
 Cmentarzu Wojennym w Kijowie-Bykowni.
 Źr.: 1, 2, 6, 7, 14, 26, *Las Polski* nr 17/1989.

Bolik Wiktor, żył ok. 67 lat, emerytowany
 nadleśniczy N-ctwa Chociński Młyn. Aresz-
 towany w Bydgoszczy i uprowadzony przez
 sowietów w lutym 1945, nie powrócił.
 Źr.: 1, 16.

C

Ciechowski Feliks, żył 46 lat, ur. 26.04.1899, leśniczy w N-ctwie Dąbrowa, aresztowany przez Rosjan w marcu 1945, gdy stanął w obronie córki, wywieziony na wschód do łagru, zginął w Biełorecku 31.10.1945 (Dziadek Grzegorza Ciechowskiego – lidera grupy „Republika”). *Źr.: 1, 22, 23.*



G

Gilgenast Teofil, żył 60 lat, ur. 29.06.1884, leśniczy L-ctwa Borsukowo, N-ctwo Dąbrowa. Członek Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski”. Rozstrzelany przez żołnierzy sowieckich wraz z synem, w lutym 1945, pochowany na cmentarzu w Osiu. *Źr.: 1, 2, 6, 7, 19.*



Gliniecki Jan, żył 48 lat, ur. 4.11.1896, leśniczy L-ctwa Łąkorz w N-ctwie Jamy, zamordowany w 1945, prawdopodobnie przez Rosjan. *Źr.: 1, 19.*

J

Jankowski Emanuel, żył 54 lata, ur. 21.04.1891, leśniczy L-ctwa Ustronie w N-ctwie Twarożnica. Aresztowany przez NKWD w 1945, zmarł w konwoju podczas deportacji do ZSSR. *Źr.: 1, 16, 19.*

K

Kiszkiel Bolesław, żył 40 lat, ur. 28.12.1899, absolwent Wydziału Leśnego SGGW w Warszawie, nadleśniczy N-ctwa Ruda. We wrześniu 1939 podczas ewakuacji na wschód, zamordowany z dwiema innymi osobami przez żołnierzy sowieckich we wsi Ostrowie, gmina Czerniany pod Kobryniem na Kresach

II Rzeczypospolitej (dzisiaj Białoruś) 24 września 1939 i tam pogrzebany. Świadkiem zbrodni była Wiktoria Postolko, której mąż – nadleśniczy Tadeusz Postolko – był ciężko ranny, ale przeżył zbrodniczy napad. MP: Kamień z imienną tablicą pamiątkową we Fiałkach na terenie N-ctwa Brodnica. *Źr.: 1, 6, 7, 9, 19, Relacja Jerzego Kiszkiela z 3.09.2018.*



Ł

Łącki Józef, żył 46 lat, ur. 9.03.1899, leśniczy L-ctwa Cieszyński w N-ctwie Mszano. W maju 1939 objął L-ctwo Dobrzejewice w N-ctwie Lipno. Komendant placówki AK w Dobrzejewicach.



Leśniczówka była miejscem schronienia dla wielu poszukiwanych działaczy podziemia niepodległościowego. Wiosną 1945 na skutek donosu i fałszywych oskarżeń, aresztowany przez NKWD, deportowany na wschód. Zmarł w drodze powrotnej z łagru w 1945. Miejsce pochówku nie jest znane. *Źr.: 1, 19, St. Giziński - „Niepospolici znad Drwęcy” (Toruń 2004), Biuletyn RDLP w Toruniu nr 1/2017.*

Łuczak Szczepan Eugeniusz, żył 34 lata, ur. 26.12.1906 w Łodzi. Absolwent Wydziału Leśnego SGGW w Warszawie. Pracownik Instytutu Badawczego Lasów Państwowych, wcześniej Dyrekcji LP w Toruniu i w Wyłuszcarni Nasion w Klosnowie. Żołnierz września



1939. Dostał się do obozu jenieckiego NKWD oficerów polskich w Kozielsku. Zamordowany przez NKWD w Lesie Katyńskim wiosną 1940. MP: Tabliczka imienna na Polskim Cmentarzu Wojennym w Katyniu. Dąb Pamięci z tabliczką w Wierchlesie (N-ctwo Zamrzemica). *Źr.: 2, 14, 26.*

Łukowicz Franciszek,

żył 46 lat, ur. 3.12.1898, leśniczy sekretarz N-ctwa Osie. Aresztowany przez NKWD 4.03.1945 w Osiu, wywieziony transportem kolejowym na Wschód. Zginął w nieustalonych okolicznościach. *Źr.:*

1, 2, 6, 19, 22, Relacja Teresy Kozak zd. Łukowicz z Osia z 2009, Biuletyn RDLP nr 1/2009.



M

Miśko Tadeusz, żył 51 lat, ur. 10.04.1889 w Harbutowicach, pow. Wadowice. Studiował w Wyższej Szkole Rolniczej (Hochschule für Bodenkultur) w Wiedniu, absolwent Wydziału Rolniczo-Leśnego Uniwersytetu Poznańskiego. Nadleśniczy prywatnych lasów łabiszyńskich należących do majątku Lubostroń rodu Skórzewskich. Żołnierz września 1939. Dostał się do obozu jenieckiego w Kozielsku. Zamordowany przez NKWD w Lesie Katyńskim wiosną 1940. MP: Tabliczka imienna na Polskim Cmentarzu Wojennym w Katyniu. Dąb Pamięci z tabliczką w Wierchlesie (N-ctwo Zamrzemica). *Źr.: 1, 2, 6, 14, 26.*



Motała Bronisław,

żył 42 lata, ur. 21.01.1903, w Wysokiej pow. Kościan, leśniczy sekretarz w N-ctwie Świekatówko. Aresztowany przez Sowietów 11.02.1945. De-

portowany na wschód. Zmarł w łagrze Roza koło Czelabińska w ZSRR 9.08.1945. *Źr.: 7, 22.*

Muszyński Antoni,

żył 39 lat, ur. 7.12.1906, leśniczy-sekretarz w Nadleśnictwie Czersk, aresztowany przez Sowietów w lutym 1945, wywieziony na Wschód razem z leśniczym L-ctwa Odry Bolesławem Piecką, zmarł w łagrze w Dźwińsku, 2 maja 1945. MP: Kamień z tablicą przy leśniczówce Okręglak w Giedonie na terenie N-ctwa Czersk. *Źr.: 1, 19, 22, Informacja Mariana Trzebiatowskiego z Brus 31.10.2005.*



N

Nitkowski Ignacy,

żył 32 lata, ur. 13.07.1908 w Głuchowie, pow. Skierniewice. Absolwent Wydziału Leśnego SGGW w Warszawie. Taksator w Oddziale Urządzania Lasu w Dyrekcji LP w Toruniu. Żołnierz września 1939.

Dostał się do niewoli sowieckiej. Więziony w obozie jenieckim w Starobielsku. Zamordowany w trybie katyńskim w piwnicach siedziby NKWD w Charkowie wiosną 1940. MP: Tabliczka imienna na Polskim Cmentarzu Wojennym w Charkowie. Dąb Pamięci i tabliczka w Wierchlesie (N-ctwo Zamrzemica). *Źr.: 2, 6, 7, 14, 26.*



Nowak Wincenty, żył 43 lata, ur. 9.06.1902, leśniczy L-ctwa Gródek, N-ctwo Osie. Aresztowany przez NKWD w Nowych Krąplewiczach 15.02.1945. Deportowany na Wschód. Zmarł w obozie w Czelabińsku na terenie ZSRR 9.01.1946. *Źr.: 1, 7, 19, 22.*

P

Pażątka-Lipiński

Bernard, żył 54 lata, ur. 26.10.1890, leśniczy L-ctwa Zwierzyniec w N-ctwie Jamy. Aresztowany przez NKWD, wywieziony transportem na Wschód. Zmarł w łagrze Złotousta na terenie ZSRR (Ural) w lutym 1945. *Źr.: 1, 12, 19.*

**Piechowski Dominik**

żył 47 lat, ur. 8.08.1898, leśniczy L-ctwa Myłof, w N-ctwie Ryteł. Członek Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski”. W 1944 osadzony przez Niemców w obozie koncentracyjnym w Stutthofie, skąd udało mu się wydostać. Ponownie aresztowany, ucieka i ukrywa się w lesie. Po ustąpieniu Niemców, został aresztowany przez NKWD i deportowany do ZSRR (Ural) gdzie zmarł w 1945. *Źr.: 1, 6, 16, 19.*

**Pieczka Bolesław**

żył 40 lat, ur. 10.06.1905 w Bysławiu, powiat Tuchola, leśniczy L-ctwa Odry w N-ctwie Czersk. Aresztowany przez NKWD 23.02.1945 i wywieziony w głąb ZSRR. Zmarł w obozie w Kopiejsku na terenie ZSRR 17.09.1945, pogrzebany w mogile zbiorowej. MP: Kamień z tablicą przy leśniczówce Okręglik w Giełdonie na terenie N-ctwa Czersk. *Źr.: 1, 6, 16, 19, Informacja Grzegorza Pieczki z 2015.*



Prądyński Józef, leśniczy L-ctwa Sucha, N-ctwo Świekatowko. Aresztowany przez NKWD w 1945. Deportowany na wschód. Zmarł w ZSRR w obozie w nieustalonej miejscowości w 1945. *Źr.: 1, 15,*

R

Roskosz Karol, żył 59 lat, ur. 20.04.1886, w latach 1921-1930 kierownik zarządca N-ctwa Twarożnica. Od lipca 1930 leśniczy L-ctwa Dębowa Łąka w N-ctwie Mszano. Żołnierz AK. Aresztowany przez NKWD w 1945, deportowany na Wschód. Zmarł w obozie w Tagrze Siewiernia Grynja na terenie ZSRR. *Źr.: 1, 7, 19.*

S

Smoliński Franciszek

żył 41 lat, ur. 23.08.1903, gajowy w L-ctwie Łąkorz, N-ctwo Łąkorz. Zaginął 5.02.1945 uprowadzony z osady leśnej „Białe” przez żołnierzy sowieckich wraz z zamieszkałym tamże robotnikiem leśnym Alojzym Hejke. Żaden z uprowadzonych nie powrócił. *Źr.: 12, 19, Biuletyn RDLP nr 4/2005.*

**Szymkowski Stefan**

żył 50 lat, ur. 20.10.1895 w Bugaju koło Wrześni, leśniczy L-ctwa Tokary w N-ctwie Konstancjewo, a od 1943. leśniczy L-ctwa Szabda w N-ctwie Mszano. Aresztowany przez NKWD w lutym 1945. Zmarł w transporcie kolejowym podczas deportacji na Wschód, w marcu 1945. Na postoju ciało wyrzucone z pociągu, miejsce pogrzebania nieznane. *Źr.: 1, 18, 19, Biuletyn RDLP 3/2005.*



T

Toczkiewicz Bolesław, żył 48 lat, ur. 16.04.1895 w Łążyńcu, leśniczy L-ctwa Rejna, N-ctwo Gniew-kowo. W 1942 deportowany przez Niemców do pracy w L-ctwie Bórlipy, N-ctwo Różana w powiecie wołkowyskim (dzisiaj Białoruś). Dnia 3.04.1943 został zamordowany na terenie Puszczy Różańskiej, prawdopodobnie przez „tajnych pracowników NKWD na powiat wołkowyski” pod zarzutem współdziałania z polskim oddziałem partyzanckim AK. Źr.: 1, 7, *Relacja wnuka Bolesława Toczkiewicza z 2007*.



do Wojska Polskiego w sierpniu 1939. Po 17 września 1939 dostał się do niewoli sowieckiej, przebywał w obozie jenieckim w Starobielsku. Zamordowany przez NKWD prawdopodobnie wiosną 1940. Brak jego nazwiska na listach wywozowych z obozu, stąd brak jego nazwiska na tabliczkach pamiątkowych na Polskim Cmentarzu Wojennym w Charkowie, czy w Lesie Katyńskim. MP: Dąb Pamięci i tabliczka w Wierzchlesie (N-ctwo Zamrzenica). Źr.: 1, 14, 19, 26, 27.



Ż

Z

Zacher Rudolf, żył 41 lat, ur. 11.04.1899 w Jaworźnie, pow. Chrzanów, absolwent Wydziału Rolniczo-Leśnego Uniwersytetu Poznańskiego, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej 1920. W 1928 adiunkt leśny w DLP w Toruniu, w 1932 – adiunkt w Nadleśnictwie Rytel, w 1939 – nadleśniczy Nadleśnictwa Mestwinowo (dzisiaj teren N-ctwa Starogard, RDLP Gdańsk). Zmobilizowany

Żynda Józef, żył 43 lata, ur. 16.11.1902, gajowy w N-ctwie Jamy. Aresztowany przez sowieców wiosną 1945 i zamordowany 4.05.1945 w obozie przejściowym w Łławie. Źr.: 12, 19.



ZGINĘŁI Z RĄK ORGANÓW BEZPIECZEŃSTWA (UB, MO)

K

Konieczny Antoni, żył 51 lat, leśniczy L-ctwa Augustowa, Opoczno, N-ctwo Łabiszyn. Zamordowany przez bandę o nieustalonej proveniencji 12.06.1946. Źr. 7.

Kucharski Jan, żył ok. 21 lat, leśniczy w N-ctwie Bydgoszcz. Zmarł w 1951 w Bydgoszczy w wyniku tortur stosowanych wobec niego w Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego. Źr. 15.

P

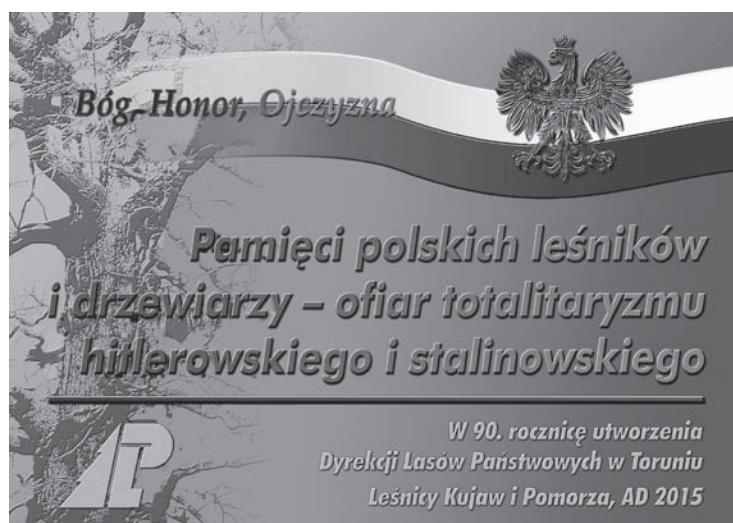
Płoszyński Władysław, żył 64 lata, inż. leśnik, były (przedwojenny) nadleśniczy N-ctwa Warlubie. Zmarł w trakcie przesłuchań w Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Łławie 19.06.1945. Szczegółów brak. Źr.: 1, 2, 6.



Sikorski Jan, żył 24 lata, ur. 24.05.1922 w Bładowie k. Tucholi. W czasie II wojny światowej był dowódcą grupy partyzanckiej działającej w ramach Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski”, a później w strukturach Armii Krajowej. Używał pseudonimów „Janek” i „Wilk”. Po zakończeniu działań wojennych został leśniczym w L-ctwie Kuźnica w N-ctwie Warlubie (dzisiaj na granicy n-ctw: Osie i Dąbrowa). Wobec represji, prześladowań i zbrodni sowieckich związał się z podziemiem niepodległościowym. Aresztowany przez funkcjonariuszy UB w Lipinkach 3.06.1946, Żołnierz Niezłomny, zginął w mundurze leśnika polskiego podczas próby odbicia i walki stoczonej przez partyzantów oddziału „Małego” z grupą specjalną MO-UB na skraju lasu pod Lipinkami. MP: Kamień z inskrypcją oraz tablice edukacyjne w miejscu śmierci Jana Sikorskiego w Lipinkach. *Źr.: 7, Biuletyn RDLP w Toruniu nr 2/2012 i nr 3/2012.*



Wysocki Jerzy, żył 41 lat, ur. 27.07.1905 w Budkowie na Wołyniu, absolwent Wydziału Leśnego SGGW w Warszawie, nadleśniczy N-ctwa Solec Kujawski. Przed wojną pracował na terenie DLP Warszawa (1927-1934) i DLP Łuck (1934-1939), a w czasie wojny na terenie DLP Łuck (1939-1941) i DLP Lublin (1941-1945). Świadek zbrodni nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej. Współpracował z Armią Krajową. Od 1.05.1945 do lipca 1946 był nadleśniczym N-ctwa Zamrzenica, po czym objął stanowisko nadleśniczego N-ctwa Solec Kujawski. Zastrzelony na ulicy w Bydgoszczy przez funkcjonariusza UB 21.11.1946. *Źr.: 18, 21, Solecki Peryskop nr 12/2004, Biuletyn RDLP nr 1/2001 i nr 4/2005.*



Tablica w gmachu Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu upamiętniająca polskich leśników i drzewiarzy – ofiary totalitaryzmu hitlerowskiego i stalinowskiego. Autorem projektu tablicy jest artysta plastyk Marek Abramowicz

ŹRÓDŁA:

1. **Almanach leśny** – Rocznik personalny administracji Lasów Państwowych. Wydawnictwo Prasa Drzewna, Warszawa 1933.
 2. **Borczyński M.**, Almanach polskich leśników kombatantów i ofiar II wojny światowej. Poznań 1997.
 3. **Drwęcki Z.**, Miejsca walki i męczeństwa w województwie bydgoskim 1939-1945. Bydgoszcz 1969.
 4. **Gniewnie szumiął las**, Opracowanie zbiorowe, Wydawnictwo MON, Warszawa 1982.
 5. **Jastrzębski W.**, Terror i zbrodnia. Wyd. Interpress, Warszawa 1974.
 6. **Leksykon leśników** – kombatantów i ofiar II wojny światowej z terenu Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu. Opracowanie pod redakcją Joanny i Sławomira Sadowskich. Toruń 2003.
 7. **Karty osobowe** leśników pomordowanych w latach 1939-45. (Wyciąg z Archiwum Państwowego w Bydgoszczy). Dwa segregatory kart opracowane przez dr Annę Perlicką z Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Bydgoszczy. 1996.
 8. **Kuciński J.**, Udział leśników polskich w ruchu oporu i walkach partyzanckich na Pomorzu w okresie II wojny światowej, w: Sylwan nr10,11,12 z 1981 ss. 75-80.
 9. **Leśnictwo polskie** w okresie II wojny światowej, Praca zbiorowa. PWRiL Warszawa 1967.
 10. **Muszczak S.**, Materiały Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Bydgoszczy (lista leśników – ofiar II wojny światowej), rękopis z ok. 1980.
 11. **Nadleśnictwo Gołąbki** – relacja z dnia 8 lutego 2005, maszynopis.
 12. **Nadleśnictwo Jamy** – relacja z 24 lutego 2005 w sprawie mordu na rodzinach leśnych w Osadzie Białe, maszynopis.
 13. **Nadleśnictwo Woziwoda** – relacja z 2 lutego 2005 r. w sprawie mordu na rodzinie Wielgoszów, maszynopis.
 14. **Peszkowski Z.A.J., Zdrojewski S.Z.M.**, Leśnicy w grobach Katynia. Fundacja NOM. Łódź 2001.
 15. **Sokołowski Michał** – oświadczenie z 14 marca 2005 dotyczące Jana Kucharskiego i Jakuba Prądkzyńskiego (maszynopis).
 16. **Trzebiatowski Marian**, Leksykon leśników – kombatantów i ofiar II wojny światowej z terenu powiatu chojnickiego. Brusy 2005 (maszynopis).
 17. **60 lat leśnictwa** na ziemi pomorsko-kujawskiej. Opracowanie zbiorowe. Bydgoszcz 1989.
 18. **Wykaz imienny pracowników** DLP Toruń. Dokument z lat 1945-1950 w archiwum RDLP Toruń.
 19. **Wykaz imienny urzędników** i funkcjonariuszów niższych Dyrekcji Lasów Państwowych Okręgu Pomorskiego w Toruniu. Dokument z lat 1938-1939 w archiwum RDLP w Toruniu.
- Źródła** pozyskane w trakcie opracowania i korekty w 2005 roku:
20. **Nas Paweł** – Oświadczenie w sprawie leśniczego Szymkowskiego Stefana (maszynopis), Dobrzejewice, 20 lipca 2005.
 21. **Zakrzewski Roman** – Tragiczny los nadleśniczego (Jerzego Wysockiego), w: Solecki Peryskop nr 11 (157) listopad 2004.
- Źródła** nowe - wykorzystane w aktualizacji opracowania w 2018 roku:
22. **Jastrzębski W.**, W dalekim obcym kraju. Deportacje Polaków z Pomorza do ZSRR w 1945 roku. Pomorze, Bydgoszcz 1990. (informacje o: Ciechowski Feliks, Łukowicz Franciszek, Nowak Wincenty, Motała Bronisław, Muszyński Antoni)
 23. **Ciechowski Michał**, Informacja bezpośrednia na temat leśniczego Feliksa Ciechowskiego, w czerwcu 2018.
 24. **Górski Michał Adam**, Był dom... wspomnienia z lat 1897-1954, Wydawnictwo Graf-Bog. Żnin, 2007.
 25. **Chałupka W.**, Teofil Lorkiewicz (1885-1944) – dyrektor konspiracyjnej Dyrekcji Lasów Państwowych czasu II wojny światowej, Studia i Materiały Ośrodka Kultury Leśnej w Gołuchowie, 17, 2018, s. 83-112.
 26. **Chrzanowski T. (red.)**, Dwunastu z Listy Katyńskiej, Polskie Towarzystwo Leśne, Oddział w Toruniu, Toruń 2014.
 27. **Sokołowski W.**, Życiorysy absolwentów i studentów leśników Uniwersytetu Poznańskiego poległych i zmarłych w latach 1939-1945, Akademia Rolnicza w Poznaniu, Koło Naukowe Leśników, Poznań 1988.
 28. **Przybylski M.**, Lasy Miradzkie. Z dziejów Nadleśnictwa Miradz, Miradz – Strzelno 2013.

